

LAVYRLE SPENCER

POWÓJ

Tytuł oryginału
„Morning Glory”

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym szczególnie serdecznie podziękować...

Marian Smith Collins i Bobowi Collinsowi za to, że udzielili mi pomocnych informacji na temat miasta Calhoun i okolic oraz za wskazówki dotyczące prawodawstwa...

Sierżantowi artylerii Ryszardowi E. Martello z korpusu marines Stanów Zjednoczonych za to, że podzielił się ze mną swoją bezcenną wiedzą dotyczącą historii tej formacji...

oraz Carol Gatts, akuszerce i pszczelarce, za pielęgnowanie tradycji i za to, że pozwoliła nam ją dostrzec...

*Moim ulubionym autorom
Tomowi i Sharon Curtis,
których książki uczyły mnie i bawiły
oraz były dla mnie natchnieniem.
Z wyrazami najgłębszego podziwu*

PROLOG

1917

W pewne pochmurne listopadowe popołudnie pociąg wjechał na stację w Whitney w Georgii. Nadciągały właśnie chmury i pierwsze krople deszczu zaczęły bębnić w czarny skórzany dach czekającego powozu, którego okna zasłonięto czarnymi firankami. Gdy pociąg zatrzymał się ze zgrzytem, można było dojrzeć cień jakiejś osoby podnoszącej się ukradkiem w powozie, a za chwilę czyjeś oko wyjrzało przez szparkę.

- Jest tam na pewno - zasyczał kobiecy głos. - Idź po nią!

Drzwi powozu otworzyły się i wysiadł z niego mężczyzna w czarnym garniturze, czarnych butach oraz czarnym kapeluszu z szerokim prostym rondem. Nie rozglądając się na prawo ani na lewo, stawiając duże energiczne kroki, podszedł do stopni pociągu, na których pojawiła się młoda kobieta z dzieckiem na ręku.

- Witaj, tato - powiedziała niepewnie z nieśmiałym uśmiechem.

- Bierz swojego bękarta i chodź ze mną. - Popchnął ją łokciem w stronę powozu i prowadził do niego, nie patrząc na nią ani na niemowlę.

Zasłonięte drzwi otworzyły się gwałtownie w tej samej chwili, gdy do nich dotarli. Młoda kobieta cofnęła się jak gdyby w geście samoobrony, przytulając dziecko do piersi. Jej łagodne piwne oczy napotkały bezlitosne, srogie spojrzenie zielonych oczu w oprawie czarnego czepka i sukni żałobnej.

- Mamo...

- Wsiadaj!

- Mamo, ja...

- Wsiadaj, zanim wszyscy w mieście dowiedzą się o naszej hańbie!

Mężczyzna trącił córkę łokciem. Potknęła się, wsiadając do powozu, prawie nic nie widząc przez łzy. Wszedł za nią bardzo szybko i chwycił za lejce.

- Pośpiesz się, Albercie - rozkazała kobieta, która siedziała sztywno, jak gdyby połknęła kij, i patrzyła prosto przed siebie.

Zaciął konie, które ruszyły klusem.

- Mamo, to dziewczynka. Nie chcesz jej zobaczyć?

- Zobaczyć? - Kobieta ściągnęła usta. Nadal patrzyła przed siebie. - Będę chyba zmuszona to robić przez resztę swego życia, a inni ludzie tymczasem będą szeptać o diabelskim nasieniu, jakie sprowadziłaś do naszego domu.

Młoda kobieta jeszcze mocniej przytuliła dziecko. Zakwiliło cicho, a gdy rozległo się

przejmujące uderzenie pioruna, zaczęło płakać bardzo głośno.

- Ucisz ją, czy słyszysz!

- Nazywa się Eleonora, mamó i...

- Uspokój ją, zanim wszyscy na ulicy usłyszą!

Dziecko zawodziło jednak przez całą drogę od stacji - gdy powóz jechał przez miejski plac, gdy podążał główną ulicą, kierując się na południe miasta, mijając rzędy domów i gdy wreszcie pojawił się przed otoczonym płotem drewnianym domem z werandą, po której piał się powój. Przejechali przez ciemne podwórko i zatrzymali się obok tylnych drzwi ogrodu. Kobieta ubrana na czarno zabrała do środka matkę i dziecko i natychmiast ciemnozielone okiennice zatrzasnęły się z łoskotem, aby zakryć okno. Po nich zamknięto następne, dopóki nie zasłonięto każdego okna w domu.

Odtąd nigdy nie widziano, aby młoda matka kiedyś opuściła dom lub by uchylono okiennice.

ROZDZIAŁ 1

SIERPIEŃ 1941

W południe rozległ się głos gwizdka i piły przestały brzęczeć. Will Parker cofnął się, zdjął przepocony kapelusz i otarł czoło rękawem. Inni robotnicy zatrudnieni w tartaku zrobili to samo i poszli w cieniste miejsce, rzucając soczyste przekleństwa, narzekając na skwar i kanapki, jakie żony zapakowały im na obiad.

Will Parker nie miał powodu, aby narzekać. Upał nie dawał mu się we znaki, nie miał ani żony, ani pakunku z obiadem. Miał tylko trzy jabłka ukradzione z czyjś ogrodu - były zielone, mógł więc przypuszczać, że później będzie miał kłopoty z żołądkiem - oraz litrowy słoik maślanek, który znalazł przy nie strzeżonej studni.

Mężczyźni siedzieli w cieniu na podwórzu przy tartaku. Oparci o sosny, gawędzili w czasie posiłku. Tylko Will Parker siedział z dala; nie zadawał się z innymi i to już od dawna.

- Na miłość boską, ale jest gorąco - zaczął narzekać Elroy Moddy, wycierając pomarszczoną czerwoną szyję pomiętą czerwoną chustką.

- A ile tu pyłu - dodał Blaylock. Zakasłał dwa razy i splunął na sosnowe igły. - Mam go dosyć w płucach, by wypchać materac.

Harley Overmire, nadzorujący prace w tartaku, jak zwykle w południe rozebrał się do pasa, zanurzył głowę pod pompą i wyszedł wrzeszcząc i zwracając na siebie powszechną uwagę. Był niskim i przysadzistym facetem. Miał szeroki niczym mops nos, małe uszy, krótką szyjkę oraz ciemne krótko przystrzyżone kręcone włosy, które nie chciały rosnąć na karku. Rosły jednak na piersi, co nadawało mu wygląd owłosionej małpy, kiedy chodził bez koszuli. Jego potężne owłosione ciało jak gdyby rekompensowało mu niski wzrost, demonstrował więc je, gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja.

Wycierając się koszulą, Overmire wolnym krokiem przeszedł przez podwórze i przyłączył się do mężczyzn. Odwinął górną część kanapki i wymamrotał:

- A niech to diabli, znowu zapomniała o musztardzie. - Wyrzucił kanapkę z obrzydzeniem. - Ile razy mam powtarzać tej kobiecie, że wieprzowina ma być bez niczego, a wołowina z musztardą!

- Musisz ją wyszkolić, Harley - zaczął mu dogadywać Blaylock. - Strzel ją kiedyś w łeb.

- Wyszkolić, psiakrew. Jesteśmy małżeństwem od siedemnastu lat. Można by pomyśleć, do tej pory powinna już zapamiętać, że lubię wołowinę z musztardą. - Obcasem wcisnął kanapkę w suche sosnowe igły i znowu przeklął.

- Weź jedną ode mnie - zaproponował usłużnie Blaylock. - Z mięsem wieprzowym i serem.

Will Parker ugryzł cierpkie jabłko. Miało tak ostry smak, że rozboleła go szczęka. Odwrócił wzrok od kanapki z wołowiną Overmire'a i kanapki Blaylocka z mięsem i serem, zmuszając się do myślenia o czymś innym.

Podwórko ze starannie przystrzyżoną trawą i studnią, które splądrował. Ładne różowe kwiaty w białym emaliowanym dzbanku umieszczonym na pniu drzewa przy drzwiach do ogrodu. Płacz dziecka dochodzący z wnętrza domu. Sznurek z białymi prześcieradłami i pieluszkami, białymi ścierkami zawieszony tyłoma parami spodni z niebieskiego drelichu, że nikt nie zauważy, jeśli zniknie jedna z nich, oraz taką samą liczbą niebieskich koszul. Szlachetnie wybrał tę z dziurą na łokciu. Wisiały tam też różnokolorowe ręczniki - zabrał zielony, ponieważ gdzieś w zakamarkach pamięci przechowywał obraz zielonookiej kobiety, która była kiedyś dla niego dobra i sprawiła, że zawsze wołał zieleń od innych kolorów.

Zielony ręcznik, owinięty wokół słoika, był teraz zupełnie mokry. Odwinął go, odkręcił pokrywkę, napił się, próbując nie wykrzywiać ust. Maślanka była tak słodka, że aż przyprawiała o mdłości, i ciepła, że nawet mokry ręcznik nie zdołał jej ochłodzić.

Pochylony i oparty głową o pień sosny Parker zobaczył, że Overmire obserwuje go swoimi brązowymi oczami małymi jak paciorki, podnosząc się z ziemi. Powoli odstawił słoik. Overmire podszedł blisko i zatrzymał się przy wyciągniętych stopach Willa. Nogi miał rozstawione szeroko i mocno osadzone na ziemi, a silne, muskularne pięści oparł na boku.

Will Parker był tu dopiero od czterech dni, ale wiedział dobrze, co oznacza to spojrzenie, jak gdyby już padły jakieś słowa.

- Parker? - Overmire powiedział to głośno, dostatecznie głośno, aby mogli to usłyszeć inni.

Will zeszytniał, jak gdyby w zwolnionym tempie wyprostował się i zaczął stawiać po omacku słoik.

Nadzorca przesunął do tyłu słomkowy kapelusz i zmarszczył czoło tak, aby wszyscy zobaczyli, że właśnie tak należało postąpić.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, iż jesteś z Dallas.

Will wiedział, kiedy trzymać język za zębami. Podniósł wzrok na Overmire'a, starając się zachować kamienną twarz. Przeżuwał kawałek kwaśnego jabłka.

- Mówisz, że skąd pochodzisz? - Will obrócił się, jak gdyby chciał się podnieść. Overmire postawił nogę w jego kroku i pchnął go z całej siły. - Mówię do ciebie, chłopcze! - warknął, a potem spojrzał na podwładnych, aby upewnić się, że scena ta nie uszła niczyjej

uwagi.

Parker oparł dłonie o ziemię, gdy nagle poczuł ból.

- Byłem w Dallas - odpowiedział ze stoickim spokojem.

- Ale w Huntsville też byłeś, nieprawdaż, chłopcze?

Opanowało go dławiące poczucie zależności. Znajome i poniżające. Czuł, że patrzą na niego inni mężczyźni. Uśmiechali się z poczuciem przewagi. Taksowali wzrokiem. Nauczył się nie odpowiadać impertynencko, nie reagować na podobny ton wyższości, zwłaszcza na słowo „chłopak”. Oblał go zimny pot i ogarnęło uczucie bezradności, w sytuacji gdy jeden człowiek czuje się bardzo mały i poniżony, a drugi silny. Czując na sobie but Overmire'a popychający go z całą siłą, Will stłumił chęć, aby dać wyraz nienawiści, chowając się za mur udanej obojętności.

- Trzymają tam tylko twardzieli, czy nie mam racji, Parker? - Overmire popchnął go jeszcze mocniej, ale Will ani drgnął. Chwycił go za to za kostkę, odpychając zakurzony but na bok. Nie spuszczać wzroku z nadzorcy, Will wstał, podniósł zgnieciony kowbojski kapelusz, otrzepał o biodro i naciągnął na głowę tak, aby rondo zasłaniało oczy.

Overmire zachichotał, skrzyżował krzepkie, silne ramiona i zmierzył małymi oczkami byłego skazańca.

- Powiadają, że zabiłeś kobietę w burdelu w Teksasie i teraz cię wypuścili. Coś mi się zdaje, że nie chcemy, aby ktoś taki jak ty kręcił się w okolicy, gdzie są nasze żony i córki, mam rację, chłopcy? - Zerknął na stojących obok mężczyzn.

Odeszli, by znaleźć coś jeszcze w zawiniątkach z obiadem.

- No cóż, czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę, chłopcze?

Will przełknął, czując w ustach skórkę od jabłka.

- Nie, proszę pana, poza tym, że należy mi się za trzy i pół dniówki.

- Za trzy dni - poprawił Overmire. - Nie wliczamy tu połowy dnia.

Will przeżuwał skórkę od jabłka. Wystawała mu groźnie szczęka i Harley Overmire zacisnął pięści, przygotowując się już do walki. Jednak Will popatrzył tylko w milczeniu spod runda swego kowbojskiego kapelusza, wyglądającego zresztą bardzo nędznie. Nie musiał wcale sprawdzać, jak wyglądają jego pięści.

- Trzy - Will zgodził się spokojnie, ale rzucił ogryzek pod sosny z taką zaciekłością, że mężczyźni na wszelki wypadek znowu zaczęli przetrząsać zawiniątka. Następnie zgarnął z ziemi owinięty ręcznikiem słoik i poszedł za Harleyem do biura.

Kiedy stamtąd wychodził, mężczyźni otaczali tablicę ogłoszeń. Minał ich, zamknięty w swej obojętności, chowając dziewięć dolarów do kieszeni na piersi, patrząc prosto przed

siebie i unikając spojrzeń pełnych wyższości.

- Hej, Parker! - zawołał jeden, gdy przechodził. - Możesz spróbować z wdową Dinsmore. Jest w tak ciężkim położeniu, że przypuszczalnie zadowolony się nawet więźniem takim jak ty, czy nie mam racji, chłopcy?

Rozległ się szyderczy śmiech, a potem ktoś odezwał się znowu.

- Kobita taka jak ona, która wywiesza ogłoszenie w tartaku, na pewno weźmie to, co się jej trafi.

- Trzeba było stanąć mu jeszcze silniej na jajach, Harley, a wtedy kobiety w okolicy spałyby spokojniej dziś w nocy - dodał trzeci.

Will przeszedł na skróty obok sosen. Ale gdy zobaczył resztki kanapki pozostawionej dla ptaków gdzieś między igłami, głód zwyciężył dumę. Podniósł ją dwoma palcami, jak gdyby to był papieros, i odwrócił się z wymuszoną swobodą.

- Czy komuś będzie przeszkadzać, jeśli to zjem?

- U diabła, nie! - zawołał Overmire. - Ja stawiam.

Rozległ się wtedy jeszcze większy śmiech.

- Słuchaj, Parker, spróbuj z tą wariatką Elly Dinsmore. Nie ma co gadać, możecie świetnie się zgodzić ze sobą. Ona poszukuje faceta, a ciebie właśnie wypuścili z pudła. Może dla ciebie znajdzie się tam i coś więcej niż kawałek chleba!

Will odwrócił się i zaczął iść, ale wcześniej zgniótł chleb w małą twardą kulkę i rzucił ją w sosnowe igły. Odchodząc, zapomniał o bólu i ponizeniu. Przeniósł się w wyobraźni do miejsca, którego nigdy nie widział, gdzie nie brakowało uśmiechów ani talerzy pełnych jedzenia, a ludzie okazywali sobie życzliwość. Już nie wierzył, że takie miejsce istnieje, a jednak uciekał doń coraz częściej. Kiedy wędrówka w wyobraźni spełniła swój cel, wrócił do rzeczywistości - do sosnowego lasu gdzieś w północno - zachodniej Georgii i nieznannej drogi prowadzącej naprzód, gdzieś w dal.

Co będzie teraz? - pomyślał. To samo stare gównno, gdziekolwiek by poszedł. Niczego nie można było porównać do odsiadki; ta tak naprawdę nie kończyła się nigdy. I co go to zresztą obchodzi? Z nikim nie był związany w tej nędznej zabitej deskami mieścinie. Kto zresztą kiedykolwiek słyszał o Whitney, w Georgii. To tylko mały punkcik na mapie, plamka zostawiona przez muchę, i mógł równie dobrze stąd wyjechać, jak i tu zostać.

Gdy przeszedł około dwóch kilometrów, minął to samo starannie utrzymane gospodarstwo, gdzie ukradł maślankę, ręcznik i ubrania; gdzieś w głębi ogarnęło go jakieś słodkie, przemożne uczucie tęsknoty. Na ganku z tyłu domu stała kobieta z włosami schowanymi pod chustką przewiazaną z przodu i trzepała dywanik. Była młoda i ładna. Miała

na sobie różowy fartuszek. Wokół unosił się zapach pieczonego ciasta i Willowi zaczęło burczeć w brzuchu. Kobieta uniosła rękę i pomachała mu, a on ukrył ręcznik, przejęty poczuciem winy. Poczul gwałtowną chęć, aby podejść do niej ścieżką i oddać to, co do niej należało, oraz przeprosić. Uważał jednak, że śmiertelnie by ją przestraszył, gdyby tak zrobił. Poza tym ręcznik, a przypuszczalnie także i słoik, mogły mu się przydać w kolejnym mieście, do którego się uda. Ubrania, które miał na grzbiecie, były jedynymi, jakie posiadał.

Zostawił za sobą gospodarstwo, brnąc do przodu po żwirowej drodze koloru świeżej rdzy. Sosny pachniały silnie. Zielone i pachnące prezentowały się pięknie na tle czerwonej gliniastej ziemi. Nie brakowało tu rzek i rwących strumieni spieszących, by wpaść do morza. Widział nawet wodospady, tam gdzie strumienie wypływały z podgórza Blue Ridge i mknęły w kierunku równiny na południowym wybrzeżu. Wokół pełno było sadów owocowych - drzew brzoskwiniowych, jabłoni, pigw i grusz. Mój Boże, jak to wszystko musi wyglądać, gdy wszystkie te drzewa kwitną. Miękkie pachnące chmury. Will odkrył w sobie ogromną potrzebę delikatności, odkąd wydostał się z tamtego straszego miejsca. Wcześniej nie zwracał uwagi na takie zjawiska jak kwiaty brzoskwini, słońce odbijające się w kropelkach rosy na pajęczynie, różowy fartuszek kobiety, której włosy związane były czystą białą chusteczką.

Wśród sosen dotarł do rozwidlenia drogi prowadzącej do Whitney, małej miściny drzemiącej w popołudniowym słońcu. Panował tam prawie zupełny bezruch, nie licząc much krążących nad kwiatami cykorii. Minął skład lodu na przedmieściach, małą poszarzałą stacyjkę kolejową, drewniany peron wypełniony pustymi klatkami na kurczaki. Prażące słońce sprawiło, że wszędzie rozchodził się zapach przebywających w nich wcześniej zwierząt. Za zniszczonym płotem stał opuszczony dom zarośnięty pędami powoju. Następnie zobaczył rząd zamieszkanego domów. Niektóre były zbudowane z czerwonej, a inne z szarej cegły z Savannah, ale wszystkie miały werandy, na których wstawiono bujane fotele, wskazujące na liczbę mieszkańców. Przeszedł obok szkoły zamkniętej na lato, by w końcu dojść do miejskiego skweru typowego dla większości miasteczek południa. Górowały nad nim kościoły baptystów i ratusz miejski. Wokół znajdowały się rozmaite przedsiębiorstwa i opustoszałe o tej porze sklepy - apteka, kolonialne i z wyrobami żelaznymi, kawiarnia i magazyn z narzędziami rolniczymi, przed którym znajdowała się nowa pompa benzynowa zwieńczona białym szklanym orłem.

Zatrzymał się przed redakcją miejscowej gazety, z roztargnieniem wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. Wyczuł w kieszeni kilka cennych banknotów, odwrócił się i spojrzął na plac oraz, jak głosił napis, na kawiarnię pana Vicery, naciągnął kapelusz głębiej na oczy i

ruszył w jej kierunku.

Na placu znajdował się niewielki zielony trawnik i mała zadaszona estrada otoczona czarnymi żelaznymi ławkami. W orzeźwiający cieniu ogromnej magnolii siedziało dwóch starszków strugających coś nożem. Rzucili na niego okiem, gdy przechodził. Jeden z nich nachylił się, splunął, a potem znów zajął się struganiem.

Na azurowych drzwiach kawiarni szeroki czerwony i wąski biały pasek reklamowały coca - colę. Will dotknął rozgrzanej klamki, a sprężyna w drzwiach zapiszczała, gdy wchodził do środka. Zatrzymał się na chwilę, aby przyzwyczaić wzrok do półmroku. Przy długim kontuarze dwóch mężczyzn piło kawę. Obrócili się, patrząc na niego obojętnie. Piersiasta młoda kobieta wolno przeszła wzdłuż lady i cedząc słowa, powiedziała:

- Witaj. Czym mogę służyć, skarbie?

Will spojrzał na nią, aby nie patrzeć na rząd talerzy za ladą, gdzie kusiły go ciasta z wiśniami i jabłkami.

- Czy mógłbym przejrzeć lokalną prasę?

Uśmiechnęła się sucho. Uniosła cienkie wyskubane brwi, spojrzała na mokry zielony kłęb materiału, który trzymał na biodrze, a potem sięgnęła pod ladę i wyciągnęła gazetę. Will doskonale zdawał sobie sprawę, że widziała go już wcześniej, gdy zatrzymał się przed redakcją po drugiej stronie ulicy, zanim zdecydował się przyjść tutaj.

- Bardzo dziękuję - powiedział.

Oparła dłoń na okrągłym biodrze i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, leniwie żując gumę i puszczając balona, który pękł.

- Jesteś w tych stronach od niedawna?

- Tak, proszę pani.

- Jesteś pewnie nowy w tartaku?

Will musiał zapanować nad sobą, aby nie zgnieść rozłożonej gazety. Chciał jedynie poczytać i wynieść się błyskawicznie. Tymczasem tamtych dwóch przy ladzie nadal gapiło się na niego. Czuł ich badawcze, szacujące spojrzenia i skinął tylko krótko w odpowiedzi.

- Czy mogę na chwilę przysiąść i poczytać?

- Jasne, proszę bardzo. Czy podać filiżankę kawy lub coś innego?

- Nie, proszę pani, ja tylko... - Gazetą wskazał na rząd oddzielonych stolików, odwrócił się, podniósł swe chude ciało i usiadł przy jednym z nich. Kątem oka widział, jak kelnerka wyciągnęła puderniczkę i zaczęła malować usta.

Schowwał twarz w „Dzienniku Whitney”. Nagłówki o wojnie w Europie; ujawnienie tajnego spotkania prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla, który przygotowywał jakąś

Kartę Atlantycką; Joe DiMaggio biorący udział w jeszcze jednym ze swoich meczów baseballowych; „Obywatel Kane” z Orsonem Wellesem, pokazywany w kinie o nazwie Klejnot; zawiadomienie, że jakieś garden party odbędzie się w poniedziałek; ogłoszenie o naprawach samochodu obok innego o reperacji upręży; informacja o pogrzebie kogoś, kto nazywał się Idamae Dell Randolph, urodził się w 1879 w miejscowości Burnt Corn, w Alabamie i zmarł w domu swej córki Elsie Randolph Blythe ósmego sierpnia 1941 roku. Ogłoszenia można było bez trudu znaleźć w ośmiostronicowym wydaniu: prawnik przyjmuje w mieście w pierwszy i trzeci poniedziałek każdego miesiąca - można go spotkać w pokoju numer 6 w ratuszu miejskim; ktoś ma dobry używany tapczan na sprzedaż; ktoś potrzebuje męża...

Męża?

Will przeczytał w całości ogłoszenie, to samo, które kobieta przypięła pinezkami na tablicy ogłoszeń w tartaku.

POSZUKIWANY MAŻ.

Potrzebny zdrowy mężczyzna w dowolnym wieku
chętny do pracy na gospodarstwie, który zechce
zamieszkać na farmie. Informacja E. Dinsmore,
ulica Rock Creek, iść pod górę.

Zdrowy mężczyzna w dowolnym wieku? Nie ma co się dziwić, że robotnicy w tartaku nazwali ją wariatką.

Jego wzrok przesunął się dalej: ktoś robił na sprzedaż kilimki z gałganków; w pobliskim mieście potrzebowano dentysty, a nowo założone przedsiębiorstwo handlowe szukało księgowego.

Jednak nikt nie potrzebował włóczegi właśnie wypuszczonego ze stanowego więzienia w Huntsville, który niegdyś w lepszych czasach zrywał owoce, przewoził towary, pilnował bydła i przejechał połowę Ameryki.

Przeczytał ogłoszenie E. Dinsmore jeszcze raz.

„Potrzebny mężczyzna w dowolnym wieku chętny do pracy na gospodarstwie, który zechce zamieszkać na farmie”.

Zmrużył oczy pod rondem kapelusza, gdy analizował te słowa. Jaka, u diabła, kobieta mogła ogłaszać, że potrzebny jest jej mężczyzna? I w takim razie, jaki mężczyzna mógłby wziąć to pod uwagę?

Mężczyźni obrócili się na taboretach i nie krępując się niczym, patrzyli na niego. Kelnerka pochyliła się nad ladą, gadając z nimi, ale zerkała na Willa. Wstał od stolika, a ona

wolnym krokiem podeszła do szklanej lady, gdzie sprzedawano papierosy. Wręczył jej gazetę, kładąc rękę na rondzie swego kapelusza, ale nie przechylając go.

- Bardzo dziękuję.

- Zawsze do usług. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla nowego sąsiada. Lula. - Wyciągnęła miękką dłoń z paznokciami w tym samym odcieniu cynobru co usta. Will zrozumiał, co oznacza ten gest i zachęcający ruch biodra, którego wymowy nie sposób nie zrozumieć. Utlenione włosy miała wysoko upięte. Opadały na czoło jak u Betty Grable - umyślnie naśladowała fryzurę tej najpopularniejszej gwiazdy filmowej, najnowszego odkrycia Hollywoodu.

Will w końcu wyciągnął rękę, szybko uściśnął podaną dłoń i jeszcze szybciej skinął głową. Jednak nie przedstawił się.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak odnaleźć ulicę Rock Creek?

- Ulicę Rock Creek?

Jeszcze raz pośpiesznie skinął głową.

Mężczyźni parsknęli śmiechem. Uśmiech zniknął z namiętnych ust Luli.

- W dół obok młyna, pierwsza droga na południe, a później pierwsza z lewej.

Cofnął się, dotknął kapelusza i nim wyszedł, powiedział:

- Bardzo dziękuję.

- No cóż - rzekła rozdrażniona Lula, obserwując go, gdy przechodził obok okna. - Ale z niego gbur.

- Nie spodobał mu się twój uśmiech, Lulu, czy nie mam racji?

- O jakim uśmiechu mówisz, głupi pijusie? Wcale nie uśmiechałam się do niego! - Przeszła wzdłuż lady, uderzając w nią mokrą szmatą.

- Myślałem, że masz na niego chrapkę, Lulu? - Orlan Nettles pochylił się i uszczypnął ją w pośladek.

- Niech cię cholera. Orlanie, zabieraj swoje łapska! - pisnęła, wykręcając się i uwalniając oraz uderzając go w nadgarstek mokrą szmatą.

Orlan poprawił się na taborecie, podnosząc brwi.

- Ho, ho, i co byś na to powiedział, Jack?

Jack Quigley zwrócił zabawne oczka na rozmawiającą parę.

- Nigdy nie widziałem, aby nasza staruszka Lula biła i odpychała rękę jakiegoś mężczyzny, a ty, Jack?

- Masz niewyparzoną gębę, Orlanie Nettles! - syknęła Lula.

Orlan uśmiechnął się leniwie, podniósł do ust filiżankę z kawą i obserwował Lulę

znad swego kapelusza.

- A teraz powiedz, Jack, jak uważasz, czego on może szukać przy ulicy Rock Creek?

Jack w końcu okazał jakieś oznaki życia, gdy zaczął cedzić słowa.

- Być może zgłosił się po informację do wdowy Dinsmore.

- Może i tak. Nie mogę sobie wyobrazić, co jeszcze mógł odnaleźć w tamtej gazecie, a ty, Lulu?

- Skąd mam wiedzieć, co robi przy ulicy Rock Creek? Nie otworzył nawet ust i nie wydusił, jak się nazywa.

Orlan głośno przełknął resztkę kawy, a ręką wytarł kąciki ust.

- Sądzę, że poszedł sprawdzić Eleonorę Dinsmore.

- Tę starą idiotkę? - Lula splunęła. - No cóż, jeśli tak jest, wróci tu zaraz na dół lotem błyskawicy.

- Czy nie miałabyś na to ochoty, Lulu... nie życzyłybyś tego sobie? - Orlan zachichotał, ugiął nogi, zsunął się z taboretu, a potem rzucił pięć centów na ladę.

Lula zabrała i wrzuciła do kieszeni napiwek, a filiżankę włożyła do zlewu pod ladą.

- No już, zjeżdżajcie stąd. To dla mnie żaden interes, gdy siedzicie tu, sącząc powoli kawę.

- Słuchaj, Jack, a może byśmy tak poszli do tartaku, aby powtykać trochę nos w nie swoje sprawy i zobaczyć, czego możemy się dowiedzieć?

Lula rzuciła mu spojrzenie pełne wściekłości, ale nie złamała się i nie poprosiła, aby wrócił i powiedział jej, czego się dowiedział o wysokim, przystojnym nieznajomym. Miasteczko było na tyle małe, iż wiedziała, że nie minie dużo czasu, a dowie się wszystkiego sama.

Zanim Will odnalazł dom, gdzie mieszkała wdowa Dinsmore, zapadł już wieczór. Wcześniej zrobił użytek z zielonego ręcznika, postanowił się bowiem wykapać w strumieniu, zanim zacznie podchodzić pod górę, następnie zaś powiesił go na konarze drzewa, pod którym umieścił słoik. Droga, jeśli można było ją tak nazwać, była stroma, skalista i pełna rozpadlin. Gdy dotarł na górę, znowu obłany był potem, ale miał wrażenie, że to i tak nie ma znaczenia; i tak nie pozwoli mu zostać.

Zszedł z drogi i podszedł do gospodarstwa przez las; ukrył się między drzewami, przyglądając się uważnie otoczeniu. Wszędzie panował bałagan. Wokół walało się kurze łajno i stosy rdzewiejących maszyn. Koza przeżuwała coś z tyłu domu. Weranda wyglądała, jak gdyby za chwilę miała się zawalić. Ze ścian przybudówek płatami odłaziła farba. Drewniane

dachówki były połamane, narzędzia porozrzucane po całym obejściu, sznur do suszenia bielizny opadał, a na płocie wisiał wyszczerbiony emaliowany czajnik. Tam gdzie kiedyś był ogród, rosły teraz chwasty.

Will Parker poczuł, że doskonale tu pasuje.

Wyszedł na polankę i czekał; nie trwało to zbyt długo.

W drzwiach domu pojawiła się kobieta z jednym dzieckiem na biodrze i z drugim z kciukiem w buzi, schowanym w jej spódnicach. Była bosa, miała na sobie spłowiałą spódnicę z urwanym i zwieszonym z jednej strony dołem i bluzkę w kolorze brudnej, mętnej wody. Wyglądało na to, że jest w równie oplakany stan, co dom.

- Czym mogę panu służyć? - zawołała.

Miała monotony, bezbarwny i niepewny głos.

- Szukam gospodarstwa wdowy Dinsmore.

- To tutaj.

- Przychodzę w sprawie ogłoszenia.

Poprawiła dziecko na biodrze, aby siedziało wyżej.

- Ogłoszenia? - powtórzyła, zerkając na niego uważnie.

- Tego, w którym chodzi o męża. - Nie podszedł bliżej. Pozostał w tym samym miejscu, gdzie był - na skraju polanki.

Eleonora Dinsmore stała w dużej odległości, co wprawdzie zapewniało jej poczucie bezpieczeństwa, ale za to nie mogła dobrze się przyjrzeć przybyszowi. Miał na sobie przekrzywiony kapelusz kowbojski nasunięty głęboko na oczy; stał, opierając ciężar ciała na jednym kościstym biodrze. Ręce trzymał w tylnych kieszeniach. Dostrzegła zdarte kowbojskie buty, znoszoną niebieską koszulę przepoconą pod pachami i spłowiałe, o kilkanaście centymetrów za krótkie džinsy. Jedno tylko można było zrobić, stwierdziła, wyjść i zerknąć na niego. I tak nie miało to żadnego znaczenia. Na pewno nie zostanie.

Patrzył, jak dookoła obchodzi kozę, schodzi po schodach i przechodzi przez polankę, nie odrywając od niego wzroku, z mniejszym dzieckiem nadal zawieszonym na biodrze i drugim deptającym jej po piętach - również na bosaka. Podeszła wolno, nie zwracając uwagi na kurczaka, który zapiszczał, zatrzepotał i sfrunął ze ścieżki, po której szła.

Kiedy zbliżyła się do niego na odległość nie mniejszą niż kilka metrów, puściła dziecko na ziemię i pozwoliła mu stanąć o własnych siłach, ono jednak trzymało się nogi matki.

- Jest pan zainteresowany? - zapytała z twarzą zupełnie pozbawioną uśmiechu.

Jego wzrok zatrzymał się na brzuchu kobiety. U diabła, była w ciąży.

Patrzyła i czekała, że obróci się na pięcie i ucieknie. Tymczasem znowu spojrzął na jej twarz. Przynajmniej takie miała wrażenie, ponieważ odrobinę podniósł kapelusz.

- Tak sędzę. - Stał jak wrośnięty w ziemię, nie drgnął mu ani jeden nerw.
- To ja dałam ogłoszenie - powiedziała, aby nie było żadnych wątpliwości.
- Tak też myślałem.
- Jest nas troje... prawie czworo.
- Tak też mi się zdawało.
- Jest wiele do zrobienia w gospodarstwie.

Czekała, ale nie powiedział, że takie miał wrażenie, nie rzucił nawet okiem w bok, gdzie na podwórku leżał nagromadzony złom.

- Jest pan nadal zainteresowany? - spytała. Nigdy nie widziała, aby ktoś stał tak nieruchomo.

- Tak sędzę - odpowiedział.

Jego portki były tak luźne, że zdawało jej się, iż w każdej chwili zlecą. Miał płaski brzuch. Był chudy, ale miał mocne ramiona, które wyglądały równie silne rozluźnione, jak i wtedy, gdy je zginał, uwydatniając żyły. Może był chudy, ale nie był słabowity. Będzie dobrze pracował.

- W takim razie proszę zdjąć kapelusz, abym wreszcie mogła pana zobaczyć.

Will Parker nie lubił zdejmować kapelusza. Gdy wypuszczono go z więzienia, z rzeczy należących do niego zwrócono mu jedynie dwa przedmioty: kapelusz i buty. Kapelusz był sfatygowany i zdefasonowany, ale tak bliski jak stary przyjaciel. Bez niego czuł się nagi.

Mimo to odpowiedział grzecznie:

- Tak, proszę pani.

Gdy zdjął go, stał spokojnie, a ona uważnie mu się przyjrzała. Miał smukłe ciało i pociągłą twarz. Jego piwne oczy robiły wrażenie, jakby się starał, aby nie wyrażały zupełnie uczuć. Podobnie było z głosem. Choć wyrażał się z szacunkiem, nie zdradzał uczuć. Nie uśmiechał się, ale miał ładnie wykrojone usta. Ciemne blond włosy kolorem przypominały sierść szkockiego owczarka, kręciły się z tyłu i wokół uszu. Na czole przy brwiach, tam gdzie nasuwał kapelusz, odznaczał się biały pasek.

- Przydałyby się postrzyżyny - powiedziała tylko.

- Tak, proszę pani.

Włożył na głowę kapelusz i nasunął na oczy, jednocześnie zauważył jej zniszczone bawełniane ubranie, rękawy zawinięte do łokci, spódnicę poplamioną tam, gdzie brzuch odznaczał się najwyraźniej. Może miała ładną twarz, ale zestarzała się przedwcześnie. Taki

wygląd nadawały jej włosy unoszące się wokół jak pierze, choć je czymś związała z tyłu. Oceniał, że ma około trzydziestki, ale pomyślał, że gdyby się uśmiechnęła, ubyłoby jej pięć lat.

- Nazywam się Eleonora Dinsmore... pani Glendonowa Dinsmore.

- Will Parker - przedstawił się, obracając dłoń wokół runda kapelusza, a następnie znowu umieścił kciuk w tylnej kieszeni spodni.

Od razu wiedziała, że jest małomówny; to znakomicie jej odpowiadało. Nawet gdy dała mu okazję, aby zadał kilka pytań, nie pytał o nic, choć tak postąpiłaby większość mężczyzn. Dlatego zaczęła zadawać je sama.

- Jest pan tu od dawna?

- Od czterech dni.

- Gdzie pan przebywał?

- Pracowałem w tartaku.

- U Overmire'a?

Will skinął głową.

- To niedobry człowiek. Lepiej będzie panu tutaj. - Rozejrzała się i mówiła dalej: - Mieszkam w Whitney przez całe życie.

Nie westchnęła, ale nie musiała wcale tego robić, i tak słyszał znużenie w jej głosie, widział je, gdy co chwila rzucała okiem na podwórko w oplakany stan. Znowu skierowała na niego wzrok. Położyła jedną pokrytą odciskami rękę na brzuchu. Kiedy odezwała się, w jej głosie brzmiało zaciekawienie.

- Proszę pana, ogłoszenie w tartaku wisi już trzy miesiące, a pan był pierwszą osobą na tyle głupią, aby wejść na wzgórze i sprawdzić te informacje. Dobrze wiem, co to za miejsce. Wiem też, kim jestem. Tam na dole nazywają mnie wariatką. - Przechyliła głowę do przodu. - Czy wiedział pan o tym?

- Tak, proszę pani - odpowiedział spokojnie.

Najpierw zdziwiła się, a później roześmiała cicho.

- Jest pan uczciwy, czyż nie? No cóż, po prostu zastanawiam się, dlaczego jeszcze nie uciekł pan, to wszystko.

Skrzyżował ramiona i stanął, tym razem opierając ciężar ciała na drugiej nodze. Miała but założony na złą nogę. Kiedy dowie się o jego przeszłości, wylądjuje na dole szybciej, niż zmyka karaluch, gdy zapala się światło. Jeśli powie, będzie miało to taki sam efekt, jak gdyby włożył jej do rąk dubeltówkę. Jednak i tak w końcu się dowie; lepiej, gdy wcześniej będzie miał to za sobą.

- Może to pani powinna uciekać.

- A to dlaczego?

Will Parker spojrzał jej prosto w oczy.

- Siedziałem w więzieniu. Lepiej, jeśli się pani o tym dowie od razu.

Oczekiwał, że szybko się zacznie wycofywać. Zamiast tego Eleonora Dinsmore ściągnęła usta i powiedziała nie znoszącym sprzeciwu tonem:

- Mówię, żeby pan zdjął ten kapelusz, abym mogła zobaczyć, z kim rozmawiam.

Zdjął go wolno, odsłaniając twarz zupełnie pozbawioną wszelkich emocji.

- Za co tam pana wsadzili? - Po tym, jak nerwowo uderzał rondem kapelusza o biodro, mogła odgadnąć, że chciał go z powrotem założyć na głowę. Podobało jej się, że tego nie zrobił.

- Mówią, że zabiłem kobietę w burdelu w Teksasie.

Choć odpowiedź ta wprawiała w oszołomienie, potrafiła zachować równie kamienną twarz jak on.

- A było tak rzeczywiście? - spytała, obserwując jego spokojne oczy, całkowite opanowanie, twarz zupełnie pozbawioną wyrazu. Przełknął ślinę.

- Tak, proszę pani.

Ukryła zaskoczenie i zapytała:

- Czy działał pan w słusznej sprawie?

- Wtedy tak mi się zdawało.

- No cóż, panie Parkerze, czy ma pan zamiar postąpić podobnie ze mną?

Pytanie to bardzo zaskoczyło Willa, wargi mu zadrżały.

- Nie, proszę pani - odpowiedział cicho.

Popatrzyła mu uważnie w oczy, podeszła dwa kroki bliżej i oceniła, że nie wygląda na zabójcę ani tak się nie zachowuje. Z całą pewnością nie kłamie, ma silne ręce zdatne do roboty i chyba jej nie przegada. To wystarczy.

- Dobrze więc, może pan wejść do domu. I tak mówią, że jestem wariatką, więc równie dobrze może pan dostarczyć im jakichś powodów do gadania. - Podniosła dziecko, zgarnęła drugiego malca, podtrzymując go za główkę z tyłu, i poprowadziła do domu. Starsze dziecko rozejrzało się, aby zobaczyć, czy idzie za nim Will; dzidzius spoglądał matce przez ramię, ale ona sama odwróciła się plecami, jak gdyby chciała powiedzieć, rób, co ci się podoba. Szła jak kaczką, kołysząc się przy każdym kroku w niezgrabny sposób. Miała matowe włosy pozbawione połysku, krągłe ramiona i szerokie biodra.

Dom był pozbawiony wszelkiego kształtu, jednocześnie zakrzywiony w kilku kierunkach. Wyglądało na to, że budowano go etapami, a każda dodana część odstawała

trochę, bo za każdym razem zmieniano kąt. Główna część budynku chyliła się ku północnemu wschodowi, skrzydło (budowane pod kątem prostym do części głównej) skierowano na zachód, a werandę na wschód. Okna były wypaczone, dach załatany cynowaną blachą, a schody prowadzące na ganek spróchniałe.

Jednak w środku pachniało dopiero co upieczonym chlebem.

Stygł on na ściereczce na szafce kuchennej. Will z trudem znów skierował swą uwagę na Eleonorę Dinsmore. Usadziła dziecko na wysokim krzeselku i zaproponowała:

- Może filiżankę kawy?

Skinął w milczeniu głową, nie ośmielając się wejść do środka. Doszedł tylko do szmacianego dywanika przy drzwiach kuchennych. Patrzył, jak sięga po dwie pęknięte filiżanki i napełnia je esencją z białego emaliowanego dzbanka stojącego na żelaznym piecyku, podczas gdy blondasek schował się w maminych spódnicach, co przeszkadzało jej w poruszaniu się.

- Przestań, Donaldzie, chcę podać panu kawę. - Dziecko trzymało się kurczowo, ssąc kciuk, dopóki nie pochyliła się, by je podnieść. - Ten tutaj to Donald Wade - powiedziała - jest trochę nieśmiały. Nie widział zbyt wielu nieznanym w swym życiu.

Will stał przy drzwiach.

- Witaj, Donaldzie Wade - rzekł i skinął głową. Donald schował buzię za szyją matki, gdy ta siedziała na zniszczonym drewnianym krześle przy stole przykrytym ceratą w czerwone kwiaty.

- Zamierza pan stać cały czas przy drzwiach? - spytała.

- Nie, proszę pani. - Podeszedł ostrożnie do stołu, odsunął krzesło i usiadł dość daleko od Eleonory Dinsmore, z kapeluszem cały czas nasuniętym na oczy. Czekwała, ale tylko wypił łyk gorącej kawy, nic nie mówiąc; od czasu do czasu zerkał na nią i chłopców, a czasami wzrok jego wędrował gdzieś w przestrzeń poza nią.

- Domyślam się, że zastanawia się pan, jak to ze mną jest - powiedziała w końcu.

Poprawiła z tyłu koszulę Donalda, czekając na pytania, które nie nadeszły. W pokoju słychać było tylko, jak dziecko uderza rączką o drewniany blat krzeselka. Wstała, sięgnęła po suchy herbatnik i położyła go na stoliku. Niemowlę zaczęło gaworzyć, chwyciło herbatnik w tłusciutką piąstkę i zaczęło przeżuwać. Stała za nim i patrzyła na Willa, jednocześnie cały czas odgarniając malcowi lekkie puszyste włosy z czoła. Chciała, aby Will spojrzął na nią i zdjął kapelusz. Wtedy mogliby wreszcie porozmawiać. Donald Wade poszedł za nią, znowu kurczowo trzymając się spódnicy. Cały czas głaszcząc włosy niemowlaka, drugą ręką odnalazła główkę starszego chłopca. Stojąc w takiej pozycji, zaczęła mówić, co należało

powiedzieć.

- Dzidzius nazywa się Tomcio. Liczy już prawie półtora roczku, a Donald Wade ma niemal cztery lata. Następne, według moich obliczeń, urodzi się w okolicy Bożego Narodzenia. Ich tatuś miał na imię Glendon.

Uwagę Willa Parkera znowu przyciągnął brzuch, na którym opierała rękę. Pomyślał, że jest bardzo prawdopodobne, iż istnieje więcej niż jeden rodzaj więzienia.

- Gdzie jest ich ojciec? - spytał, podnosząc wzrok.

- Na zewnątrz, w sadzie. Pochowałam go tam. - Skinęła głową, wskazując na zachód.

- Zdawało mi się... - urwał.

- Ma pan dziwny zwyczaj, aby niczego nie mówić, panie Parker. Jak można na cokolwiek się zdecydować, gdy jest pan tak zamknięty? - Will przyjrzał się jej uważnie, dochodząc do wniosku, że trudno mówić szczerze, zwłaszcza gdy stała na straży ze swymi dziećmi. - Proszę mówić dalej, wydusić to - popędzała go Eleonora Dinsmore.

- Miałem wrażenie, że może pani mąż uciekł. Tyłu mężczyzn tak robi z powodu kryzysu.

- Nie szukałabym chyba wtedy męża?

Zmieszany spuścił wzrok na filiżankę kawy.

- Chyba nie.

- A poza tym Glendon nigdy nie pomyślałby nawet, aby stąd uciec. Nie musiał. Zawsze był tak zatopiony w marzeniach, że i tak go tu nie było. Przebywał wiele kilometrów stąd, marząc o tym lub o tamtym. Kiedyś oboje mieliśmy bardzo dużo marzeń. - Popatrzyła na niego w taki sposób, że Will wiedział, iż teraz nie żywiła już żadnych.

- Od jak dawna nie żyje?

- Och, niech pan się o to nie martwi, dziecko jest jego.

- Nie to miałem na myśli. - Will zarumienił się.

- Oczywiście, że pan miał. Obserwowałam pana, gdy się tu pojawił. Zmarł w kwietniu. To marzenia go zabiły. Tym razem chodziło o pszczoły i miód. Zdawało mu się, że się wzbogaci w szybki sposób, zakładając ule w sadzie, ale pszczoły zaczęły się roić, a on zbyt się śpieszył, aby zachować rozsądek. Mówiłam mu, aby zestrzelił tamtą gałąź z dubeltówki, ale nie chciał nawet mnie słuchać. Wszedł na drzewo, gałąź złamała się, a on zginął. Nigdy specjalnie mnie nie słuchał. - Patrzyła w dal nieobecny wzrokiem, głaszcząc włosy niemowlęcia.

- Niektórzy mężczyźni już tacy są. - Słowa te zabrzmiały dziwnie w ustach Willa. Nie umiał nikogo pocieszać ani przyjąć słów pociechy; obie te czynności były mu zupełnie obce.

- Mimo to byliśmy szczęśliwi. Miał w sobie coś bardzo szczególnego.

Wyraz jej twarzy, gdy wypowiadała te słowa, dał Willowi pewność, iż kiedyś dotykała w podobny sposób włosów Glendona. Zachowywała się, jakby zapomniała, że on jest w kuchni. Nie mógł oderwać wzroku od jej rąk. Oto miał przed sobą pełną czułości scenę rodzinną - kobieta głaskała puszyste lekkie włosy dziecka, a ono nadal jadło herbatnika i wydawało gulgotzące dźwięki. Była to niewątpliwie jedna z tych rzeczy, która głęboko zapadała w serce Willa. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek w dzieciństwie ktoś tak go traktował, może na długo przedtem, niż sięga pamięcią, ale nie pamiętał, by ktokolwiek dotykał go w ten sposób.

Eleonora Dinsmore wróciła do rzeczywistości i zobaczyła, że Will patrzy na jej ręce.

- Tak więc o czym pan myśli, panie Parker?

Podniósł wzrok i znowu spojrzał na nią.

- Nie przeszkadzają mi dzieci.

- Nie przeszkadzają?

- Chcę powiedzieć, że nie przeszkadza mi, że pani je ma. W ogłoszeniu nie było o nich mowy.

- Zatem lubi pan dzieci? - spytała z nadzieją.

- Nie wiem. Trudno mi powiedzieć. Nie spędziłem zbyt wiele czasu w ich towarzystwie. Te wydają się dość miłe.

Uśmiechnęła się do swoich synów i każdego poklepała z miłością.

- Mogą dać człowiekowi tyle radości. - Zdziwił się tymi słowami, wyglądała bowiem na zmęczoną i przedwcześnie zniszczoną, mając już prawie trójkę. - Proszę się zastanowić, panie Parker - dodała - ponieważ trójka to całkiem dużo. Nie życzyłabym też sobie, aby pan podnosił na nich rękę, gdy będą niezdolni. To chłopcy Glendona, a jemu nigdy nie przyszłoby do głowy, aby ich zbić.

Za kogo go uważała? Czuł, że się rumieni. Ale co innego mogła sobie pomyśleć po tym, co wyznał jej na podwórku?

- Obiecuję pani.

Uwierzyła. Może dlatego, że widziała, jak patrzy na włoski małego Tomcia. Dostrzegła, że jego piękne oczy łagodniały, gdy zatrzymywały się na chłopcach. Jednak nie tylko chłopców należało wziąć tu pod uwagę.

- Muszę powiedzieć - ciągnęła dalej - że bardzo kochałam Glendona. Trzeba wiele czasu, aby dojść do siebie po stracie takiego mężczyzny. Nie szukałabym nikogo, gdybym nie była do tego zmuszona. Tymczasem idzie zima, a wtedy pojawi się dziecko. Byłam w trudnej

sytuacji, panie Parker. Pan to chyba rozumie?

Will skinął głową z powagą, zauważając, że w jej wypowiedzi nie ma zupełnie uzalania się nad sobą.

- Jeszcze jedno. - Skupiła uwagę na włosach Tomcia, głaszcząc go z roztargnieniem, a jej policzki zaróżowiły się. - Troje dzieci poniżej czterech lat, no cóż, proszę mnie źle nie zrozumieć, ogromnie je kocham, ale nie chciałabym ich już więcej. Trójka zupełnie mnie zadowala.

Wielki Boże, to nigdy nie przyszło mu do głowy. Wyglądała prawie tak nędznie jak ten dom i na dodatek była jeszcze w ciąży. Potrzebował łóżka, ale lepiej, aby nie było jej w środku.

Kiedy podniosła wzrok, Will Parker patrzył prosto na nią.

- Proszę pani.... - Głos mu się załamał. Odchrząknął i znowu spróbował coś powiedzieć. - Proszę pani, nie przyszedłem tu w poszukiwaniu... - Przełknął, podniósł wzrok, a potem nagle go spuścił. - Potrzebuję tylko mieszkania. Jestem zmęczony ciągłym przemieszczaniem się.

- Dużo pan wędrował?

- Przenoszę się z jednego miejsca na drugie, odkąd sięgam pamięcią.

- Jakie miejsce było na początku?

- Na początku? - spytał zaskoczony.

- Chce pan powiedzieć, że nie pamięta?

- To było gdzieś w Teksasie.

- To wszystko, co pan wie?

- Tak, proszę pani.

- Może ma pan szczęście - zauważyła. Chociaż spojrzał pytająco, nie wyjaśniła tej uwagi. Dodała tylko: - Dla mnie wszystko zaczęło się tam na dole w Whitney. Nigdy nie oddaliłam się z miasta dalej niż na to wzgórze. Sądzę, że pan za to podróżował po całym kraju.

Skinął w milczeniu. Znowu odczuła zadowolenie, iż jest lakoniczny i pozbawiony wszelkiej ciekawości. Pomyślała, iż chyba potrafi żyć całkiem zgodnie z takim człowiekiem.

- Czyli szuka pan tylko wygodnego łóżka i pełnego talerza.

- Tak, proszę pani.

Popatrzyła na niego uważnie przez chwilę i dostrzegła, że siedzi na brzegu krzesła, niczego nie traktuje za oczywiste i sobie należne. Zauważyła, że kapelusz ma naciągnięty na oczy, jak gdyby chciał zachować jakiś sekret, który przypadkiem mogłaby wyczytać. No cóż,

wszyscy mieli swoje sekrety. Niech on ma swoje, a i ona będzie miała swoje. Jednak wiedziała, że na pewno nie dojdzie do porozumienia z człowiekiem, któremu nie popatrzyła nigdy w oczy. A oprócz tego, przypuścimy, że nie zechce jej.

Błąkający się z miejsca na miejsce były skazaniec i nieładna, zaniedbana kobieta w odmiennym stanie - kto był tu bardziej przegrany?

- Panie Parker, ten dom nie przedstawia się zbyt dobrze, ale doceniłabym, gdyby zdjął pan nakrycie głowy, będąc w środku.

Wyciągnął powoli rękę i zdjął kapelusz. Zapaliła lampę naftową i postawiła obok, aby nie musieli wstawać.

Przez długą chwilę przyglądali się sobie uważnie. Miał popękane usta i wychudzone policzki, piwne oczy z czarnymi podwiniętymi rzęsami i dwie zmarszczki pomiędzy ładnie zarysowanymi brwiami. Miał ładny prosty nos - można powiedzieć nawet, że zgrabny - i ładne usta, mimo zgorzkniałego wyrazu. No cóż, może uda się wywołać na nich uśmiech. Spodobała się jej jego małowówność i spokój. I chociaż miał wychudzone ramiona, było widać, że wykonały niezłą porcję roboty. To liczyło się przede wszystkim. Na mężczyznę czekało tu wiele pracy.

Zdecydowała, że jest odpowiedni.

Miała ładną gładką cerę, silnie zarysowane kości i rysy twarzy, które nie były nieprzyjemne. Jej kości policzkowe może były zbyt wystające, górna warga trochę za wąska, a włosy rozczochrane. Miały złotobrazowy kolor, a on zastanawiał się, czy umyte nie stałyby się bardziej miodowe. Zaczął uważnie przypatrywać się jej oczom i po raz pierwszy zobaczył, że są zielone. Zielonooka kobieta, która głaskała swoje dzieci, tak jak każde dziecko należy głaskać.

Zdecydował, że jest odpowiednia.

- Chciałam, aby wiedział pan, co otrzymuje - zwróciła się do niego. - Niewiele.

Will Parker nie lubił wyszukanych słówek, ale przynajmniej tyle mógł powiedzieć:

- O tym sam zdecyduję.

Nie straciła głowy ani nie zarumieniła się, zamiast tego wstała z krzesła i zaproponowała:

- Zrobię jeszcze kawy, panie Parker.

Napełniła dwie filizanki. Wziął gorącą filizankę i patrzył, jak światło lampy odbija się na powierzchni czarnego płynu.

- Jak to się dzieje, że pani się mnie nie boi?

- Może się i boję.

Opuścił wzrok.

- Jednak tego wcale nie widać. Nie pokazuje pani tego po sobie.

- Nie zawsze można sobie pozwolić, żeby okazać uczucia.

- Czy mówi pani o sobie? - Musiał poznać odpowiedź.

W świetle lampy znowu obserwowali się uważnie. Było cicho poza stukotem nagich stopek Donalda uderzających w oparcie krzesła i niemowlęcia ssącego lepkie paluszki.

- Co by było, gdybym powiedziała, że tak jest?

- Wtedy poszedłbym w dół tą samą drogą, którą przyszedłem.

- Chce pan to zrobić?

Nie był przyzwyczajony, aby swobodnie się wypowiadać. Więzienie nauczyło go, że aby mieć jak najmniej kłopotów, należy trzymać język za zębami. Czuł się dziwnie, gdy tak nagle ofiarowano mu sposobność do wypowiedzania tego, co czuł.

- Nie, nie sędzę.

- Chce pan tu zostać, gdy cała gromada, wszyscy tam na dole, uważają mnie za wariatkę?

- A jest nią pani? - Nie miał zamiaru zadawać tego pytania, ale było w niej coś takiego, co sprawiało, że człowiek zaczynał mówić.

- Może jestem trochę zwariowana. To, co teraz robię, wydaje mi się dziwaczne. Czy pan też ma takie wrażenie?

- No cóż...

Wyczuła, że był zbyt uprzejmy, aby przyznać rację.

W tym momencie złapał go gwałtowny ból - niedojrzałe jabłka robiły swoje - nie, tym nie chciał się zajmować, wmówił więc sobie, że to nerwy. W końcu nie co dzień starał się o posadę męża.

- Może pan tu zostać na noc - zaproponowała. - Proszę obejrzeć sobie gospodarstwo rano w świetle dziennym i zdecydować, co pan o tym wszystkim myśli. - Zatrzymała się, a później dodała: - Prześpi się pan na zewnątrz w stodole.

- Tak, proszę pani. - Targnął nim znowu ból, tym razem wyżej, i skrzywił się.

Pomyślała, że to ze względu na to, co powiedziała. Wiedziała jednak, iż upłynie trochę czasu, zanim mu zaufa i pozwoli spać z nimi w domu. Nawet jeśli była wariatką, nie była aż tak nierozsądna.

- Noce są bardzo ciepłe. Zrobię tam panu kącik do spania.

Skinął w milczeniu, dotykając palcami runda kapelusza, jak gdyby nie mógł się doczekać, kiedy go włoży z powrotem na głowę.

- Idź i przynieś poduszkę tatusia, Donaldzie - zwróciła się do starszego synka. Chłopczyk objął nieśmiało matkę, patrząc na Willa. Wzięła go za rączkę. - Chodź tutaj, pójdziemy razem.

Will patrzył, jak wychodzą, trzymając się za ręce, i poczuł gdzieś w środku ból, który nie miał nic wspólnego z niedojrzałymi jabłkami.

Kiedy Eleonora wróciła do kuchni, Willa Parkera już tam nie było. Tomcio nadal siedział w swoim wysokim krzeselku, niezadowolony, że herbatnik już zniknął. Odczuła dziwne bolesne rozczarowanie - a więc uciekł.

No cóż, czego oczekiwałaś?

Wtedy gdzieś na zewnątrz usłyszała odgłos towarzyszący nudnościom. Słońce chowało się już za sosny, zabierając ze sobą światło. Eleonora wyszła na pochyłą werandę i usłyszała, jak ktoś wymiotuje.

- Zostań tu w środku, Donaldzie.

Wepchnęła chłopca do środka i zamknęła za sobą ażurowe drzwi. Chociaż zaczął płakać, nie zwracała na niego uwagi, lecz weszła na górę po spróchniałych schodkach.

- Panie Parker, czy jest pan chory? - Nie potrzebowała niezdrowego mężczyzny.

- Nie, proszę pani. - Wyprostował się z wysiłkiem, odwrócony do niej plecami.

- Ale wymiotuje pan.

Odetchnął świeżym wieczornym powietrzem, odrzucił do tyłu głowę i otarł czoło rękawem koszuli.

- Czuję się już dobrze. To tylko niedojrzałe jabłko.

- Jakie niedojrzałe jabłko?

- Jadłem na obiad niedojrzałe jabłko.

- Dorosły mężczyzna powinien mieć więcej rozsądku! - odparowała.

- Rozsądek nie miał z tym nic wspólnego, proszę pani. Byłem głodny.

Stała tam w półmroku, przyciskając poduszkę Glendona do nabrzmiałego brzucha, patrząc i nasłuchując, jak jeszcze jeden skurcz wstrząsnął Willem Parkerem, który gwałtownie zgiął się wpół. Nie miał już jednak niczego w żołądku, co mógłby zwrócić. Położyła poduszkę na poręczy ganku i przeszła po wydeptanej ziemi, aby stanąć za nim, szczupłym i pochylonym. Obie ręce zaciskał na kolanach i próbował złapać oddech. Jego kręgosłup odznaczał się wyraźnie i można było policzyć wszystkie żebra. Wyciągnęła rękę, jak gdyby chciała go dotknąć, ale rozmyśliła się i skrzyżowała tylko ręce pod biustem.

Wyprostował się powoli i odetchnął, drżąc.

- Dlaczego nie powiedział pan o tym? - spytała.

- Myślałem, że to samo przejdzie.

- W takim razie nie jadł pan kolacji?

Nie odpowiedział.

- Ani także obiadu?

Znowu zachował milczenie.

- Skąd wziął pan jabłka?

- Ukradłem je z czyjś drzewa. Małe urocze gospodarstwo na dole przy głównej drodze w połowie trasy pomiędzy tym miejscem a tartakiem z różowymi kwiatkami na pniu drzewa.

- Dom Tomasza Marsha. Mieszkają tam porządni ludzie. Niech będzie to dla pana nauczka. Proszę wrócić do domu, a ja coś panu przyrządzę.

- Nie trzeba, proszę pani. Nie jestem...

- Niech pan wraca do domu, panie Parker, zanim głupie poczucie dumy sprawi, że zebra przebiją pańską cienką skórę! - Jej głos zabrzmiał ostrzej.

Will pogładził obolały brzuch i patrzył, jak kobieta wchodzi po schodach na ganek, stawiając nogi na tych deskach, które były jeszcze dobre. Donald Wade przestał płakać. Will spojrzał przez ramię. Ciemność zapadła nad zakurzoną polanką, ukrywając pokryte rdzą żelastwo, odchody i chwasty. Pamiętał, jak żałośnie wygląda to wszystko w świetle dziennym, w jakim stanie kompletnej ruiny jest dom i że Eleonora Dinsmore jest zniszczona i przygasła. I że jasno zaznaczyła, iż nie życzy sobie, aby jakiś więzień spał u niej w domu. Zadał sobie pytanie, co, u diabła, tam robi, i wszedł do środka.

ROZDZIAŁ 2

Zostawiła go w kuchni, a sama poszła położyć chłopców spać. Siedział, mierząc wzrokiem pomieszczenie. Szafki umieszczone poniżej warsztatu stolarskiego przykrytego popękany linoleum składały się z otwartych półek. Stały na nich garnki kuchenne i naczynia. Zlew był stary, wyszczerbiony i poplamiony z jedną krótką rurką, woda spływała nią do wiadra stojącego poniżej. Nie było tu pompy. Zamiast tego rączka czerpaka wystawała z białego emaliowanego wiadra. Podłoga pokryta była popękany linoleum o różnych wzorach, z przewagą czarnych plam. Było ich znacznie więcej niż pasków w kolorze ciemnozielonym z rysunkiem przedstawiającym bluszcz. Należało umyć sufit, zwłaszcza szare od sadzy miejsce nad piecykiem. Niewątpliwie ktoś miał zamiar pomalować ściany, ale zdołał tylko zedrzeć stary tynk z jednej ściany i z połowy drugiej. Ukazały się wtedy drewniane listwy niczym kości w szkielecie. Will był zdziwiony, że w podobnej ruderze mógł panować tak miły zapach.

Spojrzał na chleb i zmusił się, aby siedzieć i czekać.

Kiedy Eleonora Dinsmore wróciła do kuchni, kapelusz leżał na stole, a nie znajdował się na jego głowie. Z wysiłkiem wstał z krzesła, dotykając brzucha ręką.

- Nie ma potrzeby wstawać. Proszę odpocząć. Tymczasem ja zacznę.

Opadł z powrotem na krzesło, gdy otwierała drewnianą klapę w podłodze i znikła na dole, schodząc po nie wykończonych stromych schodkach. Po chwili postawiła na podłodze przykryty kociołek i ukazała się ponownie, wspinając się niezgrabnie.

Kiedy sięgnęła ręką do żelaznego kółka przy klapie, Will już czekał, aby pomóc ją zamknąć. Zaskoczone spojrzenie zdradziło mu, że nie była przyzwyczajona do pomocy mężczyzny. Minęło dużo czasu, odkąd wyświadczał takie grzeczności, ale uznał, iż nie może przyglądać się beczynnemu, jak kobieta spodziewająca się dziecka walczy z drzwiami do piwnicy, i nie pomóc.

Przez chwilę żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. W końcu zmieszana odwróciła wzrok i oświadczyła:

- Bardzo dziękuję, panie Parker. - A kiedy zamknął drzwiczki, dodała: - Nigdy do tej pory mężczyzna nie otwierał ani nie zamykał przede mną drzwi. Glendon nie za bardzo znał się na uprzejmościach, dlatego teraz czuję się trochę głupio. Poza tym mówiłam, aby pan usiadł. Musi boleć pana brzuch od tych nieszczęsnych jabłek.

Uśmiechnął się, słysząc, że zaczyna mówić w poufaly sposób, i wrócił na krzesło, patrząc, jak dorzuca drewna do ognia i stawia na piecu garnek.

- Przepraszam za to, co stało się na podwórku. Musiało to panią wprawić w zakłopotanie.

- To była czysto naturalna czynność, panie Parker. - Mieszała zawartość garnka. - Poza tym niełatwo mnie spieszyć. - Odłożyła łyżkę, uśmiechnęła się i zażartowała: - Przynajmniej zdarzyło się to, zanim spróbował pan mojej kuchni.

Uśmiechnęła się, tym razem przymilnie, przypochebiając się, i otrzymała w zamian jeden z jego rzadkich uśmiechów. Próbował przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek znał kobietę obdarzoną poczuciem humoru, ale żadna nie przychodziła mu na myśl. Obserwował, jak porusza się po kuchni w niezdatny sposób, kołysząc się z boku na bok, kładąc rękę na krągłym brzuchu, kiedy sięgała po coś lub pochylała się. Zastanawiał się, czy rzeczywiście jest wariatką i czy on przypadkiem nie jest także wariatem. Żenić się z obcą kobietą - samo w sobie było to już szalone, a co dopiero z taką, która jest w ciąży. U diabła, co wiedział o kobietach w ciąży? Tylko tyle, że w swoim czasie mógł ich kilka zostawić tu czy ówdzie.

- Prawdopodobnie poczuje się pan lepiej, jeśli się umyje - zaproponowała.

Swoim zwyczajem nie poruszył się ani nie odpowiedział.

- Tam jest miska. - Wskazała, a potem odwróciła się, zajęta posiłkiem. Spojrzał pożądliwie na miskę, mydło, biały ręcznik i ścierkę wiszące na gwoździach koło zlewu.

Po chwili odwróciła się i spytała:

- W czym problem? Brzuch za bardzo pana boli, aby wstać?

- Nie, proszę pani. - Nie był jeszcze przyzwyczajony do wolności, niezupełnie jeszcze w nią wierzył. Miał uczucie, jak gdyby wszystko, po co sięgał, mogło mu być zabrane. W więzieniu człowiek wcześniej dowiadywał się, że niczego nie należy traktować za oczywiste i należne sobie. Nawet najbardziej podstawowych wygód. To był jej dom, jej mydło, jej woda. Nie mogła zrozumieć, jak cenne wydawały się dla kogoś właśnie wypuszczonego z więzienia.

- O cóż więc chodzi? - pytała niecierpliwie.

- O nic.

- Proszę więc obsłużyć się, skorzystać z czajnika i miski.

Wstał, ale poruszał się bardzo ostrożnie. Przeszedł obok niej i znalazł w zlewie czystą białą miednicę, a na gwoździu czysty biały ręcznik oraz ścierkę - białą, bielszą niż cokolwiek, co sobie przypominał. W więzieniu ścierki miały kolor ciemnej zgniłej zieleni i czuć je było pleśnią przez dość długi czas, zanim nie wydano czystych.

Eleonora zerkała przez ramię, gdy napełniał miskę, a później zanurzył ręce w zimnej wodzie.

- Czy nie chciałby pan podgrzanej? - Odwrócił się i spojrzał przez ramię. Tym razem

w jego oczach widziała pytanie i niepewność.

- Tak, proszę pani - odpowiedział, ale kiedy strząsnął wodę i odwrócił się, nie zrobił kroku w kierunku czajnika.

Zdjęła go z piecyka i nalała ciepłej wody, a później odwróciła się, udając, że wraca do pracy. Jednak zerkała ukradkiem przez ramię, zmieszana tą dziwną niepewnością. Położył obie ręce na dnie miski i pochylił bardzo nisko głowę. Stał tak z wyprostowanymi rękami, jak gdyby unieruchomiony. Co właściwie robił? Przechyliła się z jednej strony i zerkała na niego - miał zamknięte oczy, otwarte usta. W końcu zanurzył twarz i zadrżał. Na miłość boską, a więc to o to chodziło! Nagle zrozumiała i to niemal zważyło ją z nóg. Poczwała falę ciepła, dziwne współczucie ogarniające jej serce.

- Od jak dawna? - spytała cicho.

Podniósł głowę, ale ani nie odwrócił się, ani nie odezwał. Woda spływała mu z twarzy i rąk do miski.

- Od jak dawna nie mył się pan w ciepłej wodzie? - domagała się odpowiedzi, przyjmując najbardziej uprzejmy ton, na jaki mogła się zdobyć.

- Od dawna. - Nie potrzebował jej współczucia. - Od pięciu lat.

- Siedział pan w więzieniu pięć lat?

- Tak, proszę pani. - Ukrył twarz w ręczniku. Miał zapach wytwarzanego domową metodą ługowego mydła i świeżego powietrza, nie śpieszył się więc, rozkoszując się miękkością i zapachem.

- Chce pan powiedzieć, że woda w więzieniu jest zimna? - Odwiesił ręcznik, nie odpowiadając. Woda zawsze była zimna - w strumieniach, jeziorach, korytach dla koni. Często wycierał się koszulą, a gdy był ładniejszy dzień, suszył na słońcu.

- Od jak dawna jest pan na wolności?

- Od kilku miesięcy.

- A kiedy jadł pan przyzwoity posiłek?

Ciągle milcząc, zapiął dwa guziki koszuli, wpatrując się gdzieś w dal przez zamglone okno.

- Panie Parker, zadałam panu pytanie.

Na nie wykończonej półce po lewej stronie stało małe okrągłe lustro odbijające jej postać. Zobaczył tam przede wszystkim upór.

- Jakiś czas temu - odpowiedział bezbarwnym głosem, kiedy spojrzeli na siebie w lustrze.

Eleonora uświadomiła sobie, że jest to człowiek, który chętniej przyjmie wyzwanie

niż litość.

- A mogłoby się zdawać - strofowała go, podchodząc nieco bliżej i chwytając w lustrze spojrzenie - że mężczyzna, który doznał tylu niewygód, prowadził prymitywny tryb życia, potrzebuje odrobiny mydła. - Wzięła kostkę mydła Ivory leżącą obok zlewu i podała mu do ręki, opierając dłonie na biodrach. - Nie jest już pan w więzieniu, panie Parker. Można tu korzystać z mydła za darmo i zawsze jest ciepła woda. Wymagam tylko jednej rzeczy - kiedy pan skończy, proszę ją wylać i opłukać miskę.

Widząc Eleonorę w lustrze, czuł, jak gdyby ktoś zdjął z jego piersi jakiś ogromny ciężar. Przyjęła bardzo wojowniczą postawę, prowokując go, aby się przeciwstawił, zrobił coś na przekór. Jednak pod surową miną wyczuł wielkoduszną naturę.

- Tak, proszę pani - odpowiedział cicho. Tym razem zanim się pochylił nad upragnioną ciepłą wodą, zrzucił koszulę.

Na miłość boską, był taki chudy. Stojąc obok, widziała jego żebra. Sterczały jak szkielet latawca na silnym wietrze. Zaczął mydlić się - klatkę piersiową, ręce, szyję i wszystkie te miejsca, gdzie mógł sięgnąć. Pochylił się do przodu, a jej wzrok przyciągnęły opalone plecy, aż do miejsca, gdzie przy poszarzałej gumce od bielizny widać było biały pasek skóry. Do tej pory widziała tylko, jak mył się Glendon. Przedtem mieszkała tylko z dziadkiem, a on z całą pewnością nie obnażał się nigdy przed kobietą. Patrząc na toaletę Willa Parkera, Eleonora nagle uświadomiła sobie, że obserwuje bardzo osobistą czynność i odwróciła się z poczuciem winy.

- Oto i ręcznik dla pana. Proszę nim się posłużyć. - Wyszła z pomieszczenia, aby zapewnić mu odosobnienie.

Wróciła kilka minut później, gdy on, ze lśniąco czystością twarzy, zapinał koszulę.

- Proszę to wziąć. - Trzymała w ręku żółtą szczoteczkę do zębów. - Należała do Glendona, ale wyczyszcze ją sodą, jeśli nie przeszkadza panu, że jest używana.

Przeszkadzało mu to, ale trzymał język za zębami i skinął głową. Sięgnęła po filiżankę, wsypała do niej łyżkę sody i napełniła wrzącą wodą z czajnika.

- Każdy powinien mieć szczoteczkę do zębów - oznajmiła, mieszając w roztworze szczoteczką.

Wręczyła ją Willowi wraz z puszką proszku do zębów, a później stała i patrzyła, jak wysypuje trochę substancji na rękę.

Will nie lubił, jak ktoś go obserwuje. Obserwowano go przez pięć lat i teraz kiedy stamtąd wyszedł, powinien załatwiać swoje prywatne sprawy, nie czując na sobie niczyjego wzroku. Choć odwrócony tyłem, czuł badawcze spojrzenia przez cały czas, nawet wtedy gdy

używał szczoteczki jej męża, delektując się proszkiem, który był tak słodki, że chciał go połknąć, zamiast wypluwać.

- No dobrze, a teraz proszę usiąść przy stole - poleciła mu, kiedy skończył.

Podawała zupę jarzynową, gorącą i pachnącą, gęstą od okry, pomidorów i wołowiny. Ręce trzymał obok miski, walczył z przymusem, aby pożreć wszystko, co znajdowało się na talerzu, jak zwierzę. Wszystko przewracało mu się w żołądku, który błagał o pożywienie, ale on wahał się, rozkoszując się nie tylko zapachem, ale oczekiwaniem oraz tym, że miał tyle czasu, ile chciał - nie zadzwoni dzwonek ani nie będą popędzać go strażnicy.

- Proszę zacząć... jeść.

Zupełnie inaczej, gdy mówiła to ona, a nie strażnicy. Kierowała się tylko i wyłącznie życzliwością. Śledziła każdy jego ruch, gdy zanurzył łyżkę i podniósł do ust.

Była to najlepsza zupa, jaką jadł w życiu.

- Pytałam, kiedy pan jadł ostatnio porządny posiłek. Powie mi pan czy nie?

W jego spojrzeniu przez chwilę widać było ożywienie.

- Kilka dni temu.

- Kilka dni!

- Zatrzymałem się w lokalu w mieście, aby przeczytać ogłoszenia, ale była tam kelnerka, która mi się specjalnie nie podobała, poszedłem więc dalej, nic nie jedząc.

- Lula Peak. Ma pan rację, że należy jej unikać. Uganiam się za mężczyznami od dziecka. Tak więc od kilku dni je pan niedojrzałe jabłka, mam rację? - Wzruszył ramionami, przez chwilę spoglądał na chleb poza jej plecami. - To żadna hańba przyznać, że był pan głodny.

A jednak wstydził się, bardzo się tego wstydził. Ameryka, która powoli wychodziła z kryzysu, nadal była zalana włóczęgami. Byli to nic niewarci nicponie, którzy porzucili rodziny i bez celu jeździli na wagonach platformach, zebrząc o jałmużnę w przygodnych domostwach. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy widział ich wielu - nawet jechał z tuzinami takich ludzi. Nigdy jednak nie mógł zmusić się do zebrania. Kraść, tak - ale tylko w sytuacji bez wyjścia, w skrajnych warunkach.

Patrzyła, jak je, obserwowała, jak prawie cały czas ma spuszczone oczy. Za każdym razem, gdy podnosił wzrok, zdawał się patrzeć gdzieś za nią. Odwróciła się na krześle, aby sprawdzić, o co chodzi. Chleb. Jak głupio z jej strony.

- Dlaczego nie powiedział pan, że chce spróbować świeżego chleba? - złała go, wstając.

Jednak dostatecznie go już wyszkolono, aby o nic nie prosił. W więzieniu proszenie o

cokolwiek równało się drwinom. Oznaczało, że będą cię dręczyć, traktować jak zwierzę, że zmuszą cię do wykonywania ohydnych czynności, które upadły. Prosić, oznaczało dać władzę sadystom pozbawionym ludzkich cech, którzy tym bardziej znęcali się nad więźniami.

Żadna kobieta z trzema bochenkami świeżego chleba nie mogła zrozumieć podobnej rzeczy. Stłumił koszmarnie wspomnienia i patrzył, jak niezgrabnym krokiem podchodzi do szafki, wyjmując nóż z garnka z ustawionymi pionowo sztućcami. Oparła bochenek o biodro i wróciła do stołu, aby od - kroić bardzo dużą pajdę. Ślina napłynęła mu do ust. Wdychał zapach. Patrzył, jak biała kromka pojawia się pod ostrzem noża.

Przekłuła ją nożem i podała.

- Czy chce ją pan?

Och, nie, mój Boże. Tylko znowu nie to. Głodne oczy utkwily na jej twarzy, miał spojrzenie zwierzęcia złapanego w pułapkę. Wbrew woli znowu pomyślał o Weeksie, więziennym strażniku o maleńkich oczkach gada i zębach odsłoniętych w udanym uśmiechu. Miał obłudny głos i perwersyjny śmiech. Chcesz tego, Parker? W takim razie wyjdź jak pies. I on wyjdź jak pies.

- Chce pan chleba? - powtórzyła Eleonora Dinsmore, tym razem ciszej, sprawiając, że Will powrócił z przeszłości do teraźniejszości.

- Tak, proszę pani - powiedział, czując, jak coś dławi go w gardle. Znajome poczucie bezsilności.

- Wystarczy zrobić tylko jedno, powiedzieć. Proszę to zapamiętać. - Rzuciła chleb obok miski z zupą. - To nie więzienie, panie Parker. Chleb nie zniknie i nikt nie zamierza uderzyć po rękach, jeśli sięgnie pan po niego. Być może, iż tutaj będzie pan musiał prosić o wszystko. Nie umiem czytać w myślach, wie pan.

Czuł, jak rozluźnia się, ale miał nadal wyprostowane ramiona; zastanawiał się, co myśleć o Eleonorze, czasami tak apodyktycznej i nieprzychylnej, a czasami tak cieplej i nieprzewidywalnej. Opanowały go przykre wspomnienia - ale ona nie miała nic wspólnego z Weeksem i nie zmusi go, aby w jakikolwiek sposób płacił za jedzenie.

Chleb był miękki, świeży, był to największy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymał. Zamknął oczy, gdy przeżuwał pierwszy kęs.

Otworzył je, gdy mruknęła:

- Aha!

Zaskoczony, patrzył, jak się odwraca i przechodzi przez kuchnię, aby przynieść garnek najbardziej apetycznego masła pod słońcem koloru cytryny. Wróciła i trzymała je w zasięgu jego ręki.

- Proszę to powiedzieć.

Przełknął. Zesztywniały mu ramiona, a na twarz wróciło spojrzenie pełne ostrożności.

- Chciałbym prosić trochę tego masła - zaczął niechętnie.

- Należy do pana. - Bezceremonialnie rzuciła je na stół, sama padła na krzesło naprzeciwko niego. - Ta prośba wcale nie zabolą, prawda? - Wytarła ręce i przestrzegła go:
- Należy tu prosić o wszystko. Wszędzie panuje taki nieład, iż to jedyny sposób, aby coś znaleźć w większości wypadków. Proszę się obsłużyć, posmarować chleb masłem i zacząć jeść.

Ręce posłusznie wypełniły polecenia. Kilka dodatkowych chwil zajęło przystosowanie się do nieustannych zmian jej nastroju. Gdy pochylał się nad zupą, ostrzegła go:

- Proszę uważać, żeby nie przesadzić. Najlepiej jeść powoli, dopóki pana żołądek nie przyzwyczai się znowu do przyzwoitego pożywienia.

Chciał powiedzieć, że jedzenie jest dobre, lepsze niż dobre, najlepsze, jakie pamięta. Chciał powiedzieć jej, że w więzieniu nie dawano masła, a chleb był twardy i suchy. Chciał powiedzieć, że nie pamięta, kiedy ostatnio zaproszono go, aby usiadł przy którymś stole w kuchni. Chciał powiedzieć, jakie znaczenie miało dla niego, iż siedzi przy jej stole. Jednak prawienie komplementów było mu zupełnie obce i dlatego zjadł chleb i zupę w milczeniu.

Gdy jadł, ona przyniosła robótki szydełkowe i siedziała, pracując nad czymś miękkim, puszystym i różowym. Jej obrączka - nadal na lewej ręce - coraz to błyskała w świetle lampy naftowej w rytmie, w jakim obracało się szydełko. Miała zwinne, choć zniszczone pracą palce i zdartą skórę, która wydawała się jeszcze bardziej szorstka w zetknięciu z piękną różową włóczką, gdy wypuszczała ją spod palca z odciskiem.

- Na co pan patrzy?

Spojrzał z poczuciem winy.

Wyprostowała włóczkę i uśmiechnęła się. Uśmiech przeobraził całą jej twarz.

- Nigdy nie widział pan, jak kobieta robi na szydełku?

- Nie, proszę pani.

- Robię szal dla dziecka. To wzór muszelkowy. - Rozłożyła wełnę na kolanie. - Ładny, prawda?

- Tak, proszę pani. - Jeszcze raz opadła go tęsknota, poczucie utraconych rzeczy, pragnienie, aby wyciągnąć rękę i dotknąć tej miękkiej różowej rzeczy, którą robiła. Chciał dotykać palcami materii, jak gdyby to były włosy kobiety.

- Wybrałam różową, ponieważ jestem pewna, że tym razem będzie dziewczynka. Dziewczynka pasuje do chłopców, jak pan myśli?

Co wiedział o dzieciach - dziewczynkach czy chłopcach? Nic, poza tym, że śmiertelnie się ich bał. A dziewczynki? Nie uważał, że dziewczynki są szczególnie miłe, może jedynie wtedy, gdy są starsze i mężczyzna zatapia się w ich ciele. Wtedy, na kilka minut, gdy przestają w kółko powtarzać jedno i to samo, rzucać groźby lub zamięczać ludzi gadaniem, może są i miłe.

Srebrne szydełko pani Dinsmore zabłysło.

- Dziecku będzie potrzebny ciepły kocyk. W tym starym domu zimą panuje dotkliwy chłód. Glendon miał zamiar zająć się tym i załatać wszystkie pęknięcia, ale nigdy nie zabrał się do roboty.

Podniósł wzrok na ściany, patrzył na miejsca pozbawione tynku.

- Może uda mi się zatkać wszystkie szczeliny dla pani.

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i odwinęła z koszyka stojącego na podłodze następny motek wełny.

- Może mógłby pan to zrobić, panie Parker. To, oczywiście, byłoby bardzo miłe z pana strony. Glendon miał dobre zamiary, ale tak się zawsze dziwnie składało, że znajdowało się coś nowego, czym bardziej chciał się zająć.

Niezależnie od nastroju, gdy wymawiała to imię, w jej głosie słychać było czułość. Na twarzy pojawiał się też uśmiech, bez względu na to, czy wcześniej gościł tam, czy nie. Will przypuszczał, że żadna kobieta nie wyglądała nigdy tak romantycznie, wypowiadając jego imię.

- Czy chciałby pan trochę zupy, panie Parker? Może się jeszcze coś zmieści.

Jadł, dopóki jego brzuch nie był twardy jak piłka baseballowa. Później wyprostował się na krześle, pogładził się po brzuchu i westchnął.

- Tak więc wszystko się zmieściło. - Wsunęła swoją robótkę do koszyka i wstała, aby posprzątać ze stołu.

Patrzył, jak przechodzi przez kuchnię. Myślał sobie, że nawet jeśli dożyje stu lat, nigdy nie zapomni ani tego posiłku, ani jak miło siedziało się przy stole, przyglądając się, jak zamieniała piękną różową włóczkę we wzór muszelkowy, ufając, iż gdy się obudzi, nie będzie musiał ruszać w dalszą drogę.

Niosąc w ręku poduszkę i kołdrę Glendona, poprowadziła go do stodoły. Ze zdziwieniem stwierdził, że znowu stać go na uprzejmości tak niezgodne z jego dotychczasowymi zwyczajami, niesie lampę, otwiera drzwi, przepuszcza ją pierwszą na zaśmiecone podwórze.

Wstał już księżyc. Płynął gdzieś za drzewami na wschodzie, wyglądał jak

pomarańczowa dynia i odbijał się w ciemnej wodzie. Kury poszły już spać - bez wątpienia gdzieś na kupie złomu. Zastanawiał się, w jaki sposób udaje jej się odnaleźć jajka.

- Powiem coś panu, panie Parker - zwróciła się do niego, gdy tak szli w świetle księżyca. - Jutro rano, gdy przyjrzy się pan dokładnie gospodarstwu, może pan stwierdzić, że pobyt tutaj to nie najlepszy pomysł. Nie będę, oczywiście, miała panu tego za złe, niezależnie od tego, co pan powiedział, gdy tutaj się pojawił.

Patrzył, jak niezgrabnie idzie przed nim, trzymając w objęciach i przytulając do brzucha koldrę ze zszytych kawałków materiału należąca niegdyś do jej męża.

- To samo odnosi się do pani, pani Dinsmore.

Zanim doszli do stodoły, ostrzegła go:

- Proszę uważać, leży tu cała sterta złomu.

Sterta? To niezły dowcip. Okrążyła z boku coś, co było zrobione z czarnego kolczastego żelaza, i otworzyła drzwi do stodoły. Zaskrzypiały nie naoliwione zawiasy. W środku nie było zwierząt, ale po zapachu poznał, że kiedyś tam mieszkały.

- Sądzę, że przydałoby się posprzątać stodołę - zauważyła, gdy podniósł do góry lampę i przyjrzał się oświetlonemu przez nią kręgowi.

- Mogę to zrobić jutro.

- Będę bardzo wdzięczna. Podobnie jak Madam.

- Madam?

- To moja mulica. Tędy. - Zaprowadziła go do drabiny opartej o ścianę. - Będzie pan tutaj spał.

Chciała po niej wejść, ale złapał ją za rękę.

- Proszę pozwolić mi pójść przodem. Drabina nie wygląda zbyt solidnie.

Wsunął lampę pod ramię i zaczął się wspinać. Kiedy stawiał stopę na trzecim szczeblu, ten rozłupał się na pół i Will zawisł przytulony do ściany niczym marionetka z zerwanym sznurkiem.

- Panie Parker! - krzyknęła, trzymając go za biodra, gdy w powietrzu szukał miejsca, gdzie mógłby postawić stopy.

- Proszę się odsunąć!

Odkoczyła do tyłu i wstrzymała oddech, gdy lampa zaczęła się bujać jak szalona. W końcu odnalazł stabilny szczebel, a pozostałe sprawdzał uważnie po kolei, zanim odważył się na którymś stanąć. Przycisnęła rękę do serca, przyglądając się, jak wchodzi po drabinie, dopóki bezpiecznie nie wszedł na stryszek, pomagając sobie łokciami.

- Mój Boże, ale mnie pan nastraszył. Proszę uważać.

Jego głowa znikła w ciemności, a za chwilę do góry podążyła latarnia, pozłacając spód ronda kapelusza. Dopiero gdy stanął na masywnych deskach, odwrócił się i spojrział w dół.

- Miło się z panią rozmawia. Gdybym mógł zejść, zabrałbym panią tu na górę.

- Ta stara drabina jest, jak widać, równie rozklekotana jak wszystko inne.

- Ją także mogę jutro naprawić. - Podniósł lampę i sprawdził, jak wygląda poddasze. - Jest tu siano. - Zniknął i słuchała głuchego stukotu jego nóg nad głową.

- Przepraszam za niemiły zapach! - zawołała.

- Tu na górze nie jest tak źle. Będzie mi bardzo dobrze.

- Posprzątałabym, gdybym wiedziała, że w nocy będę miała towarzystwo.

- Proszę się nie martwić. W swoim czasie spałem w o wiele gorszych warunkach.

Pojawił się ponownie, ukląkł, stawiając sobie lampę na kolanie.

- Czy może pani podrzucić do góry pościel?

Poduszka pofrunęła do góry z łatwością i trafiła w odpowiednie miejsce. Kołdra wzlatywała w powietrze aż trzy razy. Przy trzeciej próbie uśmiechnął się.

- Nie jest pani zbyt umięśniona, nieprawdaż?

Była to pierwsza żartobliwa uwaga, jaką powiedział. Stała z pięściami opartymi na biodrach, przypatrując się, jak trzyma kołdrę. Nie byłoby wcale źle, gdyby miał tu pozostać, jeśli częściej przemawiałby tak wesoło.

- Jak to? Czy nie udało mi się wrzucić jej na górę?

- Ledwo co.

Uśmiech nadał jego twarzy łagodny wyraz. Zdziorność zaostrzyła jej rysy. Po raz pierwszy poczuli się swobodnie w swoim towarzystwie.

- Proszę wziąć lampę. - Poklepał się po brzuchu i pochylił się nad klapą prowadzącą na strych.

- Niech pan nie będzie głupi. Zaczęłam chodzić po tym podwórku na długo wcześniej, zanim został pan właścicielem przedmiotu, który określa pan mianem kowbojskiego kapelusza.

- Co się pani w nim nie podoba?

- Wygląda, jak gdyby brał udział w wojnie.

- Jest moją własnością. Podobnie jak i buty. - Potrząsnął lampą. - Proszę ją wziąć.

A więc to dlatego cały czas miał na głowie ten żałośnie wyglądający kapelusz.

- Niech pan sam ją weźmie - powiedziała i znikła mu z oczu. Ukląkł i nasłuchiwał jej kroków, ale nic nie usłyszał, bo była boso.

- Pani Dinsmore? - zawołał.

- Tak, panie Parker? - zawołała z drugiego końca stodoły.

- Czy mogę zapytać, ile ma pani lat?

- Dziesiątego listopada skończę dwadzieścia pięć lat. A pan?

- Trzydzieści czy coś koło tego.

Zapadła cisza, w której rozważała jego odpowiedź.

- Coś koło tego?

- Ktoś zostawił mnie na schodach sierocińca, gdy byłem mały. - Will nie zdradził tego zbyt wielu osobom w swoim życiu. Czekał niepewnie, jak zareaguje.

- Chce pan powiedzieć, iż nie wie, kiedy się urodził?

- No cóż... nie wiem.

W stodole zapadła cisza. Na zewnątrz nawoływał lelek kozodój, a żaby kumkały nieharmonijnie. Eleonora zatrzymała się z ręką na klamce. Will przykląkł, opierając ręce na biodrach.

- Cóż, będziemy musieli wybrać jakiś dzień na urodziny, jeśli zdecyduje się pan zostać. Każdy człowiek musi mieć urodziny.

Will uśmiechnął się, wyobrażając to sobie.

- Dobranoc, panie Parker.

- Dobranoc, pani Dinsmore. - Usłyszał, jak drzwi stodoły otwierają się z piskiem i zawołał znowu: - Pani Dinsmore?

Skrzypienie umilkło. - Tak?

Nastąpiła pięciosekundowa cisza.

- Bardzo dziękuję za kolację. Jest pani bardzo dobrą kucharką. - Serce zabiło mu radośnie, gdy to wypowiedział. Pomimo wszystko nie było to aż takie trudne.

Uśmiechnęła się w ciemności. Jak dobrze było zobaczyć znowu przy swym stole mężczyznę.

Poszła do domu, przygotowała do snu i z westchnieniem położyła się do łóżka. Gdy wyprostowała się, złapał ją delikatny skurcz w dole brzucha. Objęła brzuch rękami, obracając się na bok. Rąbała dziś drewno, chociaż wiedziała, iż nie powinna tego robić. Glendonowi rzadko udawało się wykonać wszystkie zadania przewidziane na dany dzień, a co dopiero mówić o zgromadzeniu zapasów. Należało rozłupać drewno i przygotować zapasy na zimę, aby zaczęły się suszyć. Trzeba też ciągle nosić wodę. Tyle wody. A trzeba będzie przynosić jeszcze więcej, gdy pojawi się dziecko i będzie miała dwoje w pieluchach.

Wyciągnęła się na plecach i oparła dłoń na czole, przypominając sobie silne ramiona Willa Parkera, jego twarde mięśnie. Miał bardzo silne nogi - mogła to stwierdzić, bo dotknęła

go, gdy wisiał na drabinie. Zostań ze mną. Proszę, zostań.

Na strychu z sianem Will położył głowę na poduszce z pierza i wyciągnął się na miękkiej ręcznie robionej kołdrze. Miał pełny żołądek, czyste zęby i pachniał mydłem. Gdzieś na zewnątrz była mulica, ule, kury i dom, który oferował wiele możliwości, gospodarstwo, które mogłoby zacząć całkiem nieźle prosperować przy odrobinie ciężkiej pracy. U diabła, nie bał się ciężkiej pracy, przychodziła mu bez trudu.

Daj mi tylko szansę, Eleonoro Dinsmore, a pokażę ci, na co mnie stać.

Przypomniawszy sobie, jak stała na bosaka na podwórku ze swoimi chłopcami, z brzuchem okrągłym jak arbuz i patrzyła na niego uważnie. Przypomniawszy sobie roztargnione spojrzenie na jej twarzy, kiedy zadawała mu pytania, i chwilowe przerażenie, gdy mówił o Huntsville. Prawdopodobnie myślała o tym teraz, zastanawiając się ponownie, czy trzymać u siebie byłego więźnia. Zanim nadejdzie rano, zdecyduje, że będzie dla niej jednak zbyt dużym zagrożeniem. A on pokaże rano, na co go stać. Przede wszystkim, zanim będzie miała okazję, aby wyrzucić go stąd, pokaże jej, że zamierza zarobić na swoje utrzymanie.

ROZDZIAŁ 3

Lula Peak od urodzenia mieszkała w maleńkim parterowym domku na ulicy Pecan. Gdy żyła jeszcze jej matka, mieszkanie wyposażone było w niezbędny, choć nie najmodniejszy sprzęt. Obecnie mogła się szczycić tym, że w kuchni stoi nowoczesna pierwszej klasy elektryczna lodówka Frigidaire, jest łazienka z bieżącą gorącą i zimną wodą oraz nowe radio.

O ósmej wieczorem radio i Lula odbierali Atlantę i bardzo głośno śpiewali razem „Oh, Johnny, Oh”. Ubrana w dopasowany czerwono - pomarańczowy szlafrok kobieta nachyliła się nad lustrem w łazience, szukając końcem pincety jakichś niesfornych włosów, które miały czelność wyrastać gdzieś obok cienkich brwi.

Oh, Johnny, oh, Johnny, how you can love...

Zaprzystała bezowocnych poszukiwań i położyła ręce na ramionach pokrytych jedwabiem. Widziała, że tak właśnie robi Betty Grable w swoich filmach.

Oh, Johnny, oh, Johnny, heaven's above...

Wykrzywiła się do odbicia w lustrze, a następnie zatańczyła i uklękła, dotykając swych piersi. Jedwab otarł się o nie uwodzicielsko i sutki pojawiły się pod nim nagle jak nadmuchane baloniki. Lula uwielbiała, gdy podniecał ją ktoś lub gdy robiła to sama. Jednak, aby naprawdę się zaspokoić, potrzebny był jej mężczyzna. Lula zawsze potrzebowała mężczyzny i Whitney nie mogło jej ich nastarczyć. Gdy czuje się swędzenie, należy się podrapać, a Lulę swędziało cały czas.

Wyciągnęła butelkę wody kolońskiej Soir de Paris i zakręciła się w miejscu dwa razy, skrapiając się obficie i patrząc, jak jej twarz miga w lustrze. Przy trzecim obrocie postawiła dla równowagi jedną stopę w pantoflu na wysokim obcasie na sedesie, a następnie skropiła wodą kolońską gęstą kępę blond włosów, które nagle pojawiły się pod rozchyłoną suknią. Opuściła stopę na podłogę, a następnie przesunęła dłonią wzdłuż brzucha, jednocześnie całując namiętnie lustro i zostawiając na zimnej tafli ślad po pomadce w kolorze cynobru.

- Lulu, co, u diabła, tu robisz? - ryknął z salonu Harley Overmire. - Muzyka gra głośno jak cholera i w każdej chwili byle kto, byle włóczęga mógłby tu wparować, a my nawet nie zauważylibyśmy tego.

- Harley, skarbie, to ty? - Muzyka nagle zamilkła, a nadąsana Lula wybiegła z łazienki. - Harley, włącz to znowu! To moja ulubiona piosenka! - Popędziła w stronę radia - błysnęły białe nogi i jaskrawy jedwab - i znowu je włączyła.

Oh, Johnny, oh Johnny, oh... Harley natychmiast je wyłączył.

- Lula, kochanie, nie przyszedłem tutaj, aby pękły mi bębunki.

- Ach tak, a więc po co tu przyszedłeś, żabko?

Lula włączyła radio na maksimum, co sprawiło, że wyło w ogłuszający sposób. Oh, Johnny...

Nachyliła się nad Harleyem z namiętym wyrazem twarzy, przyciskając obfity biust, uwydatniając głęboki dekolt i wystawiając białą nogę tam, gdzie było rozcięcie w krzykliwym satynowym szlafroku. Pomalowane usta przybrały zmysłowy wyraz, gdy przysunęła się do niego i zaczęła ocierać o jego udo.

- Ho, ho, Lula, dziecinko, cukiereczku, ty wiesz, jak zabrać się do mężczyzny.

- I to jeszcze jak, dziecinko, dobrze ci teraz, nieprawdaż?

- Jestem przecież tutaj, co? - Złapał ją za biodra obiema rękami.

Położyła sobie jego ręce na piersiach.

- Czujesz to? Dostaję dreszczy, gdy myślę o tobie. Chcesz wiedzieć, co jeszcze się stało, gdy myślałam o tobie, misiu?

- Tak - zamruczał niskim, pełnym namiętności głosem, obracając jej biodra. - Co?

Przycisnęli się mocniej do siebie. Jego pożądanie wzrastało gwałtownie. Złapała go za szyję i przysunęła usta do ucha. Szepnęła mu coś wulgarnego.

Zaśmiał się gardłowo i powiedział:

- Ach tak, zobaczmy. - Sięgnął tam, gdzie była kępka blond włosów, a jego palec powędrował do wnętrza jej ciała. - Ho, ho, Lulu, kochanie, trzeba się tobą zająć i to jeszcze jak.

Rozpięła i ściągnęła jego koszulę, dopóki nie zwisała beładnie z talii, gdy tymczasem ręka Harleya oparta o udo błędziła po jej ciele. Zarzuciła mu ręce na szyję, ugryzła w ucho, zaczęła je lizać, a po chwili zasugerowała:

- Potrzebny mi jest elektryczny obrotowy wiatraczek z przełącznikiem, który obraca się w jedną i drugą stronę. Widziałam taki w sklepie z artykułami żelaznymi w Atlancie, gdy ostatnio odwiedziłam moją siostrę Junie. - Rozluźniła uścisk i przebiegła ustami po jego piersiach, a następnie położyła ręce na czarnych kręconych włosach. - Mmm... lubię owłosionych mężczyzn. Ogromnie to na mnie działa.

Harley był już w krytycznym punkcie. Czuł, że za chwilę nastąpi eksplozja.

- Kochanie, wiesz chyba sama, że nie jestem zrobiony z pieniędzy.

Ugryzła kochanka w pierś, a następnie szarpała ją, dopóki nie zaczął jęczeć i nie odchylił do tyłu pod wpływem jej dotyku. Patrzyła mu w oczy z niewinnym wyrazem twarzy, uwijając się wokół niego.

- Założę się, że twoja żona ma już elektryczny wiatraczek, sam powiedz, Harley?

- No dalej, Lulu, chodźmy do łóżka. Ja płonę, kochanie.

- A wiatraczek?

- Może przy następnej wypłacie.

Nadęła czerwone uszminkowane usta i przejechała palcem po wilgotnym dekolcie.

- Następną wypłatą będzie za późno. Jest tu tak gorąco. Prawie w ogóle nie mogę spać w nocy. - Tuż przed jego nosem otarła się z potu.

- Lulu, bądź rozsądna. Dałem ci już lodówkę, radio i zamówiłem szafkę do łazienki. I tak muszę wymyślać Mae jakieś fantastyczne wyjaśnienia, co się dzieje z pieniędzmi.

Pchnęła go nagle i gwałtownie odskoczyła, wyrzucając do góry ręce.

- Mae, Mae, Mae! Przysięgam, że nie chcę już więcej słyszeć o tobie, Harleyu Overmire! Jeśli nie chcesz mi kupić elektrycznego wiatraczka, znam kogoś, kto na pewno to zrobi. Nie dalej jak dzisiaj Orlan Nettles odwiedził kawiarnię i wystarczyłoby tylko, gdybym zgięła mały paluszek, a byłby tutaj dzisiaj wieczorem zamiast ciebie. Stawiam pięć dolarów, że Orlan nigdy nie robił tego w taki sposób, w jaki zamierzam zrobić to z tobą wieczorem.

- Myślałaś o jakimś nowym numerku? - Harley miał dość nieszczęśliwy wyraz twarzy.

Odwrócona plecami, przyglądała się uważnie pomalowanym paznokciom.

- Jest świetny.

Muzyka zmieniła się i radio zaczęło nadawać „Papierową Laleczkę”. Nadal ryczało, gdy podszedł do niej i złapał zębami za szyję, objął z przodu i zaczął znowu przekonywać. Jednak Lula miała sztukę przekonywania opanowaną w perfekcyjny sposób. Pochyliła się i korzystała z każdego dotknięcia Harleya, ale nie ulegała, dopóki nie otrzymała tego, na czym jej zależało, a chodziło jej zawsze o więcej niż rozkosz. Jeśli miała spędzić resztę życia w tej małej zapadłej miejscinie, to będzie żyła w luksusie. Wiatraczek i łazienka to dopiero początek. Miała w planach forda i salon wyściełany dywanem oraz gramofon R.C.A. i nie zamierzała spocząć na laurach, dopóki tego nie dostanie.

Harley nachylony za nią oddychał jak zgrzany koń. Miała wrażenie, że to, co ma w spodniach, również należy do konia. Sięgnęła za siebie, aby pomóc mu podjąć decyzję.

Jęknął w jej szyję i powiedział:

- Dobrze, Lula, kochanie, kupię ci ten wiatraczek.

- Jutro, misiu? - mruzczała jak kotka.

- Jutro. Wymyślę jakiś pretekst, aby pojechać do Atlanty.

Lula nie oczekiwała czegoś za nic. Zmiana była natychmiastowa i szalona. Odwróciła się i zaczęła zdejmować ubrania z Harleya, lizać jego klatkę piersiową, pieszcząc go, jednocześnie popychając w stronę kuchni.

- Jakie są twoje ulubione kanapki, misiu?

Potknął się o nogawkę od spodni i roześmiał.

- Z wołowiną i musztardą.

- Mmm, wołowina i musztarda. Lubisz musztardę, nieprawdaż, Harley? - Wiedziała, że lubi musztardę. Wiedziała wszystko o Harleyu Overmire i wykorzystywała każdą informację w jak najkorzystniejszy dla siebie sposób.

- Cholerna racja, a Mae zawsze zapomina ją położyć.

- Tak, zawsze same kłopoty z tą Mae - mruzczała Lula, ściągając jego szorty na podłogę. - Mae nie ma pojęcia, co lubi mężczyzna, a ja to wiem. - Harley zaśmiał się, myśląc o tym, że kupi Luli ten cholerny wiatraczek i to największy w całej Atlancie. - A gdzie facet powinien jeść swoją wołowinę i kanapkę z musztardą, misiu?

Głaskała go, dopóki nie dyszał jak kowalski miech.

- Na stole kuchennym? - Wielkie nieba, myślał, to będzie dopiero wspaniale.

- Tak jest, kochanie. Mam zimną wołowinę w nowej lodówce. Właśnie czeka na ciebie. Mam też musztardę, ile tylko chcesz, i zamierzam ci to wszystko podać na stole kuchennym, a później ty i ja wejdziemy do pięknej nowiutkiej wanny i puścimy trochę cudownie gorącej wody z mojego nowiutkiego grzejniczka, wrzucimy odrobinę piany i będziemy się szukać wśród mydlanych baniek. A później za każdym razem, gdy otworzysz paczkę z obiadem w tartaku i zobaczysz kanapkę bez musztardy, przypomni ci się, kto traktuje cię jak należy, prawda, żabko?

Spędzili czterdzieści minut na stole kuchennym, a gdyby tylko producent musztardy wpadł na ten pomysł, co Lula, i ogłosił wszem i wobec, z pewnością sprzedano by miliony opakowań.

Później w nowej lśniącej porcelanowej wannie Lula palcami nóg dotykała owłosionej klatki piersiowej Harleya. Miał zamknięte oczy, a muskularne ramiona opierał na brzegu wanny.

- Harley?

- Tak?

- W mieście pojawił się dzisiaj nieznajomy.

- Hm. - Wyglądało na to, że nie jest specjalnie zainteresowany.

Minęły dwie minuty, kiedy to Lula cierpliwie odpoczywała z zamkniętymi oczami. Była na tyle inteligentna, że wiedziała, iż jeśli zapyta natychmiast, od razu wzbudzi podejrzenia. Jednak jeśli Harley uważał, że on jeden wystarczy, aby ją zadowolić, grubo się mylił.

- Nie ma tu zbyt wielu nieznajomych - powiedziała półgłosem w odpowiednim czasie, jak gdyby przysypiając.

Harley podniósł głowę.

- Wysoki facet? Szczupły i umięśniony, w pogniecionym kapeluszu?

- Tak, to ten sam - odpowiedziała sennie, a następnie zachichotała gardłowo. - Ho, ho, Harley, jak to się dzieje, że wiesz zawsze wszystko, zanim ci powiem?

Zarechotał i oparł głowę o wannę.

- Trzeba by wstać bardzo wcześnie, aby zaskoczyć starego Harleya.

- Przeczytał gazetę i wyszedł.

- Prawdopodobnie chciał spojrzeć na ogłoszenia o pracy. Wylałem go dziś z tartaku.

- W czym nawalił?

- Siedział pięć lat w więzieniu w Huntsville State Pen za to, że zabił dziwkę w jakimś domu publicznym w tamtych stronach.

Lula usiadła nagle tak prosto, jak gdyby połknęła kij, i uderzyła stopą w wodę, rozpryskując ją na wszystkie strony.

- Mój Boże, Harley, on tego nie zrobił! - Krew zaczęła krążyć w jej żyłach o wiele szybciej na samą myśl, że była z takim mężczyzną w tym samym pomieszczeniu. - Mój Boże, my, kobiety, nie będziemy teraz bezpieczne na ulicy.

- To właśnie mu powiedziałem. Parker, mówię, nie chcemy, aby ktoś taki, jak ty, plątał się po okolicy. Bierz swoją wypłatę i won, zmiataj.

A więc nazywa się Parker.

- Dobrze zrobiłeś, Harley. - Odchyliła się do tyłu i zaczęła pod wodą z pianą stopą głaskać jego genitalia. Znowu zaczęła się podniecać, dotykając Harleya, ale jednocześnie wyobrażając sobie wysokiego milczącego kowboja, który mówił tak mało i ukrywał się pod rondem kapelusza. Cicha woda - pomyślała i poczuła, jak serce zaczyna jej walić. Pójść do łóżka z podobnym człowiekiem to byłoby dopiero niesamowita przyjemność, wyobraziła to sobie bardzo plastycznie i szczegółowo - niebezpieczeństwo, wyzwanie, prowokacja, pociąg seksualny u mężczyzny, który nie miał kobiety przez pięć lat. Tak, mój Boże, to byłoby coś, czego nie dałoby się zapomnieć.

- Założę się, że wiem coś, o czym ty nie wiesz, zabko. - Palce jej stóp wędrowały po klatce piersiowej Harleya.

- Co?

- Poszedł spotkać się z Elly Dinsmore w sprawie ogłoszenia, które zamieściła.

- Co! - Woda rozprysła się i wylała z wanny, gdy Overmire gwałtownie wstał.

- Wiem coś o tym, bo najpierw poprosił o gazetę, następnie usiadł i zaczął ją czytać, a potem zapytał, jak znaleźć ulicę Rock Creek, a kiedy mu powiedziałam, wyrwał w tamtym kierunku. Po co innego mógłby tam iść?

Overmire ryknął śmiechem i upadł do wody.

- Poczekaj, niech no tylko powiem o tym chłopakom. Pośmieją się trochę. Zbzikowana Elly Dinsmore - ha, ha, ha!

- Jest zupełną wariatką, prawda?

- I to jeszcze jaką. Ogłoszenie o mężu. Mój Boże.

- No cóż, czego można by oczekiwać po tym, jak przez całe życie siedziała zamknięta w tym domu. - Lula wzdygnęła się.

- Wiesz, że chodziłem do szkoły z jej matką. Oczywiście było to, zanim na świat przyszedł dzieciak i ją zamknęli.

- Naprawdę? - Lula usiadła i sięgnęła z wanny po ręcznik. Wstała i zaczęła się wycierać. Harley zrobił to samo.

- Wpatrywała się często w ścianę i cały czas rysowała obrazki. Kiedyś narysowała na rolecie nagiego człowieka. Nauczycielka nie wiedziała o tym i gdy ją opuściła, klasa zaczęła szaleć z radości. Oczywiście, nie udowodniono, że narysowała to Lottie See, ale ta zawsze rysowała, a kto inny byłby tak zwariowany, aby to zrobić?

Harley wyszedł z wanny i zaczął wycierać nogi. Nagle przestał i zaczął wpatrywać w pozbawione włosów miejsca na udach pokryte wcześniej musztardą.

- A niech to diabli, Lula, jak mam to wyjaśnić Mae?

Lula przyjrzała się, zachichotała i obróciła do lustra, zapinając jeden z grzebieni, który podtrzymywał włosy.

- Powiedz jej, że masz żółtaczkę.

- Jesteś całkiem do rzeczy, Lulu. - Harley zaśmiał się rubasznie i uderzył ją w łokieć. Nagle otrzeźwiał jednak i zmienił ton. - Jesteś pewna, że nic nam dziś nie grozi, chcę powiedzieć, nie zaszłaś w ciążę?

- Chyba trochę za późno, by o to pytać, czyż nie, Harley? - Lula poczuła się dotknięta.

- Zawsze zdaję się na ciebie, oczekuję, że to ty powiesz mi, czy mam czegoś użyć.

Skropiła się za uszami i między nogami Soir de Paris.

- Myślisz, Harley, że jestem aż tak strasznie głupia? - Zakręciła butelkę i rzuciła nią. Zawsze pytał o to samo, jak gdyby była zbyt wielką ignorantką, aby posługiwać się kalendarem. Odpowiadała już na to dziesiątki razy, ale zawsze potem miała uczucie pustki i była bardzo zła. No więc dobrze, nie była żoną Harleya. Nie mogła mieć z nim dzieci. Któż by

jednak ich pragnął? Widziała te jego dzieciaki - przysadziste, dość grube i brzydkie bachory, które łądząco przypominały małpy. Gdyby kiedykolwiek chciała mieć dzieciaka, to z pewnością nie jego. Byłoby to dziecko kogoś takiego jak Parker, kogoś, kto dałby jej śliczne słodkie maleństwa o piwnych oczach, jakich zazdrościłyby wszystkie kobiety.

Myśl ta zaatakowała ją z całą siłą i wydała się niepokojąca. Miała już trzydzieści sześć lat i żadnych widoków na małżeństwo. Będzie mieszkać przez resztę życia w tej zapyziałej małej miejscinie, gdzie prawdopodobnie dokona swego żywota tak jak matka. A kiedy będzie tak stara, że nawet Harley nie zechce już się zabawiać z nią na kuchennym stole lub nie będzie już mógł, jeśli chodzi o ścisłość - dopadnie ją samotność, bo Overmire osiadzie na bujanym fotelu na werandzie przed domem ze swoją cenną, nudną Mae. A wszystkie jego nieładne małpeczki powołają do życia jeszcze więcej nieładnych małpeczek i stary dziadzio Harley będzie szczęśliwy niczym kleszcz na tłustej owcy.

A ona, Lula, zostanie tu sama. Będzie się starzeć. Tyć. Sama będzie jeść wołowinę i kanapki z musztardą.

Chyba że spróbuję to zmienić - przysięgła sobie. Nie będzie tak, jeśli postara się, na wszystko, co drogie, to odmienić.

ROZDZIAŁ 4

Gdy Eleonora się obudziła, różowy wschód słońca oświetlał parapet. Słyszała wyraźne uderzenia siekiery. Zerknęła na budzik. Szósta trzydzieści. Rąbał drzewo o szóstej trzydzieści?

Na bosaka podeszła do okna kuchennego. Stała tam, przyglądając się jemu i stosowi rosnącego drewna. Od jak dawna nie śpi? Sterta sięgała mu już prawie do pasa. Koszulę i kapelusz rzucił obok. Był w samych dzinsach i butach kowbojskich - miał tyle ciała, co strach na wróble. Machał siekierą, a ona wbrew własnej woli patrzyła zafascynowana na zapadnięty brzuch, smukłe ramiona, zginającą się klatkę piersiową. Narąbał już w swoim życiu dość dużo drewna i teraz zabierał się do tego w metodyczny sposób, oszczędzał energię, aby starczyło jej na dłużej - opierał kawałek drewna na pieńku, cofał się, uderzając w sam środek i rozłupując go dwoma uderzeniami. Brał kolejny kawałek - i trzask, trzask - było drewno na opał.

Przymknęła oczy - Panie, nie pozwól mu odejść - położyła dłoń na okrągłym brzuchu, przypominając sobie, jak niezręcznie jej wychodziła ta praca, ile zajmowała wysiłku i czasu.

Otworzyła tylne drzwi i wyszła na ganek.

- Widzę, że wstaje pan z kurami, panie Parker.

Will poczekał, aż siekiera opadnie, i obrócił się.

- Dzień dobry, pani Dinsmore.

- Dzień dobry panu. Nie mogę powiedzieć, że odgłos siekiery jest tutaj źle widziany.

Stała boso na ganku w białej koszuli nocnej do kostek, która uwydatniała ciążę. Włosy miała rozpuszczone, opadały jej na ramiona i z tej odległości wyglądała młodziej i pogodniej niż ubiegłego wieczora. Przez chwilę Will Parker wyobrażał sobie, że jest Glendonem Dinsmore, że należy do tego miejsca, ma żonę, a dzieci w domu i to w jej wnętrzu są jego. To jednak nie Eleonora wywołała to chwilowe rozmarzenie, lecz wszystkie rzeczy, za którymi Will Parker tęsknił przez całe swoje życie. Nagle uświadomił sobie, że ktoś na niego patrzy, i poczuł się skrępowany. Pochylony nad siekierą wyciągnął rękę po koszulę i kapelusz.

- Czy może pan przynieść trochę drewna na rozpałkę? - zawołała.

- Tak proszę pani, z przyjemnością.

- Proszę wrzucić je do skrzyni.

- Tak, proszę pani.

Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Znikła.

Nie miał zupełnie ochoty przerwać pracy, nawet na krótką chwilę i tylko po to, by

zanieść drewno do domu. W więzieniu pracował w pralni, wdychał cuchnący pot mężczyźni wydzielany pod wpływem pary. Pracował w gorącym zamkniętym pokoju, dokąd nie docierało światło słoneczne. Teraz stał w porannym świetle, gdy na dworze była jeszcze gęsta mgła, zachwycając się lawendowym kręgiem nieba z dziesiątkami ptaszków, które wylatywały z niezliczonych karmników z dyni zawieszonych wokół - ach, tak, to był dopiero raj, czuł się jak w niebie. Trzymał stylisko siekiery, czuł, jak przecina powietrze i opór przy uderzeniu w drewno, słyszał, gdy kolejny kawałek drewna spadał na ziemię - to dopiero była wolność. A jeszcze zapach - czysty i ostry, na palcach odrobina żywicy o przenikliwym aromacie - nie mógł się nim nacieszyć. Ani tym, że robił znowu użytek ze swoich mięśni - rozciągając je do wszelkich możliwych granic. W więzieniu stracił siłę, był słaby i blade, w jakiś sposób zniewieściały, wykonując w pralni kobiecą pracę.

I tak jak odgłos uderzającej siekiery był miły pani Dinsmore, to dla Willa Parkera oznaczał wyzwolenie.

Ukląkł i nabrał drewna w ramiona - ładne, ostre, przycięte równo kawałki rysowały skórę tam, gdzie podwinięty był rękaw; płaskie, pokryte słojami uderzały o siebie, stukot rozchodził się po polance. Ułożył cały stos - najpierw drewno sięgało mu do podbródka, a później tak wysoko, że nie mógł nic zobaczyć, znowu sprawdzał, ile ma siły. To była praca godna mężczyzny. Uczciwa. Satisfakcjonująca. Mruknął z zadowoleniem, gdy stał przy drzwiach z ogromną wiązką drewna. Przy drzwiach zapukał.

- Na miłość boską, po co pan puka? - Podbiegła, łajając go.

- Przyniosłem drewno dla pani.

- Tak, widzę, ale nie trzeba pukać. - Pchnięciem otworzyła drzwi. - Musi pan się nauczyć, że nie można stać na spróchniałej podłodze na ganku z tak ciężkim ładunkiem. Może zawalić się i pociągnąć na dół.

- Starłem się iść blisko balustrady. - Wyczuł stopą, gdzie jest, wszedł do środka i przeszedł przez kuchnię, by wrzucić wszystko do skrzyni na drewno. Otrzeputując ramiona, odwrócił się. - To powinno wystarczyć na... - Nagle zamilkł.

Eleonora Dinsmore stała przed nim ubrana w czystą żółtą bluzkę i dopasowaną do niej spódnicę, zaczesując włosy w koński ogon. Opierała brodę na piersi, a wstążkę w kratkę trzymała w zębach. Ile czasu minęło od chwili, gdy widział kobietę czeszącą rano włosy? Jej uniesione łokcie wyglądały bardzo wdzięcznie. Podniosła się jej przy tym bluzka i odsłoniła biały przesmyk nad spódnicą. Wyciągnęła wstążkę z zębów i związała włosy wysoko i mocno. Gdy podnosiła głowę, zobaczyła, że na nią patrzy.

- Na co pan tak patrzy?

- Na nic. - Zmieszany odwrócił się w stronę drzwi, czując, jak zaczynają płonąć mu policzki.

- Panie Parker?

- Tak, proszę pani? - Zatrzymał się, ale nie odwrócił, by nie zobaczyła, jak się rumieni.

- Potrzebuję odrobinę drewna na rozpałkę, czy mógłby pan porąbać kilka mniejszych kawałków?

Skinał głową i wyszedł.

Will nie był na to przygotowany - nie oczekiwał, że pani Dinsmore zrobi na nim takie wrażenie. Tu nie chodziło zresztą o nią - u diabła, mogła to być jakakolwiek inna kobieta, a jego reakcja na pewno byłaby taka sama. Kobiety to delikatne stworzenia pełne wypukłości, a on obywatel się bez nich od bardzo dawna. Który mężczyzna nie zerknąłby? Gdy nachylił się, by porąbać mały dębowy kawałek, przypomniała mu się wstążeczka w kratkę w jej ustach, biała bielizna pod bluzką i to, że zarumienił się nagle.

U diabła, co się z tobą dzieje, Parker? Kobieta jest w piątym miesiącu ciąży i nie ma w niej nic nadzwyczajnego. Zanieś drewno na rozpałkę i znajdź sobie inny temat do rozmyślań.

Już raz skrzyczała go za to, że puka, ale gdy wracał z drewnem, znowu się zatrzymał. Nim trafił do więzienia, otwierały się przed nim tylko nieliczne drzwi - a co dopiero teraz, gdy go wypuszczono - zbyt przyzwyczał się do zamków i rygli, by tak po prostu otwierać drzwi i wchodzić od razu do środka.

- Oto pani drzewo - oznajmił, zamiast pukać.

Zerknęła na niego znad bekonu, który właśnie kroił w cieniutkie plasterki, i zawołała:

- Proszę wrzucić od razu do pieca.

Nie tylko to zrobił, ale rozpałił również ogień. Taka prosta praca, a jaka przyjemna. Nigdy nie był właścicielem piecyka. Minęły lata, odkąd miał prawo do korzystania z jednego, choć należał do kogoś innego. Zajął się układaniem drewna, zapalił zapałkę, obserwując, jak małe kawałki zaczynają płonąć, i rozkoszując się tym. Nie śpieszył się i czynności te zajmowały mu tyle czasu, ile chciał, zdawał sobie sprawę, że nie ma już kontroli i nikt nie dysponował jego czasem. Kiedy drewno już dobrze się rozpałiło, dodał grubą kłodę i chociaż był to bardzo ciepły poranek, wyciągnął dłonie do ognia.

Rozpalanie w piecu należało do codziennych obowiązków Eleonory. Gdy obserwowała, ile radości sprawia mu ta praca, zastanawiała się, jakie życie prowadził i jakich wygod był pozbawiony. Co działo się w jego umyśle, gdy tak patrzył na płomienie. Cokolwiek to było, na pewno nigdy się nie dowie.

Odwrócił się niechętnie, otrzepując ręce o spodnie.

- Coś jeszcze?

- Mógłby pan napęłnić wiadro wodą.

Stojąc za nią, przyglądał się ubraniu w kolorze jaskrów, końskiemu ogonowi i wstążeczce w kratę. Włożyła na ramiona fartuszek związany luźno z tyłu. Doświadczał znowu silnego uczucia, że jest w domu, którego brakowało mu całe życie, oraz dziwnej niechęci na myśl, iż mógłby do niej podejść.

Jednak wiadro miała teraz pod ręką - a on przechodząc celowo obok kobiety - jakiegokolwiek kobiety, stale spodziewał się, że ta przerażona odskoczy na bok. Obszedł ją dokoła, sięgnął po wiadro i wymamrotał:

- Przepraszam panią.

Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się.

- Dziękuję, że rozpałił pan ogień, panie Parker - powiedziała, a potem znowu zaczęła kroić.

Idąc przez kuchnię z wiadrem, poczuł się tak dobrze jak nigdy wcześniej. Zatrzymał się w drzwiach.

- Myślałem sobie, proszę pani...

Z nożem w ręku spojrzała przez ramię.

- Doi pani kozę? - Wskazał ręką na podwórko.

- Nie, doję krowę.

- Ma pani krowę?

- Tak. Na imię ma Herbert. Prawdopodobnie wyszła już ze stodoły.

- Herbert? - Zadrżały mu kąciki ust.

Wzruszyła ramionami, ale jednocześnie uśmiech rozświetlił jej twarz.

- Niech pan nie pyta, kto nadał to imię. Od zawsze jest Herbertem i na to reaguje.

- Mógłbym wydoić - uśmiechnął się jeszcze szerzej - Herberta, jeśli powie mi pani, gdzie znaleźć jeszcze jedno wiadro.

Ukroiła plasterek bekonu i wytarła ręce w fartuch z zaczepnym uśmiechem na ustach.

- I cóż ja tu widzę, nie do wiary - przeciągała słowa - czy to uśmiech pojawił się na czyjejs twarży?

Uśmiechał się nadal, gdy otwarcie przyglądali się sobie, stwierdzając, że ranek przyniósł zmiany, które obojgu przypadły do gustu. Minęły sekundy, zanim poczuli się zmieszani. Spojrzał w inną stronę. Ona odwróciła się, aby przynieść blaszane wiadro.

- Przy ścianie stodoły stoi taboret.

- Znajdę go.

Zatrzasnęły się drzwi, a ona podbiegła jeszcze, wołając:

- Panie Parker?

Obrócił się, już stojąc na ścieżce.

- Tak, proszę pani?

Patrzyła na niego przez ażurowe drzwi. Tak ładnie się uśmiechał.

- Po śniadaniu zamierzam przyciąć panu włosy.

Uśmiechnął się jeszcze bardziej, uśmiechały się nawet jego oczy.

- Tak, proszę pani - powiedział cicho, dotykając kapelusza.

Gdy szedł z wiadrem kołyszącym się z boku, zastanawiał się, kiedy był szczęśliwszy, a życie wyglądało bardziej obiecująco. Zamierzała go zatrzymać.

Herbert okazał się miłą krową w brązowo - białe łaty z dużymi brązowymi oczami. Ona i koza zdawały się bardzo zaprzyjaźnione i nawzajem witały się nosami. Mulica też wyszła ze stodoły. Miała na wpół zamknięte oczy i stała przodem do ściany. Will postanowił wydoić krowę na dworze zamiast w cuchnącej stodole. Przywiązał ją do kołka w płocie, ściągnął koszulę i przysiadł na taborecie, gdy tymczasem gorące słońce prażyło mocno w plecy. Zdawało się, że nie może zostawić go w spokoju, że musi odrobić pięcioletnie zaległości. Koza przeżuwała coś właśnie przyglądała mu się uważnie. Krowa też przeżuwała - słychać było donośne odgłosy. Czuł się wspaniale. Po pewnym czasie doił w takim samym rytmie, w jakim Herbert ruszał szczęką. Wszystko działało tak kojąco - ciepłe, ociążałe ciało przy twarzy, coraz bardziej gorące słońce, swojskie odgłosy i ciepło zwiększające siłę ramion. Po pewnym czasie czuł wszystkie mięśnie - jego własne ciało pracowało tak jak trzeba i wytwarzało przyjemne ciepło. Zwiększył tempo, aby się sprawdzić.

Gdy pracował, kury po kolei zeszyły ze swych grządek, kwacząc, stąpając jak po ostrych kamykach i szukając w trawie ślimaków. Przyjrzał się podwórku, wyobrażając sobie, że jest czyste, kurczakom, wyobrażając sobie, że są w kurniku. Spojrzał na stertę drzewa, wyobrażając sobie, że jest porąbane, wyrównane i ładnie ułożone. Było tu strasznie dużo do zrobienia, ale zadanie to nappełniło go tylko entuzjazmem.

Nagle obok pojawiła się kotka i trzy brązowe kociątka, trzy puszyste kulki z prostymi ogonkami bawiące się wesoło. Matka przytuliła się do kostki Willa, a on zatrzymał się, żeby ją pogłaskać.

- Jak pani się nazywa? - Stała na tylnych łapach, opierając przednie na jego biodrze, prosząc o coś. Gdy ocierała się tak o palce, czuł miękkie i ciepłe futerko. - Karmisz tę trójkę, tak? Potrzebujesz odrobiny pomocy? - Znalazł puszkę po sardynkach przy drzwiach od stodoły i nappełnił mlekiem, a następnie patrzył, jak piją - jeden kotek z łapką w puszcze.

Zachichotał, a dźwięk własnego śmiechu był tak obcy jego uszom, że serce zaczęło mu walić w piersi. Odchylił głowę do tyłu, zmrużył oczy, pozwalając, by opanowało go poczucie wolności i szczęścia. Roześmiał się znowu, czując, jak cudownie to brzmi. Ile czasu minęło, odkąd słyszał swój śmiech? Jak dawno to było?

Kiedy niósł mleko do domu, już na podwórku czuł zapach smażonego bekonu. Burczało mu w brzuchu. Przed drzwiami zatrzymał się z podniesioną ręką, gotów zapukać do drzwi.

W kuchni Eleonora podniosła głowę i spojrzeli na siebie.

Opuścił rękę, otworzył drzwi, podejmując ryzyko i stwierdzając, że pomimo wszystko nie jest to takie trudne.

- Zawarłem znajomość ze zwierzętami - oznajmił, stawiając wiadro na szafce. - Mulica zadziera nieco nosa.

- No cóż - zauważyła Eleonora - to święta prawda.

Cofnął się trochę, wycierając z zakłopotaniem ręce o spodnie.

- Nie za bardzo nadaję się do prowadzenia rozmowy towarzyskiej.

- Zauważyłam. Pomimo wszystko mógłby pan jeszcze spróbować z chłopcami.

Chłopcy już wstali w pogniecionych piżamkach. Starszy bawił się z małym pięcioma drewnianymi szpulkami i gdy Will wszedł, podniósł na niego wzrok.

- Cześć, Donaldzie Wade - odważył się powiedzieć Will, czując się niezręcznie i niepewnie.

Chłopiec włożył palec do buzi i wydał policzek.

- Powiedz „dzień dobry” - podpowiedziała matka. Zamiast tego Donald Wade wskazał brata tłusciutkim paluszkim i wyznał:

- To dzidzius Tomcio.

Dzidziusiowi ślina ściekała właśnie na bluzkę od piżamy. Jednocześnie uporczywie wpatrywał się w Willa i uderzał jedną szpulką o drugą. Will dobrze pamiętał, że nigdy nie rozmawiał z tak małą osóbką. Czuł się głupio, czekając na odpowiedź, i nie bardzo wiedział, co zrobić z rękami. Ułożył z trzech szpulek wieżę. Dziecko przewróciło ją, zaśmiało się radośnie i zaklaskało rączkami. Will podniósł wzrok i zobaczył, że Eleonora go obserwuje, mieszając coś na piecyku.

- Przygotowałam dla pana brzytwę Glendona oraz kubek i pędzel do golenia. Proszę bardzo ich użyć.

Wstał, spojrzął na przybory do golenia, a później na nią. Ale ona zajęła się znów gotowaniem, zapewniając mu tym samym pewną dozę prywatności. Golił się samym ostrzem,

zacinając przez cały czas, kubek i pędzel były równie pożądane co gorąca woda, ale zatrzymał się, zanim sięgnął po nie.

Będzie musiał się do tego przyzwyczaić: w tej kuchni codziennie rano będzie się mył i golił, a ona uczesze się, ugotuje śniadanie i zajmie dziećmi. Na pewno zdarzy się tak, że czasem znajdzie się tuż obok niej. Jednak do tej pory chyba przed nim nie uciekała.

- Przepraszam - powiedział nad jej ramieniem. Spojrzała na kubek i przesunęła się, nie przestając ani na chwilę mieszać kaszki, co pozwoliło mu sięgnąć po czajnik.

- Spał pan dobrze ubiegłej nocy?

- Tak, proszę pani.

Napełnił kubek i miskę, rozpienił mydło do golenia i namydlił twarz, odwrócony plecami.

- Jakie jajka pan lubi?

- Gotowane.

- Gotowane. - Odwróciła się i znów odnaleźli się w lustrze.

- Tak, proszę pani. - Podniósł głowę i golił szyję poniżej lewej szczęki.

- Chce pan powiedzieć, że ma zwyczaj jeść je na surowo?

- O ile mi dobrze wiadomo.

- Chce pan powiedzieć: prosto z czyjegoś kurnika?

Golił się dalej, unikając spojrzeń. Wybuchnęła śmiechem, przyciągając raz jeszcze jego spojrzenie w lustrze. Śmiała się bardzo długo i swobodnie, opierając rękę na brzuchu, dopóki w piwnych oczach nad białą pianą do golenia nie pojawiła się iskierka rozbawienia.

- Myśli pani, że to zabawne. - Oplukał brzytwę.

- Przepraszam. - Opanowała się z wysiłkiem.

Ton głosu wskazywał jednak, że w żadnym razie nie jest jej przykro. Stwierdził, iż gdy jest rozbawiona, jej twarz wygląda o wiele ładniej. Wyrównując baczki, powiedział:

- Gospodarze zwalają winę na lisy, więc nikt specjalnie nie pilnuje jajek.

Obserwowała go uważnie przez chwilę, zastanawiając się, ile mil przeszedł, ile kurników splądrował, ile czasu zabierze mu pozbycie się dystansu, który za wszelką cenę starał się zachować. W tej chwili udało jej się na chwilę otworzyć niewidzialne drzwi, ale w środku czekały kolejne, zamknięte.

Zauważyła, jak przyjemnie jest czuć w domu zapach mydła do golenia. Jedno pociągnięcie brzytwy za drugim i znowu zobaczyła jego twarz, którą będzie oglądać przy swoim stole przez nadchodzące lata, jeśli tylko Will zdecyduje się pozostać. Była zaskoczona, że pociąga ją wykrój jego szczęki, kształtny nos, szczupłe policzki i ciemne oczy. Kiedy

podniósł wzrok i zobaczył, iż mu się przygląda, odwróciła się w stronę pieca.

- Półmiękkie, ścięte czy jajecznicą?

Ręce opadły mu z wrażenia, gdy usłyszał to pytanie. W więzieniu była zawsze jajecznicą o smaku rozmiękczonej gazety. Mój Boże, co to znaczy mieć wybór.

- Półmiękkie.

- Takie pan dostanie.

Gdy mył się i czesał, słyszał, jak rozbijane jajka uderzają w patelnię, a tak rzadko miał okazję to słyszeć, mieszkając w szałasach i wagonach towarowych przez większość życia na wolności. Dźwięki. Słyszał wiele razy turkot kół i chrapanie. Brzdęk rygli, męskie głosy i stukot pralek.

Za jego plecami chłopcy trajkotali i chichotali, a drewniane szpulki z łoskotem spadły na podłogę. Zabrzęczały płytki z piecyka, popiół spadł na dół. Kłoda drewna opadła z głuchym łoskotem. Zasyczał czajnik, a Eleonora powiedziała:

- Czas na śniadanie, chłopcy. Wskakujcie teraz na swoje krzeselka.

Zapachy w kuchni sprawiały, że ślinka sama napływała do ust. W więzieniu dominowały dwa - środka dezynfekującego i moczu, a jedzenie miało taki sam zapach jak smak.

Kiedy usiedli przy stole do śniadania, Will przyjrzał się bez skrepowania górze jedzenia na swym talerzu: trzem jajkom - trzem! - i to przyrządzonym w sam raz. Owsianka, bekon, gorąca czarna kawa i grzanka z dżemem.

Widziała, jak się waha, trzyma ręce na biodrach i boi się znowu zabrać do jedzenia.

- Niech pan je - rozkazała, a następnie zaczęła siekać jajko dla młodszego synka.

Tak jak wczoraj wieczorem, Will jadł, nie wierząc we własne szczęście. Zjadł już połowę, zanim uświadomił sobie, że ona bez apetytu skubała kawałek suchej grzanki. Jego ręka z widelcem zatrzymała się.

- Co się stało? - spytała. - Coś jest źle ugotowane?

- Nie, nie, to najlepsze śniadanie w moim życiu, ale gdzie jest pani śniadanie?

- Jedzenie nie służy mi dobrze tak wcześnie rano.

Nie mógł sobie wyobrazić, aby ktoś nie jadł, jeśli było jedzenia pod dostatkiem. Czy oddała swoją porcję?

- Ale...

- Tak to jest, gdy kobiety oczekują dziecka - wyjaśniła.

- Och, tak. - Spojrzał na jej brzuch, a następnie szybko się odwrócił.

A niech to - myślała - przecież on się rumieni! Niezależnie od tego, dlaczego tak było,

bardzo to się jej podobało.

Po śniadaniu posadzono Willa na krzesło na środku kuchni i zawiązano mu z tyłu ręcznik. Gdy Eleonora go dotknęła, wstrząsnął nim dreszcz. Słyszał, jak tną nożyczki, czuł, jak grzebień dotyka głowy, i zamknął oczy, by rozkoszować się każdym dotknięciem jej palców. Drżał, a ręce opadały mu na biodra.

Zobaczyła, że zamknął oczy.

- Dobrze się pan czuje? - spytała.

- Tak, proszę pani. - Otworzył oczy.

- Nerwy są niepotrzebne. - Delikatnie dotknęła jego ramienia. - Proszę się rozluźnić.

Dalej pracowała w milczeniu, co pozwoliło bez przeszkód rozkoszować się tą chwilą.

Zamknął znowu powieki w półśnie, czując pierwszy delikatny dotyk od wielu lat. Dotykała jego ucha, szyi, a on wyciszył się i znalazł gdzieś daleko w swoim własnym pięknym świecie. Boże, Boże, było mu tak dobrze.

Kiedy skończyła, musiała go obudzić.

- Tak. - Podniósł głowę, a później nagle drgnął gwałtownie, przerażony, bo zrozumiał, iż drzemał. - Och, musiałem...

- Już gotowe. - Strzepnęła ręcznik, a on wstał i przejrzał się w małym okrągłym lusterku wiszącym obok zlewu. Nad prawym uchem miał może trochę dłuższe włosy niż nad lewym, ale ogólnie rzecz biorąc, fryzura ta była o całe niebo lepsza niż strzyżenie do gołej skóry w więzieniu.

- Wygląda to całkiem nieźle, proszę pani - powiedział, dotykając palcami baczków. Spojrzał przez ramię. - Dziękuję za to i za śniadanie.

Zawsze gdy jej dziękował, puszczała to mimo uszu, jak gdyby niczego nie zrobiła. Teraz zamiatała podłogę i nie podniosła wzroku.

- Ma pan bardzo piękne włosy, panie Parker. Glendon miał dość cienkie, choć też ładne. Zawsze mu je obcinałam. - Kołysząc się niezgrabnie, przeszła przez kuchnię po szufelkę. - Sprawilo mi przyjemność, że to znowu zrobiłam. Jestem również zadowolona, że w domu jest znowu zapach mydła do golenia.

Naprawdę? Zdawało mu się, że to tylko on rozkoszował się tymi rzeczami. A może była tylko uprzejma i chciała, by czuł się swobodnie. Bardzo chciał odwzajemnić tę uprzejmość i powiedzieć coś miłego.

- Mogę to zrobić - zaproponował, gdy schyliła się, aby zebrać z podłogi pasma jasnych włosów.

- To już prawie zrobione. Pan mógłby za to nakarmić świnię.

Wyprostowała się i znowu ogarnęli się wzrokiem. Zobaczył niepewność w jej oczach. Po raz pierwszy poprosiła o coś w niezbyt przyjemny sposób. Ale co byłoby niemiłe dla kogoś innego, dla Willa oznaczało wolność. Karzyła go, pożyczyła brzytwę męża, zaprosiła do stołu, pieca i ukołysała za pomocą grzebienia i nożyczek. Otworzył usta, a coś wewnątrz przynaglało go: Powiedz to, Parker. Obawiasz się, że pomyśli, co z ciebie za mężczyzna, jeśli to zrobisz?

- Te postrzyżyny to jedna z najlepszych rzeczy, jaka mnie spotkała, i to od dawna.

Wiedziała doskonale, co chciał powiedzieć. Ona także zbyt wiele czasu spędziła w świecie bez miłości, pozbawionym czułości i wzajemności. To dziwne, że takie proste stwierdzenie stworzyło między nimi nic porozumienia.

- Tak, bardzo się cieszę.

- W więzieniu...

- Co było w więzieniu? - Znowu spojrzała na niego.

Nie powinien był zaczynać tego tematu, ale było w niej coś, co sprawiało, że zaczynał mówić i chciał powierzyć tajemnice, które raniły najbardziej.

- W więzieniu używali brzęczących maszynek do strzyżenia i ścinali prawie wszystkie włosy, tak że miało się uczucie... - Odwrócił wzrok, mimo wszystko czując niechęć, by dokończyć tę myśl.

- Jakie uczucie? - zachęcała go.

Spojrzał na włosy na szufelce, przypominając sobie, co chciał powiedzieć.

- ...że jest się nagim.

Żadne z nich nie poruszyło się. Czując, jak ciężko przyszło mu to wyznanie, chciała wyciągnąć rękę i dotknąć jego ramienia, ale zanim zdołała to zrobić, podniósł szufelkę, a zawartość wrzucił do pieca.

- Pójdę zająć się świniami - rzekł, kończąc tę chwilę bliskości.

Donald Wade zgodził się pokazać Willowi, gdzie są świnie. Eleonora wysłała ich z wiadrem napełnionym do połowy mlekiem i poleceniem, aby nakarmić je.

- Nakarmić świnie mlekiem? - zawołał Will przerażony. Niemal całe życie nękał go głód, a ona karmiła świnie mlekiem prosto od krowy.

- Herbert daje więcej mleka, niż możemy zużyć, a ciężarówka mleczarza nie może tu dojechać, podjazd jest zupełnie zarośnięty. A poza tym nie chcę, aby jacyś wścibscy ludzie z miasta się tu kręcili. Nakarmcie nim świnie.

Will z ciężkim sercem wynosił mleko z domu. Chłopiec prowadził go, chociaż Will

znalazłby wybieg dla świń, kierując się węchem. Przechodząc przez podwórko, uważniej przyjrzał się drodze dojazdowej. Wyglądało to wszystko kiepsko, to prawda. Jednak pani Dinsmore miała mulicę, a jeśli była tu mulica, to musi się znaleźć zaprzęg. Musi zadbać, by droga była przejezdna. Wtedy wywiezie stąd złom. Już teraz oceniał, że to nie odpady, ale kawałki metalu. Kawałki te wkrótce przyniosą pokaźną sumkę, gdyż teraz Ameryka rozpoczęła dostawy wojenne do Anglii. Ta kobieta jest właścicielką kopalni złota i nawet o tym nie wie.

Nie tylko podjazd przedstawiał się żałośnie; podwórko za dnia również wyglądało nędznie. Budynki znajdowały się w opłakanym stanie i robiły wrażenie, że można je rozwalić jednym energicznym kopniakiem. Te, które zbudowano kilka ładnych lat temu, należało pilnie odmalować. W korycie na ziarno leżało żelastwo - beczki, klatki, zwoje zardzewiałego drutu kolczastego i sterty wypaczonego drewna. Will nie wiedział, jakim cudem drzwi od klatki z kurczakami jeszcze się trzymały. Gdy przechodzili, poczuli okropny zapach. Nic dziwnego, że kury na noc chodziły na złomowisko. Przeszli obok stosów, na które składały się części różnych maszyn i pustych puszek po farbie - nie potrafił odgadnąć, na co mogło pójść tyle farby. Wyglądało na to, że koza znalazła sobie siedzibę w porzuconej ciężarówce. Żuła teraz obicia i to, czym były wypchane, rozwlekając wszystko po trawie. O Boże - pomyślał Will - jest tu tyle roboty do zrobienia, że człowiek mógłby pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę przez okrągły rok.

Donald Wade, który szedł obok, podskakując, przerwał jego rozmyślenia.

- To tutaj. - Chłopczyk pokazał mu jakiś barak, który wyglądał jak szopa do suszenia tytoniu.

- Co tutaj jest?

- Tutaj trzymamy tłuczone kartofle dla świń.

Zaprowadził go do składziku wypchanego wszelkimi możliwymi przedmiotami, od mydła do powidła, które tym razem nadawały się do użytku. Było oczywiste, że Dinsmore nie tylko zbierał złom. Czym jeszcze się zajmował - handlem wymiennym czy sprzedają koni? Puszki z farbą w tym pomieszczeniu były pełne, zwoje drutu kolczastego - nowe, poza tym były tam meble, narzędzia, siodła, maszyna drukarska, pojemniki na jajka, bloki do podnoszenia ciężarów, trzcinowe tyczki, zderzaki, formy na suknie, tłoki, koszyczki wielkanocne, bojler, dzwonki na szyje krów, nielegalnie pędzony alkohol, sprężyny do łóżka - Bóg tylko wie, co jeszcze schowano w tym szczelnie wypełnionym składziku.

Chłopiec wskazał mu worek jutowy leżący na brudnej podłodze obok zardzewiałej puszki z kawą.

- Dwie. - Podniósł do góry trzy paluszki, ale jeden musiał opuścić.

- Dwie?

- Mama miesza dwie porcje z mlekiem.

Will przykucnął obok Donalda, otworzył worek i uśmiechnął się, widząc, jak chłopczyk nadal opuszcza paluszek.

- Czy chcesz wsypać dwie porcje?

Malec skinął główką tak energicznie, że aż poruszyły się na niej włosy. Napełnił puszkę po kawie, ale nie mógł jej wyciągnąć z głębokiego worka. Will nachylił się, aby pomóc. Mieszanka wpadła do mleka, wydzielając ostry zapach. Kiedy znalazła się tam i druga porcja, Donald Wade znalazł w kącie drewniany patyk.

- Rozmieszaj tym.

Will zaczął mieszać. Donald Wade, trzymając ręce w kieszeniach kombinezonu, przyglądał się temu. W końcu zaproponował ochoczo:

- Ja też umiem dobrze mieszać.

- Naprawdę umiesz? - Will uśmiechnął się ukradkiem. Donald Wade znowu kiwnął głową i jego jasne włoski podskoczyły do góry.

- To bardzo dobrze, bo właśnie przydałaby mi się chwila oddechu.

Nawet zaciskając obie ręczki na patyku, Donald Wade potrzebował pomocy Willa, który uśmiechnął się, widząc, jak chłopiec przygryza dolną wargę i słabymi rączkami obraca kijem. Dłonie Willa owinięły się zrećźnie wokół małych rączek. Ukląkł przy chłopcu i obaj zaczęli mieszać.

- Codziennie pomagasz mamie w tej pracy?

- Prawie, bo bardzo się męczy. Przeważnie zbieram jajka.

- Gdzie?

- Wszędzie.

- Wszędzie?

- Wokoło na podwórku. Wiem, które miejsca kury lubią najbardziej. Mogę ci pokazać.

- Znoszą dużo jajek?

Donald Wade wzruszył ramionkami.

- Mama sprzedaje je?

- Tak.

- W mieście?

- Na dole przy drodze. Po prostu kładzie je tam, a ludzie zostawiają pieniądze w puszcze. Nie lubi chodzić do miasta.

- A to dlaczego?

Donald Wade znowu wzruszy! ramionami.

- Ma jakichś przyjaciół?

- Tylko mojego tatusia. Ale on umarł.

- Tak, wiem. Bardzo mi przykro z tego powodu, Donaldzie Wade.

- Wiesz, co zrobił kiedyś Dzidzius?

- Co takiego?

- Zjadł robaka.

Do tej pory Will nie uświadamia! sobie, że dla czterolatka to, iż Dzidzius zjadł robaka, jest ważniejsze niż śmierć ojca. Roześmiał się i rozczochrał włosy malca. Były tak miękkie, jak sobie wyobrażał.

Mógłbym go bardzo polubić - pomyślał.

Gdy nakarmili świnię, zatrzymali się na chwilę przy pompie, aby opłukać wiadro. Obok był duży dół pełen błota i nie przerzucono nawet jednej deski, aby się nie roznosiło.

Oczywiście Donald Wade pobrudził buciki. Kiedy wrócili do domu, matka zaczęła krzyczeć:

- Uważaj, dziecko, i wyczyść buty, zanim wejdiesz do środka!

- To moja wina, proszę pani. Zabrałem go ze sobą do pompy - wtrącił się Will.

- Naprawdę? No cóż... - Nagle przestała robić wymówki, a potem rzuciła okiem na gospodarstwo. Gdy mówiła, w jej głosie słychać było lekkie przygnębienie. - Wiem, że wszystko tutaj wygląda dość zatrważająco. Myślę zresztą, że może pan to sam zauważyć.

Will nabrał wody w usta, ściągnął kapelusz na oczy, wsunął ręce do tylnych kieszeni i badawczo przyjrzał się gospodarstwu z zupełnie nieodgadnioną twarzą. Eleonora zerknęła na niego kątem oka, a jej serce zabiło ostrzegawczo. Teraz ucieknie. Z pewnością ucieknie stąd z szybkością błyskawicy, gdy dokładnie przyjrzy się temu miejscu w świetle dnia.

Ale on widział tylko, co można tu zrobić. I nic na tej pięknej zielonej ziemi nie było w stanie sprawić, by odszedł z tego miejsca, chyba że ktoś by go o to poprosił. Przypatrując się podwórku, powiedział tylko niskim głosem:

- Uważam, że przydałoby się trochę wyczyścić kurniki.

ROZDZIAŁ 5

Poszli na spacer, gdy słońce znajdowało się już nad drzewami, a złotozielony dzień pachniał upojnie latem. Will nigdy dotąd nie był na spacerze z kobietą i dziećmi. Działo to na niego w sposób dziwny i nieoczekiwany. Zauważył, jak Eleonora postępuje z dziećmi, jak na biodrze niesie Dwidziusia, którego pięta marszczy jej bluzkę. Widział, że gdy schodzili z ganku, wyciągnęła rękę po Donalda, prosząc go: Chodź, kochanie, ty nas poprowadzisz - i pomogła mu zejść z ostatniego schodka. Patrzyła, jak dziecko biegnie przed siebie, uśmiechała się, jak gdyby nigdy nie widziała jego trzepoczących jasnych włosów i luźnego kombinezonu w paski. Objęła Tomcia z tyłu, przechyliła się, odetchnęła głęboko świeżym powietrzem i powiedziała, spoglądając w niebo: Mój Boże, czyż to nie wspaniały dzień? Słyszał, jak woła: Uwważaj, Donaldzie, tam w trawie leży drut! Patrzył, jak podnosi z ziemi listek i podaje go Tomciowi, a następnie pozwala mu głaskać się nim po nosie i udaje, że to ją łaskocze, gdy mały chichotał.

Will przyglądał się temu zachwycony. Boże, co to była za matka. Nigdy nie podnosiła głosu. Zawsze widziała we wszystkim dobre strony. Troszczyła się stale o chłopców, dając im poczucie, że są bardzo ważni. Nikt nigdy nie dawał Willowi poczucia wartości, a jeśli, to tylko w jeden sposób.

Obserwował ją ukradkiem, widząc jeszcze wyraźniej okrągły brzuch, otoczony nóżką Dwidziusia. Donald Wade powiedział, że matka się męczy. Przypominając sobie słowa chłopca, Will zastanawiał się, czy nie zaproponować, że poniesie dziecko, ale czuł się niepewnie przy Dwidziusiu. Mało byłoby z niego pożytku, jeśli chodzi o łaskotanie w nos lub rozmowy. Oprócz tego mogła nie mieć tyle zaufania do nieznanego, aby powierzać mu chłopców Glendona.

Poszli na teren za domem, gdzie na sznurku rozpiętym pomiędzy kołyszącymi się palikami wzmocnionymi przez drewniane podpory powiewała ścierka. Leżały tam jeszcze większe sterty żelaza, a dalej, gdzie zaczynały się lasy - rosły sosny, dęby, orzechy i jeszcze inne drzewa. Wróbelki przelatywały przed nimi z jednego drzewa na drugie i Eleonora pokazywała je palcem, zwracając się do chłopców: Widzicie? To wróbelki. Obok przeleciał przedrzeźniacz i przysiadł na uschniętej gałęzi. Wskazała tym razem na niego i powiedziała, jak się nazywa. Słońce oświetlało jasnowłose główki chłopców i nadawało sukni ich matki jeszcze jaśniejszy odcień. Szli wzdłuż słabo widocznej ścieżki z koleiną, którą samochody musiały jeździć już dość dawno temu. Od czasu do czasu Donald Wade skakał, machając rękami. Młodszy synek zadarł głowę do góry i patrzył na niebo. Jego rączka leżała na

ramieniu matki. Byli tacy szczęśliwi! Will do tej pory nie spotkał zbyt wielu szczęśliwych ludzi. Było to niezwykle frapujące.

Wspięli się na leżące niedaleko domu wzgórze pokryte równymi rzędami karłowatych drzewek owocowych.

- To sad - oznajmiła Eleonora, przypatrując się drzewom.

- Jaki duży! - zauważył Will.

- A pan nie widział jeszcze nawet połowy. Tutaj są brzoskwinie. Tam rośnie bardzo dużo jabłoni i gruszek oraz pomarańczy. Glendon chciał eksperymentować z pomarańczami, ale nigdy nie przyniosły zbyt wielu owoców. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Tutejszy klimat im nie służy.

Will zszedł ze ścieżki i przyjrzał się owocom.

- Można było je spryskać.

- Wiem. - Z roztargnieniem głaskała dziecko po plecach. - Glendon miał zamiar to zrobić, ale umarł w kwietniu i już nie zdążył.

Tutaj na południu należy spryskać drzewka dużo wcześniej - pomyślał Will, ale nie powiedział. Poszli dalej.

- Ile lat mają te drzewka?

- Nie wiem dokładnie. Tata Glendona zasadził większość, gdy jeszcze żył. Wszystkie prócz pomarańczy, tak jak mówiłam. Są tu także jabłonie, gatunki, jakich tylko dusza zapragnie, ale nigdy nie mogłam zapamiętać ich nazw. Tata Glendona znał się na nich bardzo dobrze, ale zmarł, zanim wyszłam za mąż. Przywoził tu złom tak samo jak Glendon. Jeździł na wyprzedaje i wymieniał towary z wszystkimi, którzy się pojawiali, jak się wydawało, bez żadnego szczególnego uzasadnienia. - Nagle przerwała i zapytała: - Czy jadł pan kiedyś pigwę? Tutaj mamy pigwy.

- Są kwaśne jak rabarbar.

- Można z nich zrobić bardzo dobry słodki placek.

- Nic mi o tym nie wiadomo, proszę pani.

- Założę się, że chętnie skosztowałby pan kawałek?

- I mi też tak się zdaje. - Spojrzał na nią z ukosa.

- Dobrze by było, gdyby nabrał pan trochę ciała, panie Parker.

Skierował wzrok na drzewka pigwy i ściągnął rondo kapelusza tak nisko, że już nie widział horyzontu. Na szczęście zmieniła temat.

- W takim razie, gdzie pan jadł pigwy?

- W Kalifornii.

- W Kalifornii? - Spojrzała na niego zdumiona, podnosząc głowę. - Był pan tam?

- W dzieciństwie zrywałem tam kiedyś w lato owoce.

- Spotkał pan jakieś gwiazdy filmowe?

- Gwiazdy filmowe? - Nigdy nie powiedziałby, że interesuje się gwiazdami. - Nie. -

Spojrzał na nią: - A pani widziała kiedyś którąś z nich?

- Jakim cudem mogłam zobaczyć gwiazdy, gdy nigdy nie oglądałam żadnego filmu? -

Roześmiała się.

- Nigdy?

- Jednak w swoim czasie opowiadały mi o nich dzieci w szkole. - Potrząsnęła głową.

Chciał obiecać, że kiedyś zabierze ją do kina, ale skąd by miał wziąć pieniądze? A nawet jeśli by już je miał, w Whitney nie było kina. Oprócz tego wiedział, że unika miasta.

- W Kalifornii gwiazdy filmowe można spotkać tylko w Hollywood. Tam gdzie są góry, jest bardzo zimno, a ocean jest brudny i cuchnący.

Zrozumiała, że będzie miała co robić, jeśli zechce wykorzenić z niego ten pesymizm.

- Zawsze jest pan w tak dobrym humorze?

Chciał naciągnąć kapelusz jeszcze bardziej na oczy, ale gdyby to zrobił, nie widziałby zupełnie, gdzie idzie.

- Kalifornia wcale nie jest taka, jak się pani wydaje.

- Muszę przyznać, że nie miałabym zupełnie nic przeciwko temu, aby pan uśmiechał się trochę częściej.

- A niby z jakiego powodu miałbym się uśmiechać? - Spojrzał na nią ponuro.

- Myślę, panie Parker, że musi pan sam o tym zdecydować.

Dziecko zsunęło się z jej biodra.

- Mój Boże, Tomciu, ależ ty jesteś ciężki. Chodź, weź mamusię za rączkę, a ja ci coś pokażę. - Pokazała to, czego Will by nie zauważył - gałąź przypominającą łapę psa. - Człowiek mógłby wieki strugać i nie zrobiłby nic ładniejszego - oznajmiła. Znalazła miejsce, gdzie jakieś małe stworzonko uwiło sobie gniazdko w trawie i zostawiło dużo pustych strączków już bez nasion. - Gdybym była myszką, bardzo chciałabym mieszkać w tym cudownym pachnącym sadzie, a wy? - Znalazła zielonego konika polnego ukrytego pod jeszcze zieleńszymi źdźbłami trawy. - Musicie przyjrzeć się uważniej i zobaczyć, w jaki sposób uderza tylnymi nóżkami o skrzydełka, właśnie wtedy wydaje dźwięki. - W pobliskim lesie rosła wysoka magnolia, z której wyrastało drugie drzewko - młody i silny dąb rósł sobie zdrowo w górę.

- Skąd się tu wziął? - spytał Donald Wade.

- Jak myślisz?

- Nie wiem.

Ukucnęła obok chłopców, patrząc na drzewka jedno na drugim.

- No cóż, niegdyś w tych lasach mieszkała stara sowa. Pewnego razu o zmierzchu przysłała do mnie i zapytała ją o to samo. Pytam więc, jak to się stało, że dąb wyrósł na tej magnolii? - Uśmiechnęła się do Donalda Wade. - Wiesz, co mi odpowiedziała?

- Co? - Donald wpatrywał się w matkę, zdumiony i przejęty. Usiadła po turecku i zaczęła zdzierać korę z patyka, opowiadając dalej.

- A więc powiedziała mi, że kiedyś mieszkały tu dwie wiewiórki, a było to bardzo dawno temu. Jedna z nich pracowała bardzo ciężko, cały boży dzień nosiła żołądź do tej małej dziupli, którą widzicie na drzewie magnolii. - Pokazała ją kijkiem. - Za to druga wiewiórka była strasznie leniwa. Wylegiwała się na tamtej gałęzi - wskazała im najbliższą sosnę - zrobiła sobie poduszkę z ogona, założyła nogę na nogę i patrzyła, jak pracowita wiewiórka przygotowuje się na zimę. Czekala sobie cierpliwie, aż pewnego razu w dziupli było już tyle orzeszków i żołądź, że mało brakowało, a zaczęłyby się wysypywać. Wtedy to, gdy pracowita wiewiórka wyszła, aby poszukać ostatniego żołądź, leniwe zwierzątko zakradło się do dziupli i jadło, jadło i jadło, dopóki nie zostało po orzeszkach ani śladu. Było tak najedzone, że usiadło na gałęzi. Odbiło mu się tak mocno, że aż przechyliło się do tyłu i spadło. - Zaczerpnęła głęboki oddech, położyła ręce na kolanach, odbiło jej się głośno i padła plecami na ziemię z rozpostartymi ramionami. Will uśmiechnął się, Donald Wade zachichotał, a Dwidziusz zapiszczał. - Jednak w końcu nie okazało się to wcale takie śmieszne - ciągnęła dalej, spoglądając w niebo.

Donald Wade opanował się i pochylił się, aby spojrzeć mamie prosto w twarz.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ spadając, uderzyła głową w gałąź i zabiła się na miejscu.

Donald Wade palnął się w głowę, przewrócił na plecy i wyciągnął obok Eleonory. Miał zamknięte oczy, ale jego powieki drgały. Podniosła się i wzięła Tomcia na kolana.

- I właśnie wtedy wróciła pracowita wiewiórka z ostatnim żołądź w zębach, weszła na drzewo i zobaczyła, że wszystkie orzeszki i żołądź znikły. Krzyknęła, a wtedy ten ostatni, który niosła, wpadł tam, gdzie leżały łupinki pozostawione przez żarłoczną wiewiórkę. - Donald Wade także się podniósł, znowu zainteresowany opowieścią. - Wiewiórka wiedziała, że nie może zostać w lesie na zimę, ponieważ zebrała już wszystkie żołądź i orzeszki z całej okolicy. Musiała więc opuścić swą przytulną dziuplę i wróciła do niej dopiero wtedy, gdy była bardzo stara, tak stara, iż ogromną trudność sprawiało jej

wspinanie się po dębach tak jak w młodości. Jednak wtedy przypomniła sobie o małej dziupli na drzewie magnoliowym, gdzie było ciepło, sucho i bezpiecznie. Wspięła się tam, tak jak za dawnych starych czasów. I jak wam się zdaje, co zobaczyła?

- Że rośnie tam drzewko? - odważył się powiedzieć starszy chłopczyk.

- Tak właśnie było. - Odgarnęła włosy z oczu Donalda. - Małe drzewko dębowe pełne żołądzi, a było ich tam tyle, że stara wiewiórka już nigdy nie musiała biegać po drzewie tam i z powrotem, ponieważ rosły sobie nad jej głową, nad ciepłą i wygodną dziuplą.

- Opowiedz jeszcze jedną historię! - Donald Wade pospieszył z następną prośbą.

- No cóż, teraz to musimy już iść i pokazać panu Parkerowi resztę. - Poderwała się i złapała Tomcia za rękę. - Chodźcie, chłopcy. Donaldzie, weź braciszka za drugą rączkę. Proszę iść z nami, panie Parker - rzuciła przez ramię. - Robi się coraz później.

Will włókł się z tyłu, patrząc, jak niespiesznie idą ścieżką, trzymając się za ręce. Spódnica Eleonory pogniotła się z tyłu, ponieważ siedziała na wilgotnej trawie, ale zupełnie o to nie dbała. Była zajęta pokazywaniem ptaków, śmiała się cicho, rozmawiając z chłopcami ze śpiewnym południowym akcentem. Poczuł tęsknotę za matką, której nigdy nie znał, za ręką, której nigdy nie trzymał, zmyślonymi historiami, których mu nigdy nie opowiadano. Przez chwilę wyobrażał sobie, że miał taką matkę jak Eleonora Dinsmore. Każde dziecko powinno mieć taką matkę. „Musi pan sam o tym zdecydować”. Miał w pamięci te słowa, gdy tak dalej szli, a Will złapał się na tym, że odwraca się i patrzy na drzewo dębowe wyrastające z magnolii, uświadamiając sobie, jaka to rzadkość.

Po pewnym czasie doszli do miejsca, gdzie w podwójnym rzędzie stały ule - poszarzałe, wyblakłe i zaniedbane jak rozrzucone punkciki na skraju sadu. Zastanawiał się, czy wie coś o pszczołach, ale niczego nie wiedział. Uważał, że są potencjalnym źródłem dochodu, ale ona obeszła ule z daleka. Przypomnił sobie, że Glendon zginął, gdy zajmował się pszczołami, i pochowała go gdzieś tutaj w sadzie. Jednak nie widział grobu, a ona nie pokazała go. Tak, Dinsmore zmarł tu tragiczną śmiercią, jednak Will czuł, że i tak pasjonują go ule i nieliczne brzęczące nad nimi owady, zapach owoców - opadłych z drzew czy rosnących na nich - coraz bardziej intensywny, bo robiło się coraz cieplej i zbliżało się powoli południe. Myślał o mężczyźnie, który mieszkał tu przed nim, nie dbał o nic, nie skończył niczego i w sposób oczywisty nie martwił się o nic. Jak mógł dopuścić, żeby wszystko niszczało, doprowadzić gospodarstwo do takiej ruiny? Jak ktoś, kto miał szczęście być właścicielem tak wielu rzeczy, mógł tak mało dbać o to, w jakim stanie się znajdują? Will w ciągu dziesięciu sekund mógł wyliczyć, co posiadał w życiu. Były to: koń, siodło, ubranie i brzytwa. Wyciągając nogi, aby dogonić Eleonorę Dinsmore, zastanawiał się, czy była też taką

niepraktyczną marzycielką jak jej zmarły mąż.

Doszli do lasku leszczynowego, który wyglądał bardzo nęcąco, gałęzie drzew ugięły się bowiem pod ciężarem niedojrzałych orzechów. Na ścieżce za następnym wzniesieniem stał traktor, tarasujący przejście.

- Co to jest? - Oczy Willa rozjaśniły się.

- To stary traktor Glendona - wyjaśniła, gdy Will zaczął wolno obchodzić rdzewiejący kadłub. - Tutaj się zepsuł, tutaj więc go zostawił. - Był to stary Bates Model G, ale Will nie był pewny, który rocznik - dwudziesty szósty, a być może dwudziesty siódmy. Z przodu miał dwa stalowe koła rozstawione w dużej odległości od siebie, a z każdej strony z tyłu znajdowały się trzy większe koła na gąsienicach. W kilku miejscach w gąsienicach brakowało kolców. Rzucił okiem na silnik i zważył, czy kiedykolwiek jeszcze usłyszy jego warkot.

- Nie znam się za bardzo na silnikach, ale coś mi się zdaje, że ten jest zupełnie do niczego.

Szli dalej, dochodząc aż do końca posiadłości, wracając do domu inną ścieżką. Minęli ścierniska i kępy drzew i w końcu weszli na pagórek, gdzie Will stanął jak wryty. Odsunął kapelusz do tyłu i patrzył z otwartymi ze zdumienia ustami.

- A niech mnie kule biją - wymruczał. U ich stóp rozciągało się istne cmentarzysko żelaznych piecyków, rdzewiejących powoli na łące.

- Jest ich całkiem sporo, nieprawdaż? - Eleonora stanęła tuż za nim. - Miałam wrażenie, że co tydzień przywozi jeden do domu. Zapytałam go: Glendonie, co zamierzasz zrobić z tymi wszystkim piecykami, gdy wszyscy zamieniają je na gazowe i naftowe? Jednak on stale je zwoził, wystarczyło, że usłyszał, iż ktoś wymienia piecyk.

Musiało ich tu być chyba z pięćset, wszystkie w kolorze drogi prowadzącej do Whitney.

- Niech mnie kule biją - powtórzył Will, podnosząc kapelusz i drapiąc się w głowę, wyobrażając sobie, jakiego wysiłku trzeba, by je stąd wywieźć.

Spojrzała na niego z boku. Twarz Willa jasno odcinała się od błękitu nieba. Kapelusz miał zsunięty do tyłu i widoczne były jego włosy. Czy odważy się powiedzieć również o reszcie? Zdecydowała, że to zrobi. W końcu i tak by się dowiedział.

- Niech pan tylko zobaczy samochody. - Will odwrócił się w jej stronę. Po tym, co zobaczył, nic już go nie zaskoczy.

- Samochody?

- Zupełnie zniszczone, co do jednego, w znacznie gorszym stanie niż traktor.

Z rękami opartymi na biodrach przez długą chwilę przyglądał się piecykom. W końcu

westchnął, poprawił na głowie kapelusz i powiedział:

- No cóż, lepiej, żebyśmy mieli to za sobą.

Samochody znajdowały się bezpośrednio za lasem otaczających przybudówki - w ten sposób zrobili prawie pełne koło, obchodząc gospodarstwo - i tworzyły bezładny śmietnik; z daleka wśród zielska dostrzegli otwarte na oścież drzwi i zapadające się dachy. Podeszli do starego modelu Whippet 1928 pozbawionego okien. Kapryfolum pięło się po kołach i wzdłuż przedniego zderzaka. Na stopniu obok osłony tylnego zderzaka zagnieździł się jakiś ptaszek.

- Czy mogę go poprowadzić? - zapytał Donald Wade z nadzieją.

- Oczywiście. Chcesz zabrać ze sobą Dzidziusia?

- Choć, Tomciu. - Malec wziął brata za rączkę, przedarli się przez trawę, a potem pomógł mu wsiąść. Usiedli obok siebie, odbijając się od siedzeń w strzępach. Donald obracał kierownicą w prawo i w lewo, naśladując silnik. Gdy podeszli do nich Eleonora i Will, jeszcze bardziej energicznie zaczął obracać kierownicą. Naśladując brata, Tomcio wyciągnął język i dmuchał, wyrzucając kropelki śliny na pajęczynę zaczepioną o czarną spłowiła tablicę rozdzielczą samochodu.

Eleonora stała przy otwartych drzwiach i śmiała się. Im bardziej się zaśmiewała, tym żywiej chłopcy podskakiwali i pluli. Im więcej podskakiwali i pluli, z tym większym ożywieniem Donald Wade obracał kierownicą.

Skrzyżowała ręce na oknie, pochyliła się do przodu, opierając podbródek na nadgarstku.

- Dokąd jedziecie, chłopcy?

- Do Atlanty! - pisnął Donald Wade.

- Lanty - powtórzył jak papuga Tomcio.

- Atlanty? - drażniła się z nimi matka. - A jak wam się zdaje, co zamierzacie tam zrobić?

- Nie wiem. - Donald mknął na złamanie karku, stara kierownica obracała się szybko w jego piegowatych rączkach.

- Czy podwiózłbyś jedną ładną panią?

- Nie mogę się zatrzymać, jadę zbyt szybko!

- Co byś powiedział, gdybym wskoczyła na stopień, gdy tak sobie pędzisz?

- Zgoda, droga pani!

- Au! - Eleonora odskoczyła i złapała się za stopę. - Najechałeś mi na palec, młody człowieku!

- Uch! - Tłusta nóżka Donalda przycisnęła pedał do ziemi, a on zahamował z piskiem.

- Proszę wsiadać, drzwi zamykać!

Eleonora udawała obrażoną. Zadarła nos do góry i odwróciła się.

- Nie myśl sobie, że teraz mi na tym zależy, gdy najechałeś na moje stopy. Myślę, że znajdę sobie kogoś innego, kto jeździ uważniej niż ty. Jednak możesz zapytać pana Parkera, czy nie zechce, byś podwiózł go do miasta. Trochę spacerował i prawdopodobnie jest skonany, prawda, panie Parker? - Spojrzała na niego z ukosa z zawadiackim uśmiechem.

Will nigdy nie brał udziału w takich zabawach. Czuł, że zwraca na siebie uwagę - jest zupełnie pozbawiony wyobraźni, a tu oni przyglądają się, czekając na odpowiedź. Gorączkowo szukał wyjścia i nagle przyszła mu do głowy genialna myśl.

- Następnym razem, chłopcy. - Podniósł do góry jeden zdarty but. - Mam parę nowiutkich butów i muszę je rozchodzić przed sobotnią potańcówką.

- Dobrze, proszę pana. Brrrr! - Jeszcze więcej śliny Donalda i więcej śmiechu Eleonory Dinsmore towarzyszyło wyimaginowanemu warkotowi silnika.

Na Willa i Eleonorę padały plamki światła, gdy stali tak pod dębem, w trawie i kapryfolium sięgającym do kolan. Will miał wrażenie, że znowu jest dzieckiem, doświadczał radości, których nigdy wcześniej nie zaznał. Dzień był ciepły, pachniało zielenią i w tej chwili nie miał potrzeby, aby gdzieś gnać, planować coś, czegoś sobie życzyć lub żałować. Wystarczyło patrzeć, jak dwóch blondasków jedzie do Atlanty modelem z 1928 roku.

Eleonora przestała się śmiać, ale na twarzy pozostał jej jeszcze uśmiech, gdy przyglądała się Willowi. Pochylił się z jednej strony samochodu, opierając ciężar ciała na jednej nodze, a skrzyżowane ramiona oparł luźno na piersi. Słońce padało mu na czubek nosa, a na ustach pojawił się szczery uśmiech.

- No i cóż teraz widzimy? - zapytała miękko.

Podniósł wzrok i zobaczył, że na niego patrzy. A więc udało się - uśmiechnął się. Uśmiechał się - czuł się tak cudownie, jak wtedy, gdy miał pełny żołądek. Nie chciał tego pomniejszać ani ukrywać, ale wiedział jednak, że to zasługa Eleonory Dinsmore.

- Dobrze się pan czuje? - spytała cicho.

Piwne oczy złagodniały, gdy spojrzały z wdzięcznością w zielone.

- Tak, proszę pani - odpowiedział cicho.

Uśmiechając się i widząc radość w oczach Willa, Eleonora wzruszyła się. Uświadomiła sobie bowiem, że to jej i chłopcom udało się wywołać ten uśmiech. Aż trudno uwierzyć, jak zmieniła się jego twarz - nie była już kamienna, zupełnie pozbawiona emocji, kąćki oczu marszczyły się, a usta złagodniały. Mogłabym sobie bez trudu poradzić z tym mężczyzną, teraz gdy wiem, jak sprawić, by się uśmiechnął.

Uśmiechał się cały czas, patrzył na jej zaokrąglony brzuch. Stała nieruchomo, gdy on uparcie mierzył ją wzrokiem. Zastanawiała się, o czym tak myślał. Na całe życie - to bardzo, bardzo długo. Niech patrzy, niech się decyduje. Ona zrobi to samo. Nigdy nie obchodziło jej, jak ludzie wyglądają - tak czy inaczej. Jednak Will Parker, wypoczęty i uśmiechnięty, to doprawdy miły sercu widok, co do tego nie było wątpliwości. Uświadamiając to sobie, poczuła się skrępowana, tym bardziej że lustrował ją wzrokiem. Podniósł oczy, a gdy spojrzenia ich spotkały się, Eleonora zarumieniła się.

- Wie pani, pani Dinsmore...

Przerwał im nagle krzyk Tomcia. Will spojrział przez ramię.

- Co się...

Donald Wade krzyczał - zupełnie błydy i przerażony. Will podbiegł do nich szybko i krzyknął:

- Jezu Chryste, ratuj ich! - Popędził do samochodu i wyciągnął Donalda za rączkę. - Uciekaj! Musisz się stąd wydostać! To pszczoły!

Kilka brzęczało już nad głową Willa. Jedna użądliła go w szyję, druga w nadgarstek, gdy sięgał po wyjącego Tomcia. Zanim wydostał się z samochodu, owady roily się już wszędzie. Nie zwracając uwagi na ustawiczne użądlenia, odganiał pszczoły od Tomcia, uderzając je kowbojskim kapeluszem. Eleonora i Donald Wade zaczęli biec, ale gdy Will dogonił ich, chłopiec potknął się i upadł na buzię, głośno krzycząc. Will złapał go, cały czas biegnąc. Miał dłuższe nogi niż Eleonora i wkrótce ją przegonił. Zatrzymując się niepewnie, odwrócił się za siebie. Gdzieś z tyłu z wysiłkiem posuwała się naprzód, idąc bardzo niezgrabnie, podtrzymując brzuch jedną ręką, wachlując się drugą. Pszczół było coraz więcej i słychać było gniewne mruczenie.

- Pani Dinsmore! - zawołał.

- Weź dzieci i uciekaj! - krzyczała Eleonora. - Nie czekaj na mnie!

Will zobaczył przerażenie w jej oczach i zatrzymał się niezdecydowany.

- Uciekaj! - krzyknęła.

Jedna pszczoła usiadła na ramieniu Tomcia. Płakał i zaczął miotać się jak oparzony na ręku Willa. Will odwrócił się i wypadł na ścieżkę z wyjącymi i szamoczącymi się chłopcami. Kiedy przegonił rój pszczoł, zatrzymał się, ciężko oddychając. Wtedy odwrócił się raz jeszcze. Zobaczył, że Eleonora potknęła się i upadła na twarz. Serce podskoczyło mu w piersi. Zostawił chłopców na środku ścieżki, rozkazując: Czekajcie tutaj! Następnie pobiegł do niej pędem, nie zwracając uwagi na wycia rozlegające się za nim. Nigdy jeszcze nie biegł tak szybko - pędził w stronę kobiety, która przewróciła się i teraz z trudem wstawała. Przysiadła

na boku z zamkniętymi oczami, chwiejąc się i trzymając kurczowo za brzuch. Jezu, miłosierny Boże - Will modlił się w jedyny znany sobie sposób - spraw, by nic jej się nie stało! Zatrzymał się nagle, wyciągając rękę.

- Pani Dinsmore. - Z trudem chwycił powietrze. Otworzyła oczy.

- Chłopcy, czy chłopcom nic się nie stało?

- Przede wszystkim są przestraszeni. - Zdjął kapelusz i ze złością odganiał dwie brzęczące pszczoły krążące nad jej głową. - Zmiatajcie stąd i to szybko!

Cały czas z oddali dochodziły krzyki chłopców. Will rzucił na nich niepewne spojrzenie, a następnie popatrzył na Eleonorę, która walczyła z uczuciem paniki. Wziął ją za rękę i zmusił, by się położyła.

- Proszę poleżeć chwilę. Pszczoły już odleciały.

- Ale chłopcy...

- Chłopcy mają po kilka uządleń, mogą chwilę pokrzyczeć. A teraz niech się pani położy, tak jak mówiłem. - Przestała się opierać i bez sił opadła na ziemię. Podłożył jej swój kapelusz pod głowę. - Proszę oprzeć na nim głowę.

Odpoczywając, czuła nieznaczny ból brzucha.

- Czy skaleczyła się pani w czasie upadku? - zapytał zaniepokojony, klękając obok i zastanawiając się, co zrobi, jeśli dziecko urodzi się przedwcześnie tutaj, w samym środku porośniętej chwastami ścieżki. Widział, jak jej brzuch podnosi się i opada, a ona traci oddech. Myślał, czy nie powinien jej zbadać. Jednak po co miałby to robić? Usiadł na pięcie, a rękę niepewnie oparł na biodrach.

- Czuję się dobrze... czy mógłby się pan zająć chłopcami?

- Ale pani...

- Poleżę tu sobie przez chwilę. Proszę zabrać chłopców do studni i pokryć uządlenia błotem możliwie jak najszybciej. To spędzi opuchliznę.

- Nie mogę pani tu tak zostawić.

- Tak, może pan! Proszę teraz zrobić to, co mówię! Uządlenia mogą zabić Tomcia, jeśli będzie ich zbyt dużo, a ja już straciłam ich ojca przez te pszczoły. Nie rozumie pan tego?

Oczy napelniły jej się łzami, a Will wstał niechętnie. Spojrzał na chłopców - nadal siedzieli na środku ścieżki, drąc się wniebogłosey. Przeniósł wzrok na ich matkę i pogroził palcem.

- Proszę nie ruszać się, dopóki nie wrócę. - I już znowu biegł. Chwilę później schwycił dwóch wrzeszczących chłopców i zaczął biec, trzymając ich w objęciach.

- Maaa - maaa! Chcę do mojej maaa - my! - Donald Wade miał kilka czerwonych

śladów na twarzy i na rączkach. Jedno ucho było purpurowe i spuchnięte. Piąstkami tarł oczy.

- Twoja mama nie może biec tak szybko. Trzymaj się mocno, a za chwilę przyłożymy coś zimnego na ukąszenia.

Tomciowi lało się z wszystkich możliwych miejsc. Cały był pogryziony, włączając w to nieładnie wyglądające zaczerwienienia na szyjce. Uzędlenia już zaczęły puchnąć. Na samą myśl, co mogło się zdarzyć, Will biegł coraz prędzej. Starał się myśleć racjonalnie, przypomnieć sobie, gdzie pani Dinsmore trzyma nóż do krojenia chleba. Pomyślał nagle o długim srebrnym ostrzu i wyobraził sobie, że musi przebić miękką skórę dziecka i włożyć do tchawicy. Wszystko przewróciło mu się w żołądku na tę myśl. Nie był pewny, czy potrafi to zrobić. A niech to, nie pozwól dzieciakowi się udusić, słyszysz mnie!

Nie myśl o tym, Parker, tylko nie ustawaj, biegnij cały czas! Dopóki wrzeszczy jak obdzierany ze skóry, na pewno się nie udusi.

Dzidzius wylą całą drogę na podwórze. Will dobiegi do pompy najszybciej jak mógł i padł na ziemię, rozpryskując błoto. Tam usiadł z dwoma wrzeszczącymi chłopcami. Na nosie Dzidziusia z prawej strony widniał bąbel. Łzy spływały mu po policzkach, mocząc ślady po uzędleniach. Will złapał Donalda za rączkę, odciągając piąstkę od oka.

- Nie trzyj oczu. - Siedział w zimnym mulistym błocie i zaczął okładać nim obu chłopców jednocześnie. Tomcio walczył z nim zaciekle, szarpiąc się, odchylając głowę do tyłu i odpychając ręce Willa. Jednak za chwilę wszystkie widoczne spuchnięte miejsca były już pokryte błotem. Wycie ustało i zamieniło się w urywane łkanie, a następnie urywane łkanie przeszło w ciężkie westchnienia, pełne zdziwienia, gdy chłopcy uświadomili sobie, że oto siedzą pod pompą i okłada się ich błotem. Will odpiął szelki Donalda i zsunął jego koszulkę. Zajął się kilkoma ukąszeniami na plecach i brzuszku, a następnie zdjął bluzeczkę Dzidziusia i zrobił to samo.

- Nieźle was urządziły - stwierdził, przyglądając się dzieciom uważnie i sprawdzając, czy o czymś nie zapomniał.

- Jak się czują?

Will drgnął, gdy usłyszał głos Eleonory. Stała obok kałuży, trzymając w ręku spłaszczony kapelusz.

- Zdawało mi się, że mówiłem, aby nie ruszała się pani z miejsca, dopóki nie wrócę.

- Jak się czują? - powtórzyła.

- Jeśli o to chodzi, mają się zupełnie nieźle. A pani?

- Też.

- Mamo. - Dzidzius wyciągnął rączki w jej kierunku, ale Will przytrzymał go.

- Posiedź tutaj minutę, chłopcze. Tylko ubłocisz mamusię.

Nagle Eleonora zmarszczyła twarz i zaczęła chichotać. Will obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Z czego się pani śmieje?

- Och, litości, gdyby mógł pan tylko zobaczyć, jak wyglądacie. - Zakryła ręką usta i zgięła się wpół ze śmiechu. - Właśnie zdałam sobie sprawę, jak śmiesznie to wygląda.

Will nagle bardzo się rozgniewał. Jak śmie stać tutaj, rechocząc, gdy jemu tymczasem ubyłoby ze strachu kilka kilogramów! Serce biło mu tak mocno, że aż bolały skronie! I to kiedy siedział tutaj, a jedyna para spodni, jaką posiadał, oblepiona była błotem! I to wszystko z powodu jej i chłopców!

- Nie ma w tym zupełnie nic zabawnego, więc, na Boga, niech pani przestanie się zaśmiewać!

Postawił niezbyt delikatnie obu chłopców na ziemi. Niezgrabnie podniósł się z błota i stanął z ugiętymi nogami jak małe dziecko z pełnymi pieluchami. A ona cały czas chichotała, zasłaniając się ręką. Chichotała, na miłość boską, kiedy mogła przed chwilą stracić dziecko.

Ogarnęła go jeszcze większa wściekłość. Pochylił głowę do przodu.

- Zwariowałaś, kobieto?

- Myślę, że już dawno - zdołała powiedzieć, śmiejąc się - a przynajmniej wszyscy tak mówią, prawda?

Ten dobry humor jeszcze bardziej go rozszłościł. Rozdrażniony powiedział:

- Niech pani pójdzie do domu i... i... - ale nie wiedział, co radzić. U diabła, czy w końcu jest akuszerką?

- Już idę, panie Parker, idę - odparła wesoło Eleonora. Poprawiła kapelusz i założyła go sobie na głowę, przy czym spadł jej na uszy. - Jak mogłam przejść, nie zauważając, że siedzicie tutaj w błocie? - Wyciągnęła rękę, by zabrać Donalda, ale Will warknął:

- Zaopiekuję się nimi! Proszę iść do domu i zająć się sobą.

Odwróciła się, roześmiała i niezgrabnym krokiem ruszyła pod górę.

Co za kobieta, niech ją diabli, nie miała za grosz rozumu, jeśli nie dotarło do niej, że powinna leżeć na plecach, odpoczywając po upadku. Zajmie mu trochę czasu, zanim przyzwyczai się do kogoś, kto ma tylko jedno w głowie i śmieje się z niego do rozpuku przy każdej możliwej okazji. Czy nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo go nastraszyła? Teraz kiedy było już po wszystkim, czuł w nogach ten wysiłek. To też bardzo go drażniło. Po kolana był w wodzie z powodu jakiejś kobiety, w dodatku zupełnie nieznamomej.

- Jak długo trzeba trzymać na nich błoto? - zawołał za nią niezbyt grzecznie.

- Około dziesięciu minut powinno wystarczyć. Ja tymczasem przygotuję coś przeciwko swędzeniu. - Położyła kapelusz na schodku na ganku i znikła w środku.

Will zdjął buty chłopcom i pozwolił bawić się w błocie. Czuł, że waży dwadzieścia kilogramów więcej, gdy z tyłu zwisa mu tyle błota. Od czasu do czasu zerkał, co się dzieje w domu, ale ona była w środku. Nie wiedział już sam, czy chce, aby wyszła, czy nie. Przeklęta istota, stała tu, śmiejąc się, gdy on tymczasem próbował uspokoić jej wyjące wniebogłosy dzieciaki. I nikt do tej pory nie nosił jego kapelusza. Nikt!

W domu Eleonora zabrała się do pracy - rozgniała tłuczkiem w moździerzu liście babki. Tak naprawdę nie zna się jakiejś osoby, dopóki nie zobaczy się jej w złości, a teraz zobaczyła, jak Will Parker się wścieka, i wiedziała, że nawet rozzłoszczony zachowywał się dość łagodnie - a to dobry znak. Jaki to był widok - gdy tak siedział w dole z błotem, a jego ciemne oczy rzucały iskry. Jeśli zostanie z nimi, będą się z tego śmiać jeszcze po wielu, wielu latach.

Podniosła wzrok i zobaczyła wzruszającą scenę.

- No, no, i co my tu widzimy - wyszeptła do siebie. Will Parker szedł sprężystym krokiem do domu, trzymając jej dwóch gołych synków w ramionach. Ich różowe i tłusciutkie tyłeczki kontrastowały z silnymi opalonymi rękami Parkera, a główki wyglądały na drobne i delikatne w umięśnionych ramionach. Stawiał duże kroki, ale szedł tak, jakby nie lubił się śpieszyć. Był z gołą głową, koszulę miał rozpiętą, poły jej powiewały, a on rzucał groźne spojrzenia. Jak przyjemnie było znowu zobaczyć chłopców z mężczyzną. Bali się obcych, ale nie minął nawet jeden dzień, a już polubili Willa Parkera. W jednym dniu zobaczyła wszystko, co trzeba, aby dojść do wniosku, że świetnie sobie poradzi i będzie dobrym ojcem, niezależnie od tego, czy chłopcy są jego, czy nie. Będzie postępował z nimi łagodnie i zadba o nich.

Patrzyła ukryta w kuchni, jak zbliża się do domu i zatrzymuje niepewnie przed schodkami prowadzącymi na ganek. Wyszła na zewnątrz, zauważając, że z jego spodni i koszuli kapie woda.

- Wszyscy wykapaliście się w zimnej źródlanej wodzie?

- Myślałem, że pani się położyła. - W jego głosie nadal słyszała gniew.

- Miałam bóle, jeden czy dwa, ale to naprawdę nic poważnego.

- Czy nie powinna pani pójść do lekarza?

- Do lekarza - zaczęła mówić ironicznie. - A na co mi lekarz?

- Mogę iść do miasta, zobaczyć, czy nie mogliby tu kogoś przysłać.

- Miasto do niczego nie jest mi potrzebne, a i ja też nie jestem mu potrzebna. Świetnie

dam sobie sama radę.

Boże miłościwy, jest w piątym miesiącu ciąży i nie była jeszcze u lekarza? Opuścił wzrok na naczynie, które trzymała.

- A co to jest?

- Roztarte liście babki na uządlenia, ale wcześniej musimy wysuszyć chłopców. Czy może pan wytrzeć jednego, gdy ja zajmę się drugim?

Weszła do domu, zanim Will zdążył odpowiedzieć. Chwilę później wróciła z dwoma ręcznikami, jeden rzuciła Willowi, a sama usiadła na dolnym schodku z drugim. Gdy wycierała Donalda, Will starał się utrzymać równowagę, trzymając między kolanami Tomcia. Kolejny pierwszy raz - pomyślał, niezgrabnie przyciągając dziecko do siebie. Tomcio był różowy i czyściutki. W milczeniu patrzył prosto w oczy Willa. Will uśmiechnął się.

- Mam cię wytrzeć, maluchu - odważył się powiedzieć cicho.

Tym razem nie uważał się już za takiego ignoranta, gdy rozmawiał z małym. Tomcio nie wył ani nie walczył, dlatego doszedł do wniosku, iż nieźle sobie radzi. Wkrótce przekonał się, iż dzieci zupełnie w niczym nie pomagają. Tomcio przeważnie wpatrywał się w niego z opuszczoną dolną wargą. Musiał podnosić do góry małe rączki, wycierać każdy palec z osobną, obracać ciałkiem w tę lub inną stronę. Will wytarł wszystkie fałdki i zagłębienia, ze szczególną delikatnością tam, gdzie pszczoły uządliły najmocniej. Szyjka Tomcia była taka maleńka i delikatna, a skóra gładka. Tak, Dzidzius pachniał ładniej niż jakiegokolwiek inne stworzenie znane Willowi. Nagle i nieoczekiwanie poczuł, jak opanowała go radość. Podniósł wzrok i zobaczył, że Eleonora go obserwuje.

- Jak panu idzie? - Uśmiechnęła się leniwie.

- Nieźle.

- To po raz pierwszy?

- Tak, proszę pani.

- Nigdy nie miał pan własnych?

- Nie, proszę pani.

- Nigdy się nie ożenił?

- Nie. - Siedzieli cicho, wycierając chłopców. Will złagodniał przy tym zadaniu, a ona już tak bardzo nie działała mu na nerwy.

- Wie pani, że śmiertelnie mnie przestraszyła, gdy upadła.

- Ja też śmiertelnie się przestraszyłam - powiedziała z tym samym leniwym uśmiechem.

- Nie chciałem na panią tak naskoczyć.

- Wszystko rozumiem - powiedziała, a po chwili dodała: - Sądzę, że jest panu dość zimno w tych mokrych spodniach.

- Za chwilę wyschną.

Will trzymał między kolanami zadowolonego malucha i nic nie zapowiadało, co stanie się, dopóki nie poczuł czegoś ciepłego na zimnym drelichu przyklepionym do uda. Spojrzał, krzyknął i zerwał się na równe nogi. Dzidzius beztrósko ugiął nogi i robił siusiu, żółta strużka łukiem spadała na ziemię, rozpryskując się dokoła.

- Skaranie boskie, Tomciu, zobacz, coś ty zrobił! - Eleonora odepchnęła na bok Donalda i zeszła ze schodka. - Och, panie Parker, tak mi przykro. - Spojrzała zmieszana na spodnie Willa. - Dzidzius nie jest jeszcze przyzwyczajony do... wie pan, i czasami, no cóż... - zająknęła się i zamilkła, szukając słów i rumieniając się. - Jest mi strasznie przykro.

Will stał z rozstawionymi nogami, przyglądając się szkodom.

- Tak jak pani powiedziała. I tak były mokre.

- Upiorę je i dam panu jakieś ubranie Glendona, aby miał pan co nosić, dopóki te nie wyschną - zaproponowała.

Podniósł głowę i spojrzeli na siebie. Była zmieszana, a on zakłopotany. Wtedy kąciuki ust Willa zaczęły się opuszczać, uśmiech zaczął pojawiać się niespiesznie na jego policzkach, dopóki nie sięgał od ucha do ucha. Parsknął, a w końcu wybuchnął śmiechem. A wtedy Eleonora przestała się martwić, odetchnęła z ulgą i również zaczęła się śmiać.

Stali tak na słońcu, śmiejąc się wspólnie po raz pierwszy, a dwa golaski przypatrywały im się uważnie.

Kiedy umilkli, coś się zmieniło. Nadal się uśmiechali, ale myśleli o przyszłości - o tym, co może się zdarzyć.

- A więc - powiedział w końcu - to właśnie tak wdraża pani do przyszłych zadań mężczyzn, którzy zgłaszają się tutaj w odpowiedzi na pani anons? - drażnił się z nią wesoło.

- Nigdy nie wiadomo, czego oczekiwać z takimi dwoma urwisami.

- Już będę wiedział następnym razem.

- Przyniosę ubranie Glendona. Może pan wziąć wiadro ciepłej wody do stodoły.

- Bardzo dziękuję, proszę pani.

Przez chwilę żadne z nich nie poruszyło się. Stali nieruchomo zaskoczeni i zaciekawieni teraz, gdy ujrzeli się w zupełnie nowym świetle. Chciał wyciągnąć rękę i dotknąć jej, myślał o tym, jakby to było, czy jej skóra jest tak miękka jak Donalda i też tak ciepła na słońcu. Zamiast tego jednak pochylił się, aby zabrać kapelusz ze schodka, i wsadził go na głowę. W kapeluszu czuł się już bezpiecznie.

- Zdecydowałem się zostać, jeśli pani nadal mnie chce zatrzymać - powiedział.

- Tak, chcę - odrzekła bezpośrednio.

Wzruszyło go to do głębi. Od kiedy sięgał pamięcią, nikt nie chciał Willa Parkera. Gdy stał tak w słońcu ze stopą opartą na stopniu ganku, a jej gołe dzieci siedziały na dole, obiecał sobie, że zrobi dla niej, co tylko będzie mógł, albo padnie.

- A jeśli chodzi o małżeństwo, możemy to odłożyć, dopóki nie będzie miała pani całkowitej pewności. A jeśli nigdy to nie nastąpi, cóż, w porządku. Będzie mi bardzo dobrze w stodole. Co pani o tym sądzi?

- Dobrze - zgodziła się, rzucając mu krótki nieśmiały uśmiech. Zastanawiał się, czy też jest tak poruszona jak on. Nigdy by się tego nie dowiedział, gdyby w tej właśnie chwili nie opuściła wzroku i nerwowo nie zaczęła poprawiać włosów z tyłu.

A niech mnie diabli - pomyślał Will - niech mnie wszyscy diabli wezmą.

ROZDZIAŁ 6

W pierwszym tygodniu pobytu Willa Parkera Eleonora widywała go bardzo rzadko, z wyjątkiem czasu posiłków. Pracował. I to pracował nieustannie. Od świtu do zachodu słońca nie ustawał w pracy. Pierwszego poranka ustanowili zwyczaje, które zachowywali w milczącym porozumieniu. Will rąbał i przynosił drzewo, rozpałał ogień, następnie przychodziła kolej na wiadro z wodą. Później wychodził, aby wydoić krowę, a Eleonora mogła sama krzątać się po kuchni. Gdy wracał, była już ubrana i zabierała się do śniadania. On tymczasem mył się i golił. Po śniadaniu karmił świnię, a następnie wychodził pracować nad tym, co wyznaczył sobie na dany dzień.

Na początku zajął się dwoma rzeczami - zrobił z listew drewnianą kratę do pompy i naprawił drabinę prowadzącą na stryszek z sianem. Wyczyścił stodołę bardzo starannie - wymiół pajęczyny, umył okna i wszystko inne - Eleonora nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek było tam czystiej - gnój wywiózł do sadu, a rynny ściekowe pokrył wapnem. Następnie zabrał się do kurnika, czyszcząc go dokładnie, naprawiając połamane grzędy, wstawiając nową siatkę w drzwi i okna oraz wbijając w ziemię paliki, aby zrobić wybieg dla kur. Kiedy to już wykonał, oznajmił, że przydałaby mu się pewna pomoc przy zaganianiu ptaków do środka. Wtedy razem bardzo radośnie spędzili godzinę, usiłując to zrobić. Przynajmniej Eleonorze czynność ta wydawała się zabawna, bo Will uważał ją za niezwykle irytującą. Machał kowbojskim kapeluszem i przeklinał, kiedy jakaś uparta kura nie chciała wejść tam, gdzie sobie życzył. Eleonora naśladowała kwakanie kur i zachęcała je do wejścia, sypiąc ziarna. Czasami naśladowała też ich wyniosły chód i wymyślała historyjki o tym, jak to pewnego razu kury zawędrowały w te strony; najciekawsze opowiadała o upartym świerszczu, który nie chciał zjechać na dół w gardle kury, gdy został już połknięty. Kury z całą pewnością nie były ulubionymi zwierzętami Willa. Przekłète głupie kurczaki - tak właśnie je nazywał. Jednak zanim zapędzili ostatniego kurczaka do kurnika, Eleonorze udało się wywołać na jego twarzy jeden niechętny uśmiech.

Will świetnie sobie radził z mulicą. Miała na imię Madam i Will polubił ją od razu, gdy tylko ujrzał szeroki nos za drzwiami stodoły, gdy wieczorem doił krowę. Madam nie pachniała lepiej niż stodoła, a więc gdy tylko wyczyścił pomieszczenie, postanowił, że musi się zabrać i do niej. Przywiązał mulicę do studni i umył płatkami mydłanymi, szorując szczotką i splukując wodą z wiadra i szmatą.

- Co pan, u diabła, tam robi? - zawołała Eleonora, wychodząc na ganek.

- Kąpię Madam.

- Po co, u licha?

- Potrzebuje kąpieli.

Eleonora nigdy nie słyszała o tym, aby szorować zwierzę płatkami mydłanymi! Ale co było najdziwniejsze - Glendon nigdy nie mógł sobie z nią poradzić, a po tej kąpieli Madam robiła wszystko, czego życzył sobie Will. Chodziła za nim jak tresowany piesek. Czasami Eleonora łapała Willa na tym, że patrzył w oczy Madam i szeptał coś do niej, jak gdyby oboje mieli jakieś wspólne sekrety.

Pewnego wieczora Will zaskoczył wszystkich, pojawiając się z Madam w uprząży na grzbiecie.

- A to co znowu? - Eleonora podeszła do drzwi, a za nią ruszyli Donald Wade i Dzidziuś.

Will uśmiechał się od ucha do ucha, mając nadzieję, że nie zrobi z siebie durnia.

- Madam i ja... no cóż jedziemy do Atlanty i bierzemy ze sobą pasażerów, którzy chcą z nami się zabrać.

- Do Atlanty! - Eleonora wpadła w panikę. Do Atlanty było ponad sześćdziesiąt kilometrów. Czego szukał w Atlancie? Ale wtedy zobaczyła, że się uśmiecha.

- Ktoś mi mówił, że chce zobaczyć film z Claudette Colbert - wyjaśnił Will.

Eleonora nagle zrozumiała. Zaczęła się śmiać, gdy Will głaskał Madam po nosie. W oczywisty sposób niełatwo było mu zdobyć się na żarty - a więc tym bardziej to doceniała. Stała w drzwiach z ręką na głowie Donalda i spytała:

- Czy ktoś chce przejechać się na Madam? - A następnie zwróciła się do Willa: - Jest pan pewny, że to bezpieczne?

- Jest łagodna jak baranek.

Stojąc na ganku, patrzyła, jak Will prowadzi uśmiechniętych chłopców przez podwórko, wsadza ich na grzbiet Madam, tak szeroki, że ich nóżki sterczą równolegle do ziemi. Donald Wade jechał za Tomciem, trzymając rączki na jego brzuszku. Co dziwniejsze, Tomcio wcale się nie bał. Trzymał mocno Madam za grzywę i gulgotał radośnie.

W dniach, które nastąpiły po tej przejażdżce, Donald Wade zaczął chodzić wszędzie za Willem, tak jak Madam. Dostawał ataku szału, gdy Eleonora mówiła „Nie, teraz czas na drzemkę” albo „Nie, Will zamierza się zająć czymś niebezpiecznym”. Jednak wtedy prawie zawsze wtrącał się Will:

- Proszę pozwolić chłopcu pójść. To żaden kłopot.

Pewnego ranka, kiedy mieszała ciasto na piernik, para ta pojawiła się na ganku z tyłu domu z piłami, gwoździami i drewnem.

- A co teraz chodzi po głowie wam dwóm? - spytała Eleonora, podchodząc do ażurowych drzwi i mieszając cały czas ciasto w misce opartej o brzuch.

- Will i ja zamierzamy naprawić podłogę na ganku! - oznajmił z dumą Donald Wade. - Prawda, Will?

- Oczywiście, mój mały. - Will spojrzał na Eleonorę. - Przydałaby mi się wełniana szmatka, jeśli ma pani taką na zbyciu.

Przyniosła gałganek, a następnie patrzyła, jak Will usiadł na schodku i cierpliwie tłumaczył Donaldowi, jak czyścić zardzewiałe ostrze. Zauważyła, że mieli maleńką piłę. Nie wiedziała, gdzie mogli ją znaleźć, ale wiedziała, że należy do Donalda. Will miał inną - większą, którą już dawno wyczyścił i naostrzył. Kiedy wyczyścili już mniejszą piłę, Will ścisnął ostrze między kolanami, wyjął z tylnej kieszeni metalowy pilnik i pokazał chłopcu, jak należy ostrzyć.

- Jesteś już gotowy? - spytał chłopca.

- Tak.

- Zaczynamy więc.

Donald Wade przeszkadzał cały czas, ciągle płacząc się Willowi pod nogami, jednak jego cierpliwość wobec chłopca była niewyczerpana. Posadził go na stołku, na którym sam zwykle siadał, dojąc krowę, dał mu kawałek drewna, nauczył, jak należy przytrzymać je kolanem i zabrać się do pracy, a następnie sam zaczął piłować drewno, by wymienić podłogę na ganku. Kiedy piła odmawiała chłopcu posłuszeństwa, Will przerywał pracę i nachylał się nad nim, trzymał małą rączkę i poruszał nią energicznie, dopóki nie odcięli kawałka drewna. Eleonora czuła, jak jej serce rośnie, gdy Donald chichotał, patrzył na nią z dumą i mówił:

- Udało się nam, Will!

- Tak, no jasne. Teraz idź i przynieś mi kilka gwoździ.

Gwoździe, jak zauważyła Eleonora, były zardzewiałe, a drewno nieco wypaczone. Po kilku godzinach ganek znowu jednak wyglądał stabilnie. Świątowali to, siedząc w słońcu na nowych schodkach i jedząc piernik udekorowany bitą śmietaną z mleka Herberta.

- Wie pan - Eleonora uśmiechnęła się do Willa - bardzo się cieszę, że znowu słyszę tu stukot młotka i dźwięk piły.

- A ja lubię zapach wypieków, gdy pracuję.

Następnego dnia pomalowali cały ganek - podłogę na ceglasty czerwony kolor, a kolumnienki na biało.

W czasie przyjęcia na nowym ganku podała ciasto imbirowe i bitą śmietaną. Jadł za

dwóch, a ona uwielbiała się temu przyglądać. Sprzątnął trzy kawałki, a następnie pogładził się po brzuchu i westchnął. Nigdy nie zapomniał, by podziękować, chociaż był bardzo oszczędny w słowach - „Wspaniały obiad, proszę pani” lub „Bardzo pani dziękuję za obiad”. Jednak podziękowania sprawiały, że praca nabierała wartości i Eleonora czuła się potrzebna jak nigdy wcześniej.

Uwielbiał jej ciasta i wydawało się, iż nigdy nie ma ich dosyć. Pewnego dnia, gdy nie przygotowała deseru, wyglądał na zawiedzionego, ale nic nie mówił na ten temat. Jednak godzinę później po podwieczorku znalazła na schodku na ganku wiadro pełne dojrzałych pigw.

Uśmiechnęła się na to upomnienie i rzuciła okiem na podwórko. Podniosła wiadro, weszła do środka i zaczęła robić ciasto.

Dla Willa Parkera pierwsze tygodnie w domu Eleonory Dinsmore były nieprzerwanym pasmem szczęścia. Praca - no cóż - praca była przywilejem, tak jak i sama myśl, że codziennie mógł decydować, co chce robić. Mógł rąbać drzewo, łątać podłogi, czyścić stodołę lub myć mulicę. Na cokolwiek się zdecyduje, nikt nie powie: „Chłopcze, czy tutaj rzeczywiście jest twoje miejsce? Kto kazał ci to zrobić?” Madam była miłym zwierzęciem, przywodziła mu na myśl dni, gdy zajmował się wypasem bydła i miał własnego konia. Wszystko podobało mu się w Madam, począwszy od nosa, a skończywszy na podwiniętych do góry rzęsach. Teraz na noc przyprowadzał ją do stodoły i robił sobie posłanie tuż obok niej w jednej z przegród, które wyczyszczone pachniały teraz słodką trawą.

Później przychodził ranek, co dzień lepszy niż poprzedni, a wraz z nim nadbiegał Donald, który chodził za Willem krok w krok, dotrzymując mu towarzystwa, i zachwycał się każdym wypowiedzianym przez niego słowem. Okazało się, że chłopiec stale go zaskakuje. Jakie czasami miał pomysły! Pewnego dnia, trzymając młotek - Will rozciągał wtedy drut wokół kurnika - przyjrzał się uważnie pomarańczowej kurze i zapytał poważnie:

- Hej, Will, jak to się dzieje, że kury nie mają ust?

Innego dnia on i Will w najlepsze przekopywali się przez stertę złomu, szukając zawiasów w ciemnym składziku, gdy podejrzany zapach zaczął psuć powietrze wokół nich. Donald Wade wyprostował się gwałtownie i powiedział:

- Och! Jeden z nas chyba puścił baka?

Ale Donald Wade nie tylko był zabawny. Był inteligentnym, ciekawym świata dzieckiem i uwielbiał Willa bez zastrzeżeń. Ten mały pomocnik chodził za nim jak cień.

- Pomogę ci, Will! - mówił i wszędzie wtykał swoją główkę, stawał na śrubokręcie i upuszczał gwoździe na trawę. Jednak Will nie zrezygnowałby nawet z jednej minuty tego

towarzystwa. Stwierdził, że lubi uczyć chłopca. Dowiedział się, jak należy to robić, obserwując Eleonorę. Tylko Will uczył dziecko innych rzeczy - rzeczy, którymi zajmowali się mężczyźni - nazw narzędzi, jak należy je trzymać, jak nitować skórę, jak zakładać siatkowe drzwi i je wzmacniać oraz jak czyścić kopytka mulicy.

Praca i Donald Wade dawały mu wiele szczęścia. No i oczywiście jedzenie. Wystarczyło tylko pójść do domu i wziąć je sobie, ukroić kawałek piernika z blachy lub posmarować masłem bułkę. Najbardziej lubił brać ze sobą coś słodkiego na dwór i jeść, gdy wolnym krokiem powracał do jakiegoś zadania wybranego przez siebie i zostawionego w połowie. Placek z pigwami - a niech to, ta kobieta wiedziała, jak dobrze zrobić placek z pigwy, prawdę mówiąc, umiała zrobić wszystko, ale placek z pigwami w jej wykonaniu to prawdziwa sztuka.

Nabierał ciała. Pasek w dżinsach był już ciasny, a bardzo dobrze pracowało mu się w luźnym kombinezonie Glendona. Dziwne, że ofiarowała mu dobrowolnie wszystkie rzeczy męża i nie żywiła do niego żadnej niechęci o to, że ich używa - dostał szczoteczkę do zębów, brzytwę, ubrania, nawet podłużyła spodnie, aby pasowały, bo Will miał dłuższe nogi.

Jednak na wdzięczność zasłużyła nie tylko dlatego, że dbała o jego podstawowe potrzeby. Obdarzała Willa zaufaniem, sprawiła, że opanowało go znowu poczucie godności i cieszył się na każdy nowy świt. Dzielila się swoimi dziećmi, które nadały jego życiu inny - szczęśliwy - wymiar. Znowu zaczął się uśmiechać.

Nie było takiej rzeczy, której nie mógłby wykonać. Nie było takiej rzeczy, której by nie chciał spróbować. Chciał zrobić wszystko naraz.

Mijały dni, a ulepszenia zaczynały stawać się coraz bardziej widoczne. Podwórko wyglądało lepiej, podobnie i ganek z tyłu domu. Jajka można było odnaleźć bez trudu, ponieważ kury miały wydzieloną przestrzeń ograniczoną do kurnika. Wolno, ale stale, sterta z porąbanym drewnem zmieniała swe kontury. W tym samym czasie, kiedy gospodarstwo było coraz lepiej utrzymane, Eleonora również zaczęła bardziej dbać o siebie. Nosiła buty i skarpetki do kostek, codziennie rano zakładała czysty fartuch i sukienkę, a we włosach widniała jasna dopasowana kolorystycznie do ubrania wstążka. Myła głowę dwa razy w tygodniu i okazało się, że Will miał rację. Czyste włosy miały miodowy odcień.

Czasami kiedy spotkali się w kuchni, przyglądał się jej uważniej i myślał: Dzisiaj rano wygląda pani ładnie, pani Dinsmore. Jednak nigdy nie zdołał tego wypowiedzieć, żeby nie pomyślała sobie, iż przypadkiem chodzi mu o coś więcej - nie tylko o podstawowe wygody. Prawdę mówiąc, choć minęło już tak wiele czasu, zawsze gdzieś w jego umyśle tkwiła podświadoma myśl, że siedział w więzieniu i za co. Dlatego starał się zachowywać dystans.

Oprócz tego miał jeszcze tyle do zrobienia, zanim udowodni, że warto go zatrzymać. Chciał skończyć tynkowanie, pomalować jeszcze raz dom, poprawić drogę, pozbyć się starych samochodów, sprawić, by sad znowu zaczął owocować, no i zostały jeszcze pszczoły. Lista ta wydawała się nieskończona i pewnego razu Will uświadomił sobie, że nie bardzo wie, jak to wszystko zrobić.

- Czy w Whitney jest biblioteka? - spytał któregoś dnia na początku listopada.

Eleonora spojrzała na niego znad rolady, którą właśnie zwijała.

- W ratuszu miejskim. Dlaczego pan pyta?

- Chcę dowiedzieć się czegoś o jabłoniach i pszczołach.

Will wyczuł jej opór, zanim jeszcze zaczęła mówić.

- Pszczołach?

Utkwił w niej wzrok i pozwolił temu spojrzeniu mówić za siebie. Nauczył się już do tej pory, że to był najlepszy sposób, by poradzić sobie z nią, kiedy się w czymś nie zgadzali.

- Chciałam zapytać, czy zna pan biblioteki i wie, jak z nich korzystać?

- W więzieniu czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce. Mieli tam bibliotekę.

- Och.

Była to jedna z nielicznych chwil, kiedy napomknął o więzieniu, ale teraz nie rozwijał tego tematu. Za to zadawał pytania:

- Czy pani mąż miał jeden z tych kapeluszy z osłoną i wyposażenie potrzebne pszczelarzowi? - Nie wiedział dużo, ale wiedział, iż potrzebuje odpowiedniego sprzętu.

- Gdzieś to wszystko leżało.

- Czy mogłaby pani znaleźć to dla mnie?

- Nie chcę, aby zajmował się pan tymi pszczołami. - Na jej twarzy widoczny był lęk, który wkrótce zastąpił upór.

- Nie tknę ich, dopóki nie będę wiedział, co robię.

- Nie!

Nie chciał się z nią kłócić, bo rozumiał, dlaczego bała się pszczoł. Jednak zgodzić się, by ule stały opustoszałe, to był zupełny nonsens, szczególnie że miód mógł przynieść im go-tówkę. Najlepszym sposobem, by ją zjednać, było samemu zachować łagodność.

- Będę bardzo wdzięczny, jeśli poszuka pani dla mnie tych rzeczy - powiedział grzecznie, a następnie wstał od stołu po obiedzie i sięgnął po kapelusz. - Dziś po południu pójdę do biblioteki do miasta. Jeśli pani chce, mogę zabrać jajka. Spróbuję je sprzedać.

Wziął wiadro z ciepłą wodą i przybory do golenia do stodoły i wyszedł stamtąd pół godziny później odszykowany w czystych, dopiero co upranych dżinsach i koszuli. Kiedy

spotkali się w kuchni, nadal miała zaciętą minę.

- Teraz wychodzę. No i jak będzie z tymi jajkami?

Nie chciała rozmawiać, ale ręką wskazała pięć tuzinów jajek stojących na ganku w drewnianym pojemniku zbitym z deseczek.

Są bardzo ciężkie, ale niech je sobie dźwiga, pomyślała z uporem. Jeśli chciał sprzedawać jajka mieszkańcom zadzierającym głowy do góry i zdobywać wiedzę o pszczołach, i był coraz bardziej łasy na pieniądze, to niech je sobie niesie!

Udawała, że nie widzi, jak podnosi pojemnik, ale zwyciężyła ciekawość, gdy postawił go na ziemi i zniknął na tyłach domu. Minutę później powrócił, ciągnąc drewniany wózek Donalda. Załadował pojemnik z jajkami, ale stwierdził, że rączka jest zbyt krótka na jego wzrost. Patrzyła zadowolona, kiedy od razu przy pierwszym kroku uderzył nogami o wózek. Pięć minut później, kiedy nadal milczała uparcie, zobaczyła, jak ciągnie wózek drogą na długim sztywnym drucie przyczepionym do kijka.

Idź sobie w takim razie! Biegnij do miasta i przysłuchuj się każdemu słowu, jakie wypowiadają! Wróć z monetami brzęczącymi w kieszeni! Czytaj o swoich pszczołach i jabłoniach, i o wszystkim, co ci się podoba! Ale nie oczekuj przypadkiem, że ci to ułatwię!

Gladys Beasley siedziała za biurkiem przypominającym kazalnicę, wygładzając i wyrównując karty biblioteczne. Były równiutkie, ale ona i tak je wyrówna. Ustawiła pieczętkę tam, gdzie było zagłębienie na polakierowanym drewnie. Na środku we wklęsłym rowku położyła pióro wieczne. Poprawiła także tabliczkę ze swoim imieniem i nazwiskiem stojącą na podpórce na biurku - Gladys Beasley, Dyrektor Biblioteki. Poprawiła stos czasopism i krzesło, aby wygodniej było trzymać kolana. Wszystkie te czynności wykonywała nerwowo i bez żadnej potrzeby.

Porządek był najważniejszą rzeczą w życiu Gladys Beasley. Porządek i dyscyplina. Prowadziła miejską bibliotekę w Whitney w stanie Georgia od czterdziestu jeden lat, odkąd to pan Carnegie, którego imieniem została nazwana, swoimi dotacjami przyczynił się do wzniesienia gmachu. Panna Beasley zamawiała pierwsze tytuły, zanim jeszcze założono półki, i pracowała w tym godnym czci gmachu od tamtej pory. W ciągu tych czterdziestu lat częstokroć zdarzyło jej się odesłać niejedną nieudolną pomocnicę całą we łzach, gdy nie udało jej się równo ustawić książek na półce.

Panna Beasley chodziła niczym żołnierz, stawiając dziarskie kroki - a żaden z nich nie był bezcelowy - w swych praktycznych czarnych półbutach, do których szewc dorobił specjalne gumowe podeszwy zagłuszające odgłos kroków na drewnianych podłogach w jej

królestwie. Jeśli było coś, co wyprowadzało Gladys jeszcze bardziej z równowagi niż półki z nieporządnie ustawionymi książkami, były to obcasy! Jeśli ktoś chodził w nich w jej bibliotece i oczekiwał, że zostanie tam wpuszczony jeszcze raz, powinien pomyśleć, aby włożyć inne buty!

Pochyliła się nad półką z czasopismami na podobieństwo ciężkiej artylerii, eksponując swój obfity biust. Była wyprostowana dzięki najdroższemu elastycznemu pasowi, jaki oferował najnowszy katalog mody - zalecał ten nabytek taktownie tym, którzy mieli „nadmierną ilość ciała w okolicy przepony”. Dżersejowa sukienka - z białymi zygzakami na tle w kolorze czegoś, co już dawno zostało strawione - zwisała prosto z jej okrągłych bioder na równie okrągłe łydki. Poruszała się w tym stroju bezszelestnie.

Położyła trzy nowe numery „Saturday Evening Post”, wyrównała je uważnie, aby znajdowały się w jednej linii z półką i przeszła się wzdłuż półokrągłych okien nad drzwiami, zerkając na drewniane listwy pomiędzy szybami i upewniając się, czy dozorca Levander Sprague nie miga się przypadkiem od obowiązków. Levander się starzał. Miał już nie taki wzrok jak kiedyś, a ostatnio musiała udzielić mu nagany, bo niestaranie odkurzał. Jednak dzisiaj nie miała powodu do skarg i zadowolona wróciła do obowiązków przy głównym biurku, usiadła na wprost podwójnych drzwi z drzewa klonowego - były zamknięte - prowadziły do szerokich schodów we wnętrzu budynku, u których podnóża znajdowały się główne drzwi wejściowe.

Upomnienia, tak! - coś takiego w ogóle nie powinno mieć miejsca. Każdy, kto nie zwrócił książki na czas, po prostu powinien tracić prawo do ponownego korzystania ze zbiorów. To powinno raz na zawsze położyć kres wszelkim upomnieniom. Gladys tak bardzo ściągnęła usta, że prawie nie było ich widać, gdy wypisywała adresy niesolidnych czytelników na tanich kartkach pocztowych.

Usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach w holu głównym. Gałka z mosiądzu przekreśliła się i do biblioteki wszedł jakiś nieznajomy wysoki, szczupły mężczyzna ubrany jak kowboj. Zatrzymał się, zerkając na salę, na biurko, na nią, a następnie w milczeniu skinął jej i uchylił kapelusza.

Ściągnięte usta Gladys rozluźniły się, kiedy odwzajemniła skinienie. Sztuka zdejmowania kapelusza - tak bardzo elegancka - już prawie zupełnie wymarła - do czego dążył ten świat?

Uważnie przyjrzał się pomieszczeniu, zanim wszedł do środka. Kiedy to zrobił, nie walił obcasami. Od razu podszedł cicho do katalogu z kartami, wybrał literę P, wyjął karty i przeglądał je uważnie przez pewien czas. Bezszelestnie wsunął katalog, a następnie zerknął

na tonący w słońcu pokój, zanim przeszedł pomiędzy dębowymi stolikami do działu popularnonaukowego. Przychodzili tu czasem czytelnicy, którzy czując się nieswojo sam na sam w przestronnym pokoju z panną Beasley, musieli koniecznie pogwizdywać, przeglądając książki na półkach. On jednak tego nie robił. Wybrał książkę z działu 600 - Nauki Stosowane - przesunął się, by wybrać jeszcze jedną, i przyniósł je od razu do jej biurka.

- Dzień dobry - Gladys powitała go szeptem.

- Dzień dobry, pani. - Will dotknął kapelusza i tak samo jak ona mówił bardzo cicho.

- Widzę, że znalazł już pan to, czego szukał.

- Tak, proszę pani. Chciałbym pożyczyć te książki.

- Czy ma pan kartę?

- Nie, proszę pani, chciałbym ją założyć.

Poruszała się z wojskową precyzją, wyciągając energicznie szufladę, odnajdując czystą kartę i rzucając ją na biurko. Miała równo przycięte paznokcie, których, Will był tego pewny, nigdy nie pomalowała lakierem. Zamknęła szufladę jednym ruchem sprężystego ciała, jednocześnie ściągając usta w podkówkę. Kiedy się poruszała, potrząsała głową na prawo i na lewo, a w powietrzu unosił się zapach goździków. Światło padające z jednego dużego okna prześlizgnęło się po jej okularach bez oprawek i oświetliło srebrne loczki, pomiędzy którymi różowo świeciła skóra. Zanurzyła pióro w atramencie, a następnie trzymała je w powietrzu nad kartą.

- Imię?

- Will Parker.

- Parker, Will - głośno powtarzała za nim, jednocześnie umieszczając tę informację w pierwszej rubryce.

- Mieszka pan na stałe w Whitney, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Adres?

- Ach, tak - potarł ręką nos - ulica Rock Creek.

Podniosła na niego oczy okrągłe jak spodki, a następnie zaczęła znowu pisać.

- Potrzebuję jakiegoś dowodu tożsamości, aby sprawdzić, gdzie pan mieszka. - Ponieważ nic nie powiedział ani się nie poruszył, podniosła głowę. - Mogę przyjąć wszystko. Nawet list z ostemplowanym znaczkiem z pana adresem na kopercie.

- Nie mam niczego.

- Niczego?

- Mieszkam tu od niedawna.

Odłożyła na bok pióro, wyjaśniając mu cierpliwie:

- No cóż, panie Parker, jestem pewna, że zrozumie pan, iż nie mogę tak po prostu wypożyczać książek każdej osobie, która tu przyjdzie. Muszę mieć pewność, iż tutaj mieszka na stałe. To biblioteka miejska. To samo przez się określa, kto uprawniony jest do korzystania z tej placówki. Oznacza, że należy ona do miasta, ponieważ utrzymywana jest przez mieszkańców miasta dla jego mieszkańców. Byłabym chyba w takim razie zupełnie nieodpowiedzialną bibliotekarką, gdybym nie wymagała żadnego dowodu tożsamości, prawda? - Odłożyła uważnie kartę, dając mu w wyraźny sposób do zrozumienia, że jest niezadowolona, ponieważ zmarnowała czas i kartę.

Oczekiwała, że będzie się wyklócać, tak jak zrobiłaby to większość osób na jego miejscu. Zamiast tego jednak zrobił krok do tyłu, naciągnął na oczy kapelusz i przyglądał się jej uważnie przez kilka sekund. Następnie zaś bez słowa skinął, zabrał książki, opierając je o biodro, i powrócił do działu literatury popularno - naukowej. Usadowił się na twardym dębowym krześle z oparciem w miejscu, gdzie padało silne słońce, otworzył książkę i zaczął czytać.

Gladys Beasley miała kilka kryteriów, według których oceniała czytelników. Były to: obcasy, ton głosu, zachowanie oraz poszanowanie książek i mebli. Pan Parker spełniał wszystkie te wymogi. Rzadko widziała kogoś bardziej pochłoniętego lekturą. Czytał i nie poruszał się nerwowo. Przewracał tylko kartki, od czasu do czasu przesuwając palcem wzdłuż tekstu, zamykając oczy, jak gdyby uczył się jakiegoś fragmentu na pamięć. Co więcej, nigdy się nie garbił ani nie niszczył krzesła stojącego naprzeciwko, używając go w charakterze podpórki. Siedział w kapeluszu z rondem naciągniętym na oczy, łokcie trzymał na stole i choć ugiął kolana, buty trzymał na podłodze. Książka leżała płasko na stole, tam gdzie było jej miejsce, nie opierała się o brzuch, co byłoby niezwykle szkodliwe dla oprawy. Również nie lizał palca, by odwrócić stronę, co było ohydny i niehigieniczny zwyczajem!

Na ogół, gdy ktoś przychodził i prosił o papier oraz ołówek, panna Beasley traktowała go ostro, mówiąc o sumienności i o tym, że należy wszystko zaplanować zawczasu. Jednak zachowanie Willa Parkera oraz jego koncentracja sprawiły, że żałowała, iż musiała mu odmówić i nie założyła karty. Z tego też powodu zdobyła się na ustępstwo od swoich zasad.

- Pomyślałam, że mogą się panu przydać - szepnęła, kładąc na stoliku ołówek i papier.

Will podniósł głowę i wyprostował ramiona.

- Bardzo dziękuję, proszę pani.

- Ach, widzę, że czyta pan o pszczołach. - Skrzyżowała ręce na swym obfitym łonie.

- I uprawie jabłoni. Tak, proszę pani.

- A to w jakim celu, panie Parker?

- Chciałbym się zająć hodowlą i uprawą.

- Być może mam na zapleczu w przybudówce kilka broszurek na ten temat, które mogą się panu przydać - myślała głośno, unosząc do góry brwi.

- Będę bardzo wdzięczny następnym razem, proszę pani. Dziś starczy mi pracy z tym, co mam.

Uśmiechnęła się sztywno i odeszła, zostawiając go przy pracy i roztaczając bardzo silny zapach goździków.

Zbliżało się południe. W mieście wszystko zamarło. Poruszały się jedynie muchy nad pojemnikiem z lodami. Lula była znudzona do szaleństwa. Siedziała na taborecie gdzieś w głębi pustej kawiarni. Gdy zsunęło się jej ramiączko biustonosza, musiała sięgnąć do środka białego - czarnego stroju, by je wyciągnąć, była zadowolona i z takiej odmiany. O Boże, to miasto pozbawi ją wszelkiego życia, zanim wyciągnie kopyta! Umrze z nudów na tym oto taborecie w barze, a klienci przyjdą wieczorem i powiedzą: Dobry wieczór, Lulu, proszę to, co zwykle. Nawet nie uświadomią sobie, że już skończyła, dopóki po trzydziestu minutach nie przyjedzie policja.

Lula ziewnęła, nadal trzymając rękę pod bluzką, bezmyślnie głaszcząc się po ramieniu. Była zmysłowa i lubiła się dotykać. Ale nikt w tej nędznej zapadłej mieścinie zupełnie się na tym nie znał. Harley, ten przygłupi dupek, zupełnie nie miał pojęcia o delikatności, gdy dotykał kobiety. Delikatność. Luli podobało się to słowo. Właśnie przeczytała je w artykule o tym, jak o sobie zadbać. Tak, delikatność, tego właśnie potrzebowała, delikatnego mężczyzny, kogoś znacznie lepszego niż Harley Overmire - przygłup.

Lula stłumiła ziewnięcie, wyciągnęła ramiona i wyprężyła biodra, obracając się leniwie na stołku w kierunku okna. Nagle podskoczyła na swoim taborecie.

Chryste, to był on, szedł ulicą, ciągnąc za sobą dziecięcy wózek. Taksującym wzrokiem oceniła szczupłe ciało, szczególnie wąskie biodra, gdy wolnym krokiem szedł tak wzdłuż placu miejskiego. Ukłonił się Norrisowi i Natowi McReady, dwóm zramolałym braciom kawalerom, którzy spędzali swoją starość, strugając coś na ławce po drugiej stronie ulicy. Lula popędziła do drzwi, wyszła na zewnątrz i pomyślała: Spójrz tutaj, Parker, lepiej się prezentuję niż te dwa stare gówna.

On jednak szedł dalej, nie patrząc w kierunku kawiarni. Lula chwyciła miotłę i wyszła na słońce pod pozorem, w który trudno byłoby zresztą uwierzyć, że chce zamieść chodnik,

jednocześnie patrząc, jak Will idzie przez plac. Postawił wózek w cieniu przy schodach ratusza i wszedł do środka.

Podobnie zrobiła i Lula. Weszła z powrotem do kawiarni, rzuciła miotłę w kąt i spojrzała z niecierpliwością na zegar. Była druga trzydzieści. Zaczęła bębnić długimi pomarańczowymi paznokciami w blat, z hukiem padła na taboret i odczekała pięć minut podniecona i zirytowana. Jeżeli nawet ktoś przyjdzie, to najwyżej na szklanekę mrożonej herbaty, na nic więcej, wiedziała o tym dobrze. I na pewno nie przed piątą trzydzieści. Staruszek Vickery dostanie szału, gdy dowie się, że uciekła i nie pilnowała kawiarni, ale przecież zawsze może mu powiedzieć, iż skoczyła do biblioteki przejrzeć czasopismo i nie było jej tylko minutkę.

Podjmując decyzję, zerwała się z taboretu, zrzuciła fartuszek oraz dopasowane do niego nakrycie głowy. Wyciągnęła puderniczkę. Jeszcze odrobina jaskrawej pomarańczowej pomadki na wargi, rzut oka na szwy w jedwabnych pończochach i już jej nie było.

Gladys Beasley spojrzała, gdy drzwi do biblioteki otworzyły się po raz drugi tego popołudnia. Ściągnęła usta, a jej podbródek zrobił się potrójny.

- Dzień dobry, panno Beasley - zaszczebotała Lula, a głos dotarł do sufitu kilka metrów nad głową.

- Cicho! Proszę przeczytać napis!

Lula zerknęła na napis przed biurkiem panny Beasley: MILCZENIE JEST ZŁOTEM.

- Przepraszam - szepnęła, przykrywając ręką usta i chichocząc. Rozejrzała się wokół - wszystko nieznanne - sufit, ściany, okna - tak jak gdyby nigdy tu wcześniej nie była, co nie odbiegało zresztą zbyt daleko od prawdy. Lula należała do kobiet, które czytały romanse typu „Prawdziwe wyznania”, a Gladys nie zamierzała wydawać pieniędzy podatnika na podobną szmatławą literaturę. Lula weszła do środka.

Stukot obcasów!

- Sz!

- Tak, przepraszam. Wejdę na palcach.

Will Parker podniósł wzrok, zerknął na Lulę bez żadnego zainteresowania i zabrał się znowu do czytania.

Biblioteka miała kształt litery U z jednej strony dochodzącej do schodów. Biurko panny Beasley, za którym znajdował się jej prywatny gabinet, dzieliło ogromną salę na dwie wyraźne części. Po prawej stronie znajdowała się beletrystyka, a po lewej literatura popularnonaukowa. Lula nigdy jeszcze nie była w lewej części, tam gdzie siedział teraz

Parker. Przypominając sobie o delikatności, przeszła najpierw do działu po prawej stronie, poruszając się wzdłuż półek, spoglądając w górę, a niekiedy na dół, jak gdyby przyglądając się tytułom w poszukiwaniu czegoś ciekawego. Wyjęła książkę w szmaragdowej oprawie - był to dokładnie ten odcień, jaki miała sukienka, którą wypatrzyła w dużym sklepie w Cartersville. Gustowny kolor, który szalowo będzie wyglądać w zestawieniu z jej nowym lakierem do paznokci o nazwie Płomień Tropiku. Położyła dłonie na okładce książki i pokiwała głową z aprobatą. Będzie musiała wymyślić jakiś niezły numer, by skusić Harleya. Wtedy kupi jej ten mały ciuszek. Wstawiła książkę na miejsce i zajęła się następną. Melville, o tym gościu już kiedyś słyszała. Musiał zrobić coś, o czym było głośno. Jednak książka była za gruba, a druk za mały, więc wrzuciła ją z powrotem na półkę i dalej szukała.

Była na tyle wytworna i delikatna, że minęło pełnych dziesięć minut, zanim przejrzała dział beletrystyki i w końcu na palcach podeszła do panny Beasley z drugiej strony. Gdy przechodziła, kręciła młynka dwoma palcami, a następnie położyła sobie z tyłu ręce na biodrach, wypinając pierś do przodu.

Gladys ściągnęła pośladki i poszła tam, gdzie wcześniej była Lula, ustawiając na miejscu jednaście książek, które stały teraz nierówno, wystając poza półkę.

Lula zauważyła, że lewa strona biblioteki urządzona jest podobnie do prawej, była to równie przestronna sala z półkolistymi oknami wychodzącymi na ulicę. Półki z książkami wypełniały przestrzeń pomiędzy oknami a podłogą i znajdowały się na trzech pozostałych ścianach. Na środku pokoju stały niskie drewniane stoliki oraz krzesła. Lula obeszła dookoła całą salę, od czasu do czasu zerkając na Willa. Zawadziła palcem o półkę, a następnie zaczęła go ssać w bardzo wystudiowany i prowokacyjny sposób. Obróciła się, przystanąła tam, gdzie rząd półek biegł prostopadle do ściany. Przeszła między nimi, ustawiając się profilem do Willa, na wypadek gdyby odwrócił się i spojrzał. Położyła ręce z tyłu na biodrach, przybierając jak najkorzystniejszą pozę i patrząc z ukosa, czy na nią nie zerka. Po kilku minutach, kiedy nie uczynił tego, złapała biografię Beethovena i przewracając kartki, przyjrzała się Willowi dyskretnie.

Jaki był przystojny. A jak na nią działał ten naciągnięty na oczy kapelusz, osłaniający przed blaskiem południowego słońca. Cicha woda - pomyślała przejęta, gdy tak siedział, trzymając jeden palec pod stronicą książki zupełnie nieruchomo. Żałowała, iż nie jest muchą, bo wtedy mogłaby usiąść mu na nosie. Co to był za nos. Długi i smukły, niepodobny do mopsiego nosa, jaki miały pewne znane osoby. Miał też ładne usta. Och, tak chciałaby się nimi zająć.

Pochylił się, aby coś napisać, a ona obejrzała go od stóp do głów, przesunęła

wzrokiem po szczupłej klatce piersiowej i wysmukłych biodrach, zatrzymała się dopiero na kowbojskich butach pod stołem.

Położył ołówek i siedział odchylony do tyłu, co pozwoliło jej dostrzec klasyczną linię nosa.

Lula poczuła, że znowu ma na niego wielką ochotę.

Siedział tam, czytając książkę, tak jak wszyscy dobrzy uczniowie zwykli czytać w szkole, a tymczasem Lula myślała o tym, jakby poprawić i uatrakcyjnić swoje życie, wznieść się na wyżyny. Kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać, wzięła biografię i rzuciła z łoskotem na stolik, siadając naprzeciwko.

- Czy tu jest wolne? - odezwała się, cedząc słowa, załamując ręce, nachylając się nad blatem stołu i prezentując biust. Powoli podniósł wzrok. Pod rondem kapelusza zobaczyła duże ciemnobrązowe oczy z długimi rzęsami i usta, co do których miała bardzo wiele planów.

- Tak, proszę pani - odpowiedział cicho. Nie poruszając się, powrócił do lektury.

- Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli tu usiądę?

- Proszę bardzo. - Cała jego uwaga była skupiona na książce.

- O czym pan czyta?

- O pszczołach.

- Coś podobnego, a ja tymczasem zajmuję się literą B. - Podniosła swoją książkę. - To o Beethovenie. - W szkole lubiła muzykę, dlatego teraz umiała wymówić poprawnie nazwisko kompozytora. - Pisał muzykę kiedyś dawno temu, kiedy faceci nosili peruki i tym podobne rzeczy, wie pan o tym?

- Tak, wiem o tym. - Will i tym razem nie spojrział na nią.

- No cóż. - Krzesło zaskrzypiało, gdy Lula zaczęła je wyciągać. Usiadła energicznie, skrzyżowała nogi, otworzyła książkę i zaczęła przewracać kartki w takim samym tempie, w jakim machała nogą. - Dawno pana tu nie widziałam. Gdzie pan się chował?

Spojrzał na nią wymijająco, zastanawiając się, czy zadać sobie tyle trudu, by odpowiadać. Wyglądała na pozbawioną uczuć kobietę. Miała całą szopę włosów na czole. Usta pomalowała na kolor chili, a na twarzy miała stanowczo za dużo różu, który był położony zbyt wysoko na policzkach. Założyła jedną rękę na drugą na krawędzi stołu i oparła na nich biust. Piersi jej rozchyliły się wtedy i widać było wyraźnie miejsce, w którym się rozdzielały. Will z zadowoleniem dał do zrozumienia, że nie jest tym zupełnie zainteresowany.

- Mieszkam u pani Dinsmore.

- U zwariowanej Elly? Co pan powie. Jak ona się ma? - Kiedy Will nie odpowiadał,

pochyliła się bliżej i zapytała: - Wie pan chyba, dlaczego nazywają ją wariatką? A może nie powiedziała nic panu? - Wbrew własnej woli poczuł ciekawość. Sądził, że obraziłby panią Dinsmore, zachęcając Lulę, by mówiła, zachował więc milczenie. Lula jednakże nie potrzebowała wcale zachęty. - Uwięzili ją w tamtym domu, gdy była jeszcze dzieckiem, i zamknęli wszystkie okiennice, nie pozwalali nigdzie wychodzić, dopóki nie zmuszono ich prawnie, by posłali dziewczynkę do szkoły - a wtedy pozwalali jej być na wolności jedynie sześć godzin dziennie i zamykali znowu na noc. - Zadowolona z siebie wyprostowała się na krześle. - Ach, więc nie wiedział pan o tym. - Na twarzy Luli pojawił się wymowny uśmiech. - No cóż, niech pan ją o to kiedyś zapyta. Proszę się zapytać, czy nie mieszkała w tym opuszczonym domu przy szkole. Wie pan, w tym z płotem z palików i nietoperzami latającymi przy oknie na strychu. - Przynęła się jeszcze bliżej i dodała konspiracyjnym szeptem: - Na pana miejscu nie przebywałabym u niej dłużej niż to konieczne. Będą o panu źle mówić, jeśli wie pan, co mam na myśli, a chodzi mi o to tylko, że ta kobieta ma nierówno pod sufitem.

Lula wyprostowała się, jak gdyby miała powozic. Opuściła powieki i bawiła się bezmyślnie okładką biografii Beethovena, podnosząc ją i opuszczając. Wszędzie w całej sali słychać było ten stukot.

- Wiem, że trudno żyć w nowym mieście. Przypuszczam, że musi pan się cholernie nudzić, spędzając czas w podobnym miejscu. - Oczy Luli szybko przemknęły znacząco po półkach z książkami, a następnie znowu skierowały się na niego. - Jednak jeśli potrzebuje pan kogoś, by oprowadził pana po okolicy, z przyjemnością to uczynię. - Pod stołem głaskała palcem u nogi łydkę Willa. - Mam tu małe mieszkanko oddalone zaledwie cztery domy od placu miejskiego na ulicy Pecan.

- Przepraszam panią - Will przerwał ten wywód, wstając z miejsca. - Zostawiłem na słońcu jajka, które muszę sprzedać. Lepiej będzie, jeśli się nimi zajmę.

Lula uśmiechnęła się, patrząc, jak sunie w stronę półek z książkami. Zrozumiał, o co chodzi. Och, tak, doskonale to pojął - było to jasne i wyraźne. Widziała, jak podskoczył, kiedy dotknęła stopą jego nogi. Widziała, jak odłożył jedną książkę na swoje miejsce, a następnie przykucnął, aby odstawić na miejsce drugą. Zanim zdołał umknąć, wślizgnęła się tam, gdzie było przejście, chwytając go w zasadzkę pomiędzy dwoma rzędami półek. Wstał i odwrócił się, a ona otrzymała swoją nagrodę, gdy zobaczyła, iż się nagle zarumienił.

- Jeśli interesuje pana moja oferta, pracuję na ogół u pana Vickery. Jednak zawsze kończę o ósmej. - Wsunęła palce pomiędzy guziki jego koszuli i przejechała ręką w dół i w górę po owłosionej twardej skórze. Przybierając słodką minkę, wyszeptała jeszcze: - Do

zobaczenia, Parker.

Gdy odeszła, przesadnie kołysząc biodrami, Will spojrzął na oświetlony słońcem pokój i zobaczył krytyczne spojrzenie bibliotekarki, która widziała całą tę scenę. Natychmiast odwróciła wzrok, ale nawet z tej odległości Will dostrzegł, jak ciasno zasznurowała usta. Czuł, że cały trzęsie się w środku, tak jak gdyby pogwałcono jego uczucia. Kobiety takie jak Lula w oczywisty sposób przysparzały tylko kłopotów. Był czas, kiedy skorzystałby chętnie z tej oferty i cieszył się każdą minutą, jednak teraz to się zmieniło. Teraz chciał tylko spokojnie żyć, a ten spokój oznaczał dom Eleonory Dinsmore. Nagle poczuł ogromną potrzebę, aby tam wrócić.

Lula już wyszła, obcasy stuknęły jeszcze przez chwilę, zanim Will doszedł do biurka.

- Bardzo dziękuję za to, że mogłem skorzystać z papieru i ołówka, proszę pani.

Gladys Beasley podniosła głowę. Widać było wyraźnie, że jest zdegustowana.

- Proszę bardzo.

Will poczuł się dotknięty do żywego tą cichą odprawą, a przecież nie zrobił nawet jednego ruchu w kierunku tamtej napalonej kobiety. Wystarczyło, że był z nią w tym samym pomieszczeniu. Bibliotekarka nie wiedziała przecież, że siedział w więzieniu, gdyż zabił dziwkę w burdelu w Teksasie, ale wszyscy wokół pewnie o tym słyszeli.

Zwinął notatki w rulonik i nie poddał się.

- Zastanawiałem się, proszę pani...

- Tak - powiedziała sucho, podnosząc głowę bardzo gwałtownie. Jej usta nie były większe niż dziurka od klucza.

- Mam pracę. Pracuję jako wynajęty robotnik u pani Glendonowej Dinsmore. Gdyby tu przyszła i powiedziała pani, że dla niej pracuję, czy to wystarczy, by otrzymać kartę biblioteczną?

- Ona tu nie przyjdzie.

- Nie przyjdzie?

- Tak mi się wydaje. Odkąd wyszła za męża, prowadzi samotny tryb życia. Przykro mi, ale nie mogę omijać przepisów. - Wzięła długopis, oznaczyła oddane książki, a następnie złągodniała. - Jednak mogę wziąć pod uwagę, od jak dawna pan u niej pracuje i jak długo zamierza pozostać. Jeśli pani Dinsmore potwierdzi na piśmie pana zatrudnienie, myślę, że będzie to można uznać za dostateczny dowód, iż mieszka pan tu na stałe.

Will Parker uśmiechnął się z ulgą, włożył jeden kciuk do kieszeni i cofnął się z chłopięcą nieśmiałością, a wtedy serce Gladys Beasley zupełnie stopniało.

- Postaram się, by to napisała. Bardzo dziękuję, proszę pani. - Poszedł do drzwi, a

następnie zatrzymał się jeszcze i zawrócił: - Och, do której godziny jest czynna biblioteka?

- Do ósmej wieczorem w dni powszednie, do piątej w soboty i oczywiście jest zamknięta w niedziele.

- Jeszcze tu przyjdę - obiecał i uchylił kapelusza. Gdy obrócił gałkę w drzwiach, zawołała:

- Panie Parker?

- Tak, słucham?

- Jak się ma Eleonora?

Will wyczuł, że to pytanie było całkowicie inne od zadanego przez Lulę. Stał w drzwiach, wyrabiając sobie zdanie na temat Gladys Beasley.

- Czuje się dobrze, proszę pani. Jest w piątym miesiącu ciąży z trzecim dzieckiem, ale myślę, że jest szczęśliwa i w dobrym zdrowiu.

- Z trzecim dzieckiem. O mój Boże. Pamiętam, gdy była dzieckiem i przychodziła tu w piątej klasie z panną Buttry, a może w szóstej klasie z panną Natwick? Zawsze uważałam, że to inteligentne dziecko. Inteligentne i ciekawe świata. Czy mógłby pan ją ode mnie pozdrowić?

Był to pierwszy prawdziwie życzliwy gest, jakiego doświadczył Will, odkąd przyjechał do Whitney. Dzięki temu nie czuł już niesmaku po spotkaniu z Lulą i znowu rozpromienił się wewnątrz.

- Zrobię to. Dziękuję pani, pani Beasley.

- Panno Beasley.

- Panno Beasley, a tak przy okazji, mam tu do sprzedania kilka tuzinów jajek. Od kogo można by zacząć? Gdzie mógłbym spróbować?

Gladys nie wiedziała, dlaczego to robi - być może dlatego, że zakładał, iż jest mężatką, a może ze względu na sposób, w jaki odrzucił awanse tej ulicznicy z utlenionymi włosami, Luli, a może sprawił to uśmiech, który rozjaśnił jego twarz i nadał jej zupełnie nowy wyraz, gdy usłyszał, że pomimo wszystko otrzyma kartę biblioteczną. Choć nie wiedziała, z jakiego powodu, ze zdumieniem stwierdziła, że oto udziela mu odpowiedzi:

- Przydałby mi się tuzin, panie Parker.

- Naprawdę? Ależ to cudownie! - Znowu się uśmiechnął.

- Resztę proszę zabrać do magazynu pana Purdy, po drugiej stronie placu.

- Pan Purdy. Dobrze, proszę tylko chwilę poczekać... Och. - Wysunął kciuk z kieszeni, a ręka zwisała bezwładnie na biodrze. - Właśnie mi się przypomniało, że wszystkie jajka są w jednym pojemniku.

- Proszę je tutaj włożyć. - Podała mu małe kartonowe pudełko.

Złapał je, cicho skinął głową i wyszedł.

- Ile płacę? - spytała, kiedy wrócił, i zaczęła szperać w czarnej torebce. Nie patrzyła na niego, dopóki nie uświadomiła sobie, że nie odpowiedział. - Ile płacę, panie Parker?

- Prawdę mówiąc, właściwie nie wiem.

- Nie wie pan?

- Nie, proszę pani. To są jajka pani Dinsmore i po raz pierwszy je sprzedaję.

- Jak sądzę, obecnie tuzin kosztuje dwadzieścia cztery centy. Dam panu dwadzieścia pięć, ponieważ jestem pewna, że są świeższe niż jajka w sklepie Calvina i ponieważ osobiście pan je dostarczył. - Podała mu ćwierćdolarówkę, ale nie chciał jej przyjąć, wiedząc, iż to więcej, niż oferowano by na rynku. - Ależ nie, proszę to wziąć! A w przyszłym tygodniu, jeśli będzie miał pan ich więcej, też wezmę tuzin.

- Dziękuję pani. - Wziął monetę i skinął głową. - Jestem wdzięczny, a wiem, że pani Dinsmore też byłaby wdzięczna. Z całą pewnością przekażę jej pani pozdrowienia.

Kiedy wyszedł, Gladys Beasley zatrzasnęła czarną torebkę i trzymała ją przez chwilę w rękę, przyglądając się drzwiom. Tak, to był dopiero miły młody człowiek. Nie wiedziała dlaczego, ale go polubiła. No cóż, a może jednak wiedziała dlaczego. Chlubila się tym, że umiała we wnikliwy sposób oceniać ludzi, szczególnie jeśli chodziło o badanie charakteru. Wiedziała dobrze, co o nim myśleć, gdy wzięła pod uwagę, że orientował się, jak korzystać z katalogu, gdzie odnaleźć to, czego szukał, bez jej pomocy oraz że całkowicie pochłonięty był lekturą, nie wspominając o żarliwej chęci posiadania karty czytelnika.

A nadto chciał wrócić na ulicę Rock Creek i pracować dla Eleonory Dinsmore nawet po złośliwej paplaninie, jaką wyrzuciła z siebie Lula Peak. Gladys usłyszała dostatecznie dużo, aby wiedzieć, do czego zmierzała ta ladacznica - jak można było tego nie usłyszeć w budynku, gdzie wszystko odbijało się od sufitu? I tym większa chwała należy się Willowi Parkerowi, że spławił tę lafiryndę. Gladys nigdy nie mogła zrozumieć, co ludziom przychodziło z roznoszenia jadowitych plotek. Biedna Eleonora nigdy nie miała zbyt wiele pociechy z ludzi w mieście, nie wspominając już nawet o własnej rodzinie. Jej babcia Lottie McCallaster zawsze była zdziwaczalą religijną fanatyczką. Brała udział we wszystkich zlotach religijnych w promieniu pięćdziesięciu mil od Whitney. Mówiono o niej, że zwykła padać na kolana i tarzać się w ferworze religijnego uniesienia. Wszyscy wiedzieli, że przyjmowała chrzest za każdym razem, kiedy wędrowny kaznodzieja wzywał grzeszników, aby obmyli się we Krwi. W końcu złapała jednego nazwiskiem Albert See, który sam ogłosił się mężem bożym i straszyl grzeszników piekielnym ogniem oraz siarką. Ożenił się z Lottie,

dał jej dziecko, umieścił w domu na skraju miasta i ruszył w objazd, zostawiając ją, by samotnie wychowywała córkę Chloe.

Chloe była cichą dziewczyną z dużymi piwnymi oczami, zdominowaną przez matkę i narazoną na jej ataki fanatyzmu. Jak taka dziewczyna, która prawie nigdy nie wymknęła się spod kontroli matki, zdołała zajść w ciążę, pozostawało nadal tajemnicą. A jednak tak się stało. Później Lottie nigdy nie pokazała się publicznie, nie pozwoliła też wyjść z domu Chloe ani jej córce Eleonorze, dopóki pracownik opieki społecznej nie zmusił ich, aby wypuściła dziecko do szkoły, grożąc, że jeśli się nie zastosują do tego, zgodnie z prawem zostanie przeniesione do rodziny zastępczej.

Bibliotekarka najlepiej pamiętała z dzieciństwa Eleonory jej zdumienie wywołane przestronną biblioteką i tym, że mogła się swobodnie poruszać i jej nikt nie karmił. Pamiętała, jak dziewczynka stała przy półkolistych oknach, z których płynęło światło, wchłaniając je, jakby nie mogła się nim nasycić. I któż mógłby to biedactwo za to ganić?

Gladys Beasley nie miała zbyt dużo wyobraźni, ale mimo to wzdrygnęła się na myśl, jakie życie musiało wieść to biedne nieślubne dziecko w domu za zielonymi okiennicami. Po prostu pogrzebano je za życia. Była niemal skłonna dać Willowi Parkerowi kartę wyłącznie na tej podstawie, że zaprzyjaźnił się z Eleonorą. A kiedy energicznym marszowym krokiem wróciła do działu literatury popularnonaukowej i znalazła biografię Beethovena leżącą na stole, a „Pszczoly” i „Jabłonie” równiutko ustawione na półkach, wiedziała, że właściwie oceniła Willa Parkera.

ROZDZIAŁ 7

Calvin Purdy kupił jajka po dwadzieścia cztery centy za tuzin. Pieniądze należały do pani Dinsmore, ale Will miał jeszcze dziewięć dolarów bezpiecznie i dobrze schowanych w kieszeni na piersi. Dotknął ich - metalowe twarde krążki działały na niego uspokajająco, gdy tak leżały pod błękitnym materiałem koszuli - i pomyślał, że mógłby jej coś przywieźć. Dlatego, że ludzie nazywali ją wariatką, którą nie była. Dlatego, że była zamknięta we wnętrzu jakiegoś domu przez prawie całe życie. I ponieważ sprzeczała się, zanim wyjechał. Ale co to ma być? Nie należała do kobiet, które używają perfum. A ponadto perfumy wydawały się zbyt osobistym prezentem. Słyszał, że mężczyźni kupują kobietom wstążki, ale czułby się głupio, gdyby poszedł do pana Purdy i poprosił o jedną długość żółtej jedwabnej wstążki pasującej do żółtej ciężowej sukienki Eleonory. Cukierki? Od jedzenia Eleonora miała mdłości. Dziobała jedzenie jak wróbelek, prawie nic nie jadła.

W końcu wybrał małą figurkę niebieskiej modraszki. Lubiła ptaki, a w jej domu nie było zbyt wielu ozdób. Zapłacił dwadzieścia dziewięć centów. Dodatkowo wydał jeszcze dziesięć centów na dwie tabliczki czekolady dla chłopców. Wkładając do kieszeni resztę, poczuł ogromną radość na myśl, że wraca do domu.

Po drodze minął dom otoczony pochylonym do ziemi płotem przypominającym zębra martwego zwierzęcia w stanie rozkładu. Zatrzymał się, aby zerknąć, mimowolnie zafascynowany tym zaniedbanym miejscem. Trawa zarastała schodki na ganku, smukły powój oplatał kłamkę oraz altankę przed domem. Zielone okiennice, z których odchodziła płatami farba, nadal zakrywały okna, ich dolne części były połamane. Gdy na to patrzył, wzdrygnął się, jednak odczuwał pokusę, aby przypatrzeć się wszystkiemu dokładniej, aby zajrzeć do środka. Jednak okiennice zdawały się go odstraszać.

A więc zamknęli ją w środku? Zamknęli okiennice? I to kobietę taką jak Eleonora, która kocha ptaki, koniki polne, niebo i sad? Will znowu zadrżał i przyśpieszył kroku, niosąc swój pakunek (dwie tabliczki czekolady i ptaszka). Żałował, że nie mógł kupić niczego więcej. Było to dziwne uczucie, jak na człowieka, któremu obce było wręczanie podarunków. Wymiana darów oznaczała, że dana osoba miała zarówno przyjaciół, jak i pieniądze, a Will rzadko miał do czynienia z obiema rzeczami naraz. Chociaż często sobie wyobrażał, jak ekscytującą rzeczą jest otrzymywać prezenty, nigdy nie spodziewał się, że taką radość stanowi ich ofiarowanie. Jednak teraz, gdy dowiedział się o przeszłości Eleonory Dinsmore, czuł ogromną niecierpiącą zwłoki potrzebę, aby wynagrodzić wszystko, z czego obrabowano ją w dzieciństwie, gdy nie obdarzano jej miłością ani dobrocią.

Czy nadal będzie na niego zła? Gdy o tym pomyślał, nagle ogarnął go niepokój. Stawiał duże kroki, patrząc w ziemię. Wózek turkotał tuż za nim. W jaki sposób mężczyzna i kobieta dochodzą do porozumienia? W wieku trzydziestu lat Will tego nie wiedział, ale nagle wydało mu się bardzo istotne, by się nauczyć. Kiedyś, gdy jakaś kobieta dała mu się we znaki, zabierał się w dalszą drogę. Tym razem było inaczej, Eleonora Dinsmore różniła się od innych. Była dobrą matką, wspaniałą kobietą, którą zamknięto we wnętrzu domu i nazywano wariatką, a jeśli on nie powie jej, że tak nie jest, to kto to zrobi?

Eleonora była bardzo przygnębiona, odkąd wyszedł. Postąpiła w sposób grubiański i zgryźliwy, a teraz minęły już prawie trzy godziny, odkąd ruszył na wyprawę, która normalnie zajęłaby mu połowę tego czasu, i była pewna, że nie wróci. To twoja wina, Elly. Nie można traktować wolnego człowieka w taki sposób i oczekiwać, że wróci po kolejną nagane.

Wstawiła kolację i wyglądała przez okno co trzy minuty. Willa jak nie było, tak nie było. Włożyła czystą sukienkę i uczesała się, upinając włosy ciasno i starannie. Przyjrzała się w lustrze swym zmartwionym oczom, myśląc o innej twarzy otoczonej pianą do golenia. On nie wróci, idiotko. Jest teraz daleko stąd, idzie w zupełnie inną stronę, i jak sobie poradzisz z rąbaniem drewna co rano? Jak będziesz się czuła w czasie porannych posiłków, patrząc na puste krzesło? A to, że nie będziesz z nikim rozmawiać, z wyjątkiem chłopców? Zamknęła oczy, ścisnęła pięści i przycisnęła je do ust. Potrzebuję cię, Parker, proszę, wróć.

Gdy Will pośpiesznie szedł pokrytą koleinami drogą, słyszał, jak bębni mu serce. Dochodząc do skraju polanki, zaczął iść wolniej, zawahał się. Czekala na niego na ganku. Czekala na niego - Willa Parkera. Była ubrana w żółtą sukienkę i uczesana, chłopcy szaleli u jej stóp, a zapach kolacji unosił się na podwórku. Podniosła rękę i pomachała mu.

- Co zajęło panu tyle czasu? Martwiłam się.

Nie tylko czekała, ale też martwiła się. Poczul, jak ogarnia go uniesienie, uśmiechnął się i przyspieszył kroku.

- Nauka zabiera dużo czasu.

- Will! - Donald Wade nadleciał pędem. - Hej, Will! - Zderzył się z kolanami Willa i złapał go kurczowo, odchylając głowę do tyłu, i to dopełniło powitania. Will pogłaskał chłopca po jedwabistych opadających włoskach.

- Cześć, maluchu. Jak ci idzie?

- Wszystko świetnie. - Zaczął iść koło Willa, pomagając mu ciągnąć wózek.

- Co robiłeś, gdy mnie nie było?

- Mama kazała mi położyć się spać. - Donald Wade zrobił okropną minę.

- Spać? - Dochodząc do schodków na ganku, Will rzucił rączkę od wózka i podniósł wzrok na kobietę stojącą nad nim. - Czy mama także się zdrzemnęła?

- Nie. Wykąpała się w wannie.

- Donaldzie Wade, bądź cicho, słyszysz? - zbesztła go Eleonora, a jej policzki podejrzanie się rozjaśniły. Następnie powiedziała do Willa: - Jak się pan ma?

- Świetnie. - Wręczył jej pieniądze. - Panna Beasley w bibliotece wzięła dwanaście jajek za dwadzieścia pięć centów, a resztę sprzedałem Cahdnowi Purdy'emu za dwadzieścia cztery centy za tuzin. A oto wszystkie pieniądze, dolar dwadzieścia jeden. Panna Beasley przekazuje pozdrowienia.

- Naprawdę? - Dłoń Eleonory zawisła w powietrzu i na chwilę zapomniała o pieniądzach.

- Mówiła, że pamięta, jak przychodziła tam pani z piątą klasą panny Buttry czy szóstą panny Natwick.

- Tak, rozumiem. - W jej uśmiechu widoczne było zaskoczenie. Oczy miała szeroko otwarte ze zdziwienia.

- Kto by pomyślał, że mnie zapamięta?

- A jednak zapamiętała.

- Nigdy nie myślałam, że wie, jak się nazywam.

- Myślę, że ta kobieta wie prawie wszystko. - Will uśmiechnął się od ucha do ucha.

Eleonora także się uśmiechnęła, przypominając sobie bibliotekarkę.

- Założę się, że w bibliotece jest bardzo ładnie, prawda?

- Oczywiście. Jest tam dużo światła - Will ręką wskazał powietrze - duże okna, zaokrąglone na górze, ładny zapach.

- Czy dostał pan kartę?

- Nie mogłem. Nie bez pani pomocy. Panna Beasley potrzebuje potwierdzenia, że pracuję dla pani.

- Chce pan powiedzieć, że mam tam iść? - Nie była już zainteresowana i dodała ciszej:

- Nie wydaje mi się, bym mogła to zrobić.

Dzień wcześniej zapytałby, dlaczego. Dzisiaj odpowiedział tylko:

- Wystarczy, że napisze pani karteczkę, a ja zaniosę. Wybieram się tam znowu w przyszłym tygodniu. Panna Beasley zapowiedziała, że kupi kolejny tuzin jajek.

- Tak powiedziała? - Ponownie pojawiło się na jej twarzy zainteresowanie.

- Tak jest. I wie pani, tak sobie myślałem - zsunął kapelusz do tyłu, zaczepił but o dolny schodek, a ręką ścisnął kolano - gdyby przelała pani śmietanę w półlitrowe słoiki i ją

także bym sprzedał. Mielibyśmy dodatkowe pieniądze.

- Zamierza pan zamienić się w jednego z tych mężczyzn, którzy kochają pieniądze, panie Parker? - Nie mogła się oprzeć pokusie, by mu trochę nie podokuczać.

Zdawał sobie w pełni sprawę, że za tą uwagą kryło się coś więcej niż chęć drażnienia się z nim - prawdziwa niechęć do miasta. Panna Beasley nazwała ją odludkiem. Czy taka była naprawdę? Czy unikała kontaktu z innymi ludźmi nawet wtedy, gdy wiązało się to z zarabianiem pieniędzy? Nie zadała sobie nawet trudu, aby przeliczyć, co jej wręczył. Przypuszczał, że w końcu będą musieli dojść w tym punkcie do porozumienia.

- Nie, proszę pani - zabrał nogę ze schodka - ale nie ma żadnego sensu tracić okazji, by zarobić.

Donald Wade zauważył nagle brązową papierową torebkę i pociągnął Willa za rękaw.

- Hej, Will, co tam masz?

Will z niechęcią odwrócił uwagę od Eleonory i ukląkł na kolanie przy wózku, jednym ramieniem obejmując chłopca w pasie.

- No, a jak myślisz? - Chłopiec wzruszył ramionami, ze wzrokiem cały czas utkwionym w torebce. - Może powinieneś zajrzeć do środka i zobaczyć? - Prawdopodobnie oczy Donalda lśniły z ożywieniem, gdy zajrzał, włożył rękę i wyciągnął dwie słodkie tabliczki.

- Słodycze - szepnął przejęty.

- Czekolada. - Will oparł łokcie na kolanach, uśmiechając się. - Jedna dla ciebie, a druga dla malutkiego braciszka.

- Czekolada - powtórzył Donald Wade, a następnie oznajmił matce: - Mamo, patrz. Will przywiózł nam czekoladę!

Spojrzała na Willa z wdzięcznością, a on poczuł się wzruszony i dumny.

- Jakie to miłe, że pan o tym pomyślał. Donaldzie Wade, podziękuj panu Parkerowi.

- Dziękuję, Will!

Will z wysiłkiem zwrócił uwagę na chłopca.

- Rozwiniesz czekoladkę Tomcia, dobrze?

Z uśmiechem patrzył, jak chłopcy siadają obok siebie na schodku i wokół ich buzi zaczynają się pojawiać brązowe kółka.

- Dziękuję, że pomyślał pan o nich, panie Parker.

Wolno wstał i spojrzał w jej szmaragdowe oczy. Kąciki ust podnosiły się delikatnie, a włosy upięte w gruby warkocz miały kolor pszenicy. Jak ktokolwiek mógł ją zamknąć w domu?

- Chłopcy powinni od czasu do czasu dostawać jakieś słodycze, ale przyniosłem też

coś dla pani.

- Dla mnie? - Położyła dłoń na piersi.

- To niedużo. - Wyciągnął rękę z torebką.

- Dlaczego, co? - Elly ożywiona włożyła rękę do środka, nie marnując już ani sekundy na przekomarzania. Wyjęła figurkę i trzymała ją na wysokości ramienia. - Och, mój Boże, panie Parker. - Zakryła ręką usta i mrugała oczami. - O mój Boże. Wyciągnęła ptaszka przed siebie i aż zaparło jej dech w piersi. - Ależ jest piękny.

- Miałem trochę oszczędności - wyjaśnił, ponieważ nie zadała sobie trudu, by przeliczyć pieniądze za jajka, a nie chciał, by sądziła, iż wydał jakieś pieniądze należące do niej. Z wyrazu twarzy Eleonory odgadł, że taka myśl nie przyszła jej nawet do głowy. Uśmiechała się, spoglądając na figurkę, rozjaśniona radością.

- Nie mogę uwierzyć. - Przycisnęła ją do serca i rozpromieniona spojrzała na Willa. - Skąd pan wiedział, że lubię ptaki?

Wiedział. Po prostu to wiedział.

Obserwował ją, gdy oglądała ptaszka z każdej strony, i był tak szczęśliwy, jak gdyby za chwilę miało pęknąć mu serce.

- Jestem po prostu zachwycona. - Rzuciła mu jeszcze jeden ciepły uśmiech. - To najmiłszy prezent, jaki dostałam w życiu. Dziękuję panu.

Skinął głową.

- Spójrzcie, chłopcy. - Ukucnęła, aby im pokazać. - Pan Parker przyniósł mi ptaszka. Czy to nie najśłodsza rzecz, jaką widzieliście? Gdzie go postawimy? Myślałam o stole w kuchni. No a może na szafce przy moim łóżku, ale patrzcie, wyglądałby przecież równie dobrze w każdym miejscu, nieprawdaż? Chodźcie do domu i pomóżcie mi je wybrać. Pan także, panie Parker.

Pośpiesznie weszła do środka, tak podekscytowana, że zapomniała zostawić otwarte drzwi, żeby Tomcio sam mógł się wgramolić do środka. Will podniósł go ze stopnia. Przy okazji pobrudził koszulę czekoladą, ale co znaczyła czekoladowa plama dla tak szczęśliwego człowieka? Stał w drzwiach kuchennych z dzieckiem na ręku, przyglądając się, jak Eleonora ustawia ptaszka - na stole, na szafce, obok słoika z ciastkami.

- Gdzie mamy go postawić, Donaldzie Wade? - Zawsze wiedziała, co zrobić, aby chłopcy czuli się ważni. Teraz postępowała tak z Willem.

- Na parapecie, tak aby wszystkie inne ptaszki go zobaczyły i przyleciały bliżej.

- Tak, na parapecie. - Przygryzła dolną wargę i zastanawiała się, na którym parapecie, wychodzącym na wschód, południe czy na zachód. - Ależ oczywiście, tu jest jego miejsce.

Dlaczego o tym nie pomyślałam? - Umieściła ptaszka na zachodnim parapecie, przy oknie wychodzącym na podwórko z tyłu domu, gdzie naprawione paliki na bieliznę stały teraz proste i mocne. Raz jeszcze odchyliła głowę do tyłu, klasnęła i przycisnęła złożone ręce do brody. - Tak, tego właśnie było tu trzeba!

Potrzeba tu było znacznie więcej niż taniej szklanej figurki, ale gdy Eleonora tańczyła po pokoju i uścisnęła rękę Willa, czuł się tak uskrzydłony, jak gdyby kupił jej arcydzieło, które wzbogaciło cenną kolekcję.

Jeśli Will miał ochotę dokonać różnych ulepszeń w gospodarstwie, zanim wyruszył do miasta, to później - po powrocie - pracował jeszcze ciężiej, a jego zapał jeszcze wzrósł, ponieważ chciał wynagrodzić Eleonorze przeszłość, za którą nie ponosił przecież żadnej odpowiedzialności. Godzinami myślał o ludziach, którzy zamknęli ją w tamtym domu za zielonymi okiennicami. Zastanawiał się, jak długo tam przebywała i dlaczego. Dumął o mężczyźnie, który ją stamtąd zabrał, a którego, jak sama powiedziała, jeszcze kochała. Rozważał, ile czasu może upłynąć, zanim miłość ta przygaśnie i zacznie zacierać się w pamięci.

W tych właśnie dniach Will zaczął dostrzegać rzeczy, których wcześniej nie zauważał: jak wieszka zasłonki w oknie, jak zatrzymuje się, aby z podziwem przyjrzeć się słońcu za każdym razem, gdy wychodzi na dwór, jak chwali każdy dzień - niezależnie od tego, czy pada deszcz, czy świeci słońce - zawsze znajduje coś, czym można się cieszyć. W nocy, kiedy Will wychodził ze stodoły za potrzebą, niezależnie od godziny - w jej pokoju zawsze paliło się światło. Dopiero gdy zobaczył je kilka razy, uświadomił sobie, że nie sprawdza, czy chłopcy spokojnie śpią, ale śpi przy zapalonym świetle.

Dlaczego rodzina jej to zrobiła?

Jednak jeśli ktoś szanował prawo do prywatności, był to Will. Nie potrzebował odpowiedzi, wiedział jednak, że nie pracował już tylko po to, aby mieć dach nad głową, ale aby ją zadowolić.

Naprawił drogę - naoliwił uprząż i zaprzął Madam do ciężkiej stalowej zgarniarki z rączkami i uchwyty jak w taczkach; było to bardzo niezgrabne urządzenie i trudno było nim pracować. Jednak gdy Madam ciągnęła, a Will pchał, kierując proste stalowe ostrze w ziemię, poradzili sobie z tym żmudnym zajęciem. Zlikwidowali wszystkie dziury, pagórki, wypełnili doły, przerzucili kamienie na bok i oczyścili ziemię z pniaków z korzeniami.

Donald Wade stale towarzyszył Willowi. Zwykł siadać na poboczu lub gdzieś na gałęzi, patrząc, nasłuchując, ucząc się. Czasami Will wręczał mu szufelkę, pozwalał grzebać

w ziemi i przerzucać na bok małe odłamki skalne, a następnie chwalił go za te nieporadne pierwsze prace w taki sam sposób, jak robiła to Eleonora.

- Mój tatuś nie pracował tak dużo. Nie tyle co ty - zauważył pewnego dnia Donald Wade.

- Co więc robił?

- Snuł się tu i ówdzie. Przynajmniej tak nazywała to mama.

- Snuł się? - Will zastanawiał się nad tym przez chwilę i zapytał: - Jednak był dobry dla mamy, prawda?

- Tak myślę. Lubiła go. - Po chwili przerwy Donald Wade dodał: - Ale nie kupował jej ptaszków.

Gdy Will nadal milczał, Donald Wade zadał następne zaskakujące pytanie.

- Czy ty jesteś teraz moim tatusiem?

- Nie, Donaldzie Wade. Przykro mi, że nie jestem.

- A będziesz?

Will nie wiedział, co odpowiedzieć. Odpowiedź zależała od Eleonory.

Przychodziła dwa razy dziennie - rano i po południu - ciągnęła ze sobą w wózku Dwidziusia i dzbanek zimnego malinowego nektaru. Zwykli siadać razem w cieniu jej ulubionego drzewa oksydendronu^{*1} i rozkoszować się posiłkiem, gdy tymczasem ona pokazywała im znane sobie ptaki. Zdawało się, że rozpoznaje wszystkie - gołębie, myszołowy, gajówki oraz zięby. Znała także drzewa - oksydendron, pod którym siedzieli, topole, lipy oraz wierzby i wiele innych, z których istnienia Will nie zdawał sobie sprawy. Potrafiła także rozróżniać małe roślinki - na przykład tę, którą tak uroczo nazywała „pożegnanie lata”, i tak wdzięcznie nachyliła usta, iż przyjrzał się im uważniej niż roślince.

Minuty spędzone pod drzewem zaliczał do najpiękniejszych w życiu.

- Mój Boże - mawiała - to dopiero będzie droga. - I była to dla Willa dostateczna zapłata, by wrócić do pługa i pracować jeszcze ciężiej niż przedtem.

W dniu, kiedy droga była gotowa, Will nachylił się do ucha Madam, wyszeptał podziękowania, w nagrodę nakarmił złotą marchwią z ogrodu i wykapał. Po kolacji on i Eleonora zabrali chłopców na przejażdżkę w wózku po świeżo zaoranej i przekopanej ziemi. Droga wznosiła się pod lasem, opadała zaś tam, gdzie przebiegała droga lokalna.

- To piękna droga, Will - pochwaliła, a on uśmiechnął się zadowolony.

Następnego dnia położył na wozie dwie deski, zaprzągnął Madam i załadował pierwszą partię złomu, aby wywieźć ją na wysypisko śmieci w Whitney. Zabrał również kartkę od Ele-

¹* Ang. Sourwood = łac. OXYDENDRUM ARBOREUM (przyp. tłum.).

onory, jajka dla panny Beasley oraz kilka dodatkowych tuzinów i pięć półlitrowych słoików śmietany.

- Śmietana! - wykrzyknęła panna Beasley. - Wie pan, ostatnio miałam ogromną ochotę na kruche ciasto z truskawkami, a co to za ciasto z truskawkami bez bitej śmietany? - Zaśmiała się i wyciągnęła czarną torebkę z zatraskiem.

Will wypożyczył pierwsze książki na własną kartę biblioteczną, ale zanim wyszedł, przypomniało się jej coś jeszcze.

- Och, znalazłam dla pana kilka broszurek o pszczelarstwie, gdy porządkowałam zaplecze. Nie musi pan ich zwracać. - Wyciągnęła kopertę w żółtym musztardowym kolorze, na której wypisane było jego imię, i położyła ją na biurku. - Co pięć lat wycofywane są z biblioteki, proszę tylko pomyśleć i to kiedy pszczoła jest jedynym stworzeniem na tym Bożym świecie, które nie zmieniło swoich zwyczajów ani środowiska, odkąd człowiek zaczął chodzić na dwóch nogach! Jednak kiedy napływają nowe broszury, wyrzuca się stare, niezależnie od tego, czy są przydatne, czy nie! - Nadal mówiła gniewnie, ręce miała zajęte pracą i uważnie unikała wzroku Willa. - No cóż, mam wielką ochotę napisać do mojego kuratora na temat tak bezsensownego marnowania pieniędzy podatników!

Will był oczarowany.

- Dziękuję, panno Beasley.

- Nie ma potrzeby dziękować za coś, co i tak trzeba wyrzucić. - Nadal nie patrzyła na niego.

Jednak, choć z pozoru była sztywna, dostrzegł w niej osobę, która miała trudności, by zaprzyjaźnić się z mężczyznami, i poczuł sympatię.

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Podniosła tylko głowę, gdy wychodząc, chwycił mosiężną klamkę, ale nawet z dużej odległości dostrzegł dwie kolorowe plamy na jej policzkach.

Uśmiechając się do siebie, Will zbiegał ze schodów biblioteki ze stosem książek pod pachą i żółtą kopertą w ręce.

- A to któż... jeśli nie sam pan Parker.

Will zwolnił, nagle widząc Lulę Peak, tym razem ubraną w kelnerski strój, która stała dwa schodki niżej, uśmiechając się do niego zapraszająco. Jak zwykle upięła włosy nad czołem tak jak Betty Grabie. Jej usta miały kolor zakrzepłej krwi. Jedno biodro wysunęła do przodu, opierając na nim rękę.

- Dzień dobry pani. - Chciał ją wyminąć, ale zręcznie odskoczyła na bok.

- Dlaczego pan się śpieszy? Po co ten pośpiech? - Żuła gumę z taką samą gracją, z

jaka aligator pożera surowe mięso.

- Mam w wózku śmietanę, która nie powinna stać na słońcu.

Poprawiła z tyłu włosy, a następnie położyła rękę na swym wyciętym dekolcie.

- Potworny dziś skwar. - Stojąc schodek niżej, Lula sięgała mu do pasa. Jej oczy leniwie błędziły wzdłuż jego koszuli i dzinsów, patrzyła też na kopertę, na której panna Beasley napisała imię i nazwisko. - A więc ma pan na imię Will, tak? - cedziła słowa. Oczy wolno przesuwwały się w górę i w dół, zatrzymując się tam, gdzie chciała. - Will Parker. - Dotknęła klamry przy pasku końcem purpurowego paznokcia. - Ładne imię... Will. - Musiał się opanować, by nie odskoczyć, gdy go dotykała. Stał grzecznie, a ona przechyliła głowę i machała rękoma. - Tak, panie Willu Parker, mógłby pan wpaść do kawiarni, a ja przygotuję szklaneczkę mrożonej herbaty. Świetnie smakuje w taki upalny dzień, prawda?

Przez jedną krótką chwilę z przerażeniem myślał o tym, że przejedzie mu paznokciem w kroku. Odskoczył, zanim zdołała to zrobić.

- Nie wydaje mi się, abym miał czas, proszę pani. - Tym razem pozwoliła mu przejść.

- Mam różne rzeczy do zrobienia. - Czuł, jak śledzi go wzrokiem, gdy wsiada na wóz, chwytła za lejce i przejeżdża przez plac do pana Purdy.

Ta kobieta oznacza duże kłopoty, a on ich zupełnie nie potrzebuje. Ani kłopotów, ani jej. Specjalnie nie rozglądał się i nie patrzył na drugą stronę placu, kiedy wchodził do sklepu.

- Wspaniale - powiedział Purdy i kupił śmietanę oraz jajka. - Gdy tylko będzie miał pan świeże jajka i śmietanę, proszę je przywieźć. Nie mam żadnych problemów ze zbytem, jeśli tylko towary są świeże.

Gdy Will wyszedł ze sklepu, Luli już nie było, ale to spotkanie sprawiło, że czuł się brudny i bardzo chciał wrócić do domu.

Tym razem Eleonora i chłopcy czekali na niego pod ulubionym drzewem. Will zmierzał prosto do nich, jak kierowany igłą kompasu. Tu właśnie było jego miejsce, obok kobiety pełnej prostoty i czystości, przy której Lula prezentowała się krzykliwie, wulgarnie i bezwstydnie. Trudno było mu uwierzyć, że w młodszym wieku wybrałby kogoś podobnego do Luli, przedkładając ją nad zwykłą i dobrą kobietę.

Eleonora stała, otrzepując z tyłu spódnicę, gdy zatrzymał wóz i ściągnął cugle Madam.

- Wróciłeś.

- Tak.

Uśmiechali się do siebie i przez chwilę owładnęło nimi żywe uczucie sympatii. Podsadziła chłopców na siedzenie na wozie, a on przeniósł ich do tyłu, podrzucając do góry i sprawiając, że chichotali radośnie.

- Teraz będziecie siedzieli z tyłu, abyście się nie przewrócili.

Wdrapali się, spełniając polecenie, a Will pochylił się i wyciągnął dłoń, by pomóc matce. Uścisnął wyciągniętą rękę i przez chwilę, kiedy to dwa serca zabiły dwukrotnie, żadne z nich nie poruszyło się. Trzymała jedną stopę na stopniu powozu, a zielone oczy spoglądały w piwnie. Później szybko wgramoliła się na górę i usiadła, jak gdyby nic się między nimi nie wydarzyło.

Myślał o tym w następnych dniach, kiedy dalej wykonywał różne naprawy i remonty, czyścił ściany oraz sufity, skończył tynkowanie i malowanie ścian, które sprawiały wrażenie, że nigdy wcześniej nie tknął ich pędzel. Wstawił drzwi do dolnych szafek kuchennych i zrobił nowe górne szafki. Wymienił w mieście używany zlew kuchenny na kawałek linoleum (z podwójnym zyskiem, bo jednocześnie ubywało im zbędnych przedmiotów), którym pokrył górę szafki. Linoleum było w żółte smugi. Przywodziło na myśl słońce przeświecające przez płatki stokrotek. Elly lubiła najbardziej żółty kolor - najlepiej pasował i uwydatniał zieleń jej oczu.

Z dnia na dzień stawała się coraz bardziej okrągła i poruszała się coraz wolniej. Codziennie obserwował, jak nosi rondle do mycia i wylewa wodę z wiader na podwórzu. Na razie prała pieluchy tylko dla jednego dziecka, ale niedługo będzie ich już dwoje. Wykopał dół i poprowadził rurę odpływową spod zlewu, aby nie musiała nosić garnków.

Dziękowała rozpromieniona i zaraz spuściła pierwszą miskę wody. Cieszyła się, gdy woda w magiczny sposób znikła. Powiedziała, że nic nie szkodzi, iż nie mógł znaleźć dostatecznej ilości linoleum także i na podłogę. Pokój był jaśniejszy i czystszy niż kiedykolwiek przedtem.

On za to był zawiedziony. Chciał, aby pokój ładnie się prezentował i jej podobał, ale coraz trudniej było dostać linoleum oraz wannę i wiele innych towarów, bo fabryki przedstawiały się na produkcję dla wojska. W więzieniu Will codziennie czytał gazetę i wiadomości, a teraz nadrabiał zaległości tylko wtedy, gdy chodził do biblioteki. Mimo to uświadamiał sobie, co dzieje się w Europie i jaka burza nią wstrząsa. Zastanawiał się, jak długo Ameryka będzie dostarczać do Anglii i Francji samoloty i czołgi, zanim sama przystąpi do wojny. Aż wzdragał się na tę myśl - nawet wtedy, gdy zabrał pierwszy ładunek żelaza do miasta i dostał dolara (płacili dolara za pięćdziesiąt kilogramów) za złom Glendona Dinsmore'a.

Mówiono o tym, że Ameryka będzie brała aktywny udział w wojnie, chociaż ci, którzy byli u władzy, między innymi Lone Eagle Charles Lindbergh, opowiadali się przeciwko zaangażowaniu Ameryki. Jednak Roosevelt wzmacniał system obronny kraju. Zaczął się już pobór do wojska, a Will był pełnoletni, zdrowy i wolny. Eleonora żyła w błogiej nieświadomości, co

działo się na świecie gdzieś z dala od drogi prowadzącej do ich gospodarstwa.

Pewnego dnia Will wygrzebał radio w jednym ze składzików. Zdobył baterie, zajęło mu trochę czasu - również szły do Anglii, gdzie powszechnie słuchano radia. Jednak dokonał i tego, wymieniając za zbędną puszkę farby. Gdy zainstalował baterie, radio nadal nie grało. Ale wtedy panna Beasley znalazła książkę informującą, jak je naprawić.

Pewnego dnia udało mu się przywrócić je do życia. Akurat nadawano Mamę Perkins. Chłopcy właśnie drzemali, a Eleonora prasowała. Gdy audycja zabrzmiała w kuchni, jej oczy się rozpałyły.

- No i proszę, działa! - powiedział zdumiony Will.

- Szsz! - Wyciągnęła krzesło, gdy Will klęczał na podłodze i razem słuchali o najnowszej przygodzie wdowy, która kierowała składem drzewa w Rushville Center - mieszkała tam ze swoją trójką dzieci Johnem, Evey i Fay - i zawsze postępowała właściwie. Każdy, kto kochał swoje dzieci tak jak Mama Perkins, zyskiwał uznanie w oczach Eleonory. Tak więc Will mógł przekonać się, że Ma zyskała jedną wierną słuchaczkę.

Tego wieczora wszyscy skupili się blisko magicznej skrzynki. Will i Eleonora patrzyli, jak oczy chłopców rozjaśniają się, gdy słuchają o Samotnym Wędrowcu i Tonto, wiernym indiańskim towarzyszowi, który zwracał się do niego kemo sabe.

Od tej pory Donald Wade nigdy nie chodził, ale zawsze cwałował. Rżał, rzucał się jak wystraszony koń, wydawał dźwięki przypominające stukot kopytek i cytował bohaterów za każdym razem, kiedy wchodził do pokoju. Will dla zabawy nazwał go kiedyś kemo sabe i od tej pory Donald Wade wystawiał na próbę ich cierpliwość, nazywając wszystkich pozostałych kemo sabe przynajmniej sto razy na dzień.

Radio nie tylko przeniosło ich w świat wyobraźni. Do domu wkroczyła również rzeczywistość w osobie Edwarda R. Murrowa i wiadomości. Co wieczór po kolacji Will nastawiał odbiornik, by ich posłuchać. Poważny głos Murrowa, który czytał w tak wyrazisty sposób, rozbrzmiewał w kuchni: „Tu mówi Londyn”. W tle słychać było pisk niemieckich bombowców, zawodzenie syren ogłaszających alarm w czasie nalotów i huk wybuchających pocisków niszczących samoloty przeciwnika. Jednak Will miał wrażenie, że jest jedyną osobą w kuchni, która wierzy, że wszystko to jest prawdą.

Chociaż Elly nie chciała o tym mówić, zbliżała się wojna, a kiedy rzeczywiście nadejdzie, może być powołany. Zabrał się więc do jeszcze cięższej pracy.

Porąbał drzewo na przyszły rok, zdarł stare linoleum na podłodze w kuchni, wyczyścił je piaskiem i polakierował oraz zaczął marzyć o zainstalowaniu łazienki - jeśli tylko zdobędzie odpowiednie urządzenie.

Potajemnie czytał o pszczołach. Fascynował się nimi. Godzinami obserwował ule z dużej odległości. Były to te same ule, w których, jak sądził początkowo, nie było pszczoł. Teraz znał się już na tym o wiele lepiej. Pojawienie się tylko kilku pszczoł przy wejściu do ula nie świadczy o niczym, ponieważ większość z nich znajduje się albo wewnątrz, gdzie czeka na królową, albo na łąkach, gdzie zbiera pyłek kwiatowy, nektar i wodę.

Czytał więcej i wiedział już o wiele więcej - o tym, że pszczoły robotnice noszą pyłek na tylnych nogach; że codziennie potrzebują do picia słonej wody; że miód powstaje w ramach, które nazywa się nadstawkami. Pszczelarz dodaje i ustawia je na górze ula, gdy niższe ramy się wypełniają. Przeczytał też, że pszczoły spożywają własny miód, aby przeżyć zimę; że latem, wtedy gdy jest największa produkcja, jeśli nie zabiera się obciążonych nadstawek, miód jest tak ciężki, że czasami pszczoły tłumnie wychodzą i roją się.

Pewnego dnia napełnił garnek słoną wodą. Następnego dnia był pusty, tak więc wiedział, że pszczoły są aktywne. Obserwował, jak robotnice wylatują z ula z chudziutkimi tylnymi nóżkami, a wracają z woreczkami pełnymi pyłu. Will wiedział, że miał rację, chociaż nie otworzył nawet ula, by zobaczyć, co jest w środku. Glendon Dinsmore umarł w kwietniu. Jeśli od tamtej pory nie dodano nadstawek, pszczoły mogą zacząć się roić w każdej chwili. Jeśli od tamtej pory nie zabrano i nie dodano żadnej ramy, są one obciążone miodem. I to dużą ilością miodu, a Will Parker chciał go sprzedać i to nawet bardzo.

Temat ten nie padł ani razu w rozmowie pomiędzy nim a Eleonorą. Nie dała mu ani kapelusza z zasłoną, ani odymiacza, zdecydował się więc pójść bez nich. W każdej książce i w każdej broszurce znajdowała się rada, że pierwszym krokiem, jaki musi uczynić przyszły pszczelarz, jest sprawdzenie swej odporności na pszczoły.

Tak więc zrobił Will. Pewnego ciepłego dnia w późnych dniach października szczegółowo zastosował się do instrukcji: wykapał się, aby usunąć wszelki zapach Madam, ukradł miętę z grządki Eleonory, natarł skórę i spodnie pokruszonymi liśćmi, podniósł kołnierzyk, opuścił rękawy, obwiązał sznurkiem mankiety spodni i poszedł do porzuconego whippeta, aby dowiedzieć się, co pszczoły myślą o Willu Parkerze.

Dochodząc do samochodu, poczuł, jak powoli poca się mu ręce. Wytarł je o spodnie i nieco się rozluźnił, mówiąc do siebie cicho:

- Idź powoli... pszczoły nie lubią gwałtownych ruchów.

Powoli szedł w kierunku samochodu... chwycił za kierownicę... i usiadł na przednim siedzeniu, a serce podchodziło mu do gardła.

Nie trwało to długo. Wyleciały zza jego pleców, najpierw jedna, a potem druga, w mgnieniu oka i wydawało się, że jest ich cała kolonia! Zmusił się, by siedzieć nieruchomo,

podczas gdy jedna wylądowała mu we włosach i przeszła przez nie, bzycząc, a reszta tkwiła w bezruchu na wysokości jego twarzy. Następna usiadła na dłoni. Czekał, aż go użądli, ale zamiast tego pszczoła zainteresowała się ciemnymi włosami na nadgarstku, przeszła na kciuk, przysiadła i odleciała, brzęcząc, niezainteresowana.

- A niech mnie kule biją...

Kiedy powiedział o tym Eleonorze, zaatakowała go i zastąpiła użądlenia, których zaoszczędziły mu pszczoły.

- Co pan zrobił?

Odwróciła się od kredensu, trzymając ręce na biodrach, a jej oczy pełne były wściekłości.

- Usiadłem w whippecie, aby sprawdzić, czy jestem odporny na pszczoły.

- I to na dodatek bez kapelusza z zasłoną!

- Coś mi się zdaje, że jakoś nigdy się nie znalazł.

- Ponieważ nie chciałam, aby pan tam szedł!

- Ale mówiłem już, iż najpierw natarłem się miętą i zmyłem z siebie zapach Madam.

- Madam! A co ona, u diabła, ma z tym wspólnego?

- Pszczoły nie znoszą zapachu zwierząt, zwłaszcza koni i psów. Szaleją pod wpływem zapachu. Są rozdrażnione.

- Ale mogły pana użądlić. I to bardzo poważnie! - Była wściekła.

- W książce jest mowa o tym, iż pszczelarz powinien się spodziewać, że od czasu do czasu użądli go pszczoła. Jest to nieodłączną częścią tej pracy. Po pewnym czasie jednak można się tak przyzwyczaić, iż prawie się tego nie zauważa.

- No i co pan sobie myśli. - Wyrzuciła do góry lekceważąco rękę. - Czy to wyjaśnienie ma mnie uspokoić?

- Na podstawie przeczytanej broszurki doszedłem do wniosku, iż od tego należy zacząć. A co do książki...

- Książki! - Zaśmiała się drwiąco. - Proszę nie mówić mi o książkach. Czy miał pan na sobie rękawice?

- Nie. Chciałem się dowiedzieć...

- I nie zabrał pan również odymiacza!

- Zabrałbym, gdyby pani mi dała.

- Niech pan mnie nie wini za swoją własną głupotę, panie Willu Parker! To był straszny idiotyzm i pan o tym wie!

Była tak wytrącona z równowagi, że czuła, iż nie zniesie jego obecności ani chwili

dłużej. Obróciła się z powrotem do ciasta, które właśnie robiła, złapała jajko i rozbiła je o brzeg miski z taką siłą, że roztrzaskała skorupkę na miazgę.

- A niech to! Proszę zobaczyć, co pan zrobił!

- No cóż, gdybym wiedział, że pani się wścieknie...

- Nie jestem wściekła! - Wyłowiła zmiażdżoną skorupkę i cisnęła ją na bok gwałtownie.

- Nie jest pani wściekła - powtórzył sucho.

- Nie, nie jestem!

- To dlaczego pani się wydziera?

- Nie wydzieram się! - krzyknęła i znowu go zaatakowała. - Nie wiem, co czasami mężczyźni wbijają sobie do głupiej głowy, to wszystko! Cóż, nawet Donald Wade miałby tyle rozsądku, by nie wchodzić do ula, mając za jedyną ochronę miętę!

- Jednak nie użądliły mnie, prawda? - zapytał z zadowoloną miną.

Spojrzała na niego surowo, miała wypieki, ściągnięte usta, a w końcu odwróciła się, zbyt zdenerwowana, aby stawić mu czoło.

- No już - rozkazała mu cicho syczącym głosem. - Wynoś się z mojej kuchni. - Uderzyła kolejnym jajkiem o miskę, rozbijając je na drobne kawałki.

Stał w niedużej odległości z założonymi rękami, jedno ramię oparł niedbale o drzwi, podziwiając jej różową ze złości twarz, nadąsane policzki i piersi, które kołysały się, gdy ubijała masło.

- Wie pani, jak na osobę, która zupełnie nie jest wściekła, z całą pewnością zrobiła tu pani za duży bałagan.

I zaraz uświadomił sobie, że jajko leci przez powietrze i uderza go z trzaskiem w sam środek czoła.

- Co, u diabła?

Pochylił się do przodu, żółtko spływało mu po nosie, a białko zwisało z podbródka, ściekając na buty.

- Jeśli myśli pan, że to zabawne, proszę wstawić głowę do ula, aby pozbyć się jajka! - Pokazała mu palcem drzwi. - Proszę wyjść, powiedziałam! Jazda z mojej kuchni!

Odwrócił się, aby spełnić te polecenia, ale zanim zdążył dojść do drzwi, już się śmiał. Pierwszy raz zaśmiał się, kiedy doszedł do drzwi. Następnie, gdy zeskakiwał ze schodów, zeskrobując z twarzy zawieszinę. Zanim znalazł się na podwórku, śmiał się na całe gardło.

- Wynoś się!

Potrząsał głową jak pies po kąpielu i chichotał wesoło. Wtedy otworzyły się za nim

drzwi. Obrócił się w odpowiednim momencie - zdążył nastawić dłoń i złapać następne jajko, które rzuciła.

- Ha! Spójrzcie no tylko, Joe DiMaggio! - Przechylił się do tyłu, śmiejąc się nadal.

- Niech cię diabli wezmą, Parker!

- Ha! Ha! Ha!

Śmiał się przez całą drogę do studni, śmiał się, kiedy uważnie oglądał ściągniętą koszulę, wyplukał ją i wykopał się pod pompą. Nadal się śmiał, gdy wieszal ją na paliku na płocie, aby wyschła.

Wtedy dotarła do niego prawda i zamilkł, jak gdyby zanurzył się pod wodę.

Zależy jej na tobie!

Podziałało to na niego jak cios w podbródek, sprawiło, że nagle wyprostował się i popatrzył na dom.

Zależy jej na tobie, Parker! A tobie zależy na niej!

Serce zaczęło mocno walić w piersi Willa, gdy stał tak bez ruchu w słońcu, a woda spływała mu po twarzy i po piersi. Zależy ci na niej? Przyznaj, Parker, że ją kochasz. Przejechał dłonią po twarzy, opuścił ją i wpatrywał się w dom, godząc się z faktem, że jest zakochany w kobiecie, która właśnie rzuciła w niego jajkiem, w kobiecie, która jest w siódmym miesiącu ciąży z innym mężczyzną, w kobiecie, której niemal nie dotknął, której nawet nie pocałował i nigdy nie pragnął.

Aż do tej pory.

Zaczął iść w stronę domu, stawiając długie kroki i nie śpiesząc się, czując silne walenie w piersi i skroniach, zastanawiając się, co powie, kiedy znajdzie się przy niej.

Gdy otworzył i puścił drzwi, aby z trzaskiem zamknęły się same, zobaczył ją na czworakach z wiadrem i szmatą. Szorowała podłogę, skupiając na tym zajęciu całą uwagę.

Chłopcy drzemali, radio milczało. Stał po drugiej stronie pomieszczenia, obserwując, zastanawiając się, czekając.

No idźże w takim razie. Pomóż jej wstać i zobacz, czy miałaś rację, Parker.

Podszedł i stanął obok, ale ona z maniackim uporem pracowała, jej całe ciało kołysało się, gdy szorowała podłogę z potrójną energią. A przecież chodziło tylko o jedno jajko.

- Eleonoro?

Nigdy nie zwrócił się do niej po imieniu i z tym większą siłą uświadomił sobie, że ma do czynienia z kobietą, a ona zrozumiała, że obok stoi mężczyzna.

- Odejdź.

- Eleonoro - mówił tym razem jeszcze łagodniej, jednocześnie łapiąc ją za rękę, aby

pomóc wstać. Odwróciła głowę gwałtownie do tyłu, a w zielonych oczach zaślniły niewylane łzy.

Była zła i to jeszcze jak. Ten delikatny ton głosu tylko pogorszył sytuację, chociaż zupełnie nie rozumiała dlaczego. Zwalczyła łzy wściekłości i spojrzała. Tak, przyjrzała się uważnie - zobaczyła nagi mokry tors, miłą twarz z kroplami źródlanej wody, włosy, z których nadal spływały strumyczki. W jego oczach widać było zakłopotanie, a wilgotne rzęsy unosiły się podkreścone do góry. Miał opaloną skórę, ponieważ całe lato pracował bez koszuli, i przybrał na wadze. Na ten widok zadrżała. Miał to wszystko, czego pozbawiony był Glendon - był silny, mocny i przystojny. Ale jakiemu mężczyźnie wyglądającemu w taki sposób miłe byłoby uczucie prostej, nieco zwariowanej kobiety w siódmym miesiącu ciąży, okrągłej jak dynia?

Eleonora opuściła brodę. Podniósł ją jednym palcem i przyjrzał się jej twarzy badawczo, a później uśmiechnął się.

- Ma pani silne ręce, wie pani o tym?

Odwróciła się, czując, jak działa na nią swym urokiem, ale nic na świecie nie przekonałoby jej, że może pociągać takiego mężczyznę jak on, dlatego przyjęła, że tylko żartuje.

- To nie jest zabawne, Will.

Nachylony nad nią, czuł głębokie rozczarowanie. Ukucnął, patrząc na jej ręce beczynnie spoczywające na brzegu białego emaliowanego wiadra.

- Nie, nie jest - odpowiedział spokojnie. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli o tym porozmawiamy.

- Nie ma o czym mówić.

- Nie ma?

Nagle załamała ręce i ukryła twarz w dłoniach.

- Nie płacz.

- Nie płaczę.

Co jej jest? Nigdy nie płakała i czuła się bardzo zakłopotana, łkając w obecności Willa Parkera, do tego nie mając żadnego rozsądnego powodu.

Czekał, ale ona cicho szlochała, a jej brzuch kołysał się.

- Nie... - szepnął zasmucony.

- Kobiety w ciąży czasami płaczą, to wszystko. - Odrzuciła głowę do tyłu, otarła łzy i pociągnęła nosem.

- Przepraszam, że się śmiałem.

- Wiem, a ja za to, że rzuciłam jajkiem. - Niedbale wytarła twarz fartuchem. - Jednak, Will, musisz zdać sobie sprawę, jak niebezpieczne są pszczoły.

- Nie, to ty musisz coś zrozumieć.

- Ach, Will...

Podniósł do góry ręce.

- Poczekaj chwilę, zanim coś powiesz. Nie zamierzam cię okłamywać. Byłem w sadzie... i to wiele razy. Ale ja nie jestem nim, Eleonoro, nie jestem Glendonem. Jestem rozsądnym człowiekiem i nie chcę, żeby stało mi się coś złego.

- Jak możesz mieć pewność?

- Tak, tu masz rację. Nie mam pewności, ale nie można iść przez życie, uciekając przed rzeczami, które zgodnie z naszymi obawami mogą się wydarzyć. Są duże szanse, że nigdy nie będą miały miejsca. - Nagle ukląkł na podłodze, opierając ręce na biodrach i pochylając się z przejęciem do przodu. - Elly, pszczoły są tu wszędzie. I wszędzie jest tu miód i to w bardzo dużej ilości. Chcę go zbierać i sprzedawać.

- Ale...

- Poczekaj chwilę, niech skończę. Nie słyszałaś jeszcze wszystkiego. - Wziął głęboki oddech i brnął dalej. - Potrzebuję twojej pomocy. I to nie w związku z ulami. Sam zajmę się tym, a ty wcale nie będziesz musiała się do nich zbliżać. Co jednak będzie z wyjmowaniem i rozlewaniem miodu?

- Przypuszczam, że chodzi ci o forszę. - Zerknęła na niego.

- A dlaczegóż by nie?

- Ale ja tymczasem zupełnie nie dbam o pieniądze.

- No cóż, może mi na nich zależy. Jeśli nie myślę o sobie, to myślę o tym gospodarstwie, o tobie i dzieciach, o rzeczach, które chciałbym tu zrobić. Marzę, aby założyć elektryczność... i być może o łazience. Gdy urodzi się dziecko, sądzę, że i tobie przydadzą się te rzeczy. A jeśli już mowa o dziecku, skąd weźmiemy pieniądze, by opłacić lekarza?

- Już mówiłam wcześniej, że nie potrzebuję żadnych lekarzy.

- Może nie byli potrzebni wtedy, gdy chłopców użądliły pszczoły, mieliśmy szczęście, jednak będzie ci potrzebny lekarz przy porodzie.

- Nie będę korzystać z usług żadnego lekarza - oznajmiła z uporem.

- Ależ to śmieszne! Kto pomoże ci, kiedy przyjdzie czas rozwiązania?

- Miałam nadzieję, że ty to zrobisz. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ja? - Will uniósł do góry brwi, a głowę pochylił do przodu. - Ale ja nie mam zielonego pojęcia o tych sprawach.

- Nie ma w tym nic trudnego - pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Powiem ci zawczasu wszystko, o czym powinieneś wiedzieć. Wystarczy właściwie tylko związać...

- Zaraz, zaraz, chwileczkę! - Zerwał się na równe nogi, wyciągając do góry obie ręce jak policjant kierujący ruchem ulicznym.

- Przestraszyłeś się, prawda? - Nie spuszczać z niego wzroku, niezgrabnie się podniosła.

Wepchnął ręce do tylnych kieszeni, ściskając biodra. Pomiedzy brwiami pojawiły się dwie zmarszczki.

- Jasne, że się boję. A poza tym to nie ma żadnego sensu, zwłaszcza gdy w mieście jest wykwalifikowany lekarz, który potrafi to zrobić.

- Już kiedyś mówiłam ci, że miasto do niczego nie jest mi potrzebne ani ja nie jestem mu do niczego potrzebna.

- Ale to jest wariac... - urwał nagle w pół zdania.

- Wariactwo? - skończyła za niego.

- Nie chciałem tego powiedzieć. - Niech go diabli wezmą za te nierozważne słowa. - To wielkie ryzyko. Wszystko może się zdarzyć. Na przykład dziecko może urodzić się z pępowniną dookoła szyi lub poród będzie pośladowy - co zrobię, jeśli tak by się stało?

- Nie ma obawy. Urodziłam już dwoje bez najmniejszego problemu. Należy tylko...

- Nie! - Odsunął się trochę od niej, zanim spojrzał znowu i to bardzo groźnie. - Nie jestem akuszerką, do cholery!

Po raz pierwszy Elly zobaczyła go, gdy był naprawdę wściekły, i nie wiedziała, jak do niego podejść. Stali zupełnie nieruchomo zwróceni do siebie, z żywymi rumieńcami i zawziętymi wyrazami twarzy, a Eleonora czuła, jak powoli ogarnia ją niepewność. Potrzebowała go, ale on zdawał się tego nie rozumieć. Bała się, ale nie potrafiła tego okazać. I jeśli to, co miała właśnie powiedzieć, odniosłoby odwrotny skutek od zamierzonego, będzie najbardziej nieszczęśliwą kobietą w całym hrabstwie Gordon.

- No cóż, w takim razie może będzie lepiej, jeśli zabierzesz swoje rzeczy i ruszysz w dalszą drogę.

Poczuł się boleśnie ugodzony i przestraszony. Tak to zawsze jest z miłością. Ile razy w życiu już przez to przechodził? „Przykro mi, chłopcze, ale nie będziesz już tu więcej potrzebny”. „Żałujemy, że nie możemy cię tu zatrzymać, chłopcze, ale...” - niezależnie od tego, jak ciężko pracował, aby pokazać swoją wartość, koniec był zawsze nieunikniony. Powinien już przyzwyczać się do tej pory. A jak to cholernie bolało. Bolało! A ona postępowała nierozsądnie, każąc mu przechodzić przez to kolejny raz.

Wziął głęboki oddech. Poczuł, jak cały się trzęsie.

- Nie możemy porozmawiać na ten temat spokojnie, Elly?

Uwielbiała, jak wymawiał jej imię. Jednak nie trzymała go tu jako element dekoracyjny. Jeśli miał zostać, musiał zrozumieć dlaczego. Z uporem nachyliła się i wróciła do szorowania podłogi.

- Mogę zrobić to sama. Nie potrzebuję ciebie.

Tak, nikt nigdy go nie potrzebował. Kiedyś myślał, że może się to zmienić. Jednak był zbędny Eleonorze Dinsmore jak wszystkim, począwszy od jego matki, a skończywszy na stanie Teksas. Mógł zrezygnować i po prostu odejść stąd, znaleźć się z dala od niej, ale czy kochała go, czy nie, był tu szczęśliwy, szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu, jak tylko sięgnął pamięcią. Czuł się dobrze, miał cel i wiele do zrobienia, był potrzebny, wiele już zrobił. I o to warto było walczyć.

Przełknął dumę, przeszedł przez do połowy umytą podłogę i ukucnął obok niej, opierając łokcie na kolanach.

- Nie chcę odchodzić... ale nie nająłem się tutaj, aby odbierać dzieci - przekonywał spokojnie. - Chcę powiedzieć, że - przełknął ślinę - to nieco osobista czynność, nie uważasz?

- I mi się zdaje, że byłoby to kłopotliwe dla ciebie - odpowiedziała sztywno, nadal szorując podłogę, przesuwając się na następny kawałek, aby uniknąć jego spojrzeń.

Myślał o tym długo i intensywnie, patrząc na nią.

- Tak... byłoby tak istotnie.

- Glendon zrobił to... dwa razy.

- To było coś innego. Był twoim mężem.

- Ty też mógłbyś nim być - powiedziała, nadal myjąc podłogę.

Był wstrząśnięty. Jednak, co będzie, jeśli coś źle zrozumiał? Rozważając te słowa, kołysał się na stopach, patrzył, jak uwija się ze szmatą do podłogi, a mokra plama się powiększa. Jej policzki zarumieniły się, gdy rzekła:

- Myślałam sobie, że odpowiadałoby mi, gdybyśmy posunęli się dalej i teraz się pobrali. Chyba będziemy zgodnie żyć ze sobą, chłopcy cię lubią, jesteś dla nich bardzo dobry, a ja naprawdę nie rzucam zbyt często jajkami. - Jednak nadal nie podniosła wzroku.

Powstrzymał uśmiech, serce biło mu gwałtownie.

- Czy tego właśnie chcesz?

- Tak myślę.

A więc spójrz na mnie. Pozwól mi zobaczyć to w twoich oczach.

Ale gdy w końcu podniosła na niego wzrok, zobaczył tylko zakłopotanie, bo to ona się

oświadczyła. A więc... nie była zakochana, lecz jedynie zmuszona przez okoliczności... a on jej odpowiadał, bo był pod ręką. Jednak przecież wiedział o tym, odkąd tu przyszedł, czy tak nie było?

W ciszy panowało coraz większe napięcie. Wstał i podeszedł do okna, wyjrzał na podwórkę za domem, które wyczyścił, na paliki do wieszania bielizny, które umocnił, myśląc sobie, jak wiele chciał jeszcze dla niej uczynić.

- Wiesz, Eleonoro, byłoby głupie, gdybyśmy zrobili to tylko dlatego, że wywiesiłaś jakieś ogłoszenie w tartaku i że tak po prostu na nie odpowiedziałem. To nie jest chyba dostateczny powód, aby dwoje ludzi wiązało się na całe życie.

- Nie chcesz?

Spojrzał przez ramię. Zobaczył, że patrzy na niego ze splonioną twarzą.

- A ty chcesz?

Jestem w ciąży, tak zupełnie nieatrakcyjna i nieładna.

Siedziałem w więzieniu za zabójstwo kobiety.

I żadne z nich nie powiedziało, co czuło w głębi serca. W końcu znowu spojrzał na podwórkę.

- Wydaje mi się, że powinno być... jakieś uczucie pomiędzy ludźmi lub coś w tym rodzaju. - Teraz on z kolei się zarumienił, ale starannie to ukrył przed nią.

- Bardzo cię lubię, Will. A czy ty mnie nie lubisz?

Ton jej głosu był tak pozbawiony emocji, że równie dobrze mogłaby rozważać zakup nowych grabi.

- Tak - powiedział po chwili zachrypłym głosem. - Bardzo cię lubię.

- A zatem myślę, że powinniśmy to zrobić.

Właśnie tak to się odbyło - bez chórów anielskich, bez pocałunków pod gwiazdami. Tylko Elly w siódmym miesiącu ciąży z wysiłkiem wstająca z ziemi i wycierająca ręce o fartuch. I Will stojący gdzieś z boku, patrzący w innym kierunku. Sposób, w jaki to ustalili, sprawił, że brzmiało to równie ekscytująco jak akt Lend Lease, ustawa dotycząca systemu pożyczek i dzierżawy prezydenta Roosevelta. Tego już było dosyć. Zanim się zgodzi, zamierza dowiedzieć się dokładnie, na co będzie mógł tu liczyć. Odwrócił się i śmiało popatrzył jej w oczy.

- Czy mogę o coś zapytać?

- Proszę.

- Gdzie będę spać?

- A gdzie chciałbyś?

Prawdę mówiąc, nie był pewien, co odpowiedzieć. Trudno mu będzie spać przy boku Eleonory, leżeć obok jej ociężałego ciała i nie móc jej dotknąć. Jednak gdy spał w stodole, czuł się okropnie samotny. Zdecydował, że zdradzi tyle, ile trzeba.

- Noce stają się teraz coraz chłodniejsze i daje się to odczuć tam w stodole.

- Jedyne wolne miejsce tutaj to to, na którym spał Glendon, wiesz o tym.

- Wiem. - I po chwili wydłużającej się ciszy. - A więc?

- Byłbyś moim mężem.

- Dobrze więc - powiedział bezbarwnym głosem, zdając sobie sprawę, że nie jest zachwycona tą perspektywą.

- Śpię... śpię przy zapalonym świetle.

- Wiem o tym.

- Naprawdę? - Podniosła brwi.

- Wstawałem wieczorami i widziałem.

- Prawdopodobnie światło nie pozwoli ci zasnąć.

Dlaczego przedstawiała argumenty przeciw, skoro sama myśl o tym sprawiła, że z trudem łapała oddech?

Długo się zastanawiał, zanim zaufał jej na tyle, by ujawnić rysę w swoich systemach obronnych.

- W więzieniu również nie było nigdy zupełnie ciemno.

Zauważył, że twarz Eleonory złagodniała, i zastanawiał się, czy pewnego dnia będzie mógł powierzyć jej wszystkie pozostałe bolesne sprawy.

- No cóż, w takim razie... - Zapadła cisza, gdy zastanawiali się, co powiedzieć lub zrobić w następnej kolejności. Gdyby były to klasyczne oświadczenia i towarzyszyły im odpowiednie emocje po obu stronach, niewątpliwie intymna chwila połączyłaby ich ze sobą. Ponieważ tak nie było, napięcie jeszcze wzrosło.

- No cóż. - Potarł nos i zaśmiał się nerwowo.

- Tak, no cóż. - Rozłożyła ręce, a następnie splotła poniżej nabrzmiałego brzucha.

- Nie wiem, co należy zrobić, by zawrzeć małżeństwo.

- Małżeństwa zawiera się w sądzie w Calhoun. Możemy tam również otrzymać pozwolenie.

- Chcesz jutro tam pojechać?

- Może być jutrzejszy dzień. Doskonale.

- O której godzinie?

- Lepiej wyjechać wcześniej. Musimy wziąć wózek, bo chłopcy pojedą z nami. A jak

wiesz, Madam jest dość powolna.

- W takim razie dziewiąta?

- Dziewiąta będzie akurat.

Przez chwilę patrzyli na siebie uważnie, uświadamiając sobie, na co się właśnie zgodzili. Jakie to wszystko było niezręczne. Jakie niewiarygodne. Jednocześnie ogarnęła ich nieśmiałość. Wyciągnął rękę, aby nasunąć na oczy kapelusz tylko po to, by przypomnieć sobie, że wcześniej zostawił go na kołku na płocie. Tak więc zaczepił tylko palec na tylnej kieszeni spodni i odsunął się o krok.

- No cóż... muszę skończyć pracę. - Jego kciuk przeciął powietrze na wysokości ramienia.

- Ja także.

Cofnął się jeszcze dwa kroki, zastanawiając się, co zrobiłaby, gdyby zawrócił, podszedł i pocałował ją. Jednak w końcu posłuchał się intuicji i odszedł, nie sprawdzając.

ROZDZIAŁ 8

W nocy Eleonora leżała długo z otwartymi oczami, myśląc o minionym dniu, o tym, który nadejdzie, latach, które na nich czekały. Czy ona i Will będą żyli zgodnie, czy też często będą się kłócić? Spory były dla niej czymś nowym. Kiedy przez kilka lat była żoną Glendona, nigdy się nie kłócili, może dlatego, że był on na to po prostu zbyt leniwy.

Tam gdzie wyrosła, również nie było kłótni ani śmiechu. Zamiast tego był lęk, wieczny lęk. Odkąd pamiętała, był zawsze obecny, zawsze czyhał na nią jak potwór. Groził, że rzuci się i otoczy swoimi czarnymi szponami. Babcia zachowywała się tak, jak gdyby miała przestać podobać się Panu, gdy przestanie być groźna. Matka bardzo się starała chodzić cicho, wykonywać polecenia bez szemrania i nigdy nie patrzeć babci w oczy. Strach potęgował się jeszcze, kiedy dziadek przyjeżdżał do domu. Wtedy było więcej modlitw. Rozpoczynało się „oczyszczanie z grzechów”.

Eleonora klęczała na twardej podłodze w salonie, tak jak jej kazano, gdy tymczasem dziadek z wywróconymi oczami wznosił ręce do sufitu, trzęsąc postrzępioną szarą brodą, wzywał przebaczenia Bożego. Obok niej zawodziła babcia, zachowując się jak pies, który dostał ataku wścieklizny, mamrocząc i trzęsąc całym ciałem. A matka - grzesznica - ścisnęła zamknięte oczy i splatała palce tak mocno, że ich kostki były białe. Kołysała się żałośnie na kolanach, poruszając wolno ustami. A ona, Eleonora - dziecko grzechu - pochylała czoło na złożone ręce i zerknęła jednym okiem na to przedstawienie, zastanawiając się, co takiego zrobiły ona i jej matka.

Wydawało się zupełnie niemożliwe, żeby matka zrobiła coś złego. Była łagodna jak baranek, prawie w ogóle się nie odzywała, z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy dziadek kazał jej modlić się głośno i prosić o wybaczenie za występki. Co to był za występki, zastanawiało się dziecko. I dlaczego ona była dzieckiem grzechu?

Kiedy Eleonora była mała, matka niekiedy rozmawiała z nią cichutko, w odosobnieniu ich wspólnego pokoju, jednak z czasem stała się bardziej milcząca i zamknięta w sobie. Pracowała ciężko - babcia już zadbała o to. Kiedy wykonywała wszystkie prace w ogrodzie, babcia odchyłała okiennice i stała na warcie. Jeśli ktoś przechodził drogą, pędziła do tylnych drzwi i syczała przez szczelinę: Sss! Chodź tutaj, Chloe! - aż pewnego dnia Chloe nie czekała już dłużej na polecenie, ale uciekała do środka, gdy tylko dostrzegła jakiś cień.

Tylko trzy osoby mogły podejść bliżej - jedynie trzy i to z konieczności - mleczarz, który zostawiał butelki na schodku z tyłu domu, mężczyzna ze sklepu kolonialnego, który sprzedawał produkty żywnościowe, oraz staruszek nazwiskiem Dinsmore, który przywoził

lód, dopóki obowiązków tych nie przejął jego syn Glendon. Jeśli ktokolwiek inny pukał do drzwi - kierownik szkoły, przygodny włóczęga w poszukiwaniu darmowego posiłku, urzędnik dokonujący spisu ludności - pukanie nie odnosiło żadnego skutku, widział tylko zamykane okiennice.

W końcu zaczął tam przychodzić pracownik opieki społecznej, walił w drzwi rozkazująco, domagając się, by je otworzyć. Czy trzymają tam dziecko? Jeśli tak, musi pójść do szkoły: takie jest prawo.

Babcia stała w dużej odległości od okiennic, jej twarz przypominała pośmiertną maskę, i szeptała:

- Cicho, Eleonoro, ani słowa!

Później pracownik ten przyszedł, gdy dziadek był w domu. Tym razem krzyczał:

- Albert See? Wiemy, że jest tam dziecko w wieku szkolnym. Jeśli nie otworzysz drzwi, dostanę nakaz sądowy, który da mi prawo, żeby się włamać i ją zabrać. Czy chcesz, abym to zrobił, See?

W ten sposób zaczęły się szkolne dni Eleonory, które okazały się bardzo bolesnym doświadczeniem dla nieśmiałego dziecka, o rok starszego i głowę wyższego niż pozostali uczniowie pierwszej klasy. Inne dzieci nie bez racji traktowały ją jak dziwaczkę - niezgrabną głupią cudaczną osobę, która nie miała pojęcia o podstawowych zabawach, nie wiedziała, jak radzić sobie w grupie, i patrzyła na wszystko i na wszystkich szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Przy każdej sposobności wahała się, a kiedy czasami na chwilę okazywała radość, skacząc i klaszcząc w dłonie rozbawiona, robiła to z niepokojącą gwałtownością, a następnie nagle nieruchomiała, jak gdyby ktoś ją zgasił. Kiedy nauczyciele starali się okazać życzliwość, wycofywała się, jak gdyby groziło jej jakieś niebezpieczeństwo. Kiedy dzieci wyśmiewały się z niej, pokazywała im język. A dzieci zawsze były okrutne.

Szkoła dla Eleonory zdawała się wymianą jednego więzienia na drugie. Tak więc zaczęła chodzić na wagary. Za pierwszym razem, kiedy to zrobiła, obawiała się, że Bóg dowie się o tym i powie babci. Gdy tak się jednak nie stało, spróbowała to powtórzyć, spędzając cały dzień w lasach i na polach, odkrywając uroki prawdziwej wolności. Wiedziała znakomicie, jak siedzieć nieruchomo i spokojnie - w domu z zielonymi okiennicami nabyła dużo praktyki - i po raz pierwszy przynosiło to owoce. Zwierzęta rozumiały, że mogą jej zaufać i zajmować się swoimi codziennymi zajęciami, jak gdyby była jedną z nich. Czula się świetnie wśród węży i pajaków, wiewiórek i ptaków. Przede wszystkim ptaków. Dla Eleonory te cudowne stworzenia - jedyne nie przywiązane do ziemi - cieszyły się największą wolnością spośród wszystkich stworzeń.

Zacząła przypatrywać się im uważnie, zdobywać wiedzę na ich temat. Kiedy piąta klasa panny Buttry odwiedziła bibliotekę, Eleonora znalazła wielotomowe wspaniałe dzieło Audubona „Ptaki Ameryki” z kolorowymi planszami, wizerunkami ptaków w naturalnej wielkości i opisem ich środowiska, gniazd, jajek i głosów. Na łonie natury zaczęła je rozpoznawać. Spotykała tam jemiołuszki, które pojawiały się w gromadce, zawsze wydawały się pełne tkliwości i czasami upijały się przejrzalymi owocami, i sójki, pompatyczne i aroganckie, ale piękniejsze niż łagodne kardynały i tanagry.

Przynosiła okruszki w kieszeniach i rozsypywała je wokół siebie, a następnie siedziała nieruchomo jak jej przyjaciółka pasiasta sowa. Później przylatywała dziwonია - przysiadła na pobliskiej sosnowej gałęzi, wyśpiewując serenady swoim słodkim świergotem. Po pewnym czasie schodziła na niższą gałąź, podnosiła główkę, aby jej się uważnie przyjrzeć. Znalazła ją następnego dnia - była pewna, iż to był ten sam ptak - i trzeciego, a kiedy nauczyła się naśladować jej nawoływanie, wzywała ją z taką samą łatwością, z jaką dzieci gwizdzą na swoje psy. Później stała z okruszkami w dłoni jak Statua Wolności, a ptaszek przysiadł na jej ręce, aby jeść.

Wkrótce w szkole dzieci zaczęły się przechwalać przed sobą. Mała dziewczynka z czarnymi warkoczykami i wadą zgryzu powiedziała, że umie zrobić trzydzieści siedem fikołków i nie kręci się jej w głowie. Inna, najgrubsza w całej klasie, chwaliła się, że może zjeść czternaście naleśników naraz! Trzecia - najślawniejsza kłamczucha w całej szkole - opowiadała, że jej tata jedzie na safari do Afryki w przyszłym roku i zabiera ją ze sobą.

Eleonora przysunęła się trochę bliżej do zamkniętego kręgu i nieśmiało oświadczyła:

- Umiem przywoływać ptaki i sprawić, by jadły z mojej ręki.

Gapili się na nią jak na wariatkę, a następnie zachichotali i jeszcze raz zamknęli swoje szeregi. Później wyśmiewali się na tyle głośno, że słowa zawsze dolatywały do jej uszu - zwariowana Elly See rozmawia z ptakami i mieszka w domu z zamkniętymi okiennicami, ona i jej zwariowana matka oraz jeszcze bardziej zwariowana babka i dziadek.

Pierwszy raz rozmawiała z Glendonem Dinsmore'em w czasie wagarów. Spóźniła się, idąc do domu, i wyleciała pędem z lasu jak szalona, z łoskotem zbiegając ze stromej skarpy, strącając kamienie na drogę znajdującą się poniżej i strasząc mulicę, która zaryczała i odskoczyła na bok, prawie przewracając wóz.

- Prrr! - krzyknął, gdy zwierzę niemal rozszczępiło drzewo na pół mocnym kopniakiem. Kiedy odzyskał panowanie nad zwierzęciem, zdjął pokryty kurzem pilśniowy kapelusz i wzburzony uderzył nim o siedzenie na wozie. - Wielki Boże, dziewczyno, co ty sobie myślisz, wylatując z lasu w takim tempie!

- Śpieszę się. Muszę wrócić do domu, zanim dzieci wrócą ze szkoły.

- No cóż, solidnie przestraszyłaś biedną Madam! Powinnaś bardziej uważać.

- Przepraszam - odpowiedziała, cichnąc.

- Hmmm. - Włożył kapelusz na głowę i nieco złagodniał. - Chyba nie pomyślałaś, by się zatrzymać, ale uważaj następnym razem, słyszysz? - Zerknął znacząco na las, a później jeszcze raz na nią. - Tak więc chodzisz na wagary, co? - Kiedy nie odpowiedziała, przyjrzał się jej uważniej i przechylił głowę do przodu. - Hej, a czy przypadkiem ja ciebie skądś nie znam?

Skrzyżowała ręce z tyłu, kołyszając się z lewej strony na prawą.

- Kiedyś, gdy byłam małą, przywoził pan łód do naszego domu.

- Naprawdę? - Kiwnęła głową, gdy on drapał się w skroń, przekrzywiając kapelusz. - Powiedz jeszcze raz, jak się nazywasz?

- Elly See.

- Elly See. - Zatrzymał się, aby sobie przypomnieć. - Ależ tak, oczywiście. Teraz sobie przypominam. A ja nazywam się Glendon Dinsmore.

- Wiem.

- Wiesz? - Uśmiechnął się zaskoczony. - A to skąd znowu? Przecież nie przychodzę już wcale do was.

Elly palcem u nogi odgarnęła ziemię.

- Wiem. Babcia kupiła elektryczną lodówkę, aby nie trzeba było już więcej przywozić do nas lodu. Nie lubią, jak kręcą się koło domu jacyś ludzie.

- No... tak zastanawiałem się właśnie. - Wskazał drogę kciukiem i zaproponował: - Jadę w twoją stronę. Może cię podwieźć?

Potrząsnęła głową, zaciskając ręce z tyłu jeszcze mocniej, co sprawiło, że zdawało się, iż pod jej sukienką naciągniętą z przodu znajdują się dwa żołędzie. Już teraz był dorosłym mężczyzną, miał - jak sądziła - siedemnaście, osiemnaście lat. Gdyby babcia zobaczyła, że wraca do domu na wozie, skończyłoby się to na tym, że godzinami musiałyby klęczeć.

- No ale dlaczego nie? Madam nie miałaby nic przeciwko temu, aby ciągnąć dwie osoby.

- Miałabym tylko same kłopoty. Mam wracać prosto do domu ze szkoły i nie powinnam rozmawiać z nieznajomymi.

- No dobrze, nie chciałbym, abyś przeze mnie miała jakieś przykrości. Często chodzisz tą drogą?

- Jedyne... czasami. - Przyjrzała mu się ostrożnie.

- A co robisz w lasach?

- Badam ptaki - rzekła i po chwili zastanowienia dodała: - Potrzebne mi to do szkoły, wiesz?

Podniósł głowę i pokiwał ze zrozumieniem, jak gdyby chciał powiedzieć: Ach tak, rozumiem.

- Ptaki są urocze - stwierdził, a następnie chwycił za lejce. - No cóż, może wpadnę na ciebie znowu pewnego dnia, ale teraz już lepiej nie będę cię zatrzymywał. Do zobaczenia, Elly.

Patrzyła zdziwiona, jak odjeżdża. W jej dwunastoletnim życiu był jedyną osobą, która traktowała ją, jak gdyby nie była ani wariatką, ani dzieckiem grzechu. Myślała o nim później w czasie modlitw, aby odwrócić uwagę od bolących kolan. Wyglądał raczej niedbale, ubrany w robocze ubranie i grube buty, miał lekki zarost na brodzie, który nadawał mu „kłujący” wygląd. Jednak ona zupełnie nie dbała o to, jak wygląda, lecz jedynie o to, że traktuje ją, jakby nie była jakimś dziwolągiem.

Następnym razem, gdy uciekła do lasu, znalazła sobie miejsce nad skalistą skarpą za krzakiem jałowca. Schowała się tam i obserwowała. W umieszczonej wysoko kryjówce czekała, aż się pojawi. Kiedy tak się nie stało, ze zdziwieniem stwierdziła, że jest rozczarowana. Obserwowała drogę przez trzy dni, zanim zrezygnowała, nigdy nie rozumiejąc w pełni, dlaczego się spodziewała, że nadjedzie tą drogą tak jak wcześniej. Wydawało się jej, że chodziło jej o rozmowę. Tak przyjemnie było po prostu z kimś porozmawiać.

Minął prawie cały rok, zanim znowu na niego wpadła. Chociaż była już jesień, było ciepło, wokół leżały kolorowe liście, lecz niebo pociemniało. Elly zakradała się, aby zobaczyć przepiórki, których głosy tak kochała. Nie mogąc ich znaleźć, poszła w kierunku lasu i zobaczyła, że przysiadły w grupkach na ziemi. Zaczęła przywoływać, gwizdząc czysto: kwoli, kwoli, a wtedy zamiast je wywabić z krzaków sumaka, wywabiła Glendona Dinsmore'a, który był na sąsiednim wzgórzu. Zatrzymała się jak wryta i patrzyła, jak do niej podchodzi, trzymając strzelbę w jednej dłoni. Drugą rękę podniósł, pomachał jej i zawołał:

- Witaj, Elly!

Stała z kamienną twarzą, czekając, aż podejdzie. Zatrzymując się przed nią, powtórzył:

- Witaj, Elly.

- Witaj, Glendonie - odpowiedziała.

- Jak ci się wiedzie?

- Myślę, że dobrze.

Stali przez chwilę, nie odzywając się. Przyglądała się uważnie, z twarzą zupełnie pozbawioną uśmiechu, a on wydawał się zadowolony ze spotkania. Wyglądał zupełnie tak samo jak ostatnim razem - miał na sobie to samo ubranie, brodę w takim samym nieładzie, ten sam zakurzony kapelusz. W końcu przesunął się, potarł nos i spytał:

- Jak się mają twoje ptaszki?

- Jakie ptaki? - Ptaki były wyłącznie jej sprawą i nikogo więcej.

- Mówiłaś, że badasz ptaki. Czego się teraz uczysz?

Pamiętał przez cały rok, że bada ptaki. Elly złagodniała.

- Staram się wywabić przepiórki z kryjóWKi.

- Umiesz je przywoływać? Ojej! - Wyglądało na to, że udało się jej zrobić na nim wrażenie, w przeciwieństwie do dziewcząt w szkole.

- Czasami. Czasami mi się nie udaje. A co ty tu robisz ze strzelbą?

- Poluję.

- Polujesz! Czy chcesz powiedzieć, że strzelasz do zwierząt?

- Tak, strzelam.

- Nigdy nie zrobiłabym tego.

- Ja i mój tatuś jemy sarnie mięso.

- No cóż, mam nadzieję, że nie uda ci się żadnej zabić.

Przechylił się do tyłu i zaśmiał krótko, a następnie powiedział:

- DziewuszkO, jesteś naprawdę kimś. Pamiętałem, że jesteś kimś. A więc czy widziałaś jakieś przepiórki?

- Nie. Jeszcze nie. A ty widziałeś jakieś sarny?

- Nie, jeszcze nie.

- Widziałam jednego jelonka, ale nie powiem gdzie. Spotykam go prawie codziennie.

- Przychodzisz tu codziennie?

- Prawie zawsze.

- Ja także w czasie sezonu łowieckiego.

Rozważała to przez chwilę, ale jakakolwiek wzmianka, aby spotkali się jeszcze raz, wydawała się absurdalna. Pomimo wszystko miała dopiero trzynaście lat, a on był pięć lat starszy.

Przestraszona na samą myśl o tym, odwróciła się gwałtownie.

- Muszę już iść. - Zaczęła biec w przeciwnym kierunku.

- Hej, Elly, poczekaj!

- Co?

Zatrzymała się w odległości kilku metrów od niego.

- Być może spotkamy się kiedyś tutaj. Sezon myśliwski trwa jeszcze kilka tygodni.

- Być może. - Przyglądała mu się uważnie w milczeniu, a następnie powtórzyła: - Muszę iść. Jeśli nie będę w domu pięć po czwartej, zmuszą mnie, bym modliła się dodatkowe pół godziny.

Znowu odwróciła się i biegła tak szybko, jak tylko niosły ją nogi, zdziwiona tą serdecznością i tym, iż ani trochę nie dba o to, że jest zwariowana. A przecież był u nich w domu, wiedział, skąd pochodzi, znał jej rodzinę. Pomimo wszystko chciał się z nią zaprzyjaźnić.

Następnego dnia wróciła w to samo miejsce, ale schowała się tak, żeby nie mógł jej zobaczyć. Patrzyła, jak nadchodzi, idąc przez to samo wzgórze ze strzelbą w jednej ręce i grubym workiem z materiału w drugiej. Usiadł pod drzewem, położył strzelbę na kolanach i torbę na biodrze. Do tyłu zsunął zakurzony kapelusz, wydobyl z kieszeni fajkę zrobioną z kaczana kukurydzy, napełnił ją z torebki z zawiązanym wokół sznurkiem i zapalił zapałką. Pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała tak zadowolonego człowieka.

Wypalił całą fajkę, jego nogi w ciężkich butach były cały czas skrzyżowane, a jedna ręka oparta o brzuch. Kiedy wytrząsnął niedopalony tytoń z fajki i dokładnie rozgniół go butem, wpadła w panikę. Za chwilę odejdzie!

Wyszła z kryjówki i stała nieruchomo, czekając, aż ją zauważy. Gdy tak się stało, jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- A więc witaj!

- Witaj i ty!

- Ładny dzień, prawda?

Każdy dzień wydawał jej się równie ładny. Zmrużyła oczy i spojrzała na niebo, a później zamilkła.

- Przyniosłem ci coś - powiedział, wstając.

- Coś dla mnie? - Patrzyła podejrzliwie. Tam skąd pochodziła, nikt nie robił nikomu żadnych przyjemności.

- Dla twoich ptaszków. - Pochylił się i podniósł z ziemi duży worek zawiązany sznurkiem.

Patrzyła na ten worek oniemiała.

- Jak idą ci badania?

- Och, wspaniale. Po prostu wspaniale.

- W zeszłym roku uczyłaś się o ptaszkach w szkole. Dlaczego to robisz w tym roku?

- Dla przyjemności. Lubię ptaki.

- Ja także. - Postawił worek przy jej stopach. - A w której jesteś klasie?

- Siódmej.

- Lubisz chodzić do szkoły?

- Nie tak bardzo jak w zeszłym roku. Wtedy mieliśmy lekcje z panną Natwick.

- Mnie też uczyła. Jednak nie przejmowałem się zbytnio szkołą. Zerwałem z nią, gdy skończyłem ósmą klasę. Zająłem się wtedy rozwożeniem lodu. Pomagam też tacie w gospodarstwie. - Wskazał głową. - Ja i on mieszkamy tam w górze przy ulicy Rock Creek.

Spojrzała we wskazanym kierunku, lecz wzrok jej szybko padł na worek na poszyciu leśnym.

- Co w nim jest?

- Ziarno. - Nieśmiało grubodzioby chyba lubią ziarno. Może dzięki temu uda jej się podejść do nich bliżej. Powinna podziękować, ale nigdy nie nauczyła się, jak to się robi. Zamiast tego ofiarowała mu coś innego, odrobinę swej cennej wiedzy na temat ptaków.

- Wilgi to moje ulubione ptaki. Jednak nie jedzą ziarna. Tylko robaczki i winogrona. Za to grubodziobom ziarno prawdopodobnie przypadnie do gustu.

Skinął i zobaczyła, że ta odpowiedź starczyła mu za całe podziękowanie i tego właśnie potrzebował. Zadawał jej więcej pytań o szkole i powiedziała mu, że czasami uczy się o ptakach z książek w bibliotece. Czasami przynosi te książki do lasu. Kiedyś, innym razem, przyszła tu tylko z tabliczką i kredkami. Rysowała wtedy ptaszki, a później zabrała do biblioteki szkice, aby poznać ich nazwy.

Wówczas przerwał i powiedział, że zrobi z dyni karmniki dla ptaków.

- Z dyni?

- Ptaki je uwielbiają. Jeśli tylko wywierci się dla nich otwór, wchodzą do środka.

- Jak duża powinna być ta dziura?

- To zależy od wielkości ptaka. I od dyni.

Wyciągnął zegarek i powiedział:

- Zbliża się czwarta. Lepiej już idź.

Doszła tylko do pobliskiego wzgórza i padła na kolana, od - wiążąc sznurek drżącymi palcami. Zajrzała do worka i serce zabiło jej szybciej. Zanurzyła ręce w suchych złotych ziarnach i przesypywała je przez palce. Jej ożywienie było czymś zupełnie nowym. Nigdy wcześniej nie czekała na nic. Następnego dnia nie pojawił się tam. Ale obok krzaków sumaka, gdzie spotkali się wcześniej dwa razy, zostawił trzy bryłowate zielone i żółte karmniki z dyni, w każdym wywiercona była dziura innej wielkości i każdy zaopatrzony był

w drucik do zawieszenia.

Podarunek. Dał jej jeszcze jeden prezent!

Minął już prawie sezon łowiecki, zanim zobaczyła go znowu - w ostatnim dniu. Szedł wolnym krokiem przez wzgórze ze swoją strzelbą, a ona stała, czekając - płaska nieatrakcyjna dziewczyna, której oczy wydawały się ciemniejsze niż w rzeczywistości na bladej piegowatej buzi. Nie uśmiechnęła się ani razu ani nie zadrżał jej głos, gdy zapytała wprost:

- Chcesz zobaczyć, gdzie powiesiłam dynie? - Nigdy w życiu Elly w nikim nie pokładała takiego zaufania.

Później często się spotykali. Czuli się swobodnie w jego towarzystwie, ponieważ znał las i jego mieszkańców tak dobrze jak ona i zawsze kiedy szli - zachowywał pełen szacunku dystans, trzymał ręce w tylnych kieszeniach, lekko pochylony.

Pokazała mu wilgi i grubodzioby oraz trznadłe. Razem obserwowali ptaki, które nadleciały, aby zamieszkać w trzech prążkowanych dyniach - dwie rodziny wróbelków, a na wiosnę modraszka. Po upływie miesiący przyniosła garść ziarna i pokazała mu, jak nawołuje ptaki oraz zwabia je, aby jadły z ręki.

Skończyła już czternaście lat, a później pewnego dnia przyszła na spotkanie z ponurym wyrazem twarzy. Siedzieli na złamanym pniu drzewa, przyglądając się dziupli, gdzie miał gniazdo opos.

- Nie mogę się już z tobą dłużej spotykać, Glendonie.

- A to dlaczego?

- Ponieważ jestem chora. Prawdopodobnie umrę.

- Umrzesz? Co się stało? - Zaniepokojony zwrócił się w jej stronę.

- Nie wiem, ale jest bardzo źle.

- No cóż... czy zabrali cię do lekarza?

- Nie muszą tego robić. Już krwawię - co on może na to poradzić?

- Krwawisz?

Skinęła głową zrezygnowana, miała zaciśnięte usta, a wzrok utkwiała w dziupli oposa.

Ukradkiem zerknął na jej sukienkę, gdzie żołądziejce urosły i miały już wielkość jabłuszek.

- Mówiłaś o tym matce?

Potrząsnęła głową.

- To nic by nie dało, bo jest szalona. Nie zdaje sobie nawet sprawy, że z nią jestem.

- A twoja babcia?

- Boję się jej o tym powiedzieć.

- Dlaczego?

- Dlatego. - Elly spuściła oczy.

- Ale dlaczego?

Wzruszyła ramionami zawstydzona, przeczuwając niejasno, że ma to coś wspólnego z tym, iż jest dzieckiem grzechu.

- Krwawisz w kobiecych miejscach? - spytał. Skinęła głową i zarumieniła się. - Nie powiedzieli ci, prawda?

- A co mieli powiedzieć? - Rzuciła mu jeszcze jedno przelotne spojrzenie.

- Zdarza się to wszystkim kobietom. A jeśli nie, wtedy nie mogą mieć dzieci.

Odwróciła głowę, a on patrzył na słońce przezierające przez stary dąb.

- Powinni byli cię uprzedzić, wiedziałabyś wtedy, czego się spodziewać. Teraz idź do domu i powiedz o tym babci, a ona powie ci, co zrobić.

Jednak Eleonora nie zrobiła tego. Uwierzyła Glendonowi, że to coś naturalnego. Kiedy zdarzało się to w regularnych odstępach, zaczęła śledzić długość między jednym a drugim okresem, aby się przygotować.

Kiedy miała piętnaście lat, zapytała go, co oznacza określenie „dziecko grzechu”.

- Dlaczego pytasz?

- Ponieważ właśnie nim jestem. Mówią mi o tym cały czas.

- Mówią ci! - Zmarszczył twarz, podniósł patyk, połamał go na cztery części i wyrzucił. - To nic nie znaczy - powiedział ze złością.

- To coś złego, prawda?

- Jak to możliwe? Przecież nie jesteś zła, jak sądzisz?

- Nie słucham się ich i uciekam ze szkoły.

- Ale to nie znaczy, że jesteś dzieckiem grzechu.

- A więc co o tym decyduje? - Kiedy zachowywał milczenie, zwróciła się do niego: - Jesteś moim przyjacielem, Glendone. Jeśli mi nie powiesz, to kto to zrobi?

Siedział na poszyciu leśnym, oba łokcie opierał o kolana i wpatrywał się w złamany patyk.

- Dobrze. Powiem ci. Pamiętasz, kiedy widzieliśmy, jak parzą się przepiórki. Pamiętasz, co się stało, kiedy samiec znalazł się nad samicą? - Spojrzał na nią szybko, a ona skinęła głową. - W taki sposób łączą się również ludzie, ale niektórzy uważają, iż wolno to robić tylko wtedy, gdy są małżeństwem. Jeśli to robią, a nie są małżeństwem i mają dziecko, ludzie tacy jak twoja babcia nazywają je dzieckiem grzechu.

- W takim razie jestem jednym z nich.

- Nie, nie jesteś.

- Ale jeśli...

- Nie, nie jesteś! Dostyc tego, słyszę o tym już ostatni raz!

- Przecież ja nie mam taty.

- Ale nie jest to twoja wina, prawda? Więc czyj to jest grzech?

Nagle zrozumiała znaczenie wszystkich ekspiacji i dlaczego nazywano jej matkę grzesznicą. Ale kto był jej tatą? Czy kiedykolwiek się dowie?

- Glendonie?

- Tak?

- Czy jestem bękartem? - Słyszała, jak ktoś szeptał to słowo za jej plecami w szkole.

- Elly, musisz się nauczyć, że nie trzeba się martwić nieistotnymi rzeczami. Najważniejsze, żeby być w środku dobrą osobą.

Siedzieli cicho przez długi czas, słuchając gromadki wróbli ćwierkających w krzakach szakłaku, tam gdzie wisiały dynie. Eleonora podniosła wzrok na niebieskie niebo widoczne między gałęziami nad głową.

- Czy kiedykolwiek życzyłeś sobie, aby ktoś umarł? Zastanowił się nad tym poważnie przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Nie, jak sądzę, nigdy.

- Czasami chciałabym, aby moi dziadkowie umarli, abyśmy obie z matką nie musiały się już więcej modlić i żebym mogła otworzyć okiennice i wypuścić matkę na dwór. Osoba, która jest dobra w środku, nie życzyłaby sobie takiej rzeczy, jak mi się zdaje.

Wyciągnął rękę i położył jej na ramieniu pocieszająco. Wtedy po raz pierwszy jej dotknął.

Życzenie Eleonory spełniło się, kiedy skończyła szesnaście lat. Albert See umarł w czasie objazdu... w łóżku kobiety, która nazywała się Matylda King. Matylda King, jak się okazało, była czarna i ofiarowywała swoje wdzięki tylko za pieniądze.

Elly poinformowała Glendona o tej śmierci bez najmniejszego żalu. Kiedy dotknął jej policzka, powiedziała:

- Czuję się dobrze. Był prawdziwym grzesznikiem.

Wstrząs i wstyd dotyczący okoliczności związanych ze zgonem męża sprawił, że od tego czasu Lottie See nie umiała spojrzeć w oczy ani córce, ani wnuczce. Żyła jeszcze krócej niż rok, większość tego czasu spędziła, siedząc na twardym krześle i patrząc na salonik, gdzie zielone okiennice przyklepiono do okien taśmą. Nie odzywała się już więcej, chyba że chciała się pomodlić, ani nie zmuszała Chloe, by kajała się za grzechy. Po prostu siedziała, wpatrując

się w ścianę, dopóki pewnego dnia głowa jej nie przechyliła się, a dłonie nie opadły na bok.

Kiedy Elly powiedziała Glendonowi o śmierci babki, nie było znowu ani łez, ani lamentów. Trzymał ją za rękę, gdy siedzieli w milczeniu na pniu, nasłuchując, jak wokół nich żyje las.

- Dla takich ludzi prawdopodobnie lepiej jest nie żyć - powiedział. - Nie mają pojęcia, czym jest szczęście.

Elly patrzyła prosto przed siebie.

- Odtąd mogę spotykać się z tobą, kiedy tylko zechcę. Matka mnie nie zatrzyma, a ja przestanę chodzić do szkoły, zostanę w domu i zaopiekuję się nią.

Eleonora zdjęła wprawdzie taśmę z okiennic, ale kiedy je odchylała, Chloe piszczała i związała się w kłębek, chroniąc głowę jak gdyby przed ciosem. Ten obłądny strach nie miał żadnego związku z rzeczywistością. Śmierć rodziców zamiast wyzwolić Chloe, jeszcze bardziej pogłężyła ją w świecie szaleństwa. Nie mogła pomóc sobie w żaden sposób, tak więc Eleonora musiała się zająć matką, karmiła ją i ubierała. Spełniała wszystkie codzienne potrzeby.

Kiedy miała osiemnaście lat, umarł ojciec Glendona. W przeciwieństwie do Eleonory, Glendon ogromnie rozpaczał. Spotkali się w lesie i tam płakał żałośnie. Otworzyła ramiona i przytuliła go po raz pierwszy w życiu.

- Nie płacz... no nie płacz.

Jednak w głębi duszy myślała, że to piękne, iż ktoś jest w stanie płakać po śmierci rodziców. Kołysała go na piersi, a kiedy przestał łkać, utopił swój żal w jej dziewiczym ciele. Dla Elly był to akt miłości duchowej, a nie fizycznej. Nie modliła się już dłużej ani nie zamierzała już robić tego nigdy więcej. Jednak pocieszyć kogoś tak pograżonego w smutku i to w taki sposób, znaczyło dla niej o wiele więcej niż modlitwa odmawiana z przymusu w domu pełnym ciemności.

Kiedy wszystko się skończyło, leżała na plecach, przyglądając się bladozłotemu niebu prześwietlającemu przez delikatne pędy wiosennych pączków, i powiedziała:

- Nie chcę mieć dzieci grzechu.

- Nie będziesz ich miała. Wyjdiesz za mnie za męża, Eleonoro, nieprawdaż? - Trzymał ją mocno za rękę.

- Nie mogę. Muszę zająć się matką.

- Możesz równie dobrze się nią zająć u mnie, czy nie mam racji? Inaczej będę się czuł tak okropnie samotny. Poza tym moglibyśmy zaopiekować się nią wspólnie. Nie przeszkadzałoby mi, gdyby zamieszkała z nami. Chyba pamięta mnie jeszcze z czasów, kiedy

przywożem łód do waszego domu?

- Nigdy nie mówiłam jej o tobie. I tak by nie zrozumiała. Jest szalona, nie widzisz tego? Boi się dziennego światła. Już w ogóle nie wychodzi z domu i obawiam się, że gdybym chciała ją stamtąd wyprowadzić, po prostu umarłaby ze strachu.

Chloe umarła spokojnie we śnie rok po śmierci rodziców. W dniu jej pogrzebu Elly spakowała skromne rzeczy, jakie posiadała, zamknęła drzwi domu z opuszczonymi okiennicami, wsiadła na wóz Glendona i ani razu nie odwróciła się za siebie. Pojechali do Calhoun, w sądzie otrzymali pozwolenie na zawarcie małżeństwa i pobrali się w ciągu godziny. Ich małżeństwo nie tyle było uwieńczeniem długotrwałych czułych zalotów, ile naturalnym przedłużeniem dwóch samotnych istnień ludzi, którzy byli mniej samotni, kiedy postanowili żyć razem. Ich życie małżeńskie było takie samo: koleżeństwo bez wielkiej namiętności.

I teraz Eleonora wychodziła drugi raz za mąż w podobny sposób z podobnych powodów. Leżała w łóżku, myśląc o jutrzejszym dniu ze ściśniętym gardłem. Jak to się działo, że zwariowana Elly See nigdy nie mogła zawrzeć małżeństwa, które byłoby czymś więcej niż umową z rozsądku? Miała uczucia - urazy, marzenia, potrzeby, jak wszyscy inni. Czy tak długo były ukryte głęboko w niej przez te wszystkie lata, kiedy zmuszona była do uległości i milczenia w zaciemnionym domu, że zupełnie zamilkły? Nikt nie nauczył jej, jak kobieta powinna postępować z mężczyznami. Łatwo było kochać chłopców, ale dać poznać swe uczucia mężczyźnie to zupełnie inna historia.

Dlaczego nie mogła powiedzieć: Will, boję się, że coś ci się stanie, gdy zajmiesz się pszczołami? Zamiast tego rzuciła jajkiem, a on zrobił tyle dla niej i chciał zrobić jeszcze więcej. Zaczęły ją piec łzy upokorzenia i przyłożyła rękę do oczu, przypominając sobie zdarzenia minionego dnia. Coś dziwnego stało się, kiedy odszedł, śmiejąc się, zamiast się rozgniewać. Coś dziwnego zaczęło się dziać w jej ciele. Cały czas miała to uczucie, kiedy wrócił do domu na kolację, uczucie, którego nigdy nie doświadczyła, będąc z Glendonem. Czowała dziwny ucisk w sercu, suchość w gardle.

Miała teraz to samo uczucie silne i uporczywe, gdy wyobraziła sobie Willa, wychudzonego, szczupłego i tak różnego od męża. Golił się co rano, mył trzy razy dziennie i wkładał czystą bieliznę codziennie o świcie. Dawał jej więcej brudnych rzeczy do prania w ciągu jednego tygodnia niż Glendon przez miesiąc. Miała więcej pracy, ale wykonywała ją chętnie. Czasami, prasując ubrania, myślała, jak Will będzie w nich wyglądać, i wracało to samo uczucie. Coś ścisnęło ją w żołądku, a krew zaczynała krążyć szybciej.

Kiedy szedł dziś wcześniej rano do kuchni, opalony, bez koszuli, z gołymi ramionami,

mokry po kąpieli przy studni, czuła się od tego niemal odurzona. Cóż z niej za wariatka - oto życzyła sobie, aby Will ją pocałował. Przez chwilę myślała, że może to zrobi, ale ostatecznie tak się nie stało. Zdrowy rozsądek podpowiadał Elly - jesteś w ciąży, jesteś zwyczajną i głupią kobietą.

Zwinęła się na łóżku w kłębek, nieszczęśliwa - jutro jest jej ślub i to ona poprosiła go o rękę.

ROZDZIAŁ 9

W dniu swojego ślubu Will obudził się podekscytowany. Miał swoją tajemnicę - coś, nad czym pracował od dwóch tygodni i skończył przy świetle lampy zeszłej nocy o drugiej. Wychodząc ze stodoły, spojrzął do góry - zamglone i szare niebo zapowiadało ponury wilgotny dzień. Kobiety, jak przypuszczał, lubią, gdy słońce świeci w dniu ich ślubu, jednak niespodzianka powinna ją trochę rozchmurzyć. Wiedział dokładnie, kiedy jej to ofiarować - w ostatniej chwili, kiedy będzie już czas do odjazdu.

Spotkali się w kuchni. Czuli się nieswojo i byli podenerwowani. Dziwny początek dnia zaślubin - z panną młodą w niebieskiej podomce i panem młodym w roboczym ubraniu. Spojrzeli na siebie pospiesznie i wymijająco.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

Przyniósł dwa wiadra wody do mycia, postawił je i zaczął rozpalać w piecu.

- Myślę, że jeszcze masz nadzieję na słońce - powiedział odwrócony do niej plecami.

- Byłoby bardzo przyjemnie.

- Może jeszcze się przejaśni, zanim wyjedziemy - powiedział, uśmiechając się do siebie i znowu myśląc o niespodziance.

- Zupełnie na to nie wygląda, a nie wiem, co zrobię z chłopcami, jeśli będzie padało. Może powinniśmy poczekać do jutra?

- A chcesz tak zrobić? - Spojrzął ponownie przez ramię.

- Nie. - Ich oczy spotkały się na chwilę.

Odpowiedź ta sprawiła, że uśmiechał się do siebie, gdy wracał do codziennych obowiązków. Jednak przy śniadaniu napięcie wzrosło. W końcu był to dzień ślubu, a kiedy się zakończy, będą dzielić jedno łóżko. Jednak coś jeszcze trapiło Willa. Odłożył ten temat, dopóki nie skończył się posiłek i Elly nie wstawiła na miejsce krzesła, co oznaczało, że chce sprzątać ze stołu.

- Elly... ja... - zająknął się i umilkł, wycierając dłonie o spodnie.

- O co chodzi? - Zatrzymała się z dwoma talerzami w ręku.

Nie był zachłanny na pieniądze, ale nagle zdał sobie sprawę z rozbijającą jasnością, że chciałby je posiadać. Zaciśnął mocno ręce na biodrach i wydusił:

- Nie wiem, czy starczy mi pieniędzy na pozwolenie zawarcia małżeństwa.

- Są pieniądze za jajka i to, co zarobiłeś za sprzedaż złomu.

- To jest twoje.

- Nie bądź głupi. Czy będzie jakaś różnica, gdy dzień dobiegnie końca?

- Mężczyzna powinien zapłacić za licencję - upierał się - i obrączkę.

- Och... obrączkę. - Patrzył na jej ręce, gdy stała przy stole, trzymając brudne naczynia. Spojrzał na lewą dłoń Eleonory, a ona poczuła się głupio, bo nie pomyślała, aby zdjąć ślubną obrączkę. Nie zostawiła jej w szufladzie w biurku. - No tak. - Nastąpiła cisza, a ona zastanawiała się i podała jedno możliwe rozwiązanie. - Mogłabym... mogłabym posłużyć się nią raz jeszcze.

Na jego twarzy widać było upór, gdy wstał, naciągnął kapelusz i przeszedł energicznie przez kuchnię w kierunku zlewu.

- To nie byłoby właściwe.

Patrzyła, jak zabiera mydło, ręczniki i wodę do kąpieli i idzie do drzwi z dumnie podniesionymi ramionami i jeszcze gwałtowniej stawia kroki.

- Jakie to ma znaczenie, Will?

- To nie byłoby właściwe - powtórzył, otwierając drzwi. Odwrócił się i powiedział: - O której godzinie chcesz wyjechać?

- Muszę przygotować siebie i chłopców oraz pozmywać naczynia. Zapakuję też trochę kanapek.

- A więc o której godzinie?

- No nie wiem...

- Półtorej godziny wystarczy?

- To powinno być akurat.

- Przyjadę po ciebie tutaj. Czekaj na mnie w domu.

Czuł się jak idiota. Jakieś zaloty. Jakiś poranek w dniu ślubu. A tymczasem miał przy sobie dokładnie osiem dolarów i sześćdziesiąt jeden centów, a złote obrączki kosztują o całe niebo więcej. Nie chodziło tylko o to. Wszystkiego mu brakowało tego ranka - dotknięć, uśmiechów, westchnień.

Pocałunków. Panna młoda i pan młody powinni przecież z trudnością panować nad sobą, by nie obdarzać się niezliczonymi pocałunkami. Zawsze wyobrażał sobie, że tak powinno być. A oni prawie zupełnie na siebie nie patrzyli, rozmawiali o pogodzie i o kłopotach finansowych Willa Parkera.

W stodole wyszorował się zawzięcie, uczesał włosy i włożył czyste, dopiero co uprane ubranie: dzinsy, białą koszulę, dzinsową kurtkę, świeżo wypastowane buty i zdefasonowany kapelusz wyczyszczony na tę okazję. Trudno byłoby nazwać to ubranie weselnym, ale jest najlepsze, na jakie go stać. Gdzieś w oddali zagrzmiało. No cóż, przynajmniej nie będzie się

musiała martwić, że pada. Miał tego ranka przynajmniej tyle do zaoferowania swej narzeczonej, chociaż jego wcześniejsze ożywienie z powodu przygotowanej niespodzianki znikło.

W domu Eleonora klęczała na ziemi, szukając buta Donalda pod łóżkiem, gdy tymczasem on i Tomcio naśladowali Madam, kopiąc i rycząc.

- A teraz uspokójcie się, chłopcy. Nie chcemy, aby Will długo na nas czekał.

- Czy naprawdę pojedziemy teraz wozem?

- Mówiłam chyba przecież, że tak. - Złapała Donalda za stopę i próbowała wsunąć na nią brązowy długi bucik. - Prosto do Calhoun. Kiedy już przyjedziemy do sądu, musicie być bardzo grzeczni. Mali chłopcy muszą siedzieć cichutko jak myszki pod miotłą w czasie ślubów, rozumiecie?

- Ale jakich ślubów, mamó?

- No cóż, mówiłam ci, skarbie, że ja i Will zamierzamy się pobrać.

- Ale co to znaczy „pobrać się”?

- Pobrać się to znaczy... - Zatrzymała się zamyślona, zastanawiając się, czym właściwie będzie to małżeństwo. - Ludzie pobierają się ze sobą, kiedy dwie osoby mówią, że chcą ze sobą mieszkać przez resztę życia. To właśnie zamierzamy zrobić, Will i ja.

- Och.

- Nie macie nic przeciwko temu, prawda?

- Lubię Willa. - Donald Wade pokiwał energicznie główką i rozjaśnił się cały w uśmiechu.

- I Will także cię lubi. I ciebie także, kochanie. - Dotknęła Tomcia w nosek. - Nic się nie zmieni, kiedy się pobierzemy oprócz tego... - chłopcy czekali z oczami utkwionymi w matce - oprócz tego, że... wiecie, że czasami pozwalałam wam przyjść do siebie na noc - no cóż, od tej pory nie będzie już miejsca, ponieważ Will będzie spał ze mną.

- Naprawdę?

- Aha.

- Nie możemy przyjść nawet w czasie burzy, gdy będzie grzmiało i błyskało? - Wyobraziła sobie całą czwórkę obok siebie pod kołdrą i pomyślała, jak Will przystosuje się do wymagań ojcostwa.

- No może wtedy, gdy będzie grzmiało i błyskało.

W tej chwili rozległ się grzmot i Eleonora zmarszczyła brwi, wyglądając przez okno.

- Chodźcie. Will może przyjechać w każdej chwili. - W roztargnieniu dodała: - Mój

Boże, mam przeczucie, że przemokniemy do suchej nitki, zanim dojedziemy do sądu.

Pomogła chłopcom ubrać się w kurteczki i założyła płaszcz. Złapała czerwone metalowe pudełko z kanapkami stojące na kuchennej szafce, kiedy coś huknęło, tym razem długo i mocno. Odwróciła się, spojrzała w stronę drzwi i podniosła głowę. Czy rzeczywiście był to grzmot? Był zbyt długi, zbyt wysoki i coraz bliższy. Podeszła do drzwi właśnie w tej chwili, gdy Donald Wade otworzył je. Zardzewiały Ford Model A wjechał na polankę, Will siedział za kierownicą.

- A niech to - szepnęła Eleonora.

- To Will! On ma samochód! - Donald wyrwał się, lecąc jak opętany, trzaskając drzwiami i wrzeszcząc: - Skąd go masz, Will? Czy pojedziemy nim?

Will zatrzymał się przy ścieżce i wysiadł w swoim prostym niewyszukanym stroju ślubnym. Z dłonią opartą o drzwi samochodu nie zwracał wcale uwagi na Donalda, lecz na Eleonorę, która wyszła na ganek w jego ulubionej żółtej sukience przykrytej krótkim brązowym płaszczykiem, nie zapinającym się już na jej brzuchu. Miała zaczesane do tyłu i upięte w koński ogon włosy, a jej twarz jaśniała radością z powodu niespodzianki.

- No cóż, nie masz obrączki - zawołał - ale jest za to wóz, który zabierze cię do ślubu. Chodź.

Z pudełkiem z kanapkami w jednej ręce i Dwidziusem na drugiej ręce, zeszła z ganku.

- Skąd go wzięłaś? - spytała, idąc w jego stronę niczym lunatyczka, przyspieszając kroku.

- Znalazłem na polu. Pracowałem nad nim, zawsze gdy mogłem wygospodarować godzinę tu czy ówdzie. - Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Chcesz powiedzieć, że to jeden z tych starych samochodów na złom?

- Właściwie to nie jeden. - Dotykając z tyłu kapelusza, przechylił go do przodu, śledząc wzrokiem, jak zbliża się do forda i okrąża go z wyrazem podziwu na twarzy. - Mniej więcej osiem lub dziesięć samochodów, kawałek jednego i kawałek drugiego, wszystko powiązane drutem, a jednak myślę, że dojedziemy tam i wrócimy na miejsce cało i bezpiecznie.

Obeszła samochód dookoła i uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

- Czy jest coś, czego nie umiesz zrobić?

Zabrał czerwoną puszkę na kanapki i wręczył Donaldowi, a następnie wziął Tomcia z jej rąk.

- Znam się trochę na silnikach - odpowiedział skromnie, chociaż cały był rozpromieniony. Powiedziała tak niewiele słów, lecz przywróciła mu radość. - Wsiadaj.

- Naprawdę jeździ? - Roześmiała się i wgramoliła się do środka.

- Oczywiście, że jedzie. I nie musimy się martwić o żaden deszcz. Proszę, weź małego. - Podał jej Tomcia, a następnie wsadził Donalda na siedzenie i sam wsiadł, schylając się nad kierownicą. Chłopiec opierał się o Willa z całą siłą. Położył władczo rączkę na jego szerokim ramieniu.

- Pojedziemy nim do miasta?

- Tak jest, kemo sabe. - Will włączył bieg. - Trzymaj się.

Gdy odjeżdżali, dzieci chichotały, a Eleonora kurczowo trzymała się siedzenia. Zadowolony Will obserwował wyraz ich twarzy kącikiem oka.

- Ale gdzie kupiłeś benzynę?

- Mam tylko tyle, aby dojechać do miasta. Znalazłem trochę w zbiorniku na dworze i odcedziłem rdzę przez szmatę.

- I sam to wszystko przymocowałeś?

- Leżą tam całe stosy samochodów, z których można brać części.

- Ale gdzie się nauczyłeś, jak to się robi?

- Pracowałem kiedyś na stacji benzynowej w El Paso. Jeden gość nauczył mnie tego i owego o mechanice.

Przejechali samochodem wokół podwórka, które było o wiele lepiej utrzymane niż dwa miesiące wcześniej. Jechali nieprzejezdną wtedy drogą. Podróżowali samochodem, który dwa tygodnie temu był tylko kupą złomu. Will nie mógł nic poradzić na to, że czuł się dumny. Chłopcy byli zachwyceni. Eleonora uśmiechała się od ucha do ucha, wygodnie sadzając Tomcia na kolanach.

- Podoba ci się?

- To ogromna niespodzianka. Poza tym po raz pierwszy w życiu jadę samochodem. - Zwróciła błyszczące oczy na Willa.

- Chcesz powiedzieć, że wcześniej nie jechałaś samochodem? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nigdy. Glendon nie mógł się zebrać i nie zaczął naprawy. Jechałam tylko kiedyś na jego traktorze drogą w sadzie tam i z powrotem. - Uśmiechnęła się lekko. - Jednak od hałasu prawie popękały mi bębenki.

Roześmiali się i dzień nie był już tak ponury. Nareszcie byli zadowoleni. Przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę ze świadomością, że ich samochód z warkotem zmierza do sądu, gdzie mają się pobrać. Pobrać. Mieli zostać mężem i żoną na zawsze. Gdyby byli sami, Will może powiedziałby coś przystającego do okoliczności, ale Donald Wade poruszył się,

zasłaniając Eleonorę.

- Świetnie nam się jedzie, Will, prawda? - Chłopiec dotknął rączkami twarzy Willa, zmuszając go, by zwrócił na niego uwagę.

- Oczywiście, maluchu. - Pogłaskał Donalda po główce. - Jednak teraz muszę patrzeć na drogę.

Jechało się im bardzo dobrze. Za kierownicą Modelu A Will czuł się tak jak w dniu, kiedy kupił tabliczki czekolady i modraszki - ożywiony, dobry, wylewny i pełen optymizmu. Za godzinę będą jego „rodziną”. Widać było, że sprawił im przyjemność, a więc i na jego twarzy widniała radość. I nagle nie było już tak ważne, że nie ma złotej obrączki, którą mógłby dać Eleonorze.

Jej ożywienie znikło, kiedy przejeżdżali przez Whitney. Kiedy mijali dom z zamkniętymi okiennicami, patrzyła prosto przed siebie. Miała ściągnięte usta i ponury wyraz twarzy, a ręce zaciskała na biodrach Tomcia.

Will chciał powiedzieć, że wie wszystko o tym domu i nie ma to dla niego żadnego znaczenia. Jednak gdy tylko rzucił okiem na jej postać, gdy siedziała tak sztywno, ugryzł się w język.

- Muszę zatrzymać się przy stacji benzynowej - zauważył, aby odwrócić jej uwagę. - Nie zabierze nam to więcej niż minutę.

Mężczyzna na stacji rzucał krytyczne spojrzenia na Eleonorę, ale ona patrzyła przed siebie jak ktoś, kto idzie przez cmentarz o północy. Przyjrzał się również Willowi i powiedział:

- Wygląda na to, że szykuje się brzydka pogoda.

Will zerknął tylko na niebo.

- Dobrze mieć samochód w takim dniu jak dziś. - Pomocnik próbował raz jeszcze podjąć rozmowę, rzucając spojrzenia na Eleonorę.

- Tak jest - odpowiedział Will.

- Daleko jedziecie? - zapytał znowu, o wiele mniej zainteresowany nalewaniem benzyny niż gapieniem się na Eleonorę oraz odgadnięciem, kim jest Will i dlaczego są razem.

- Nie - odpowiedział Will.

- W stronę Calhoun?

Will obrzucił go długim spojrzeniem, a następnie spojrzał na pompę z benzyną.

- Jest już pięć galonów.

Will zapłacił 83 centy i wrócił do samochodu, zostawiając zaciekawionego pomocnika.

Kiedy znowu udali się w drogę i opuścili Whitney, Eleonora rozluźniła się.

- Znasz go? - zapytał Will.

- Znam ich wszystkich i oni wszyscy mnie znają. Widziałam, jak się gapił.

- Prawdopodobnie to dlatego, że dziś rano wyglądasz bardzo ładnie.

Zwróciła zdziwione oczy w jego stronę. Zobaczył płonące policzki, zanim zdążyła się odwrócić, by zerknąć na widok rozciągający się przed nimi.

- Nie musisz wymyślać komplementów ze względu na to, że to dzień mojego ślubu.

- Wcale ich nie wymyślam.

Poczuł się lepiej, gdy powiedział jej coś miłego i ofiarował odrobinę czułości, na jaką zasługuje narzeczona w dniu ślubu. Osiągnął, czego chciał - zapomniała o domu z płotem z palików i facecie ze stacji benzynowej gapiącym się uporczywie.

Droga wiodła przez jedno z najładniejszych miejsc, jakie Will kiedykolwiek widział - wokół rozciągały się faliste wzgórza i szemrzące strumyki, gęste lasy sosnowe i dębowe, które właśnie zaczynały przybierać delikatny żółty kolor. Mgła nadawała połysk każdemu liściowi i każdej skale, a drodze intensywny pomarańczowy kolor. Mokra powierzchnia drzew wydawała się czarna jak węgiel na tle perłowszarego nieba. Droga zakręcała i wiała się. Teren stale się obniżał, dopóki nie zobaczyli Calhoun leżącego poniżej.

To najniżej zlokalizowane miasto pomiędzy Chattanooga a Atlantą położone w długiej wąskiej dolinie ciągnęło się wzdłuż linii kolejowej L&N. Dzięki niej bardzo się rozrosło. U.S. 41 stała się Wall Street, główną ulicą miasta, równoległą do torów, doprowadzającą podróżnych do części handlowej, która tak samo się rozrosła jak same koleje żelazne. Ulice były stare i szerokie. Zbudowano je w czasach, kiedy muły i wozy były głównym środkiem transportu. Teraz widziano tu więcej chevroletów niż mułów, więcej fordów niż wozów, ale tak jak w Whitney mnożyły się sklepy z artykułami żelaznymi oraz stacje benzynowe.

- Czy znasz Calhoun? - zapytał Will, gdy mijali rząd zadbanych domków na przedmieściach.

- Wiem, gdzie jest sąd. Prosto przed nami na Wall Street.

- Czy jest gdzieś tutaj sklep „5 i 10”?

- Co chcesz tam kupić? - Eleonora rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Zamierzam kupić ci obrączkę. - Zdecydował się na to gdzieś pomiędzy komplementem a Calhoun.

- Co to znaczy „5 i 10”, mamusiu? - przerwał Donald Wade.

Eleonora zignorowała to pytanie.

- Och, Will, nie musisz...

- Chcę ci ją kupić, powiedziałem, a wtedy będziesz mogła zdjąć tę, którą nosisz.

Upór ten sprawił, że na policzkach Eleonory znowu pojawiły się rumieńce. Patrzyła na jego zdradzającą upór twarz, dopóki nie zrobiło jej się ciepło na sercu. Odwróciła się i powiedziała łagodnie.

- Już to zrobiłam.

Will rzucił spojrzenie na jej lewą rękę, którą nadal opierała na biodrze dziecka. Tak było istotnie - nie zobaczył na niej obrączki. Już nie tak mocno ścisnął kierownicę.

Donald Wade pogłaskał matkę po ramieniu, pytając:

- Co to znaczy „5 i 10”, mammo?

- To sklep, gdzie sprzedają błyskotki, świecidełka i inne rzeczy - wszystko za 5 lub 10 centów.

- Świecidełka? Czy możemy tam jechać?

- Jak przypuszczam, Will zabierze nas tam w pierwszej kolejności. - Zerknęła na kierowcę i stwierdziła, że ją obserwuje. Ich zafascynowane oczy spotkały się na długą chwilę.

- Świetnie! - Donald Wade ukląkł na siedzeniu, opierając się na tablicy rozdzielczej samochodu i wpatrując się w miasto z niepohamowaną ciekawością. - Co to jest, mamusiu? - wskazał. Nie usłyszała i poklepał ją po ramieniu cztery razy. - Mamusiu, co to jest?

- Lepiej odpowiedz chłopcu - poradził cicho Will i zwrócił uwagę na ulicę, pozwalając jej zrobić to samo.

- Wieża ciśnień.

- Wieją iśnień - powtórzył Dzidzius.

- Co to jest? - zapytał Donald Wade.

- Wóz z prażoną kukurydzą.

- Kulydzą - powtórzył Dzidzius.

- Sprzedają ją?

- Tak, synku.

- Coś takiego! Czy możemy kupić trochę dla nas?

- Nie dzisiaj, kochanie. Musimy się pośpieszyć.

Chłopczyk patrzył za wozem, dopóki nie zniknął z oczu, a Will w pamięci podliczył resztę swoich pieniędzy. Tylko siedem dolarów siedemdziesiąt osiem centów, a miał za to kupić obrączkę i licencję.

- Co to jest?

- Kino.

- Co to znaczy „kino”?

- To miejsce, gdzie pokazują filmy.
- A co to jest film?
- No cóż, to rodzaj historii obrazkowej, która porusza się na dużym ekranie.
- Czy możemy to zobaczyć?
- Nie, kochanie. Trzeba za to zapłacić.

W górze na plakacie widniał napis „Strażnicy granic” i Will zauważył, że wzrok zarówno Donalda, jak i Eleonory zatrzymał się na nim, gdy przejeżdżali. Siedem głupich dolarów i siedemdziesiąt osiem nędznych centów. Wszystko by zrobił, aby mieć teraz pełne kieszenie.

Właśnie wtedy zobaczył to, czego szukał - budynek z fasadą z cegieł i napisem ogłaszającym - ASORTYMENT WISTERA - SPRZĘT GOSPODARSTWA DOMOWEGO, ZABAWKI, RÓŻNOŚCI I ROZMAITOŚCI.

Zaparkował samochód i wyciągnął Donalda.

- Chodź, kemo sabe, pokażę ci „5 i 10”.

W sklepie szli wzdłuż przejść po skrzypiącej drewnianej podłodze pomiędzy sześcioma rzędami czystej magii. Donald Wade i Tomcio pokazywali sobie wszystko nawzajem. Kręcili się i zwijali, aby schylać się i dotykać - oglądać samochody - zabawki, ciężarówki i traktory zrobione z metalu pomalowanego na żywe kolory; gumowe piłki w jaskrawych czerwonych i żółtych kolorach; kulki w torebkach z materiału; gumy balonówki i cukierki; rewolwer i futerał oraz kapelusze kowbojskie podobne do kapelusza Willa.

- Chcę ten! - zażądał Donald Wade. - Chcę kapelusz taki jak ma Will!

- Kapelusz - jak papuga powtórzył Tomcio.

- Może następnym razem - odpowiedział Will z rozdartym sercem. W tym momencie jedyną rzeczą, którą pragnął kupić jeszcze bardziej niż obrączkę dla Eleonory, były czarne tekturowe kowbojskie kapelusze.

Podeszli do sztucznej biżuterii na bale kostiumowe i zatrzymali się. Zakurzone eksponaty rozłożone były na różowej tafcie pomiędzy oddzielającymi poszczególne gabloty szklanymi płytkami. Były tam bransoletki z imionami; łańcuszki dla dzieci z maleńkimi złotymi krzyżykami; zestawy urodzinowe dla małych dziewczynek - pierścionki, bransoletki i naszyjniki - wszystko pomalowano na złoto oraz ozdobiono klejnotami z kolorowego szkła w żywych kolorach. Obok leżały kolczyki dla kobiet - w dowolnych kształtach i kolorach, a na kartonie wyściełanym niebieskim aksamitem przy pierścionkach widniał napis: „Pierścionki dla przyjaciół - 19 centów”.

Will przyjrzał się tanim błyskotkom. Bolało go to, że musi ofiarować pannie młodej

obrączkę, która zazieleni jej palec, nim upłynie tydzień. Jednak miał niewielki wybór. Postawił Donalda na ziemi.

- Weź Tomcia za rączkę i nie pozwól mu niczego dotykać, dobrze?

Chłopcy poszli w stronę zabawek, zostawiając Willa i Eleonorę, którzy stali zakłopotani obok siebie. Wsunął ręce do tylnych kieszeni i patrzył na sztuczne niby to srebrne pierścionki z wytłoczonymi przez maszynę wzorami w róże. Sięgnął po jeden, wyciągnął z kartonu i przyjrzał mu się ponuro.

- Nigdy wcześniej nie dbałem o to, czy mam pieniądze, czy nie, ale dzisiaj żałuję, że nie nazywam się Rockefeller.

- Jestem zadowolona, że tak nie jest, ponieważ nie mogłabym cię poślubić.

Zajrzał w jej kochane zielone oczy - i uświadomił sobie, że Eleonora to jedna z najmiłszych osób, jaką spotkał. Jak bardzo było to w jej stylu - starała się, by czuł się dobrze w chwili takiej jak ta.

- Prawdopodobnie od tego będziesz miała zielony palec.

- To nie ma żadnego znaczenia, Will - powiedziała łagodnie. - Nie powinnam proponować, że znowu zrobię użytek ze swojej starej obrączki. Było to bardzo nieładne z mojej strony.

- Dałbym ci złotą, gdybym mógł, Eleonoro. Chciałbym, żebyś o tym wiedziała.

- Och, Will... - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni pocieszająco, gdy mówił dalej.

- I zabrałbym tę dwójkę do kina, a później może kupiłbym im w sklepie lody i prażoną kukurydzę, o którą tak bardzo prosili.

- Wzięłam pieniądze za jajka i śmietanę, Will. Możemy jeszcze to zrobić.

- To ja powinienem płacić, czy nie rozumiesz tego? - Znów spojrzął na pierścionek.

Puściła jego dłoń i wzięła pierścionek do przymiarki.

- Musisz zrezygnować z odrobiny swej dumy. Sprawdźmy, czy pasuje. - Był za duży, wybrała więc inny, a następnie wyciągnęła przed siebie rozpostarte palce tak dumna, jak gdyby założyła lśniący diament.

- Wygląda wspaniale, nie sądzisz? - Poruszyła serdecznym palcem. - A ja naprawdę lubię róże.

- Wygląda tanio.

- Jak śmiesz mówić coś takiego o mojej ślubnej obrączce - zaczęła go łajać z udaną wyniosłością, zdejmując błyskotkę i wkładając mu do ręki. - Im szybciej zapłacisz, tym szybciej znajdziemy się w sądzie i wypowiemy słowa przysięgi.

Odwróciła się uradowana, a on złapał ją za rękę i obrócił dookoła.

- Eleonoro, ja... - Spojrzał w oczy Elly i nie wiedział, co powiedzieć. Miał ściśnięte ze wzruszenia gardło i bardzo doceniał jej słowa. Wartość pierścionka naprawdę nie miała dla niej żadnego znaczenia.

- Tak? - Podniosła głowę.

- Nigdy nie narzekasz z żadnego powodu, prawda?

Była to delikatna pochwała, ale nawet poezja nie sprawiłaby jej większej przyjemności.

- Jest tyle rzeczy, za które musimy ci być wdzięczni. Chodź. - Uśmiech rozjaśnił jej twarz, gdy podawała rękę. - Chodźmy wziąć ślub.

Bez trudu znaleźli sąd hrabstwa Gordon - wiktoriański gmach z czerwonej cegły, otoczony chodnikami, zieloną trawą i krzakami azalii. Will niósł Donalda, gdy Eleonora i Tomcio wchodzili na schody i przechodzili przez trawnik, przypatrując się okrągłej wieżyczce po prawej stronie i symbolicznemu pomnikowi ku pamięci generała Charlesa Haneya Nelsona po lewej. Monument umieszczono na potężnych łukowych sklepieniach z cegły, uwieńczonych ostrołukową wieżą zegarową górującą nad dachem. Na podniesionych twarzach osiadła zimna mgła, a następnie rozwiąła się, gdy weszli na kolejny rząd schodów pod łukami, przechodząc do ogromnej sali z marmurową podłogą, gdzie pachniało papierosami.

- Tędy. - Głos Eleonory zabrzmiał donośnie w pustym pomieszczeniu, chociaż mówiła cicho. Skręcając w prawo, zaprowadziła Willa do biura sędziego okręgowego.

Wewnątrz przy dębowym biurku za balustradą siedziała chuda kobieta w średnim wieku - na tabliczce można było przeczytać, że nazywa się Reatha Stickner. Gdy ich zobaczyła, natychmiast przestała pisać na maszynie i pochyliła głowę, aby spojrzeć na interesantów przez okulary bez oprawy.

- Czy mogę w czymś państwu pomóc? - Miała ponury i rozkazujący głos. Odbijał się echem w pustym i pozbawionym zasłon pomieszczeniu.

- Tak, proszę pani - odpowiedział Will, zatrzymując się w drzwiach. - Chcielibyśmy otrzymać pozwolenie na zawarcie małżeństwa.

Kobieta obrzuciła surowym spojrzeniem najpierw Donalda, później Dzidziusia, następnie spojrzała na brzuch Eleonory i znowu na Willa. Will mocno złapał Eleonorę za łokieć i poprowadził do wysokiego kontuaru sięgającego do piersi. Kobieta wyszła zza biurka i wlokąc nogi, podeszła do nich, silnie kulejąc - jedno ramię miała bardzo pochylone, a stopę ciągnęła po ziemi. Spotkali się po przeciwnych stronach barierki, a Reatha Stickner sięgnęła za kołnierz sukni, aby poprawić ramięczko od bielizny, które zsunęło się, gdy szła.

- Czy mieszkanie na stałe w Georgii? - Spod lady wyciągnęła czarną oprawioną księgę wielkości tacy i z hukiem rzuciła ją pomiędzy nich, nie podnosząc wzroku.

- Mieszkam tu na stałe - odezwała się głośniejsz Eleonora. - W Whitney.

- Whitney. A od kiedy tam pani mieszka?

Czarna okładka książki otworzyła się z trzaskiem, ukazując formularze oddzielone bibułą.

- Mieszkam tu przez całe życie.

- Potrzebuję dowodu stałego zamieszkania.

Will pomyślał: O nie, tylko nie to - znowu to samo. Jednak Eleonora zaskoczyła go; usadowiła Tomcia na wysokiej ladzie i wyciągnęła złożoną na czworo kartkę z kieszeni płaszcza.

- Mam przy sobie pierwsze pozwolenie na zawarcie małżeństwa. Zostało wydane przez wasz urząd, więc wszystko powinno być w porządku.

Kobieta przyjrzała się Eleonorze uważnie, nie zmieniając wyrazu twarzy - miała nadal zasznurowane usta i podniesione w górę brwi - a następnie zajęła się dokumentem. Tymczasem Tomcio wyciągnął rączkę w kierunku poduszki na pieczętki. Eleonora złapała go i trzymała, lecz on protestował przeciwko temu, krzycząc i próbując się uwolnić.

- Nie dotykaj - szepnęła, ale, oczywiście, wywołało to jeszcze większy sprzeciw i chłopiec upierał się jeszcze głośniejsz niż przedtem. Will postawił Donalda na podłodze i zdjął Dzidziusia z lady, aby go potrzywać. Donald natychmiast spróbował wspiąć się na nogę Willa, narzekając, że nic nie widzi. Palce chłopczyka zaciskały się na kontuarze, a on próbował wspiąć się na palcach.

Will odciągał go, chcąc doprowadzić do porządku.

- Bądź grzeczny - powiedział, pochylając się na chwilę.

Donald Wade nagle opadł z sił nadąsany.

Reatha Stickner rzuciła spojrzenie pełne dezaprobaty na twarze widoczne nad ladą, a następnie odsunęła się, aby sięgnąć po pióro i kałamarz. Musiała jeszcze raz poprawić ramiączko, zanim zaczęła coś pisać w ogromnej księdze.

- Eleonora Dinsmore - a drugie imię?

- Nie mam drugiego imienia.

Chociaż urzędniczka nie podniosła wzroku, ścisnęła mocniej długopis w rękę.

- Ten sam adres?

- Tak - Eleonora dodała z opóźnieniem, naśladowując Willa - proszę pani.

- A czy istnieją jakieś przeszkody do zawarcia małżeństwa?

Eleonora zmieszana utkwiała spojrzenie w okularach kobiety. Reatha Stickner podniosła wzrok zniecierpliwiona i powiedziała:

- No więc, jak to jest?

Eleonora odwróciła się do Willa, szukając pomocy. Will poczuł, jak zalewa go krew, i powiedział ostro:

- Nie jest mężatką i nie jest zwolenniczką Hitlera. Jakie inne mogłyby być przeszkody?

Na trzy sekundy zapadła cisza i urzędniczka o surowej twarzy obrzuciła Willa kolejnym spojrzeniem pełnym dezaprobaty. W końcu odchrząknęła, zanurzyła pióro w atramencie i ponownie zaczęła wypełniać blankiet druku.

- A jak jest z panem? Czy jest pan nazistą? - zapytała z odrobiną poczucia humoru. Robiła nawet wrażenie, że mogłaby podnieść wzrok, gdyby nie to, iż osoba, którą obsługuje, nie jest tego warta.

- Nie, proszę pani. Jestem tylko byłym skazańcem. - Will odczuł szaloną satysfakcję, gdy głowa jej odskoczyła, a biała linia pojawiła się wokół zaciętych ust. Sięgnął niedbale do kieszeni koszuli po papiery, które otrzymał, gdy wychodził z więzienia. - Myślę, że powinna pani to przejrzeć.

Nieszczęsne ramiączko znowu spadło i znowu musiała je podciągnąć, przyjmując papiery Willa. Przyjrzała się im uważnie, obrzuciła go jeszcze jednym kwaśnym spojrzeniem i coś pisała na druku.

- Parker, William Lee. Adres?

- Taki sam jak jej.

Oczy urzędniczki powiększone przez okulary znowu zaczęły przenikliwie i surowo ich mierzyć. Nie słyszeli, jak Donald Wade wspina się na biurko i zwiesza się z niego głową do dołu.

Zrób coś, Donaldzie Wade! - pomyślał Will.

Kobieta z zasznurowanymi ustami pisała, czerpiąc informacje z papierów Willa.

- Od jak dawna mieszka pan pod tym adresem? - pytała, a jej długopis głośno skrobał.

- Od dwóch miesięcy.

Zerknęła na okrągły brzuch Eleonory, gdzie pod brązowym płaszczem prześwitywał wąski pasek żółtego koloru. Schyliła głowę, aż pojawiły się pod nią dwie fałdy podbródka. Złożyła urzędowy podpis i wydała chłodne polecenie.

- Opłata wynosi dwa dolary.

Will stłumił westchnienie i wy dobył pieniądze z kieszeni na piersi. Urzędniczka

pochyliła się nad biurkiem, wyciągnęła urzędową pieczętę i energicznymi ruchami podstemplowała pozwolenie, wyrwała je, z trzaskiem zamknęła księgę i machnęła tym papierem nad biurkiem.

Z kamienną twarzą, lecz w środku kipiąc ze złości, Will przyjął zaświadczenie i podniósł kapelusz.

- Bardzo dziękuję, proszę pani. Kto teraz udzieli nam ślubu?

Jej oczy przesunęły się po ubraniu z niebieskiego drelichu, w którym zwykle pracował, a następnie zatrzymały się na pieczęcie.

- Sędzia Murdoch.

- Murdoch. - Kiedy podniosła wzrok, Will skinął chłodno na pożegnanie. - Znajdziemy go.

- Sędzia ma dziś pełny rejestr spraw. Należało wcześniej się umówić - pośpiesznie poinformowała ich kwaśno.

Will usadowił Dzidziusia wygodniej w swoich ramionach, odciągnął Donalda od biurka, zwrócił go w stronę drzwi, a następnie złapał Eleonorę za rękę i wyprowadził z biura, nie reagując na władcze porady Reathy Stickner. Uścisk był mocny, a kroki dłuższe niż zazwyczaj. Na korytarzu wybuchnął.

- Przeklęta stara baba, chciałem ją trzepnąć, kiedy patrzyła w taki sposób na ciebie. Jakże ma prawo tak zadzierać nosa i patrzeć z góry?

- Nic nie szkodzi, Will. Jestem do tego przyzwyczajona. Ale co zrobimy z sędzią? Co się stanie, jeśli jest zbyt zajęty?

- Poczekamy.

- Ale przecież powiedziała, że on...

- Powiedziałem, że poczekamy! - Jego kroki dudniły jeszcze mocniej. - Ile czasu zabierze wymamrotanie kilku słów i podpisanie papieru? - Nagle przystanął, zatrzymując Eleonorę. - Chwileczkę. - Wsunął głowę w otwarte drzwi i zapytał: - Gdzie znajdziemy sędziego Murdocha?

- Drugie piętro, w połowie korytarza, podwójne drzwi po lewej stronie.

Z tym samym uporem i determinacją Will poprowadził ich na drugie piętro przez podwójne drzwi do sali sądowej, gdzie właśnie odbywała się rozprawa. Stali niepewnie w przejściu pomiędzy dwoma rzędami ławek, podczas gdy głosy dochodzące do nich odbijały się echem od sufitu ze sklepieniami. Urzędnik w brązowym mundurze opuścił swe stanowisko przy drzwiach.

- Musicie usiąść, jeśli chcecie tu pozostać - wyszeptał.

Will odwrócił się gotowy, aby śmiertelnie ugodzić każdą osobę, która da im do zrozumienia, jak są nieważni. Jednak mężczyzna ten liczył nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, miał miłą twarz i przyjemny sposób bycia.

- Chcemy, aby sędzia udzielił nam ślubu, ale nie jesteśmy umówieni.

- Wyjdźcie - zaproponował urzędnik, otwierając i przytrzymując jakieś drzwi, gdy wychodzili gęsiego na korytarz. Idąc za nimi, spojrzął na zegarek. - Jest dziś bardzo zajęty, ale możecie poczekać na zewnątrz przy kancelarii, jeśli macie ochotę. Zobaczymy, może będzie mógł was jakoś upchnąć.

- Tak właśnie zrobimy. Będziemy wdzięczni, jeśli wskaże nam pan właściwy kierunek - powiedział szybko Will.

- Proszę tędy. - Poprowadził ich na koniec korytarza i wskazał jeszcze węższy korytarz do prawego skrzydła. - Ja muszę pozostać na sali sądowej, ale wy znajdziecie jego pokój bez trudu. Nazwisko wypisane jest na drzwiach. Usiądźcie na ławce naprzeciwko.

Ani Will, ani Eleonora nie mieli zegarka. Siedzieli na liczącej dwa metry drewnianej ławce, wpatrując się w drzwi z drewna klonowego, jak im się zdawało przez całe godziny. Czytali wciąż na nowo te same słowa wypisane na mosiężnej tabliczce nad drzwiami: ALDON P. MURDOCH, SĘDZIA OKRĘGOWY. Chłopcy znudzili się wchodzeniem na łukowate oparcia ławek i byli coraz bardziej niegrzeczni. Donald Wade marudził. Tomcio zaczął cicho popłakiwać, wymachiwał nóżkami i kładł je na siedzeniu. W końcu usnął, z głową na kolanach Eleonory. Willowi nie pozostało nic innego, jak tylko zająć czymś Donalda.

Drzwi otworzyły się i dwóch mężczyzn pośpiesznie wyszło z sali, rozmawiając o czymś zżywieniem. Will wstał i podniósł rękę, ale para odeszła szybkim krokiem pograżona w dyskusji, nie spojrzawszy ani razu na czwórkę na ławce.

Nadal czekali - Eleonorę bolał krzyż i musiała odnaleźć łazienkę. Tomcio obudził się w złym nastroju, a Donald Wade jęczał, że jest głodny. Kiedy Eleonora wróciła z toalety, Will pobiegł do samochodu po kanapki. Siedzieli na ławce, jedząc i próbując przekonać Dwidziusia, aby przestał płakać i spróbował choć kęs, kiedy jeden z dwóch mężczyzn powrócił.

Tym razem zatrzymał się.

- Macie tutaj jednego małego psotnika, prawda? - Uśmiechnął się pobłaźliwie do Tomcia.

- Sędzia Murdoch? - Will zerwał się na równe nogi, ściągając kapelusz.

- Zgadza się. - Miał siwe włosy, był okrągły i takie też miał policzki. Jednak chociaż

robił wrażenie bardzo zajętego, wydawał się przystępny.

- Nazywam się Will Parker. A to jest Eleonora Dinsmore. Chcieliśmy się zapytać, czy miałby pan czas, aby udzielić nam dzisiaj ślubu?

Murdoch wyciągnął rękę.

- Panie Parker. - Skinął Eleonorze. - Panna Dinsmore. - Obrzucił każdego chłopca ojcowskim spojrzeniem, a następnie uważnie przyjrzał się Eleonorze. - Była pani tutaj, kiedy wychodziłem na lunch, prawda?

- Tak, proszę pana - odpowiedziała.

- Czekaliście tu jednak już dużo wcześniej. Od kiedy tu jesteście?

- Nie wiem, proszę pana, nie mamy zegarka.

Sędzia podwinął mankiet i sprawdził godzinę na swoim.

- Sąd zbiera się ponownie za dziesięć minut.

- Nie mamy również telefonu - wyjaśniła pośpiesznie Eleonora. - Gdyby było inaczej, zadzwonilibyśmy wcześniej, aby się umówić. Przyjechaliśmy z Whitney, myśląc, że wszystko załatwimy od razu.

Sędzia znowu uśmiechnął się do chłopców, a następnie jeszcze raz, widząc kanapkę w ręku Eleonory.

- Wygląda na to, że przywieźliście ze sobą świadków.

- Tak, proszę pana, to znaczy chcę powiedzieć - nie. To są moi chłopcy. Oto Donald Wade... a ten tutaj to Tomcio.

Sędzia pochylił się i wyciągnął rękę.

- Jak się masz, Donaldzie Wade. - Dziecko niepewnie podniosło wzrok na Willa i poczekało na aprobujące skinienie, zanim z wahaniem podało rączkę sędziemu. Murdoch potrząsnął ją z powagą, uśmiechając się lekko. Następnie mrugnął do Tomcia i roześmiał się.

- Chłopcy mieli bardzo długi poranek. A może byście mieli ochotę na galaretki?

- Jakie galaretki? - zapytał Donald Wade.

- No cóż, chodźcie do mojego biura, a wam pokażę. - Donald Wade znowu spojrzał na Willa, oczekując jak gdyby porady.

- No, idź śmiało.

- Myślę, że was jakoś wcisnę. - Sędzia Murdoch powiadomił dorosłych. - Nie będzie to zbyt wyszukany ślub, ale wszystko będzie zgodne z prawem. Proszę wejść do środka.

Biurem był zagracony pokój z pojedynczym oknem wychodzącym na północ i większą liczbą książek, niż Will widział gdziekolwiek, wyjąwszy bibliotekę w Whitney. Rozejrzał się dookoła, zapominając o kapeluszu trzymanym na biodrze, podczas gdy sędzia

zwrócił się najpierw do chłopców.

- Wejdźcie tutaj.

Stanął za zawalonym papierami biurkiem i z niższej szuflady wyciągnął pudełko po cygarach, na którym było napisane „Skarby Hawany”. Chłopcy zerknęli do środka, gdy je otworzył i oznajmił, że to galaretki owocowe. Bez zastrzeżeń pozwolili, by usadził ich obok siebie na krzesła, przysunął blisko biurka, gdzie na otwartej księdze prawniczej umieścił pudełko po cygarach.

- Trzymam je schowane w tym miejscu, ponieważ nie chcę, aby moja żona złapała mnie, jak się nimi objadam. - Poglądził swój okrągły brzuch. - Powiada, że jem zbyt dużo. - Gdy chłopcy sięgnęli po słodycze, ostrzegł ich, mrugając. - Nie zapomnijcie zostawić kilku dla mnie.

- Czy ma pan licencję? - zapytał Willa, zdejmując ze stojaka czarną tokę.

- Tak, proszę pana.

Po lewej stronie otworzyły się drzwi i ten sam młody urzędnik, który zaprowadził Willa i Eleonorę do kancelarii, wsunął do środka głowę.

- Dochodzi pierwsza, panie sędzio.

- Wejdź tutaj, Darwinie, i zamknij drzwi.

- Niech mi pan wybaczy, ale już trochę się spóźniamy.

- Tak, wiem o tym. I tak nigdzie nie pójda, dopóki im nie pozwolę.

Gdy młody człowiek słuchał poleceń, sędzia zapinał guziki i zaczął wyjaśniać.

- Darwinie Ewellu, to jest Eleonora Dinsmore i Will Parker. Zamierzają się pobrać, a ty jesteś nam potrzebny jako świadek.

Urzędnik uściśnął im ręce, uśmiechając się miło.

- Z przyjemnością, proszę pana... pani.

- A tych dwóch z galaretkami to Donald Wade i Tomcio. - Sędzia wskazał na chłopców.

Darwin roześmiał się, patrząc, jak dwójka chłopców wybiera nowy kolor z pudełka po cygarach, nie zwracając najmniejszej uwagi na innych w pokoju. Już za chwilę sędzia stał przed Willem i Eleonorą, czytając uważnie ich pozwolenie na zawarcie małżeństwa, następnie umieścił je na biurku za sobą i skrzyżował ręce na dużym brzuchu.

- Mam książki, z których mógłbym odczytać formułę - poinformował z życzliwym wyrazem twarzy - ale zawsze słowa w nich zawarte brzmią trochę pompatycznie i oficjalnie, tak więc wolę to zrobić po swojemu. Tak jakoś się dzieje, że książki pomijają niektóre z najważniejszych rzeczy - jak na przykład, czy znacie się na tyle dobrze, aby mniemać, że wa-

sza decyzja jest słuszna?

Zaskoczony nietypowym wstępem Will nieco się ociągał z odpowiedzią. Spojrzał najpierw na Eleonorę, a później raz jeszcze na sędziego.

- Tak, proszę pana.

- Tak, proszę pana - powtórzyła Eleonora.

- Od jak dawna się znacie?

Eleonora czekała, aż Will udzieli odpowiedzi. W końcu to zrobił.

- Dwa miesiące.

- Dwa miesiące... - Sędzia zdawał się zastanawiać nad czymś, a następnie dodał: - Znałem swoją żonę dokładnie trzy i pół tygodnia, zanim się oświadczyłem. Jesteśmy małżeństwem już trzydzieści dwa lata. Mogę dodać, że szczęśliwym. Czy kochacie się nawzajem?

Tym razem patrzyli prosto na sędziego. Oboje lekko poczerwienieli.

- Tak, proszę pana - odpowiedział Will.

- Tak, proszę pana - powtórzyła Eleonora trochę ciszej.

Serce Willa waliło, gdy zastanawiał się, czy to prawda.

- Dobrze, dobrze. Teraz chcę, abyście zapamiętali, że przyjdą takie chwile, kiedy nie będziecie mogli dojść do porozumienia. A nikt, kto jest żonaty od trzydziestu dwóch, pięćdziesięciu dwóch czy nawet dwóch lat, nie może tego uniknąć. Nieporozumienia mogą przerodzić się w kłótnie, później w bitwy i wojny, chyba że nauczycie się sztuki kompromisu. Musicie unikać wojen, a uda wam się to, jeśli będziecie pamiętać o tym, co właśnie mi powiedzieliście, że się nawzajem kochacie. Dobrze? - Czekał na odpowiedź.

- Tak, proszę pana - odpowiedzieli zgodnie.

- Kompromis jest kamieniem węgielnym małżeństwa. Czy potraficie rozwiązywać problemy i iść na kompromis, zamiast dawać wyraz swemu zagniewaniu?

- Tak, proszę pana.

- Tak, proszę pana. - Eleonora nie mogła patrzeć sędziemu prosto w oczy, bo przypomniało jej się, jak jajko ściekało po twarzy Willa. Ponieważ odznaczała się uczciwością, złożyła taką obietnicę, na jaką było ją stać. - Bardzo się postaram.

Sędzia uśmiechnął się, a następnie skinął z aprobatą.

- A teraz, czy będziesz ciężko pracował dla Eleonory, Willu?

- Tak, proszę pana. Już pracuję.

- A ty, Eleonoro, czy stworzysz dla Willa ciepły i pełen miłości dom?

- Tak, proszę pana, już to robię.

Sędzia nie okazał najmniejszego nawet zdziwienia.

- Rozumiem, że dzieci są z pani poprzedniego małżeństwa, czy mam rację?

Przytaknęła.

- Razem z tym, którego pani oczekuje, będzie ich trójka. - Zwrócił się do Willa: - Troje dzieci to wielka odpowiedzialność, a w przyszłości może być ich więcej. Czy przyjmuje pan za nich tę odpowiedzialność wraz z tym, że będzie pan mężem i żywicielem Eleonory?

- Tak, proszę pana.

- Oboje jesteście jeszcze młodzi. W waszym życiu spotkacie inne osoby, które mogą was pociągać. Kiedy tak będzie, zaklinam was, abyście przypomnieli sobie ten dzień i wasze wzajemne uczucia, gdy staliście tu przede mną. Przypomnijcie sobie wtedy obietnice wierności i dochowajcie sobie wiary. Czy przyjdzie to wam z trudem?

- Nie, to nie będzie trudne. - Will pomyślał o Luli.

- Nie, wcale nie. - Eleonora pomyślała, jak chłopcy drwili z niej kiedyś w szkole i że Will był jedyną osobą poza Glendonem, która okazała jej dobroć.

- W takim razie przypieczętuje to obietnicą. Czy przyrzekacie kochać się nawzajem, zachować wierność, obdarzyć się miłością i zatroszczyć się o materialne potrzeby współmałżonka i dzieci wam powierzone? Czy będziecie pracować ciężko dla siebie, ćwiczyć się we wzajemnej cierpliwości, przebaczeniu i rozumieniu? Czy odnosić się będziecie do siebie z należnym szacunkiem, pamiętając o uszanowaniu wzajemnej godności przez resztę życia? Przyrzekasz, że tak będzie, Williamie Lee Parkerze?

- Tak, przyrzekam.

- A ty, czy przyrzekasz to samo, Eleonoro Dinsmore?

- Tak, przyrzekam.

- Czy są obrączki?

- Tak, proszę pana. - Will odnalazł obrączkę w przedniej kieszeni. - Jest tylko jedna.

Sędzia nie wydawał się zaskoczony, że była bardzo tania. - Włóż jej teraz na palec i podajcie sobie prawe dłonie.

Will wziął Eleonorę za rękę i wsunął obrączkę na jej palec. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę, a następnie spuścili wzrok, gdy trzymał ją lekko za rękę.

- Niech ten pierścionek będzie symbolem waszej stałości i oddania - mówił dalej sędzia Murdoch. - Niech przypomina ci, Williamie, który ją dajesz, i tobie, Eleonoro, która ją będziesz nosić, że od tego dnia, dopóki śmierć was nie rozłączy, będziecie zawsze nierozdzieloną jednością. Teraz na mocy prawa, które reprezentuję w stanie Georgia, ogłaszam was mężem i żoną.

Wszystko to wydarzyło się tak szybko i w tak mało efektowny sposób, że nie wierzyli, iż rzeczywiście miało miejsce, a jeśli stało się tak naprawdę, nie było to rzeczywiste. Will i Eleonora stali przed sędzią jak skamieniali.

- Czy to wszystko? - zapytał Will.

- Wszystko oprócz pocałunku. - Sędzia Murdoch uśmiechnął się, następnie odwrócił się, aby podpisać świadectwo zawarcia małżeństwa.

Para wpatrywała się w ramiona sędziego Murdocha, ale nie poruszyła się. Na krześle chłopcy jedli galaretki. Z sali sądowej doleciał szmer głosów. Na sztywnym papierze zaskrzypiał długopis, a urzędnik Ewell patrzył na sędziego wyczekująco.

Sędzia odłożył pióro i odwrócił się, stwierdzając, że nowożeńcy stoją sztywno obok siebie.

- No... - odpowiedział.

Z zaróżowionymi twarzami Will i Eleonora zwrócili się do siebie. Podniosła twarz zmieszana, a on tak samo zmieszany spoglądał w dół.

- Czekają na mnie z rozprawą - sędzia Murdoch strofował ich łagodnie. Will czuł, jak wali mu serce, gdy delikatnie położył ręce na ramionach Eleonory, nachylił się i przelotnie dotknął jej ust. Były ciepłe i otwarte, jak gdyby zaskoczone. Spojrzał jej w oczy - były szeroko otwarte tak jak jego.

Następnie wyprostował się, kończąc kłopotliwą chwilę, gdy bardzo zażenowani stali przed sędzią.

- Gratulacje, panie Parker. - Sędzia Murdoch uściśnął rękę Willa. - Pani Parker. - Uściśnął rękę Eleonory. Gdy wymawiał jej nowe nazwisko, Eleonora poczuła się jeszcze bardziej skrępowana. Zrobiło się jej gorąco, a policzki zaczęły palić.

Sędzia Murdoch wręczył Willowi świadectwo zawarcia związku małżeńskiego.

- Życzę wam wielu lat szczęścia, a teraz będzie lepiej, jeśli już udam się do sali sądowej, zanim zaczną się dobijać. - Odwrócił się w stronę drzwi, powiewając czarną togą i zatrzymując się z ręką na klamce. - Macie cudowną parę dzieciaków. Do zobaczenia, chłopcy! - Pomachał im jeszcze raz i zniknął.

Darwin Ewell, który również musiał wrócić do sądu, życzył im szczęścia i przepuszczając ich przed sobą, pośpiesznie wyszedł.

Minęło zaledwie pięć minut od czasu, kiedy trafili do kancelarii sędziego, a znaleźli się znowu w korytarzu połączeni na całe życie. Błyskawiczne tempo sędziego sprawiło, że oboje mieli poczucie zagubienia. Nie czuli się wcale jak nowożeńcy. Wszystko było dla nich szokująco bezceremonialne; nie uświadamiali sobie nawet, że pierwsze pytania sędziego

należały do ceremonii. Zakończenie było bardzo podobne - bez pompy, widowiskowości, tylko proste słowa wypowiedziane ze złączonymi rękami - i hop, znowu znaleźli się na korytarzu. Gdyby nie pocałunek, mogliby sądzić, że ślub w ogóle się nie odbył.

- No cóż - powiedział cicho i z nieodgadzionym uśmiechem Will. - Już po wszystkim.

Eleonora nie spuszczała zakłopotanego spojrzenia z zamkniętych drzwi.

- Sądzę, że tak, ale wszystko wydarzyło się tak szybko.

- Szybko, ale zgodnie z prawem.

- Tak... ale... - Podniosła na Willa wzrok pełen niepewności i pochyliła się do przodu.

- Ale czy czujesz, że jesteś żonaty?

- Niezupełnie. Jednak musimy być małżeństwem. Nazwał cię panią Williamową Parker. - Niespodziewanie roześmiał się.

Uświadomili sobie ten fakt z opóźnieniem i z pełną siłą. Rozkoszowali się wszystkim, co z tego wynikało. Zaczęli patrzeć na siebie, jak gdyby powodowała nimi siła ziemskiego przyciągania. Will myślał o tym, aby znowu ją pocałować, i to tak, jak sobie tego życzył. Ona zastanawiała się, jakby to było, gdyby ją pocałował. Jednak żadne z nich nie ośmieliło się uczynić pierwszego kroku. Po pewnym czasie uświadomili sobie, że już długo wpatrują się w siebie. Eleonora zawstydzila się i opuściła wzrok. Will roześmiał się i podrapał w nos.

- Myślę, że powinniśmy to uczcić - ogłosił.

- Jak? - spytała, schylając się po Dwidziusia.

Will delikatnie odsunął ją jednak na bok i wziął Tomcia na rękę.

- Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, nadal mam cztery dolary i pięćdziesiąt dziewięć centów. Myślę, że powinniśmy wziąć chłopców do kina.

Na twarzy Eleonory pojawiło się nagle ożywienie.

- Naprawdę?

Donald Wade zaczął podskakiwać, klaszcząc.

- Naprawdę! Naprawdę! Kino! Zabierz nas do kina, mamusiu, proszę! - Ścisnął Eleonorę za rękę.

Will wziął Eleonorę za wolny łokieć, sprowadzając po schodach.

- Nie wiem, Donaldzie Wade - dokuczał mu, wywołując uśmiech na pełnej entuzjazmu twarzy małżonki. - Coś mi się zdaje, że bardzo trudno nam będzie przekonać twoją mamę.

A później pan i pani Williamowa Lee Parker, i rodzina - wyszli uśmiechnięci z sądu.

ROZDZIAŁ 10

W holu kina przywitał ich zapach prażonej kukurydzy. Z szeroko otwartymi oczami, w których widać było fascynację, chłopcy patrzyli na czerwony i biały automat, a następnie zwrócili się do matki.

- Mamo, czy możemy dostać trochę kukurydzy?

Serce Willa stopniało. Sięgnął do kieszeni, zanim Eleonora zdążyła odmówić. W sali w przyćmionym świetle Donald Wade i Tomcio siedzieli na ich kolanach, chrupiąc, zanim ekran rozświetlił się „Zapowiedziami Nadchodzących Atrakcji”. Kiedy sceny z „Przeminęło z wiatrem” zajaśniały nad głowami, ręce i szczęki odmówiły im posłuszeństwa. Podobnie stało się z Eleonorą. Will przypatrywał się kątem oka, jak na jej twarzy odbijało się tysiąc wrażeń - zdziwienie, lęk, zachwyt.

- Och, Will - wzdychała. - O, Will, patrz!

Czasami patrzył. Jednak uważał, że przyglądanie się ich twarzom - zwłaszcza jej twarzy - jest o wiele bardziej interesujące, przecież po raz pierwszy zostali przeniesieni w wyimaginowany świat celuloиду.

- Och, Will, spójrz na tę suknię!

Na chwilę uwagę jego zajął powiewny strój z krynoliną, a następnie znowu zwrócił spojrzenie na żonę, uświadamiając sobie coś nowego: była kobietą, której można zawrócić w głowie modą. Nigdy nie odgadłby tego, bo tak zwyczajnie się ubierała. Teraz błyszczały jej oczy, poruszała ustami, jak gdyby chciała rozmawiać z obrazami na ekranie.

Zniknął kolorowy film i pojawiła się czarno - biała kronika filmowa: maszerujący defiladowym krokiem żołnierze niemieccy, bomby, pociski z moździerzy, front bitewny w Rosji, ranni żołnierze - nastąpił gwałtowny przeskok ze świata fantazji do rzeczywistości.

Will patrzył na ekran z ogromnym zainteresowaniem, zastanawiając się, jak długo jeszcze Ameryka nie włączy się do wojny, jak dużo będzie miał czasu, jeśli stanie się to, co nieuniknione. Miał teraz rodzinę; jego zdrowie i pomyślność nagle miały ogromne znaczenie, co nie zdarzało się nigdy wcześniej. Przeżył wstrząs, gdy uświadomił to sobie.

Gdy skończyła się kronika, odwrócił się i zobaczył, że Eleonora patrzy na niego nad głowami chłopców. Radość znikła z jej twarzy, a zamiast tego pojawiła się zmarszczka wskazująca, że się martwi. W sposób oczywisty dotarła do niej ponura rzeczywistość wojny. Odczuł nagle wyrzuty sumienia, bo był osobą, która jej to uświadomiła. Przyprowadził ją tutaj, aby całkowicie zniszczyć pogodne złudzenia. Chciał sięgnąć ręką ponad dwiema główkami o blond włosach, dotknąć jej powiek i powiedzieć: zamknij oczy na chwilę i znowu

udawaj, że to wszystko nieprawda. Bądź szczęśliwa, żyjąc w samotności na odludziu tak jak kiedyś.

Ale podobnie jak on nie mógł ignorować wojny w Europie i tego, że Ameryka stale zwiększała swe poparcie dla Anglii i Francji, tak i ona nie może tego ignorować.

Nie może zawsze chować głowy w piasek tak jak struś, jeśli jest żoną człowieka w kwiecie wieku, kogoś, kto był karany i z całą pewnością zostanie powołany do wojska w pierwszej kolejności.

Kronika się skończyła i zaczął się główny film fabularny „Strażnicy granic”. Głównym bohaterem był Hopalong Cassidy, a chłopcy reagowali tak żywo, że warto było wyłożyć pieniądze. Jemu również podobał się program, a Eleonora znów się ożywiła. Jednak chłopcy - och, ci dwaj mali chłopcy. Co to był za widok! Wznosili zachwycone buzie na srebrny ekran, gdy bohater walczył o prawo i sprawiedliwość na białym rumaku Topperze. Donald Wade szeroko otworzył buzię, gdy galopujący Topper pojawił się po raz pierwszy na ekranie i majestatycznie stanął dęba, a jeździec wywijał czarnym kapeluszem podobnym do kapelusza Willa. Dzidzius wskazywał rączką na ekran, wytrzeszczając oczy, a jego otwarte usteczka tworzyły literę O. Później piszczał i klaskał w rączki i trzeba go było uciszyć. Wyraz twarzy Eleonory zmieniał się co chwila i wyrażał ogromne zdziwienie tą dziecinną radością, gdy rozgrywały się kolejne sceny.

Hopalong zdobył w końcu swoją damę, a kiedy ją całował, Will rzucił spojrzenie na swoją niedawno poślubioną żonę. Poczula ten badawczy wzrok i znowu się odwróciła. Ich profile oświetlone w ciemnym kinie przez migające światło odcinały się wyraźnie, a im przypomniawszy pierwszy pocałunek. Pomyśleli też o nadchodzącej nocy. W tej krótkiej chwili poczuli pewien niepokój. Wtedy finałowa muzyka stała się jeszcze głośniejsza, Hopalong odjechał w stronę zachodzącego słońca, a chłopcy zaczęli paplać z ożywieniem.

- Czy to już koniec? Dokąd pojechał Hopalong? Czy możemy pójść do kina jeszcze raz, Will, czy możemy, powiedz?

W samochodzie Will i Eleonora nie gawędzili tak jak rano. Dzidzius spał zwinięty na kolanach matki. Donald Wade - w kapeluszu Willa na głowie - przycisnął się do jego ramienia i zaczął rozprawiać o cudach i dziwach związanych z Hopalongiem i Topperem. Chociaż Will odpowiadał na pytania, myślą przenosił się do nadchodzącej nocy i pory snu. Od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia Eleonorze, ale ona patrzyła prosto przed siebie. Zastanawiał się więc, czy myśli o tym samym.

W domu Will wykonywał wieczorne obowiązki automatycznie, marząc o sypialni, której nigdy nie widział, i wspominając dzisiejszy pierwszy pocałunek. Przypomniawszy sobie, z

jaką rezerwą zachowywali się wobec siebie. Myślał o nadchodzącej nocy, o prawdziwym łóżku i kobiecie, z którą będzie je dzielić. Jednak jest to kobieta w ciąży i to ciąży na tyle zaawansowanej, że należało wykluczyć jakiegokolwiek małżeńskie pożycie. Zastanawiał się, jak wygląda naga kobieta w tak zaawansowanej ciąży. Czuł napięcie i pewien smutek, gdy pomyślał, że jest możliwe, że może zobaczyć ją w takim stanie i na myśl, że pewnie będzie leżał obok niej całą noc i nawet jej nie dotknie.

Gdyby kiedykolwiek wyobrażał sobie dzień ślubu, nigdy nie przyszłoby mu to do głowy - on w niebieskich dżinsach, panna młoda w siódmym miesiącu ciąży, tania obrączka zakupiona w sklepie „5 i 10”, pięć minut w kancelarii sędziego oraz film z Hopalongiem Cassidyem w towarzystwie dwóch hałaśliwych chłopców. Jednak nie był to jeszcze koniec dnia i czekały na nich inne niespodziewane wydarzenia.

Kolacja - ze względu na późny powrót - z trudem przypominała ucztę weselną. Jajecznica, zielona fasolka i wieprzowina. Donald Wade krzyczał, bo Eleonora nie pozwoliła mu siedzieć w kapeluszu Willa przy stole. Dzidzius pluł groszkiem na żółtą sukienkę Eleonory, a kiedy go złażała, wylał mleko z kubka i rozniósł je po całym pokoju. Eleonora ze zmoczoną spódnicą poderwała się i uderzyła go w rączkę. Tomcio zaczął wyc jak syrena alarmowa, a Will siedział bezradnie, uświadamiając sobie, że życie rodzinne chowa dla niego jeszcze w zanadrzu różne niespodzianki. Eleonora poszła po miskę i ścierkę, a on myślał sobie, że skoro dzień ślubu zawiódł jego samego - pozbawionego sentymentów głupec - to pewnie i dla niej jest bolesnym rozczarowaniem. Wróciła do stołu, gdzie nastąpiła mała katastrofa, jednak nie mógł się zgodzić, by w ładnej żółtej sukience zabrała się do pracy na czworakach, tym bardziej że w tych dniach z coraz większym wysiłkiem wstawiała i klękała.

- Poczekaj, zrobię to sam. - Wziął wiadro, próbując wyobrazić sobie, jak to jest, gdy przenosi się pannę młodą przez próg apartamentu zarezerwowanego na noc poślubną na dwudziestym piętrze hotelu Ritz. Chciałby to dla niej zrobić. Zamiast tego mógł tylko powiedzieć: - Idź zająć się sukienką.

Uniosła twarz i zobaczył w zielonych oczach te same obawy, które sam żywił, to samo zmęczenie - tym większe, że chłopcy właśnie tego wieczoru zachowywali się dość niegrzecznie, choć była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęli on i Elly. Wzruszył się tym, że była bliska łez.

- Dziękuję, Will.

- Idź. - Odwrócił ją w stronę sypialni i delikatnie popchnął.

Zabawne, jak jeden pomocny uczynek prowadził do następnego. Pół godziny później stwierdził, że jest obok niej i wyciera naczynia, nie minęło kolejne pół godziny i zorientował

się, że pomaga kłaść dzieci do łóżka.

Chłopcy spędzili męczący dzień i położyli się szybko i grzecznie do łóżek. Kiedy Eleonora otulała ich kołderką, Will poszedł do pokoju, zbierając porozrzucone ubranka pachnące rozlanym mlekiem i śladami pierwszej wyprawy do miasta, prażoną kukurydzą. Zza porysowanej komody obserwował, jak Eleonora całuje ich na dobranoc, i uśmiechnął się, widząc tę scenę. Matka zapewniała dwóch odzianych w piżamy chłopczyków z buziami lśnącymi czystością, że kocha ich mimo złego zachowania. Przebrała się w znoszoną podomkę w brązowym spłowiałym kolorze, która opinała się na brzuchu, gdy pochylała się nad Donaldem Wadem, całowała usteczka, policzki, dotykała noska swoim nosem i wyszeptwała coś, co było przeznaczone tylko dla jego uszu. Następnie powiedziała coś Dzidziusiowi, stojąc przy jego łóżeczku, układając zmęczone dziecko, a następnie odgarniając mu włosy z czoła, gdy przytulił się do ulubionego kocyka i włożył kciuk do buzi.

Opierając się łokciem o blat kredensu, Will uśmiechnął się łagodnie. Znowu odczuł tęsknotę za rzeczami, których mu zawsze brakowało, obserwowanie ich było niemal tak dobre jak branie w nich udziału. W takich chwilach jego miłość do Eleonory wzrastała, stawała się czymś więcej niż zwykłą miłością męża do żony. Elly była mu matką, której nigdy nie znał. Utożsamiał się z chłopcami, którzy mieli poczucie bezpieczeństwa, nie obawiali się przyszłości, byli zadbani.

Ogarnęło go nagle zadziwienie, gdy zrozumiał, że oto co wieczór będzie częścią tego żywego obrazu. Odtąd mógł myć piegowate buzie, wkładać rączki w rękawy piżamek, zbierać brudne ubranka i gdzieś z ukrycia obserwować czułe pożegnania na dobranoc. Otrzyma za to część tego, co stracił.

Rytuał dobiegł końca. Eleonora wstała i pomachała dwoma palcami Donaldowi Wade. Nagle chłopiec usiadł i zażądał:

- Chcę pocałować Willa na dobranoc.

Will uniósł łokieć z kredensu. Na jego twarzy widniało zaskoczenie. Eleonora odwróciła się i odnalazła męża wzrokiem w oświetlonym lampą pokoju.

Zauważyła, że się waha, ale przejrzała go i wiedziała, co się za tym kryje - wyczuła w nim coraz silniejszy niepokój oczekiwania.

- Donald Wade chce cię pocałować - powtórzyła.

- Mnie? - Czuł się nadal jak intruz, chociaż wyprostował się wyczekująco.

Donald Wade wyciągnął rączki. Will spojrzał ponownie na Eleonorę, roześmiał się, podrapał w brodę i przeszedł przez pokój, czując się niezręcznie i nie na miejscu. Usiadł na brzegu łóżka, a rączki chłopca zacisnęły się na jego szyi. Małe usteczka - wilgotne i pachnące

lekką mlekiem - na chwilę przycisnęły się do ust Willa. Było to takie nieoczekiwane i takie... takie szczere. Nigdy wcześniej nie całował dziecka na dobranoc i nie odgadłby, jak działa taki pocałunek. Ma magiczną moc i sprawia, że komuś robi się ciepło na sercu.

- Dobranoc, Will.

- Dobranoc, kemo sabe.

- Mam na imię Hopalong.

- Och, popełniłem błąd. - Will roześmiał się. - Powinienem był sprawdzić, jak nazywa się koń, który czeka na ciebie na zewnątrz. A więc to Topper, biały rumak?

Kiedy Will wstawał od łóżeczka Donalda, Dzidzius już nie leżał. Stał przy poręczy, patrząc na niego. Tomcio... który potrzebował czasu, aby polubić Willa. Tomcio... który czasami nadal onieśmiał dorosłego mężczyznę. Tomcio... który naśladował swojego brata we wszystkim. Pocałował go, choć nie objął. Maleńkie usteczka były ciepłe i wilgotne, gdy Will nachylił się, aby ich dotknąć.

Boże miłosierny, nigdy nie odgadłby, jak czuje się człowiek dwa razy pocałowany na dobranoc. Potrzebny. Kochany.

- Dobranoc, Tomciu.

Dziecko patrzyło na niego dużymi piwnymi oczami.

- Pożegnaj się z Willem - matka podpowiedziała mu cicho.

- Dobranoc, Wiw.

Tomcio do tej pory nie wypowiedział ani razu imienia Willa. To zniekształcone słowo trafiło prosto do jego serca. Wzruszony patrzył, jak Eleonora po raz drugi układa synka do snu, zanim przyłączy się do niego.

Stali przez chwilę obok siebie, przyglądając się badawczo dzieciom. Ogarnęło ich poczucie bliskości i harmonii. Zapomnieli o niedociągnięciach, brakach, zgrzytach. Mieli nadzieję, że będzie lepiej.

Zostawiając uchylone drzwi, weszli do sypialni. Było zupełnie ciemno, nie licząc smugi światła dochodzącej z pokoju chłopców i z kuchni.

Will przeciągnął ręką po włosach i uśmiechnął się. Po chwili wyprostował się, wybuchając radosnym śmiechem.

- Nigdy nie żegnałem się tak na dobranoc.

- Wiem.

Szukał sposobu, aby wyrazić poczucie pełni, jakiego w głębi duszy doświadczył. Nie znalazł go. Z sieroty wyrósł włóczęga. Włóczęga zamienił się w więźnia, więzień w najemnego robotnika, a robotnik w zastępczego tatusia! Nie potrafił wyrazić, co znaczy dla

niego pięć ostatnich minut. Will mógł tylko kiwać głową zdziwiony.

- To było coś bardzo, bardzo ważnego, nieprawdaż?

Zrozumiała. To zdziwienie mówiło samo za siebie. Nigdy nie oczekiwał, że razem z prawem do jej domu otrzyma prawo do dzieci. Jednak rozpoznała, że jego uczucie do nich wzrasta, widziała jasno, jakim będzie ojcem - delikatnym, cierpliwym, takim, który nigdy nie potraktuje lekceważąco małych radości towarzyszących wychowaniu dzieci.

- Tak, to było bardzo ważne.

Opuścił rękę i podniósł głowę.

- Naprawdę lubię tę dwójkę, wiesz o tym?

- Chociaż zachowywali się tak niegrzecznie w czasie kolacji?

- Och, to... to nic nie znaczy. Mieli wspianiały dzień. Sądzę, że nadal podskakują z radości.

Uśmiechnęła się.

Odwzajemnił uśmiech, a później spoważniał.

- Chcę, żebyś wiedziała, że dobrze się nimi zajmę.

- Ja też tak myślę.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Szukali w myślach, co by tu można powiedzieć, zrobić. Ale nadszedł już czas, by iść spać - pozostała tylko ta jedna rzecz do zrobienia. Jednak oboje ociągali się. W kuchni radio grało „Chattanooga Choo Choo”. Swoje obawy przenieśli w cień, gdzie zatrzymali się niepewnie. Sypialnia czekała, aby udzielić im schronienia. Czuli jednak niepewność i zakłopotanie.

Eleonora bawiła się rękami, szukając jakiegoś tematu, aby odsunąć czas położenia się do łóżka.

- Dziękuję ci za kino, Will. Chłopcy nigdy o tym nie zapomną i ja także.

- Ja też jestem zadowolony.

Koniec rozmowy.

- Smakowała mi także prażona kukurydza - dodała pośpiesznie.

- Mnie także.

Znowu koniec.

Tym razem Will zdołał zmienić temat - ubrania chłopców, które nadal ścisnął.

- A oto i one! - Włożył je do jej rąk. - Zapomniałem, że nadal je mam. - Wsunął ręce do kieszeni.

- Dziękuję, że pomogłeś mi położyć ich spać - powiedziała, spoglądając na poplamioną mlekiem bluzeczkę Tomcia.

- Dziękuję, że mi pozwoliłaś.

Szybko wymienili spojrzenia, dwa nerwowe uśmiechy, a następnie zapadła znowu cisza ogromna i przytłaczająca. Stali blisko siebie i przyglądali się zwiniętym ubrankom w jej dłoniach. Był to jej dom, jej sypialnia - Will czuł się jak gość, czekał, aż zaproszą go na noc, ale ona nadal nie wspomniała ani słowem, by udać się na spoczynek. Czuł pulsowanie krwi w skroniach. Miał wrażenie, że założył kołnierzyk o jeden rozmiar za mały. Ktoś musi przełamać pierwsze lody.

- Czy jesteś zmęczona? - spytał.

- Nie! - odpowiedziała trochę zbyt szybko. A następnie, opuszczając głowę, wyznała: - No cóż... tak, jestem trochę zmęczona.

- W takim razie chyba lepiej będzie, jeśli wyjdę na chwilę.

Kiedy odszedł, opuściła ręce, zamknęła oczy i przycisnęła ubranka do płonących policzków. Głupia kobieto, czy jest jakiś powód, by zachowywać się w taki bojaźliwy sposób? Będzie spać z tobą na tym samym materacu i pod tą samą kołdrą - no i co z tego?

Rozpuściła włosy, umyła twarz i przygotowała się do snu w rekordowym tempie. Zanim usłyszała, że Will znowu wchodzi do kuchni, była już bezpieczna - w białej muślinowej koszuli z kołdrą podciągniętą do ramion. Leżała sztywno, nasłuchując, jak myje się przed pójściem spać. Wyłączył radio, sprawdził ogień, położył na swoje miejsce płytkę od piecyka. A wtedy wszystko umilkło, z wyjątkiem pulsowania w uszach i tykania nakręconego budzika obok łóżka. Upłynęły minuty, zanim usłyszała, jak idzie przez salon i zatrzymuje się. Patrzyła na drzwi, wyobrażając sobie, jak zbiera się na odwagę, jej serce waliło jak silnik starego traktora - Stalowego Muła Glendona, wtedy gdy nim jechała.

Will zatrzymał się przed drzwiami sypialni, dla odwagi biorąc głęboki oddech. Przeszedł przez próg i zobaczył, że Eleonora leży w łóżku na plecach w przyzwoitej białej koszuli z długimi rękawami. Jej brązowe włosy rozsypały się na białej poduszce. Ręce skrzyżowała na wysoko wystającym brzuchu przykrytym kołdrą. Chociaż patrzyła z narzuconą sobie obojętnością, na jej policzkach widniały dwie różowe plamy, jak gdyby przeleciał tamtędy serafin i na każdym policzku położył jeden płatek róży.

- Chodź, Will.

Rozejrzał się uważnie po pokoju - ujrzał okna bez zasłonek, dywanik domowej produkcji z kawałków materiału, ręcznie robioną kołdrę, żelazne łóżko pomalowane na biało, uchylone drzwi szafki, stolicek przy łóżku, lampę naftową, wysoką komodę z nadstawką i zdjęcie mężczyzny z dużymi oczami i przeredzającymi się włosami.

- Jestem tu pierwszy raz.

- Ten pokój to nic nadzwyczajnego.

- Jest ciepło i czysto. - Przeszedł tylko dwa kroki, rozglądając się wokół, aż wbrew jego woli wzrok zatrzymał się znowu na zdjęciu.

- Czy to Glendon? - Tak.

Podszedł do komody, podniósł fotografię w ramce i przyglądał się, zaskoczony wiekiem mężczyzny i tym, że fizycznie był zupełnie nieatrakcyjny. Miał raczej haczykowany nos i kościstą twarz z zapadniętymi oczami i wąskimi ustami.

- Był trochę starszy niż ty.

- Pięć lat.

Will studiował zdjęcie w milczeniu, jednak mężczyzna ten wyglądał o wiele starzej.

- Nie był szczególnie przystojny, ale był dobrym człowiekiem.

Był o tym przekonany. Glendon bez wątplenia był dobrym człowiekiem. Nie tak jak on, który złamał zarówno prawa boskie, jak i ludzkie. Czy ta kobieta mogła zapomnieć kiedyś o podobnych wykroczeniach? Will odstawił zdjęcie.

- Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli zdjęcie zostanie na swoim miejscu? - zapytała Eleonora. - Nie chcę, aby chłopcy o nim zapomnieli.

- Nie, wcale nie. - Czy w ten sposób przypominała mu, że Glendon Dinsmore nadal zajmował specjalne miejsce w jej sercu, i że chociaż on, Will Parker, będzie spał w tym samym posłaniu, nie ma prawa oczekiwać, iż będzie dzielić z nią coś więcej - i to kiedykolwiek? Odwrócił się do ściany, wyciągając koszulę ze spodni, nie chciał niczego jej narzucać, nawet przelotnego widoku nagiej skóry.

Patrzyła, jak rozpina koszulę, zdejmując ją i wieszając na gałce od drzwi. To dziwne, że przygląda mu się zafascynowana. Miał znamiona na plecach, skórę jędrną i opaloną, kształtne ciało. Jego ramiona stały się znacznie silniejsze w ciągu dwóch miesięcy, jakie spędził tutaj.

Chociaż czuła się jak osoba, która podgląda kogoś przez okno, nadal patrzyła. Rozpiął pasek w dżinsach naciągniętych na chude, a może nawet kościste biodra. Kiedy usiadł, materac ugiął się, a jej serce zadrżało - bo nawet teraz miała poczucie intymności, nie dzieliła przecież z nikim łóżka przez ponad pół roku. Zdjął but kowbojski, odstawił go na bok, a następnie zrobił to samo z drugim. Wstając, zrzucił dżinsy na podłogę, a następnie jednym zwinnym ruchem wyciągnął się na łóżku. Uda porośnięte ciemnymi włosami i stare krótkie spodenki Glendona błysnęły tylko na moment, zanim przykrył się kołdrą i wyciągnął się obok niej z rękami podłożonymi pod głowę.

Patrzyli w sufit, leżąc nieruchomo. Uważali, aby przypadkiem się nie dotknąć, i słuchali zegara, którego tykanie kojarzyło się ze strzelaniem z karabinu.

- Możesz trochę przykręcić lampę. Nie musi świecić tak jasno.

Odwrocił się, wyciągając rękę i burząc pościel.

- Może tak być? - Spojrzał przez wyciągnięte ramię, gdy światło przybladło, wyolbrzymiając cienie.

- Wspaniale.

Znowu wyciągnął się na pościeli. Cisza dzwoniła w ich uszach. Nie odważyli się wykonać żadnego z ruchów, które zazwyczaj towarzyszą pierwszym minutom w łóżku, gdy każdy układa się wygodnie. Zamiast tego leżeli z rękami ułożonymi sztywno na kołdrach, próbując przyzwyczać się do myśli, że odtąd będą spać wspólnie, szukali tematów do rozmowy i zamiast rozluźnić się, byli coraz bardziej napięci.

Po chwili Will roześmiał się.

- Co się stało? - Patrzyła na niego kątem oka. Kiedy zerknął w jej stronę, zwróciła spojrzenie w sufit.

- To bardzo dziwaczne.

- Wiem.

- Będziemy leżeć w tym łóżku co noc i udawać, że nie ma tu tej drugiej osoby?

Odetchnęła głęboko i wreszcie odważyła się na niego spojrzeć. Miał rację. Była to ulga, tak po prostu przyznać, że w łóżku jest jeszcze jedna osoba.

- Obawiałam się tego. Wiesz, że myślałam, iż będzie to bardzo kłopotliwe?

- Było i jest - przyznał w imieniu ich obojga.

- Ogromnie się denerwowałam od kolacji.

- Chcesz powiedzieć, od rana. Była to właściwie najtrudniejsza rzecz w moim życiu, otworzyć drzwi i wejść do kuchni dziś rano.

- Chcesz powiedzieć, że także się denerwowałeś?

- Nie było tego widać?

- Trochę, ale zdawało mi się, że jestem o wiele bardziej zdenerwowana niż ty.

Rozmysłali przez pewien czas, zanim Will zauważył:

- Bardzo dziwny dzień jak na ślub, prawda?

- No cóż, jak mi się zdaje, tego można było oczekiwać.

- Przepraszam za sędziego i za pocałunek, wiesz.

- Nie było tak źle. W końcu to przeżyliśmy, prawda?

- Tak, przeżyliśmy to jakoś. - Skrzyżował ręce za głową i przypatrywał się sufitowi, pokazując owłosioną pachę, która pachniała mydłem Ivory.

- Przepraszam za zapaloną lampę. Nie będziesz mógł zasnąć, prawda?

- Może przez chwilę, ale nie ma to żadnego znaczenia. Gdybyś nie spała w łóżku tak długo jak ja, również nie narzekałabyś z powodu lampy. - Opuścił dłoń i przesunął nią po szorstkim czystym prześcieradle pachnącym ługiem i świeżym powietrzem. - Wiesz, to prawdziwa rozkosz. Prawdziwe prześcieradła. Poszewki na poduszki. Wszystko.

Eleonorze nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. Leżała w milczeniu, przyzwyczajając się do poczucia bliskości i jego zapachu. Na zewnątrz zaśpiewał lelek kozodój, słychać też było, jak zatrzeszczało łóżeczko w pokoju chłopców - to Tomcio przewrócił się na drugi bok.

- Eleonoro?

- Tak?

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Boisz się ciemności?

Nie śpieszyła się z odpowiedzią.

- Niezupełnie się boję... no cóż, sama nie wiem. Być może. - Zastanowiła się przez chwilę. - Tak, być może. Śpię przy zapalonym świetle od tak dawna, że już nie wiem, jak to właściwie ze mną jest.

Will odwrócił głowę, aby przyjrzeć się jej profilowi.

- Dlaczego?

Ich oczy spotkały się, a ona myślała o fanatycznych dziadkach, matce, o wszystkich tych latach za zielonymi okiennicami.

Jednak gdyby o tym mówiła, uznalby ją za dziwaczkę, a tego nie chciała. Również nie chciała zniszczyć dnia swojego ślubu bolesnymi wspomnieniami.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Spojrzał uważnie w jej zielone oczy, życząc sobie, aby mu zaufała, opowiedziała o zdarzeniach, które kryły się za plotkami Luli. Ale jakiegokolwiek miała sekrety, nie usłyszy dziś o nich.

- W takim razie opowiedz mi o Glendonie.

- O Glendonie? Czy chcesz o nim rozmawiać... dziś wieczorem?

- Jeśli możesz mi o tym opowiedzieć.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem spytała:

- A co chciałbyś wiedzieć?

- Wszystko, o czym chcesz opowiedzieć. Gdzie go spotkałaś?

Przyglądając się przyćmionemu kręgowi światła na suficie, zaczęła wspominać:

- Glendon przywoził lód do naszego domu, gdy byłam małą dziewczynką. Mieszkaliśmy wtedy w mieście, moja matka, dziadkowie i ja. Dziadek był kaznodzieją, w tym czasie zwykł wyjeżdżać na objazdy na długie tygodnie. - Patrzyła na Willa kątem oka, krzywiąc usta w uśmiechu. - Ogień i siarka. Głos jak trąba powietrzna obrzucająca dom błotem. - Powiedziała mu to, co chciała, unikając jakichkolwiek uwag o boleśnie samotnej młodości, wyrzucając prawdę o swojej rodzinie, złe wspomnienia z czasów szkolnych. O Glendonie mówiła szczerzej, opowiadała o ich spotkaniach w lesie, gdy była jeszcze dziewczynką, o wspólnej miłości do zwierząt żyjących na wolności.

- Pierwszym prezentem, jaki mi ofiarował, był worek ziarna dla ptaków i od tamtej pory zaprzyjaźniliśmy się. Wysłałam za niego za męża, gdy miałam dziewiętnaście lat, i od tej pory mieszkam tutaj - zakończyła.

Gdy skończyła opowieść, Will czuł się rozczarowany. Nie dowiedział się niczego o domu w mieście ani też dlaczego była w nim zamknięta, nie poznał żadnego sekretu Eleonory Dinsmore Parker. Prawda wydawała się dziwna: była jego żoną, jednak wiedział o niej mniej niż o lafiryndach, które niegdyś często odwiedzał. Przede wszystkim chciał dowiedzieć się czegoś o domu i zapewnić ją, że nie ma to dla niego żadnego znaczenia. Gdy minie jakiś czas, może opowie mu o tym więcej, a teraz uszanował jej prawo do prywatności. On także miał ukryte rany, zbyt bolesne, aby je obnażać.

- Teraz twoja kolej - powiedziała.

- Moja kolej?

- Opowiedz mi o sobie. Gdzie mieszkałeś, gdy byłeś chłopcem, jak to się stało, że ostatecznie wylądowałeś tutaj.

- Mieszkałem przez większość życia w Teksasie - zaczął od suchych faktów - ale w tak wielu miastach, że nie potrafiłbym ich nawet nazwać, czasami w sierocińcach, czasami jacyś ludzie brali mnie do siebie. Urodziłem się w okolicach Austin, tak mi mówiono, ale nic nie pamiętam z tego czasu. Dopiero gdy dorosłem, wróciłem tam pewnego razu, zaganiałem tam bydło.

- A co pamiętasz?

- Masz na myśli wspomnienia z dzieciństwa?

- Tak.

Will zaczął dokładnie nad tym się zastanawiać. Bolesne wspomnienia wracały do niego powoli.

- Pamiętam, że wylałem zupę z miski, myślę, że była to kaszka na śniadanie, i takie lanie, że zupełnie zapomniałem o tym, że byłem głodny.

- Och, Will...

- Często dostawałem lanie. Wszędzie z wyjątkiem tylko jednego miejsca. Mieszkałem tam może przez pół roku... Nie pamiętam dokładnie i nigdy nie byłem w stanie zapamiętać, jak się nazywali, ale kobieta zwykle czytała mi książki. Miała książkę z okropnie smutną historią, którą po prostu uwielbiałem, pod tytułem „Pies z Flandrii”, były tam rysunki przedstawiające chłopca i psa, a ja myślałem sobie, jak cudownie jest mieć własne zwierzę. Wiesz, tamci ludzie mieli psa. - Will zamyślił się na chwilę, a następnie odchrząknął i mówił dalej. - W każdym razie, jeśli mówimy o tej kobiecie, to najbardziej utkwiły mi w pamięci jej zielone oczy, najładniejsze zielone oczy po tamtej stronie Pecos, i wiesz jeszcze co?

- Co? - Eleonora zwróciła twarz w jego kierunku.

Uśmiechając się, powiedział:

- Gdy po raz pierwszy wszedłem do tego domu, to właśnie podobało mi się w tobie najbardziej. Zielone oczy. Przypomniały mi o niej, a ona zawsze była dobra. I była jedyną osobą, która przekonała mnie, że książki są przydatne.

Przez chwilę przypatrywali się sobie, omal nie ujawniając uczuć, a później Elly powiedziała:

- Opowiedz mi coś więcej.

- W końcu zamieszkałem z rodziną o nazwisku Tryce na farmie w pobliżu zapadłej dziury, którą zwano Cysterną. Zginął zegarek staruszka i gdy tylko usłyszałem, co się dzieje, od razu odgadłem, że mnie obciążą odpowiedzialnością, więc zmyłem się, zanim zdążył mnie sprać. Miałem czternaście lat i stwierdziłem, że jeśli będę przenosił się z miejsca na miejsce, nie wepchną mnie do żadnej szkoły, gdzie dzieciaki z mamami i tatusiami mierzyli mnie wzrokiem, jak gdybym był czterodniowym kotлетem schabowym zostawionym w czyjejs kieszeni. Złapałem pociąg i pojechałem do Arizony. Od tej pory cały czas jestem w drodze. Z wyjątkiem pobytów w więzieniu i tutaj.

- Czternaście lat. Ale to taki młody wiek.

- Nie, kiedy zaczyna się tak jak ja.

Przyglądała się jego profilowi, ciemnym oczom wpatrzonym w sufit, wyraźnie zarysowanemu prostemu nosowi i ustom pozbawionym uśmiechu.

- Czy byłeś samotny? - zapytała cicho.

Przez chwilę nie odpowiadał, a kiedy to zrobił, odwrócił się.

- Tak. A ty też byłaś samotna?

Nikt nigdy nie zapytał jej o to. Gdyby pochodził z miasta, nie przyznałaby się do tego za nic na świecie, ale teraz czuła się nadzwyczajnie dobrze, gdy odpowiedziała, że tak.

Nadal patrzyli na siebie, oboje poznali, że padł między nimi pierwszy mur.

- Ale ty miałaś rodzinę.

- Miałam rodzinę, ale nie zaprzyjaźniłam się z nikim. Założę się, że ty miałeś przyjaciół.

- Przyjaciół? Nie. - Po chwili namysłu dodał: - No cóż, może jednego.

- Kogo?

- Jesteś pewna, że chcesz o tym posłuchać? - Podniósł brwi.

- Jestem pewna. Kto nim był?

Nigdy nie mówił o Joshu. Nigdy i nikomu. Gdy Eleonora to usłyszy, może dojść do wniosku, że musi raz jeszcze rozważyć decyzję zaproszenia go do swojego łóżka. Jednak po raz pierwszy Will odkrył, że chciałby zrzucić ten ciężar z piersi.

- Nazywał się Josh - zaczął - Josh Sanderson. Pracowaliśmy razem na farmie obok Dime Box, w Teksasie w pobliżu Austin. - Will zaśmiał się. - Dime Box to było... to było jak... no cóż jak oglądanie czarno - białego filmu po tym, jak oglądało się zapowiedzi w kolorze. Żałowana mała dziura. Wszystko było martwe lub czekało na śmierć. Ludzie, bydło i rośliny. I zupełnie nic do roboty wieczorem. Zupełnie nic. - Zamilkł, błądząc myślami w przeszłości.

- A więc czym się zajmowałaś?

- To nie jest odpowiedni temat na noc poślubną, Eleonoro. - Rzucił jej jedno krótkie spojrzenie.

- Większość żon wie już o tego rodzaju sprawkach swoich mężów przed nocą poślubną. Powiedz mi, czym się zajmowałaś?

Sadowiąc się, jakby szykował się na dłuższą rozmowę, zwinął poduszkę w kłębek, oparł o nią głowę, podniósł kolano i splótł palce na brzuchu.

- Dobrze, jeśli o to prosisz, powiem ci. Chodziliśmy do La Grange do burdelu w sobotnie wieczory. Kapaliśmy się i odstawialiśmy się szykownie, braliśmy forsy do miasta i przepuszczaliśmy niemal wszystko na trunek i dziewczynki. Ja nie byłem wybredny. Brałem tę, która była wolna. Jednak Josh polubił jedną z nich, która nazywała się Honey Rossiter - potrząsnął głową z niedowierzaniem - Honey, kto by powiedział. Przysięgała, że tak ją nazwano, ale nigdy jej nie wierzyłem. Jednak Josh ufał jej bezgranicznie. U diabła, Josh wierzył we wszystko, co ta kobieta mu powiedziała. I nie słuchał, jeżeli ktoś mówił coś złego o Honey. Był naprawdę wkurzony, jeśli powiedziałem choć jedno złe słowo. Bardzo zalaża mu za skórę, to fakt. Była wysoka, miała metr osiemdziesiąt wzrostu, a wokół głowy szopę kasztanowych włosów, które opadały aż do bioder. Były to naprawdę wspaniałe włosy,

kręcone i gęste. Można było w nich zanurzyć ręce. Josh zwykł o nich mówić, leżąc w nocy na łóżku: Honey i jej miodowe włosy. Później, wkrótce potem, zaczął gadać, że się z nią ożeni. Josh, mówię, to dziwka. Dlaczego miałbyś chcieć ożenić się z dziwką? Josh naprawdę się zdenerwował, gdy to powiedziałem. Tak zwariował na jej punkcie, że stracił poczucie rzeczywistości. Była jak... - oparł nadgarstek na podniesionym kolanie, bawiąc się w roztargnieniu kawałkiem zielonej nici od kołdry - niczym aktorka w filmie. Grała taką osobę, jakiej potrzebował dany mężczyzna. Zmieniała się, aby zadowolić partnera, a kiedy przebywała z Joshem, zachowywała się, jakby był dla niej jedyny. Problem leżał w tym, że Josh w to wierzył. Pewnej nocy poszliśmy tam znowu i kiedy Josh poprosił o Honey, stara la-dacznica, która prowadziła lokal, oznajmiła, że dziewczyna będzie jeszcze zajęta rozmową przez następne dwie godziny i wobec tego na kogo ma ochotę? A Josh nigdy nie chciał nikogo innego, nie po Honey. Czekał. Ale zanim zeszła na dół, był tak wściekły, że wszystko się w nim dosłownie gotowało i w każdej chwili mógł wybuchnąć. W końcu Honey weszła powolnym krokiem do poczekalni, tak nazywali bar, gdzie mężczyźni czekali na kobiety, i zaczęła się burza. Nigdy nie słyszałaś takiego dzikiego wrzasku, jak wtedy, gdy Josh rzucił się na nią, żądając wyjaśnień, z kim spędziła dwie godziny, w czasie gdy czekał samotnie na dole i marzył mu pięty. - Ona na to powiada mu: Nie jesteś moim właścicielem, Joshu Sanderson, a on: No cóż, dobrze, ale chciałbym nim być, a następnie wyciąga pierścionek z kieszeni i mówi, że przyszedł tu tego wieczoru, mając zamiar poprosić ją o rękę.

Will potrząsnął głową.

- Roześmiała się mu w twarz. Powiedziała, że musiałaby zwariować, aby poślubić nie liczącego się zupełnie nicponia jeżdżącego w siodle. Prawdopodobnie byłaby w ciąży dziewięć miesięcy na dwanaście i zgodnie z jego oczekiwaniami zajmowała się domem pełnym wrzeszczących dzieciaków. Oznajmiła, że żyje w luksusie, spędza tylko co wieczór kilka godzin na plecach, nosi jedwabie oraz pióra, jada ostrygi i steki, kiedy tylko ma na nie ochotę.

- Wtedy Josh dostał szału. Powiedział jej, że ją kocha i już nie będzie się pieprzyć z nikim innym, i to nigdy. Ona wyjdzie z nim i to teraz! Chciał ją złapać, a tu ona, nie wiadomo skąd, wyciąga mały rewolwer. Chryste, nigdy nie wiedziałem, że dziewczęta tamtejsze zawsze mają go przy sobie. Tkwił tam w jej ręku, wycelowany prosto w oko Josha, więc sięgnąłem po butelkę whisky Old Star i zamierzyłem się prosto na nią. U diabła, nie pomyślałem, co się stanie. Po prostu... no cóż, po prostu uderzyłem ją w głowę. Padła jak ścięte drzewo, przewróciła się na bok i uderzyła głową o krzesło. Leżała w kałuży pełnej odłamków szkła i whisky. Prawie nie leciała krew, tak szybko umarła. Nie wiem, czy zabiła ją butelka, czy krzesło, ale w świetle prawa nie miało to żadnego znaczenia. Nie minęło pół

godziny, a już siedziałem za kratkami.

- Wyobrażałem sobie, że wszystko skończy się dobrze, w końcu bronielem Josha. Gdybym jej nie uderzył, zastrzeliłaby go, bo celowała prosto w jego lewe oko. Jednak nie wiedziałem, że tak poważnie myślał o tym, żeby ją poślubić, i jak bardzo był załamany, kiedy umarła.

- On... - Will zamknął oczy na bolesne wspomnienie.

Eleonora usiadła, uważnie przyglądając się jego twarzy.

- Co zrobił? - zachęcała go delikatnie do dalszej opowieści.

Will otworzył oczy i utkwiał wzrok w suficie.

- Zeznawał przeciwko mnie. Opowiedział łzawą historię, jak zamierzał zrobić z Honey Rossiter uczciwą kobietę i ożenić się z nią, by zerwała z ohydnyim życiem w burdelu. Pragnął ofiarować jej dom i szacunek. I ława przysięgłych dała się nabrać. Odsiedziałem pięć lat za to, że ocaliłem przyjacielowi życie. - Will przeciągnął ręką po włosach i westchnął. Przez kilka sekund wpatrywał się w sufit, a następnie znowu przybrał pozycję siedzącą, a ręce luźno złączył wokół kolan. - I to nie byle jakiemu przyjacielowi.

Eleonora przyglądała się znamionom na jego plecach, chcąc wyciągnąć rękę i dotknąć go, pocieszyć. Tak jak on miała tylko jednego przyjaciela, ale jej przyjaciel okazał się wierny. Mogła sobie wyobrazić, jak zabołałaby ją zdrada Glendona.

- Przykro mi, Will.

Odwrócił głowę, jak gdyby chciał spojrzeć na nią, ale nie zrobił tego. Zamiast tego patrzył na luźno splecione ręce.

- A niech to diabli, było to tak dawno temu.

- Jednak nadal boli, wiem o tym dobrze.

Opadł na łóżko, przesunął rękami po włosach i splótł je za głową.

- Nie wiem, jak to się stało, że zajęliśmy się takim tematem. Porozmawiajmy o czymś innym.

Mieli teraz o wiele bardziej ponury nastrój i gdy leżeli tak obok siebie, Eleonora nie mogła myśleć prawie o niczym innym tylko o smutnej, pozbawionej przyjaciół młodości Willa. Zawsze myślała o sobie jak o najbardziej samotnej istocie na ziemi, ale jednak... biedny Will. Biedny, biedny Will. Teraz miał przynajmniej ją i chłopców. Jednak ile czasu będzie to trwało, nim nadejdzie wojna?

- Czy wojna rzeczywiście tak wygląda, Will... tak jak pokazywali w kinie?

- Tak mi się zdaje.

- Jak myślisz, czy weźmiemy w niej udział?

- Nie wiem. Chyba tak, bo inaczej dlaczego prezydent powoływałby mężczyzn do służby wojskowej?

- Jeśli Ameryka się zaangażuje, czy musiałbyś iść?

- Jeśli mnie powołają, tak.

Ułożyła usta w literę „O”, chociaż nie wypowiedziała ani jednego słowa. Bardzo się przestraszyła. Zaskoczyło ją to, ponieważ nie domyślała się, że stanie się tak zaborcza w stosunku do tego mężczyzny, kiedy zostanie już jej mężem. To, że nim był, wszystko zmieniało. Czarno - białe obrazy z kroniki przelatwały w jej pamięci, a po nich następowały inne kolorowe - z czasów wojny secesyjnej. Co za okropna rzecz ta wojna. Przypuszczała, że w czasach, kiedy żył jeszcze dziadek, modlono się, by Ameryka trzymała się z dala od tego wszystkiego. Zamknęła oczy i odepchnęła na bok ponure myśli, aby zrobić miejsce dla innych, bardziej pogodnych - zobaczyła znowu piękne panie w jedwabnych sukniach i mężczyzn w cylindrach oraz Hopalonga machającego kapeluszem... i Donalda w czarnym kapeluszu Willa... a w końcu, kiedy pomiędzy snem a jawą była bardzo niewielka granica, pojawił się i sam Will. Jechał na Topperze, machał do niej kapeluszem.

Kilka minut później Will odwrócił się i powiedział:

- Nie martw się na zapas.

Ale zobaczył, że już śpi, leżąc na plecach, z rozchylonymi ustami i dłońmi skrzyżowanymi poważnie pod biustem. Patrzył, jak oddycha miarowo, jak na pasmo włosów na ramieniu z każdym uderzeniem serca i z każdym oddechem pada światło. Jego spojrzenie przesunęło się na jej brzuch, a potem znowu na piersi, delikatnie rysujące się pod nocną koszulą. Marzył, jakby był szczęśliwy, gdyby obrócił ją na bok i przytulił, trzymając ręce tam, gdzie teraz ona trzyma swoje, gdyby usnął z twarzą przytuloną do jej pleców. Jednak co by sobie pomyślała, gdyby się obudziła i stwierdziła, że śpi w ten sposób? Będzie musiał się pilnować, nawet w czasie snu.

Jego oczy jeszcze raz spoczęły na brzuchu Elly.

Poruszył się!

Kołdra przesunęła się, jak gdyby śpiący pod spodem kotek zmienił pozycję. Jednak spała twardo, tak nieruchoma jak mumia. Dziecko? Dzieci poruszają się aż tak bardzo? Ostrożnie oparł się jednym łokciem na łóżku, pochylił się nad nią, przyglądając się ruchom z bliska. Chłopiec czy dziewczynka? Dziecko poruszyło się znowu, a on uśmiechnął się. Chłopiec czy dziewczynka, z pewnością dziecko było bardzo żywe; nie mógł uwierzyć, że wszystkie te ruchy jej nie zbudziły. Zwalczył pokusę, żeby odsunąć kołdrę i przyjrzeć się jej lepiej, a nawet jeszcze większą, aby położyć rękę na brzuchu i poczuć to, co widział. Jednak,

oczywiście, musiał o tym zapomnieć.

Położył się, martwiąc, iż zgodził się odebrać dziecko. Boże, co on sobie wyobrażał? Zabije je na pewno swoimi wielkimi niezdarnymi łapami.

Nie myśl o tym, Will.

Zamknął oczy i zamiast myśleć o porodzie, skoncentrował się na pocałunkach na dobranoc, jakie otrzymał od Donalda i Dzidziusia. Przypomnił sobie dziecinne głosiki życzące mu dobrej nocy, szczególnie głosik Tomcia: Dobranoc, Wiw. Próbował nie myśleć o niczym, aby przywołać sen. Jednak światło raziło w powieki. Jeszcze raz otworzył oczy. Eleonora szybko przewróciła się na bok, twarz zwracając do niego. Przyglądał się uważnie rzęsom ocieniającym policzki, jej lewa dłoń leżała obok jego podbródka - widać było pierścionek na palcu. Wpatrywał się w zapinaną na guziczki kieszonkę koszuli nocnej i kołdrę, która właśnie opadła, tylko biały materiał koszuli przykrywał piersi. Sięgnął ręką delikatnie, bardzo delikatnie i na ułamek sekundy przytulił się do jej rękawa. Następnie cofnął rękę, przewrócił się na drugi bok i próbował zapomnieć, że pali się światło.

ROZDZIAŁ 11

Rano Eleonora otworzyła oczy i zobaczyła, że Will śpi odwrócony do niej tyłem. Miał potargane włosy i pod nimi widać było prześwitującą skórę. Uśmiechnęła się. Poufałość małżeńska. Patrzyła, jak przy każdym oddechu unoszą się jego łopatki, bacznie przyjrzała się plecom z charakterystycznymi znamionami ułożonymi w trójkąt, uchu, włosom na karku, łukowi kręgosłupa znikającemu pod kołdrą. Był bardziej opalony, zahartowany i obnażony niż Glendon, który miał ziemistą cerę i zawsze spał w podkoszulku.

Przedmiot jej obserwacji odetchnął przez nos i przewrócił się na plecy. Poruszył oczami za zamkniętymi powiekami, ale spał dalej z twarzą wystawioną do słońca, które nadawało jego ciału złocistobrazowy kolor. Rzucalo kolorowe refleksy na jasne włosy tak jak wtedy, gdy migotało na skrzydłach zięby. Broda rosła mu szybciej, o wiele szybciej niż Glendonowi i miał więcej włosów na ramionach i piersiach. Gdy tak mu się przyglądała, poczuła, jak nieoczekiwanie na niego reaguje i odkrycie to wstrząsnęło nią głęboko.

Zamknęła oczy i uświadomiła sobie, że Will pachnie inaczej niż Glendon. Nie potrafiła określić tego naturalnego zapachu - rozgrzanej skóry, włosów i oddechu, który był tak różny od zapachu Glendona jak jabłko od pomarańczy. Przymrużyła oczy, jakby gwarantowało to, że Will się nie obudzi. Przez półotwarte powieki podziwiała to piękne ciało, pozwalając słońcu padać na końce swych rzęs i rozpraszać się na śpiącym, przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyźnie, wyglądającym przy tym jak posypany cekinami. Dziewczęta w La Grange prawdopodobnie biły się o niego.

Znowu coś zaczęło ścisnąć ją w żołądku, ucisk rozchodził się na wszystkie strony i wzmagał się, gdy leżała tak z kolanami oddalonymi tylko o cal od jego biodra, a obcy zapach przenikał przez bieliznę pościelową. Zajmował połowę łóżka. Czowała jego ciepło. Zaszokowana stwierdziła, że podlega zmysłowemu pokusom, a przecież myślała, iż ciąży ją na to uodporni.

Elly uderzyła jeszcze inna niepokojąca myśl. Przypuśćmy, że przyglądał się jej tak dokładnie, jak teraz ona przygląda się jemu? Starła się przypomnieć sobie, kiedy zasnęła, ale nie mogła. Rozmawiali - to ostatnia rzecz, jaką zapamiętała. Czy leżała na plecach? A może zwróciła się twarzą do niego? Rzuciła okiem na stół; lampa nadal jeszcze syczała. Zostawił ją zapaloną, mógł więc jeszcze czuwać godzinami, po tym jak zasnęła, przyglądając się bardzo dokładnie, dostrzegając wszelkie braki. Przypatrując się ładnej twarzy Willa, uświadomiła sobie aż nadto, jak bardzo traciła przy porównaniu. Jej proste włosy miały kolor brudnego brązu, rzęsy miała cienkie i krótkie, ręce szerokie, brzuch wystający, a piersi ogromne i

nabrzmiała. Czasami chrapała. Czy chrapała także ubiegłej nocy, kiedy patrzył na nią i nasłuchiwał?

Zwinęła się na brzegu łóżka, myśląc: Zapomnij, że leży tam w łóżku i idź ubierz się, jak gdyby to był kolejny zwykły dzień.

Gdy zrobiła pierwszy ruch, Will obudził się. Spojrzał na jej plecy, budzik, a następnie usiadł i jednym ruchem sięgnął po spodnie.

Ubierali się zwróceniem twarzą ku przeciwnym ścianom i dopiero wtedy gdy zapięli ostatnie guziki, zerknęli przez ramię na siebie.

- Dzień dobry - powiedziała zakłopotana.

- Dzień dobry.

- Dobrze ci się spało?

- Wspaniale. Czy rozpychałem się?

- Nic nie pamiętam, a ja się pchałam?

- Nie.

- Czy zawsze tak wcześnie się budzisz?

- Jest już prawie ósma. Herbert zaraz pęknie. - Usiadł na brzegu łóżka i energicznie naciągnął buty. Chwilę później już siedł na palcach obok drzwi, wciągając koszulę w spodnie.

Kiedy wyszedł, padła na łóżko i westchnęła z ulgą. Udało się! Poszli spać, spali razem, wstali i ubrali się, nie dotykając się ani razu, a on nie zobaczył jej brzydkiego nadętego ciała. Siedziała jeszcze przez kilka dłuższych chwil, wpatrując się z przygnębieniem w ścianę.

A więc tego właśnie chciałaś, prawda?

Tak!

W takim razie dlaczego siedzisz tutaj pogrążona w czarnych myślach?

Nie jestem pogrążona w czarnych myślach.

Ale myślałaś przecież o chwili, w której sędzia polecił mu pocałować ciebie?

No i cóż w tym złego?

Nic. Zupełnie nic.

Zostaw mnie w spokoju.

Przez następne minuty tylko nasłuchiwała ciszy.

Jeśli chciałaś go pocałować na dobranoc, powinnaś była się pochylić i zrobić to sama.

Nie chciałam, aby całował mnie na dobranoc.

Och, przepraszam. Myślałam, że dlatego, iż cię nie pocałował, jesteś pogrążona w czarnych myślach.

Nie jestem przygnębiona.

Ale była przygnębiona i wiedziała o tym.

Gdy późnym rankiem po zjedzeniu śniadania i wypełnieniu codziennych obowiązków Will wrócił do domu, znalazł kapelusz pszczelarski i odymiacz na schodkach prowadzących na tylny ganek. Uśmiechnął się. Tak więc nie będzie już więcej granatów z jajek. Wchodząc do środka, aby podziękować, prawie pożałował tej straty.

Dom był pusty, a na stoliku leżała karteczka: Poszłam zrywać z chłopcami orzeszki leszczynowe. Wziął resztkę ołówka i nagryzł pod spodem: Dzięki za prezent ślubny! - i ruszył w kierunku grządki z miętą.

Ich pierwsze dwadzieścia cztery godziny po ślubie zdawały się nadawać ton dniom, które potem nastąpiły. Żyli razem w przyjaźni, jeśli nie w intymności, pomagając sobie nawzajem w drobiazgach, przystosowując się do siebie, razem ciesząc się dziećmi i prostym życiem rodzinnym. Od początku ustępowali sobie - tak jak w przypadku pszczelarstwa - nie było więc już więcej wybuchów gniewu. Żyli bardzo spokojnie.

Nigdy nie mówili o przedmiotach, które tak nagle pojawiły się na ganku, ale Will zajął się wreszcie hodowlą pszczół. Wyczuł, że Eleonora woli nie wiedzieć, kiedy jest w sadzie, trzymał więc sprzęt w przybudówce, gdy go nie używał, i brał, nie wspominając o tym. Tylko wtedy, kiedy wracał do domu z ramą z plastrami miodu, wiedziała, że zajmuje się pszczołami.

Nauczył się szanować pszczoły. W sadzie zawsze ogarniał go spokój i to nie tylko dlatego, że przebywał wśród owadów. Musiał poruszać się wolniej, gdy znajdował się wśród nich. Chociaż chodził bardzo powoli, dobrze wiedział, że w końcu zostanie użądłony. Gdy stało się to po raz pierwszy, podskoczył, uderzył się w użądłone miejsce i zawył. Za swój wysiłek otrzymał trzy dodatkowe użądlenia. Z czasem nauczył się, aby nie podskakiwać, a tym bardziej nie uderzać, bo wbijał sobie żądło jeszcze głębiej. Co ważniejsze, rozróżniał już różnorodne dźwięki wydawane przez pszczoły - od piskliwych pojedynczych dźwięków zadowolonych robotnic, które przemieszczały się, zajmując pracę na brzęczących lekkich skrzydłach, do zupełnie odmiennego „kwakania”, jakie czasami wydawała pojedyncza rozdrażniona pszczoła, ostrzegając, że za chwilę nastąpi użądlenie i musi przygotować się do obrony. Doszło do tego, że rozpoznawał dotyk pszczoły wczepiającej się we włoski na jego ciele. Umiał odciągnąć delikatnie owada, zanim uścisk nie zamienił się w użądlenie. Dowiedział się, że pszczoły uspokaja dźwięk ludzkiego gwizdania, że najmniej lubią kolor czerwony, a najbardziej niebieski.

Tak więc wiódł bardzo szczęśliwy żywot; spacerował pod drzewami brzoskwini,

pogwizdując wesoło, ubrany cały na niebiesko, w kapeluszu z zasłoną ochraniającym jego twarz. Nigdy nie przyzwyczał się do pracy w rękawicach - tak niezdarnie szła mu robota, że wolał gołymi rękami zeskrobywać twardy jak lakier kit pszczeli, którym pszczoły zatykały każdą najmniejszą szczelinę pomiędzy nadstawkami ula. Wkładał do ula odymiacz, który nie był niczym więcej niż otwartą blaszaną puszką z przywiązanymi dmuchawkami, robił gęsty dym, rozpalając posmarowany naftą jutowy materiał na worki. Kilkakrotne pyknięcie w otwartym ulu osłabiało pszczoły, umożliwiając mu wyjęcie pojemników z miodem bez żadnego niebezpieczeństwa. Te przynosił do domu, gdzie woskowe nacieki z miodu starannie zeskrobywał nożem podgrzany nad lampą naftową. Gdy Eleonora po raz pierwszy zobaczyła, jak to robi, otworzyła drzwi na ganek z nożem w ręku.

- Przyda ci się pewna pomoc przy tej pracy - powiedziała stanowczo, nie patrząc na niego. Usiadła po drugiej stronie lampy i udowodniła mu, że nie pierwszy raz zeskrobuje wosk. Okazało się też, że nie pierwszy raz wyciąga i przekłada miód, kiedy nadszedł czas, aby i to robić.

Wyciągali miód z plastrów w olbrzymiej kadzi wyposażonej w korbę, która obracała plastry miodu i wypychała go za pomocą siły odśrodkowej. Miód zanieczyszczony kawałkami plastrów i wosku zlewali kurkiem z dna beczki, a następnie podgrzewali i precedzali, kiedy wosk był na górze i można go było zebrać. Wtedy oddzielnie pakowali oba produkty na sprzedaż.

Will nie wiedział o wielu rzeczach, szczególnie o procesie przekładania miodu, a była to wiedza, którą mogło dać jedynie doświadczenie. Eleonora nauczyła go wszystkiego - chociaż prawie cały czas nie ukrywała swej niechęci.

- W jaki sposób sprzątniemy teraz cały ten bałagan? - zapytał Will, patrząc na lepka kadź z łyżkami.

- To nie należy do nas. Zrobią to za nas pszczoły - odpowiedziała. - Jedzą przecież miód. Po prostu zostaw wszystko na zewnątrz na słońcu, a one to znajdą.

I rzeczywiście pokryte miodem naczynie zostawione na dworze wkrótce było czystsze, niż gdyby poddano je działaniu pary.

Will wiedział doskonale, że widziała sporadyczne ślady po ugryzieniach na jego skórze, ale nie robiła żadnych uwag. Wkrótce w jego organizmie pojawiła się naturalna odporność i nie reagował już na użądlenia pszczół. Kiedy wchodził do domu, niosąc kolejny plaster, Eleonora w milczeniu szła do piwnicy po słoiki po dżemie, myła je i parzyła, a następnie pomagała mu przerabiać i rozlewać miód.

Te miodowe dni były dla Willa i Eleonory czasem, gdy poznali się jeszcze lepiej. Tak

jak pierwszej nocy, kiedy leżeli w łóżku nieruchomo, przyzwyczajając się do siebie, praca z miodem zbliżyła ich - oswajali się z myślą, że są związani na całe życie. Czasami skrobiąc wosk lub trzymając lejek, Will podnosił wzrok i stwierdzał, że żona mu się przygląda. Tak samo było w przypadku Eleonory. Potem uśmiechali się przez chwilę do siebie, czując, że coraz bardziej się akceptują.

W nocy w łóżku rozmawiali - on mówił o pszczołach, a ona o ptakach.

- Czy wiesz, że robotnica ma trzysta tysięcy oczu?
- Czy wiesz, że muchołówka robi gniazdo ze zrzucanej skóry węża?
- W ulu są pszczoły karmicielki, które zajmują się jedynie poczwarkami.
- Większość ptaków śpiewa, ale tylko sikora potrafi szeptać.
- Czy słyszałaś, że ulubionym kolorem pszczół jest niebieski?
- A wiesz, że koliber jest jedynym ptakiem, który umie latać do tyłu?

Dyskusje te sprawiały, że coraz lepiej się poznawali. Pewnej nocy Will mówił o pszczołach robotnicach.

- Czy wiesz, iż pracują tak ciężko przez całe życie, że w gruncie rzeczy zapracowują się na śmierć?

- Nie - odpowiedziała z niedowierzaniem.

- To prawda. Pracują skrzydełkami, aż są tak postrzępione, że nie mogą już nigdzie latać. Wtedy po prostu umierają. - Wyglądało, że jest zmartwiony. - To smutne, prawda?

Eleonora zobaczyła męża w nowym świetle i podobało jej się to, co ujrzała. Leżał w przyćmionym świetle lampy, wpatrując się w sufit, zasmucony położeniem pszczół robotnic. Jak kobieta mogła zachować rezerwę wobec człowieka, którego obchodziło coś takiego? Wzruszona wyciągnęła rękę, aby go pocieszyć, i dotknęła jego podniesionej dłoni. Patrzyli na siebie przez kilka nie kończących się sekund, a potem cofnęła palce.

Kolejnego wieczoru Will przedstawił następne zadziwiające zjawisko dotyczące pszczół.

- Czy słyszałaś, że robotnice dotrzymują wierności kwiatom? Oznacza to, że każda pszczoła zbiera nektar i pyłek kwiatowy tylko z jednego gatunku.

- Och, coś zmyślasz! - Odwróciła głowę i spojrzała na jego profil.

- Nie, nie zmyślam. Przeczytałem o tym w jednej z książek, które ofiarowała mi panna Beasley. Są wierne kwiatom.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Ułożył się, jak zwykle każdego wieczoru w czasie pogawędki, na plecach z rękami

pod głową. W milczeniu przyglądała się mu, zastanawiając się nad tą zaskakującą wiadomością. W końcu położyła głowę na poduszce i spojrzała na bladą poświatę księżyca gdzieś za oknem.

- Sądzę, że nie jest to znowu takie niezwykle. Niektóre ptaki również dochowują wierności sobie nawzajem - orły, bernikla kanadyjska - łączą się na całe życie.

- Interesujące.

- Tak.

- Nigdy nie widziałem orła. - Will zamyślił się.

- Orły są... - Eleonora wzniosła rękę w kierunku sufitu - majestatyczne. - Umieściła rękę znowu na brzuchu. Uśmiech pojawił się na jej ustach. - Kiedy byłam dziewczynką, widywałam orła na ogromnym martwym drzewie na bagnach w okolicy Cotton Creek. Gdybym była ptakiem, chciałabym być orłem.

- Dlaczego? - Will odwrócił się, aby się jej pilnie przyjrzeć.

- Ze względu na to, co kiedyś przeczytałam.

- Co to było?

- Och... nic takiego. - Splotła palce na brzuchu i spojrzała na nie.

- Powiedz mi. - Wyczuł niechęć, ale nadal na nią patrzył ponagłająco. Po pewnym czasie zerknęła na niego szybko.

- Obiecujesz, że nie będziesz się śmiać?

- Obiecuję.

Przez kilka sekund skupiła się, a potem zaczęła nieśmiało recytować.

Gdzie niedostępnej skały grań

Zaczepia ostre szpony

Lazurem nieba otoczony

Samotni swojej, nieba pan

Spogląda tak z krainy gór

A fala morska falę goni

Bezdennej się przygląda toni

I tak jak piorun spada w dół.

Przerwała, a potem dodała:

- Ten wiersz napisał ktoś o nazwisku Tennyson.

W tej chwili Will zobaczył nowe oblicze swojej żony. Była krucha, wrażliwa. Wzruszały ją słowa poetów, zgrabne zestawienia słów - takie, jakich sama nigdy nie używała.

- To piękne - powiedział cicho.

Paznokcie Elly uderzyły o siebie. Wahała się, co ma zrobić - ukryć swoje uczucia czy je ujawnić. Zwyciężyło to drugie pragnienie, bo przełamała się i dodała cicho:

- Nikt nie śmieje się z orłów.

Och, Elly, Elly, kto tak bardzo cię zranił? I ile czasu potrzeba, aby o tym zapomnieć? Will odwrócił się do niej i oparł brodę na pięści. Jednak ona leżała nieruchomo, a jej policzki płonęły.

- Czy ktoś się z ciebie śmiał? - Jego głos był pełen troski. Łza pojawiła się w kąciu jej oka. Rozumiejąc ten smutek, Will udał, że tego nie zauważył. Czekał na odpowiedź, przyglądając się linii jej nosa, zarysowi zaciśniętych ust. Zaczęła mówić z pewną rezerwą.

- Bardzo długo nie wiedziałam, co oznacza słowo „lazar”.

Mówiła zachrypniętym głosem, a na policzkach pojawiły się czerwone plamy. Bardzo pragnął jej dotknąć - ująć za brodę i odwrócić twarz, aby zobaczyła, że o nią dba i nigdy nie wyśmieje. Chciał przygarnąć do siebie, ukołysać głowę, pogłaskać ramię i powiedzieć - co boli cię tak bardzo? Wspólnie spróbujemy o tym zapomnieć. Jednak za każdym razem, gdy zastanawiał się, czy nie wziąć Elly w ramiona, odczuwał niepewność, musiał z nią walczyć i nie mógł jej pokonać. Zabiłeś kobietę, jesteś typem spod ciemnej gwiazdy, na pewno podskoczy i zacznie krzyczeć, jeśli jej dotkniesz. Już pierwszego dnia ostrzegła cię, abyś zachował odpowiedni dystans.

Tak więc leżał nadal po swojej stronie łóżka z jedną ręką spoczywającą na biodrze, a drugą złożoną pod głową. Jednak czułość, której nie mógł przekazać dotykiem, dobrze słychać było w jego wyrazistym głosie.

- Elly? - Zdrobnienie to zabrzmiało w jego ustach łagodnie jak pieszczota. Patrzyli na siebie. Zielone oczy jaśniały nie wylanymi łzami, a piwne pełne były zrozumienia. - Nikt teraz się nie śmieje.

Nagle całe jej ciało zatęskniło za nim. Dotknij mnie, pomyślała, tak jak nie robił tego nikt dotąd, tak jak dotykam chłopców, kiedy czują się źle. Chcę zapomnieć, iż jestem zwyczajna i nieładna, i w bardziej zaawansowanej ciąży, niżbym sobie życzyła. Jesteś mężczyzną, Will - nie rozumiesz? Mężczyzna musi to zrobić pierwszy. Jednak nie mógł. Nie pierwszy.

Dotknij mnie, myślał, mojego ramienia, ręki, palca. Daj mi znać, czy mam prawo żywić wszystkie te uczucia do ciebie? Nikomu nie zależało nigdy na mnie na tyle, żeby mnie dotknąć i trwało to lata. Jednak ty musisz pierwsza wyciągnąć rękę, nie rozumiesz? Ze względu na swoje uczucia wobec pierwszego męża, na to, kim jestem, co zrobiłem, co usta-

liliśmy w dniu, kiedy tu przybyłem.

W końcu żadne z nich nie poruszyło się. Leżała z rękami na nabrzmiętym brzuchu, a jej serce waliło jak oszalałe, bała się odrzucenia, ośmieszenia. Oczekiwała tego, bo tego nauczyło ją życie.

Czuł się nie kochany ze względu na swoją mroczną przeszłość, samotne dzieciństwo. Żadna kobieta, włączając w to jego własną matkę, nie uważała, że jest wart tego wysiłku, trudu miłości, więc dlaczego w takim razie Elly ma to zrobić, dlaczego miałaby go pokochać?

Tak więc rozmawiali tylko sobie i przyglądali w czasie tych nocy spędzanych przy świetle lampy naftowej, ale poznawali się coraz bardziej - zwariowana Elly i jej mąż były więźni - uczyli się szacunku dla siebie, zastanawiając się, kiedy i czy w ogóle będzie miało miejsce ich pierwsze zetknięcie, a każde z nich wstydziło się, aby sięgnąć po to, czego oboje potrzebowali.

Cały miód był już rozlany. Ule zostały pomalowane na nowo świeżą farbą, a ich podstawy - tak jak sugerowała broszurka - lśniły różnymi kolorami, miało to doprowadzić robotnice prosto do domu. Kiedy Will wyszedł z sadu po raz ostatni, w ulach znajdowało się tyle miodu, aby wykarmić pszczoły przez całą zimę.

Złożył sprzęt w przybudówce do czasu, kiedy pszczoły nie zaczną wiosennego zbioru miodu.

- Jutro jadę do miasta sprzedać miód. Jeśli chcesz, abym coś kupił, zrób listę - powiedział przy kolacji.

Poprosiła tylko o dwie rzeczy: o białą flanelę na pieluchy i o kłębek bawełnianej waty.

Kiedy następnego dnia Will przeszedł przez drzwi biblioteki, Gladys Beasley była pochłonięta odsłanianiem grupce dzieci tajników katalogu. Odwrócona plecami do Willa wyglądała jak robot. Wbita w żółtozieloną dżersejową sukienkę, w półbutach na grubej podeszwie, z loczkami wokół głowy o dziecinniej różowej skórze, gestykulowała i przemawiała moralizatorskim tonem nie do naśladowania.

- System dziesiętny Deweya otrzymał swoją nazwę od amerykańskiego bibliotekarza Melvila Deweya ponad siedemdziesiąt lat temu. James - nagle zmieniła temat - przestań dłużyć w nosie. Jeśli musisz, poproś o pozwolenie pójścia do łazienki. A w przyszłości zadbaj o to, aby zabrać ze sobą do szkoły chusteczkę. W systemie dziesiętnym Deweya książki podzielono na dziesięć grup... - wykład trwał dalej, jak gdyby nie został przerwany żadnym upomnieniem.

W tym czasie Will stał z łokciem opartym o biurko, czekając i rozkoszując się

obserwowaną sceną. Mała dziewczynka zrobiła piruet na piętach, przyglądając się lampom nad głową, jak gdyby to były komety. Rudowłosy chłopiec drapał się po pupie. Inna dziewczynka kołysała się na jednej stopie, trzymając drugą nogę przy pośladku tak wysoko, jak tylko mogła ją podnieść. Od czasu gdy zamieszkał z Elly i chłopcami, Will zaczął cenić dzieci za ich naturalność.

- ...na każdy dowolny temat. Jeśli pójdziecie za mną, dzieci, zaczniemy od numeru sto.
- Gdy panna Beasley odwróciła się, aby zgarnąć maruderów, spostrzegła Willa opartego o biurko. Bezwiednie rozjaśniła się jej twarz i przyłożyła dłoń do serca. Uświadamiając sobie, co robi, opuściła i zacisnęła nerwowo dłoń, przybierając zwykły wyraz twarzy. Było jednak za późno - już się zarumieniła.

Will wyprostował się i podniósł kapelusz, przyjemnie zaskoczony tą niedwuznaczną reakcją. Zrobiło mu się ciepło na sercu - nigdy nie pomyślałby, że podobna kobieta nieoczekiwanie może stracić głowę z jego powodu. Robił wszystko, co w jego mocy, aby jego własna żona zareagowała w taki sposób, a z całą pewnością nigdy tego nie oczekiwał z tej strony.

- Przepraszam, dzieci. - Panna Beasley dotknęła dwóch główek, przechodząc. - Możecie rozejrzeć się w dziale sto i dwieście. - Gdy podeszła do Willa, rumieńce na jej policzkach stały się jeszcze bardziej widoczne, a on jeszcze bardziej się zdumiał.

- Dzień dobry, panno Beasley.

- Dzień dobry, panie Parker.

- Jest pani dzisiaj zajęta - zauważył, obserwując dzieci.

- Tak, to druga klasa pani Gardner.

- Przyniosłem coś dla pani. - Wyciągnął półlitrowy słoik z miodem.

- Jakżeż to, panie Parker! - wykrzyknęła, dotykając znowu piersi.

- Z naszego własnego ula, miód został dopiero rozlany w tym tygodniu.

Przyjęła słoik, podnosząc go do światła.

- Nie do wiary, jest taki przejrzysty i jasny.

- Jest u nas dużo oksydendronów. Miód z nich jest taki jasny. Nabiera jednak trochę koloru od tupelo.

Wysunęła szczękę i wydeła wargi, robiąc zadowoloną minę.

- Tak więc odrobił pan dobrze swoją pracę domową, prawda?

Skrzyżował ręce i rozstawił stopy, uśmiechając się do niej spod runda kapelusza.

- Chciałem podziękować za broszury i książki. Nie mógłbym się bez nich obejść.

Trzymała słoik w rękach i mrugała oczami.

- Dziękuję, panie Parker. I proszę również podziękować pani Dinsmore w moim imieniu.

- A... - Will potarł spód swojego nosa. - Nie jest już panią Dinsmore, proszę pani. Jest teraz panią Parker.

- Och - usłyszał zaskoczenie i rozczarowanie w tym jednym słowie.

- Pobraliśmy się w Calhoun pod koniec października.

- Och - panna Beasley szybko się opanowała - w takim razie należą się wam chyba gratulacje?

- No cóż, dziękuję pani, panno Beasley. - Zakłopotany, poruszył się. - Nie chcę odciągać pani od dzieci, mam miód do sprzedania i niewiele czasu. Chcę powiedzieć, mam w mieście dużo do zrobienia, zanim... - Znowu przesunął się zakłopotany. - No cóż, wie pani, chcę założyć elektryczność i zbudować łazienkę dla Eleonory. Zastanawiałem się, czy może pani sprawdzić, jakie ma książki o elektryczności i hydraulice. Wpadłbym po nie mniej więcej za godzinę, kiedy pozbędę się już miodu.

- Elektryczność i hydraulika. Oczywiście sprawdzę.

- Bardzo dziękuję. - Uśmiechnął się, zdjął kapelusz i poszedł w kierunku drzwi. Jednak nagle odwrócił się z pozorną niedbałością. - Och, a gdy już o tym mowa, czy mogłaby pani znaleźć jeszcze jakieś książki o porodach i dorzucić do tamtych?

- O porodach?

- Tak, proszę pani.

- O jakich porodach?

Will poczuł, że się rumieni, i wzruszył ramionami z udaną nonszalancją.

- Och... ach... koni, krów... - Gestykulował zawzięcie. - Wie pani. - Jego spojrzenie błędziło nerwowo, zanim padło znów na nią. - O ludziach także, jeśli natrafi pani na coś. Nigdy nie czytałem nic na ten temat. To musi być pasjonujące.

Czuł się nagi pod jej badawczym ostrym spojrzeniem. Ona tymczasem postawiła słoik na honorowym miejscu obok plakietki z imieniem i nazwiskiem i powiadomiła go swoim zwykłym uszczypliwym głosem:

- Książki będą gotowe za godzinę, panie Parker. I jeszcze raz dziękuję za miód.

Calvin Purdy kupił połowę miodu i po chwili targowania wziął jeszcze cztery słoiki w zamian za dziesięć metrów białej flaneli i watę. Na stacji benzynowej Will wymienił jeszcze dwa litry miodu na pełen zbiornik benzyny. Chciał, aby - na wszelki wypadek - był zawsze pełny do czasu, gdy dziecko przyjdzie na świat. Kiedy nalewano benzynę, zmarszczył brwi, myśląc o kawiarni pana Vickery na rogu. Domyślał się, że i tam przydałby się miód, jednak

aby to sprzedać, prawdopodobnie musiałby znowu stawić czoło Luli Peak i nie wiadomo, może zechciałaby ponownie przejechać po jego ciele purpurowymi pazurami. Miód się nie zmarnuje i w domu.

Z bakiem pełnym benzyny okrążył plac i podjechał znowu do biblioteki. Druga klasa pani Gardner już poszła i w bibliotece było cicho i pusto.

- Dzień dobry? Halo? - zawołał.

Panna Beasley wyszła z pokoju na zapleczu, dotykając ust chusteczką w kwiatki.

- Czy przeszkadzam pani w drugim śniadaniu?

- Prawdę mówiąc, tak. Przyłapał mnie pan, jak jem pański miód na bułce. Pyszny. Przepyszny.

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Pszczoły wykonały większość roboty. - Roześmiała się trochę sztucznie, jak gdyby śmiech był nielegalny. Jednak wiedział, jak bardzo cieszy się z prezentu. Wojownicza i bezkompromisowa na pozór nie wydawała się zbyt miłą kobietą - prawdopodobnie nie miała wielu przyjaciół. Być może to właśnie dlatego czuł do niej sympatię. Wokół ust panny Beasley rosły dość liczne delikatne i bezbarwne włosy. Małeńka kropelka miodu zatrzymała się na jednym z nich nad górną wargą. Gdyby lubił ją mniej, nie powiedziałby nic na ten temat. Ponieważ jednak było inaczej, krótko zauważył: - O czymś pani jeszcze zapomniała. - Zawiesił kciuk na tylnej kieszeni.

- Och!... Och, dziękuję panu. - Nerwowo wytarła usta, ale jakoś nie udało jej się trafić we właściwe miejsce.

- Tutaj. - Wyciągnął rękę. - Czy wolno mi? - Ujął jej rękę z chusteczką i naprowadził na właściwe miejsce.

Było to zdecydowanie jedno z najbardziej intymnych przeżyć, jakie kiedykolwiek stały się udziałem panny Beasley. Zniechęcała do siebie mężczyzn, zawsze tak było, szczególnie w szkole średniej, kiedy udowodniła, że jest o wiele bardziej inteligentna niż ktokolwiek, kto mógłby się nią zainteresować. Mężczyźni w Whitney byli albo żonaci, albo za głupi, aby mogli jej odpowiadać. Chociaż Gladys pogodziła się ze swoim staropanieństwem już dawno temu, była zaskoczona, gdy znalazła mężczyznę, który - w innych okolicznościach i w innym czasie - mógłby pasować do niej zarówno pod względem temperamentu, jak i intelektu. Kiedy Will jej dotknął, zapomniała, że przypomina kształtem beczkę na śledzie i jest w takim wieku, że śmiało mogłaby być jego babcią. Serce starej panny zatrzepotało jak dopiero co złapany leszcz.

Dotknięcie trwało krótko i nie było w nim nic niestosownego. Szybko, niemal w

nieśmiały sposób, wycofał się, a jego ręka znowu powędrowała do tylnej kieszeni. Kiedy Gladys opuściła chusteczkę, była ogromnie zmieszana, ale on wspaniałomyślnie udawał, że tego nie zauważa.

- Dobrze. A więc czy znalazła pani coś dla mnie? - zapytał.

Wyciągnęła stertę składającą się z pięciu książek, w niektórych tkwiły kartki papieru oznaczające wybrane miejsca. Ciekawy próbował przeczytać tytuły do góry nogami, gdy przybijała pieczętkę na każdej kartce. Bardzo sprawnie otwierała, stemplowała i zamykała książki. Nie zdołał odcyfrować nawet jednego tytułu, a już przesunęła w jego stronę stos z kartami ułożonymi równo na górze.

- Bardzo dziękuję, panno Beasley.

- To moja praca, panie Parker.

Na jego twarzy powoli zaczął się pojawiać uśmiech. Nie zagościł tam jeszcze na dobre, a Will już dotykał kapelusza, opierając książki o biodro.

- Dziękuję w każdym razie. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

W przyszłym tygodniu - pomyślała, a jej serce zaczęło bić jak szalone. Nerwowo pukała w górne części umieszczonych we wgłębieniu kart, aby zatuszować tak nie znane sobie emocje.

Wybrała dla niego „Podręcznik hydraulika”, „ABC elektryczności”, „Wynalazek Edisona”, „Hodowlę zwierząt dla zwykłego rolnika” oraz jeszcze jedną książkę zatytułowaną „Nowa era gospodarstwa domowego”.

Tego wieczoru po kolacji Eleonora łupała orzeszki laskowe na stole kuchennym, a Will siedział zwrócony do niej prawym bokiem, przewracając strony. Spędził pouczające pół godziny, czytając pewne fragmenty w wybranych książkach, a następnie wziął czwartą - „Nową erę gospodarstwa domowego”. Omawiała różnorodne tematy, niektóre były poważne, inne wydawały się Willowi głupie. Uśmiechnął się rozbawiony przy tematach „Jak wybrać chłopca do pomocy w domu” i „Jak wyczyścić solą żelazko”. Był tam przepis na galaretkę mięsna, smażone pomidory i tuziny innych, rozprawa o bezsenności zatytułowana „Naukowe podejście do snu”, wskazówka, by czyścić czajnik, gotując w środku ostrygę w skorupie. Jego palec przestał się przesuwac, kiedy dotarł do „Rozdziału dla młodych kobiet”. Przerzucił wzrokiem tekst, a następnie cofnął się do rozprawki „Wybór męża”. Gdy zaczął czytać, coraz niżej i niżej zsuwał się na krześle, dopóki jego kręgosłup nie zgiął się maksymalnie. Książka opierała się na brzegu stołu, a on palcem wskazującym przykrywał uśmiech.

„Obecnie rady rodziców są jeszcze bardziej potrzebne i cenne niż kiedykolwiek

przedtem - radziła rozprawa - młody mężczyzna odczuwać będzie pociąg do ciebie, a ty będziesz odczuwać pociąg do niego. Jest to rzecz naturalna. Jeśli popełnisz błąd, możesz zniszczyć całe swoje życie. Powierz matce swoje tajemnice. Istnieją pewne reguły odnoszące się do tej kwestii. Można się śmiało do nich zastosować. Nigdy nie zawieraj znajomości z mężczyzną, który prowadzi swobodny styl życia lub szalał w młodości”.

Will z roztargnieniem otarł usta i zerknął na Eleonorę, ale ona była zajęta dziadkiem do orzechów.

„Nigdy nie wychodź za mąż za mężczyznę, aby go nawrócić. Bezwzględnie nie zajmuj się tymi, którzy potrzebują nawrócenia. Są mężczyźni, którzy wprawdzie nie piją, a jednak są dla ciebie bardziej niebezpieczni niż pijacy. Mężczyzna, który prowadzi swobodny tryb życia i jest moralnie rozwiązły, może być dotknięty chorobami i zarazić niewinną i czystą żonę. W ten sposób może być przyczyną jej cierpień trwających całe życie. Małżeństwo to loteria. Można wyciągnąć pierwszą nagrodę lub nieszczęśliwe życie. Powiedz od razu rodzicom, gdy odczuwasz pociąg do jakiegoś młodego mężczyzny, aby sprawdzili, czy ma dobry charakter i czyste serce oraz odpowiedni styl życia. O wiele lepiej żyć samotnie, niż zawrzeć nieszczęśliwe małżeństwo”.

Zastanawiał się, jak wiele nieświadomych życia dziewcząt przeczytało te głupstwa i miało w głowie jeszcze większy mętlik niż poprzednio, jeśli chodzi o życie płciowe.

Spojrzał na Elly. Patrzył, jak wrzuca orzeszek do miski. Jej brzuch urósł i był już tak duży, że miska nie mieściła się na kolanach. Piersi powiększyły się chyba podwójnie w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Czy była dziewicą, gdy poślubiła Glendona? Czy Glendon wyszumiał się w młodości tak jak Will Parker? Czy Elly radziła się rodziców i oni zbadali, jaki charakter ma Dinsmore, stwierdzając, że jego życie jest nienagane, a serce czyste - nie tak jak w przypadku jej drugiego męża?

Rozłupała jeszcze jeden orzeszek i podniosła jeden kawałek do ust. Oczy Willa znowu ją śledziły. W roztargnieniu dotykał ust. Jedno było pewne - nie wyszła za niego za mąż, aby go zreformować. Jeśli się zmienił, to raczej ze względu na akceptację, a nie jej brak.

Odwrócił stronę w części „Jak począć i urodzić zdrowe dzieci”, w której panna Beasley zostawiła zakładkę. Dobrze, pomyślał, ubawiony w duchu, powiedzcie mi, jak to zrobić.

„Głównym powodem, dla którego zostało ustanowione małżeństwo, jest wydawanie na świat i wychowywanie dzieci. Natura obdarzyła mężczyznę i kobietę odpowiednimi narządami służącymi do tego celu. Są one skonstruowane w cudowny sposób”.

Koniec objaśnień. Will zdławił jeszcze jeden chichot i ukrywał uśmiech. Wyobrażał

sobie, jak panna Beasley to czytała, zastanawiał się nad jej reakcją.

Od zachwytu dotyczącego budowy ludzkich narządów płciowych autor przeskoczył bezpośrednio do śmiesznych porad dotyczących poczęć: „Jeśli rodzice są nietrzeźwi w chwili poczęcia dziecka, nie mogą oczekiwać zdrowego potomstwa ani fizycznie, ani umysłowo. Jeśli rodzice nie przepadają za sobą, przekażą to nastawienie potomstwu. Jeśli jedno z rodziców albo oboje bardzo się martwią w chwili poczęcia, dziecko będzie wszystkim się zamartwiało”.

Nagle Will wybuchnął śmiechem.

- Co jest takie zabawne? - Eleonora podniosła głowę.

- Posłuchaj tego... - Wyprostował się na krześle, rozłożył książkę na stole i przeczytał głośno ostatni fragment.

Eleonora popatrzyła na niego. Trzymała w ręku dziadka do orzechów, ściskając orzeszek.

- Myślałam, że czytasz o elektryczności.

- Och, tak, o tym też czytam. Chcę powiedzieć raczej, że... że czytałem. - Spowaźniał.

Sięgnęła przez stół i końcem dziadka do orzechów podniosła do góry książkę.

„Nowa era gospodarstwa domowego”?

- No cóż ja... to... - Czuł, że policzki zaczynają piec go coraz bardziej i na chybił trafił przerzucał kartki. Otworzyły się na instrukcji, jak zrobić w domu telefon. - Myślałem, aby zainstalować podobny. - Odwrócił książkę i pokazał jej.

Rzuciła okiem na obrazek, a następnie spojrzała na niego sceptycznie. Trzasnęła łupina orzeszka i wpadła do jej dłoni.

- A jak myślałeś, do kogo będziemy dzwonić?

- Och, nie wiem. Nigdy nie wiadomo.

Ukrył zmieszanie, sięgając znowu po książkę.

„Gdy zajdziesz w ciążę, jesteś winna sobie i mężowi, a szczególnie nie urodzonemu potomstwu, zrobić co w twojej mocy, by przyszło na świat obdarzone wszystkim, czym tylko obdarzyć go może oddana, dobra i poświęcająca się matka. Dbaj o swoje zdrowie i zadowolenie. Jedz tylko łatwo strawne potrawy, a wtedy twoje kiszki będą prawidłowo działać. Czytaj tylko te książki, które uszlachetniają i cieszą. Wybieraj towarzystwo tych, którzy jak sama czujesz, podniosą cię na duchu. Plotki nie przyczynią się do tego, a więc nie słuchaj osób, które dużo mówią i łatwo wpadają w panikę, a mają ochotę wdawać się z tobą w rozmówki w tym czasie”.

Takie dziwaczne rady ciągnęły się i ciągnęły, a rozbawienie Willa znikło, gdy

odnalazł to, czego szukał. Przygotowania do porodu. Rozdział rozpoczęła lista polecanych artykułów, które należy mieć pod ręką:

- 5 misek,
- 1 dwulitrowa strzykawka,
- 15 metrów wysterylizowanej gazy,
- 6 higienicznych tamponów na łóżko lub kilogram waty bawełnianej,
- folia w rozmiarze jeden na dwa metry,
- 4 uncje nadmanganianu potasu,
- 8 uncji kwasu szczawowego,
- 4 uncje kwasu borowego,
- 1 kostka zielonego mydła,
- 1 opakowanie wazeliny,
- 100 tabletek dwuchlorku Bernaya,
- 8 uncji alkoholu,
- 7 gramów ergotolu,
- 1 szczoteczka do paznokci.

Mój Boże, będą potrzebować tego wszystkiego? Will wpadł w panikę.

Początkowe instrukcje głosiły: „Pielęgniarka powinna przygotować łóżko i dostateczną ilość podpasek na krocze, sterylizując je tydzień wcześniej tak jak ręczniki, pieluchy, watę i pewną ilość bawełnianych okładów”.

Pielęgniarka? Skąd wziąć pielęgniarkę? I co oznacza pojęcie „dostateczna ilość”? Co oznaczało słowo „krocze”? I co to były za waciki? Nie mógł tego zrozumieć, a co dopiero zrobić! Był teraz blady, odwrócił stronę w książce tylko po to, aby jeszcze bardziej się zdenerwować. Zdania skakały mu przed oczami, działając na nerwy.

Bóle - skurcze w dole brzucha... pęknięcie błon... odpłynięcie wód płodowych... wyraźna potrzeba, by oddać stolec... dno miednicy... przerwanie krocza... rozciągnięcie kości... fachowa pomoc przy wydalaniu łożyska i błon płodowych... mocna czysta nieć... odciąć natychmiast... z wyjątkiem sytuacji, gdy dziecko jest niemal martwe lub nie oddycha prawidłowo...

Zamknął książkę z trzaskiem i zerwał się na równe nogi, blady jak prześcieradło.

- Will?

Wyjrzał za okno z zaciśniętymi kolanami, wyłamując stawy i czując, jak wali mu w skroniach.

- Nie mogę tego zrobić.

- Czego zrobić?

Lęk utkwił mu w gardle jak kęs suchego chleba. Przełknął, ale lęk pozostał.

- Nie czytałem o elektryczności. Czytałem o odbieraniu dzieci.

- Och, o tym.

- Tak, o tym. - Odwrócił się do niej. - Elly, nie rozmawialiśmy nigdy na ten temat od czasu, gdy postanowiliśmy się pobrać. Jednak wiem, że oczekujesz, abym ci pomógł, a ja po prostu nie wiem, czy będę umiał to zrobić.

Oparła ręce na misce i podniosła na niego apatyczny wzrok.

- Więc zrobię to sama, Will. Jestem zupełnie pewna, że sobie poradzę.

- Sama! - warknął, chwytając książkę, w podnieceniu przerzucając kartki, dopóki nie znalazł właściwej. - Posłuchaj tego: „Pępowinę wiąże się zazwyczaj przed przecięciem z wyjątkiem sytuacji, kiedy dziecko jest prawie martwe i nie oddycha prawidłowo. W takim wypadku najlepiej nie podwiązywać pępowiny, może trochę krwawić, należy jednak przede wszystkim przywrócić oddech”. - Opuścił książkę i popatrzył na nią spode łba. - Przypuśćmy, że dziecko umrze. Jak myślisz, jak będę wtedy się czuł? I skąd mam wiedzieć, jakie jest prawidłowe oddychanie, a jakie nie? I to jeszcze nic. Powinniśmy mieć pod ręką wszystkie te rzeczy. No i do diabła, nie wiem nawet, jak wyglądają! Mówią, że możesz mieć pęknięcie lub krwotok. Elly, proszę, pozwól mi sprowadzić lekarza, kiedy przyjdzie czas. Napełniłem bak benzyną, a więc mogę szybko pojechać po niego do miasta.

Spokojnie odstawiła miskę na bok, wstała i zamknęła książkę.

- Wiem, czego nam trzeba, Will. - Ze stoickim spokojem spojrzała w jego zmartwione piwne oczy. - Ja to przygotuję. Nie powinieneś czytać takich rzeczy, ponieważ to tylko cię przeraża, to wszystko.

- Ale tu jest napisane...

- Wiem, co tam jest napisane. Jednak wydawanie na świat dziecka to sprawa natury. No cóż, Indianki kucaly w lesie i rodziły dzieci w zupełnej samotności, a następnie wracały na pole i zaczynały okopywać motyką warzywa.

- Nie jesteś Indianką - dowodził usilnie.

- Ale jestem silna i zdrowa. A jeśli chodzi o ścisłość, jestem też szczęśliwa. Wydaje mi się, że to jest tak ważne jak co innego, prawda? Szczęśliwi ludzie mają o co walczyć.

To spokojne rozumowanie od razu rozwiało jego gniew. Kiedy już się nie gniewał, jedno zrobiło na nim wrażenie: powiedziała, że jest szczęśliwa. Stali blisko siebie, tak blisko, że mógłby jej dotknąć, gdyby tylko podniósł rękę, mógłby owinać palce wokół jej szyi, położyć

dłonie na policzkach i zapytać: Jesteś szczęśliwa, Elly? Czy naprawdę tak jest? Chciał to usłyszeć jeszcze raz, bo byłby to dowód, że po raz pierwszy zrobił coś dobrego.

Jednak ona opuściła głowę i odwróciła się, aby zanieść na szafkę miskę pełną orzechów.

- Nie każdy może znieść widok krwi, a ja przyznaję, że jest dużo krwi, kiedy dziecko przychodzi na świat.

- To nie to. Mówiłem ci, że to chodzi o ryzyko.

Odwróciła się do niego i powiedziała praktycznie:

- Nie mamy pieniędzy na lekarza, Will.

- Moglibyśmy zebrać ich trochę. Mógłbym wywieźć następny ładunek złomu. I są pieniądze za śmietanę i jajka, a teraz będą za miód. Nawet za orzechy leszczynowe. Purdy na pewno je kupi.

Potrząsnęła głową, zanim jeszcze skończył.

- Po prostu uspokój się. Ja będę się martwić o dziecko. Wszystko będzie dobrze.

Jak jednak mógł się nie martwić?

W następnych dniach patrzył, jak coraz wolniej porusza się po domu. Jej brzuch obniżył się, kostki spuchły, a piersi powiększyły się. I każdy dzień przybliżał ich do dnia porodu.

Dziesiątego listopada chwilowo oderwał się od tych zmartwień. Był to dzień urodzin Eleonory - Will nie zapomniał. Obudził się i zobaczył, że żona nadal śpi zwrócona twarzą do niego. Przewrócił się na brzuch i zwinął poduszkę pod szyją, aby dokładniej się jej przyjrzeć. Jasnobrązowe rzęsy ze złotymi końcami, rozchylone wargi i ładny nos. Jedno ucho przezierало przez rozpuszczone włosy, a kolano było podciągnięte pod kołdrą. Patrzył, jak oddycha, jak raz i drugi drga jej wyciągnięta ręka. Budziła się stopniowo, nieświadomie cmokając ustami, pocierając nos i w końcu otwierając zaspane oczy.

- Dzień dobry, leniuszku - zaczął dokuczać.

- Mmm... - Zamknęła oczy i skuliła się. - Dzień dobry.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Otworzyła oczy, ale leżała bez ruchu, chłonąc słowa, a leniwy uśmiech rozjaśniał jej twarz.

- Pamiętałeś.

- Oczywiście. Dwadzieścia pięć!

- Dwadzieścia pięć. Ćwierć wieku.

- Ta liczba sprawia, że wydajesz się o wiele starsza, niż na to wyglądasz.

- Och, Will, co ty opowiadasz.

- Przyglądałem się, jak się budzisz. Moim zdaniem wyglądasz ślicznie.

Przykryła twarz prześcieradłem, a on uśmiechnął się do poduszki.

- Zdasz upiec dziś ciasto?

Opuściła prześcieradło.

- Tak sądzę, ale dlaczego pytasz?

- A więc upiecz jedno. Zrobiłbym to sam, ale nie wiem jak.

- Dlaczego mam to robić?

Zamiast odpowiadać, odrzucił kołdrę i zerwał się z łóżka. Stojąc z podniesionymi rękami, wyciągnął się z całą siłą. Patrzyła z nieukrywanym zainteresowaniem - prężące się mięśnie, opalone ciało, znamiona, długie nogi. Zadygotał z zimna i zrobił silny skłon w lewo i w prawo, a następnie nagle pochylił się, podniósł ubranie i zaczął się ubierać. To fascynujące, jak ubierają się mężczyźni - robią to o wiele sprawniej niż kobiety.

- Odpowiesz mi? - nalegała.

- Na twoje przyjęcie urodzinowe. - Uśmiechnął się, odwracając twarz.

- Moje przyjęcie urodzinowe! - Usiadła na łóżku. - Hej, wracaj tutaj zaraz!

Ale on już poszedł, zapinając guziki koszuli i uśmiechając się.

Było zagadką, kto musiał bardziej się starać, by tego dnia ukryć swoją niecierpliwość. Will, który planował to już od tygodni, czy Elly, której oczy błyszczały cały czas, gdy piekła ciasto urodzinowe, ale nie chciała zapytać, kiedy ma odbyć się przyjęcie, czy też może Donald Wade, który zapytał przynajmniej tuzin razy tego ranka.

- Jak długo jeszcze, Will?

Will planował poczekać, aż zjedzą kolację, ale ciasto było już gotowe w południe, a niedługo potem Donald stracił zupełnie cierpliwość. Kiedy Will szedł do domu na filiżankę kawy, złapał go za kolano i wyszeptał po raz setny:

- Teraz, Will... proszęęę?

- Dobrze, kemo sabe - ustąpił Will. - Ty i Tomcio idźcie przynieść rzeczy.

„Rzeczy” okazały się dwoma przedmiotami owiniętymi niedbale w pomarszczony papier od rzeźnika i związanymi sznurkiem. - Chłopcy nieśli dary z dumą - każdy jeden podarunek - położyli je obok filiżanki Eleonory.

- Prezenty? - Skrzyżowała ręce na piersi. - Dla mnie?

Donald Wade kiwał głową.

- Ja i Will, i Tomcio to zrobiliśmy.

- Zrobiliście je!

- Jeden prezent - poprawił Will, sadzając Tomcia na kolanach, gdy Donald przycisnął się do krzesła matki.

Ten wcisnął cięższą paczkę w jej rękę.

- Otwórz najpierw tę. - Patrzył na jej dłonie, kiedy walczyła ze sznurkiem, udając, że ma trudności z rozplataniem.

- Ten stary sznurek doprowadza mnie do szału! - wykrzyknęła. - Mój Boże, Donaldzie Wade, pomóż mi. - Chłopiec ochoczo pomógł jej pociągnąć kokardkę i odwinąć papier, odsłaniając kulę tłuszczu zaczepioną na sznurku i oblepioną pszenicą.

- To dla twoich ptaszków! - ogłosił ożywiony.

- Dla moich ptaszków. Och, mój Boże... na pewno im się spodoba. - Z błyszczącymi oczami trzymała ją z dala od siebie zawieszoną na pętli ze sznurka.

- Możesz powiesić ją gdzieś u góry, a właściwie wszędzie!

- Tak, oczywiście.

- Will to wszystko zrobił, a Tomcio i ja włożyliśmy tłuszcz i wetknęliśmy tam te ziarenka. Widzisz?

- To najpiękniejsza kula tłuszczu, jaką kiedykolwiek widziałam. Och, bardzo dziękuję, kochanie... - Uścisnęła Donalda mocno. Pochyliła się, potrzyzymała Dżidziusia za bródkę i cmoknęła go mocno w usta. - Tobie także dziękuję, Tomciu. Nie wiedziałam, że jesteś taki zdolny.

- Otwórz teraz drugą - zażądał Donald Wade, wpychając kolejną paczkę w jej rękę.

- Dwa prezenty, co za niespodzianka.

- Ten jest od Willa.

- Od Willa... - Zachwycone oczy szukały męża, gdy palce rozwiązywały paczuszkę. Will, chociaż ogromnie się niecierpliwił, zmusił się do siedzenia na krześle z łokciem opartym o krawędź stołu i palcem zaczepionym o filiżankę.

Otwierając prezent, Eleonora spojrzała na niego. Nagle zdała sobie sprawę, że nie wymieniłaby Willa na dziesięciu Hopalongów Cassidych.

- On jest wspaniały, prawda? Zawsze daje mi prezenty.

- Pośpiesz się, mamo!

- Och... oczywiście. - Skupiła uwagę na otwieraniu prezentu. W środku znalazła składający się z trzech części zestaw do robienia ozdobnych serwetek - były tam wykroje z dobrego gatunkowo płótna, przygotowane do robótek szydełkowych i haftów.

Serce Eleonory było przepełnione radością i zabrakło jej słów.

- Och, Will... - Ukryła drżące usta za pięknym szorstkim płótnem. Piekły ją oczy.

- Było napisane, że to zestaw ozdobny z Madery. Wiedziałem, że lubisz szydełkować.

- Och, Will... - Patrzyła na niego lśnącymi oczami. - Robisz najmiłsze prezenty. - Wyciągnęła dłoń przez stół. Trzymając ją za rękę, Will poczuł, jak mu szybciej bije serce.

- Dziękuję ci, kochanie.

Nigdy nie myślał, że jest kochany, i teraz poczuł, jak przepełnia go nagłe uniesienie. Ich palce splotły się i przez chwilę zapomnieli o prezentach, ciastkach, ciążach, rzeczach minionych i dwóch małych chłopcach, którzy przyglądali im się z niecierpliwością.

- Musimy teraz spróbować ciasta, mamó - przerwał Donald Wade i w tym momencie chwila bliskości minęła, ale wszystko nabrało nagle barwy, stało się niezwykle, wyraziste i ekscytujące. Gdy Eleonora krzątała się po kuchni, ubijając śmietanę, krojąc na kawałki czekoladowe ciasto i podając je, czuła, jak oczy Willa idą w ślad za nią, śledzą, szukają. A ona sama starała nie patrzeć na niego.

Przy stole podała mu talerz, a on wziął go, muskając końce jej palców. Wyczuła tę rezerwę, nieśmiałość i nareszcie zrozumiała. Nawet wtedy, gdy do głowy przychodziły jej najbardziej zwariowane myśli, nigdy nie uwierzyłyby, że zdarzy się coś tak szalonego. Jej serce waliło tylko z tego powodu, że znajdowała się w tym samym pomieszczeniu co on. Poczula ostry ból między łopatkami. Z trudem oddychała.

- Wezmę Dwidziusia - próbowała nadać swojemu głosowi normalny ton.

- Może siedzieć u mnie na kolanach. Jedz swoje pyszne ciasto.

Jedli, obawiając się spojrzeć na siebie, bo może coś źle zrozumieli, bo może nie będą wiedzieli, co zrobić, kiedy talerze będą puste.

Nim nadeszła ta chwila, Donald Wade wyjrzał przez okno i wskazał widelcem.

- Kto to jest?

Will spojrział i zerwał się na równe nogi.

- Mój Boże!

Eleonora wypuściła widelczyk i powiedziała:

- Co ona tutaj robi?

Zanim Will zdążył odgadnąć cel wizyty, Gladys Beasley weszła po schodkach na ganek i zapukała do drzwi.

Will otworzył jej.

- Panna Beasley, co za niespodzianka.

- Dzień dobry, panie Parker.

- Proszę wejść.

Miał wrażenie, że i tak by to zrobiła, zaproszona czy nie. Wystawił głowę na

zewnątrz.

- Czy przysłała tu pani pieszo prosto z miasta?

- Nie mam samochodu. Nie było żadnej innej możliwości.

Will, zaskoczony, wprowadził ją do środka i odwrócił się, aby wszystkich przedstawić. Jednak Gladys wzięła sprawę w swoje ręce.

- Witaj, Eleonoro. Mój Boże, jakżeś ty wyrosła.

- Dzień dobry, panno Beasley. - Eleonora stała za krzesłem, nerwowo dotykała palcami skraju swego fartuszka, jak gdyby przygotowywała się do dygniecia.

- A to są twoi synowie, jak przypuszczam.

- Tak, proszę pani, Donald Wade i Tomcio.

- I jeszcze jedno w drodze, mój Boże, czy nie jesteś szczęśliwa, moje dziecko?

- Tak, jestem - odpowiedziała Eleonora z szacunkiem, a jej oczy zaświeciły, gdy patrzyła na Willa. Czego ona chce?

Nie miał pojęcia i mógł tylko wzruszać ramionami, rozumiejąc panikę Eleonory. Ile czasu upłynęło, odkąd zajmowała się grzeczną towarzyską rozmową z kimkolwiek z miasta? Najprawdopodobniej panna Beasley była pierwszą obcą osobą, jaką Eleonora kiedykolwiek wpuściła do tego domu.

- Rozumiem, że należą się tobie gratulacje z okazji zawarcia małżeństwa z panem Parkerem.

Oczy młodej kobiety skierowały się w stronę Willa, zarumieniła się i opuściła spojrzenie na krzesło, przesuając paznokciem wzdłuż oparcia.

Panna Beasley rzuciła okiem na stół.

- Jak się zdaje, przeszkodziłam wam w podwieczorku. Ja...

- Nie, nie - wtrącił Will - właśnie jedliśmy ciasto.

Donald Wade, który nigdy nie rozmawiał z obcymi, nagle postanowił przemówić do tej nieznanym.

- To urodziny mamy. Will i ja, i Dzidzius urządziliśmy przyjęcie.

- Może usiadłaby pani z nami i zjadła kawałek ciasta? - zaprosiła Eleonora.

Will nie mógł uwierzyć własnym uszom, ale w chwilę później panna Beasley umieściła swe nabite cielsko w jednym z krzesel i dostała czekoladowe ciasto z bitą śmietaną. Chociaż Will w gruncie rzeczy wcale nie tęsknił, żeby mieć koło domu gromadę obcych ludzi, ich nieobecność uważał za niezdrową, a jeśli jakaś osoba nadawała się, aby wyrwać Eleonore z jej osamotnienia, to była nią niewątpliwie panna Beasley. Nie była ona nazbyt wesoła, ale uczciwa do przesady i nie należała do osób, które będą się grzebać w bolesnych

historiach z przeszłości.

Panna Beasley wzięła filiżankę z kawą, dodała do niej dość dużo śmietany i cukru, spróbowała ciasta, ściągając usta.

- Mmmm... pyszne - oświadczyła. - Tak pyszne jak miód, który przysłałaś, Eleonoro. Muszę przyznać, że nie nawykłam do otrzymywania prezentów od moich czytelników. Dziękuję ci.

Donald Wade włączył cieniutki dziecienny głosik do rozmowy.

- Chcesz zobaczyć rzeczy, które daliśmy dzisiaj mamie?

Panna Beasley z szacunkiem odłożyła widelec i całą swoją uwagę skupiła na dziecku.

- Ależ oczywiście.

Donald Wade zaczął rozglądać się wokół stołu, znalazł kulę i przyniósł bibliotekarce.

- To jest dla jej ptaszków. Ja, Will i Dwidzius zrobiliśmy to wszystko zupełnie sami.

- Zrobiłeś to... mm. - Przyjrzała się uważnie. - Powiedz więc sam, czy nie jesteś bystry. Prezent wykonany samodzielnie w domu z całą pewnością pochodzi prosto z serca. To najlepszy podarunek, jaki tylko może być, tak jak miód, który dała mi twoja mama i pan Parker. Masz szczęście, dziecko. - Pogłaskała go po główce, tak jak robi to dorosła osoba nie przyzwyczajona do kontaktów z dziećmi. - Uczą cię tu najbardziej istotnych rzeczy.

- A tutaj... - Donald Wade, ożywiony obecnością nowej osoby, której mógł okazać swój entuzjazm, sięgnął po serwetki. - To jest od Willa. Kupił je za pieniądze za miód i mama może teraz haftować.

I znowu panna Beasley poświęciła tym przedmiotom należną im uwagę.

- Ach, twoja matka ma także szczęście, prawda?

Chłopca uderzyło to, że ta tęga, choć obca kobieta, zdawała się znać jego matkę. Podniósł wzrok na pannę Beasley i patrzył na nią swoimi dużymi oczami.

- Skąd ją znasz?

- Kiedyś przychodziła do mojej biblioteki, kiedy była dziewczynką nie większą od ciebie. Od czasu do czasu byłam jej nauczycielką, można by powiedzieć.

Donald Wade zamrugał oczami.

- Och. Co to jest biblioteka?

- Biblioteka? To jedno z najcudowniejszych miejsc na świecie. Wypełnione jest książkami różnego rodzaju. Są tam książki z obrazkami, poważne historie, książki dla wszystkich. Ty także musisz przyjść i odwiedzić mnie tam kiedyś. Poproś, żeby pan Parker cię zabrał. Pokażę ci książkę o chłopcu, który jest trochę do ciebie podobny; tak naprawdę książka ta nosi tytuł „Tymcio Tymoteusza Tottera”. Mmmm...

Przechylając się do tyłu, umieściła palec wskazujący na ustach i przyjrzała się badawczo Donaldowi Wade, jak gdyby od tego zależała decyzja.

- Tak, jak sądzę Tymoteusz Totter to książka odpowiednia dla chłopca... w jakim wieku? Pięcioletniego?

Włosy Donalda zaczęły unosić się w powietrzu, gdy kiwał główką.

- Czy masz psa?

Zafascynowany pokręcił przecząco głową.

- Nie masz? No cóż, Tymoteusz ma psa. Pies ten nazywa się Tymcio. Kiedy przyjdiesz, przedstawię cię zarówno Tymoteuszowi, jak i Tymciowi. A teraz, jeśli mi wybaczysz, muszę przez chwilę porozmawiać z panem Parkerem.

Panna Beasley nie mogła wybrać bardziej delikatnej metody, aby przekonać Eleonorę, że mogłaby znowu zetknąć się ze światem zewnętrznym. Jeśli była jakaś idealna droga, aby dotrzeć do Eleonory, prowadziła przez dzieci. Zanim rozmowa panny Beasley z Donaldem dobiegła końca, Eleonora siedziała na krześle i wyglądała na mniej skłoną do ucieczki.

- To najlepsze ciasto czekoladowe, jakie jadłam w życiu - pochwaliła panna Beasley. - Bardzo chciałabym mieć przepis. - Potem odwróciła się od razu do Willa, nie przestając mówić. - Przynoszę pewne smutne wiadomości. Levander Sprague, który sprzątał moją bibliotekę przez ostatnich dwadzieścia sześć lat, zmarł nagle na atak serca przedwczoraj w nocy.

- Och... Tak mi przykro. - Nigdy nie słyszał o Levanderze Sprague. Dlaczego, na miłość boską, miałyby tu przychodzić z takimi wiadomościami?

- Będzie nam ogromnie brakowało pana Sprague. Jednak prowadził długie i owocne życie i zostawił po sobie dziewięciu hoźych chłopaków, którzy zajmą się matką i zadbają o nią na stare lata. Ja natomiast zostałam bez dozorca. Płacimy dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo. Czy byłby pan zainteresowany, panie Parker?

Twarz Willa zmieniła się pod wpływem zaskoczenia. Jego spojrzenie padło na Elly, a następnie znowu na bibliotekarkę i ta pośpieszyła z dalszym wyjaśnieniem.

- Sześć wieczorów w tygodniu od chwili zamknięcia biblioteki. Trzeba zamieść podłogę, odkurzyć meble, spalić śmieci, zadbać o piec w zimie, od czasu do czasu przenieść skrzynki z książkami do piwnicy, zrobić dodatkowe półki, jeśli są potrzebne.

- No cóż... - Zdziwienie Willa zmieniło się w rozbawienie, roześmiał się i przeciągnął ręką po włosach. - To niezła oferta, panno Beasley.

- Myślałam, aby zaproponować posadę jednemu z synów pana Sprague, ale mówiąc szczerze, wolałabym zatrudnić pana. Ma pan pewien szacunek do biblioteki, który mi

przypadł do gustu. Słyszałam, że w trybie przyśpieszonym zwolniono pana z tartaku, a to klóciło się z moim poczuciem sprawiedliwości.

Will był zbyt zaskoczony, aby się obrazić. Jego myśli gnały jak szalone. Co powie na to Elly? I czy powinien wychodzić wieczorami, kiedy czas rozwiązania jest już tak bliski? Jednak dwadzieścia pięć dolarów na tydzień - co tydzień - i nadal miałby wolne dni!

- Kiedy miałbym zacząć?

- Natychmiast. Jutro. Dzisiaj, jeśli jest to możliwe.

- Dzisiaj... no cóż, ja... będę musiał to przemyśleć - odpowiedział, uświadamiając sobie, że Elly powinna wypowiedzieć się w tej sprawie.

- Bardzo dobrze, a więc poczekam na zewnątrz.

Poczeka na zewnątrz, ale on potrzebuje czasu, aby wybadać, co na ten temat sądzi Elly. Powinien był odgadnąć, że panna Beasley nie lubi niezdecydowania. Drapał się po brodzie skonsternowany, osłupiały, ledwie zamknęły się drzwi. W tej samej chwili Eleonora wstała sztywno z krzesła i zaczęła sprzątać ze stołu talerzyki po cieście.

- Elly? - zapytał.

- Weź tę pracę, Will. Widzę po tobie, że chcesz to zrobić. - Nie patrzyła na niego.

- Jednak ty nie chcesz, abym ją brał, prawda?

- Nie bądź głupi.

- Mógłbym kupić armaturę do łazienki i nadal miałbym jeszcze wolne dni, aby założyć ją dla ciebie.

- Powiedziałam, weź to.

- Ale tobie nie podoba się, że będę włóczył się po mieście, prawda?

Wstawiła naczynia do miski i zupełnie zmieniła stanowisko.

- Moje uczucia dotyczące miasta należą do mnie. Nie mam prawa ci zabronić, jeśli tego właśnie chcesz.

- Jednak panna Beasley jest uczciwa. Nigdy w niczym cię nie zawiodła, prawda?

- Weź tę pracę.

- A co będzie, jeśli wtedy urodzi się dziecko?

- Kobieta ma wiele sygnałów, że to nastąpi.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową, chociaż widział, że drogo ją kosztuje ta zgoda. Przeszedł przez kuchnię czterema wielkimi krokami, złapał ją za brodę i złożył szybki, mocny pocałunek na policzku.

- Dziękuję ci, kochanie. - Trzasnął drzwiami.

Kochanie? Gdy wyszedł, położyła ręce tam, gdzie chwilę wcześniej je trzymał. Była

prawdopodobnie najmniej kochaną kobietą w okolicy pięćdziesięciu mil, ale słowo to sprawiło, że zarumieniły się jej policzki, a pierś wypięła. Zanim znikło to wzruszenie, Will wszedł do środka, trzaskając znowu drzwiami.

- Elly? Podwiozę pannę Beasley do miasta, a ona oprowadzi mnie po bibliotecę. Zamiotę i posprzątam, nim wrócę. Nie czekaj na mnie z kolacją.

- Dobrze.

Był już prawie za drzwiami, kiedy jeszcze zawrócił do niej.

- Czy dasz sobie radę?

- Znakomicie.

Patrząc w jego ożywioną twarz, gryzła się znowu, przypominając sobie swoje braki. Nigdy nie dowie się, jak bardzo pragnie, żeby stale był tutaj do czasu, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Jak bardzo obawia się, że będzie pracował w mieście, gdzie każdy nazywał ją wariatką, gdzie ładniejsze i bardziej inteligentne kobiety na pewno skłonią go, aby przyjrzał się uważnie osobie, którą poślubił, a on będzie tego żałował. Jednak jak mogła go powstrzymać, kiedy nie mógł z wrażenia ustać spokojnie w miejscu?

- Poradzę sobie - powtórzyła. Ścisnął jej rękę i poszedł.

ROZDZIAŁ 12

Will zabrał samochód w dowód szacunku dla panny Beasley. W drodze do miasta rozmawiali o chłopcach, urodzinach i w końcu o Elly.

- Jest upartą kobietą, panno Beasley. Mogę jeszcze powiedzieć, że poprosiłem o książkę o porodach, ponieważ Elly nie chce lekarza. Chce, żebym sam przyjął dziecko.

- A pan zrobi to?

- Jak sądzę, będę musiał. Jeśli tego nie uczynię, zostanie sama. To pokazuje, jak bardzo jest uparta.

- A pan się boi.

- A niech to diabli, pewnie, że się boję! - Will nagle opamiętał się. - Och, przepraszam panią. Chciałem powiedzieć, któż by się nie bał?

- Nie winię pana, panie Parker, ale najwyraźniej pozostała dwójka urodziła się w domu, prawda?

- Tak.

- Bez komplikacji.

- Teraz mówi pani jak ona.

Opowiadał jej o książce i o tym, jak się przestraszył w czasie lektury. Powiedziała mu, jak wyjeżdżała na studia i jak bardzo się tego bała, ale dzięki zdobytemu doświadczeniu stała się silniejsza. Opowiedział jej o chłopcach i jak na początku czuł się niezręcznie w ich obecności. Zdradziła, że także czuła się dzisiaj skrępowana w ich towarzystwie. Zwierzył się jej, że Elly boi się pszczół, a on sam uwielbia pszczelarstwo. Wyznała mu, że kocha pracę wśród książek i przewiduje, że za jakiś czas Elly sama przyjdzie i zobaczy, jak jest ostrożny i pracowity. Teraz musi być cierpliwy wobec niej. Kiedy spytał, jakim człowiekiem był Glendon Dinsmore, odpowiedziała:

- Zupełnie innym niż pan, różnicie się jak ogień i woda.

Zapytał się, czym jest on, Will, ale roześmiała się tylko i odrzekła, że właściwie trudno powiedzieć i to jej się w nim podoba najbardziej.

Rozmawiali przez całą drogę do miasta - trochę się sprzeczali - żadne z nich nie zastanawiało się, jak dziwna z nich para - Will z przeszłością kryminalisty i raczej wrywkowym wykształceniem i panna Beasley, zajmująca wysokie budzące szacunek stanowisko, ze swym tytułem naukowym.

Will prowadził życie włóczęgi, panna Beasley żywot monotony i niezmienny. Teraz on miał rodzinę i prawie trójkę dzieci, ona była starą panną. Oboje byli samotni na swój spo-

sób. - Will ze względu na sierocą przeszłość, Gladys - z uwagi na intelektualną wyższość. On był mężczyzną, który rzadko się zwierzał, a ona kobietą, której ludzie rzadko się zwierzali. Był szczęśliwy, że może korzystać z jej rozsądnych rad, a jej pochlebiali, że ją wybrał na powiernicę.

Znaleźli w sobie w czasie tej rozmowy doskonale uzupełnienie, a zanim dojechali do miasta, ich wzajemny szacunek był już ugruntowany.

Tego popołudnia biblioteka była zamknięta dla uczczenia pamięci Levandera Sprague, który przepracował tam prawie jedną trzecią życia. Był pochmurny dzień, ale wewnątrz budynku było ciepło i jasno. Wchodząc tam, Will spojrzął na to miejsce na nowo - lśniące meble, wysokie okna i nieskazitelny porządek. Jakie to niewiarygodne, że może tu pracować.

Panna Beasley oprowadziła go i wyjaśniła, na czym polegają obowiązki, pokazała mu wyposażenie pokoju dozorczy, piec i poprosiła, aby przychodził codziennie pięć minut przed zamknięciem. Wtedy wyda mu dyspozycje. W końcu wyciągnęła klucz.

- To dla mnie? - Spojrzął, jak gdyby był to złoty zegarek jego prababki.

- Będzie pan zamykał wszystko, wychodząc każdego wieczoru.

Klucz. Mój Boże, chce powierzyć mu klucz. Nigdy nie miał swojego miejsca. Teraz miał dom i bibliotekę, do której mógł przyjść w dowolnie wybranej przez siebie chwili.

Czując zimny metal w dłoni, powiedział cicho:

- Panno Beasley, ta biblioteka jest własnością publiczną. Niektórzy mieszkańcy mogliby mieć zastrzeżenia, że daje pani klucz byłemu skazańcowi.

Wypięła klatkę piersiową, uwydatniając biust i splotła na nim dłonie.

- Niech tylko spróbują. Z radością wydam im wojnę. - Wyciągnęła rękę i zamknęła jego dłoń, w której znajdował się klucz. - I to ja ją wygram.

Bez wątpienia miała rację. Grzał w rękę mosiężny klucz i powoli rozpromieniał się w uśmiechu. Mężczyźni w Whitney to głupcy - mieli przy sobie taką kobietę i nie poznali się na niej.

Wkrótce panna Beasley poszła do domu, aby spędzić tam ostatnie godziny tego nadzwyczajnego dnia. Przechodził przez ciche sale zadziwiony, uświadamiając sobie, że tu nie będzie nadzorczy, inspektora czy strażnika; mógł wszystko robić po swojemu, w swoim własnym tempie. Podobała mu się cisza, przestronność i przeznaczenie tego miejsca. Było symbolem życia, do którego nie miał wstępu. Przychodzili tutaj miejscowi kulturalni ludzie. Odtąd będzie jednym z nich. Opuści swój wygodny dom, by przychodzić codziennie do pracy, odbierać pobory, wiedząc, że będzie to robić w przyszłym tygodniu, w następnym i jeszcze następnym. Pełen uczuć, których nie umiał wyrazić w żaden sposób, oparł ręce na jed-

nym z dębowych stolików - masywnych i funkcjonalnych - wiedział, że tu zostanie. Nie straci szybko tej pracy. Wiedział to, ponieważ w pannie Beasley dostrzegł osobę, która ocenia człowieka po tym, kim jest, a nie według tego, kim był. Stał przy jednym z ogromnych półkolistych okien i wyjrzał na ulicę. Levanderze Sprague, gdziekolwiek jesteś, dziękuję ci.

Pokój dozorczy pachniał płynem cytrynowym i środkami do czyszczenia. Willowi bardzo się tu podobało, tym bardziej że wiedział, iż to jego królestwo. Zabierając potrzebne rzeczy, poszedł ochoczo do czytelnicy, gdzie podniesiono już krzesła, umył parkiet i przetarł szmatą zanurzoną w płynie. Odkurzył parapety, meble, blat schludnego biurka panny Beasley, opróżnił kosz na śmieci, spalił papiery w piecu i czuł się tak, jak gdyby ogłoszono go gubernatorem.

O szóstej trzydzieści pojechał do domu.

Do domu.

Nigdy żadne słowo nie obiecywało aż tyle. Czekala tam kobieta, która nazwała go drogim, kobieta, której policzki pocałował, z którą dzielił łóżko. Na myśl, że do niej wraca, zaczął wyobrażać sobie, jak zmierza prosto w jej ramiona, czuje kochane ręce na swoich, chowa twarz w jej szyi, a ona przytula go, jak gdyby był dla niej ważny.

Teraz gdy miał pracę, czuł się pewniej. Miał więcej śmiałości, czuł się więcej wart. Być może dziś wieczorem nawet ją pocałuje, pał sześć konsekwencje.

Kuchnia była pusta, kiedy przyszedł, ale kolacja czekała na niego. Tort urodzinowy znajdował się na środku posprzątanego stołu. W pokoju chłopców paliła się lampa. Dochodził stamtąd szmer głosów. Z talerzem i widelcem podszedł do drzwi i zobaczył, że Elly siedzi pod kołdrą w łóżku Donalda, obejmując każdego chłopca ramieniem.

Podniosła głowę.

- Och... Will... witaj. - Była wyraźnie zadowolona. - Opowiadałam chłopcom bajkę na dobranoc.

- Nie przerywaj.

Oczy się odnalazły, serca zabiły radośnie, a policzki Elly mocno się zarumieniły, gdy zakładała kosmyk włosów za jedno ucho. Jednak dalej snuła opowieść. Oparł się o drzwi, jedząc pozostawione dla niego mięso i groszek, słuchając i śmiejąc się, bo bawiła chłopców wesołą historią o puszystych zwierzątkach. Gdy skończyła się opowieść, pocałowała każdego synka, a następnie wstała i wyciągnęła ręce po Tomcia.

Will odszedł od drzwi.

- Nie powinnaś go podnosić. Potrzymaj. - Wręczył jej talerz i przeniósł Tomcia do łóżeczka. Potem nastąpiły zwyczajowe pocałunki na dobranoc, a jeszcze później zostawili

uchylone drzwi od pokoju chłopców i poszli wolnym krokiem do kuchni.

- A więc jak było w bibliotece?

- Wiesz, co zrobiła? - zapytał zdziwiony.

- Co?

- Dała mi klucz. Wyobraź to sobie. Ja z kluczem.

Eleonorę wzruszyło nie tylko to zdziwienie, ale zaufanie, jakim obdarzyła go panna Beasley. Oplukał naczynia, gdy ona rozsiadła się w bujanym fotelu i włożyła jeden z wykrojów w tamborek. Przysunął bliżej krzesło, pił kawę i patrzył, jak jej palce tworzą kolorowe kwiaty, tam gdzie niebieskim atramentem namalowano wzór. Rozmawiali cicho, na pozór spokojnie, lecz ukryte napięcie dawało im się coraz bardziej we znaki, gdy wskazówki zegara posuwały powoli do przodu i zbliżała się pora snu.

Kiedy czas ten nadszedł, Will przeciągnął się, a Eleonora sprzątnęła swoje ręczne robótki. Zaryglowali dom na noc. Potem przeszli do sypialni, aby się rozebrać, stojąc plecami do siebie, jak to było już w zwyczaju. Kiedy Will rozebrał się i był w samej bieliźnie, odwrócił się i rzucił spojrzenie przez ramię. Dojrzał kątem oka nagie plecy i pierś, gdy Elly zarzucała białą nocną koszulę przez głowę.

Kochanie. Gdy przypomniał sobie to proste słowo, zaczął zastanawiać się, co oznaczało w jej ustach. Czy rzeczywiście miała to na myśli? Czy naprawdę był komuś drogi po raz pierwszy w życiu?

Usiadł na brzegu łóżka i nakręcił budzik, czekając, aż ugnie się materac, gdy Elly usiądzie, zanim on wyreguluje lampę i obniży knot.

Leżeli, wpatrując się w sufit, a wspomnienia z tego dnia powracały - prezent urodzinowy, czułe słowa, uścisk dłoni, pocałunek na pożegnanie - pozornie nic nadzwyczajnego, jednak to, co nadzwyczajne, naprawdę ważne, działo się w środku.

Leżeli na plecach, drżąc i zmuszając się do bezruchu. Kątem oka widziała jego nagą klatkę piersiową, wynurzające się z ciemności łokcie, ręce złożone za głowę. On widział jej ociążałe ciało i koszulę nocną zapiętą na guziki do samej góry, koldrę okrywającą ją do pasa. Czują i słyszała bicie własnego serca pod koldrą. On czuł swe przyśpieszone tętno.

Ciągnęły się minuty. Żadne z nich nie poruszyło się. Nie odzywali się zmartwieni.

Pocałuj mnie - czy tak trudno to zrobić?

Proszę o tylko jeden pocałunek.

Jednak, co będzie, jeśli mnie odepchnie?

Co ma mu do ofiarowania - gdy jest w tak zaawansowanej ciąży, że ledwo chodzi?

Jaka dziewczyna zechce mężczyznę, który zadawał się z tyłoma nic niewartymi

kobietami?

Jaki mężczyzna chciałby przytulić się do dziecka innego?

Jednak większość z nich otrzymywała za to pieniądze, Elly, żadna z tych przygód nie miała znaczenia.

Tak, to dziecko Glendona, ale przy nim nigdy nie czułam się w taki sposób.

Jestem nic niewart.

Nie jestem godna pożądania.

Nie wzbudzam miłości.

Jestem samotna.

Odwróć się do niej.

Odwróć się do niego.

Zaskwierczał knot lampy. Płomień zachwiał się, zadrżał krąg światła na suficie. Materac zdawał się drżeć od ich niepewności. A kiedy wydawało się, że w powietrzu przebiegła iskra, zaczęli mówić jednocześnie.

- Will?

- Elly?

Odwrócili głowy i ich oczy spotkały się.

- Tak?

Przerwa, a następnie:

- Ja... zapomniałem, co chciałem powiedzieć.

Minęło dziesięć sekund bębniącej w uszach ciszy, zanim odezwała się cicho:

- Ja także.

Patrzyli na siebie, czując, że za chwilę zabraknie im powietrza. Bali się... doprowadzeni niemal do rozpacz...

I nagle cała jego przeszłość, świadomość braków przestały się liczyć.

Rozchyliła usta w nieświadomym zaproszeniu, a on podniósł rękę i przysunął się do niej, dostatecznie wolno, aby mogła się cofnąć.

Zamiast tego chciała wypowiedzieć jego imię, ale nie zdążyła wydać żadnego dźwięku, bo pochylił się nad nią i dotknął ustami jej ust.

Nie był to namiętny pocałunek, lecz przelotne dotknięcie. Delikatne. Niepewne. Bardziej złączenie oddechów niż muśnięcie skóry. Serca ich waliły, a dusze szukały się nawzajem.

Podniósł się... i spojrzał w zielone oczy koloru oceanu. Ona spoglądała w jego piwne, wrażliwe oczy, które tak często ukrywał za rondem swojego spłaszczonego kapelusza. Zrozu-

miała wątpliwości, które towarzyszyły mu do tej pory, i nie mogła pojąć, że komuś tak dobremu, tak przystojnemu mogła się spodobać ona - zwyczajna i ociążała Elly See, zawsze pokazywana palcami. Jednak w jego oczach nie zobaczyła drwin, tylko głębokie zdziwienie i pragnienie, aby odpowiedzieć na jej miłość.

Pocałował ją znowu... delikatnie... delikatnie... jak koliber dotyka skrzydłami płatków kwiatów, a ona dotknęła jego piersi.

I w końcu Willowi Parkerowi przestała doskwierać samotność. Raz po raz wypowiadał słodkie imię - Elly... Elly. Ich pocałunek był coraz mocniejszy i pełniejszy, choć nadal nie pozbawiony rezerwy - oto ci dwoje, którym życie kazało odrzucać możliwość cudów, teraz zostali zmuszeni do zmiany swoich poglądów.

Objął ją, a ona położyła dłoń na jedwabistych włosach na jego piersi. Choć był od niej trochę oddalony, rozchylił jej usta własnymi i pocałunek stał się coraz bardziej namiętny. Serca, które chwilę wcześniej uderzały nieśmiało, w niepewności, teraz biły radośnie. Szukali i odnaleźli się w tej intymności. Pocałunek przeszedł ich najśmielsze oczekiwania. Oznaczał więcej niż gwałtowny napływ krwi i przyspieszone bicie serca. Mieli pewność, że są dla siebie stworzeni.

Nachylał się nad nią, opierając ciężar ciała na obu łokciach, bojąc się ją zranić. Jednak ona przyciągnęła go do siebie zapraszająco. Był coraz bliżej... stawał się coraz cięższy... do chwili gdy serce znalazło się przy sercu, a on spoczął na jej piersi, bardzo ostrożnie i delikatnie, bo nie chciał jej urazić.

Przez długie cudowne minuty sycili się sobą, uczyli się siebie. Później Will oderwał się od niej i spojrzał w jej oczy, gdzie odnalazł to samo uczucie zdziwienia, jakie sam odczuwał. Patrzyli - odmłodzeni - a następnie objęli się mocno i kołysali, całując - mocny pocałunek najlepiej wyrażał to, co czuli.

Po chwili pomógł jej przewrócić się bezpiecznie na bok, obejmując ją i otaczając rękami jej wystający brzuch.

- Elly... Elly... Tak się bałem.

- Ja też.

- Myślałem, że mnie odrzucisz.

- A ja myślałam, że ty to zrobisz.

Odwrócił się, aby zobaczyć jej twarz.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Ponieważ jestem nieładna i niezgrabna i jestem w ciąży.

- Nie... nie. - Poglaskał ją delikatnie po policzku. - Jesteś piękna. Dostrzegłem to od

razu pierwszego ranka, gdy tu przyszedłem.

Wzięła go za rękę i zakryła nią oczy. Łatwiej było przyznać się do pewnych rzeczy, gdy je zamknęła.

- Nie jestem zbyt inteligentna i może rzeczywiście jestem szalona. Wiedziałeś o tym wszystkim.

Uniósł jej brodę i znów spojrzała na niego.

- Ale ja zabiłem kobietę, byłem w więzieniu i w burdelach. Wiedziałaś o tym.

- To było dawno temu.

- Większość ludzi nigdy tego nie zapomina.

- Myślałam, że dlatego, iż noszę w sobie dziecko Glendona, nie zechcesz mnie dotknąć.

- Jaki to ma związek z nami?

- Och, Will. - Jej serce wydawało się zbyt małe, aby pomieścić taką radość.

- Czy mogę cię dotknąć choć raz? - zapytał. - Chcę dotknąć twojego brzucha. Nigdy nie dotykałem kobiety w ciąży.

Poczuła, jak robi się jej gorąco i ogarnia ją nieśmiałość, ale skinęła głową.

Dotykał jej brzucha, jakby to był bukiet delikatnych kwiatów.

- Masz taki twardy brzuch. Myślałem, że będzie miękki. Och, Boże, Elly, to takie wspaniałe uczucie.

- Ja także czuję się cudownie. - Dotknęła jego gęstych włosów, wdychając ich zdecydowany zapach. - Tęskniłam za tym.

Zamknął oczy i pozwolił jej głaskać swoje włosy. Choćby miało to trwać tysiąc lat, nigdy nie będzie miał dosyć.

Gdy otworzył oczy, leżeli przez długie chwile, przypatrując się sobie, sycąc sobą oczy. Ona myślała o jego oczach i splątanych włosach, on o jej lekko nabrzmiątych ustach i zielonych oczach. Stwierdził, że jest nierozsądnie zazdrosny o lata, jakie wcześniej spędziła z Glendonem Dinsmore.

- Czy nadal myślisz jeszcze o nim?

- Nie myślałam już od tygodni.

- Sądziłem, że nadal go kochasz.

Zebrała się na odwagę i powtórzyła:

- Co to ma z nami wspólnego? Czy myślisz, że będę kochać to dziecko mniej tylko dlatego, że tych dwoje przyszło na świat wcześniej?

Oparł się na łokciach, patrzył na nią i przełknął ślinę. Miał uczucie, jak gdyby jakiś

wielki ciężar leżał mu na piersi. Zaczął mówić przez zaciśnięte gardło:

- Elly, nikt nigdy... - Przerwał speszony.

- Nikt nie kochał ciebie wcześniej? - Delikatnie dotknęła jego policzka. - No cóż, ja cię kocham.

Zamknął oczy i przycisnął usta do jej dłoni, a potem położył ją sobie na twarzy.

- Nikt, nigdy - powtórzył. - Nigdy w całym moim życiu. Ani matka, ani żadna kobieta, ani żaden mężczyzna.

- Twoje życie nie dobiegło jeszcze nawet połowy. Ta druga będzie znacznie lepsza niż pierwsza, obiecuję.

- Och, Elly... - Najbardziej brakowało mu tych słów. Chciał usłyszeć je przynajmniej raz w życiu - marzył o tym przez pięć długich lat w celi i w ciągu tych wszystkich samotnych lat, kiedy błąkał się bez celu, i w dzieciństwie, gdy obserwował inne szczęśliwe dzieci. Przejeżdżały obok sierocińca, gapiąc się z bezpiecznego miejsca w powozie czy w samochodzie rodziców. - Czy mogłabyś powiedzieć to jeszcze raz? - błagał. - Tak jak zwykle robią to ludzie?

- Kocham cię. - Serce waliło w piersi i podchodziło do gardła, gdy wypowiadała słowa.

Piekły go oczy. Opuścił głowę, ponieważ nikt nie przygotował go na to, nikt nie powiedział, że kiedy to się stanie, dokona się jego zmartwychwstanie. Wszystko się odmieni. Stanie się nowym człowiekiem. Przytulił się mocniej, kryjąc twarz w ramionach żony, trzymając ją mocno.

- O Boże... jęknął. - O Boże.

Tuliła go, jak gdyby był dzieckiem budzącym się ze złego snu.

- Kocham cię - szepnęła gdzieś w jego włosy, czując, jak w oczach gromadzą się jej łzy.

- Och, Elly, ja także cię kocham - powiedział drżącym głosem - ale tak się bałem, że nikt mnie nie pokocha. Myślałem, że to może być niemożliwe.

- Och nie, Will... nie... nie ty. - Objęła go czule, czując ciepły oddech na piersi. Głaskała szorstkie jasne włosy, które tak bardzo urosły, odkąd je obcięła. Czowała ich zapach, zapamiętywała, utrzymywała na zawsze w pamięci. Całe życie tęsknił za kimś, kto dotknie go tak jak matka, przygarnie mężczyznę i małego chłopca, którego wspomnienie nadal nosi w sobie, kto uspokoi go, rozproszy smutki. Dotyk Elly zastępował mu wszystko, co stracił. Był jak spalona słońcem ziemia, a ona była mu orzeźwiająjącym deszczem. W chwilach bliskości napełniała go miłością i zapominał o cierpieniach bezcelowego samotnego życia. Była mu

matką, przyjacielem, żoną, kochanką.

Kiedy czuł się nasycony, podniósł głowę pijany ze szczęścia.

- Zawsze patrzyłem, jak dotykasz chłopców. Chciałem poprosić: dotknij mnie tak, jak ich dotykasz. Nikt nigdy tak mnie nie głaskał, Elly.

- Zrobię to zawsze, kiedy tylko zechcesz. Umyję ci głowę, uczeszę cię, wyszoruję ci plecy, potrzymam cię za rękę...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Wydawało się wielkim ryzykiem przyjąć tak dużo w pierwszym wielkim rozgorączkowaniu. Pocałował ją z wdzięcznością bujnej, dopiero co rozkwitłej, miłości. Oparł się jeszcze wyżej i popchnął ją miękko na poduszkę, błędził rękami po jej szyi i ramieniu, ssał usta, dotykając palcami twarzy; dotknięcie to było jak pocałunek. Pochylił się, aby jeszcze ściślej się z nią połączyć. Uświadamiając sobie, że jest to niemożliwe, przerwał pocałunek, ale objął ją ręką. Ich serca biły równie szybko.

- Wiesz, od jak dawna cię kocham?

- Od jak dawna?

- Od dnia, w którym rzuciłaś we mnie jajkiem.

- I cały ten czas wiedziałeś o tym i nigdy nic nie powiedziałeś. Och, Will...

Nagle ogarnęło go pożądanie. Znowu ją pocałował, dotykając językiem, oplatając sobie jej ręce wokół szyi. Gryzł jej wargi. Ona również to zrobiła. Podniósł kolano i wsunął wysoko i mocno pomiędzy jej nogi. Otworzyła je i zacisnęła na jego udzie. Później objął Elly w ogromnej talii i tak ją trzymał, pragnąc, aby czas stanął w miejscu.

- Powiedz mi jeszcze raz - zażądał nienasycony.

- Co? - dokuczała mu.

- Wiesz. Powiedz mi.

- Kocham cię.

- Jeszcze raz. Muszę to znowu usłyszeć.

- Kocham cię.

- Czy zmęczysz się kiedyś takimi prośbami?

- Nie będziesz musiał prosić.

- Ani ty. Kocham cię. - Jeszcze jeden pocałunek, mocne i krótkie przypieczętowanie własności, a następnie pytanie pełne chłopięcej niecierpliwości. - Kiedy to zrozumiałeś?

- Nie wiem. Zrozumiałam to nagle.

- Kiedy się pobraliśmy?

- Nie.

- Kiedy rozlewaliśmy miód?

- Być może.

- Czy przypadkiem nie wtedy, kiedy rzuciłaś jajkiem?

Roześmiała się.

- Ale wtedy po raz pierwszy zobaczyłam twój nagi tors i to zrobiło na mnie wrażenie.

- Mój nagi tors?

- Aha.

- Podobała ci się moja klatka piersiowa, zanim spodobałem ci się ja?

- Kiedy myłeś się przy studni.

- Dotknij, jest twoja. - Z uczuciem triumfu położyła mu dłoń na piersi. - Dotknij mnie, gdzie tylko chcesz. Boże, czy wiesz, ile czasu upłynęło, odkąd dotykała mnie kobieta?

- Will - strofowała go nieśmiało.

- Nie bądź nieśmiała. Ja myślałem, że taki jestem, ale teraz nagle wydaje się, że mamy tyle straconego czasu do nadrobienia. Dotknij mnie. Nie, czekaj. Wstań. Najpierw muszę cię zobaczyć. - Usiadł na kolanach i podciągnął ją do góry, aby uklęknęła przed nim. Trzymał ją za wyciągnięte ręce. Pochyliła lekko głowę, a on podniósł ją palcem, odgarnął potargane włosy ze skroni i ułożył na ramionach.

- Chcesz powiedzieć, że nie muszę już więcej ukradkiem spoglądać na ciebie? Masz cudownie zielone oczy. Zielony to mój ulubiony kolor, ale ty już to wiesz.

Złożyła ręce na kolanach, całkiem pokonana przez tego nowego wylewnego szalonego Willa.

- Kiedyś marzyłem, że jeśli dopisze mi szczęście i się ożenię, to moja żona będzie miała zielone oczy. No i proszę, oto jesteś. Ty i twoje zielone oczy... i twoje różowe policzki... i twoje śliczne małe usteczka... - Palcami dotknął kącików jej ust, a później opuścił ręce na ramiona i zatrzymał tam na chwilę. - Elly - wyszeptał - nie ruszaj się. - Dłonie Willa ześlizgnęły się na jej piersi, przytrzymał je delikatnie, gdy krew napłynęła do jej policzków. Przyćmione światło przesuwano się po fałdach nocnej koszuli, gdy obejmował jej piersi, a miał zbyt szczupłe dłonie, by je ogarnąć, tak były nabrzmięte przed porodem. Po chwili opuścił rozłożoną dłoń na najpełniejszą część jej brzucha. Patrzył na swoje dłonie, które wyglądały materiał na jej biodrach tak, że napinał się, uwidaczniając nabrzmięty pepek. Pochylając się, pocałował ją tam - w brzuch, który uważała za tak brzydki i odpychający.

- Will. - Dotknęła jego podbródka. - Jestem gruba jak dynia. Jak możesz mnie tam całować?

Wyprostował się.

- Nie jesteś gruba, tylko w ciąży, a jeśli to ja mam odebrać dziecko, muszę je obejrzeć.

- Myślałam, że poślubiłam nieśmiałego spokojnego człowieka.

- Ja także tak myślałem.

Uśmiechnął się, słuchając, jak biją trzy szczęśliwe serca, a następnie roześmiał się. Zastanawiał się, czy życie kiedykolwiek jeszcze będzie takie dobre, i zrozumiał, że jutro i pojutrze, i następnego dnia może być tylko lepiej.

Miał rację. Nigdy nie wyobrażał sobie takiego szczęścia, jakiego doznał w ciągu kolejnych dni i nocy. Była to pełnia szczęścia - przewracać się w czasie snu, przyciągać ją do siebie i zasypiać znowu, a jeszcze lepiej przewracać się na bok i czuć, że i ona się obraca, a następnie przytula do niego. Czuł, jak otacza go w talii rękami, czuł jej stopy pod swoimi, oddech na plecach. Budził się i stwierdzał, że Elly leży z ręką pod głową, przyglądając się mu uważnie. Całował ją w kremowym świetle wczesnego ranka i wiedział, że można to zrobić w każdej chwili. Żegnał ją pocałunkiem i wracał stęskniony. Wchodził do kuchni i widział, że pracuje przy zlewie, zerkał na nią nieśmiało przez ramię, zanim przeszedł przez pokój, wsunął obie ręce do kieszeni jej fartuszka i położył brodę na ramieniu. Całował ją, czekając na wspaniałą chwilę, kiedy się obróci i zarzuci mu ręce na szyję w powitalnym uścisku.

Jadł ciasto jej widelcem, splatał włosy w warkocz, napełniał filiżankę kawą, patrzył, jak haftuje. Nachylał się nad zlewem i drżał, kiedy myła mu głowę. Zamierał ze wzruszenia na krześle, kiedy suszyła, czesała i obcinała mu włosy, a czasami całowała też go w ucho, a niekiedy drażniła się z nim, bo zdarzyło mu się przysnąć - budziła go wtedy pocałunkiem w usta. Chodzili aleją, trzymając się za ręce, wioząc obu chłopców na wózku. Tak, to było szczęście.

Tylko jedno martwiło go w czasie tych pięknych spokojnych dni - Lula Peak. Nie minęło dużo czasu, a już zorientowała się, że Will pracuje w bibliotece. Pewnego wieczoru w pierwszym tygodniu jego pracy weszła tylnymi drzwiami i znalazła go w magazynie, gdy sklejał rozluźnione oparcie krzesła.

- Cześć, kochanie, gdzie się chowasz?

Will podskoczył i odwrócił się, przestraszony jej głosem.

- Biblioteka jest zamknięta, proszę pani.

- No cóż, wiem o tym, podobnie jak kawiarnia, ponieważ właśnie zamknęłam drzwi. Pomyślałam, że jako dobra sąsiadka wpadnę tutaj i złożę panu gratulacje z okazji nowej posady. - Nachyliła się nad framugą drzwi, jedną rękę miała opartą w talii, a drugą trzymała przy białym trójkątnym dekolcie.

- Doceniam to, proszę pani. A teraz, jeśli mi pani wybaczy, mam pewną pracę do

wykonania.

Przyklęknął znowu, odwrócił się i zajął krzesłem. Weszła do składziku i stała z kolanem przysuniętym do jego pleców.

- Myślałeś może choć trochę o tym, co powiedziałam, kochanie? - Złapała go za szyję.
- Mężczyźni tacy jak ty sprawiają, że dziewczyna nie może zasnąć przez całą noc. Myślałam, że może ty także cierpisz na bezsenność, bo twoja żona jest w ciąży. Nie ma sensu, abyśmy oboje cierpieli na bezsenność, prawda?

Poderwał się, złapał ją za ramiona i popchnął do tyłu.

- Nie szukam kłopotów, mówiłem już to kiedyś. - Wsunął rękę do kieszeni, czując, iż jest brudny tylko dlatego, że jej dotyka. - Jestem szczęśliwym mężem, panno Peak. A teraz obawiam się, że będę musiał wyprosić panią, ponieważ mam pewną pracę do wykonania.

Obejrzała go od stóp do głów.

- Rumienisz się, kochanie, co oznacza, że jesteś namiętny... sprawdźmy to. - Wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego twarzy, ale on chwycił ją za nadgarstek, mocno ściskając, i odepchnął.

- Do cholery, Lula, powiedziałem, żebyś z tym skończyła.

W jej oczach widać było podniecenie.

- To przynajmniej jakaś poprawa. Już jesteśmy na ty.

- Nie chcę, abyś tu więcej przychodziła.

- Niektórzy mężczyźni nie wiedzą, czego chcą. - Zaatakowała go jak kobra, gryząc w rękę i cofając się jednym błyskawicznym ruchem.

- U, a niech cię diabli! - Spojrzał na rękę, na której pojawiła się krew.

- No i co, Parker, opłacało ci się tak zachowywać - rzuciła wyzwanie, stojąc w drzwiach, z ramionami odrzuconymi do tyłu, rękami na biodrach, z oczami iskrzącymi się istic szatańską radością. - Znam numery, o których nigdy nie śniło się twojej szalonej żonie. Przemyśl to sobie. - Odwróciła się i uciekła.

Naruszyła jego prywatność, czuł się zły, winny i bezsilny, ponieważ była kobietą i z tego powodu nie mógł zamierzyć się na nią swoimi pięściami, jak traktował mężczyzn, którzy próbowali uwieść go w więzieniu. Tej nocy, wracając do Elly, zataił swoje przeżycia, obawiając się opowiedzieć o Luli, by nie zagroziło to ich rozwijającej się bliskości.

W bibliotece zawsze zamykał na klucz drzwi frontowe. Po najściu Luli zamykał również i tylne. Jednak ona zaskoczyła go znów pewnej nocy, gdy wynosił śmieci, chcąc spalić je w piecu za budynkiem. Wślizgnęła się za nim w ciemności i dotknęła, zanim zdał sobie sprawę z jej obecności. Tym razem popchnął ją jeszcze mocniej, przewracając na piec,

przeklinając i podnosząc pięści, ale zatrzymał się w samą porę.

- Zrób to - podjudzała go - zrób to, Parker. - Uświadomił sobie, że kieruje nią jakaś chorobliwa potrzeba, która go przerażała.

- Trzymaj się z dala ode mnie, Lulu - warknął, podniósł kosz ze śmieciami i uciekł.

Starał się wymazać ten incydent z pamięci, ale spoglądał przez ramię za każdym razem, kiedy wychodził z biblioteki, za każdym razem, kiedy zamykał drzwi, kończąc wieczorem pracę. Jeszcze bardziej przyłgnął do Elly, jeszcze więcej ją cenił, a jej dobroć działała na niego kojąco.

W nocy, kiedy wracał do domu, budziła się i wyciągała, patrząc, jak zrzuca ubranie, nim wślizgnął się do łóżka obok niej. Otwierała wtedy ramiona i leżeli, całując się i rozmawiając półgłosem, dopóki nie zaszedł księżyc. Chociaż byli mężem i żoną, ich uściski były powściągliwe. Czasami pieścił jej piersi, ale ponieważ czas rozwiązania się zbliżał, cofała się, a jego ogarniało nagle poczucie winy.

- Elly, kochanie. Tak mi przykro. Czy nie zraniłem cię?

- Zawsze trochę pobolewają mnie piersi w ostatnich dniach ciąży.

Później całował ją i trzymał w objęciach, ale nie było już między nimi nic więcej. Zawsze miała na sobie długą nocną koszulę i wiedział, że wstydzila się obnażać zniekształcone ciało. Chociaż odczuwał pokusę, aby sięgnąć po więcej, nigdy nie nalegał; zadowalali się pocałunkami, gdy leżeli spleceni obok siebie, a ich ręce znajdowały się w bezpiecznej odległości od najwrażliwszych miejsc.

Było tak do pewnej nocy na początku grudnia, kiedy wychodząc z pracy, znalazł kartkę od Luli przy tylnych drzwiach. Znajdował się tam obsceniczny rysunek sugerujący, czym mogłaby go zadziwić, gdyby w końcu się zламаł i przyjął zaproszenie. Tej nocy miał sen. Szedł przez wysuszone równiny Teksasu. Było samo południe i panował taki skwar, że ziemia paliła podeszwy butów. Miał spieczone wargi, a tępy ból zginał mu ramiona. Z trudem posuwał się naprzód. Wchodząc na skalistą grań, ciężko oddychał ze zmęczenia, a następnie zatrzymał się zaskoczony widokiem leżącej niżej doliny, skąpanej w promieniach słońca. Dolina była tak pełna błękitnych dzwoneczków, że zdawała się odbijać błękit podniebnej kopuły. Wstążka połyskującej wody przedzielała łąkę na dwie części, kiedy tak szedł, a kwiaty sięgały mu aż do cholewek. Ukłękł, żeby się napić, zamoczył twarz i szyję, nawet kołnierzyk i skórzaną kamizelkę. Zanurzył znowu dłonie, a gdy ukłękł, pijąc wodę małymi łykami, pojawiła się przed nim para stóp. Jakaś przejrzysta żółta spódnica pływała na powierzchni wody. Spojrzał w górę, w oczy tak czarne jak węgiel i zobaczył tak samo czarne włosy.

- Witaj, Will. Czy mnie szukałeś? - Była to Carmelita, jedna z kobiet z burdelu w La

Grange. W jej żyłach płynęła meksykańska krew, miała śniadą cerę i karminowe usta.

Przysiadł i wolno odchylił do tyłu głowę, przypatrując się, jak kładzie ręce na biodrach, kołysząc się uwodzicielsko. Rozstawiła szeroko nogi i uda rysowały się wyraźnie pod żółtą tiulową spódnicą. Pochyliła się i leniwie ochlapała wodą ramiona, ukazując piersi.

- Hej, Willu Parker, na co patrzysz, ha? - Wyprostowała się, nadal z rozstawionymi nogami, i wyzymała spódnicę, kusząc go błyskiem nagiej skóry i czarnymi włosami łonowymi. Zaśmiała się i kołysząc biodrami, wyszła na brzeg. Stojąc po kostki w wodzie, zaczęła obmywać mu twarz mokrą spódnicą. Sięgnął i złapał ją za nagie biodra. Natychmiast odepchnęła go, uciekając do tyłu do rwącej wody i śmiejąc się gardłowo.

- Chcesz Carmelity... a więc chodź i weź ją sobie.

Ściągnął kamizelkę, zanim słowa spłynęły z jej warg. Zerwał z siebie wszystko, a następnie zanurzył w zimnym szemrzącym strumieniu. Krzyknęła i zaczęła uciekać, ale on złapał ją i obrócił, pociągnął do szemrzącej wody, a wtedy jej zmoczone ubranie stało się przezroczyste. Ugryzł ją w pierś przez mokry materiał, a ona znowu pisnęła, śmiejąc się, a następnie zaczęła się wywijać, walcząc z prądem, zrywając sukienkę i rzucając mu w twarz. Pobiegł za nią, ściągając przyklejony do twarzy materiał, i schwycił, gdy wdrapywała się na brzeg. Pocałował zmysłowo, a jej mokre czarne włosy wplątały się między usta i języki. Zanim ubrania zniknęły w strumieniu, jego palce błądziły już na ciele Carmelity, a ona poruszała się w pożądlivy sposób, śmiejąc się dziko swoim niskim głosem. Tarzali się jak opętani, a piasek przyklepiał się do ich pleców. Kiedy zatrzymali się pozbawieni tchu, była na górze, ponagłając go wprawnymi biodrami.

- Podoba ci się to, chłopcze. - Wydała gardłowy dźwięk, prowadząc jego dłoń po swoim ciele i nie zatrzymując się. Pieściła go, a jej oczy błyszczały figlarnie. - A to spodoba ci się jeszcze bardziej. - Pochyliła się nad nim, otworzyła usta do pocałunku, a jego świat skurczył się do wąskiego korytarza, gdzie liczyło się tylko to, co cielesne.

- Will... obudź się, Will!

Zdezorientowany otworzył oczy i znalazł się nie na pełnym dzwonek polu w Teksasie, ale na żelaznym łóżku; jego twarz zwilżona była nie wodą ze strumienia, ale własnym potem. Obok leżała nie Carmelita, lecz Elly. Jego ciało wezbrane pożądaniem nabrzmiało, a ręka znajdowała się na ocieżałym ciele Elly gdzieś wśród jej bawełnianej bielizny.

Zaskoczona spojrzała na niego przez ramię. Leżał sztywno - nie chciał ryzykować nawet najlżejszego poruszenia z obawy, że eksploduje.

- Miałem sen - zdołał odpowiedzieć ochryplym głosem.

- Już się obudziłeś?

- Tak. - Zabrał rękę i przewrócił się na bok, zasłaniając oczy nadgarstkiem. -
Przepraszam - wymamrotał.

- Co ci się śniło?

- Nic.

- Ja?

Nie chcąc zranić jej uczuć, zachował milczenie, przeklinając Lulę i sen oraz własne ciało, które potrzebowało ulgi.

- Elly, boisz się pozwolić mi, bym ciebie dotknął?

- Dotykasz mnie cały czas.

- Nie tam.

Cisza... a po chwili:

- Nie chcę, abyś mnie oglądał. Kobiety w ciąży nie są tak ładne, aby na nie patrzeć.

- Kto ci to powiedział?

- Po prostu nie są.

- Zobaczą cię, kiedy urodzi się dziecko.

- To już niedługo, a później nie będę wyglądała w taki sposób.

Odsunął rękę i patrząc w sufit, myślał: To nie jest naturalne, by dwoje poślubionych sobie ludzi leżało obok siebie, nigdy się nawet nie dotykając.

- Zgaszę lampę, Elly.

Nie było odpowiedzi, a więc pochylił się i przykręcił knot. Leżeli w ciemności, do której nie byli przyzwyczajeni, wdychając silny zapach nafty.

- Chodź tutaj. - Objął ją i przyciągnął delikatnie do siebie. - Nadszedł już na to czas, jak ci się zdaje?

- Will, lubię, gdy mnie całujesz i obejmujesz, ale nie mogę dać ci więcej.

- Wiem o tym. - Obrócił ją, aby spojrzała mu w twarz. - Ja jednak umieram każdej nocy, myśląc o tobie. A czy z tobą nie jest tak samo? Będę tak delikatny jak nigdy. - Podciągnął do góry koszulę nocną i położył dłonie na jej brzuchu. - Chcę, żebyś o czymś wiedziała, Elly. - Pocałował ją w usta, oddychając jej oddechem, czując, jak wali mu serce. - Chciałbym, aby to dziecko było moje.

Dotykał jej ciała, jak gdyby nie było już dla niego żadnych sekretów.

- Ach, Elly... Elly... - wyszeptał gardłowo. Odnalazł jej rękę i położył na swoim ciele, oddychając coraz ciężiej. Zadrżał i nagle eksplodował w jej dłonie. Później poczuł się uzdrowiony, odnowiony i chciał znowu jej dotknąć, aby odwzajemnić się za jej dobroć. Jednak ona

odepchnęła jego dłoń, westchnęła i zwinęła się w kłębek.

Leżał, obejmując ją, i doznawał oczyszczających uczuć. Myślał, aby jej podziękować, ale stwierdził, że nie potrafił wypowiedzieć ani słowa w chwili zbyt cennej, aby zniszczyć ją słowami. Tak więc objął ją tylko, głaskał po plecach, włosach, przyciskając jeszcze mocniej do siebie, chciał wyrazić swe szczęście.

Gdzieś na dworze zawołał samotny bekas, wlatujący do góry. Ustał wiatr, znieruchomiały wierzchołki drzew. Gdzieś w oddali zahukała sowa, najpierw hukanie to przypominało szczekanie psa, a następnie pytanie Kto - ciebie - szuka? Kto - ciebie - szuka?

Spleceni ze sobą Will i Elly zasnęli.

I żadne z nich nie pomyślało, aby z powrotem zapalić lampę.

ROZDZIAŁ 13

Elly zaczęła rodzić mniej więcej w południe czwartego grudnia. Miała ból w krzyżu przez cały ranek, następnie krwawienie, a przed obiadem pojawiły się dwa pierwsze dostrzegalne skurcze w odstępach piętnastu minut. Kolejny skurcz był na tyle silny, że musiała przysiąść na brzegu krzesła, próbując złapać oddech przed dłuższą chwilę. Kiedy się skończył, podparła się i wstała niezręcznie, a następnie kołysząc się niezgrabnie, przeszła do pokoju.

Will budował łazienkę. W tej chwili siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i pogwizdywał sobie. Wyciął już drzwi i wydzielił kawałek ganku, gdzie wybił okno. Z ziemi sterczały rury. Przy pierwszej bytności w sklepach z dumą zakupił armaturę do łazienki - używaną - jednak ani Will, ani Elly w podnieceniu na myśl, że posiadać będą takie pomieszczenie, zupełnie się tym nie przejmowali. Zlew i sedes przechowywali gdzie indziej, ale wanna znajdowała się już na miejscu, stała wśród szkieletów ścian, które również czekały na wykończenie, gdy zostaną zakończone prace hydrauliczne.

Elly zatrzymała się w drzwiach łazienki, patrząc na Willa i nasłuchując, jak gwizdże „In My Adobe Hacienda”, który to utwór słyszeli ostatnio w radiu. Will trzymając w ręku klucz, stał zwrócony twarzą do najdalszej ściany. Na głowie miał przechylony do tyłu kapelusz kowbojski. Na rondzie było pełno trocin, a niebieska koszula była poplamiona i brudna z tyłu, gdyż wcześniej leżał na plecach, zakładając rury. Elly uśmiechnęła się, gdy kilka razy zafalszował. Jeszcze raz silnie zacisnął klucz, na chwilę przerywając śpiew, a następnie rzucił go z brzękiem i sprawdził złącze pomiędzy rurami, nadal podśpiewując cicho przez zęby. Przyklęknął na jednym kolanie i podniósł miedziane złącze kolankowe, nachylając się do przodu, jednocześnie obliczając wysokość, na której może połączyć rury od wanny.

- Hej, ty tam - pozdrowiła go miło z uśmiechem wskazującym na aprobatę.

Obrócił się, siedząc, i posłał jej uśmiech w odpowiedzi.

- Witaj, lalczko.

- Ładna mi lalczka o kształtach spasionego konia. - Roześmiała się, opierając o framugę drzwi.

- Chodź tutaj. - Padł znowu na ziemię, z rozpostartymi nogami opierając się o słupki podtrzymujący ścianę i wyciągając brudną rękę. Uśmiechali się do siebie w milczeniu przez długą chwilę. - Chodź tutaj. - Poklepał się po kolanach.

Odstąpiła od framugi i przeszła przez narzędzia i rury rozłożone na podłodze, aby

stanać obok niego.

- Tutaj. - Poklepał się po kolanach, gdy stanęła bokiem do niego. - Nie, nie tak. - Złapał ją za kostkę i przesunął tak, że znajdowała się obok jego drugiego biodra. Uśmiechnął się znacząco. - Chodź i usiądź tutaj.

- Will... chłopcy - szepnęła, patrząc ostrożnie na drzwi.

- No i co z tego? - Zmusił ją, chwytając za ręce, aby usiadła mu na kolanach ze spódnicą podciągniętą do pól uda.

- Mogą przecież wejść w każdej chwili.

- A wtedy zobaczą, jak całuję ich matkę. Dobrze im to zrobi. - Splótł ręce na jej plecach, opierając wydatny brzuch na swoim, gdy ona tymczasem zarzuciła mu ręce na szyję.

- To ty jesteś szalony, a nie ja. - Uśmiechnęła się, patrząc w jego podniesioną twarz.

- Masz rację, kobieto. Zwariowałem na twoim punkcie. - Złączyli się na długo w pocałunku. Dla Eleonory było to coś nowego - pieszczoty w środku dnia. Z Glendonem powstrzymywali się od nich za dnia, a może nawet nie powstrzymywali się, ale myśl o interludium takim jak to nigdy nie przyszła im do głowy. Jednak z Willem... och, jej Will. Był nienasycony. Nie mogła przejść ze stosem czystej bielizny, aby jej nie dotknął i było to bardzo przyjemne. Diabelnie dobrze umiał całować. Nigdy przedtem nie poświęcała zbyt wielkiej uwagi jakości pocałunków. Jednak siedząc teraz na jego kolanach, gdy delikatnie ssał jej usta i jedwabistym językiem głaskał wszystko to, czego mógł dosięgnąć, doceniała tę sprawność. Nie były to zwykłe pocałunki. Najpierw był bardzo hojny, a za chwilę ociągał się z pocałunkiem. Później znowu wycofywał się bardzo powoli, jak gdyby nigdy nie miał się nią zmęczyć. Czasami mamrotał coś bez sensu, często chował twarz na jej ramieniu, sprawiając, że chwilowe rozdzielenie było tak słodkie jak połączenie.

Skończyli się całować z wielką niechęcią, Will wtulił nos w jej szyję, a kapelusz przy okazji spadł na ziemię.

- Gdyby nie to, że mam brudne ręce, zgadnij, gdzie by teraz były?

Z zamkniętymi oczami objęła jego głowę i palcami delikatnie przesunęła po włosach tak, jak to lubił.

- Gdzie?

Zacisnął zęby na jej obojczyku, roześmiał się i drażnił.

- W kuchni robiłbym sobie kanapkę. Umieram z głodu.

Roześmiała się i odsunęła, odpychając zartobliwie.

- Już umierasz z głodu. A jak ci się zdaje, po co tu przyszłam?

- Zawołać mnie na obiad? - Pochylił się i uśmiechnął, patrząc w jej szczęśliwe zielone

oczy.

- Co jeszcze?

- A ty zamiast to zrobić, przykułaś mnie do podłogi i zmarnowałam tyle czasu, a już mogłam jeść coś smacznego?

- Kto chce jeść, kiedy może się całować?

Symulował obrzydzenie i sięgnął po kapelusz, wkładając go z powrotem.

- Oto ja tutaj zajmuję się pracą, zakładam łazienkę, kiedy ni z tego, ni z owego naskakuje na mnie ta kobieta. Chcę powiedzieć, wyciągam swój klucz i nie przeszkadzam żywej duszy, kiedy...

- Hej, Will? - przerwała, drażniąc się z nim. - Zgadnij, co się stało.

- Co?

- Obiad jest gotowy.

- No cóż, już najwyższy czas. - Próbował wstać, ale ona nadal siedziała mu na kolanach.

- Zgadnij, co jeszcze się stało.

- Nie wiem.

- Zaczęłam rodzić.

Na jego twarzy pojawiło się nagle przynębenie, jak gdyby ktoś go uderzył.

- Elly. Och, mój Boże, nie powinnaś tu siedzieć. Boże, czy nie zrobiłem ci krzywdy, każąc ci usiąść? Czy możesz wstać?

Roześmiała się, widząc tę przesadzoną reakcję.

- Wszystko w porządku. Przyszłam tu w przerwie pomiędzy jednym bólem a drugim, a to, że tu siedzę, tylko odciągnęło od nich moją uwagę.

- Elly, czy jesteś pewna? Chcę powiedzieć, czy już naprawdę nadszedł czas?

- Jestem pewna.

- Ale jak to jest możliwe? Dopiero jest czwarty grudnia.

- A nie mówiłam, że to będzie w grudniu?

- Tak, ale, no cóż, grudzień to taki długi miesiąc! - Zmarszczył brwi, gdy ostrożnie pomagał jej wstać, i mówił dalej: - Chcę powiedzieć, iż myślałem, że wszystko odbędzie się później. Sądziłem, że będę miał czas, aby skończyć łazienkę, tak że będzie już gotowa, kiedy przyjdzie na świat dziecko.

- Dzieci to zabawne stworzenia. - Trzymała go za brudne ręce i patrzyła z uspokajającym uśmiechem na twarzy. - Nie czekają, aż wszystko zostanie zrobione. Przychodzą na świat wtedy, gdy mają na to ochotę. A teraz słuchaj. Muszę przygotować

pewne rzeczy. Jeśli rozłożysz talerze, będzie to dla mnie duża pomoc.

Will zaczął się ogromnie denerwować. Nie powinna czuć się tym ubawiona, ale nie mogła poradzić na to, iż uśmiechała się ukradkiem. Nie chciał tracić jej z oczu nawet na ten krótki czas, jaki zajęło mu posadzenie dzieci przy stole. Zamiast nałożyć sobie na talerz, poszedł za nią do sypialni, gdzie obserwował, jak zdejmuje pościel.

- Co robisz?

- Przygotowuję łóżko.

- No cóż, ja mogę to zrobić! - udzielił jej ostrej reprimendy, wchodząc do środka.

- Ja także mogę to zrobić. Will, proszę... posłuchaj. - Upuściła jeden róg kołdry i złapała go za rękę. - Lepiej będzie, jeśli się trochę poruszam, dobrze? To może trwać jeszcze godziny.

Odsunął ją na bok i zaczął ściągać poplamioną pościel z materaca.

- Nie rozumiem, jak mogłaś siedzieć tak na podłodze w łazience i pozwalać, żebym żartował sobie, gdy wszystko się już zaczęło.

- Tak więc co powinnam robić zamiast tego?

- No cóż, nie wiem, ale na Boga, Elly, siedziałem tam, ciągnąc cię za kostki, zmuszając, abyś usiadła mi na kolanach. - Poruszyła się, jak gdyby chciała zabrać się znowu do roboty, a on wybuchnął: - Powiedziałem, że ja zajmę się łóżkiem! Powiedz mi tylko, jak ma być posłane.

Powiedziała mu: najpierw stare gazety na materacu przykryte wchłaniającymi bawełnianymi i flanelowymi prześcieradłami, później perkalowe prześcieradła, żadnych koców. Wyglądało to tak poważnie i złowieszczo, że sam widok łóżka wystraszył go bardziej niż cokolwiek innego do tej pory. Jednak gdy stał tak, patrząc, szykowała dla niego jeszcze większą niespodziankę.

- Chcę, żebyś poszedł do stodoły i przyniósł parę strzemion.

- Strzemion? - Miał okrągłe ze zdziwienia oczy.

- Strzemion z uprzęży Madam.

- Po co?

- I możesz również zacząć nosić wodę. Napełnij kociołek, zbiornik i czajnik. Będziemy potrzebować zarówno ciepłej, jak i zimnej wody. A teraz idź.

- Po co? Do czego potrzebne są tobie te strzemiona?

- Will... proszę - odezwała się, zdobywając się na cierpliwość.

Pobiegnął do stodoły, przeklinając się za to, że nie założył wcześniej bieżącej wody, nie podłączył grzejnika do generatora napędzanego siłą wiatru, nie uświadomił sobie wcześniej,

że dzieci czasami pojawiają się przed terminem. Zerwał zapasową uprząż ze ściany i odczepił strzemiona. Nie minęły trzy minuty, a dysząc wleciał do domu i zatrzymał się przy drzwiach sypialni, by zobaczyć, że Elly siedzi sobie na brzegu twardego drewnianego krzesła, jej plecy wygięte są w łuk, oczy zamknięte, a ręce kurczowo zaciskają się na krześle.

- Elly! - Upuścił strzemiona i ukląkł przed nią na jednym kolanie.

- Wszystko dobrze - zdołała powiedzieć bez tchu; miała nadal zamknięte oczy. - Teraz ból mija.

- Elly, przykro mi, że wcześniej podnosiłem głos. Nie miałem tego zamiaru. Po prostu bałem się. - Dotknął jej kolan, trzęsąc się ze strachu.

- W porządku, Will. - Ból złagodniał, a ona wolno opadła na krzesło. - Posłuchaj mnie teraz. Chcę, abys zabrał te strzemiona, położył na podłodze na ganku i wyszorował mocno szczotką oraz marsylskim mydłem i to z obu stron. Wyszoruj dobrze wokół sprzączek, pamiętaj nawet o otworach w sprzączkach. Wyszoruj też ręce i paznokcie. Następnie przynieś strzemiona do domu i wygotuj je w rondlu. Gdy będą się gotować, wygotuj nożyczki i kawałek tasiemki w oddzielnym naczyniu. Znajdziesz to wszystko w kuchni w kubku obok cukierniczki. Gdy tylko zagrzeje się woda, przynieś trochę tutaj. Przynieś też mydło marsylskie, abym mogła się wykapać.

- Dobrze, Elly - odpowiedział łagodnie, wstając i odchodząc w niezdecydowany sposób.

- I połów chłopców spać, gdy tylko zjedzą.

Wypełnił szczegółowo instrukcje, pędząc od jednego zadania do drugiego, obawiając się, że coś się stanie, gdy nie będzie go przy jej boku. Kiedy wniósł pustą wannę do sypialni, zobaczył, że wyciąga właśnie czyste białe ubranko dla dziecka z szuflady komody - małą flanelową koszulkę, becik, podkoszulek i pieluszkę. Stał i patrzył, jak z przejęciem kładzie obok siebie każdą rzecz. Następnie pojawił się różowy szal, który sama zrobiła na szydełku, i para niewiarygodnie małych bucików, które do niego pasowały. Odwróciła się i zobaczyła, że na nią patrzy.

W jej uśmiechu było tyle spokoju, tak zupełnie pozbawiona była lęku, że się uspokoił.

- Wiem, że to będzie dziewczynka - powiedziała.

- Ja także zamawiam dziewczynkę.

Patrzył, jak Elly wyciąga koszyk na pranie z za drzwi sypialni, wyrzuca z niego brudne ubrania i wykłada białym materiałem, folią i bawełnianym prześcieradłem, a następnie kładzie na nim różowy szal w muszelki i na końcu biały flanelowy becik.

- Tutaj położymy dziecko. - Uśmiechnęła się, patrząc na koszyk z taką samą dumą,

jaką mogłaby okazać królowa pochylona nad złotym łożeczkiem ozdobionym łabędziami.

Postawił wannę na ziemi. Obszedł ją dookoła i dotknął delikatnie brody Elly.

- Teraz odpocznij, a ja przyniosę wodę.

- Jestem ogromnie rada, że tu jesteś - powiedziała i spojrzała mu w oczy.

- Ja także.

Odbiegało to trochę od prawdy, bo wolałby być teraz w samochodzie i jechać po lekarza, ale było już za późno, by dyskutować na ten temat. Nalał wody do wanny i poszedł do kuchni, aby posprzątać naczynia po obiedzie. Gdy wrócił do sypialni kilka minut później, Elly namydlona stała w wannie zwrócona profilem, tak że zobaczył obnażone plecy i kawałek piersi. Nigdy wcześniej nie widział jej nago. Nie poza łóżkiem. Widok ten poruszył go głęboko. Jej ciało pozbawione było proporcji, była jednak piękna kobiecym pięknem, jakiego nigdy nie doświadczył. Obmywała ręcznikiem brzuch, myła się pomiędzy udami, oczyszczając drogę dla oczekiwanego dziecka, a on stał i patrzył, nie myśląc nawet o tym, aby się odwrócić. Nagle chwycił ją nowy skurcz i pochyliła się, przykucając. Jej pięść zacisnęła się na ręczniku, a piana z mydła wpadła do wody. Will przeszedł przez pokój, aby objąć ramieniem jej gładkie ciało, podtrzymując ją, gdy ból zaatakował najmocniej. Kiedy się zmniejszył, pomógł jej usiąść. Przysiadła na brzegu wanny, ciężko dysząc.

Poczuł się bezradny i oszołomiony, chcąc zrobić jeszcze więcej, czując potrzebę, by zrobić więcej, a nie tylko pocieszać. Żałował, że nie może za nią znieść następnego bólu.

Kiedy skurcz minął, opadła z sił.

- To był silny ból. Są teraz częstsze niż wtedy, gdy rodził się Tomcio.

- Tutaj. Uklęknij tutaj.

Uklękła, a on opłukał jej plecy, ręce, piersi, mniej zdenerwowany, gdyż robił coś konkretnego. Trzymał ją za rękę, gdy wychodziła z wanny, a następnie wytarł plecy.

- Dziękuję ci, Will. Sama dokończę. - Gdy wynosił wannę, ubrała się w czystą białą koszulę nocną, a pod łóżkiem znalazła biały worek z materiału, z którego wyciągnęła kilka dużych złożonych suchych liści. Wzięła je ze sobą i poszła za Willem do kuchni. Stała przez chwilę, patrząc, jak wylewa wodę po jej kąpieli do zlewu. Czerpakiem opłukał wannę, a następnie przetarł ją szmatą. Odwrócił się i zobaczył, że Elly stoi za nim i przygląda się temu, co robi.

- Czy powinnaś być tutaj?

- Nie wolno ci się tak zamartwiać, Will. Proszę. Możesz to zrobić dla mnie?

- Nie jest to łatwe.

- Wiem. - Mogła dostrzec, z jakim trudem przychodziło mu zachować spokój, i

kochała go tym więcej za ten mężny wysiłek. - Teraz muszę porozmawiać z tobą o tym, czego oczekiwać, co masz robić.

- Wiem już wszystko. - Postawił wannę na ziemi. - Czytałem o tym w książce tak wiele razy, że równie dobrze mógłbym mieć to wypisane na dłoni, ale teoria i praktyka to dwie różne rzeczy.

Przysunęła się do niego i dotknęła jego ręki.

- Poradzisz sobie wspaniale. - Spokojnie wyciągnęła kociołek, do którego włożyła liście, zalewając je wodą z czajnika. Odstawiła je, aby zaparzyły się na piecu.

Will patrzył, czując z każdą minutą większe napięcie.

- Co to jest?

- Żywokost.

Niemal bał się zapytać. Próbował dwa razy, zanim udało mu się wydobyć z gardła jakiś dźwięk.

- Po co?

- Później, jeśli będę miała jakieś pęknięcie, musisz mi zrobić z tego okład. Ściąga skórę i pomaga się zagoić ranie. Jednak musisz pamiętać, nie marnuj na mnie czasu, dopóki nie zobaczysz dziecka, rozumiesz?

Jeśli będzie miała pęknięcie. Słowa te na nowo nim wstrząsnęły. Will z wysiłkiem skupił się na dalszych instrukcjach.

- Posługuj się tylko wygotowanymi gałgankami, które położyłam na kredensie. Wszystko inne, czego potrzebujesz, także się tam znajduje. Nożyczki, tasiemka, waciki, wazelina, alkohol i gaza do pepowiny oraz bandaże przydadzą ci się, kiedy będziesz jej robić opatrunek. Zrobisz to, jak ją wykąpiesz. Musisz mieć w tym celu odpowiednio dużo ciepłej wody. Potrzebny jest też kociołek z zimną wodą do prześcieradeł, ponieważ trzeba je uprać, kiedy wszystko się skończy. Gdy będziesz ją kapać, nie używaj mydła marsylskiego, ale glicerynowego. Zawsze trzymaj ją za główkę - gdy tylko się pojawi, gdy będziesz czekać na całe ciało i także, kiedy będziesz ją kapać. Jednak, Will, pamiętaj przez cały czas, że dziecko jest najważniejsze. Przede wszystkim trzeba wywołać oddech, następnie wykapać ją i ubrać. Musi być jej ciepło, żeby się przypadkiem nie przeziębila.

- Wiem, wiem - odpowiedział z niecierpliwością, zycząc sobie, aby już nie mówiła na ten temat. Czytał instrukcję dla akuszerki tyle razy, że mógł recytować z pamięci słowo w słowo. Obrazy, które wywoływały w jego wyobraźni te objaśnienia, tylko go przerażały.

- Teraz pospaceruj ze mną - powiedziała spokojnie.

- Będziemy spacerować?

- To przyspieszy poród.

Gdyby od niego to zależało, odłożyłby go na czas nieokreślony. Współczuł jej bezgranicznie i tak zrobił, jak mu kazała. Nigdy nie czuł się tak opiekuńczo jak podczas następnych dwóch godzin, kiedy wolnym krokiem przechadzali się wzdłuż małych pokoików tam i z powrotem, zatrzymując się tylko przy każdym nowym skurczu. Nie bała się. Gdyby się schylił, byłby raczej dla niej ciężarem, a nie wsparciem. Dlatego też trzymał jej rękę na swym zagiętym ramieniu i prowadził ją, jak gdyby szli na zabawę na błoniach miejskich. Żartował, kiedy trzeba było ją zabawić, uspokajał, gdy potrzebowała wsparcia. Rozmawiał, gdy potrzebowała rozmowy. Dowiedział się, co to jest wacik, gdy zobaczył zapas starannie ułożonych bawełnianych tamponów owiniętych w gazę.

O wpół do trzeciej chłopcy obudzili się, a on ubrał ich w ciepłe kurteczki i wysłał na dwór, aby się tam bawili, mając szczerą nadzieję, że zostaną tam do wieczora.

Wkrótce po trzeciej Elly oznajmiła cicho:

- Myślę, że chciałabym się teraz położyć. Przynieś strzemiona, kochanie. - W sypialni westchnęła, wtaczając się na czyste białe prześcieradło, i rozkazała: - Przywiąż je do poręczy w nogach łóżka na wysokości moich kolan.

Poczuł ból brzucha, jego gruczoły ślinowe wydawały się działać z nadprogramową siłą i czuł, że ma niezgrabne ręce. Kiedy przywiązał skórzane rzemienie w taki sposób, że było miejsce na jej nogi, przypomniały mu się średniowieczne narzędzia tortur. Uznał, że wyglądają obrzydliwie, gdy czekał na jej następny skurcz. Kiedy nastąpił, zdawało się, że atakuje ich z równą siłą. Doznał wstrząsu, gdy poczuł, jak taki sam ból rozdziera jego wnętrzności. Był to bardzo silny ból, trwający prawie minutę, o wiele silniejszy od poprzednich.

Kiedy się skończył, odpoczęła, oddychając ciężko, a później wyszeptwała:

- Umyj znowu ręce, Will, i obetnij paznokcie. Teraz to nie będzie już długo trwało.

Obciąć paznokcie? Tym razem nie pytał dlaczego. Obawiał się, że wiedział. Czasami zdarzały się problemy, a wtedy musiałyby pomóc jej od wewnątrz.

Szorował ręce, dopóki nie zaczęły go piec, i przyciął paznokcie do samej skóry wysterylizowanymi nożyczkami, zwalczając panikę. O Boże, dlaczego nie sprzeciwił się jej życzeniom i nie pojechał do miasta po doktora w chwili, kiedy miała pierwszy ból? Co będzie, jeśli pępowina jest obwiązana wokół szyi dziecka lub jeśli Elly będzie miała krwotok? Co będzie, jeśli chłopcy przyjdą w samym środku porodu?

I tak jak gdyby sama myśl mogła ich wyczarować, z hałasem wpadli do kuchni, wołając matkę.

Will wyszedł, aby czatować na nich, brudząc wysterylizowane ręce, bo musiał zatrzymać Donalda i Tomcia, kładąc rękę na piersi każdego z nich, gdy rzucili się w kierunku zamkniętych drzwi sypialni.

- Zatrzymajcie się tutaj, pędraki! - Przyklęknął na jednym kolanie i przygarnął ich do siebie.

- Musimy coś mamie pokazać! - Donald Wade trzymał w ręku ptasie gniazdo.

- Twoja mama odpoczywa.

- Zobacz, co znaleźliśmy! - Donald Wade ruszył w kierunku drzwi, ale Will mocniej przytrzymał go za rękę.

- Pamiętajcie, jak mama powiedziała wam o tym, że pewnego dnia w koszyku pojawi się dziecko? - Przestali się szarpać i patrzyli na Willa z niewinną ciekawością. - No cóż, dziecko urodzi się już wkrótce, a wasza mama nie będzie się czuć zbyt dobrze, gdy to się stanie, ale tak samo było, kiedy i wy, chłopcy, przychodziliście na świat, więc nie bójcie się, dobrze? - Delikatnie uściśnął ich. - A teraz chcę, abyście byli grzeczni. Donaldzie Wade, weź trochę ciasteczek i wyjdź ze swoim bratem na dwór i nie wracaj, dopóki cię nie zawołam, dobrze?

- Ale...

- Teraz posłuchaj, nie mam czasu na spory, ponieważ wasza mama mnie potrzebuje, jednak jeśli chcecie, obiecuję, że wezmę was do kina pewnego dnia i to już wkrótce. Umowa stoi. - Donald Wade wahał się, przenosząc spojrzenie z Willa na drzwi sypialni.

- Na Hopalonga Cassidy?

- A pewnie. A teraz idźcie. - Will delikatnie pchnął ich w kierunku kuchni i słoika z ciastkami. Gdy byli już w bezpiecznej odległości gdzieś na dworze, jeszcze raz wyszorował ręce, pobiegł do sypialni i zamknął drzwi nogą.

- To byli chłopcy. Przekupiłem ich podróżą do kina i wysłałem na dwór z garścią ciastek. Jak się czujesz? - Podeszedł do łóżka i usiadł na twardym drewnianym krześle.

- Boli mnie. - Roześmiała się i kołysała brzuchem. Wyciągnął rękę, jak gdyby chciał musnąć jej brew.

- Nie dotykaj mnie, Will. Nie wolno ci.

Niechętnie zabrał czystą dłoń, aby siedzieć z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, odczuwając swoją nieprzydatność.

Przy następnym bólu podniosła się na materacu, a Will wstał z krzesła, aby pochylić się nad nią, patrząc, jak jej twarz wykrzywia się, a kolana rozchylają się i sięga do góry, aby złapać się żelaznej poręczy łóżka nad głową. Kiedy wstrzymywała oddech, on wstrzymywał

swój. Kiedy wykrzywiła usta i on je wykrzywił. Kiedy zaciskała zęby, on zaciskał swoje. Czuł, że sześćdziesiąt sekund jej skurczu trwało dłużej niż cokolwiek innego w jego życiu.

Gdy skurcz się skończył, otworzyła zamglone oczy i odwróciła głowę, aby spojrzeć na niego.

- Już czas, Will - zdołała powiedzieć. - Umyj mnie te... teraz alkoholem i po... pomóż mi znaleźć strzemiona.

Drżały mu ręce, gdy przesunął się do nóg łóżka, odwinął koszulę nocną i patrzył. O Boże. Na miłość boską, jak musi ją boleć. Była spuchnięta, jej ciało było nabrzmiałe, zniekształcone, widok ten przekraczał jego wszystkie wyobrażenia. Mógł naprawdę zobaczyć wybrzuszenie spowodowane przez główkę dziecka znajdującą się tuż nad jej nogami. Narządy rodne wydawały się zaognione, jak gdyby po ukąszeniu pszczoły. Coś wyciekało, a bielizna pościelowa była poplamiona na bladoróżowy kolor. Ścisnęło go w gardle, ale wyrwał się z tego odrętwienia, kiedy podniosła się i ogromny potok przezroczystego płynu wypłynął z jej ciała, mocząc prześcieradło i zostawiając na nim ogromną plamę. Ten widok pobudził go do działania. Wiedział, co to jest, wiedział, że oznaczało to, iż dziecko parło bardzo nisko, przygotowując się do przyjścia na świat.

Nagle stało się zupełnie jasne, co ma zrobić, a gdy uświadomił to sobie, wszystkie jego lęki znikły. Żołądek uspokoił się. Ręce przestały drżeć. Opuściło go zdenerwowanie, gdy uświadomił sobie, że potrzebuje go zarówno dziecko, jak i matka. Potrzebowali kogoś, kto zna się na rzeczy.

Nie żałował alkoholu, przecierając jej brzuch, uda i narządy rodne. Palily go palce tam, gdzie przerwał naskórek, szorując wcześniej dłonie, ale prawie tego nie poczuł. Na zapas wytarł alkoholem także strzemiona, zanim delikatnie podniósł jej pięty i wsunął w skórzane pętle, które zacisnęły się powyżej kolan. Następnie umieścił pod nią dodatkowe czyste złożone flanelowe prześcieradło.

- W... W... Will. - Oddychała ciężko, gdy zaczął się następny skurcz.

- Tak, kochanie - odpowiedział spokojnie, ale stał na swoim stanowisku, a jego wzrok przykuty był do wstrząsanego skurczem brzucha. Patrzył, jak Elly wolno wygina się w łuk, jak z każdym skurczem jest coraz większa.

- W... W... Wiiiiill! - wydobyła z siebie rozziewający krzyk, gdy skurcz nadszedł i nasilił się. Umieścił dłonie pod jej udami i pomógł to przetrwać, czując, jak napinają się wszystkie mięśnie, gdy się podniosła. Dopiero gdy się rozluźniła, podniósł oczy na jej twarz. Kropelki potu wisiały na jej brwiach. Duże kosmyki włosów były wilgotne, a wargi suche i popękane. Zwilżyła je językiem, a on myślał o słoiku wazeliny, którego nie odważył się

dotknąć. Zanim wyschły jej wargi, nadszedł jeszcze jeden ból, a wtedy można było zobaczyć ciemną główkę dziecka.

- Widzę ją! - krzyknął Will. - Spróbuj jeszcze raz, kochanie, a będzie tutaj za chwilę!

Czekał z dłońmi rozpostartymi w powitalnym geście, nie ośmielając się ani na chwilę odwrócić wzroku od ciemnych włosków teraz już doskonale widocznych. Macica Elly wygięła się, nogi naprężyły się w rzemieniach, a ręce zacisnęły na żelaznych prętach. Ochrypli krzyk rozdarł powietrze i Will dowiedział się, co oznacza słowo krocze, gdy patrzył na łzy Elly. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, ponieważ w tej samej chwili wysunęła się główka dziecka - odwrócona do tyłu, tak jak obiecywano, twarzą do dołu i śliska w jego oczekujących rękach. Następnie, jak gdyby za sprawą jakiegoś cudu, odwróciła się na bok, zgodnie z naturalną kolejną rzeczy, a on kołysał ją w dłoni maleńką, śliską i czerwoną.

- Jej główka jest już na zewnątrz, kochanie. O Boże, ma ciemne brwi. - Zniekształcona twarz była ciemna i naznaczona trudami narodzin, a ostrzeżenie w książce bardzo przydało się Willowi, bo wiedział, że tego należało oczekiwać; wiedział, że dziecko nie udusi się z kroczem przylegającym ciasno do szyi. Nie panikuj! Nie próbuj jej wyciągnąć! - A teraz spokojnie, maluszku - wymamrotał do dziecka - muszę wyczyścić twoją buzię. Jak gdyby Matka Natura wiedziała dokładnie, co robi, dała dostatecznie dużo czasu, aby Elly mogła odpocząć, a Will otarł palcem buzię dziecka i oczyścił rękę, zanim Elly zgięła się i pojawiło się najpierw jedno ramię dziecka, a następnie drugie, a później urodziło się całe dziecko. Na rękach oczekującego Willa pojawiło się stworzonko z ciemną buzią, połączone z matką cienką linią życia. Przyszła na świat śliska i wilgotna, napelniając jego serce ogromną radością. Twarz Willa jaśniała wielkim zadziwieniem.

- Już z nami jest, Elly, urodziła się! Miałaś rację. To dziewczynka. I... o mój Boże, mniejsza niż moje ręce. - Gdy mówił, położył cenny ładunek na brzuchu Elly, a ona ciężko oddychała, mając krótki czas wytchnienia po narodzinach. Rozluźniając uścisk na poręczy łóżka za głową, Elly wyciągnęła ręce, aby dotknąć główki dziecka, podnosząc własną z wysiłkiem i uśmiechając się ze znużeniem. Gdy głowa opadła jej do tyłu, roześmiała się, a łzy pociekły po skroniach.

- Czy jest ładna?

- Jest najjaźłośniejszym stworzeniem, jakie widziałem w życiu. - Śmiał się z ulgą, dopóki nie zobaczył, że Elly jest w szoku poporodowym i mówi coś niewyraźnie, napina się, jej twarz zaczyna się trząść i robi się fioletowa. Położył dziecko i próbował pomóc Elly w czasie drugiej fali bólów partych. Jednak łożysko i błony płodowe nie chciały się pojawić. Odchyliła się, ciężko dysząc, bliska wyczerpania, a jej powieki drżały. Kolejny ból party

przyniósł te same wyniki, a Will poczuł, jak ogarnia go lęk, jednocześnie robił to, co, jak wiedział, musiało być zrobione. Położył jedną dłoń na jej miękkim brzuchu, wyczuwając tylną część łożyska w górze macicy i tak nią obracając, aby wywołać skurcz. Jęknęła i próbowała odepchnąć jego rękę. Cały czas wmawiał sobie, że trzeba czasem zadać ból, aby pomóc. Piekły go oczy. Otarł je ramieniem i przysiągł, że Elly nigdy nie będzie z nim w ciąży. Sięgnął do środka jej delikatnego ciała, rozluźniając łożysko i błony płodowe, jednocześnie ugniatając miękki brzuch. Nagle poczuł jakąś zmianę, bo jej własne ciało zaczęło pracować. Brzuch skurczył się, a z jego pomocą łożysko opadło, obniżyło się, tworząc niewielkie opuchnięcie poniżej splecionych włosów łonowych. - Jeszcze raz, Elly, kochanie, jeszcze jeden wysiłek i będziesz mogła odpocząć. Z jakiegoś ukrytego źródła czerpała siłę do jeszcze jednego potężnego wysiłku, który wywołał ostatni potok, a z jej ciała wydobyło się łożysko, oddzielając ją zupełnie od życia, które utrzymywała przez dziewięć miesięcy.

Ramiona Willa opadły. Zamknął oczy, wciągnął dużo powietrza, otarł brew rękawem i pochwalił ją krótko:

- Dobrze, kochanie. Już po wszystkim. Poczekaj jeszcze chwilę.

Ręce mu nie drżały, gdy wiązał pierwszy węzeł cztery centymetry od ciała dziecka, pozostawiając dosyć miejsca pomiędzy tym a drugim, tak aby swobodnie mógł posłużyć się nożyczkami. Przeciął pępowinę. Dziecko było odłączone.

Oddychaj! Oddychaj! Oddychaj!

Słowo to miał cały czas w pamięci, gdy podniósł dziecko i patrzył, jak zwija się w pozycji embrionalnej w jego rękach. Przypomniawszy sobie różne wskazówki, aby uderzeniem wywołać u noworodka pierwszy oddech. Silne uderzenie. Zimna woda. Sztuczne oddychanie. Ale zrobić coś takiego tak małyemu stworzeniu wydawało się sadyzmem. No dalej, dziewczynko, oddychaj!... Oddychaj! Minęło piętnaście sekund, a następnie trzydzieści. Nie zmuszaj mnie, abym posłużył się zimną wodą. I raczej odciąłbym moją własną rękę, niż uderzył ciebie. Usłyszał, że wchodzi chłopcy i zawołał zza drzwi. Prawie tego nie usłyszeli. Jego serce zaczęło pędzić jak szalone. Ogarnęła go rozpacz. Potrząsnął dzieckiem. Oddychaj, na miłość boską, oddychaj! W panice podrzucił ją w powietrze i złapał, gdy upadała. Sekundę później otworzyła buzię, dostała czkawki, zaczęła przebierać nóżkami i rączkami i krzyczeć najślabszym głosem, jaki tylko można sobie wyobrazić. Nadchodził falami - wuuu, wuuu, wuuu - była bardzo zabawna ze ściągniętymi usteczkami, spłaszczonym nosem; biła też powietrze małykami piąstkami. Był to delikatny, ale zdrowy płacz, zdradzał też znakomicie irytację, że potraktowano ją tak brutalnie w tej pierwszej minucie pobytu na świecie.

Will spojrzawszy na zakrwawioną twarzyczkę, wysłuchał powitalnej skargi i się roześmiał.

Z ulgą. Radośnie. Pocałował miniaturowy nosek i powiedział:

- Możesz już zacząć swoją drogę. To właśnie chcieliśmy usłyszeć. - Następnie zwrócił się do żony: - Oddycha, jest piękna i zdrowa jak ryba. - Nagle spowaźniał. - Elly, ty drzysz. - W czasie minuty, kiedy skoncentrował się na swoich obowiązkach przy dziecku, złapały ją dreszcze. Leżała teraz, drżąc, jej obnażone nogi były wilgotne, a pościel przesiąknięta. Mój Boże, w takiej chwili potrzebne były trzy pary rąk.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła go Elly. - Najpierw zaopiekuj się nią.

Przyszło mu to z trudem, ale miał niewielki wybór, biorąc pod uwagę, że instrukcje Elly zgadzały się z tym, co zapamiętał. Do tej pory wszystko szło w doskonałym naturalnym porządku. Kierował się książką i miał nadzieję, że nie opuści ich szczęście. Zatrzymał się jednak na chwilę - odłożył dziecko i delikatnie wyjął nogi Elly ze strzemion, ułożył je na posłaniu i przykrył ją. Pocałował delikatnie suche usta i wyszeptał:

- Wrócę natychmiast, gdy ją wykąpię. Dasz sobie radę?

Skinęła słabo i zamknęła oczy.

Położył dziecko na jednym ramieniu, otworzył drzwi drugim i zobaczył chłopców, trzymających się za ręce i płaczących żałośnie.

- Słyszeliśmy, że mama krzyczała.

- Teraz ma się lepiej, patrzcie. - Will uklęknął. Widok czerwonego wrzeszczącego dziecka sprawił, że błyskawicznie przestali płakać, co było bardzo zabawne. - Macie malutką siostrzyczkę. - Usta Donalda otworzyły się ze zdziwienia. Łzy wisały na czarnych jak sadza rzęsach Tomcia. Żaden chłopiec nie odezwał się ani słowem. - Właśnie się urodziła. W tej samej chwili zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego.

- Chcę zobaczyć mamęęęę!

- Maamaaa!

- Czuje się dobrze, widzicie? - Will uchylił drzwi i pozwolił im zerknąć do środka dla pewności. Zobaczyli tam swoją matkę leżącą i odpoczywającą z zamkniętymi oczami. Will zamknął drzwi. - Cicho sza. Odpoczywa teraz, ale wejdziemy tam później, gdy tylko wykąpiemy dziecko. Chodźcie teraz, może będziecie musieli mi pomóc.

Poszli za nim jak zahipnotyzowani.

- Czy w prawdziwej wannie?

- Nie, prawdziwa nie jest jeszcze gotowa.

- W zlewie?

- Tak.

Ciągnęli skrzypiące krzesła przez kuchenną podłogę i stanęli na nich każdy po innej

stronie Willa, gdy włożył ich siostrę do zlewu pełnego ciepłej wody. Natychmiast przestała płakać. Kołysana w dużych rękach Willa, wyciągnęła się, otworzyła ciemne oczy i spojrzała na świat po raz pierwszy. Tomcio wyciągnął palec, jak gdyby chciał sprawdzić, czy jest prawdziwa.

- Nie, nie. Nie wolno jej jeszcze dotykać. - Tomcio cofnął palec i z szacunkiem popatrzył na Willa.

- Skąd się wzięła? - spytał Donald Wade.

- Z brzuszka waszej mamy.

- Nie wierzę. - Wyglądało na to, że Donald Wade jest zupełnie nieprzekonany.

Will roześmiał się i delikatnie zanurzył dziecko w wodzie.

- Oczywiście, że tak. Leżała zwinięta jak mały motylek w kokonie. Widzieliście kokon, nieprawdaż? - Oczywiście, że widzieli. Mając taką matkę, chłopcy oglądali kokony, gdy urosli na tyle, aby wypowiedzieć pierwsze słowo. - Jeśli motyl może wyjść z kokonu, dlaczego maleńka siostrzyczka nie może wyjść ze swojej matki?

Ponieważ żaden z nich nie umiał na to znaleźć odpowiedzi, uwierzyli.

- Nie ma siusiaka! - zauważył Donald Wade.

- Jest dziewczynką. Dziewczynki ich nie mają.

Donald Wade patrzył na różową skórę siostrzyczki. Spojrzał na Willa.

- A będzie go miała?

- Nie.

Donald Wade podrapał się w głowę, a następnie wskazał ręką.

- Co to jest?

- Jej pępek.

- Och. - Po chwili zastanowienia dodał: - Nie wygląda jak mój.

- Ale będzie tak wyglądać.

- Jak ma na imię?

- Będziesz musiał o to zapytać mamę.

Dziecko dostało czkawki, a chłopcy roześmiali się. Następnie stali obok, nie spuszczać z siostrzyczki wzroku, kiedy Will mył ją mydłem glicerynowym. Rozprowadził je na pulsującej główce, ugiętych nóżkach, pomiędzy maleńkimi paluszkami u nóg i rąk, które musiał otworzyć. Tak delikatne, tak doskonałe. Nigdy nie dotykał tak miękkiej skóry, nigdy nie miał w ręku tak delikatnej istotki. W czasie tej pierwszej kąpieli dziewczynka tak mocno zapadła mu w serce, że nigdy nie straci już tam swojego miejsca. Nie ma znaczenia, że nie jest jego własnym dzieckiem. W jego sercu była. Przyjął ją na ten świat! Wywołał pierwszy

oddech, wykapał po raz pierwszy! Gdy miało się serce tak napelnione radością, nie można było dbać o to, czyje nasienie zrodziło życie dające mu tak ogromne poczucie spełnienia. Ta małeńka dziewczynka będzie miała w Willu Parkerze ojca i zazna miłości obojga rodziców.

Położył ją na miękkim ręczniku, wyczyścił twarz i uszy oraz wysuszył wszystkie zakamarki i zagłębienia, doświadczając coraz większej radości i uśmiechając się łagodnie. Zrobiło jej się zimno i zaczęła płakać, a płacz ten co chwilę przerywała czkawka.

- No co tam, kochanie, najgorsze minęło - wymruczał Will - rozgrzeję cię za minutę. - Był zaskoczony, że taką przyjemność sprawia mu pierwszy monolog zwrócony do dziecka. Uświadomił sobie, że nie można było nie rozmawiać z tak słodką istotą.

Will delikatnie zajął się jej pępownią, posługując się alkoholem, zakładając bawełniany bandaż, a następnie kładąc wazelinę na brzusek, zanim zawiązał bandaż i założył po raz pierwszy pieluszkę. Wierciła się jak sprężynka za każdym razem, kiedy próbował manipulować ręką, przypinając pieluszkę. Chłopcy chichotali. Cofnęła rączki, kiedy próbował włożyć je w małeńki podkoszulek i koszulkę. Chłopcy jeszcze bardziej się śmiali. Kiedy Will sięgnął po jeden różowy bucik, Donald Wade dumnie czekał, aby go mu wręczyć.

- Dziękuję, kemo sabe - powiedział Will i zawiązał pantofelek na chudziutkiej kostce. Tomcio czekał, aby wręczyć mu drugi.

- Dziękuję, Tomciu - powiedział, mierzwiąc włosy chłopca. Kiedy dziecko było przygotowane do pokazania matce, Will podniósł je ostrożnie.

- Teraz wasza mama zechce ją zobaczyć, a za jakieś piętnaście minut lub coś koło tego zechce was zobaczyć, więc obaj umyćcie ręce, uczeszcie włosy i czekajcie w swoim pokoju. Zawołam was, kiedy będzie gotowa, dobrze?

Zatrzymując się przed zamkniętymi drzwiami sypialni, Will przyjrzał się dziewczynce. Leżała nieruchomo, nie wydając żadnego dźwięku, jej piąstki były zaciśnięte jak pączki róż, a włosy delikatne jak pajęczyna. Zamknął oczy i pocałował ją w czółko. Pachniała lepiej niż cokolwiek innego na świecie. Ładniej niż chleb w piekarniku. Ładniej niż czyste powietrze.

- Jesteś tak drogocenna - szepnął, czując, jak serce wzbiera mu tak nieoczekiwaną miłością, że aż pieką oczy. - Myślę, że ty i ja będziemy przyjaciółmi.

Następnie trącił łokciem i otworzył drzwi sypialni, wszedł do środka i zamknął je plecami.

Elly leżała drzemiąc. Wyglądała na nieprzytomną i wyczerpaną.

- Elly, kochanie?

Otworzyła oczy i zobaczyła, że stoi z dzieckiem na rękach, na jego koszuli widnieją

mokre plamy, rękawy ma podwinięte do łokci, włosy w nieładzie i uśmiecha się łagodnie.

- Will - szepnęła, uśmiechając się i wyciągając rękę.

- Oto i ona. Teraz może się pokazać ludziom na oczy. - Położył zawiniątko na ręce Elly i patrzył, jak odchyła becik przy bródce dziecka, aby lepiej mu się przyjrzeć. Uczucia wezbrały w nim gwałtowną falą - miłość do kobiety, powitanie dziecka, a gdzieś w głębi duszy samotna skarga człowieka, który zawsze zastanawiał się, czy kiedykolwiek jego własna matka trzymała go w taki sposób, uśmiechała się do niego tak słodko, dotykała jego twarzy i całowała czółko ze czcią. Coś dławiło go w gardle, gdy tak patrzył.

Ukląkł obok łóżka i odchylił miękki flanelowy becik z drugiej strony. Prawdopodobnie jego matka tak nie postępowała, ale zrekompensuje to sobie, patrząc, jak Elly hojnie obdarza ten skarb miłością, jakiej sam nigdy nie zaznał.

- Och, Will, czy nie jest ładna?

- Oczywiście, że jest. Tak jak ty.

Elly podniosła wzrok i znowu go opuściła, gdy piąstka dziecka zacisnęła się wokół jej małego palca.

- Och, ja nie jestem ładna, Will.

- Zawsze uważałem, że jesteś.

Dziecko drugą rączką złapało palec Willa. Połączeni nim mąż i żona dzielili tę chwilę bliskości. Will niechętnie ją przerwał.

- Lepiej teraz zajmę się tobą, chyba zgodzisz się ze mną? Umyję cię i dam ci jakieś czyste ubranie.

Elly z żalem oddała dziecko, a Will położył je w koszyku. Klękając na jednym kolanie, poprawił różowy szal, dotknął czółka palcem i półgłosem powiedział:

- Śpij teraz, skarbie.

Wstał i zobaczył, że Elly patrzy na niego i doświadczył nagłego zakłopotania. Był człowiekiem, który musiał nauczyć się, jak rozmawiać z chłopcami, minęły tygodnie, zanim zaczął się czuć z nimi swobodnie. A teraz nie minęła jeszcze nawet godzina, a on mamrotał delikatne czułe słówka do dziewczynki, która niczego jeszcze nie rozumiała. Jego kciuki trafiły do tylnych kieszeni w nieświadomym geście, który mówił, że Will Parker stracił głowę.

- Położyłem ją na brzuszku tak, jak mówiłaś. - Ogromna miłość wywołała na twarzy Elly łagodny uśmiech, gdy tak stał, nie mogąc znaleźć sobie miejsca... - Przyniosę wodę dla ciebie i... i zaraz wrócę - powiedział niewyraźnie.

- Kocham cię, Will - powiedziała. Znała dobrze to spojrzenie pełne spokoju, które

miał wtedy, kiedy wszystko układało się zbyt doskonale, aby mógł to ogarnąć. Wiedziała, co oznaczał sposób, w jaki stał, kciuki w kieszeni, zatrzymanie się - wszystko to mówiło, że wewnątrz rozważał coś, myślał o dobrych rzeczach, w które czasami nie udawało mu się uwierzyć. W takich chwilach chciała, aby był blisko niej, by mogła go dotknąć.

- Najpierw chodź tutaj. - Podeszedł bliżej, ale zachował należyty dystans, jak gdyby to, że dotknie łóżka, mogło jej zaszkodzić. - Tutaj, obok mnie.

Usiadł ostrożnie na brzegu materaca, a ona przyciągnęła go do siebie, a później przytuliła go, jak tego potrzebował.

- Tak świetnie sobie poradziłeś. Tak świetnie.

- Urazę cię, Elly, opierając się w taki sposób.

- Nigdy.

Nagle zaczęli obejmować się bardzo mocno. Przytulił twarz do jej ucha.

- Jezu, jest taka śliczna.

- Wiem. To cud, nieprawdaz?

- Nie wiedziałem, że tak to odczuję, gdy wezmę ją na ręce po raz pierwszy. Nie ma znaczenia, że nie jest moim dzieckiem. Miałem wrażenie, że naprawdę jest moja.

- Wiem. Możesz kochać ją, ile tylko zapragniesz, Will, i będziemy udawać, że tak jest. Za rok o tej porze będzie nazywać cię tatusiem.

Zamknął oczy i przycisnął usta do skroni Elly, a następnie podniósł się z niechęcią.

- Teraz lepiej będzie, jak przyniosę tę ciepłą wodę, mamusiu. Chłopcy czekają, aby wejść i zobaczyć się z tobą.

Miękką ściereczką i dziecinnym mydłem obmył zmęczone nogi Elly i bolące miejsca. Zrobił okład z żywokostu, położył go na jej rozerwanej skórze i umocnił bawełnianym opatrunkiem oraz zwykłą bawełnianą bielizną. Pomógł jej założyć czysty biały stanik, zapiął go, zanim podał czystą koszulę nocną i patrzył, jak wślizguje się w nią. Zmienił pościel i przeniósł Elly na łóżko, a później zaniósł pobrudzone prześcieradła do namoczenia i w końcu poszedł po chłopców, którzy czekali w swoim pokoju, zachowując się niezwykle grzecznie i posłusznie jak zwykle dzieci przy wyjątkowo uroczystych okazjach.

- Gotowi?

Skinęli głowami w milczeniu. Will ukrył uśmiech. Donald Wade uczesał siebie i Tomcia, wygładzając włosy wodą, aż wilgotne przylegały do główek.

- Mama czeka na was.

Zatrzymali się w sypialni matki, trzymając Willa za rękę, patrząc na niego pytająco.

- Idźcie więc, ale nie wskakujcie na łóżko.

Usiedli po obu stronach Elly, przyglądając się jej, jak gdyby zamieniła się w postać z jednej ze swoich bajek, kogoś magicznego i olśniewającego.

- Witajcie - powiedziała, biorąc ich za ręce.

Patrzyli na nią szeroko otwartymi oczami, jak oniemiaли.

- Czy widzieliście swoją małą siostrzyczkę?

- Pomogliśmy Willowi wykapać ją.

- I pomogliśmy mu ją ubrać.

- Wiem. Will powiedział mi o tym. Powiedział, że obaj świetnie sobie poradziliście. -

Uśmiechnęli się dumni. - Czy chcielibyście ją znowu zobaczyć?

Skinęli zgodnie głowami.

- Przynieś ją tu, kochanie - Elly poprosiła Willa.

Dziewczynka spała. Kiedy położył ją na zgiętej ręce Elly, włożyła piąstkę do buzi i ssła tak mocno, że aż było słychać. Chłopcy roześmieli się, a Will ukląkł obok łóżka, opierając się na łokciach. Przez kilka minut przyglądali się dziecku, a zdziwienie odjęło im mowę. W końcu Elly zapytała:

- Jak mamy ją nazwać? - spojrzała na nich. - Znasz jakieś ładne imię, Will? - Jednak nic nie przychodziło mu do głowy. - A ty, Donaldzie Wade, jakbyś chciał ją nazwać?

Donald Wade nie miał do powiedzenia więcej niż Will.

- A ty masz jakieś imię, Tomciu?

Oczywiście, nie miał. Zapytała go z uprzejmości, aby nie poczuł, że go pominięto. Dotykając włosów dziecka, Elly powiedziała:

- Myślałam o imieniu Lizzy. Co o tym myślicie?

- Lizzy? - Donald Wade splaszczyl swój nos.

- Lizzy jaszczurka - wtrącił Tomcio.

Wszyscy roześmieli się.

- Powiedz, gdzie to słyszałeś?

- W historii, którą nam opowiedziałaś o tym, skąd jaszczurka ma łuski - przypomniał jej Donald Wade.

- Och. - Nadal z czułością dotykała ślicznych czarnych włosków na główce dziecka. - Nie, ta będzie się nazywać po prostu Lizzy, Elizabeth Parker.

- Parker? - Wzrok Willa padł na Elly.

- No cóż, odebrałaś ją, prawda? Mężczyzna zasługuje na nagrodę za podobną rzecz.

Mój Boże, za chwilę pęknie mu serce. Ta kobieta oddałaby mu wszystko. Wszystko, co tylko posiada. Wyciągnął rękę i pogłaskał skroń dziecka. Lizzy, pomyślał. Lizzy P. Ty i ja

będziemy kumplami. Wyciągnął jedną rękę, by dotknąć włosów Elly, otoczył wolną ręką plecki Donalda, dotknął nogi Tomcia po drugiej stronie Elly. Uśmiechnął się do Lizzy P. i pomyślał: być mężem Eleonory Dinsmore to być w niebie.

ROZDZIAŁ 14

Uśmiech Willa oznajmił pannie Beasley nowinę, zanim jeszcze się odezwał.

- Urodziła dziewczynkę.

- I pan ją odebrał.

- Mimo wszystko nie było to takie trudne. - Wzruszył ramionami i przechylił głowę.

- Niech pan nie będzie taki skromny, panie Parker. Ja umarłabym ze strachu, gdybym miała odebrać dziecko. Czy wszystko poszło dobrze?

- Doskonale. Zaczęło się wczoraj około południa, a skończyło około trzeciej trzydzieści. Nazywa się Lizzy.

- Lizzy. Bardzo ujmująco.

- Lizzy P.

- Lizzy P. - Podniosła brwi.

- Tak, proszę pani. - Z przejęcia niemal drgała mu twarz, a miało to miejsce bardzo rzadko.

- A co oznacza litera P?

- Parker. Proszę sobie wyobrazić, dała maleńkiej moje nazwisko, nic nie liczącego się włóczęgi, który nawet nie wie, po kim je nosi. Niech pani poczeka tylko, aż ją zobaczy, ma włosy czarne jak węgiel i tak maleńkie paznokcie, że prawie ich nie widać. Nigdy przedtem nie widziałem dziecka z tak bliska! Jest niewiarygodna.

Panna Beasley rozpromieniła się, ukrywając przelotne ukłucie żalu, bo nigdy nie miała dzieci i męża, który by się nimi cieszył.

- Musisz pogratulować Eleonorze w moim imieniu. Powiedz jej też, że spodziewam się, iż Lizzy zacznie odwiedzać bibliotekę nie później niż po swoich piątych urodzinach. Nigdy nie jest za wcześnie, aby zainteresować dziecko książkami.

- Przekażę to jej, panno Beasley.

Były to bardzo specjalne dni i noce, zaraz po narodzinach dziecka. Will budził się, słysząc Lizzy płaczącą w koszyku, wstawał na zmianę z Elly, aby przewrócić ją na drugi bok i opowiadać, co mu ślina na język przyniosła. Śmieli się, kiedy chłodne powietrze dotykało jej skóry i marszczyła buzię, a później zaczynała łkać uroczym i cichym, bo łkanie to nie zamieniło się jeszcze w irytację. Co rano Will gotował śniadanie dla chłopców, przynosząc Elly tacę i pocałunek, a następnie kąpał Lizzy, prał pieluchy i rozwieszał, aby schły. Zmieniał pieluszkę Lizzy za każdym razem, choć Elly nie wymagała tego od niego. Odkurzał dom, a na jej

stoliku nocnym postawił modraszkę. Wysterylizował gumowe ściągaczki do pokarmu i przygotowywał rozwodnione mleko i butelki w dniach, kiedy Elly nie zaczęła jeszcze karmić piersią. Przygotowywał kolację, pilnował chłopców i przebierał w piżamki, później całował ich, Elly i Lizzy na dobranoc i ruszał do miasta.

Jednak najlepsze było to, co następowało później. Po długim dniu, kiedy wracał do domu, przychodziły minuty lenistwa. Leżeli wtedy w łóżku, dziecko ułożone było w środku pomiędzy Elly i nim, i patrzyli, jak śpi, ma czkawkę, zasłania oczy lub ssie piąstkę. Marzyli o jej i swojej przyszłości, patrzyli sobie w oczy i zastanawiali się, czy przyjdzie na świat jeszcze jedno dziecko, takie jak ona, ale ich.

Mieli trzy takie wspaniałe dni, zanim spadły bomby.

W niedzielę nie było w radiu „Mamy Trent”, a Elly leżała w łóżku, słuchając Radia Columbia. Orkiestra Filharmonii z Nowego Jorku grała pierwszą symfonię skomponowaną przez kogoś, kto nazywał się Szostakowicz. Wtedy to John Daly ogłosił:

- Japończycy zaatakowali Pearl Harbour!

W pierwszej chwili Elly nie zrozumiała wagi tej informacji, lecz później napięcie słyszalne w głosie spikera ogarnęło dom i nagle usiadła.

- Will! Chodź tu szybko!

Myśląc, że coś jest nie w porządku z nią lub z dzieckiem, przybiegł prędko.

- Co się stało?

- Zrzucili na nas bomby!

- Kto?

- Japończycy. - Słuchaj !

Słuchali, jak wszyscy inni w Ameryce, przez cały dzień i noc. Usłyszeli o zatopieniu pięciu amerykańskich okrętów wojennych na spokojnej wyspie na Hawajach, o zniszczeniu 140 samolotów amerykańskich i śmierci ponad 2000 Amerykanów. Usłyszeli głos Kate Smith śpiewającej „Boże, błogosław Amerykę” i zespół armii narodowej grający „Gwiazdzisty sztandar”. Słyszeli o alarmach przeciwlotniczych wzdłuż zachodniego wybrzeża, gdzie obawiano się inwazji japońskiej i tysiące osób pospiesznie zgłosiło się na ochotnika do sił zbrojnych. Opowiadano zdumiewające historie o mężczyznach zrywających się od stolików restauracyjnych w połowie posiłku i zgłaszających się do najbliższego punktu poborowego. Tam natrafiali na długą kolejkę złożoną z ochotników - gdy nie minęła godzina od pierwszych komunikatów radiowych.

W Whitney w stanie Georgia, skąd można się było przenieść na zagrożone wybrzeże samolotem w ciągu kilku godzin, wcześniej zgasili lampę i poszli spać, zastanawiając się, co

przyniesie następny dzień.

A nazajutrz prezydent Roosevelt wygłosił przemówienie.

„Wczoraj, siódmego grudnia 1941 roku, w dniu, o którym pamięć zawsze będzie haniebna, Stany Zjednoczone Ameryki zostały nagle i z premedytacją zaatakowane przez morskie i lądowe siły powietrzne cesarstwa Japonii. Okręty amerykańskie, jak doniesiono, zostały storpedowane na pełnym morzu pomiędzy San Francisco i Honolulu”.

„Wczoraj rząd japoński również rozpoczął atak na Malaje”.

„Ubiegłej nocy wojska japońskie zaatakowały Hongkong”.

„Ubiegłej nocy siły japońskie zaatakowały Guam”.

„Ubiegłej nocy siły japońskie zaatakowały Wake Island”.

„Dziś rano Japończycy zaatakowali wyspę Midway...”

Rozpoczęła się wojna. Nie ma żadnych wątpliwości, że nasi ludzie, nasze terytorium, nasze interesy są poważnie zagrożone”.

„Pokładając zaufanie w naszych siłach zbrojnych - przy bezgranicznej determinacji naszych ludzi - odniesiemy nieuniknione zwycięstwo - tak nam dopomóż Bóg”.

„Proszę, aby Kongres ogłosił, że od chwili tego nieuzasadnionego i nikczemnego ataku Japonii w niedzielę, siódmego grudnia, Stany Zjednoczone i cesarstwo Japonii są w stanie wojny”.

Will i Elly wpatrywali się z napięciem w radio i w siebie. Nie teraz - pomyślała. - Nie teraz, kiedy wszystko układa się tak dobrze.

A więc tak to jest - pomyślał. - Będę musiał iść tak jak setki innych.

Z zaskoczeniem stwierdził, że ogarnia go to samo oburzenie, które przeszło gniewną falą w pozostałych stanach Ameryki.

Tego wieczoru nie spał, rozmyślając. Elly leżała napięta. Po długim milczeniu przekreśliła się na bok, aby być bliżej niego, i przytuliła się zaborczo.

- Czy będziesz musiał iść?

- Szs!

- Jednak teraz jesteś ojcem. Jak mogą zabrać ojca opiekującego się noworodkiem i dwoma innymi dziećmi?

- Mam trzydzieści lat. Jestem wciągnięty na listę poborowych. Prawo dotyczące poboru do wojska mówi wyraźnie - od dwudziestego do trzydziestego piątego roku życia.

- Może cię nie powołają.

- Będziemy się martwić, kiedy przyjdzie na to czas.

Płynęły minuty, a oni leżeli w milczeniu, trzymając się za ręce. Po chwili powiedział:

- Zamierzam założyć elektryczność i zainstalować lodówkę oraz elektryczną pralkę i sprawdzić, czy wszystko w gospodarstwie jest w doskonałym stanie.

Ścisnęła jego rękę i przycisnęła twarz do ramienia męża.

- Nie, Will... nie.

O pierwszej w nocy, kiedy Lizzy obudziła się głodna, Will poprosił Elly, aby zostawiła zapaloną lampę. W jej bladym bursztynowym blasku leżał na boku i patrzył, jak karmi dziecko, jak małe białe piąstki uderzają w niebieskawe sutki, patrzył, jak nadymają się i rozciągają policzki maleństwa, gdy ciągnie pokarm. Patrzył, jak Elly układa palcami loczek na delikatnej główce Lizzy.

Myślał o wszystkim, dla czego musi żyć, o wszystkim, za co musi walczyć. Zanim wyjedzie, musi jednak pomyśleć o Elly i dzieciach.

Od tej pory radio nigdy nie było wyłączone. Dzień po dniu słyszeli, że Ameryka jest nie przygotowana do wojny. W Waszyngtonie żołnierze zajęli stanowiska w centrach rządowych w hełmach z pierwszej wojny światowej, niosąc stare karabiny Springfielda, a tymczasem ósmego grudnia japońskie samoloty strąciły dwa samoloty na Filipinach, a dziesiątego japońskie wojska zaczęły lądować na wyspie Luzon.

Na początku wszystko to wydawało się Elly bardzo odległe, ale Will przyniósł do domu gazety z biblioteki i śledził posuwanie się Japończyków na małych mapkach, które sprawiły, że wojna wydawała się bliższa. Pracował przecież w ratuszu miejskim, gdzie już zapisywano rekrutów dwanaście godzin na dobę. Obwieszczenia na budynku i w sieni głośiły **BRÓŃ KRAJU - ZACIĄGNIJ SIĘ DO WOJSKA**. Podobne wisiały w całej Ameryce. Kraj opanowywało coraz większe pragnienie, aby walczyć.

Will stwierdził, że jego również ogarnęła ta gorączka - też chciał to uczynić.

Skończył montować generator kierowany siłą wiatru i przyłączył do niego radio, ponieważ ich baterie były już prawie zużyte, a nowych nie można było dostać. Generator ten jednak nie mógł wytworzyć dostatecznie dużo energii, aby uruchomić duże urządzenia, dlatego zainstalował silnik benzynowy w starej ręcznie obsługiwanej pralce i zrobił naftowy podgrzewacz wody. Stał on obok wanny niczym wysoki potwór. W dniu, kiedy napełnili wannę po raz pierwszy, było prawdziwe święto. Chłopcy wykapali się, po nich Elly, a na końcu sam Will. Bezsprzecznie jednak ta tak długo oczekiwana radosna chwila była przyćmiona, bo choć o tym nie mówili, uświadamiali sobie, dlaczego Will się śpieszy, aby zrobić tak wiele w gospodarstwie.

Panna Beasley zaskoczyła wszystkich, przychodząc z wizytą, kiedy Lizzie miała dziesięć dni. Przyniosła sweterek i parę bucików dla dziecka oraz „Tymcia Tymoteusza

Tottera” dla chłopców - nie egzemplarz z biblioteki, ale nowiutki, który mogli już zatrzymać na zawsze. Byli przejęci nieznaną, która przyniosła im prezent, samą książką oraz myślą, że należy do nich. Panna Beasley usadowiła ich, aby wygodnie obejrzel sobie obrazki, obiecując, że poczyta im na głos, gdy tylko odwiedzi ich matkę po raz drugi.

- A więc znowu jesteś na nogach - powiedziała do Eleonory.

- Tak, jednak muszę przyznać, iż Will ogromnie mnie psuje.

- Kobieta zasługuje na to, żeby od czasu do czasu ją rozpuścić - bez najmniejszej nutki ciepła w głosie mówiła dalej rozkazująco - a teraz bardzo bym chciała zobaczyć to twoje maleństwo.

- Tak... oczywiście. Proszę ze mną, jest w naszej sypialni.

Elly prowadziła, a Will szedł za nimi. Później stał za nimi z rękami w tylnych kieszeniach, kiedy panna Beasley pochyliła się nad koszykiem i przyjrzała uważnie twarzyczce śpiącego dziecka. Skrzyżowała dłonie na brzuchu, cofnęła się i oznajmiła:

- Masz śliczne dziecko, Eleonoro.

- Dziękuję, panno Beasley. Śpi bardzo spokojnie.

- To wielki skarb.

- Tak, wiem o tym.

- Pan Parker był bardzo, bardzo zadowolony, że dałaś dziecku jego nazwisko - panna Beasley poinformowała Elly ku zaskoczeniu Willa.

- Naprawdę? - Elly zerknęła przez ramię na Willa, który uśmiechnął się i wzruszył tylko ramionami.

- Bez żadnych wątpliwości.

Zapadła cisza pełna napięcia, nim Elly wymyśliła coś i powiedziała:

- Mam kawałek świeżego piernika i gorącą kawę, jeśli ma pani ochotę.

- Mam słabość do piernika, skosztuję z przyjemnością.

Wrócili gromadnie do kuchni, a Will patrzył, jak Elly nerwowo podaje słodczyce i kawę. Przysiada na brzegu swojego krzesła jak ptaszek, gotowy, by zerwać się do lotu. Gdyby zależało to od niej, prawdopodobnie odwołałaby tę całą wizytę, ale nikt nie wyrzucił panny Beasley z domu ani nawet z sypialni, kiedy już przyszła ich odwiedzić. Will ukradkiem przyglądał się bibliotekarce, ale ona rzadko patrzyła w jego stronę. Całe to spotkanie odbywało się z taką samą pedantyczną sztywnością, z jaką panna Beasley oprowadzała dzieci po bibliotece. Uderzyło go, że obie kobiety były dość spięte, a więc w takim razie skąd te odwiedziny?

W końcu rozmowa zeszała na temat wojny, która wywołała najbardziej gorącą falę patriotyzmu, jak tylko sięgnąć pamięcią.

- Zaciągają się do wojska, jak gdyby była to kolejka po darmowe lody. Dziś kolejnych pięciu i to z samego Whitney - James Burcham, Milford Dubois, Voncile Potts i dwóch chłopaków pana Sprague. Biedna Estera Sprague. Najpierw umarł mąż, a teraz synowie odchodzą z domu. Szerzą pogłoski, że Harley Overmire również dostał wezwanie. - Panna Beasley nie rozwodziła się nad tym, choć Will miał wrażenie, że miała wielką ochotę.

- Martwię się, że Will będzie musiał iść - wyznała Eleonora.

- Ja także, ale mężczyzna musi spełnić swój obowiązek, a kobieta musi pozwolić mu na to, gdy tego potrzeba.

Czy właśnie dlatego przyszła - przygotować Elly, bo już odgadła, iż podjął decyzję. Czy chciała pozyskać jej zaufanie, przeczuwając, że będzie potrzebować przyjaciela, kiedy mąż odejdzie? Will poczuł sympatię do pulchnej kobiety, która jadła piernik z nieskazitelnymi manierami, choć odrobina bitej śmietany znalazła się znowu nad jej górną wargą.

W tej chwili poczuł, jak bardzo jest mu droga, i uświadomił sobie, że i ją zmuszony będzie pożegnać i jeszcze trudniej będzie mu odjechać. Pomimo wszystko opuści ich. Wszyscy wiedzieli, że być w wieku poborowym i nie zaciągnąć się jest hańbą. Było to przedmiotem podejrzeń i insynuacji dotyczących stanu zdrowia i siły charakteru.

Zaraz po Bożym Narodzeniu, zdecydował Will. Odczeka do Bożego Narodzenia, zanim się zgłosi do komisji poborowej i powie Elly. Bądź co bądź należy im się jedno wspólne Boże Narodzenie.

Rzucił się w wir świątecznych przygotowań, mając ochotę na wszystkie tradycyjne przyjemności - jedzenie, drzewko, prezenty, świętowanie - na wypadek, gdyby życie nie dało mu drugiej szansy. Zrobił hulajnogę dla chłopców, kupił im lizaki, sucharki, czekoladki oraz komiczne książki kapitana Marvela. Dla Elly nabył coś zabawnego - popularną grę w chińczyka. Do tej gry potrzeba przynajmniej dwóch graczy, ale on i tak ją kupił, niech ma nadzieję, że wróci.

Dzień 22 grudnia przyniósł wiadomości o bardzo ciężkim nalocie Japończyków na północ od Manili. W Wigilię przyszły wieści o jeszcze jednym lądowaniu na południu miasta, które znajdowało się w niebezpieczeństwie i mogło wpaść w ręce wroga w każdej chwili.

Po tym wydarzeniu Elly i Will zawarli pakt, że przestaną słuchać radia przez pozostałą część świąt i postarają się sprawić chłopcom jak najwięcej radości.

Jednak ona wiedziała. W jakiś sposób wiedziała.

Napełniając pończochy prezentami, Elly podniosła wzrok i patrzyła, jak Will wrzuca tam garść prażonych orzeszków ziemnych, prawie tak podekscytowany jak Tomcio. Czują

ucisk w gardle. Podeszła do niego i do oczu napłynęły mówiące wszystko łzy. Położyła policzek na jego piersi i powiedziała:

- Kocham cię, Will.

- Ja także cię kocham. - Bawił się jej włosami, gdy stała lekko oparta o niego.

Nie powiedziała: „nie idź”.

Nie odpowiedział: „muszę iść”.

A za chwilę powrócili do napełniania pończoch.

Dla Willa bożonarodzeniowy poranek miał posmak goryczy, choć obserwował, jak oczy chłopców rozjaśniają się na widok hulajnogi, śmiał się, gdy będąc jeszcze w piżamkach, sięgali do swoich pończoch, trzymając je na jego kolanach, próbowali cukierków i pochłaniali wzrokiem książki. Wszystko to było nowe dla Willa. Przeżył te święta z Donaldem Wade'em i Tomciem po raz pierwszy, tak jak nigdy w dzieciństwie.

Elly ofiarowała mu zamówioną koszulę. Miał ją na sobie, gdy grali w chińczyka. Chłopcy jeździli na hulajnodze w salonie i w kuchni.

Na obiad nie było tradycyjnego indyka. Will zaproponował, że weźmie starą dubeltówkę, spróbuje swych sił i upoluje jednego, ale Elly nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Jeden z moich ptaków? Chcesz zastrzelić jednego z moich dzikich indyków? Mówię, nie. Zjemy wieprzowinę. - I tak też zrobili.

Na obiad Elly podała wieprzowinę z farszem z chleba z mąki kukurydzianej, smażoną okrę i placek z pigwy. Panna Beasley była ich gościem.

Panna Beasley, która spędziła święta tak wiele razy żałośnie w samotności, teraz jaśniała jak światło neonowe, bo oto Will przyjechał, aby ją zabrać samochodem. Wizyta panny Beasley ożywiła Elly, przy jej stole miał zasiąść do posiłku ktoś z zewnątrz. Panna Beasley przyniosła prezenty: dla Elly piękny porcelanowy serwis do herbaty składający się z siedmiu filiżanek ozdobionych żółtymi ptaszkami i koniczyną na brązowym lśniącem tle; dla Willa parę wełnianych rękawiczek; dla chłopców dwa szklane samochodziki napełnione kolorowymi miękkimi cukierkami w kształcie słoników, rogów, pistoletów, żółwi oraz nową książeczkę „W noc przed Bożym Narodzeniem”, którą przeczytała im zaraz po obiedzie.

Boże Narodzenie w 1941 roku skończyło się stanowczo zbyt szybko.

Kiedy Will odwoził pannę Beasley do domku z cegieł na ulicy Durbin, miał na rękach nowe rękawiczki i odprowadził ją do samych drzwi.

- Chcę podziękować za wszystkie ofiarowane nam prezenty.

- Nonsens, panie Parker. To ja powinnam podziękować.

- Te rękawiczki są... - Uderzył jedną o drugą i pogłaskał je z namaszczeniem. - Są po

prostu... nawet nie wiem, jak to wyrazić. Nikt nigdy wcześniej nie dał mi czegoś tak wspaniałego. Czułem się okropnie, ponieważ nic pani nie daliśmy.

- Nie daliście mi nic? Panie Parker, czy wie pan, ile razy spędziłam samotnie Boże Narodzenie, odkąd umarła moja matka? Dwadzieścia trzy. Być może więc tak inteligentny człowiek jak pan jest w stanie w pełni zrozumieć, co daliście mi dzisiaj.

Często mówiła podobne rzeczy, nazywając go inteligentnym - prawda mu komplementy, jakich wcześniej nie słyszał, które sprawiały, że miał coraz większe poczucie swej wartości. Patrząc na jej twarz okoloną loczkami, w pełni rozumiał, co oznaczał dla niej dzisiejszy dzień, chociaż nie zdradziła tego spojrzeniem czy gestem. Miała ściągnięte powściągliwie usta, tak jak zwykle. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby pochylił się i pocałował ją. Prawdopodobnie trzepnęłaby go w głowę.

- Elly nie wiedziała, co powiedzieć na widok tego serwisu do herbaty. Nigdy nie widziałem, aby miała takie okrągłe z przejęcia oczy.

- Jednak pan wie, jak to rozumieć, prawda?

Długo patrzył jej w oczy. Oboje wiedzieli - kiedy pójdzie na wojnę, Elly będzie potrzebny przyjaciel. Być może ktoś, z kim będzie mogła napić się herbaty.

- Tak, proszę pani, przypuszczam, że wiem - odpowiedział miękko Will, a następnie położył ręce w nowych rękawiczkach na ramionach panny Beasley i zrobił to, co dyktowało mu serce: na jej policzku złożył czuły pocałunek. Nie odepchnęła go.

Poczerwieniła jak burak i zamrugała gwałtownie trzy razy, a następnie uciekła do domu, zapominając się pożegnać.

Pięć tygodni później Pearl Harbour Bell Aircraft otworzył nową fabrykę bombowców w Marietcie. Ostatni samochód pasażerski wjechał na taśmę montażową w Detroit, a Japonia zajęła Malaje i holenderskie Indie Wschodnie, odcinając Amerykę od dziewięćdziesięciu procent dostaw gumy. W każdej gazecie pokazywano szefa Biura Administracji Cenowej Leona Hendersona, który pedałował na swoim „rowerze zwycięstwa”, zamiast jechać samochodem. Bogaci opuścili swoje rezydencje na Wyspie Świętego Szymona, gdy niemieckie łodzie podwodne zaczęły patrolować wybrzeże, a mieszkańcy stanu Georgia zorganizowali straż stanową. Ta gwardia obywatelska składała się ze zbyt młodych, zbyt starych lub nie nadających się do służby wojskowej mężczyzn, którzy zajęli się przygotowaniem umocnień na wybrzeżu przed przewidywaną inwazją niemiecką. Skazańców ze stanu Georgia wzięto do wojska. Pracowali przez całą dobę, naprawiając drogi dojazdowe do morza i budując mosty, na których armia miała bronić swojego stanu.

A gdzieś na górze w tartaku pewnego dnia Harley Overmire włączył piłę, zamknął oczy i przejechał nią po palcu wskazującym.

Wiadomości te bardzo dziwnie wpłynęły na Willa. Postanowił zrobić to, co planował. Nagle zdecydował, że nie tylko się zaciągnie, ale nawet do najbardziej prestiżowych oddziałów - do marines - a kiedy wróci, tchórze tacy jak Overmire nigdy nie będą więcej patrzeć z góry na niego ani jego rodzinę. Wydawało się to nawet zrzędzeniem losu, że tego samego dnia, gdy podjął decyzję, komisja poborowa uczyniła to postanowienie nieodwołalnym. List zaczynał się od niesławnego słowa, które już wyciągnęło tysiące mężczyzn z domów i oddzieliło od rodzin:

„POZDROWIENIA...”

Will otworzył kartę powołania, gdy był sam na dole przy skrzynce pocztowej, przeczytał tekst i zamknął oczy, oddychając głęboko. Spoglądał na niebo Georgii, niebieskie i słoneczne. Żółtym tempem poszedł do góry czerwoną glinianą drogą i siedział przez pięć minut pod ulubionym drzewem, przyglądając się ptaszkom. Zrobiłby wszystko, byle tylko nie musiał mówić Elly. Wolałby pójść, niż powiedzieć jej, że trzeba to zrobić.

Karmiła dziecko, kiedy wrócił do domu. Leżała w poprzek łóżka. Zatrzymał się w drzwiach i przyglądał się, chcąc zachować ten obraz w pamięci na mroczniejsze dni - obraz kobiety w spłowiałej wzorzystej sukience z perkalu z rozpiętymi guzikami, włosami związanymi w luźny warkocz, jedną ręką zgiętą pod głowę i dzieckiem przy piersi. Willa ścisnęło w gardle, gdy ukląkł obok łóżka i położył rękę na ssącym policzku Lizzy, a następnie musnął jej delikatną skórę. Oparł się na łokciach obok Elly, gdy jej wzrok nadal spoczywał na karmionym dziecku.

Jeszcze jej nie mów.

- Rośnie jak na drożdżach, prawda? - wymruczał.

- Hmm.

- Jak długo będziesz jeszcze ją karmić?

- Dopóki nie pojawią się ząbki.

- A kiedy to będzie?

- Och, kiedy skończy siedem, osiem miesięcy.

Chciałem być tutaj, aby zobaczyć każdy nowy ząbek. Jego ręka przeniosła się z policzka dziecka na pierś żony.

- Najbardziej lubię, gdy wracam, a ty jesteś tym zajęta. Mógłbym tak na ciebie patrzeć latami, dopóki trawa nie zarośnie schodków prowadzących na ganek i nie wypełni do domu. Nigdy nie byłbym tym zmęczony, nie miałbym dosyć.

Przekręciła głowę, aby mu się uważnie przyjrzeć, ale on patrzył na jej pełne piersi, muskając je palcami.

- I ja, jak sądzę, nigdy nie zmęczone patrzyeniem na ciebie, Will - powiedziała cicho.

Elly, Elly, nie chcę iść, ale to konieczne. Myśli o śmiertelności sprawiły, że człowiek wypowiadał rzeczy, które w przeciwnym razie zatrzymałby dla siebie.

- Zastanawiałem się tyle razy, czy moja matka kiedyś mnie trzymała w ramionach, czy karmiła piersią, czy żałowała, że oddaje dziecko. Zastanawiam się nad tym za każdym razem, gdy patrzę na ciebie i Lizzy.

- Och, Will... - Delikatnie dotknęła policzka męża.

Jego uczucia do Elly były skomplikowane i trudne do zrozumienia. Była jego żoną, a nie matką, a mimo to kochał ją, jak gdyby była i jedną, i drugą. Z jakiegoś powodu, którego nie mógł pojąć, pomyślał, że Elly ma prawo dowiedzieć się o tym, zanim wyjedzie.

- Czasami myślę, że pragnąłem cię poślubić częściowo dlatego, że jesteś dobrą matką. Zawsze mi jej brakowało. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale ja... cóż, po prostu chciałem ci to powiedzieć.

- Wiem, Will.

Podniósł głowę, a ich oczy spotkały się w końcu.

- Wiesz?

Pogłaskała kciukiem jego dolną wargę.

- Sądzę, że wiedziałam o tym cały czas. Zrozumiałam to, kiedy po raz pierwszy myłam ci głowę, ale wiedziałam, że nie jest to jedyny powód. To również rozumiałam.

Wyciągnął się, aby ją pocałować, jego ramię otaczało główkę Lizzy, słysząc było, jak dziecko ssie i przełyka. Nigdy nie zapomni tej chwili, zapachu dziecka i kobiety, ciepła maleństwa przy ramieniu i żony - rękę opierał na jej ciepłych włosach. Kiedy skończyli się całować, popatrzył w zielone oczy Elly, a jego kciuk błądził nadal po włosach. Powoli przewrócił się, aby położyć się twarzą na materacu, nadal obejmując obie.

- Will, co się stało?

Przełknął z twarzą przyciśniętą do pościeli, która pachniała nimi i zasypką dla niemowląt.

- Odebrałeś pocztę, prawda?

Głaskał dalej jej włosy. Łzy paliły mu oczy, ale stłumił je i ukrył głęboko. Żaden mężczyzna nie płakał, nie w tych dniach. Ruszali na wojnę po zwycięstwo.

- Myślałam - mówiła dalej zdławionym głosem - że może zrobię placek z pigwy na kolację. Wiem, jak bardzo lubisz ciasto.

Pomyślał ze smutkiem o więziennych brudnych salach, racjach żywnościowych dla żołnierzy oraz wypiekach Elly. Łzy kręciły się w oczach z żalu. Jak długo? Jak długo go nie będzie? Dziecko przestało ssać i lekko westchnęło. Will zapamiętał tę pełną mleka buzię odrywającą się delikatnie od piersi Elly i przytulił skroń do materaca. Otwierając oczy, zobaczył z bliska sutki Elly, prawie fioletowe, nadal zmarszczone, które Lizzy ssała przed chwilą wilgotnymi usteczkami.

- Obiecałem chłopcom, że zabiorę ich do kina pewnego dnia. Muszę więc to zrobić.

- Będą bardzo szczęśliwi.

Zapadła cisza, która stawała się coraz bardziej kłopotliwa.

- Czy mogę pójść z wami? - spytała.

- A cóż by to była za przyjemność bez ciebie.

Oboje uśmiechnęli się smutno, a później słuchali swoich oddechów, chłonąc bliskość drugiej osoby i zachowując wspomnienia na samotne dni.

- Muszę nauczyć cię prowadzić samochód - powiedział w końcu.

- A ja muszę urządzić dla ciebie przyjęcie urodzinowe, tak jak obiecałam.

Długo leżeli w ciszy, zanim Elly wydała z siebie bolesny jęk, wyciągnęła rękę i chwyciła z tyłu Willa za koszulę. Chowając twarz w pościeli, trzymała go tak i rozpaczała.

Pokazał jej wezwanie, a kiedy je przeczytała, powiedział:

- Wstępuję do marines, Elly.

- Do marines, ale dlaczego?

- Ponieważ chcę być dobrym żołnierzem, ponieważ już przez całe życie dostawałem w kość, ponieważ kanalie takie jak Overmire odcinają sobie palce, a ja chcę mieć pewność, że osoby mu podobne nigdy nie będą mogły znowu robić poniżających uwag o mnie ani o tobie.

- Ale ja zupełnie nie dbam, co mówi o nas Harley Overmire.

- A mnie to obchodzi.

Jej twarz przybrała skwaszony wyraz, bo bardzo ją zranił. Podjął tę decyzję, nie konsultując się z nią, aby narazić życie, które ceniła bardziej niż własne.

- I nie mam tu nic do powiedzenia, czy pójdziesz do piechoty, czy do marines?

Miał kamienną twarz - tak jak w pierwszych dniach jego pobytu w tym domu.

- Nie, proszę pani.

Minęło kolejnych dziewięć dni, dziewięć gorzko - słodkich dni, kiedy to nigdy nie padło między nimi słowo „wojna”. Dziewięć dni - kiedy Elly, dotknięta boleśnie, zachowywała się bardzo chłodno. Zgodnie z obietnicą zabrał rodzinę do kina na film z Budem Abbottem i Lou Costello. Chłopcy śmiali się, a Will trzymał Eleonorę za rękę. Oboje chcieli

jak najszybciej zapomnieć o kronice, która pokazywała zdjęcia z ataku na Pearl Harbour i walki na Oceanie Spokojnym, odkąd Ameryka wypowiedziała wojnę.

Nauczył Eleonorę, jak jeździć samochodem, ale nie mógł jej skłonić, aby obiecała, że posłuży się nim i pojedzie do miasta w razie jakiegoś wypadku. Nawet gdy ćwiczyła, nie chciała wyjechać poza gospodarstwo. Kiedy indziej, w innych okolicznościach, lekcje te mogłyby być źródłem radości, jednak w chwili, gdy oboje odliczali godziny, nie było miejsca na śmiech.

Przyniósł więcej drzewa na opał, zastanawiając się, ile miesięcy będzie sama, na jak długo starczy ten zapas, co zrobi, kiedy zabraknie drewna.

29 stycznia urządziła dla niego przyjęcie urodzinowe - trzy dni przed wyjazdem. Przyszła panna Beasley i pili herbatę z nowego porcelanowego serwisu, ale wydarzenie to musieli uznać za bardziej smutne niż radosne. Był to dzień przypadkowo wybrany na urodziny dla mężczyzny, który nigdy wcześniej ich nie obchodził, a świętował je właśnie teraz, ponieważ mogła to być ostatnia okazja w życiu.

Później nadszedł ostatni dzień pracy w bibliotece. Panna Beasley czekała, kiedy przyszedł, i dała mu ostatnią wypłatę tak samo stanowczo, jak generał MacArthur wydaje rozkaz.

- Praca ta będzie czekać, kiedy pan wróci, panie Parker. - Niezależnie od tego, jakie były jej uczucia do Willa, nigdy nie mówiła mu po imieniu. Nie wydałoby się to właściwe żadnemu z nich.

Patrzył na pieniądze i coś ścisnęło go w gardle.

- Dziękuję pani, panno Beasley.

- Pomyślałam sobie, że jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, jutro pójde na stację kolejową odprowadzić pana.

Zmusił się do uśmiechu, patrząc jej w oczy.

- Będzie mi bardzo miło, proszę pani. Nie jestem pewien, czy Elly to zrobi.

- Nadal nie chce przyjść do miasta?

- Nie chce, proszę pani - odpowiedział cicho.

- Och, co za dziecko! - Panna Beasley zacisnęła dłonie i zaczęła ożywiona chodzić równymi krokami. - Czasami chciałabym usadzić ją gdzieś i zaaplikować surowe kazanie.

- Nic by to nie pomogło, proszę pani.

- Czy ona myśli, że może na zawsze zaszyć się w lesie?

- Na to wygląda. - Will patrzył w podłogę. - Proszę pani, jest coś, o co chcę panią poprosić. Coś, nad czym zastanawiałem się od dawna. - Podrapał koniec nosa i patrzył wszę-

dzie, tylko nie na nią. - Tego dnia, kiedy wtargnęła tu tamta kobieta, Lula, wiem, że słyszała pani, co powiedziała mi na temat Elly, o tym, że rodzina zamknęła ją w domu na skraju miasta i dlatego wszyscy nazywają ją wariatką. Czy to prawda?

- Chce pan powiedzieć, że nigdy nie rozmawiała o tym z panem?

Podnosząc wzrok, Will wolno pokręcił głową. Panna Beasley zastanawiała się przez chwilę, a następnie rozkazała:

- Niech pan usiądzie, panie Parker.

Usiedli po obu stronach stolika, a wokół roztaczał się zapach wosku, nafty i książek. Na zewnątrz słychać było stukot ciężkich kopyt koni, właściciele zamykali sklepy i szli do domu na kolację, samochód zaterkotał tuż obok na ulicy, a panna Beasley rozważała pytanie Willa.

- Dlaczego nie powiedziała panu?

- Właściwie nie wiem, proszę pani. Z wielkim trudem przychodzi jej mówić o tym. Jest bardzo wrażliwa.

- To ona powinna opowiedzieć panu o tym.

- Wiem o tym, proszę pani, ale skoro nie zrobiła tego, wątpię, czy nastąpi to dziś wieczorem, a ja bardzo chciałbym się dowiedzieć, zanim wyjadę.

Panna Beasley rozważała to w milczeniu, patrząc Willowi prosto w oczy. Jej usta ściągnęły się, rozluźniły, a następnie znowu ściągnęły.

- A więc dobrze, powiem panu. - Splotła palce i oparła je na blacie stolika z miną sędziego opierającego młotek.

- Jej matka spodziewała się nieślubnego dziecka i została gdzieś odesłana przez rodziców, aby je urodzić. To była właśnie Eleonora. Kiedy przyszła na świat, Chloe See - jej matka - przywiozła ją tutaj do Whitney. Pociągiem, jak opowiadają. Na stacji odebrali je dziadkowie Eleonory i natychmiast odjechali powozem z zaciągniętymi szczelnie zasłonkami. Zabrali je do domu - tego samego, który nadal stoi na obrzeżach miasta. Lottie See, babcia Eleonory, zamknęła okiennice i nigdy już ich nie otworzyła.

- Albert See i jego żona, łagodnie mówiąc, byli dziwaczными ludźmi. On był wędrownym kaznodzieją, można więc zrozumieć, iż trudno im było zaakceptować nieślubne dziecko Chloe. Jednak to, co zrobili, przeszło wszelkie granice. Więzili swoją córkę w tamtym domu i to do dnia jej śmierci. Ludzie mówią, że zwariowała tam na oczach Eleonory. Oczywiście, myśleli, że tak samo przedstawia się sprawa z biedną Eleonorą, która przeżyła wszystkie te lata z gromadą szaleńców i dziwaków.

- Trzymaliby zawsze Eleonorę w zamknięciu, ale prawo zmusiło ich, aby ją wypuścili.

Wtedy poszła do szkoły. Po raz pierwszy spotkałam ją, kiedy przyszła tutaj do biblioteki ze swoją klasą. Dzieci nie miały litości dla Eleonory, pan sam domyślić się może, jak były okrutne po tym, co ta... ta umalowana ładaczka Lula Peak wyrzuciła z siebie w tym budynku. - Panna Beasley zacisnęła mocno szczękę, a wtedy na podbródku pojawiły się podwójne fałdy. - Gdyby nadal zachowywała się w podobny sposób, uderzyłabym ją w twarz tamtego dnia. Jest... - Panna Beasley nadęła twarz i poczerwieniała, a następnie stłumiła gniew. - Gdybym miała wyrazić to, co naprawdę myślę o Luli Peak, byłabym nie lepszym ziółkiem niż ona, a więc powstrzymam się. O czym mówiłam?

- Och, tak, o Eleonorze. Nie była towarzyska tak jak reszta dzieci, nie wiedziała, jak się zaprzyjaźnić z innymi, prowadząc takie życie rodzinne. Marzyła dużo i przyglądała się wszystkiemu, dlatego dzieci nazywały ją szaloną. Nie wiem, jak przeżyła te dni. Ale pod tym marzycielskim usposobieniem bezsprzecznie kryła się inteligencja i siła. Dobrze sobie radziła.

- Proszę pamiętać, że to wszystko pogłoski, ale wieść niesie, że Albert See miał gdzieś czarną kochankę, w której łóżku umarł. Hańba związana z tym wydarzeniem w końcu doprowadziła jego żonę do obłądu. Zaczęła się zachowywać tak dziwacznie jak córka, chowała się w tamtym domu, z nikim nie rozmawiając, mrużąc modlitwy. Cała rodzina Eleonory umarła w ciągu trzech lat, ale ich śmierć w końcu ją uwolniła.

- Mogę tylko odgadnąć, jak poznała Glendona Dinsmore'a. Dowoził łód, jak pan wie. Był chyba jednym z nielicznych ludzi, których kiedykolwiek wpuszczono do tamtego domu. Albert See umarł w 1933 roku, jego żona w 1934, a córka w 1935. Kobiety umarły w domu, który stał się ich więzieniem. Nie minął tydzień od śmierci Chloe, a Eleonora poślubiła Glendona i przeniosła się do gospodarstwa, gdzie mieszka pan obecnie. Dom jej dziadków stoi opuszczony przez wszystkie te lata. Niestety, jego widok sprawia, że wspomnienia ludzi są nadal żywe. Czasami myślę, że byłoby lepiej dla Eleonory, gdyby go rozebrano.

A więc teraz już wiedział. Siedział, przetrawiając te informacje, przeklinając ludzi, których nigdy nie znał, zastanawiając się nad okrucieństwem zbyt dziwnym, aby je zrozumieć.

- Dziękuję, panno Beasley, że powiedziała mi pani o tym.

- Nie zrobiłabym tego, gdyby nie ta... ta cholerna wojna.

Przez cały czas ich znajomości nigdy nie odezwała się słowem, które nie przystało kobiecie. To, że zrobiła to teraz, stworzyło pewnego rodzaju zażyłość między nimi; choć nie padło na ten temat ani słowo, rozumieli, że jego odejście złamie nie jedno, ale dwa serca. Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę, mocno ściskając.

- Była pani dla nas taka dobra. Nigdy tego nie zapomnę.

Pozwoliła mu trzymać się za ręce przez kilka bolesnych sekund pożegnania, a następnie wyrwała je i wstała energicznie, mówiąc surowym głosem, aby ukryć swe uczucia:

- A teraz niech pan już idzie do domu do żony. Nie może pan spędzać ostatniej nocy w bibliotece.

- Ale moja zapłata... mam na myśli to, że zapłaciła mi pani za dzisiejszy dzień, a ja nie wykonałem swojej pracy.

- Czy nie nauczył się pan jeszcze, że nie lubię, gdy ktoś mi się sprzeciwia, panie Parker? Kiedy mówię, aby iść, oznacza to, że trzeba iść.

Uśmiechnął się, dotknął róna kapelusza i odpowiedział:

- Tak, proszę pani.

Przyszedł do domu akurat wtedy, gdy Elly kładła chłopców spać i zdążył jej jeszcze pomóc. Wszystko robił ostatni raz. Ostatni raz. Wróć do domu, chłopcy. Na Boga, wróć do domu, ponieważ potrzebujecie mnie i ja was potrzebuję, i za bardzo kocham, aby zrezygnować z tego na zawsze.

Choć nie rozmawiali na ten temat, Will i Elly zamknęli drzwi od sypialni chłopców po raz pierwszy. Stali w salonie tak, jak w czasie nocy poślubnej, napięci i niepewni, ponieważ ona była obrażona i zimna w ciągu ich ostatnich cennych dni spędzanych razem, a teraz nadeszła ostatnia wspólna noc, a nigdy jeszcze się nie kochali, nie byli naprawdę razem.

Piasek wydawał się przesypywać w klepsydrze.

Will zaczepił kciuki o tylne kieszenie. Stał za Eleonorą i patrzył na jej głowę, gruby warkocz leżący na karku, puszysty na końcu. Chciał tak bardzo zrobić to we właściwy sposób, na jaki zasługiwała ta kobieta.

- Podoba mi się, gdy masz włosy splecione w warkocz - zaczął niepewnie, podnosząc go. Czuł się niezręcznie, zalecając do żony. Gdyby była jakąś ulicznicą, wiedziałby, co zrobić, ale przypuszczał, że musi postępować inaczej, gdy tak bardzo ją kochał, gdy tak bardzo mu zależało.

Nagle odwróciła się i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Och, Will, przepraszam, że byłam dla ciebie taka podła.

- Nie byłaś podła.

- Byłam, ale to dlatego, że tak bardzo się boję.

- Wiem. Ja też się boję. - Kołysał ją, obejmując jej plecy. Schował twarz na jej szyi. Pachniała domem - kolacją i krochmaloną bielizną, mlekiem oraz dziećmi. Jak bardzo kochał zapach tej kobiety. Wyprostował się i dotknął jej policzków, włosów ściągniętych na

skroniach. - Co byś powiedziała na to, gdybyśmy wykąпали się razem? Zawsze chciałem to zrobić.

- I ja także.

- Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałaś?

- Nie wiedziałam, czy ludzie tak robią.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy, zapisując wszystko w pamięci, a później odpowiedział miękko:

- Sądzę, że tak robią, Elly.

- Dobrze, Will. - Opuściła ręce, łapiąc jego dłoń, odwracając się i idąc do łazienki. W środku zapalił lampę na półce, a ona uklękła, aby umieścić zatyczkę w wannie i odkręcić kran. Zamknął drzwi na klucz, a następnie oparł się o nie, patrząc na nią.

- Wlej trochę płynu do kąpieli - powiedział. - Nigdy nie kąpałem się w pianie.

Podniosła nagle głowę. Opierał się o drzwi, odpinając guziki od mankietów, dziwiąc się, że są tak nieśmiali i to po tym, jak odebrał dziecko, mył ją i dbał o nią. Jednak seks to było coś zupełnie innego.

Sięgnęła po butelkę. Kiedy pojawiła się piana, wstała, odwrócona do Willa, i zaczęła rozpinąć sukienkę. Odsunął się od drzwi i złapał ją za ramiona, obracając tak, aby zwrócona była do niego twarzą.

- Pozwól mi, Elly. Nigdy nie robiłem tego, ale chcę zachować to w pamięci, ten jeden raz. - Miała na sobie zieloną spłowiała podomkę koloru wyschniętej trawy z guzikami od dekoltu do talii. Zajął się odpinaniem guzików, a następnie zsunął podomkę wraz z halką i zrzucił je na podłogę. Później przytrzymał ją za ręce i polecił: - Siadaj. - Gdy przysiadła na zamkniętym sedesie, ukląkł na kolanie, zdjął z nóg zdarte brązowe półbuty, następnie skarpetki, a później wstał i podciągnął ją do góry, sięgnął wyżej i rozpiął biustonosz. Zanim spadł na podłogę, ściągał z jej nóg ostatnią część garderoby.

Stał przez dość długą chwilę, trzymając ją za obie ręce i uważnie się przyglądając ciężkim piersiom, powiększonym sutkom, zaokrąglonemu brzuchowi i bladej skórze. Choćby miał taką moc, nie zmieniłby w niej niczego. Ciało to mówiło o jej macierzyństwie, o dzieciach, jakie urodziła, o tym, które karmiła. Chciałby, aby to jego dzieci ukształtowały jej ciało w taki sposób, ale nawet gdyby tak było, nie kochałby jej więcej.

- Chcę cię tak zapamiętać.

- Jesteś sentymentalnym głupcem, Will. Ja jestem...

- Sza. Jesteś doskonała, Elly... doskonała.

Nigdy nie przyzwyczaił się do jego miłości. Spuściła skromnie wzrok, kiedy obok nich

dudniła woda i coraz więcej piany unosiło się w wannie.

- A kto mnie rozbierze? - dokuczał jej, chcąc mieć także i inne wspomnienia, które zabierze ze sobą. Podniósł jej brodę. - Elly?

- Twoja żona - odpowiedziała cicho i zrobiła to, czego nigdy nie robiła z Glendonem, a co, jak nauczył ją Will, lubi mężczyzna. Koszuła, podkoszulek, buty, skarpetki i dżinsy. I ostatnia część garderoby, która zaczęła się o coś po drodze.

Stali tak oddaleni od siebie o krok, a ich serca waliły jak młoty w tym pomieszczeniu pełnym pary. Patrzyli sobie w oczy, a oczekiwanie zarumieniło ich policzki. Pochylił głowę, a ona podniosła twarz i całowali się długo, choć ich ciała dotykały się przelotnie, kołysząc się w lewo i w prawo. Wyprostował się - wsunął jej ręce pod pachy, polecając:

- Trzymaj się mocno. - Podniósł ją. Z jej nogami i rękami owiniętymi wokół ciała Will wszedł do wanny. Kiedy usiadł, woda podniosła się do łokci. Elly sięgnęła za niego, aby przykręcić krany, a kiedy chciała się cofnąć, ścisnął ją i przytrzymał.

- Dokąd idziesz? - wyszeptał tuż obok jej ust.

- Nie ma miejsca... - Westchnęła, przybliżając się do niego. Pierwszy pocałunek był delikatny - w pełnym napięciu oczekiwaniu. Dwoje ust, dwa języki, kosztujące się, zanim się sobą nasycą do woli. Gdy tak leżeli w wodzie spleceni ze sobą, ich namiętność ośmieszała tylko wcześniejsze uniki. Nadal bawili się tym pocałunkiem, całując się tak powoli, jak to możliwe - złączone usta, muskające się wargi, walczące ze sobą języki, a następnie powtórka. Dotknięcie się, rozdzielenie, szukanie oczu, jeszcze jedno zatopienie w pocałunku.

Przycisnęła gorące mokre dłonie do jego pleców, a on przycisnął jej piersi do swojej klatki piersiowej. Ona była gładka, a on szorstki, ona miękka, on twardy. Różnica ta tylko dodała siły ich pocałunkowi. Czując pożądanie, przycisnął ją mocno do siebie, dotykając rękami namydlonej skóry nad i pod wodą - tak różnej od jego. Uczył się jej rozłożystych bioder, zwężającej się talii, twardych pleców i dużych piersi, które przeżyły się, gdy ich dotykał.

Woda spływała jej po piersiach, gdy wyciągnęła rękę, aby polewać mu pianą ramiona, aż jego skóra stała się atlasowa. Odnalazła trzy znamiona na jego plecach, których uczyła się, jak niewidomy pisma Braille'a. Dotykała jego żeber, ramion, łopatek, ucząc się każdego zagłębienia i każdej zmarszczki, każdego mięśnia, a jego ręce podobnie błądziły po jej ciele.

Przyłgnęła do niego, obejmując go mocno nogami i przyciskając się do niego, gdy tulił ją. Byli tak mocno przytuleni, że prawie nie mogli odróżnić swoich ciał.

- Wszystko będzie dobrze dziś w nocy, prawda, Elly?

- Tak... tak.

- Czy będzie cię bolało?
- Szzsz... - Stłumiła pytanie pocałunkiem.
- Nie chcę cię zranić. - Zatrzymał się.
- A więc wróć do mnie żywy.

Żadne z nich nie wypowiedziało tego wcześniej. Rozpacz stała się teraz częścią ich uścisku, nieuchronność rozstania sprawiła, że ich ręce pieściły, badały, głaskały. Wzięli głęboki oddech, na chwilę zamierając w bezruchu, aby lepiej wchłonąć ten moment, pamięć o nim.

- Och... - westchnęła, jej głowa opadła do tyłu, a warkocz zamoczył się.

Will wydobył z siebie gardłowy dźwięk wyrażający pochwałę, dotknął językiem jej podbródka i całował piersi tam, gdzie mógł sięgnąć. Była osłabiona i dawała mu przyzwolenie, a on czekał na swoją porę, dając jej radość, odczuwając to samo, patrząc, jak jej powieki otwierają się, a następnie zamykają, a usta miękną, jak rozchyła je, odpływając w niepamięć. Po pewnym czasie odwróciła się do niego. Jej pieszczoty były delikatne, zacisnął zęby, a następnie jego ciało wygięło się jak cięciwa w łuku.

Woda mieniła się. Dzień jutrzejszy stał się złudzeniem. Liczyło się tylko tu i teraz.

- Och, Elly, już tak dawno chciałem to zrobić.
- Dlaczego więc tego nie zrobiłeś?
- Czekałem na twoje pozwolenie.
- Czułam się już dobrze dwa tygodnie temu.
- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym?
- Nie wiem... Bałam się. Ogarnęła mnie nieśmiałość.
- Ja też chyba byłem nieśmiały. Nie bądźmy nieśmiali.
- Nigdy nie robiłam czegoś takiego z Glendonem.
- Mogę nauczyć cię jeszcze więcej.

Schowwała twarz na jego szyi.

- Czy mogę cię umyć? - spytał.
- Chcesz tego?
- Chcę złączyć się z tobą. Właśnie tego chcę.
- Ja też tego chcę, więc pośpieszmy się.

Podzielili się mydłem. Podzielili się sobą. Uklękli i zapomnieli o ręcznikach, zastąpili je rękami. Mydlili się i całowali, spleceni ze sobą szeptali słodkie słowa i wyrażali swój zachwyt rękami i ustami. A kiedy pragnęli się tak bardzo, że aż sprawiało to ból, złapał ją za mokre ręce i popchnął delikatnie do tyłu, odrywając na chwilę swe usta.

- Chodźmy do łóżka.

Stali w zaparowanej łazience, ściskając niecierpliwie ręczniki, nie dbając prawie o to, że są mokrzy, patrząc na siebie, kradnąc szybkie pocałunki, śmiejąc się w podnieceniu - pełni napięcia, ożywieni, przygotowani. Podniósł dzinsy z podłogi i znalazł w kieszeni prezerwatywę.

- Co to jest?

Zamknął ją w dłoni i spojrzał na Elly.

- Nie chcę, abyś znowu była w ciąży. Będiesz miała dużo obowiązków, gdy w gospodarstwie nie będzie mężczyzny.

- Nie będzie to nam potrzebne.

- Nie chcę zostawić cię z jeszcze jednym dzieckiem, Elly.

Przeszła przez mokry ręcznik, wyjęła opakowanie z jego ręki i odłożyła na górną półkę.

- Kobiety nie zachodzą w ciążę, kiedy karmią dziecko, nie wiedziałeś o tym, Will?

Złapała go za rękę i próbowała wyprowadzić z łazienki, ale on wahał się jeszcze.

- Jesteś pewna?

- Jestem. Chodź.

Zabrał lampę i poszli na palcach do sypialni. W środku odwróciła się, położyła palec na ustach i wyszeptwała, poruszając ustami:

- Ssz. - Każde z nich chwyciło za jeden koniec koszyka i przenieśli Lizzy na noc do salonu.

Kiedy zamknęli drzwi, zwrócili się do siebie. Żadne z nich nie poruszyło się. Samotni... nagle wahający się, dopóki nie zrobiła pierwszego kroku, a wtedy szybko objęli się, całując i przylegając kurczowo do siebie, bo znowu przypomniała im się klepsydra, w której przesypywał się piasek. Tak mało czasu... tak dużo miłości...

Niecierpliwie złapał ją pod kolanami i zaniósł do łóżka, szepcząc, żeby odwinęła kołdrę. Niesiona w jego ramionach pociągnęła kołdrę i koc do stóp łóżka. Oparty na kolanie i na łokciach pociągnął ją na łóżko, padając na nią, usta ich złączone już były w oszalałym pocałunku, dotykali się językami, a ręce i nogi splatały się nawzajem. Nie mogli już nad sobą panować, ich pożądanie i oczekiwanie osiągnęło swoje apogeum. Przytuleni do siebie, otaczali się i łączyli. Ogarnęła ich taka namiętność, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyli.

Nagle zatrzymali się na chwilę, oddychali szybko, zmęczeni.

- Czy potrzebujesz czegoś... aby to ułatwić? - Na komodzie leżała wazelina dla dziecka. Oglądał ją dziesiątki razy, wyobrażając sobie tę chwilę.

- Potrzebuję ciebie, Will... niczego więcej.

Jej pocałunek uciszył go. Objęła Willa za szyję i przyciągnęła do siebie.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, moja zielonooka dziewczyno.

Wiedział, jak to zrobić. Uczył się u najlepszych w La Grange w Teksasie. Dotykał jej - mocno, delikatnie - rękami i językiem, aż pochyliła się jak wierzba na wietrze.

Gdy wdzierał się w jej ciało, zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak wyglądał tamtego pierwszego wieczora, stojąc na skraju polanki, chudy i głodny, ostrożny i tajemniczy, ukrywający się pod kapeluszem - ukrywający uczucia, samotność, potrzeby.

Zamknęła oczy i otworzyła swoje ciało, czując ulgę i miłość, która dorównywała jego miłości. Zabolęła ją, ale dobrze to ukryła, dotykając jego głowy, przyciągając ją do siebie i całując mocno, by ukryć cichy jęk. Jednak wkrótce jęk wywołała rozkosz, a nie ból. Zabrał ją na najwyższe miejsce na drzewie, gdzie unosiła się w powietrzu jak pełen wdzięku ptak, drżała na granicy lotu, a później wzniosła się po raz pierwszy w powietrze, jednocząc się z niebem. Zawołała go po imieniu, obracając się i wznosząc odrodzona.

A kiedy to minęło, otworzyła oczy i patrzyła, jak podąża za nią tą samą drogą, którą szła przed chwilą, patrzyła, jak jego złotawe włosy opadają mu na czoło, prężą się mięśnie ramion, a kropelki potu wiszą na brwiach.

Zadrżał, wydał z siebie jęk i pchnął ją silnie. Wypowiedział jej imię przez zaciśnięte zęby, ale dźwięk ten był zagłuszony. Kiedy zadrżał rozluźniony, zrozumiała, jak wspaniale jest doświadczyć tego co ona, jakie to szczęście. Trzymała go w ramionach i czuła, jak bardzo drży, i pomyślała, jak bardzo jest to piękne.

Kiedy wszystko się skończyło, opadł na bok, kładąc bezładną rękę na jej żebrach i czekając, aż uspokoi się jego oddech. Z zamkniętymi oczami roześmiał się krótko uspokojony, nasycony, a następnie przytulił ją i trzymał w objęciach, pieszcząc delikatnie.

- Dobrze się czujesz, Elly? - Obrócił głowę zmęczony i pieścił ją wzrokiem.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego brody.

- Szs... unoszę to w sobie.

- Co?

- Wszystko. Wszystkie uczucia, które mi dałeś.

- Ach, Elly.

Pocałował ją w czoło, a ona mówiła oparta o jego brodę:

- Urodziłam troje dzieci, Will, troje, ale nigdy nie przeżyłam nic podobnego. Nie miałam o czymś takim pojęcia. - Przycisnęła się bliżej do niego. - Dowiedziałam się o tym dopiero w czasie naszej ostatniej nocy. Och, Will, dlaczego zmarnowaliśmy aż dwa tygodnie?

Nie umiał na to odpowiedzieć, mógł jedynie trzymać ją w ramionach i głaskać po włosach.

- Will, czułam się tak, jak zawsze chciałam się czuć. Tak jak gdybym w końcu zaczęła latać. Jak to się stało, że nigdy nie przeżyłam tego z Glendonem?

Oparła się na łokciu, aby popatrzeć mu w oczy. Była tak zupełnie niezsuta, niewinna jak żadna znana mu kobieta.

- Może dlatego, że byłeś żoną porządnego człowieka, który nigdy nie odwiedzał burdelu.

- Jesteś porządnym człowiekiem, Will, nie mów nic innego. A jeśli tego właśnie tam się nauczyłeś, jestem zadowolona, że tam chodziłeś. - Podciągnęła kołdrę, gdy on uśmiechnął się na tę nieoczekiwaną zmianę: w jednej chwili była nieśmiała, a w drugiej wyzywająca. Przygarnął blisko żonę, miał tyle powodów do zadowolenia. Droga jego życia była okrężna, lecz doprowadziła go do niej. Bez La Grange, bez Josha, bez więzienia nigdy nie wylądowałby w Georgii. Nigdy nie ożeniłby się z Elly, ale nie chciał myśleć o tym dziś wieczorem.

- Elly, kochanie, czy moglibyśmy nie rozmawiać na ten temat przez chwilę? Chciałbym porozmawiać o... o kwiatkach, które zasadzisz, i o tym, jak zbierzesz pigwy i jak chłopcy pomogą ci łupać orzeszki laskowe i...

- Wrócisz wcześniej, Will. Wiem, że tak będzie.

- Być może.

W klepsydrze piasek przesypywał się coraz szybciej. Oparła policzek i rękę na jego piersi, słysząc, jak mocno, z jaką pewnością uderza mu serce i modląc się, aby nie zatrzymała go kula.

- Napiszę do ciebie. - Więcej piasku... więcej uderzeń i dwa ściśnięte serca.

- I ja napiszę do ciebie.

- Na zawsze zapamiętam tę noc i to, jak było nam razem cudownie.

- Zapamiętam... - Przechylił do tyłu jej głowę, aby popatrzeć w lśniące oczy. - Zapamiętam dużo rzeczy. - Pod kołdrą dotknął jej piersi i delikatnie ją objął. - Pamiętam dzień, kiedy rzuciłaś we mnie jajkiem. Był to dzień, kiedy uświadomiłem sobie, że zakochuję się w tobie. Pamiętam, jak rano kroićłaś bekon w plastry i pochylałaś się przy drzwiach whippetów, gdy chłopcy udawali, że jadą do Atlanty. I pierwszy ranek, kiedy związałaś włosy w koński ogon żółtą wstążeczką. I jak ubijałaś pianę do ciasta, trzymając miskę przy brzuchu, i jak zawsze wyglądasz, gdy siedzisz na łóżku obok chłopców, kiedy wracam z pracy do domu, i opowiadasz im bajkę na dobranoc. I was wszystkich czekających pod drzewem, gdy

przyjeżdżam samochodem z miasta. A to dzisiejsze wspomnienie będzie najpiękniejsze. Czy kiedykolwiek mówiłem ci, jak bardzo lubię siadać z tobą pod tym drzewem? - Pocałował Elly w czoło, a ją zaczęły piec oczy.

- Och, Will... - Przycisnęła go do siebie i zaczęła mocno mrugać załzawionymi oczami. - Musisz wrócić, a wtedy będziemy mogli znowu to wszystko robić. Wszystkie te rzeczy. W przyszłe lato... obiecujesz?

Przytulił się do niej i spojrzał w oczy.

- Jeśli coś obiecuję, ty także musisz to zrobić.

- Cco? - Pociągnęła nosem.

- Że pojedziesz do miasta, wezmiesz ze sobą chłopców. Musisz tam jeździć, Elly, nie rozumiesz tego? Donald Wade skończy siedem lat w przyszłym roku i zacznie szkołę. Jednak jeśli ty...

- Mogę sama nauczyć go, czego...

- Posłuchaj mnie. Muszą stąd wychodzić. Zabierz ich do biblioteki i wypożycz dla nich książki, tak aby wiedzieli, czego się spodziewać, kiedy będą na tyle duzi, żeby pójść do szkoły. Chcesz chyba, żeby wiedzieli więcej niż ja i ty, prawda? Pomyśl, jak rzadko chodziliśmy do szkoły i z jakim trudem przychodzi nam walka o wszystko. Daj im szansę, niech będą mądrzejsi i lepsi od nas. Zabierz ich tam, niech przyzwyczajają się do miasta i ludzi - i... i przetrwania. A ty nadal sprzedawaj jajka i mleko. Kupuj płyn do kąpieli, zamiast wyrabiać domowym sposobem mydło. To dla ciebie za dużo, Elly, zajmować się wszystkim naraz. Z wojska przesyłać ci będą czeki, będziesz więc miała pieniądze. Ale odłóż połowę na obligacje wojenne i wydawaj resztę, rozumiesz? Kup chłopcom porządne buty i wszystko, czego potrzebuje Lizzy. Zatrudnij kogoś, kto wykona w gospodarstwie niezbędne prace, a jeśli nie wrócę, gdy znów pojawi się miód, wynajmij kogoś, by otworzył ule i sprzedał miód. Dostaniesz dużo pieniędzy, bo jest tak mało cukru.

- Ale Will...

- Słuchaj mnie teraz, Elly, ponieważ nie mam zbyt dużo czasu, aby cię przekonać. Panna Beasley okaże ci serce. Będziesz potrzebować przyjaciela, a ona jest szlachetna, uczciwa i inteligentna. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, pójdziesz do niej, a ona pomoże ci lub znajdzie kogoś, kto to zrobi. Obiecujesz, Elly?

Obejmował ją delikatnie za szyję i czuł, jak przełyka ślinę.

- Obiecuję - wyszeptała.

Zmusił się do uśmiechu, jak gdyby chciał się z nią boczyć, ponieważ wiedział, że tego jej potrzeba w tej właśnie chwili.

- Ma pani rękę na sercu pod kołdrą?

- N - nie - powiedziała zdławionym głosem, wydobywając z siebie śmiech, który zdecydowanie bardziej przypominał łkanie.

- Dobrze, a teraz słuchaj. - Otarł jej policzek z łez i powiedział to, co trzeba było powiedzieć. - Muszę o tym z tobą porozmawiać, zanim wyjadę. Może nie było to całkiem uczciwe z mojej strony, że spytałem pannę Beasley, ale już zrobiłem to i powiedziała mi, jak twoja mama nigdy nie wyszła za mąż i twoja rodzina zamknęła cię w tamtym domu, kiedy byłaś małą dziewczynką. Opowiedziała mi też całą resztę. Elly, jak to się stało, że nigdy mi o tym nie mówiłaś?

Opuściła głowę.

Podniósł jej brodę palcem.

- Niczym się nie różnisz od tych tam na dole, w mieście. Jesteś lepsza. I niech pani nie zapomina o tym, pani Parker. Jesteś inteligentna i masz także parę naprawdę bystrych chłopców, czy słyszysz mnie? Musisz zejść na dół do miasta i pokazać im.

Widział, że jest bardzo bliska łez.

- Ach, Elly, kochanie... - Przytulił ją i kołysał. - W czasie tej wojny wszystko się zmieni. Kobiety będą musiały wiele zdziałać i wezmą wiele na siebie. A będziesz musiała stawić czoło miastu. Zapamiętaj moje słowa. Niczym nie różnisz się od tych, którzy mieszkają tam na dole w mieście. A teraz muszę cię o coś zapytać, dobrze?

Jeszcze raz odsunął ją na chwilę i spojrzał w oczy.

- Czy jesteś właścicielką tamtego domu?

- Tego w mieście?

- Tak, domu, w którym kiedyś mieszkałaś.

- Tak, ale nie pójdę tam.

- Nie musisz. Pamiętaj jednak, że jeśli w krytycznej sytuacji będziesz potrzebować dużej ilości pieniędzy, możesz zawsze sprzedać ten dom. Panna Beasley pomoże ci. Czy zrobisz to, jeśli stanie się coś złego i nie wrócę do domu?

- Wrócisz do domu, Will, wrócisz!

- Postaram się, kochanie. Mężczyzna, na którego tyle czeka, chce walczyć o to wszystko, wiesz, że tak jest.

Przytulili się do siebie i życzyli sobie, żeby tak się stało - aby wtedy, gdy Lizzy zrobi pierwszy krok, czekał z wyciągniętymi ramionami, aby ją złapać, aby kiedy nadejdzie lato i popłynie miód, był tam, by zająć się pszczołami, a gdy przyjdzie jesień i oksydendron zmieni kolor na purpurowy, siedział razem z całą rodziną pod tym drzewem.

- Kocham cię, Elly. Więcej, niż jestem w stanie wyrazić. Nikt nigdy nie był dla mnie tak dobry jak ty. Zawsze musisz pamiętać o tej jednej rzeczy, jak szczęśliwym człowiekiem mnie uczyniłaś. Kiedy mnie tu nie będzie i będziesz przygnębiona, pomyśl o tym, co ci teraz powiedziałem, jak szczęśliwy jestem dzięki tobie, jak karmiłaś mnie plackami z pigwy i dałaś troje małych dzieci do kochania, sprawiłaś, że czuję się jak ktoś wyjątkowy. I pamiętaj, jak bardzo cię kocham, tylko ciebie, jedyną w całym moim życiu, Eleonoro Parker.

- Will... Will... o Boże...

Próbowali się pocałować, ale nie mogli; przeszkodziły im łzy, które napełniły ich gardła. Trzymali się kurczowo, splatając nogi, otaczając się ramionami, jak gdyby chcieli się ochronić przed jutrzejszym rozdzieleniem.

Ale dzień jutrzejszy i tak nadejdzie i zabierze go. Ona zostanie i nic, co mogliby zrobić lub powiedzieć, nie zatrzyma przesypującego się piasku.

ROZDZIAŁ 15

Pożegnali się pod ulubionym drzewem. Donald Wade jechał z jedną nogą na wózku, a Tomcio na hulajnodze. Za nimi szli Will i Eleonora, on niósł nieliczne przedmioty, jakie posiadał, w brązowej torebce, a ona Lizzy P.

Kiedy zatrzymali się pod rozpostartymi gałązkami, jego ręka spoczęła na ramieniu żony. Zamiast patrzeć na nią, zmrużył oczy i spojrzął w niebo.

- No cóż... dobry dzień na takie rozstanie. Niemal czuję nadchodzącą wiosnę.

- Niebo jest zupełnie bezchmurne.

Dlaczego rozmawiali o pogodzie, gdy w głębi serca miały nimi tak gwałtowne uczucia?

- Donald Wade nie dalej jak wczoraj powiedział, że widział gniazdo z nakrapianymi jajkami.

- Naprawdę, kemo sabe? - Will położył dłoń na główce chłopca.

- Trzy jajka na dole obok traktora.

- Nie dotknąłeś ich, prawda?

- Nie! Mama nie pozwoliła. - Donald Wade mocno pokręcił głową.

Will przykląkł na jednym kolanie i położył na wózku torbę.

- Podejdz tutaj. I ty także, Tomciu. - Tomcio porzucił hulajnogę i obaj chłopcy przystanęli obok niego, a Will objął ich ramionami w pasie. - Zawsze róbcie to, co mówi mama, dobrze? Liczę na was, że będziecie grzeczni.

Obaj skinęli uroczyście, świadomi, że wyjazd Willa jest doniosły, jednak byli za mali, aby zrozumieć, dlaczego tak jest.

- Jak długo cię nie będzie, Will?

- Myślę, że przez pewien czas.

- Ale jak długo? - nalegał Donald Wade.

Will unikał wzroku Eleonory.

- Dopóki nie pokonamy Japończyków, jak sędzę.

- Dostaniesz prawdziwy karabin, Will?

Przyciągnął do siebie Donalda.

- Powiem ci coś, opowiem ci o tym, kiedy wrócę, a teraz bądź dobrym chłopcem i pomagaj mamie przy Lizzy P. i Tomciu, dobrze?

- Dobrze. - Jego głosik pozbawiony był właściwego mu entuzjazmu, gdy wyjazd Willa z domu stał się bardziej rzeczywisty. Pocałowali się. Mocno i serdecznie, aż zaczął Willa

boleć nos.

- Do widzenia, kemo sabe.

- Do widzenia, Will.

- Do widzenia, maluszku.

- Widzenia, Wij. - Jeszcze jedno miękkie uścisk, jeden mocny uścisk i Will przycisnął obu chłopców, przymykając oczy.

- Kocham was, dwa małe szkraby, i to jeszcze jak.

- Kocham cię, Will.

- Kocha cię, Wij.

Wstał szybko, bojąc się, że coś mu się stanie, jeśli tego nie zrobi.

- Jeszcze raz potrzymam Lizzy P, dobrze? - Wyciągnął ręce po dziecko. Trzymał ją w górze, nóżki miała oparte na jego piersi. Wyglądała spod zrobionej na szydełku czapeczki i ciepłej flanelowej kołderki. Gdy przytulił nos do jej policzka, pachniała kąpielą i talkiem. - Wróć, Lizzy P, moja słodka, słodka kruszynko. Muszę zobaczyć, jak będą ci się wyrzynać ząbki i jak pojedziesz autobusem do szkoły. - Skrócił pożegnanie. Przytulił ją tylko na chwilę i pocałował, ponieważ było to zbyt bolesne i rozdzierające serce. - Donaldzie, potrzymaj siostrę na wózku, synku.

Kiedy Lizzy P. posadzono na kolanach brata, Will odwrócił się do Elly i wziął ją za obie ręce. Płakała cicho. Nie szlochała, jedynie łzy spływały po jej bladych policzkach.

- Niech pani trzyma dla mnie zawsze placek z pigwami, pani Parker, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy przywędruję na to podwórko głodny jak niedźwiedź na wiosnę.

Chociaż łzy nadal ciekły jej po twarzy, podniosła brodę i powiedziała żartobliwie:

- Zawsze sprawiałeś kłopotów co niemiara przez to twoje upodobanie do słodczy.

Nie mógł ukryć łez, nad którymi wcześniej panował. Zabłyły w jego oczach, gdy objęli się w gorącym zaborczym uścisku. Opuścił głowę, a ona wspięła się na palce i ściskali się mocno, a ich udana wesołość znikła.

- Och, Elly...

- Wrócisz do mnie, słyszysz, co mówię?

- Wróć, wróć, obiecuję, że wróć. Jesteś pierwszą osobą, do której powinienem wrócić. Jak mógłbym nie wrócić do ciebie?

Pocałowali się, czując się pozbawieni tylu rzeczy, na które nie mieli już czasu.

- Przyślij mi swoją fotografię w mundurze, gdy tylko ci ją zrobią.

- Przyślę. A ty pamiętaj o tym, co powiedziałem.... - Trzymał jej twarz w dłoniach, patrząc w piękne zielone oczy. - Jesteś taka sama jak ktokolwiek w mieście. Zabierz tam

chłopców i idź do panny Beasley, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Skinęła, przygryzając wargę, a następnie przyciągnęła go bliżej, kurczowo ściskając w pięściach jego drelichową kurtkę.

- Kocham cię t - tak b - bardzo - powiedziała zdławionym głosem.

- Ja także cię kocham.

Pocałowali się znowu, obejmując. Płynęły łzy, a gdzieś pędził już pociąg do Whitney, aby zabrać Willa. Uwolnił żonę ze swoich ramion i poleciał drżącym głosem:

- Teraz weź Lizzy P. oraz chłopców i wszyscy usiądźcie pod drzewem. Chcę was tam zobaczyć, gdy znajdę się na zakręcie. Do widzenia, chłopcy. Bądźcie grzeczni.

Podniósł brązową torbę i patrzył, jak Elly sięga po dziecko, pochylając się. Szedł drogą w dół, mrużąc oczy, aby lepiej widzieć, ocierając szorstkim mankietem twarz. Odwrócił się dopiero w ostatniej chwili, bo wiedział, że zaraz za zakrętem znikną mu z oczu. Wziął głęboki oddech... obrócił się... wiedział, że obraz ten zapadnie mu głęboko w serce.

Siedzieli pod drzewem na uschniętej trawie. Chłopcy tulili się do matki. Widać było niebieskie kombinezony, grube wełniane kurtki, brązowe buty. Stali na palcach. Mignęła i różowa kołderka, maleńka twarzyczka zwrócona w jego kierunku... wypłowiła niebieska podomka, krótki brązowy płaszcz, gołe nogi, brązowe półbuty, skarpetki, długi warkocz koloru miodu. Chłopcy machali. Donald Wade płakał. Tomcio wołał:

- Widzenia, Wij! Widzenia, Wij!

Elly trzymała maleństwo wysoko przy policzku, obracając maleńką rączką Lizzy i machając razem z nią w pożegnalnym geście.

- O Boże... Boże...

Will podniósł wolną rękę i zmusił się, aby się odwrócić i odejść.

Pomyśl o powrocie do domu - recytował to jak litanię. Pomyśl, jakie masz szczęście, że cała czwórka czeka na ciebie pod oksydendronem. Pomyśl, jak ładne jest gospodarstwo, które opuszczasz, i jak to będzie, gdy zobaczysz, że chłopcy biegną na powitanie, i jak to będzie wziąć znowu Elly w ramiona, wiedząc, że nie trzeba odchodzić. Wyobraź sobie, jak się uśmiechasz, kiedy Lizzy P. po raz pierwszy powie do ciebie „tatusiu”, jak pewnego dnia pojawi się twoje własne dziecko takie jak ona, a ty i Elly będziecie patrzeć, jak cała czwórka dorasta, żeni się lub wychodzi za mąż i daje wam wnuki, a później wszyscy przyjeżdżają do domu na niedzielę. Wtedy pokażesz im stare drzewo i opowiesz, jak szedłeś na wojnę i zostawiłeś ich babcię, mamę, tatusiów siedzących pod nim i machających ci na pożegnanie.

Zanim doszedł do gospodarstwa Tomasza Marsha, uspokoił się. Stał na skraju ich posiadłości, patrząc na dobrze utrzymany biały dom, pusty sznur na bieliznę na podwórku z

tyłu domu, pień drzewa, gdzie nadal stał stary emaliowany czajnik, lecz nie było w nim teraz petunii. Nowy biały płot otaczał podwórko; otworzył furtkę, zamknął za sobą klamkę i podszedł do budynku, wbijając weń wzrok. Kudłata żółta suczka wyszła na ganek, obwąchując jego łydki, był to na wpół wyrosnięty szczeniak, bardziej ciekawski niż groźny.

- Witaj, psinko... - Will schylił się i podrapał ją w szyję. - Gdzie są twoi państwo, co?

Kiedy wyprostował się, jakaś kobieta otworzyła drzwi i wyszła na tylną werandę. Była to ta sama, którą widział niegdyś, ubrana w schludną czerwoną sukienkę z białym szerokim kołnierzem. Zakładała właśnie biały sweter.

- Dzień dobry! - zawołała.

Will podszedł do niej wolno i zdjął kapelusz.

- Pani Marsh?

- Tak, to ja.

- Nazywam się Will Parker. Mieszkam na ulicy Rock Creek. Eleonora Dinsmore jest moją żoną.

Zeszła na dół dwa schodki i wyciągnęła rękę. Była ładna, szczupła i długonoga. Czarne loki opadały jej na ramiona, miała puder na policzkach i szminek na ustach, która nadawała jej jednak słodki wygląd. Nie była tak wulgarna jak Lula Peak.

- Widziałam, jak szedł pan tą drogą już kilka razy.

- Tak, proszę pani. Pracuję w bibliotece u panny Beasley. Chcę powiedzieć, pracowałem. Ja... - wskazał kapeluszem w stronę miasta - ja właśnie jadę na Parris Island.

- Do obozu marines?

- Tak, proszę pani.

- Został pan powołany?

- Tak, zgadza się.

- Tak jak mój mąż. Wyjedzie pod koniec tygodnia.

- Przykro mi, proszę pani. Chcę powiedzieć... cóż, ta wojna to przekleństwo.

- Tak. Mam młodszego siedemnastoletniego brata. Rzucił szkołę i już zaciągnął się do marynarki. Mama i tata po prostu nie potrafili utrzymać go w domu.

- Siedemnaście lat. Jest jeszcze taki młody.

- Tak... tak bardzo martwię się o niego. - Na chwilę zapadło milczenie, nim zapytała: - Czy mogę zrobić coś dla pana, panie Parker?

- Nie, proszę pani. To ja muszę zrobić coś dla pani, zanim wyjadę. - Opierając torbę o brzuch, Will sięgnął do środka i wyciągnął litrowy słoik z miodem i wręczył jej. - Kilka miesięcy temu ukradłem litrowy słoik pełen maślanki spod studni. Oto i on. Oczywiście maślanki

już dawno nie ma, ale miód jest nasz własny, hodujemy teraz pszczoły. - Następnie wyjął ręcznik. - Ukradłem również ten zielony ręcznik z pani sznurka i ubranie pani męża, ale obawiam się, że już z niego nic nie zostało.

- Nie do wiary! - zawołała zdumiona, przyjmując miód.

- W przeciwnym razie i je także bym zwrócił. Byłem wtedy w trudnym położeniu, ale to, oczywiście, żadne usprawiedliwienie. Chcę tylko przeprosić, pani Marsh. Myślałem o tym od dawna i dręczyło mnie to bardzo. Okradłem przyzwoitych ludzi. Elly ma o was dobre zdanie. - Cofnął się, wskazując na słoik. - A więc przyniosłem ten miód, to niedużo, ale zawsze coś. - Założył kapelusz i zwinął torebkę, cofając się.

- Bardzo przepraszam, proszę pani, i mam nadzieję, że pani mąż wróci z tej wojny.

- Chwileczkę, panie Parker! - Zatrzymał się przy furtce, a ona pośpiesznie zeszła ścieżką. - Proszę dać mi chwilę na zastanowienie. Nikt nigdy... To najdziwniejsza rzecz, jaka... - Roześmiała się, bardzo zaskoczona. - Często zastanawiałam się, co się stało z tymi ubraniami.

Will zarumienił się po same uszy, gdy ona tymczasem robiła wrażenie ubawionej.

- Nie mam usprawiedliwienia, proszę pani, ale przepraszam. Będę teraz lepiej spać, gdy ten ciężar spadł mi z piersi.

- Dziękuję za miód. Przyda się, gdy cukier jest tak drogi.

- To drobnostka.

- To więcej, niż kosztowałyby stare ubrania Tomasza.

- Mam nadzieję, proszę pani. - Otworzył furtkę, a szczeniak próbował się wtedy prześlizgnąć na drugą stronę. Pochyliła się i złapała go za obrozę, gdy Will zamykał furtkę.

- Jestem pod wrażeniem pańskiej uczciwości, panie Parker - powiedziała, prostując się.

Roześmiał się skrepowany i spojrzał na furtkę, jednocześnie z roztargnieniem przesuwał palcami po jednej z wykrzywionych listewek.

- Kiedyś maślanka i dżinsy miały dla mnie bardzo duże znaczenie.

Przyjrzeni się sobie uważnie, nieznajomi złapani w tryby wojny, zastanawiając się nad śmiercią i możliwymi stratami, zdziwieni, że te zagrożenia tak szybko stworzyły między nimi więź. Wyciągnęła jeszcze raz rękę, a on ścisnął ją przez dłuższą chwilę.

- Mam nadzieję, że wkrótce zobaczę, jak przechodzi pan znowu tą drogą.

- Dziękuję, pani Marsh. Jeśli tak będzie, głośno krzyknę na powitanie.

- Proszę to zrobić.

Puścił jej rękę.

- Dobrze... a zatem do widzenia.

- Niech Bóg pana błogosławi.

Uniósł kapelusz i skierował się w stronę drogi. Gdy przeszedł kilka kroków, odwrócił się jeszcze. Akurat zanurzyła palec w miodzie. Gdy włożyła go do ust, podniosła wzrok i zobaczyła, że Will patrzy na nią i uśmiecha się od ucha do ucha.

- Jest pyszny. - Uśmiechnęła się szczerze.

- Pomyślałem jeszcze o czymś, proszę pani. Spytała pani, czy nie mogłaby czegoś dla mnie zrobić, a może i jest coś takiego.

- Wszystko dla żołnierza.

- Moja żona Elly ma dwumiesięczne dziecko i dwoje starszych, rzadko więc opuszcza dom. Gdyby pani mogła... gdyby pani czuła się samotnie albo miała ochotę kogoś odwiedzić, wiem, że ma pani własne dzieciaki, może wszyscy wpadlibyście od czasu do czasu do nas na pogawędkę. Dzieciaki bawiłyby się razem, a wy napiłybyście się herbaty. Możecie odwiedzać się także, gdy i pani mąż odejdzie.

Jej ładna twarz zmarszczyła się, gdy myślała.

- Eleonora... Elly, pańska żona nazywała się kiedyś See, prawda?

- Tak jest, proszę pani. Jednak to, co o niej mówią, to nieprawda. Jest wspaniałą osobą, o wiele bardziej inteligentną niż ci, którzy roznoszą na jej temat plotki.

Pani Marsh zakręciła słoik. Trzymała go tak jak panna młoda bukiet.

- W takim razie pójdę podziękować jej za wspaniały miód, dobrze? - odpowiedziała.

Uśmiechnął się uradowany i pomyślał, że pani Marsh jest ładna nie tylko dlatego, iż ma ładną cerę, piękne włosy i róż na policzkach.

- Mam nadzieję, że będzie pani smakował miód - rzekł, żegnając się.

- Niech tylko pan wróci. - Podniosła rękę i pomachała.

Kiedy odszedł, oboje mieli gorącą nadzieję, że znowu się spotkają, mając niejasne poczucie, że zostają czegoś pozbawieni, jak gdyby mogli się zaprzyjaźnić, gdyby było więcej czasu, aby wykorzystać tę możliwość.

Stacja kolejowa wydawała się w tych dniach najbardziej ruchliwym miejscem w mieście. Dwóch młodych rekrutów - jeden z białej rodziny, a drugi z murzyńskiej - już czekało z biletami w dłoniach, otoczeni krewnymi i znajomymi po dwóch oddzielnych stronach dworca. Drużyna skautek w mundurkach rozdzieliła się na dwie grupy - czarne dziewczęta ofiarowały czarnemu rekrutowi małe białe pudełko, białe dały to samo białemu. Grupa kobiet ze Stowarzyszenia Córek Rewolucji częstowała sokiem i ciastkami wszystkich mężczyzn wyruszających na wojnę, którzy mogli mieć ochotę na przekąskę. Chudy młody

mężczyzna w luźnym garniturze i filcowym kapeluszu przeszkodził żegnającej się rodzinie białego żołnierza, starając się w ostatniej chwili przeprowadzić wywiad dla miejscowej gazety. Czarnoskóry pastor z kręconymi białymi loczkami wpadł pośpiesznie, aby dołączyć się do pożegnań czarnej rodziny.

Była tam także panna Beasley ubrana w nieśmiertelny ciemnobrązowy płaszcz, buty na gumowych podeszwach i szkaradny czarny kapelusz z jakąś siatką, w kształcie garnka. W lewej ręce trzymała czarną torebkę, a w prawej książkę.

- A więc Eleonora nie przyszła - zaczęła, zanim jeszcze Will do niej podszedł.

- Nie, proszę pani. Pożegnałem się z nią i z dziećmi przy naszej drodze, tam chcę ich zapamiętać.

Panna Beasley pogroziła mu palcem przed nosem.

- Niech pan przestanie przemawiać tak fatalistycznie, rozumie pan? Ani myślę tego słuchać, panie Parker!

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział łagodnie i natychmiast zrobiło mu się cieplej na sercu, gdy zachowywała się tak surowo.

- Postanowiłam dać pańską pracę studentowi Franklinowi Gilmore. Jednocześnie dałam mu do zrozumienia, że to tylko czasowa umowa, dopóki pan nie wróci. Czy to jasne? - Robiła wrażenie, że rozprawiałaby się z każdym japońskim żołnierzem, który ośmieliłby się wycelować w Willa Parkera.

- Tak, proszę pani.

- Dobrze. Niech więc pan to weźmie i trzyma ze swoimi rzeczami. To zbiór poezji wybitnych autorów, a ja chcę, żeby pan zapewnił mnie, że przeczyta go raz i będzie czytał stale.

- Poezja... no cóż...

- Człowiek, jak powiadają, może przeżyć trzy dni bez wody, ale nie może przeżyć żadnego bez poezji.

Przyjął książkę i przyjrzał się jej wzruszony.

- Podziękowania nie są konieczne. Wystarczy obietnica, że pan to przeczyta.

- Obiecuję.

- Widzę pana wątpliwości. Na pewno nigdy nie pomyślał pan, że lubi poezje, ale ja słyszałam, jak mówił pan o pszczołach, chłopcach i gałązkach. To była pana poezja. To ich zastąpi... dopóki pan nie wróci.

Mocno trzymał książkę w dłoniach, jak gdyby na nią składał przysięgę.

- Dopóki nie wrócę.

- A więc niech tak będzie. A teraz... - Przerwała, jak gdyby odkładała na bok jeden temat, zanim zabierze się do drugiego. - Czy ma pan pieniądze na bilet?

Było to pytanie, które mogła zadać matka, i trafiło prosto do serca Willa.

- Komisja poborowa przysłała mi bilet.

- Ach, oczywiście. I jak mniemam, zapewnia porządne posiłki w czasie podróży?

- Tak, proszę pani. Oprócz tego Elly zapakowała mi kilka kanapek i kawałek placka. - Podniósł swoją torbę.

- Tak, oczywiście. Zadałam głupie pytanie.

Zatrzymali się, próbując pomyśleć o czymś, co powiedzieć.

Wstrząsały nimi różnorodne ukryte uczucia, a milczenie ciążyło.

- Powiedziałem jej, aby przyszła do pani, jeśli będzie potrzebować jakiegokolwiek pomocy. Nie ma nikogo więcej, myślę więc, że pani się zgodzi.

- Nie ma sensu nad tym się rozwodzić, panie Parker. Obraziłabym się, gdyby tak nie postąpiła. Napiszę do pana i powiem panu, co dzieje się w bibliotece i w mieście.

- Będę bardzo wdzięczny, proszę pani, a ja odpiszę, opowiem pani wszystko o Japończykach i Szwabach, których dostanę w swe ręce.

Wjechał parowóz w chmurze dymu, ciągnący za sobą wagony, i zagłuszył słowa. Od razu poczuli ulgę i jednocześnie zrobiło im się przykro, że to już. Dotknął jej ramienia i podszedł do srebrnego wagonu wraz z czarną i białą rodziną, skautkami, Córkami Rewolucji i miejscowym dziennikarzem, wszyscy oni grzecznie skinęli pannie Beasley, zwracając się do niej po nazwisku.

Słońce nadal świeciło na lazurowym niebie z chmurami o odcień ciemniejszymi niż dym wydobywający się z lokomotywy. Stado gołębi sfrunęło, poruszając skrzydłami, aby przy - siaść na wózku bagażowym. Murzyńska rodzina pocałowała na pożegnanie swojego chłopca, a biała rodzina swojego. Konduktor powiedział: Wsiadaaa!, ale Will Parker i Gladys Beasley stali nadal niepewnie obok siebie - tęga stara kobieta w brzydkim czarnym kapeluszu i smukły młody mężczyzna w spłaszczonym filcowym nakryciu głowy. Patrzyli na swoje stopy, ręce, rączkę od torebki, brązowy papierowy pakunek.

I w końcu na siebie.

- Będę za panem tęskniła - powiedziała i na moment jej surowość znikła i zmarszczki wokół ust wygładziły się.

- Przez całe życie nigdy nie miałem nikogo, za kim mógłbym tęsknić, a teraz mam tak wiele osób. Elly, dzieci i panią. Jestem szczęśliwym człowiekiem.

- Gdybym była sentymentalna, mogłabym powiedzieć, że gdybym miała syna i tak

dalej...

- Wsiałaadaaac!

- Myślę, że konduktorzy ostatnio mają chrypę od wykrzykiwania tego słowa - odważyła się powiedzieć i nagle znaleźli się obok siebie, jego książka przyciśnięta do jej pleców, torebka uderzała go w biodro. Czując ostry zapach goździków, zamknął na chwilę oczy, myśląc, jak jest wdzięczny, że znalazła się w jego życiu.

- Jeśli da się pan zabić, nigdy nie przebaczę panu, panie Parker.

- Wiem. Ja także sobie tego nie daruję. Proszę dbać o siebie i do zobaczenia, gdy wrócę.

Rozdzielili się i spojrzeli na siebie - jej twarz była wyprana z wszelkich uczuć, co uchronić ją miało przed załamaniem, a na jego twarzy był delikatny uśmiech - pocałował ją szybko w usta i obrócił się, aby wejść na schody czekającego wagonu.

ROZDZIAŁ 16

26 lutego 1942 roku

Droga Elly,

Jestem na Parris Island a podróż tutaj nie była zbyt męcząca. Musiałem się przesiąść w Atlancie i dojechałem do Yesmassee późnym popołudniem. Powitał mnie tam autobus dla rekrutów i przejechaliśmy trzydzieści mil do bazy która znajduje się zaraz za Buford. Buford to brzydkie miasto i jestem zadowolony że w nim nie mieszkam. Minęliśmy most i jechaliśmy przez jakieś ogromne mokradła aby tam się dostać. Żółta trawa i dziesiątki ptaków które na pewno przypadłyby ci do gustu. Wyszedł nam naprzeciw instruktor musztry duży tępy byczek nazwiskiem Twitchum i od razu zaczął nam dawać wycisk. Drze się wniebogłosy i mówi jak musimy zaczynać i kończyć wszystko co mówimy używając słowa sir - jak na przykład sir proszę o pozwolenie abym mógł z panem porozmawiać - i poniżej niektórych i sprawia że czują się głupio a jest tutaj kilku chłopców ze wsi z Iowy i Dakoty którzy nigdy nic nie widzieli poza koniem i stajnią i patrzą na wszystko z szeroko otwartymi oczami - nie wiem dlaczego zaciągnęli się do marines ale niektórzy może myślą że armia jest najgorsza i wolą iść raczej na morze byle jak najdalej od frontu. Oni - ci chłopcy mieli ochotę nawiać ale ja poznałem już niejedno więzienie a więc ten obóz to dla mnie nic nowego. Twitchum chciałby aby wszyscy ci chłopcy robili w majtki ze strachu. Trzyma ich na nogach do późna w nocy i uczy jak się ściele łóżko zanim się w nim położą bo ich mamy zawsze słały im łóżko w domu i nigdy nie nauczyli się jak to się robi.

Ja pięć lat słałem sobie łóżko i wiele mnie kosztowało jeśli nie posłałem go dobrze. Twitchum przychodzi i mierzy wszystkich sokolim wzrokiem i widzi że moje łóżko jest jak należy i zatrzymuje się przystawiając swój nos bardzo blisko mojego a ja czuję jego oddech a on mówi wystawiając mnie na próbę. - Jak ci na imię chłopcze a ja powiadam Parker - William - Lee - sir a on tak do mnie powiada - z północy czy z południa? Znam takich jemu podobnych i widziałem jak patrzy na tych jankeskich wiejskich chłopców i jak sprawia mu radość że ich poniżej i zawsze dokucza czarnym chłopcom i także ich dręczy tak więc powiadam do niego: - Sir jestem z zachodu sir. Myśli o tym przez chwilę i warczy: - Kontrola łóżek codziennie o piątej rano Parker. Jeśli nie nauczysz tych chłopaków kobiecych robót to będzie twój kłopot! Tak więc wydaje mi się że już otrzymałem swoje zadanie. Tyle o tym. Panna Beasley dała mi na pożegnanie poezje a ja pocałowałem ją i nie miała nic przeciwko temu. Wydali nam mundur roboczy koce i środki czystościowe i skierowali do baraków a coś mi się widzi, że połowa chłopaków beczy tęskniąc za domem. Ja znam gorsze miejsca niż to -

bywałem tu i ówdzie. Bardzo tęsknię za twoimi oczami i dziećmi i naszym łóżkiem i to jeszcze jak. W pociągu zjadłem kanapki i placek które mi dałaś jedzenie było naprawdę pyszne chyba nigdy nie powiedziałem ci że najlepszy ze wszystkiego jest twój placek. Mówią że już idziemy muszę więc teraz kończyć. Przepraszam jeśli nie wyraziłem się jasno nigdy nie pisałem dobrze ponieważ nienawidziłem szkoły nie chodziłem tam zbyt często chociaż mnie zmuszali.

Twój kochający mąż Will

26 lutego 1942 roku

Will, mój drogi,

Nigdy wcześniej nie pisałam listu nie wiem jak to zrobić ale nadszedł czas żeby się nauczyć jak myślisz. Zjedliśmy kolację bez ciebie ale chłopcy byli w kłutli - w kłótlwym usposobieniu (przepraszam ale nie mam gumki) i z trudem przychodzi mi patrzeć na twoje krzesło cały czas myślę gdzie też teraz jesteś czy już tam dojechałeś czy nakarmili cię czy dali ci ciepłe łóżko i wszystko czego potrzebujesz. I czy panna Beasley poszła na dworzec tak jak mówiła. Nie znam ortografii ani nie mogę zebrać myśli na papierze ale uczucia to zupełnie inna historia a ich mam mnóstwo i już za tobą tęsknię Will a ledwie dziś wyjechałeś.

Zajął mi to prawie godzinę i to nie dużo słów jak na tyle pisanie ale jutro napiszę więcej

kochająca Eleonora

28 lutego 1942 roku

Will, mój drogi,

Nadszedł twój list i to Parris Island brzmi strasznie płakałam ponieważ żal mi było ciebie byłeś taki dzielny mając mnie na uwadze kiedy napisałeś że nie jest tam jeszcze tak źle. Tym razem nie płakałam ze względu na siebie ale czułam się strasznie że tam jesteś. Mam nadzieję że czujesz się dobrze ten Twitchum to chyba prawdziwy diabeł a ja ciągle czytam sobie ten fragment o nim w wolnym czasie...

Parris Island, Karolina Południowa

28 lutego 1942 roku

Przesyłam ci upoważnienie na obligacje. Pamiętaj żeby schować je w bezpiecznym miejscu...

Will, mój drogi,

Byłam pewna że dostanę jeszcze jeden list od ciebie czy masz się dobrze? Codziennie gdy przychodzi poczta zbiegam na dół pędem i sprawdzam czy są listy w skrzynce ale był tylko ten jeden. Jesteś pewny że dobrze się czujesz?...

Parris Island, Karolina Południowa

2 marca 1942

Droga Eleonoro,

Bardzo tęsknię za twoimi zielonymi oczami i napisałbym wcześniej ale nie dają nam tu czasu wstajemy o godzinie 0430 (po ludzku czwarta trzydzieści) a Twitchum budzi nas kopiąc puszkę na śmieci i waląc w drzwi naszego baraku i pędzimy na złamanie karku. Na każdego przeznaczają tylko trzy minuty w latrynie na golenie się i kąpiel i wiesz jeszcze na co? Jeśli mamy potrzebę a on stoi tam i warczy jak wściekły pies cały czas i przez pozostałą część dnia słyszymy tylko zrób to zrób tamto do godziny 0900 a później mamy godzinę wolnego czasu ale to nie jest wolny czas bo przychodzi Twitchum i zmusza nas do musztry albo do czyszczenia butów. Do tej pory nie miałem czasu na pisanie.

Zostałem jak to nazywają poddany obróbce więc moja mała ogolono mnie do gołej skóry i wyglądam brzydko jak wyliniały kundel ale zaoszczędza to dużo czasu rano a tobie niepotrzebne jest zdjęcie kogoś kto wygląda aż tak źle. I tak nie robili nam żadnych zdjęć. Załatali mi zęby i zrobili siedem zastrzyków w różne miejsca cztery wiesz gdzie. Uch! Te igły mogłyby być trochę bardziej ostre. W łóżku w nocy myślę o tobie i o dzieciakach i o tym jak dobrze gotujesz ale żarcie tutejsze nie jest tak złe jak myślałem jest lepsze niż w więzieniu mogę cię o tym zapewnić. Nie...

Braknie mi już czasu - piszę to w biegu

kochający Will

4 marca 1942 roku

Kochana Elly,

Twój list przyszedł dopiero razem z wczorajszą pocztą a ja już wysłałem swój dzień wcześniej i powiedziałem ci dlaczego nie pisałem. Nie martw się o mnie świetnie sobie radzę Twitchum dał mi spokój ale ja uważam gdy jest w pobliżu na wypadek gdybym popełnił jakiś błąd. Nie martw się nie popełnię żadnego będę postępować jak jego tresowana małpka. Tęsknię za tobą i za dzieciakami i to jeszcze jak - Lizzy P. jak przypuszczam rośnie. Czytam

twoje listy aż postrzępiły się brzegi ale ty nie martw się o mnie jestem tylko trochę samotny to wszystko. Dobrze mnie tu karmią a kiedy ma się pełny żołądek można prawie wszystko wytrzymać. Nie martw się o mnie bo czuję się świetnie. Rzeczy nabierają tempa. Dzisiaj dostaliśmy nasze 30 - kalibrowe karabiny i bagnety i musimy zapamiętać modele - 1903&1905. Codziennie mamy ćwiczenia sportowe ćwiczenia z bagnetami i zajęcia z historii wojskowości. Kto pomyślałby że znowu wrócę do szkoły w tym wieku ale ja wróciłem a w przyszłym tygodniu będą pierwsze lekcje z pierwszej pomocy i zajęcia dotyczące sprzętu wojennego i oczywiście jest zawsze musztra która trwa codziennie godzinami. Oni wszyscy tu mówią że polecenia uczą dyscypliny i że jest ona bardzo ważna w historii wojskowości ale ja teraz sędzę że wiem dlaczego wszyscy nazywają ten obóz „do zdarcia” (nawet nasze buty codziennie się zdzierają). Są tutaj rozmaici ludzie Elly - oczywiście poznałem różne typy w Huntsville ale tu to co innego jesteś cały czas bardzo blisko. Od niektórych tak zajeżdża że wszyscy musimy chodzić na lekcje higieny a wielu z nich nie umie czytać a więc chodzą na naukę czytania. Czarni mają swoje własne baraki a my mamy swoje i chyba każdy ma przyjaciela. Mój to chudy rudzielec z Kentucky nazywa się Otis Luttrell. Dobrze nam się razem żyje bo żaden z nas nie lubi za dużo gadać...

13 marca 1942

Drogi Panie Parker,

Do tej pory przystosował się pan już zapewne do życia w wojsku, tak jak my w domu bardzo powoli pogodziliśmy się z myślą, że nasz kraj jest w stanie wojny. Tutaj w mieście panuje coraz większa propaganda teraz, gdy Ameryka czynnie się włączyła. Wydaje się, że co tydzień pojawia się nowe obwieszczenie zachęcające nas do wypełnienia jakiegoś zadania - ostatnio pojawił się rysunek przedstawiający Wuję Sama, który ucisza nas i mówi „Jedno szepnięcie, a już po okręcie”. Wydaje się zupełnie niewiarygodne, aby ktoś uwierzył, że pomiędzy nami mogą działać szpiegowie i to w miejscu tak małym jak Whitney.

Każda organizacja, począwszy od skautów, a skończywszy na Towarzystwie Jane Austen, sponsoruje teraz zbiórkę złomu. Ku mojemu zmartwieniu zabrali armatę z czasów wojny secesyjnej z placyku przed ratuszem, aby przetopić ją na żelazny złom. Zgłosiłam wniosek formalny w radzie miejskiej, aby tego nie robić - mimo wszystko trzeba również oddać cześć potomności - ale, oczywiście, wszyscy byli nastawieni tak patriotycznie, że zostałam kompletnie pokonana.

Norris i Nat MacReady zgłosili się, aby organizować patrole ludności cywilnej i pracować w charakterze strażników w czasie nalotów powietrznych. Patrolują ulice miasta i

sprawdzają, czy nikogo nie ma na ulicy po godzinie dziesiątej i czy wszędzie są zaciemnienia. Szczerze mówiąc, po wszystkich tych latach, jakie spędzili na ławce po drugiej stronie ulicy, strugając coś nożem, nie odgadłabym, że coś takiego im przyjdzie do głowy.

Zwyczajowo co sobotę odwiedzam Eleonorę po zamknięciu biblioteki. Dni są teraz dłuższe i mamy jedną dodatkową godzinę, bo w czasie wojny należy oszczędzać elektryczność. Pańska żona i ja zawsze gawędzimy sobie przyjemnie i rozgrywamy w chińczyka jedną albo dwie partyjki. Zabieram ze sobą książki dla chłopców i oni zajmują się nimi, gdy ja tam jestem. Wyglądają zdrowo i krzepko, a Lizzy jest zadowolona i z tygodnia na tydzień coraz większa.

Założyłam mały Ogródek Zwycięstwa, ale obawiam się, że nie mam talentu do ogrodnictwa tak jak Eleonora. Jednak będę wyciągać siły i może wyhoduję pomidora albo dwa. Eleonora zaproponowała mi, że nauczy mnie podwiązywać pomidory. Nie chciałam zranić uczuć tego biedactwa, ale obawiam się, że zbyt długo siedziałam za biurkiem, aby poradzić sobie z cedzakami i sitami. Mimo to jednak spróbuję.

Sklep rzeźnika zamienił się teraz w skład odpadów tłuszczu. Ogłoszenie informuje, że z jednego funta tłuszczu można uzyskać tyle gliceryny, ile potrzeba do produkcji kilograma czarnego prochu, a więc wszyscy tutaj odcinamy tłuszcz od bekonu i skrzętnie przynosimy do rzeźnika.

Umieszczono jeszcze jedno obwieszczenie i to na placu miejskim zaraz obok ławki MacReadów. Na nim wymieniono nazwiska wszystkich miejscowych chłopców, którzy się zaciągnęli. Pana nazwisko wymieniono w prawej kolumnie pomiędzy Okonem, Robertem Merle (Marynarka Stanów Zjednoczonych) a Spraguem, Nealem J. (Armia Stanów Zjednoczonych). Bogu dzięki koło żadnego nazwiska nie pojawiła się jeszcze gwiazdka.

Franklin Gilmore dobrze pracuje w bibliotece, chociaż od czasu do czasu miga się, kiedy przychodzi do odkurzania górnych półek, których, jak miema, nigdy nie kontroluję.

Mam nadzieję, że list ten zastanie pana w dobrym zdrowiu i że znosi pan mężnie rygory życia wojskowego przy jak najmniejszej ilości niewygód. Oczekuję z niecierpliwością na list od pana, jeśli tylko znajdzie pan chwilę czasu, a jak wnoszę, nie ma go zbyt wiele w czasie podstawowego szkolenia wojskowego.

Z najlepszymi życzeniami Gladys Beasley

15 marca 1942 roku

Will, mój drogi,

Nigdy nie zgadniesz kto tutaj dziś przyszedł. Ta młoda śliczna Lidia Marsh która

mieszka na dole przy drodze do miasta. Podeszła do nas kiedy sadziłam rośliny w swoim Ogródku Zwycięstwa - naprawdę! Robię zasiewy od zawsze odkąd tylko nauczyłam się posługiwać motyką i nagle nadali mu taką nazwę aby i ludzie z miasta zrobili sobie ogródek ale to właściwie nie ma nic do rzeczy. Pani Marsh przyszła kupić miód powiedziała że słyszała iż go sprzedajemy. Przyproceedziła ze sobą dwoje dzieci dziewczynkę Sally i dwuletniego chłopczyka imieniem Lonn i chłopcy bardzo się polubili. Bawili się na podwórku a ja poczęstowałam panią Marsh herbatą i została trochę dłużej ach co to za miła kobieta...

20 marca 1942 roku

Droga Panno Beasley,

Dziękuję za pani list było w nim oczywiście tyle wiadomości nie wiedziałem że tyle dzieje się w mieście oznacza to że Elly nie jeździ do miasta ponieważ nic mi o tym nie pisze. Przeczytałem niektóre wiersze i były ciekawe. Mój ulubiony to „Kiedy mężczyzna zmierza do domu” Daniela Whiteheada Hicky'ego. Wyobrazam sobie że tak to będzie wyglądało kiedy będę mógł wrócić do domu do Elly i dzieciaków wtedy zamkniemy drzwi i zostawimy cały świat gdzieś daleko...

25 marca 1942 roku

Droga Elly,

To był chyba najgorszy dzień odkąd wyjechałem z domu. Cała kompania jest wybita z równowagi prawdę mówiąc cała baza. Pewnie słyszałaś o tym w radio jak porucznik Calvin Murphree biwakował ze swoim plutonem i wysłał ich w zasieki na brzuchach nagle zaczął ich bombardować (to znaczy wystrzelał pociski nad ich głowami) wpadł w szal zaczął strzelać do nich i zabijać. Zabił jednego szeregowca nazwiskiem Kenser Kunzor lub coś w tym rodzaju i zranił jeszcze dwóch innych zanim ktoś zdołał go powstrzymać. Mężczyzna może oczekiwać że zostanie zastrzelony gdy dotrze na front ale nie w obozie przez własnych oficerów. O Boże Elly tak bardzo za tobą tęsknię moja zielonooka. Otworzyłem wiersze od panny Beasley i przeczytałem swój ulubiony aby poprawić sobie humor. Opowiada o człowieku który wraca do domu nocą w poświacie księżycy a tam czeka na niego kobieta ze świecą. Tylko cztery tygodnie i jeden dzień i podstawowe szkolenie się zakończy i wyjadę i będę mógł przyjechać do domu...

25 marca 1942 roku

Will, mój drogi,

Wszystko dobrze wyjąwszy jak bardzo za tobą tęsknię. Panna Beasley przychodzi co sobotę po pracy kiedy wcześniej zamyka bibliotekę. Przyniosła mi słownik ortograficzny pomaga mi pracować nad pisaniem więc moje listy są lepsze. Gramy w chińczyka i zgadnij co jeszcze zrobiła. Załatwiła że przyjeżdża tu ciężarówka aby zabrać nasze mleko - płacą 11 centów za litr i 60 centów za kilogram masła a za jajka dają 30 centów za tuzin i kierowca wszystkie je zabiera...

27 marca 1942 roku

Droga Elly,

Nie powinienem był napisać ostatniego listu kiedy byłem w takim podłym humorze. Nie chcę żebyś się o mnie martwiła i tak masz dużo zmartwienia z chłopcami w każdym razie teraz lepiej się czuję i wszystko idzie dobrze. Dobrze mi poszedł sprawdzian z pierwszej pomocy ale też w zeszłym tygodniu przypadło mi gotowanie - niewiele się tym przejąłem. Codziennie mamy ćwiczenia z karabinem i powiem ci coś zabawnego na temat tych chłopaków z ostępów leśnych którzy nie umieją pisać ani czytać ale umieją rozebrać na części karabin i złożyć w ciemności. Mnie i Rudzielcowi (bo tak nazywam mojego przyjaciela Otisa) również dobrze to idzie...

29 marca 1942 roku

Will, mój drogi,

Zastanawiam się co robisz dziś wieczorem. Słuchałam radia i grali „Białe skały Dover” a ja myślałam czy popłynąłeś do Anglii...

11 marca 1942 roku

Droga Elly,

Dobrze że możemy wysyłać te listy za darmo nigdy nie pomyślałem że napiszę tyle listów w całym moim życiu - a napisałem ich bardzo dużo odkąd tu jestem. Dostaliśmy przepustkę na jeden dzień i Rudzielec i ja pojechaliśmy z całą paczką która złapała autobus rekrutów do Buford i poszliśmy do kina. Było to „Podejrzenie” z Cary Grantem i Joan Fontaine a później prawie wszyscy się upili i próbowali poderwać miejscowe dziewczyny z wyjątkiem mnie. Tylko dziewiętnaście dni i powinienem dostać przepustkę...

14 kwietnia 1942 roku

Will, mój drogi,

Naprawdę nie wiedziałam że dni mogą się tak bardzo dłużyć chyba nie mogłyby już bardziej. Cały czas myślę o tym kiedy tu przyjedziesz i jak to będzie. Jak długo będziesz mógł tu zostać? Czy znowu pojedziesz pociągiem? Mam dla ciebie niespodziankę ale nie powiem ci dopóki tu nie przyjedziesz. Chłopcy mają kalendarz i narysowali dużą żółtą gwiazdę w dniu kiedy odjechałeś i codziennie skreślają przed zaśnięciem dużym krzyżykiem kolejny miniony dzień...

19 kwietnia 1942 roku

Zostało jeszcze tylko sześć dni moja zielonooka dziewczyno!...

19 kwietnia 1942 roku

Will, mój drogi,
Ile chcesz placków z pigwą?...

21 kwietnia 1942 roku

Najdroższa Elly,
Nie wiem jak ci to powiedzieć bo wiem że to złamie ci serce. Zrobiłbym wszystko byle bym tylko nie musiał o tym ci mówić kochanie ale właśnie dostaliśmy rozkazy i wygląda na to że nie dostaniemy naszego tygodniowego urlopu tak jak oczekiwaliśmy. Zamiast tego przenoszą nas do bazy piechoty morskiej w New River w Karolinie Północnej i wyjeżdżamy stąd od razu w przyszły czwartek. Nie mówią nam dlaczego nie dostaliśmy urlopu ale wszyscy narzekają i kilka osób już zwiłało gdy tylko doszła do nich ta wiadomość. Słuchaj skarbie nie chcę abyś martwiła się o mnie świetnie sobie radzę. Mam nadzieję że ty i dzieciaki także radzicie sobie świetnie i że zrozumiesz to i nie tracisz otuchy...

23 kwietnia 1942 roku

Will, mój drogi,
Bardzo się starałam aby się nie rozplakać wiem że to tobie przypadło najcięższe zadanie i opanowałam się do czasu pójścia spać gdy przyszedł twój list ale później już dłużej nie mogłam powstrzymać łez...

3 maja 1942 roku

Droga Elly,
No cóż jestem tutaj w nowych barakach i możesz przysyłać do mnie listy na adres

starszy szeregowiec William Lee Parker Ist Raider Bn Baza New River, Karolina Północna. Dostałem złoty pasek i musiałem zapłacić Bilińskiemu dolara za jego przyszycie do rękawa ponieważ sam nie umiem sobie poradzić z igłą. Biliński to polski rzeźnik z Detroit którego nigdy nie ma bo wychodzi zarobić kolejnego dolara. Dlatego nazywamy go Dolar Biliński. Rudzielec i ja tym razem mamy prycze obok siebie i jestem zadowolony że nas nie rozdzielili...

6 maja 1942 roku

Will, mój drogi,

Panna Beasley i ja patrzyłyśmy na mapę i znalazłyśmy New River i teraz wyobrażam sobie ciebie w tamtym miejscu gdzie jak pokazuje mapa rzeka wdziera się w ląd obok oceanu...

14 maja 1942 roku

Droga Elly,

Przykro mi że nie pisałem od tak dawna ale jesteśmy cały czas zajęci. Zastanawiamy się co zamierzają z nami robić i kiedy ale wydaje się że to już niedługo. To chyba będzie coś naprawdę poważnego kiedy stąd wyjedziemy ponieważ nasz trening jest bardzo intensywny mamy przygotowanie do walki nawet do walki wręcz. Tyle razy już wykonywałem te ćwiczenia że poradziłbym sobie nawet w ciemności ze związanymi rękami. Dużo kazali nam przebywać w wodzie na małych pontonach. Ja i Rudzielec rozmawialiśmy poprzedniego dnia i zastanawialiśmy się dlaczego tak intensywnie nas musztrują i cokolwiek to będzie wiemy że to będzie poważna sprawa...

17 maja 1942 roku

Will, mój drogi,

Wiem że powinnam być odważna ale się boję kiedy myślę o tym że idziesz na front. Jesteś człowiekiem który należy do sadu i pszczół i teraz kiedy wspominam jak się martwiłam o ciebie gdy tam pracowałeś i porównuję z tym co musisz robić obecnie jak głupie wydaje się to że przejmowałam się pszczołami. O mój ukochany jakże chciałabym abyś był tutaj w sadzie pod drzewami napełniał konwie wodą i zsuwał kapelusz aby wytrzeć czoło rękawem...

4 czerwca 1942 roku

Droga Elly,

Dostaliśmy teraz rozkazy ale nie mówią gdzie się udajemy. Mówią tylko że musimy być gotowi aby wypłynąć kiedy padnie rozkaz...

ROZDZIAŁ 17

- Dzień dobry. Biblioteka Miejska.

- Halo, czy to panna Beasley?

- Tak.

- Tu mówi Will.

- Och, mój Boże, Will, panie Parker, czy czuje się pan dobrze?

- Czuję się świetnie, ale bardzo się śpieszę. Bardzo przepraszam, że dzwonię do pani do pracy, ale nie było żadnego innego sposobu, abym mógł przekazać wiadomość Elly. I dlatego muszę panią prosić o największą przysługę w życiu. Czy mogłaby pani do niej pójść albo zapłacić komuś, aby przekazał wiadomość? Właśnie dowiedzieliśmy się, że wypływamy w niedzielę i mamy dwudniowy urlop, ale jeśli pojechałbym do was pociągiem, zaraz musiałbym wracać. Niech pani jej powie, że chcę, aby wsiadła do pociągu i spotkała się ze mną w Auguście. To jedyna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy - możemy tylko się spotkać w połowie drogi. Niech pani jej powie, że wyjadę stąd następnym pociągiem i będę czekać na dworcu kolejowym - och, Boże, nawet nie wiem, jaki jest duży. No cóż, niech pani jej powie, że będę czekać blisko poczekalni dla kobiet, a wtedy będzie wiedziała, gdzie mnie szukać. Czy może pani dla mnie to zrobić, panno Beasley?

- Obiecuję, że w ciągu godziny dotrze do niej ta wiadomość. Czy zechce pan zadzwonić jeszcze raz, aby usłyszeć odpowiedź?

- Nie mam czasu. Mój pociąg odjeżdża za czterdzieści pięć minut.

- Wszystko dobre, co prowadzi do celu, panie Parker, prawda?

- Słucham?

- Jeśli to nie sprawi, że wyjedzie z domu, to nic nie pomoże.

Will roześmiał się, uświadamiając sobie, co miała na myśli.

- Nie pomyślałem o tym. Proszę jej po prostu powiedzieć, że kocham i czekam.

- Wiadomość zostanie jej przekazana dokładnie co do słowa.

- Dziękuję, panno Beasley.

- Och, niech pan nie będzie śmieszny, panie Parker.

- Hej, panno Beasley?

- Tak?

- Panią także kocham.

Nastąpiła przerwa, a następnie odezwał się głos:

- Pan Bell nie wynalazł tego urządzenia w tym celu, aby żołnierze mogli posługiwać

się nim i flirtować z kobietami, które śmiało mogłyby być ich matkami! I na wypadek, jeśli pan o tym nie słyszał, jest wojna. Linie telefoniczne są na podsłuchu.

- Do widzenia, kochanie. - Will znowu się zaśmiał.

- Co za bzdura! - Zarumieniona Gladys Beasley odłożyła w końcu słuchawkę.

Elly jechała pociągiem tylko raz, ale wtedy była za mała, aby coś zapamiętać. Gdyby cztery miesiące wcześniej ktoś powiedział jej, że kupi bilet i będzie zmierzać sama przez cały stan Georgia, roześmiałyby się i nazwała go głupcem. Gdyby ktoś powiedział, że będzie podróżować z dzieckiem przy piersi i przesiadać się w Atlancie, jadąc do miasta, którego nigdy nie widziała, na dworzec kolejowy, którego nie znała, spytałaby, kto był tak szalony, żeby tak twierdzić.

Will, zanim wyjechał, powiedział, że kobiety będą również musiały bardzo wiele zrobić, i oto ona siedziała w kołyszącym się i turkoczącym wagonie otoczona przez mundury i suknie. Wokół panował hałas. Brakowało miejsca, podłoga usiana była czymś, co wyglądało jak zgniecione niedopałki papierosów sprzed tygodnia. Pociągi były przepelnione, tak więc ludzie stali, siedzieli w przejściach i tłoczyli się po troje i czworo na siedzeniach przeznaczonych tylko dla dwóch osób. Jednak ponieważ podróżowała z dzieckiem, ludzie byli uprzejmi.

A ponieważ Lizzy P. wyjątkowo źle znosiła podróż, pomagali jej. Kobieta z karminową szminką na ustach w karminowych pantoflach na wysokich obcasach i czerwono-białej wyzywającej sukni zaproponowała, że potrzyzyma przez chwilę Lizzy. Żołnierz towarzyszący kobiecie odpiął swój sznur i kręcił nim w powietrzu, aby zabawić dziecko. Na czterech siedzeniach po drugiej stronie ośmiu żołnierzy grało w pokera. Wszyscy palili. Powietrze w wagonie miało kolor wody po praniu, tylko nie było tak przezroczyste. Lizzy zmęczyła się po chwili i znowu zaczęła płakać, a następnie wciskała piąstki do oczu, wykręciła się i wyciągnęła rączki do Elly. Kiedy kobieta w wyzywającej sukni zrozumiała, że dziecko musi być głodne, a Elly ją karmi, szepnęła coś do swojego młodego porucznika, który zaraz przyprowadził bagażowego. Usunął on wszystkich z przedziału sypialnego i zaprowadził tam Elly, zapewniając trzydzieści minut odosobnienia, aby mogła swobodnie nakarmić i przewinąć Lizzy.

Dworzec kolejowy w Atlancie był tak zatłoczony jak klasa dla ubogich emigrantów na statkach pasażerskich. Tłum ludzi pędził w różnych kierunkach, wszyscy gnali gdzieś, popychali się łokciami, wpadali na siebie, całowali się i płakali. Głośniki i dudniące pociągi przestraszyły Lizzy, która krzyczała przez całe czterdzieści minut postoju, aż Elly sama była

bliska łoż. Bolały ją ręce od walki z wierzgającym dzieckiem. Od hałasu rozboleła ją głowa i cały czas dręczyły przerażające pytania: co się stanie, jeśli dostanie się do Augusty i nie będzie tam Willa? I gdzie będą spać? Co zrobią z Lizzy? Ostatni odcinek podróży odbyły pociągiem starego typu, tak brudnym, że Elly obawiała się, iż Lizzy zarazi się jakąś chorobą, i tak zatłoczonym, że czuła się jak kura wieziona w klatce na targ; było tak głośno, że Lizzy nie mogła zasnąć, niezależnie od tego, jak bardzo była zmęczona. Na pojedynczym siedzeniu jakaś kobieta spała w ramionach mężczyzny, ich głowy uderzały o siebie rytmicznie, gdy koła toczyły się po nierównych spoinach torów. Grupa żołnierzy śpiewała „Papierową Laleczkę”, a jeden z nich brzdąkał na gitarze. Zaśpiewali to tak wiele razy, że Elly miała ochotę podeptać gitarę. Mężczyźni głośno opowiadali historie o obozach, przeplatając je przekleństwami i naśladując dźwięki karabinów maszynowych. W drugiej części wagonu oczywiście grano w pokera, co wywoływało sporadyczne oklaski i ryk. Na siedzeniu obok Elly gruba kobieta z wąsami spała z otwartymi ustami i chrapała. Inna, o ostrym przenikliwym śmiechu, śmiała się aż nazbyt często. Od czasu do czasu przedzierał się tamtędy konduktor i krzyczał nazwę następnego miasta. Ktoś intensywnie pachniał czosnkiem. W powietrzu unosił się duszący zapach papierosów. Lizzy cały czas płakała. Elly także miała na to ochotę. Jednak rozglądając się, uświadomiła sobie, że niczym nie różni się od setek innych przemieszczających się osób, wiele z nich tak jak i ona śpieszyło się na krótkie, może ostatnie spotkanie z kimś, kogo kochali.

Otarła cieknący nosk Lizzy i pomyślała: Jadę do ciebie, Will, jadę.

Dworzec kolejowy w Augustie, przez który przejeżdżała, obsługujący pociągi do i z różnych baz wojskowych, okazał się najgorszym doświadczeniem Elly. Wszyscy wysiadali, Elly czuła się zagubiona w morzu ludzi. Z walizką dziadka See w jednej ręce i dzieckiem w drugiej, z wysiłkiem weszła na schody i natychmiast została porwana jak szczątki rozbitego statku w czasie przyływu. Nie wiedziała, czy idzie we właściwym kierunku, ale miała niewielki wybór.

Ktoś uderzył ją w ramię i wypadła jej z ręki walizka. Gdy Elly pochyliła się, aby ją podnieść, Lizzy niemal wyslizgnęła się jej z rąk, a ktoś zderzył się z nimi z tyłu, prawie przewracając na ziemię.

- Och, przepraszam!

Szeregowiec w zielonym mundurze pomógł Elly wstać, złapał walizkę i podał jej. Podziękowała mu, podrzuciła dziecko, aby je utrzymać, i przesunęła się razem z tłumem w kierunku, gdzie jak miała nadzieję, znajdował się główny hol dworca. Nad głową nosowy, monotony głos ogłosił:

- Pociąg do Kolumbii, Charlotty, Raleigh, Richmond i Waszyngtonu wjeżdża na peron trzeci. Planowany odjazd godzina piąta dziesięć.

Jak błędna, mijała stoiska z gazetami i papierosami, restaurację, chłopca czyszczącego buty, kolejki anonimowych ludzi czekających, aby kupić bilety, parę zakonnic, które uśmiechnęły się do Lizzy, i tak wiele mundurów wojskowych, że zastanawiała się, kto walczył w tej wojnie.

Wtedy zobaczyła kołyszące się drzwi, na których był napis „mężczyźni”, a chwilę później takie same, kołyszące się z napisem - Ko...

Kobiety.

Zatrzymała się i raz jeszcze przeczytała całe to słowo, żeby się upewnić, rozejrzała się, a on już był tam, śpiesząc w jej kierunku.

- Elly! - Uśmiechnął się, pomachał jej. - Elly!

- Will! - Upuściła walizkę i pokiwała mu ręką, podskakując dwa razy, jej serce waliło jak szalone, a oczy już napelniły się łzami. Biegł do niej, omijając i odsuwając ludzi na bok. Jeszcze chwila i już był przy niej.

- Elly, kochanie, och, Boże, przyjechałaś! - Podniósł ją, całując z Lizzy wciśniętą pomiędzy nich. - To naprawdę ty, tak bardzo tęskniłem i kocham, Boże, tyle czasu minęło...

Ziemia zatrzęsała się, gdy toczyły się pociągi, słychać było gwar głosów, wokół nich pełno było ludzi, którymi wstrząsały różnorodne emocje, a tymczasem Will i Elly całowali się namiętnie i długo. Czas nie istniał dla nich, gdy stali tak spleceni ze sobą, obejmując się, a słone łzy Elly towarzyszyły temu spotkaniu.

Wtedy Lizzy zaczęła się wiercić. Rozdzielili się więc, śmiejąc się i nagle uświadamiając sobie, że ją zgniatają.

- Lizzy P, och, kochanie, ty także tu jesteś... niech na ciebie popatrzę... - Will wziął ją od Elly i trzymał w górze, uśmiechając się na widok okrągłych policzków i oczu, których rzęsy i tęczęwki były o wiele ciemniejsze niż ostatnim razem, kiedy ją widział. Pod wpływem tak wielu wrażeń Lizzy nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. - Lizzy P, słodka istotko, popatrz, jaka stajesz się grubiućka. - Pocałował dziecko mocno, posadził na ramieniu i powiedział: - Witaj, słodka kruszynko.

- Przykro mi, Will, musiałam ją przywieźć.

Will powstrzymał wyjaśnienia Elly pocałunkiem. Ten drugi pocałunek był najpierw uroczyście, a później stawał się coraz bardziej namiętny. Lizzy kręciła się na jego ramieniu, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Ujął Elly za głowę i bez słów dał do zrozumienia, czego może oczekiwać, gdy będą sami. Kiedy przestali się całować, cofnął się i uważnie przyjrzeni się

swoim twarzom.

Stwierdziła, że wygląda oszalamiająco w sztywnym mundurze i czapce polowej. Był tak niewiarygodnie przystojny, że miała wrażenie, iż jest bohaterką jakiegoś filmu.

Zobaczył, że jest szczuplejsza, ładniejsza, na twarzy ma lekki makijaż, był to pierwszy makijaż, jaki kiedykolwiek u niej widział.

- Boże - szepnął - nie wierzę, że jesteś tu naprawdę. Tak się bałem, że nie przyjedziesz.

- Może nie przyjechałabym, gdyby nie panna Beasley. Zmusiła mnie.

Roześmiał się i znowu pocałował ją, tym razem szybko, a następnie przytrzymał za rękę i cofnął się krok, przyglądając dokładnie.

- Skąd masz tę sukienkę? - Suknia też była też stylowa: żółta z czarnymi wojskowymi guzikami, z podniesionymi ramionami, zwężona w biodrach i rozszerzająca się na dole, z krótkim rozcięciem, które odsłaniało jej nogi od kolan w dół. Miała też na sobie buty na wysokich obcasach z wyciętymi palcami.

Elly spuściła wzrok lekko zakłopotana.

- Uszyłam ją, kiedy ostatnio miałaś przyjechać do domu. Pamiętasz, mówiłam, że mam niespodziankę dla ciebie?

Zagwizdał z wrażenia.

Elly zarumieniła się, a dzięki temu wyglądała ładniej, dotknęła guzika sukienki i spojrzała nieśmiało w przystojną twarz Willa. Miała dziwne uczucie - niemal lękała się patrzeć na niego tak długo, jak gdyby mogło to odebrać jej prawo do patrzenia na kogoś, kto wyglądał tak dostojnie i atrakcyjnie.

- Lidia Marsh pożyczyła mi wykrój i materiał, a buty zamówiłam z katalogu.

Był pod takim wrażeniem, że nie wiedział, o czym najpierw mówić, czy o tym, że zaprzyjaźniła się wreszcie z kimś, czy że wygląda tak modnie. Miała odgarnięte z czoła i zaczesane do góry włosy w taki sposób, jak często kobiety z fabryki amunicji zaczesują je za przepaską. Jedna miękka fala opadała nisko na bok przy czole; brwi były lekko wyregulowane, a usta pomalowane na jasnoróżowy kolor.

- I masz także makijaż - powiedział z aprobatą.

- Lidia pomyślała, że mogłabym także i to zrobić. Pokazała mi jak.

- Skarbie, wyglądasz tak ładnie, że aż braknie mi tchu.

- Ty także. - Przyjrzała mu się uważnie. Miał na sobie wełnianą bluzę i sztywno zaprasowane spodnie, lśniące buty, koszulę w kolorze khaki, krawat i pas biegnący od prawego ramienia do talii po lewej stronie, lśniący emblemat korpusu marines - z orłem, kulą

ziemską i kotwicą - umieszczony na środku na czapce, co nadawało mu wygląd jakiegoś ważnego nieznanego. Przybrał na wadze, był szerszy w ramionach i w klatce piersiowej, ale z całą pewnością był to on. Widok męża w sztywnym dopasowanym mundurze sprawił, że serce Elly napęliło się dumą.

- A gdzie jest mój kowboj? - zapytała cicho, drocząc się z nim.

- Nie ma go, proszę pani - odpowiedział dumnie Will. - Jest teraz żołnierzem.

- Wyglądasz jak ktoś, kto stoi na warcie przy drzwiach w Białym Domu.

Roześmiał się, a ona poprosiła:

- Czy mogę zobaczyć twoją nową fryzurę?

- Chyba tak naprawdę nie chcesz jej zobaczyć.

- Tak, chcę. Starszy szeregowiec Parker - odparła i dotknęła jednej złotej naszywki na jego rękawie.

- Dobrze, sama chciałaś.

Zdjął czapkę i nie mogła powstrzymać żalu, gdy zobaczyła jego ogoloną głowę. Nie było już gęstej czupryny, którą tak często myła, obcinała i czesała. Piechota morską powinna zatrudnić nowego fryzjera, pomyślała. No cóż, ona lepiej by sobie poradziła, mając jedynie do dyspozycji swoje zwykłe kuchenne nożyczki. Jednak w myśli szukała czegoś pocieszającego, by dodać mu otuchy.

- Chyba nigdy wcześniej nie widziałam twoich uszu, Will. Masz piękne uszy i nawet bez włosów wyglądasz pięknie w moich oczach.

- A pani jest ślicznym małym kłamczuchem, pani Parker. - Śmiejąc się, założył na głowę czapkę, pocałował ją jeszcze raz, podniósł walizkę i płaszcz jedną ręką. - Poczekaj - rozkazał. - Nie chcę zgubić ciebie w tym tłumie. Lizzy P. to prawdziwa niespodzianka. Jak sobie radzisz, dziewczyneczko Lizzy? Jesteś zmęczona, dziecinko? - Pocałował ją w czółko, gdy zakwiliła cicho i przetarła oczy. - Jak czuła się w pociągu?

- Okropnie.

- Przepraszam za tak szybkie tempo, ale mając dwudniową przepustkę, nie mogłem myśleć o tym, żeby przygotować wszystko dla dzieci. Prawdę mówiąc, nie zmartwiłbym się, gdybyś ich również przywiozła, bylebym tylko mógł cię zobaczyć. Gdzie są chłopcy?

- U Lidii Marsh. Narobili hałasu, gdy dowiedzieli się, że jadę, aby cię zobaczyć, ale było mi dostatecznie ciężko przywieźć ją jedną. To musiałam jednak zrobić, ponieważ nadal karmię piersią.

- Uświadomiłem to sobie, gdy odłożyłem słuchawkę. Sprawilem ci wiele kłopotów, prawda? Kiedy jadła ostatnio?

- Około trzeciej.

- A jak ty się czujesz, czy nie jesteś głodna?

- Nie. Tak. - Spojrzała na neonowe światło nad drzwiami kawiarni, którą właśnie mijali. - No cóż, trochę. - Objęła go za ramię. - Chcę powiedzieć, że szkoda czasu i nie wiem, jak długo Lizzy jeszcze wytrzyma.

Wyprowadził ją na zewnątrz w to wilgotne letnie popołudnie.

- Zarezerwowałem dla nas pokój w hotelu Oglethrope. Co byś powiedziała, gdybyśmy kupili kilka hamburgerów i zabrali je ze sobą? - Stali na krawężniku, wymieniając spojrzenia, które wyrażały, jak bardzo są spragnieni siebie i niecierpliwi.

- Wspaniale - zmusiła się do odpowiedzi.

- To tylko kilka kroków stąd. Czy sądzisz, że możesz tyle przejść w tych butach?

- Naprawdę będziemy mieszkać w hotelu?

- Tak jest, moja zielonooka dziewczyno. Dzisiaj wieczorem będziemy w hotelu. W samotności, w odosobnieniu.

Stali, patrząc na siebie, gdzieś obok rozległ się klakson taksówki i drzwiczki samochodu zatrzasnęły się. Serca ich zabiły radośnie, odpowiadając sobie. Chcieli się pocałować, ale powstrzymali się, odkładając dalsze czułości, dopóki czas i miejsce nie pozwoli im w pełni się nimi rozkoszować.

- Gdy tak o tym myślę - wyszeptła - możemy zapomnieć o hamburgerach.

- Powinnaś coś zjeść oraz napić się mleka ze względu na Lizzy.

- Czy muszę?

- Nie zabierze to nam zbyt dużo czasu. - Uśmiechnął się i poprowadził je chodnikiem.

Dwadzieścia pięć minut później do pokoju wprowadziła ich miła i gościnna dziewczyna hotelowa w okrągłej czerwonej czapce, a nie, jak to zwykle bywa, chłopiec hotelowy. Will odłożył brązową torbę z hamburgerami na komodę, a Elly stanęła przy drzwiach, obejmując wzrokiem otoczenie. Dziewczyna położyła ich walizki na łóżku, otworzyła okno i wskazała przyległą łazienkę z czarnymi i białymi sześciokątnymi marmurowymi kafelkami, z wanną z oparciami na stopy i stojącą umywalką. Sama sypialnia była mała. Pomalowano ją na ciemnozielony kolor z domieszką brązu i pomarańczy. Na podłodze leżał dywanik, a w oknach wisiały zasłony ze wzorem w liście paproci. Obok okna stały dwa fotele z obiciem i stolik. Na środku pokoju znajdowało się drewniane łóżko przykryte brzoskwiniową narzutą. Obok ustawiono stolik. Na nim umieszczono wygiętą lampę rudawego koloru.

Will grzecznie czekał, aż dziewczyna spełni swój obowiązek i wszystko im pokaże, tłumiąc przemożne pragnienie, aby jak najszybciej się jej pozbyć i zamknąć drzwi.

W końcu dał jej napiwek i gdy tylko zatrzasnęły się drzwi, odwrócił się do Elly, aby ją pocałować. Ledwie dotknęły się ich usta, Lizzy zaczęła narzekać, zmuszając ich, aby zajęli się nią w pierwszej kolejności.

- Czy się uspokoi?

- Mam nadzieję, że tak. Jest strasznie zmęczona.

Ich spojrzenia spotkały się. Ile to będzie trwało? Pół godziny? Godzinę? Tak bardzo cię pragnę. Teraz.

- Co z nią zrobimy, Will? To znaczy, gdzie położymy ją spać?

Rozejrzał się po pokoju i zaproponował:

- A może na fotelach? - Czterema długimi krokami przemierzył pokój, doszedł do wyściełanych foteli i zwrócił je siedzeniami do siebie, w ten sposób tworząc doskonale łóżeczko, miękkie i bezpieczne, bo oparcia i siedzenia stykały się.

- Będzie w sam raz, prawda?

- Doskonale. - Ucieszyła się i na jej twarzy pojawił się od razu uśmiech.

Odwzajemnił ten uśmiech i podszedł do walizki.

- Zdejmij mokre rzeczy, a ja znajdę suche ubranka.

Kiedy Will przeszukiwał walizkę, Elly położyła dziecko na łóżku i zaczęła przebierać na noc. Lizzy przetarła oczy i zaczęła cichutko płakać.

- Jest ogromnie zmęczona, biedactwo - powiedział Will, siadając obok Lizzy, opierając się na łokciu, patrząc i rozkoszując się tym widokiem. Za chwilę miała już czyste pieluszki i lekkie śpioszki.

- Zajmij się nią przez chwilę, dobrze? - Elly położyła Lizzy Willowi na rękę i odwróciła się. Prawiąc czułości dziecku, patrzył, jak Elly zdejmuje żółtą sukienkę, wieszając ją w szafie, a następnie odwraca się bosa, ubrana w białą półhalkę i biustonosz.

Przez chwilę spoglądali na siebie. Zapadła cisza, nie licząc cichego kwilenia Lizzy i bicia ich serc. Will spuścił wzrok, patrząc na nagi pasek skóry między dwoma białymi częściami bielizny, a Elly przyglądała się dokładnie jego ciemnemu mundurowi, w którym wyglądał tak korzystnie. Gdy spojrzeli na siebie znowu, zaczął szybciej oddychać, a jej policzki zarumieniły się.

- Boże, wyglądasz tak pięknie - powiedział przytłumionym ze wzruszenia głosem.

- Ty także - szepnęła.

Sięgnęła do tyłu, rozpięła biustonosz i zdjęła go, cały czas przyciągając do siebie jego

wzrok. Miała pełne piersi, sutki były szerokie i ciemne, rozchodziły się od nich delikatne niebieskie linie. Stała nieruchomo w drzwiach od łazienki, zdając sobie sprawę, jak wielką radością jest pozwolić drugiej osobie przyglądać się sobie oczami miłości. Jakże inaczej czuła się teraz niż w tych dniach, kiedy po raz pierwszy go spotkała. Miłość, jak odkryła, sprawiła, że nic nie miała do ukrycia.

Patrzyła, jak Will przełyka ślinę. Jego nozdrza powiększyły się, zaczął oddychać coraz szybciej. Chociaż Lizzy nadal była rozdrażniona, Elly przeszła wolno przez pokój, oparła kolano na materacu, pochylając się nad Willem i całując go raz, ale długo. Wyciągnął rękę i dotknął jej kołyszącej się piersi, ust.

- Pośpiesz się - powiedział.

Usiadła na jednym z wyściełanych foteli z Lizzy na rękę. Will obrócił się na brzuch, skrzyżował ręce pod brodą i patrzył, jak jego żona ujęła pierś w dwie ręce i skierowała ją do otwartych ust dziecka. Jego oczy ściemniały, a ciało było napięte do ostatnich granic, gdy chłonał ten obraz matki i kochanki. Kiedy nie mógł już tego dłużej wytrzymać, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, starając się nie patrzeć na nią. Położył czapkę do góry dnem na komodzie, zdjął wełnianą bluzę i powiesił ją na szafce, otworzył torebkę z jedzeniem, zajrzał do środka i wyjął jednego hamburgera zawiniętego w papier.

- Chcesz zjeść jednego, gdy ją karmisz?

Wzięła od niego hamburgera i zaczęła jeść, a on znalazł butelkę z mlekiem, otworzył, poszukał szklanki, napelnił ją i postawił na stole obok. Kiedy zbliżył się, odwróciła głowę, śledząc każdy jego gest. Podnosiła co chwilę wzrok i zatrzymywała na jego twarzy, dając mu do zrozumienia, że jej niecierpliwość zamieniła się w taki sam naglący przymus.

Jednak dziecko było na pierwszym miejscu. Niechętnie odwrócił się. Przyglądała się mu uważnie, a jej uczucia wzmagaly się, gdy patrzyła na wszystkie jego ruchy. Zdjął krawat, ułożył go starannie obok czapki, odpiął mankiety i zawinął rękawy aż do łokcia. Patrzyła, jak chodzi po pokoju, wykonuje zwykłe czynności, zdziwiona, że tak proste czynności tak mogą na nią działać i sprawić, że odczuwała nieporównywalną z niczym czułość. Przyjęła to z radością, czekając na chwilę, kiedy będzie mogła mu ją okazać.

Ułożył poduszki jedną na drugiej i usiadł, opierając się o nie z jedną nogą wyciągniętą, a drugą na podłodze. Wyglądał bardzo elegancko, siedząc tak ubrany w mundur - wszystko składało się na to - błysk brązowych butów pasujących do munduru, ostry kant spodni, doskonale wyprasowany kołnierzyk. Przypomniała sobie, jak wyglądał w zdartych kowbojskich butach, wypłowiałych dżinsach zwisających ze smukłych bioder, pomiętej i przepoczonej koszuli. Uderzyło ją, że gdy zmienił ubranie, nie tylko wydawał się męski i

elegancki, ale ważny i inteligentny. To również zrobiło na niej ogromne wrażenie, tak jak i inne rzeczy. Poczowała ukłucie gdzieś w piersi, serce zabiło jej żywo z radości i krew zaczęła krążyć szybciej. Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął paczkę papierosów i uderzył papierosem o paznokcie kciuka. Następnie wyciągnął pudełko zapalek, zapalił papierosa i siedział, paląc go wolno i przyglądając się Elly przez coraz większą szarą chmurę. Czowała się zafascynowana, gdy tak patrzyła na starannie utrzymane ręce, w których trzymał papierosa, kiedy zamykał i otwierał pudełko od zapalek pomiędzy jednym a drugim zaciągnięciem się, przez cały czas patrząc na nią z przymrużonymi oczami.

- Kiedy zaczęłeś palić?

- Jakiś czas temu.

- Nigdy nie napisałeś mi o tym w listach.

- Wydawało mi się, że to ci się nie spodoba. Każdy pali. Co więcej, dają nam darmowe papierosy w naszych kilogramowych racjach wojskowych. Poza tym to uspokaja nerwy.

- Dlatego wydajesz się mi nieznajomy.

- Jeśli ci się to nie podoba, to mogę...

- Nie, nie. Nie miałam tego na myśli. To tylko... Nie widziałam cię od tak dawna, a kiedy wreszcie mam cię przed sobą, nosisz ubrania, jakich nigdy wcześniej nie nosiłeś. Jesteś ostrzyżony i to też sprawia, iż wyglądasz inaczej. Masz również nowe przyzwyczajenia.

- Jednak w środku się nie zmieniłem. - Zaciągnął się mocno, wydychając dym przez nos.

- Nie, zmieniłeś się. Jesteś bardziej dumny, czujesz się więcej wart. - Kiedy nie odpowiedział, dodała: - Ja także jestem bardziej dumna. Ja i Lidia rozmawiałyśmy na ten temat. Na początku powiedziałam jej, jak nienawidziłam myśli, że musisz odejść, ale ona stwierdziła, iż powinnam być dumna, bo nosisz mundur. I teraz, kiedy cię w nim zobaczyłam, rzeczywiście jestem dumna.

- Wiesz co, Elly? - Czekala, a on tymczasem zgniótł niedopałek papierosa w szklanej popielniczce, strząsając popiół. W końcu podniósł wzrok. - To najładniejsze ubrania, jakie kiedykolwiek miałem.

Ta uwaga sprawiła, że zrozumiała, tak jak nigdy wcześniej, że w życiu brakowało mu wielu rzeczy, a w piechocie morskiej był taki jak każdy, nie odstawał już od grupy.

- Kiedy zobaczyłam cię na dworcu, no cóż, to było zabawne. W czasie podróży cały czas wyobrażałam sobie nas, tak jak wyglądaliśmy w domu. A później zobaczyłam cię i, no cóż, coś się stało, tutaj. - Dotknęła serca. - To szalone bicie serca, wiesz, o czym mówię,

prawda? Chciałam, żebyś był taki sam, ale byłam zadowolona, że jesteś inny. Te ubrania... - Jej oczy błyskawicznie przemknęły po jego postaci. - Nie mogę uwierzyć, że wyglądasz w nich tak wspaniale.

Uśmiechnął się i cały czas patrzył na nią, a ona wiedziała, że była to najnaturalniejsza w świecie rzecz.

- To samo stało się ze mną, gdy zobaczyłem ciebie. Gdy siedziałem tam na dworcu na ławce, zakochałem się jeszcze raz.

Przyglądali się sobie uważnie, a Lizzy ssała. Will spojrział na nagą pierś Elly i mocniej się zaciągnął.

- A ty nie zjesz swojego hamburgera? - spytała.

- Nie jestem jeszcze teraz głodny. A jaki jest twój hamburger?

- Pyszny. - Jednak odłożyła kanapkę na bok, do połowy zjedzoną, i oboje wiedzieli, dlaczego. Zaczęła pić mleko. Kropelka spadła z zimnej szklanki na policzek Lizzy i dziewczynka zareagowała od razu, puszczać pierś Elly, jej buzia zmarszczyła się, zaczęła wywijać piąstkami, niezadowolona, że przerwano jej tak nagle.

- Szz... - Elly uciszyła ją i przystawiła do drugiej piersi.

Will spojrział na drugą pierś, wilgotną i nabrzmiałą. Nagle zerwał się z łóżka, zgniótł papierosa i zniknął w łazience. Elly odchyliła głowę, zamknęła oczy i poczuła, że sama jest już gotowa, aby go przyjąć.

Och, Lizzy P, pośpiesz się i skończ już jeść, kochanie.

W łazience płynęła woda, zabrzączało szkło, a następnie zapadła pełna napięcia cisza. Po chwili Will pojawił się w drzwiach, wycierając ręce białym ręcznikiem. Odrzucił go na bok, zerwał z siebie koszulę i stał w podkoszulku, który uwydatniał jego mięśnie.

Zaczął mówić ochryplym, niskim głosem, z trudem nad sobą panował.

- Tak ciebie pragnę jak żadnej innej kobiety w całym moim życiu. Wiesz o tym, Elly?

- Chodź tutaj, Will - szepnęła.

Odrzucił na bok koszulę i usiadł przy niej, wyciągając rękę i obejmując ramię Elly. Jego palce wędrowały po nagiej piersi. Pochylił głowę, a ona uniosła swoją. Podniosła ramię, przyciągnęła go do siebie, czując nieznaną sztywność krótko przystrzyżonych włosów, zapach nieznanego mydła, gdy dotykał jej wolnej piersi.

- Ile mamy czasu? - Zamknęła oczy.

- Muszę zameldować się jutro o osiemnastej.

- Która to godzina?

- Szósta po południu. Złapię pociąg o drugiej trzydzieści. Lizzy już skończyła jeść.

Czy możemy ją teraz położyć?

Uśmiechnęła się do Willa i spytała:

- Czy tak zawsze jest z tobą?

- Jak? - Jego głos był cichy i niski.

- Tak jak gdyby się miało umrzeć, jeśli czekałoby się jeszcze jedną minutę?

Ręka na jej piersi zacisnęła się... uniosła... Przesunął palcem po twardniejącej sutce.

- Tak, od dnia, kiedy stałem przy studni z jajkiem na twarzy i zakochałem się w tobie.

Wstań. - Wstała i patrzyła, jak Will pośpiesznie zestawia razem fotele, licząc sekundy, gdy nakrywał je kołdrą. Kiedy się pochyliła, aby położyć Lizzy, dotknął jej nagiego ramienia. Wyprostowała się i stali po przeciwnej stronie foteli, patrząc na siebie w oczekiwaniu, cierpiąc wskutek tego rozdzielenia, które sami sobie narzucili, i jeszcze bardziej siebie pragnąc. Wyciągnął rękę, a ona położyła w niej swoje dłonie i stali tak ogarnięci niewysłowioną czułością.

Uściskał ją mocniej, przyciągając do siebie nad prowizorycznym łóżeczkiem. Oczy ich spotkały się i zatopiły w sobie pociemniałe z przemożnej miłości.

Gdy się dotknęli, byli pełni żaru i niecierpliwości, dwa wygłodzone stęsknione ciała po długich miesiącach rozłączenia. Były to miłość i pożądanie doskonale zespolone ze sobą. Opanowały ich te naglące uczucia, mieli przemożne pragnienie, aby dotknąć każdego miejsca, spróbować wszystkiego, zanim jeszcze opadły z nich ubrania.

- Elly... Tak za tobą tęskniłem. - Jego ręce biegły w dół, obejmowały ją czule.

- Czułam się taka samotna w naszym łóżku bez ciebie. - Dotknęła jego spodni, sięgając do klamerki paska.

Ubranie sfrunęło na ziemię. Szepcząc, padli na łóżko.

- Pozwól mi spojrzeć na siebie. - Cofnął się jeszcze, a ręce i oczy już wędrowały po ukochanym ciele, okrywał je pocałunkami.

Leżała na łóżku z otwartymi ramionami, stając się naczyniem, z którego pił. I ona także cieszyła się jego obecnością, kosztowała jego ciała. Nieśmiałość znikła, przegnana raz na zawsze, bo gdzieś w głębi duszy uświadamiali sobie, że może to ostatnia szansa.

W końcu złączyli się ze sobą.

Drżeli, zamknięci w słodkim sam na sam, tak długo oczekiwanym połączeniu serc i ciał. Nie myśleli o koszmarach, jakie niesie wojna, zapomnieli o śmierci i pogrążyli się w sobie, przyjmując to spełnienie jako należne śmiertelnikom.

- Kocham cię - powtarzali wciąż na nowo i na nowo ochryplym szeptem. - Kocham cię.

Czerpali siłę do przetrwania. Zabiorą ją ze sobą, gdy opuszczą ten pokój.

Słońce zachodziło gdzieś na horyzoncie, gdzie nie sięgał ich wzrok. Gdzieś daleko coś zagrzmiało. Zapach wilgotnego słonego powietrza dotarł do okna. Ręka, opadła z sił i ciężka, leżała na ramieniu Elly, kolano obok jej uda.

Dotknęła palcem jego wargi. Uśmiechnął się znużony, ale nadal miał zamknięte oczy.

- Hej, Will?

- Hm?

- Jestem bardzo zadowolona, warto było przejechać całą Georgię w brudnych pociągach.

- Ja także. - Otworzył oczy.

Znikły uśmiechy i patrzyli na siebie nasyceni.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam, Will.

- Ja także za tobą tęskniłem, moja zielonooka dziewczyno.

- Czasami odwracam się i patrzę na stos drewna i spodziewam się, że zobaczę, jak rąbiesz drzewo.

- Będę znowu to robić, już wkrótce.

Przypomniało im to, że jutrzejszy dzień jest już tak blisko, a więc uciekli znowu w dzień dzisiejszy, dotykając się, szepcząc, całując się, kochając. Leżeli obok siebie, palce ich wyruszały na długie wędrowki, a kolana i stopy dopasowywały się, jak gdyby stworzono je dla siebie. Gdy odpoczęli, znowu zapłonęli miłością i rozkoszowali się nią drugi raz łagodnie i niespiesznie, patrząc sobie w oczy, gdy rozkosz raz jeszcze dosięgła ich ciał.

Później rozmawiali o domu i tym, co trzeba tam jeszcze zrobić - o generatorze, złotej żyłce, jaką były części używanych samochodów - wtedy Will zapalił jeszcze jednego papierosa i położył się, służąc jej ramieniem jak poduszką.

Patrzyła na prześcieradło owinięte wokół jego stóp i zdecydowała się zadać pytanie, którego się obawiała najbardziej:

- Dokąd cię wysyłają, Will?

Zaciągnął się głęboko i wolno, zanim odpowiedział:

- Nie wiem.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze ci nie powiedzieli?

- Krążą pogłoski, że będzie to na Oceanie Spokojnym gdzieś na południu, ale nikt nie wie gdzie, nawet komendant bazy. Dowództwo używa stale słowa Grot - a ty chyba wiesz, co ono oznacza.

- Nie, co to znaczy?

Sięgnął po popielniczkę, położył ją sobie na brzuchu i pukał w nią papierosem.

- To znaczy, że przejdziemy do ataku.

- Do ataku?

- Inwazji, Elly.

- Inwazji? - Podniosła głowę, aby spojrzeć mu w oczy. - Na co?

Nie chciał o tym mówić i prawdę mówiąc, nic nie wiedział.

- Kto wie? Japończycy są na całym Oceanie, kontrolując go prawie w całości. Jeśli wysyłają nas tam, możemy w końcu trafić wszędzie, począwszy od Wake, a kończąc na Australii.

- Ale czy mogą cię gdzieś wysłać i nawet nie powiedzieć, dokąd jedziesz?

- Zaskoczenie to część strategii wojskowej. Jeśli tak to planują, to tak musi być, my po prostu wypełniamy rozkazy, to wszystko.

Przetrawiała tę wiadomość przez długie minuty, słuchając miarowego bicia jego serca.

- Czy boisz się, Will? - spytała cicho. Dotknął jej włosów.

- Oczywiście, że się boję. - Rozwahał to i dodał: - Czasami. Kiedy indziej znów przypominam sobie, że należę do najlepiej przygotowanych oddziałów militarnych w historii świata. Jeśli będę musiał walczyć, wolę w marines niż gdziekolwiek indziej. Chcę, żebyś pamiętała o tym, kiedy zaczniesz martwić się o mnie, gdy już wyjadę. W piechocie morskiej każdy odpowiada za grupę. Nikt nie dba jedynie o własną skórę. Każdy myśli o towarzyszach i jest przez nich asekurowany. Każdy z nas jest tak przygotowany, aby mógł przejąć wyższe stanowisko, jeśli przełożony zostanie ranny w czasie bitwy, tak więc kompania ma zawsze przywódcę, oddział ma zawsze przywódcę. O tym muszę myśleć, gdy obleci mnie strach, że oto może zostać wysłany na okręcie na Ocean Spokojny i ty również musisz na tym się skoncentrować.

Próbowała, ale przeszkadzały jej wizje bagnetów i karabinów.

On również widział obrazy - widzieli je w kinie w czasie czarno - białej kroniki filmowej.

- Hej, skarbie, chodź tutaj. - Zgniół papierosa i przygarnął ją bliżej, głaszcząc po nagich plecach. - Porozmawiajmy o czym innym.

Tak też zrobili. Rozmawiali o chłopcach. I o panie Beasley. I Lidii Marsh. I o tym, jak Will przybrał na wadze i w jaki sposób Elly nauczyła się robić makijaż i układać włosy. Kiedy zapadł zmrok, wykapali się razem, dotykając się i drocząc ze sobą, chichocząc za zamkniętymi drzwiami łazienki. Znowu się kochali oparci o drzwi. Później zjedli zimne hamburgery, a on mówił o jedzeniu w bazie i nauczył ją żargonu wojskowego, jaki poznał na

statku. Śmiała się, gdy opowiadał, że mleko w puszcze to uzbrojona jałówka, jajka to gdczące pociski, naleśniki - tarcze strzeleckie, tapioka to rybie oczy. Około północy kochali się znowu na rudawym dywaniku w liściaste wzory. Czasami śmieli się - być może trochę z desperacji, ponieważ mieli poczucie, że godziny uciekają nieuchronnie. Powiedział jej o swoim przyjacielu Otisie Luttrellu, rudzielcu z Kentucky, i o tym, że mają nadzieję, iż razem wypłyną. Powiedział, że Otis jest zaręczony z piękną dziewczyną imieniem Cleo, która pracuje w fabryce granatów w Lexington, i że nigdy nie miał przyjaciela, którego lubiłby tak bardzo jak Otisa.

Noc mijała, a oni siedzieli na parapecie, patrząc w odległą ciemność, gdzie, jak wiedzieli, zakotwiczone były statki. Wszędzie panowały egipskie ciemności ze względu na zaciemnienie, a to na wypadek, gdyby jakaś niemiecka łódź podwodna przedarła się przez systemy obronne na wschodnim wybrzeżu.

Wojna była tam... toczyła się... niezależnie jak bardzo próbowali ją od siebie odsunąć. Była tam obecna w każdej myśli, każdym dotknięciu, każdym przelotnym biciu serca, każdym krótkotrwałym wzruszeniu, jakie dzielili.

Gdy świtało, zasnęli, wbrew swojej woli, dotykając się nawet w czasie drzemki, później obudzili znowu rozpaleni, pragnąc na zapas zachować każdy moment czuwania jak skąpcy liczący skrupulatnie każdą monetę.

Kiedy Lizzy obudziła się na krótko przed siódmą, przenieśli ją do łóżka. Will położył się na boku, oparł głowę na rękę, przyglądając się raz jeszcze scenie, której nigdy nie miał doświadczyć. Po karmieniu powiedział, że chciałby wykąpać małą. Elly patrzyła pełna smutku i tęsknoty, gdy Will ukląkł obok głębokiej wanny i z ogromną przyjemnością zajął się dzieckiem. Zrobił wszystko przy Lizzy, wytarł i przewinał, ubrał w czyste śpioszki, a następnie położył na łóżku, bawiąc się z nią i śmiejąc się do niej, gdy coś gaworzyła dziecinnym językiem i robiła śmieszne miny. Jednak często podnosił wzrok na Elly, która siedziała po drugiej stronie, i wtedy opanowywał ich niewypowiedziany żal i byli coraz bardziej smutni.

Zjedli w swoim pokoju i pozostali tam, dopóki nie przyszła inna dziewczyna hotelowa, aby spytać, czy zostają jeszcze jeden dzień. Zapakowali skromne torby i postawili w drzwiach, spoglądając na pokój, który przez ostatnie osiemnaście godzin był dla nich schronieniem. Zwrócili się do siebie i starali zachować odwagę, ale gdy całowali się ostatni raz, drżały im usta i towarzyszyły rozpaczliwe myśli.

Wyszli na ulice Augusty, szli wolno po nagrzanym chodniku, dopóki nie znaleźli parku z pustą estradą otoczoną przez żelazne ławki. Usiedli na jednej z nich i rozłożyli kocyk

na trawie. Tam położyli Lizzy, by się bawiła żołnierskim sznurem. Patrzyli na drzewa, na błękitne niebo Georgii, dziecko leżące u ich stóp - przede wszystkim na siebie. Od czasu do czasu całowali się delikatnie, nie mogli oderwać od siebie wzroku ani na jeden moment. Częściej się dotykali - ręka Willa lekko muskała jej ramię lub dłoń spoczywającą na jego udzie, bawił się obrączką, która rzeczywiście zabarwiła palec na zielono.

- Kiedy wrócę, kupię ci prawdziwą złotą obrączkę.

- Nie chcę obrączki z prawdziwego złota. Chcę tę, którą założyłam w dniu, gdy ciebie poślubiłam.

Ich oczy spotkały się - smutne oczy, które już nie udawały, że nie wiedzą, co ich czeka.

- Kocham cię, moja zielonooka dziewczyno. Nie zapomnij o tym.

- Też cię kocham, żołnierzyku.

- Postaram się często pisać, ale... no cóż... sama wiesz.

- Będę pisać codziennie, obiecuję.

- Będą wszystko cenzurować, a więc możesz nie wiedzieć, gdzie jestem, nawet jeśli ci powiem.

- To nie ma znaczenia, dopóki wiem, że jesteś bezpieczny.

Jeszcze jedno długie spojrzenie, zanim oparł czoło na jej czole. Siedzieli tak z luźno splecionymi palcami przez kilka minut. Gdzieś w parku krzyczała para mew srebrzystych. Z bliska dobiegł brzęk łańcuszka, którym machała Lizzy. A nad tym wszystkim unosił się zapach ciemnofioletowych petunii kwitnących u stóp maleńkiej fontanny.

Will poczuł łzy w gardle, przełknął i powiedział żonie:

- Na nas już pora.

Nagle zaczęła zachowywać się z udawaną wesołością.

- Tak... oczywiście, tak jest... no cóż, lepiej odprowadźmy tatusia na dworzec, prawda, Lizzy?

Nióśł dziecko, a ona trzymała torby, dopóki nie zatrzymali się znowu na hałaśliwym zatłoczonym dworcu, gdzie zwrócili się do siebie twarzą i stwierdzili, iż nie wiedzą, co powiedzieć. Lizzy nagle zainteresowała się żywo guzikiem przy jego bluzie, próbując go pociągnąć tłusciutką rączką.

- Pociąg do Kolumbii, Raleigh, Waszyngtonu i Filadelfii wjeżdża na peron trzeci!
Planowany odjazd godzina druga trzydzieści!

- To mój pociąg.

- Czy masz bilet? - spytała Elly.

- Tak, proszę pani.

Spojrzeni na siebie, a on objął ją wolną ręką, mocno przygarniając do siebie.

- Pocałuj ode mnie chłopców i daj im czekoladę.

- Tak z - zrobię. A ty przyślij mi swój adres, gdy tylko... tylko... - Nie mogła dalej mówić, obawiając się, że wybuchnie dławiącym łkaniem, które wypełniało jej piersi.

Skinął, jego twarz była pełna smutku. Pociąg do Kolumbii, Raleigh odjeżdża...

Jej oczy łzawiły, a i jego błyszczały od łez.

- Och, Will...

- Elly...

Uścisnęli się niezgrabnie, trzymając dziecko.

- Wróc do mnie.

- Przysięgam na wszystko, że wrócę.

Ostatni ich pocałunek był rozdzierający.

- Żegnaj, nie daj się dosięgnąć kuli, uważaj na siebie. - Mieli ściśnięte gardła, tak bardzo bliscy byli łez.

Rozległ się gwizd.

- Wsiadaać!

Pociąg zaczął powoli ruszać. Oderwał od niej usta, wskoczył do toczącego się już wagonu, odwracając się w ostatniej chwili, aby jeszcze rozróżnić w tłumie Elly i Lizzie machające na brudnym dworcu kolejowym w gorącym mieście w Georgii.

Eleonora Parker nie modliła się już od lat, więc być może był to raczej rozkaz niż modlitwa, gdy zaciskając ręce i dławiąc się od płaczu, zawołała:

- Masz go chronić, słyszysz?

ROZDZIAŁ 18

18 czerwca 1942 roku

Kochana Elly,

Jakie życie jest zwariowane. Wczoraj byłem z tobą a dziś jestem w pociągu zmierzającym prosto do San Francisco. Rudzielec jest ze mną ale on nie dorównuje tobie. Myślę ciągle jak cudownie było nam razem i jak bardzo cię kocham i jak jestem szczęśliwy że spędziliśmy jeden dzień razem. Było jak w niebie moja zielonooka...

18 czerwca 1942 roku

Will, mój drogi,

Piszę to ponieważ po prostu muszę to zrobić. Mam serce tak przepełnione miłością że mi pęknie jeśli nie powiem ci co myślę o naszej nocy w Augustcie. Nie wiem kiedy dostaniesz ten list ponieważ nie wiem gdzie go wysłać ale uczucia to uczucia i moje będą równie prawdziwe gdy przeczytasz je dopiero za miesiąc. Wiesz Will że kiedy cię spotkałam powiedziałam że nadal kocham Glendona i uważałam że tak jest. Glendon był pierwszą naprawdę życzliwą osobą jaka pojawiła się w moim życiu. Traktował mnie jak gdybym znalazła się na tej ziemi w jakimś innym celu nie tylko po to aby ktoś litował się nade mną lub naśmiewał się ze mnie. Glendon był naprawdę dobrym człowiekiem i wtedy gdy za niego wyszłam byłam naprawdę szczęśliwa po raz pierwszy w życiu. Myślałam że oznacza to że kocham go ogromnie. I naprawdę go kochałam nie zrozum mnie źle. Jednak kiedy Glendon i ja byliśmy razem nigdy nie było tak jak ze mną i z tobą. Nigdy wcześniej nie mówiłam ci o tym ale gdy robiliśmy to z Glendonem po raz pierwszy byliśmy w lesie i miało to miejsce ponieważ zmarł jego tata i on rozpaczał. Pamiętam jak leżałam na plecach patrząc do góry na zielone gałęzie myśląc o dźwięku jaki wydawał jeden z ptaków który nawoływał i nawoływał z daleka a ja zastanawiałam się wtedy co to był za ptak i wiele wiele później dowiedziałam się że był to zwykły kszyc nawołujący do odlotu a był to żałobny gwizd który wznosi się i wznosi i wznosi do góry. Teraz to zabawne gdy pomyślę o przeszłości i wiem że zawsze myślałam o czymś innym gdy byłam tak blisko z Glendonem. On i ja poczęliśmy troje dzieci a to powinno oznaczać że byliśmy tak duchowo blisko jak tylko mężczyzna i kobieta być mogą ale Will spędziłam z tobą dwie noce ale te dwie noce pokazały mi czym naprawdę jest miłość. Nawoływanie kszycy była to ostatnia rzecz o jakiej bym pomyślała kiedy ty i ja się kochaliśmy. Will nie mogę teraz przestać myśleć o tym i o tym co czułam kiedy patrzyłam na ciebie zanim jeszcze się rozebrałeś. Patrzyłam na ciebie jak się poruszasz zdejmując krawat i

koszulę czułam jak oblewa mnie fala gorąca Will. Mówiłam do siebie nikt nie porusza się tak jak on. Nikt nie odpina mankietów tak jak on. Nikt nie ma takich pięknych oczu jak on. Nikt nie jest szczęśliwszy ode mnie.

Przejrzałam ten list i przeczytałam to co napisałam. Nadal nie wydaje mi się że wyraziłam dobrze swoje uczucia ale czuję że mówienie o miłości jest bardzo podobne do opisywania śpiewu ptaka. Słyszysz go i rozpoznajesz i jest w tobie tak obecny że jesteś pewna iż możesz komuś powtórzyć. A jednak nie możesz. Chciałam tylko żebyś wiedział że kocham cię inaczej niż kochałam Glendona. Powiadają że każdy idzie przez życie szukając swojej drugiej połowy i ja wiem że jesteś moją drugą połową bo kiedy jestem z tobą czuję się wspaniale.

16 czerwca 1942 roku

Drogi Panie Parker,

Eleonora pokazała mi Pański ostatni list i razem spojrzaliśmy na atlas i próbowaliśmy dokładnie wyobrazić sobie, gdzie pan jest. Przyniosłam jej książki o wyspach na Oceanie Spokojnym i teraz może zobaczyć, jaka jest tam fauna i flora, a także zorientować się, jaka jest pogoda i jak wygląda ocean.

Wszystko ulega tutaj zmianie. Miasto wydaje się dość wyludnione. Nie tylko odjechali nasi młodzi mężczyźni, ale wyjeżdżają również młode kobiety. Na ostatnim plakacie propagandowym widnieje kobieta i slogan „Każdy Twój dowód męstwa przybliży dzień zwycięstwa”. Tak wiele dziewcząt odjeżdża do pracy w fabryce w Marietcie, w stoczni w Mobile, do zakładów Packarda i Chryslera na północy. Pracują tam przy produkcji silników, kadłubów samolotów i podwozi. Kiedy byłam młoda, kobieta, która nie wyszła za mąż, miała niewielki wybór. Mogła zostać nauczycielką, pomocą domową lub bibliotekarką - to było wszystko. Nawet na pielęgniarki - - kobiety patrzono wtedy z dezaprobatą. Teraz kobiety kierują miejskimi autobusami, posługują się palnikiem acetylenowym i prowadzą dźwigi. Nic nie mogę poradzić na to, ale zastanawiam się, co będzie, gdy alianci zwyciężą i wy wszyscy mężczyźni wrócicie do domu. Czy wasza praca będzie na was nadal czekała?

Wszystkiego tutaj teraz nam brakuje - owoców w puszcze (na szczęście mieszkam w Georgii, gdzie wkrótce będą świeże), smoły (drogi są wyboiste), cukru (czego mi najbardziej brak), spinek do włosów (kobiety obcinają teraz włosy i wyglądają jak rekruci w czasie podstawowego szkolenia), materiału (Waszyngton wydał dyrektywę, aby na czas wojny szyć garnitury bez mankietów, zakładów i kieszeni). Nie ma też otwieraczy do puszek (dzięki Bogu mam jeden). Brakuje nawet mięsa i samochodów. Można tylko się zaśmiać, gdy obec-

nie ktoś wspomina o nowym samochodzie. Wczorajsza gazeta doniosła, że pan Edsel Ford nie może otrzymać samochodu, dopóki komisja rozdzielcza w Detroit nie rozpatrzy jego podania. Czy nie jest to niewiarygodne, wzięwszy pod uwagę, że jego rodzina wyprodukowała trzydzieści milionów samochodów!

Jeśli jest jakaś dobra rzecz, której dokonała ta wojna, to jest nią zrównanie różnic pomiędzy ludźmi.

W bibliotece wszystko jest tak jak w chwili, gdy pan wyjechał, oprócz tego, że od czasu, gdy pan się zaciągnął, Lula Peak już tu się nie kręci, aby wznieść się na wyżyny. Niech pan mi wybaczy żartobliwy ton, ale, jak pan wie, jestem uczulona na jej punkcie. Obawiam się, że mogę utracić Franklina Gilinore'a, bo już zapowiada, iż nie wróci na uniwersytet na wyższy rok, ale zamiast tego zaciągnie się. Wydaje się teraz mniej książek, bo wiele tartaków dostarcza drewna na skrzynki na amunicję, a nie na papier. Jednak jeden tytuł został wydrukowany w większym nakładzie niż jakikolwiek inny - jest to podręcznik pierwszej pomocy, największy bestseller wszech czasów.

Nadal co sobotę chodzę odwiedzać Eleonorę i dzieci, ale nie mogłam jej przekonać, aby przysłała tu do miasta. Jednak zaprzyjaźniła się z panią Marsh i wyraża się o niej z sympatią. Zamierzam przysłać do was inspektora szkolnego, aby dopilnował, że Donald Wade zapisany zostanie do pierwszej klasy we wrześniu. Nie powiem Eleonorze, że to ja go przysłałam, i wolałabym, gdyby pan również jej o tym nie mówił. Donald Wade to bystry chłopak i już czyta na poziomie pierwszej klasy. Potrafi wyrecytować słowo w słowo ogłoszenia z wielu radiowych audycji i już niezły z niego śpiewak, o czym może pan nie wiedzieć. On i Tomcio zaśpiewali mi piosenkę, kiedy byłam tam ostatnio. Było to bardzo zabawne, ale chwaliłam ich szczerze i powiedziałam Donaldowi Wade, że kiedy pójdzie do szkoły, będzie śpiewał codziennie. Zobowiązałam się, iż nauczę go jednej piosenki, którą pamiętam jeszcze z czasów swojego dzieciństwa.

Dziś na swe urodziny

Zaprasza Pan Październik

Za chwilę tu przybędą

jesiony, klony, dęby.

Pogoda jest od rana,

Słońce rozkłada dywany,

Pan Wiatr wesoło przygrywa,

A liście idą w tany.

Myszę, że Eleonorze ta piosenka podobała się tak bardzo jak Donaldowi Wade, jej,

która nie szczędzi czasu, aby odkrywać i podziwiać leśne cuda i wszystkie stworzenia zamieszkujące las. Śpiewała ją razem z Donaldem i nuciała, sprząając naczynia po naszym podwieczorku. Czuje się dobrze, ale ogromnie za panem tęskni.

I w tym miejscu muszę już kończyć. Nie będę rozwodzić się i życzyć szczęścia, bo wydaje się to żalosne w świetle tego, gdzie pan jest, i służby, jaką pan pełni dla tych, którzy czekają z zapalonymi światłami w swoich oknach. Powiem tylko, że co noc modłę się w pana intencji.

Szczerze oddana Gladys Beasley

23 czerwca 1942 roku

Gdzieś na Oceanie Spokojnym

Droga Elly,

No cóż jestem na statku moja kochana zielonooka dziewczyno ale to wszystko o czym wolno mi tobie powiedzieć. Nie mogę ci zdradzić nazwy statku ani dokąd płyniemy a tego nie powiedziano jeszcze żadnemu z nas. Jednak wszyscy mamy jakieś wyobrażenie sądząc z kierunku w którym podróżujemy. Pojechaliśmy pociągiem do San Francisco i wsiedliśmy na statek 21 czerwca. Życie na pokładzie statek do transportu wojsk nie jest taki zły. Marynarka wojenna gości nas tutaj i dlatego przez chwilę prowadzimy bardziej spokojny tryb życia i możemy trochę odsapnąć. Żarcie jest dobre - same świeże mięso warzywa i tym razem nie musimy gotować. Musimy jedynie chodzić na zajęcia na temat wywiadu japońskiego i ćwiczyć codziennie na pokładzie. Mówią że musimy posprzątać teren gdzie znajdują się nasze płócienne koje od góry do dołu. Ja śpię pod pokładem w przedniej jego części przy prawej sterburcie co jest bardzo dobre. Nie za wiele tu hałasu od silników i nie za wiele kołysze. Rudzielec ma łóżko dokładnie pod moim. Dużo gramy w pokera a wielu facetów czyta dużo komiksów i handluje nimi. Niektórzy czytają książki i każdy mówi o swojej ukochanej w domu. Ja nie mówię o tobie wyjąwszy Rudzielca ponieważ to mój przyjaciel i nie wypaple wszystkiego co mu się powie. Nie powiedziałem mu o naszych osobistych sprawach w Auguście ale opowiedziałem jak rzuciłaś we mnie jajkiem i okropnie się śmiał. Otis chce cię zobaczyć kiedy skończy się ta cholerna wojna. A teraz podaję ci mój adres jeśli się zmieni dam ci znać: Starszy szeregowiec William Lee Parker 1st Raider Bn 1st Marines Ocean Spokojny. Będę pewnie pisać codziennie dopóki nie dojedziemy na miejsce gdzie nas wysyłają bo teraz mamy bardzo dużo czasu na tym statku. Mówiłem już ci wcześniej że nazywamy nasze karabiny ukochanymi ale kiedy piszę teraz do ciebie naprawdę mam na myśli tylko ciebie. Kocham się moja ukochana.

Twój Will

28 czerwca 1942 roku

Will, mój najdroższy,

To czekanie jest okropne ponieważ nie wiem gdzie jesteś i nie ma sposobu by przewidzieć kiedy się dowiem...

22 lipca 1942 roku

Gdzieś na Oceanie Spokojnym

Droga Elly,

Znowu wypływamy na pełne morze a w miejscu w którym teraz jesteśmy znajduje się ostatnia poczta marynarki wojennej i otrzymaliśmy już konkretne rozkazy. Tak więc dziś mamy ostatnią noc na pisanie listów i gdy oddamy je urzędnikowi zajmującemu się pocztą nie będzie pewności kiedy nadarzy się następna okazja żeby znowu napisać. Powiedziano nam teraz dokąd jedziemy i po co ale nie mogę ci powiedzieć kochanie. Mogę ci jedynie zdradzić że jutro będę na łodzi podwodnej. Chcę żebyś wiedziała że wszyscy są tutaj spokojni. To zabawne - nie wydaje się nam wcale że będziemy walczyć. Jedynie wszyscy mówią dziś wieczorem przyciszonym głosem i czyszczą swoje karabiny chociaż już lśnią tak jak gwiazda polarna. Tyle mogę ci powiedzieć i mam nadzieję że tego nie wykreślą. Tu gdzie jesteśmy nie widać tej gwiazdy. Zamiast tego możemy zobaczyć Krzyż Południa bo wszyscy nauczyliśmy się jak go odnaleźć na niebie w nocy. Leżę na swoim łóżku myśląc o tobie i o dzieciach palę papierosa próbuję myśleć o wszystkich rzeczach którymi wypełnione jest moje serce a które chciałyby się napisać w tym liście. Jednak przede wszystkim mam ściśnięte gardło i mówię do siebie a niech to cholera Parker wrócisz do domu czy słyszysz? Elly to co zrobiłaś dla mnie w ciągu zeszłego roku to więcej niż ktokolwiek uczynił dla mnie w ciągu całego życia. Kocham cię tak bardzo Elly że wszystko boli mnie gdzieś w środku gdy tylko o tym myślę. Dałaś mi dom i rodzinę miłość miejsce do którego mogę wrócić i kiedy mówię dziękuję to brzmi tak cholernie nieznacząco i zupełnie nie tak potężnie jak odczuwam to w moim sercu. Spojrzałem do wyboru poezji panny Beasley i próbowałem znaleźć jeden wiersz który mówi co czuję ale nie znalazłem tam żadnych słów które by się nadały. Musisz wiedzieć moja zielonooka dziewczyno że jesteś najlepszą rzeczą jaka spotkała mnie w całym życiu i ani ocean ani wojna nigdy tego nie zmienią. Teraz muszę już kończyć bo zaczynam się czuć coraz smutniej i coraz bardziej samotnie ale nie martw się o mnie bo tak jak powiedziałem jestem tutaj w najlepszych oddziałach na świecie. Po prostu pamiętaj jak bardzo cię kocham i

że wracam do domu kiedy wszystko się skończy.

Szczerze cię kochający Will

1 sierpnia 1942 roku

Will, mój drogi,

Dostałam to co jak sądzę jest twoim ostatnim listem jaki napisałeś na statku i zaczęłam czuć się tak smutno że musiałam pójść na spacer z dziećmi do sadu aby nie wybuchnąć płaczem. To okropne nie wiedzieć gdzie jesteś i czy jesteś bezpieczny...

4 sierpnia 1942 roku

Will, mój drogi,

To wielki dzień ponieważ Lizzy P. skończyła osiem miesięcy i odstawiam ją od piersi. Mam tyle mleka jak gdyby miały mi pęknąć...

10 sierpnia 1942 roku

Will, mój drogi,

Panna Beasley przyniosła gazety i są w nich duże nagłówki. Zawsze się boję gdy widzę duże litery... tym razem w gazecie było o wielkiej bitwie na Wyspach Salomona i wszystkich stratach jakie poniosły nasze okręty a ja tak się boję że byłeś na jednym z nich...

11 sierpnia 1942 roku

Will mój drogi,

...Nie mówią nam tutaj zbyt dużo oprócz tego że ofensywa trwa i nasze wojska „napotkały znaczny opór ze strony nieprzyjaciela”. To dopiero poniedziałek ale panna Beasley przyszła znowu ponieważ myśli tak jak ja że jesteś tam gdzieś w środku w tym okropnym bałaganie na Wyspach Salomona gdzie Japończycy przypisują sobie zatopienie 22 statków i uszkodzenie sześciu innych...

18 sierpnia 1942 roku

Will, mój drogi,

...nie można sobie wyobrazić jak ciężko czytać wiadomości wojenne w gazetach i nadal niczego nie wiedzieć...

20 sierpnia 1942 roku

Gdzieś na Oceanie Spokojnym

Najdroższa Elly,

Żyję i nie jestem ranny ale brałem udział w walkach i teraz wiem jakie to uczucie zabić drugiego człowieka. Trzeba bez przerwy powtarzać sobie że to wróg i myśleć o tym jak to będzie kiedy wróci się do domu i jakie wszystko będzie piękne. Siedzę tutaj w okopach myśląc o schodkach prowadzących na nasz ganek z tyłu domu i o tym dniu kiedy umyłem chłopców pod studnią i razem ich wysuszyliśmy. Wszystko bym oddał za kąpiel. Tu gdzie jestem nigdy nie przestaje padać. Są tu palmy i trawy rozciągające się od plaży do dżungli. Nie mogę powiedzieć żebym szczególnie przepadał za dżunglą ale przynajmniej są w niej rzeczy do jedzenia. Przez pewien czas byliśmy odcięci od dostaw i chcę ci powiedzieć że zamarło nam serce kiedy patrzyliśmy na morze i zobaczyliśmy że nasze statki odpłynęły. Wypiłem tyle mleka kokosowego że wylewa mi się już uszami a mam też w nich grzybicę. Biorąc pod uwagę to wszystko ugryzienia komarów i deszcz jesteśmy w prawdziwie piekielnym miejscu ale mogłoby być jeszcze gorzej a tymczasem dzisiaj przyleciały nasze bombowce. Szkoda że nie możesz usłyszeć jak wznosiliśmy okrzyki radości gdy przeleciały nad naszymi głowami i wylądowały. Był to najpiękniejszy widok w naszym życiu. Nie tylko przywieźli dostawy świeżej żywności ale powiedzieli że można przesłać listy. Nigdy jednak nie ma pewności czy do was dotrą jednak jeśli tak się stanie ucałuj dzieci ode mnie i powiedz panie Beasley że musiałem zostawić książkę z wierszami ale wyrwałem stronę z moim ulubionym i noszę ją w plecaku. Czytanie tego wiersza i twoich listów to jedyna rzecz która sprawia że mam siłę ...

4 września 1942 roku

Will, mój drogi,

...a więc Donald Wade po raz pierwszy pojechał dziś do szkoły autobusem...

3 października 1942 roku

Will, mój drogi,

...Chłopcy nauczyli dzisiaj Lizzy jak powiedzieć „tatuś”...

4 października 1942 roku

Will, mój drogi,

Twój list w końcu dotarł do mnie pierwszy list ze strefy bitwy. Och Will tak się martwię o twoje uszy i chciałabym tak bardzo podrzucić ci lekarstwa i umyć głowę uczesać

cię tak jak to lubiłeś. Panna Beasley i ja myślimy że udało nam się ustalić z całą pewnością gdzie jesteś i sądzimy że to Guadalcanal. Jestem śmiertelnie przerażona gdy pomyślę że tam jesteś ponieważ wiem że toczą się tam straszne walki i że to terytorium Japonii...

WESTERN UNION

Z ŻALEM INFORMUJEMY ŻE 25 PAŹDZIERNIKA PANI MAŻ ZOSTAŁ CIĘŻKO RANNY W OPERACJI NA WYSPACH SALOMONA. PROSIMY PRZESYLAĆ LISTY NA ADRES KAPRAL WILLIAM L. PARKER 37 773 785 HOSPITALIZOWANY CENTRALNY ZARZĄD POCZTOWY (APO) 0640 DO RĄK NACZELNIKA POCZTY NOWY JORK NY NOWY ADRES I DALSZE INFORMACJE BEZPOŚREDNIO ZE SZPITALA J. A. ULIO GENERAL (ADJT) 7:10 RANO.

1 listopada 1942 roku

Will, mój drogi,

Tak się martwię. Och Will dostałam telegram i powiedzieli że jesteś ciężko ranny i nic więcej - nie ma nic o tym gdzie jesteś i jak się masz. Żadnej informacji...

2 listopada 1942 roku

Will, mój drogi,

Nie zmrzyłam oka przez całą noc tylko leżałam bezsennie płacząc i zastanawiając się czy jeszcze żyjesz czy straciłeś rękę czy nogę czy swoje piękne piwne oczy...

3 listopada 1942 roku

Will, mój drogi,

Czasami tak bardzo się martwię ponieważ wszyscy mówią tylko Gdzieś na Oceanie Spokojnym ale panna Beasley pokazała mi artykuł o pani Roosevelt która odwiedziła oddziały wojskowe zagranicą i nawet ten artykuł zaczynał się od słów Gdzieś w Anglii tak więc myślę że skoro tak piszą o żonie prezydenta i mi musi to wystarczyć ale okropnie się martwię o ciebie...

4 listopada 1942 roku

Will, mój drogi,

Właśnie teraz uderzyło mnie że w telegramie było napisane że jesteś kapralem a więc otrzymałeś awans! Odrzuciłam ponure myśli i zaczęłam myśleć pozytywnie ponieważ tylko

to można zrobić. Żyjesz wiem o tym nie porzucę nadziei i będę pisać codziennie czy otrzymam od ciebie wiadomość czy nie...

4193 Szpital Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych
APO 515
Nowy Jork

Szanowna Pani Parker,

Z przyjemnością informuję panią, że w dniu 1 listopada 1942 stan zdrowia Pani męża kaprała Williama L. Parkera 37 773 785 uległ poprawie. Diagnoza rana lewego uda.

Thomas M. Simpson
1st Lieut. Archiwista M.A.O.

4193 Szpital Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych
APO 515
Nowy Jork, NY

Szanowna Pani Parker,

Z przyjemnością informuję panią, że w dniu 6 listopada 1942 roku pani mąż kapral William L. Parker 37 773 785 został przeniesiony na terytorium nie objęte działaniami wojсковymi, gdzie poddany został operacji lewego uda i obecnie wraca do zdrowia.

Virgil A. Saylor, 1st Lt.
Archiwista MAC

Ministerstwo Wojny Stanów Zjednoczonych
Officiai Business
20 listopada 1942 roku

Szanowna Pani Parker,

Jako dowódca Pani męża kaprała Williama L. Parkera, który został ranny w operacji 1 listopada 1942 roku na wyspie Guadalcanal, czuję się w obowiązku poinformować Panią, że odniesione obrażenia nie zagrażają już jego życiu i że można oczekiwać całkowitego powrotu do zdrowia. W dniu szóstym listopada został przeniesiony samolotem do szpitala marynarki wojennej w Melbourne, Australia, gdzie pomyślnie przeszedł operację i oczekuje teraz na przeniesienie do Stanów Zjednoczonych.

Kapral Parker przynosi zaszczyt piechocie morskiej Stanów Zjednoczonych. Walczył dzielnie bez najmniejszej skargi. W dniu 14 września 1942 roku kapral Parker dał dowód

ogromnej odwagi, próbując ocalić szeregowca Otisa D. Luttrella, ciągnąc go do okopów pod silnym ostrzałem wroga. W dniu 25 października kapral Parker znowu dał przykład swoim postępowaniem, gdy w pojedynkę zaatakował stanowiska japońskie wstrzymujące nasze natarcie. Japończycy znajdowali się w grocie niedostępnej dla naszych wojsk i prowadzili stamtąd ogień. Kapral Parker dobrowolnie przyczołgał się do jaskini i próbował zrobić w niej wyłom, a kiedy się to nie udało, usiłował usunąć skały u podnóża grotu. Czterokrotnie wrzucał granaty ręczne do środka, ale Japończycy natychmiast wyrzucali je z powrotem. Następnie kapral Parker trzymał granaty o trzy sekundy dłużej w ręku, ale kiedy i je odrzucono, założył ładunek dynamitu, zabijając ośmiu żołnierzy japońskich. Odnosił przy tym obrażenia ciała od odłamków granatu wroga, który w tej samej chwili wybuchł.

Ze względu na jego odwagę batalion kaprala Parkera odniósł decydujące zwycięstwo nad Japończykami u ujścia rzeki Ilu, narażając ich na utratę 12 czołgów i około 600 pododdziałów znajdujących się na pierwszym froncie.

Za opisane bohaterstwo wykraczające poza obowiązki z prawdziwą dumą i zadowoleniem przestawiam Głównemu Dowódcy Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych kaprala Williama L. Parkera do odznaczenia - orderem PURPU - ROWEGO SERCA.

Z poważaniem

Col. Merritt A. Edson

Dowódca 1st Marine Raiders

USMC

Szpital Marynarki Wojennej
San Diego, Kalifornia

Szanowna Pani Parker,

Z przyjemnością informuję panią, że 6 grudnia 1942 roku Pani mąż kapral William L. Parker 37 773 785 został przeniesiony do szpitala Marynarki Wojennej, San Diego U.S.A. w celu dalszego leczenia.

Szpital Marynarki Wojennej
San Diego
7 grudnia 1942 roku

Droga Elly,

Jestem już w ojczyźnie i nie musisz już więcej martwić się o mnie. Pielęgniarka Czerwonego Krzyża pisze to za mnie, ponieważ doktor jeszcze nie pozwala mi siadać. W

końcu otrzymałem wszystkie Twoje listy. Dotarły do mnie w szpitalu w Melbourne. Elly, skarbie, tak wspaniale było przeczytać wszystkie te słowa od ciebie o tym, jak Donald Wade idzie do szkoły i Lizzy P. wypowiada pierwsze wyrazy i jak nauczyli ją mówić „tatusiu”. Chciałbym być już razem z wami wszystkimi, ale wygląda na to, że pobędę tu jeszcze trochę. Moja noga jeszcze się nie zagoiła, ale przynajmniej nadal ją mam i choć może być sztywna, mówią, że będę mógł chodzić. Lekarze tutaj twierdzą, że nadal mam kawałek metalu w lewej nodze i może znowu będę musiał mieć operację. Jednak nie ma o co robić hałasu, przynajmniej żyję.

Jest mi przykro, że nie powiedzieli ci więcej po tym, jak zostałem trafiony, wtedy nie martwiłabyś się tak bardzo. Zrobiłbym to sam, ale, jak mi się zdaje, nie byłem w formie, aby pisać. Ale teraz już się nie martw. Naprawdę mam się dobrze.

Do tej pory już wiesz, że zostałem trafiony przez granat japoński, gdy próbowałem wykurzyć ośmiu żołnierzy z ich grotty obok lotniska, bo teraz mogę ci już powiedzieć, gdzie walczyłem - była to wyspa Guadalcanal. Toczyły się tam ostre walki i straciliśmy wielu żołnierzy, ale zatrzymaliśmy Japońców i lotnisko jest teraz nasze. Gdybyśmy tego nie zrobili, Ocean Spokojny byłby nadal w ich rękach i jestem ogromnie dumny z tego, co zrobiliśmy. Mogę ci również powiedzieć, że mój przyjaciel Rudzielec nie miał szczęścia i to wszystko, co mogę teraz powiedzieć, bo ciężko mi nawet o tym myśleć. Tak więc jest tak, jak mówiłem, nie wydaje się zbyt ważne, że będę musiał znieść tych kilka kawałków stali w nodze. Jednak muszę wyznać, że nigdy nie byłem tak zadowolony jak wtedy, gdy zobaczyłem nasz sztandar powiewający nad szpitalem Marynarki Wojennej na starej ziemi amerykańskiej, kiedy to schodziłem ze statku na ląd. Niech to diabli, Elly, chciałbym cię zobaczyć, ale wcześniej musi się zagoić moja noga, tak więc będę tu jeszcze przez pewien czas. Oczywiście będę wypatrywać Twoich listów. Wydaje się, że odkąd zaciągnąłem się do piechoty morskiej, poczta trzyma mnie przy życiu. Teraz kiedy jestem w jednym miejscu, twoje listy dotrą do mnie, więc pisz często, dobrze moja zielonooka dziewczyno. Proszę, nie martw się o mnie. Teraz gdy wróciłem, wszystko się ułoży. Pocałuj ode mnie dzieci i powiedz panie Beasley, aby także napisała.

kochający Will

9 grudnia 1942 roku

Will, mój drogi,

Och Will jesteś już wreszcie w ojczyźnie. Nadszedł twój list i płakałam gdy go przeczytałam tak byłam szczęśliwa. Nie odeślą cię tam znowu prawda? Czy twoja noga się

goi? Tak bardzo się martwię twoim zdrowiem i tym co musisz przejść w związku z operacją i bólem. Gdybyś nie był tak daleko przyjechałabym do ciebie znowu jak wtedy do Augusty ale nie widzę sposobu w jaki mogłabym się dostać aż do Kalifornii. Ale czy nie byłoby wspaniale gdybyśmy mogli razem spędzić Boże Narodzenie?...

24 grudnia 1942 roku

Droga Elly,

Pielęgniarki powiesiły kolorowe lampki w nogach naszych łóżek gdy na nie patrzę znowu dławi mnie w gardle. Leżę tu i myślę o ostatniej wigilii Bożego Narodzenia kiedy Ty i ja napelnialiśmy pończochy chłopców. Tak bardzo chcę być w domu.

29 stycznia 1943 roku

Will, mój Drogi,

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin...

5 lutego 1943 roku

Najdroższa Elly,

Dzisiaj pierwszy raz chodziłem o kulach...

ROZDZIAŁ 19

- Nie ma za co.

Calvin Purdy podwiózł Willa do końca drogi dojazdowej.

- Ogromnie dziękuję, panie Purdy.

- Nie trzeba dziękować, Will, jeśli się jest żołnierzem. Jest pan pewny, że nie chce, żeby go podwieźć aż do samego domu?

- Nie, dziękuję panu, zawsze miałem słabość do tego lasu. Mam ochotę przejść się tędy sam, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

- Oczywiście, synu. Nie ma ładniejszego miejsca niż Georgia w maju. Czy potrzebuję pan pomocy z kulami?

- Nie, proszę pana, poradzę sobie. - Spuszczając obie nogi, Will wysiadł z Chevroleta '31 Calvina Purdy'ego, gdy tymczasem sam Purdy wyjął torbę Willa i przyniósł ją, a następnie powiesił mu na ramieniu.

- Byłbym najszcześniejszy, gdybym mógł dostarczyć pana torbę - rzekł Purdy uprzejmie.

- Dziękuję bardzo, panie Purdy, ale chcę zrobić Elly niespodziankę.

- Chce pan powiedzieć, że nic nie wie o pana przyjeździe?

- Jeszcze nie.

- No cóż, w takim razie rozumiem, dlaczego chce pan iść sam... kapralu Parker. - Purdy wyciągnął dłoń z uśmiechem i uściśnął mocno rękę Willa. - Mogę zawsze pana podwieźć lub pomóc, jeśli tylko pan będzie tego sobie życzył, wystarczy tylko krzyknąć. I witamy w domu.

Gdy Purdy odjechał, Will stał przez chwilę, słuchając ciszy. W oddali nie słysząc strzelania z dział, kule nie rozpryskują się o ziemię tuż za nim, nie ma bzyczenia komarów ani krzyku mężczyzn. Wszędzie panuje cisza, błogosławiona majowa cisza. Lasy są pełne liści, a gałązki uginają się pod ciężarem zieleni. Obok drogi plamy polnej cykorii tworzą chmurę błękitnych gwiazdek. W pobliżu kwitnie kępa fioletowej koniczyny. Jakieś stworzonko urządziło sobie ucztę na kolcowoju, który roztaczał w powietrzu zapach korzennego piwa. Gajówka przeleciała w powietrzu, przysiadła na gałęzi i zaśpiewała siedem czystych słodkich tonów, przypatrując się Willowi i przekrzywiając główkę. Znowu w domu.

Poszedł w górę drogą pod sklepieniem z gałązek, przez które przezierало lazuruwe niebo. Pochylił głowę i podziwiał je, nie mogąc zrozumieć, że nie musi nastawiać uszu i nasłuchiwać warkotu odległych silników ani ukradkiem mrużyć oczu z wysiłkiem, aby

rozpoznać zarys skrzydła lub czerwone wschodzące słońce namalowane na kadłubie samolotu.

Zapomnij o tym, Parker, jesteś teraz w domu.

Droga była miękka, powietrze ciepłe, a jego kule odciskały dziury w czerwonej ziemi. Ostatnio musiało padać. Deszcz. Nigdy nie przejmował się specjalnie deszczem, nie gdy był młody, nie kiedy przeważnie żył na dworze, na pewno nie tam, gdzie ten cholerny deszcz padał nieprzerwanie, gdzie zalewał okopy, zamieniał obóz w cuchnące trzęsawisko, aż doprowadzał do tego, że butwiały podeszwy mocnych skórzanych butów. Komary rozmnażały się w zastraszającym tempie, rozprzestrzeniała się malaria i grzybica, która atakowała palce u nóg, uszy i jakiegokolwiek stykające się ze sobą dwie powierzchnie skórne.

Powiedziałem, zapomnij o tym, Parker!

Dziwne, przebywał w Stanach od sześciu miesięcy, a nadal nie mógł się tutaj zaaklimatyzować. Nadal badawczo przyglądał się niebu. Nadal nadśluchiwał ukradkowych ruchów za sobą. Nadal oczekiwał ostrzegającego klekotania dwóch bambusowych łądyg uderzających o siebie. Nadal cofał się, słysząc nagły hałas. Zamknął oczy i odetchnął głęboko. Powietrze tutejsze nie pachniało pleśnią, zamiast tego miało znajomy, miły i bardzo swojski zapach wrotyczu. W latach włóczęgi za każdym razem, kiedy się przeziębził, pił napar z wrotyczu, a kiedyś gdy rozciął rękę kawałkiem zardzewiałego drutu, zrobił z niego okład, który szybko wyleczył ranę.

Idąc w górę drogą wśród zapachu wrotyczu i kolcowoju, zrozumiał: wrócił do domu na zawsze.

Zatrzymał się przy ukochanym drzewie - oksydendronie, nie zwracał uwagi na opadającą torbę i zgiął lewą nogę, przyklekając na ziemi. Prawdziwa ziemia, może trochę wilgotna, ale własna. Bezpieczna. Ziemia, którą sam orał z mulicą Madam. Mały chłopiec siedział wtedy obok i patrzył, a jego matka przyniosła nektar i przywiozła małego braciszka spłóviałym czerwonym wózkiem.

Odegnął pokusę, aby odrzucić kule i położyć się na nasypie, gdzie rosła soczystozielona trawa i kwitł polny orlik. Zamiast tego zarzucił na ramię torbę i ruszył na zachód w kierunku rozwidlenia dróg w lesie.

Dochodząc do niego, zatrzymał się zaskoczony. W czasie pobytu na Oceanie Spokojnym, kiedy wyobrażał sobie dom, często widział go takim, jakim był na początku, ot skład rozmaitych odpadów żelaza i kurze łajno obok rozpadającego się domu załatanego naprędce cyną. To, co zobaczył dzisiaj, sprawiło, że wstrzymał oddech i stanął jak wryty w zadziwieniu.

Kwiaty! Wszędzie kwiaty... i wszystkie niebieskie!

Wesołe, nieokiełznane, wspinające się w niczym nieskrępowany nieuporządkowany, bezładny sposób. Jakie to podobne do jego Elly, by się na chybił trafił i pozwolić działać słońcu i deszczom - Will uśmiechnął się - a wszystkie te lata, gdy leżały tu kurze odchody, dokonały reszty. Przyjrzał się polance. Tonęła w błękitach. Boże miłosierny, nigdzie nie widział takiego błękitu! Kwiaty w każdym możliwym niebieskim odcieniu, jaki tylko stworzyła przyroda. Znał je wszystkie, ponieważ czytał dużo o pszczołach.

Najbliżej domu, tuż obok ganku, rósł niebieski floks, gęsty i wysoki. Sąsiedował z dzwonekami, które zachwyciły paletą barw - od intensywnego fioleto do lilaróż. U ich stóp rozciągał się gęszcz splecionego niebiesko - liliowego heliotropu. Przy wschodniej ścianie kurnika po płocie wspinał się powojnik. Tam również zaczynało się pole bławatków tak intensywnych i czystych jak niebo ciągnące się wzdłuż parkanu otaczającego kurnik błękitnym dywanem. W cieniu pod drzewami pojawiły się bladofioletowe fiołki, ustępując miejsca niezapominajkom o żywej barwie, które rosły na słońcu, stykając się z rozprzestrzeniającą się coraz bardziej werbeną. Po drugiej stronie podwórka obok drewnianego koła wagonu pomalowanego na biało rosły ostróżki polne we wszystkich możliwych odcieniach niebieskości od fioleto i indygo po bladoniebieski. Przed nimi kępa lnu chwiała się na wietrze. Gdzieś kwitły w skupisku liliowe petunie. Will czuł ich zapach, kiedy szedł w górę ścieżką otoczoną puszystym ageratum. Tam gdzie ścieżka prowadziła na tylny ganek, stała nowa pergola uginająca się pod ciężarem powoju, którego kielichy podnosiły się ku niebu. Ptaki unosiły się w powietrzu, ćwierkając każdy inaczej. Koliber z rubinowym gardziółkiem przysiadł w powojach. Strzyżyki bombardowały go muzyką z najniższej gałęzi dzikiej jabłoni, blisko karmnika z dyni fruwały dwie modraszki. Will uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, jak Donald Wade umieszczał niebieską figurkę na parapecie, by je przywołać. Tak, teraz mieli tu i modraszki.

I pszczoły... pszczoły unosiły się wszędzie, zbierając nektar i pyłek kwiatowy z powodzi kolorów, które podobały im się najbardziej, brzęcząc, podnosząc się na lekkich skrzydełkach, aby przenieść się na następny kwiatek i połączyć muzykę swych skrzydeł ze śpiewem ptaków.

Dopiero gdy Will podszedł bliżej domu, odnalazł czerwoną plamę roślin. Kilka stóp od najniższego schodka prowadzącego na ganek stała wanna pomalowana na biało, a w niej pełno było goździków tak dużych, że wylewały się kaskadą - goździki szkarłatne, liliowe, koralowe i różowe - tak wonne, aromatyczne, że aż zakręciło się mu w głowie. Na ganku leżał cały ich pęk, pokruszonych i zwiędłych. Podniósł je, potrzymał, powąchał, rozejrzał się po

polance, zanim odłożył uważnie na swoje miejsce, jak gdyby miały być jeszcze użyte w czasie jakiejś religijnej ceremonii.

Podniósł wzrok na ażurowe drzwi, wszedł po schodkach i otworzył drzwi, spodziewając się, że w każdej chwili usłyszy głos Elly lub dzieci.

- Kto tam?

Kuchnia była pusta.

- Elly? - zawołał, a torba spadła mu z ramienia na podłogę.

Odpowiedziała mu tylko cisza, a promienie słońca padły na wyszorowaną podłogę i wspięły się po ścianie. W pomieszczeniu panował przyjemny zapach chleba i przypraw. Na stole leżała zrobiona na szydełku serwetka. Obok stał pękaty biały gliniany dzbanek z kwiatami zerwanymi na podwórku, a na parapecie widniała niebieska figurka. W pokoju było przyjemnie i czysto, panował tu porządek. Spojrzał na szafkę, gdzie znajdowała się biała emaliowana blacha przykryta ściereczką. Podniósł jej rozek - było tam ciasto, niepolukrowane, zjedzone już do połowy. Wziął kawałek do ust, a następnie zajrzał do salonu.

- Elly?

Cisza. Cisza letniego popołudnia dotknęła go prosto w samo serce.

Ich sypialnia była pusta. Stał w drzwiach, rozkoszując się widokiem znajomych rzeczy - patrzył na zestaw serwetek, pokrowiec na spinki do włosów, stos czystych równo złożonych pieluszek... łóżko. Tak niewiele czasu spędził w samotności. Te minuty, gdy znowu się przystosowywał do domowego życia, zdawały się oddziaływać na niego w przedziwny sposób i całkowicie uzdrawiać.

Nie było również nikogo w pokoju chłopców. Łóżeczko dziecinne, jak zauważył, przenieśli tutaj.

Wrócił do kuchni. Ukroił sobie duży złoty kawałek i ugryzł - miód, orzeszki laskowe, goździki i cynamon. Mmmm.... pyszne. Zjadł resztę i na sztywnych nogach podszedł do drzwi, a następnie wyszedł na zewnątrz.

- Elly? - krzyknął, stojąc na ganku. Zamilkł na chwilę, nasłuchując. - Elilly?

Za stodołą zaryczała mulica, jak gdyby zła, że ją obudzono. Madam. Poszedł w tamtym kierunku i znalazł zwierzę, ale nie było Elly. Sprawdzał w kurniku - i tam nie znalazł nikogo. Drzwi w składzikach były zamknięte na cztery spusty. Szukał w ogrodzie warzywnym, który także był pusty, i w końcu na podwórku z tyłu domu, przechodząc pod pergolą zarośniętą powojem. Nikt też nie rozwieszał prania.

Gdy kwitnie tyle kwiatów i jest tak ciepło, bez wątplenia uda się miodobranie -

pomyślał. Pójdzie więc do sadu zobaczyć, co tam się dzieje, i ponownie zawrze znajomość z pszczołami, czekając na Elly.

Ziemia zarośnięta była trawą, ale on bez trudu się poruszał o kulach, idąc porośniętą chwastami drogą zrobioną dawno temu przez Stalowego Mula - traktor Glendona. Wszystko było tak, jak pamiętał, orzechy i dęby zielone jak skóra arbuza, koniki polne w wysokiej czerwonej trawie, uschnięta gałąź w kształcie psiej łapy i trochę dalej magnolia z dębem wyrastającym z pnia. Wszedł trochę pod górę i zobaczył sad leżący na przeciwległym wzgórzu zalany ciepłym majowym słońcem, lekko pachnący zeszłorocznymi sfermentowanymi owocami oraz kwitnącymi chwastami i dziczkami. Zobaczył w oddali lasy. Patrzył wokół i oceniał z uznaniem karłowate drzewka - brzoskwinie, jabłonki, grusze i pigwy. Szedł wokół wzgórza, obchodząc swe gospodarstwo. Stały tam ule czerwone, niebieskie, żółte i zielone - sam je tak pomalował. I gdzieś na wzgórzu w połowie... stała ko... kobieta? Will podniósł głowę. Czyżby? W kapeluszu pszczelarskim i w spodniach? Napełniająca poidła słoną wodą? Nie, to niemożliwe! A jednak tak właśnie było. Kobieta pracowała w grubych żółtych roboczych rękawicach, które stykały się z mankietami jednej z jego starych niebieskich koszul. Kołnierzyk był zapięty ciasno na guzik i podniesiony wokół twarzy. Wiozła dwa wiadra w wózku chłopców. Pochyliła się, aby nabrać wody w blaszany czerpak i rozlać ją do niskich płaskich ryniek. Kobieta - jego żona - zajmowała się pszczołami!

Uśmiechnął się i poczuł przyływ miłości dostatecznie silnej, by zakończyć wojnę, gdyby ją można było spożytkować w tym celu. Podniósł rękę radośnie i pomachał.

- Elly?

Wyprostowała się, spojrzała raz, spojrzała uważniej drugi raz, podniosła osłonę, zasłoniła oczy przed słońcem... w końcu zrozumiała.

- Will! - Upuściła naczynie i z otwartymi ramionami biegła naprzeciw. - Will! - Kapelusz spadł jej z głowy, ale ona nadal biegła, machając żółtą rękawicą. - Will, Will!

Schwycił kule i sztywno szedł w jej kierunku, szybko, z całą siłą, był coraz bliżej, kołysząc ciałem. Uśmiechał się. Czuł, jak wali mu serce. Piekły go oczy, gdy tak patrzył, jak Elly pędzi naprzeciw. Chłopcy wypadli z lasu i także biegli, wołając:

- Will wrócił do domu! Will! Will!

Wpadli na siebie obok smukłej jabłonki z taką siłą, że jedna kula upadła na ziemię, upadłby także i Will, gdyby Elly nie złapała go w samą porę. Ręce, usta, serca złączyły się znowu, gdy tymczasem pszczoły brzęczały powitalną pieśń i słońce padało na żołnierską czapkę leżącą na pokrytej zielenią ziemi. Pocałunki i lzy, dwa ciała pełne tęsknoty w powodzi gorących pocałunków - namiętnych, pośpiesznych, pełnych niedowierzania. Objęli się,

połykając łzy wzruszenia, chowając twarze, czując zapach drugiej osoby - kremu do golenia i zgniecionych goździków - złączyli się w pocałunku, aby znowu odnaleźć siebie. Dla nich wojna się już skończyła.

- Will! Will! - Chłopcy nadbiegli pędem, a Lizzy P. niepewnym krokiem wyszła z lasu płacząc, bo wszyscy ją zostawili.

- Kemo sabe! Maluchy! - Will pochylił się sztywno, aby ich objąć, przycisnąć do kolan, otoczyć obu ramionami, całować ciepłe piegowate buzie, ścisnąć ich jeszcze mocniej, wdychając zapach spoconych dzieci, które długo bawiły się na słońcu. Elly ostrzegła ich:

- Uważajcie na nogę Willa. - Ale nadal cała czwórka obejmowała się, ona rękami otaczała Willa, nawet wtedy, gdy witał się z chłopcami, wszyscy całowali się, śmiali i kołysali, a na dole na ścieżce Lizzy stała na słońcu, ocierając oczy i płacząc.

- Dlaczego nie powiedziałeś nam, że wracasz?

- Chciałem zrobić wam niespodziankę.

Elly otarła oczy grubymi rękawicami, a następnie rzuciła je na ziemię.

- Och, mój Boże, dlaczego jestem nadal w rękawiczkach?

- Chodź tutaj. - Złapał ją w talii, pocałował pomiędzy gramolącymi się chłopcami, którzy nadal go otaczali i zasypywali wiadomościami i pytaniami:

- Czy zostaniesz w domu?... Mamy małe kotki... Czy ten piękny mundur jest twój?... Mam wakacje... Czy zabiłeś jakichś Japończyków?... Hej, Will, Will... wiesz co...

Na chwilę oboje, Elly i Will, zapomnieli o tej dwójce.

- Och, Will... - Jej oczy rozświeciły się radością, gdy patrzyła na niego. - Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Jak twoja noga? - Nagle przypomniała sobie: - Chłopcy, cofnijcie się i dajcie Willowi odpocząć. Czy możesz usiąść na trawie, czy poradzisz sobie?

- Tak, oczywiście. - Powoli i sztywno usiadł na ziemi i zaczerpnął łyk świeżego powietrza.

Na dole na ścieżce Lizzy nadal krzyczała. Donald Wade przymierzał czapkę wojskową Willa, która spadła mu na oczy i uszy.

- Wspaniale! - piszczał z radości. - Spójrzcie na mnie! Jestem w oddziałach marines!

- Ja też chcę! - Tomcio wyciągnął rękę. - Chcę ją założyć.

- Nie, ona jest moja!

- Wcale nie, bo moja.

- Chłopcy, idźcie po siostrę i przyprowadźcie ją tutaj. - Pobiegli pędem jak szczeniaki za piłką, Donald Wade prowadził, w czapce na głowie, a Tomcio biegł za nim.

Elly przysiadła na kolanach obok Willa, objęła go rękami za szyję.

- Wyglądasz tak wspaniale, jesteś taki opalony i przystojny.
- Przystojny! - Roześmiał się i pogłaskał jej biodro.
- No cóż, na pewno wyglądasz ładniej niż ja w tych spodniach i twojej starej koszuli. -

Nie mogli przestać się dotykać, nasycić sobą oczu.

- Wyglądasz tak słodko, dostatecznie słodko, aby cię zjeść.

Dotknął ustami jej policzka, gryząc dla żartu. Uśmiechnęła się i trąciła go łokciem. Przeszli chichotać, kiedy spojrzeli na siebie i zaczęli znowu się całować, tym razem był to delikatny niespieszny czuły pocałunek. Kiedy skończyli, z zamkniętymi oczami wdychał jej zapach.

- Elly ... - Modlił się, dziękując Bogu. Położyła mu ręce na piersi i cieszyła się chwilą.

W końcu otrząsnęli się z zaabsorbowania sobą, a on zapytał:

- A więc co tutaj robisz?
- Zajmuję się twoimi pszczołami.
- Tak właśnie myślałem. Od jak dawna tym się zajmujesz?
- Odkąd wyjechałeś.
- Dlaczego nie napisałaś w listach?
- Ponieważ także chciałam cię zaskoczyć!

Chciał wyrazić tysiące rzeczy. Jednak był zwyczajnym człowiekiem, nie miał łatwości wysławiania się, nie był elokwentny. Zatem tylko cicho powiedział.

- Jesteś wspaniałą kobietą, czy wiesz o tym? Uśmiechnęła się i dotknęła jego włosów - znowu były długie, jasne, okalały twarz, tak jak lubiła. Oparła mu łokcie na ramionach i objęła rękami głowę - po prostu trzymała go w ramionach, a on znowu wdychał zapach zgniecionych goździków, którymi pachniała jej skóra. Przytulił nos do jej szyi.

- Mój Boże, tak ładnie pachniesz, jak gdybyś tarzała się w kwiatkach.

Roześmiała się.

- Tak też było. Nie podobała mi się mięta, ale w twoich broszurkach napisali, że goździki cynamonowe działają równie silnie, tak więc posmarowałam się nimi. Wiesz co, Will? - Uradowana odsunęła się lekko, aby spojrzeć na niego, nadal go obejmując.

- Co?

- Pszczoły już pracują.

Przymknął oczy. Jego usta przybrały łagodny wyraz, gdy objął rękami jej piersi.

- Masz rację, kochanie. A teraz powiedz, czy czujesz jeszcze coś do mnie?

Zarumieniała się, zabiło jej mocniej serce i poczuła, jak gorącą falą ogarniają ją coraz silniejsze uczucia.

- Bardziej niż kiedykolwiek - szepnęła, dotykając jego ust, jednak dzieci były tak blisko, oparł więc ręce na ciepłej trawie, podczas gdy ona przechyliła głowę i zaczęła go całować. Rozchylił usta i nie ruszał się, gdy tymczasem ona dotykała go i całowała, drocząc się z nim. Odwzajemnił to, zraszając słodkie usta mokrymi pocałunkami, wpijając się w jej dolną wargę.

- A wy co tu robicie? - Donald Wade stanął za nimi, trzymając Lizzy P. na jednym biodrze. Tomcio włókł się w czapce Willa na głowie.

Nadal obejmując Willa, Elly spojrzała przez ramię.

- Całujemy się. Lepiej przyzwyczajcie się do tego widoku, ponieważ będzie tutaj dużo całowania. - Nie zmieszana opadła na trawę obok swojego mężczyzny, wyciągając ręce do córeczki. - Chodź tutaj, kochanie. Chodź zobaczyć tatusia. No cóż, o mój Boże, ile wylałaś łez. Czy pomyślałaś może, że wszyscy uciekniemy i cię zostawimy? - Śmiejąc się, przytuliła się do dziecka, a następnie posadziła Lizzy i zaczęła ocierać zapłakaną twarzyczkę. Chłopcy przycupnęli, zachowując się tak jak to starsi bracia. Tomcio wziął Lizzy za rączkę i klepnął po ramieniu.

- Hej, Lizzy. Czy możesz powiedzieć „tatusiu”? Powiedz „tatusiu”, Lizzy. - Następnie zwrócił się do Willa: - Mówi tylko wtedy, gdy ma na to ochotę.

Lizzy nie powiedziała „tatusiu” ani „Will”. Zamiast tego, gdy wziął ją na ręce, uderzała piąstkami w jego piersi, szarpiąc się i wykręcając się z powrotem w stronę Elly. Zaczynała znowu płakać. W końcu był zmuszony puścić ją, dopóki nie przyzwyczai się znowu do niego.

- Sad wygląda dobrze. Czy spryskano drzewa?

- Nie spryskano ich, sama je spryskałam.

- A podwórko to najładniejsze miejsce, jakie widziałem od lat. Czy to twoje dzieło?

- Tak, moje i chłopców.

- Mama pozwoliła mi włożyć nasionka do dołka - powiedział wysokim głosem Tomcio.

- Grzeczny chłopiec. A kto zrobił pergolę dla powoju?

- Mama.

- Ja i Donald Wade, nieprawdaż, skarbie? - dodała Elly.

- Tak! Wbijalem gwoździe i pomagałem we wszystkim!

- Naprawdę? To wspaniale! - Will okazał należny entuzjizm.

- Mama powiedziała, że ci się to spodoba.

- I naprawdę mi się podoba. Wszedłem na podwórko i wydawało mi się, że pomyliłem

się i trafiłem gdzie indziej.

- Naprawdę?

Will roześmiał się i przygniół palcem koniuszek nosa Donalda.

Umilkli, nasłuchując brzęczenia pszczoł i powiewu wiatru w okolicznych drzewach.

- Możesz teraz zostać, prawda? - zapytała cicho Elly.

- Tak. Zwolnienie z powodów zdrowotnych.

Obejmując jedną ręką Lizzy, odnalazła w trawie palce Willa i splótła je ze swoimi.

- To dobrze - powiedziała z prostotą, głaszcząc Lizzy po nagranych słońcem włoskach, jednocześnie patrząc cały czas na opaloną na ciemny brąz twarz męża. Był taki przystojny w mundurze wojskowym i krawacie. - Jesteś bohaterem, Will. Jestem z ciebie taka dumna.

Jego usta skrzywiły się i roześmiał się zakłopotany.

- No cóż, co do tego nie jestem pewien.

- Gdzie jest twoje PURPUROWE SERCE?

- W domu w mojej torbie.

- Powinno być tutaj. - Położyła dłoń na klapie munduru, a następnie wsunęła ją pod spód, ponieważ odczuwała cały czas potrzebę, aby go dotykać. Czowała bicie jego serca, silnego i zdrowego, i przywoływała tysiące wizji, które ją dręczyły, jak przeszywają je kule, Will przelewa krew w jakiejś odległej dżungli. Jej drogi Will.

- Panna Beasley - zauważyła - opowiedziała o tym gazecie i zamieścili tam artykuł. Teraz wszyscy wiedzą, że Will Parker to bohater.

Był coraz bardziej zasepiony. Patrzył gdzieś w przestrzeń na odległy ul.

- Każdy w tej wojnie to bohater. Powinni dać order PURPUROWEGO SERCA każdemu żołnierzowi, który tam walczy.

- Czy zastrześliłeś kogoś, Will? - pytał Donald Wade.

- Słuchaj, Donaldzie Wadzie, nie wolno ci...

- Tak, tak, synu, i to jest okropna rzecz.

- Ale oni byli źli, nieprawdaż?

Will utkwiał pełne bólu spojrzenie w Elly, ale widział ziemiankę z wodą po kolana i swojego przyjaciela Rudzielca oraz bombę z gwizdem spadającą z nieba i zamieniającą wszystko przed nim w purpurowy obłok.

- Słuchaj, Donaldzie Wade, Will dopiero co wrócił, a ty już zasypujesz go pytaniami.

- Nie, to mi nie przeszkadza, Elly. - A dziecku powiedział: - Byli ludźmi, takimi jak ty i ja.

- Och.

Donald Wade spowaźniał, zastanawiając się nad tym.

- Muszę napęłnić wodą poidła. To nie potrwa długo - rzekła Elly i wstała.

Pocałowała Willa w lewą brew, wciągnęła robocze rękawice i zostawiła dzieci z Willem. Wróciła na chwilę do pracy, odwracając się raz po raz, aby przyjrzeć się mężowi. Próbowwała zrozumieć, że wrócił na dobre.

- Kocham cię! - krzyknęła zza karłowatej gruszy.

- Ja też cię kocham!

Uśmiechnęła się i pobiegła.

Dzieci oglądały Willa - mundur, guziki, naszywki. Lizzy z trochę mniejszą rezerwą chwiejnym kroczkiem spacerowała po trawie. Słońce prażyło i Will zdjął bluzę, położył obok i wyciągnął się na wznak, mrużąc oczy. Purpura. Czerwień. I wszystko powróciło raz jeszcze - Rudzielec czołga się na brzuchu wzdłuż pasma trawy nad rzeką Matanikau. Nagle zatrzymuje się na otwartym terenie, gdy z przeciwległego brzegu zaczyna się ostrzał, grzmią pistolety maszynowe i moździerz coraz bliżej wyrzuca śmiertcionośne pociski. Nie ma żadnej osłony, a tam leży biedny Rudzielec, wyciągnięty płasko bez żadnego okrycia, twarzą do ziemi, trzęsąc się, gryząc trawę, ogarnięty potwornym przerażeniem, jakiego nie zna zwykle szczęśliwy żołnierz oddziałów desantowych. Will widział siebie, jak doczołguje się tam pod ostrzałem, słyszał zwoźniczo cichy świst kul przelatujących nad głową, uderzających za nim głucho, po lewej i po prawej stronie. I znowu czuł, jak spada z góry ziemia, a granat uderza parę metrów dalej. Chryste, muszę cię, chłopcze, stamtąd wydostać. Rudzielec leży nieruchomo, niezdolny do żadnego ruchu. Will znowu poczuł panikę, napływ adrenaliny, jak wtedy, gdy go złapał i pociągnął do tyłu, przez błoto i kępy trawy wyrwanej z korzeniami, do ziemianki, gdzie stała błotnista woda, krzycząc: Poczekaj tu, przyjacielu. A ja ich dostanę skurwysynów! Następnie znowu w wyobraźni z zaciśniętymi zębami czołgał się na łokciach, a koniec jego bagnetu kołysał się na prawo i na lewo. Gdzieś nad głową nagle pojawiły się samoloty, potem nastąpił ostrzegawczy gwizd i uderzenie tuż za nim, prosto w ziemiankę, tam gdzie był Rudzielec.

Will zadrżał, otworzył szeroko oczy i usiadł. Obok niego nadal bawiły się dzieci. Pszczoły wracały do uli ze swoimi zbiorami. Elly ciągnęła wózek z dwoma pustymi metalowymi wiadrami dzwoniącymi za każdym razem, gdy koła uderzały o wyboje na nierównej powierzchni. Odpędził od siebie wspomnienia i patrzył, jak nadchodzi jego żona w męskim stroju. Nie myśl o Rudzielcu, myśl o Elly. Patrzył, dopóki jej cień nie padł na niego, a wtedy podniósł rękę i poprosił cicho:

- Chodź tutaj. - A kiedy przyklękła, objął ją. Po prostu trzymał w objęciach. I miał nadzieję, że potrafi go wyleczyć.

Tej nocy było im ze sobą bardzo dobrze. Jednak Elly czuła, że Will był w jakiś sposób nieobecny.

- Co się stało?

- Tak?

- Co się stało?

- Nic.

- Boli cię noga?

- Jest nie najgorzej.

Nie wierzyła mu, a on nigdy nie narzekał. Sięgnął po papierosa i zapalił w ciemności. Patrzyła, jak tytoń zaczyna się żarzyć, a on zaciąga się.

- Czy chcesz o tym porozmawiać?

- O czym?

- O wszystkim, o twojej nodze... o wojnie. Myślę, że ze względu na mnie celowo nie pisałeś o najgorszych rzeczach. Może chcesz o tym teraz porozmawiać.

Czerwony łuk papierosa zbliżającego się do jego ust stworzył granicę bardziej namacalną niż drut kolczasty.

- Czy mówienie na ten temat ma jakikolwiek sens? Poszedłem na wojnę, a nie na przyjęcie towarzyskie. Wiedziałem o tym, kiedy się zaciągnąłem do wojska.

Poczuła się odrzucona i zraniona. Musiała dać mu czas, aby się otworzył, ale tej nocy na pewno to nie nastąpi, to było pewne, tak więc szukała tematów do rozmowy, żeby znowu stali się sobie bliscy.

- Założę się, że panna Beasley była zaskoczona, kiedy cię zobaczyła.

- Tak. - Roześmiał się.

- Czy pokazała ci, jaki założyła album? Wklejała wycinki z gazet na temat wszystkich działań na Oceanie Spokojnym.

- Nie, nie wspominała o tym.

- Wycinała tylko te artykuły dotyczące działań na Oceanie Spokojnym, gdzie, jej zdaniem, mogłeś walczyć.

Roześmiał się cicho.

- Wiesz co?

- Hm?

- Myślę, że się w tobie podkochuje.

- Och, daj spokój, równie dobrze mogłaby być moją babcią.

- Babcie również mają uczucia.

- O Boże.

- I wiesz co jeszcze? Myślę, że ty też w jakiś sposób czujesz to samo.

Poczuł, jak rumieni się w ciemności, przypominając sobie, jak starał się oczarować pannę Beasley.

- Elly, jesteś szalona.

- Tak, wiem, ale zupełnie mi to nie przeszkadza. Przecież w końcu nigdy nie miałaś babci, a jeśli odrobinę ją pokochasz, niczego mi to nie odejmie.

Zgasił papierosa, wyciągnął się znowu przy jej boku i pocałował w czubek głowy.

- Jesteś wspaniałą kobietą, Elly.

- Tak, wiem.

Odsunął się trochę i spojrzał jej w twarz, zapominając chwilowo o dręczących wizjach, które pojawiały się wbrew woli w jego wyobraźni. Roześmiał się, a następnie Elly przytuliła jeszcze raz policzek do jego piersi i nadal próbowała go rozweselić.

- W każdym razie panna Beasley zachowywała się wspaniale, gdy odjechałeś, Will. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła, bez niej i Lidii. Lidia i ja tak bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. I wiesz co? Nigdy wcześniej nie miałam przyjaciółki. - Zamyśliła się, zanim zaczęła dalej mówić. - Rozmawiałyśmy o wszystkim... - Zmierzyła włosy na jego piersi i dodała: - Chciałabym czasami zapraszać tutaj ją i dzieci, tak byśmy poznali się lepiej. Czy masz coś przeciwko temu, Will?

Czekała, ale nie odpowiedział.

- Will?

Cisza.

- Will?

- Tak?

- Nie słuchałeś?

Cofnął rękę i sięgnął po jeszcze jednego papierosa. Znowu go straciła.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości - Will był odmieniony. Nie tylko kulał, ale również popadał w milczenie, był nieobecny duchem. Bardzo często zdarzało się w tych dniach, że bardzo długo się nie odzywał, a wtedy zajęty był myślami, których nie chciał z nią dzielić. Często wymiana zdań stawała się monologiem, a gdy Elly zwracała się w jego stronę, widziała, że oczy ma gdzieś utkwione w dali, dręczą go myśli, znajduje się tysiące

kilometrów stąd. Były również i inne zmiany. W nocy cierpiał na bezsenność. Niekiedy budziła się, aby zobaczyć, że siedzi i pali w ciemności. Czasami miał jakieś sny i rozmawiał, przeklinał, wołał i rzucał się na łóżku. Jednak kiedy budziła się i zachęcała go do zwierzeń, odpowiadał: - Nic, to tylko sen. Następnie kurczowo się do niej tulił, dopóki znowu nie zasnął, a ręce miał wilgotne nawet wtedy, gdy w końcu je otworzył.

Potrzebował samotności. Często chodził do sadu, aby rozmyślać. Siedział, patrząc na ule, i dumał nad tym, co go gnębiło.

Najcichsze dźwięki wyprowadzały go z równowagi. Pewnego dnia Lizzy strąciła z krzeselka szklanekę z mlekiem, a on zerwał się z krzesła i wybiegł z domu, nie kończąc posiłku. Wrócił trzydzieści minut później, usprawiedliwiał się, obejmował i całował Lizzy tak, jak gdyby ją uderzył, przynosząc jako przeprosiny zrobioną przez siebie zabawkę.

Tego popołudnia spędził całą godzinę z trójką dzieci na podwórku, umieszczając proste drewniane ostrze bąka na końcu długiego sznurka, dopóki nie zaczęło wirować i nie wydało dźwięku jak włączony na nowo silnik. I tak jak zawsze, gdy przebywał z dziećmi, uspokoił się.

W nocy o trzeciej rano nadeszła burza. Potężne uderzenie pioruna wstrząsnęło domem i Will zerwał się, krzycząc, jak gdyby usłyszał nad sobą huk bomby.

- Rudzielec! Jezu Chryste, Rudzielcu!

- Will, co się stało?

- Elly, o Boże, trzymaj mnie!

Znowu stała się jego łodzią ratunkową, ale chociaż bardzo gwałtownie drżał i pocił się jak w gorączce tropikalnej, ukrył swoje przerażenie.

Fizycznie przychodził do zdrowia. Już tydzień po powrocie bardzo chciał chodzić bez kul i w ciągu miesiąca jego życzenie się spełniło. Bardzo lubił kąpiele i kąpał się długo w solach, które przyspieszały gojenie ran, i zawsze chętnie przyjmował propozycję Elly, że wyszoruje mu plecy. Chociaż lekarze z Marynarki Wojennej polecili mu, aby co dwa tygodnie udawał się na kontrolę, nie zastosował się do tego i zajął się pszczołami wcześniej, niż porzucił kule. Wrócił też do pracy w bibliotece w szóstym tygodniu pobytu w domu bez konsultacji z lekarzem. Pracował w takich samych godzinach jak przedtem, miał wolne dni, tak więc w domu namalował i umieścił przy drodze znak - UŻYWANE CZĘŚCI SAMOCHODOWE I OPONY - i zajął się sprzedażą złomu, który przynosił zaskakujący i stały dochód. Otrzymywał pensję, odszkodowanie z wojska, pieniądze za sprzedaż jajek, mleka i miodu (teraz, gdy racjonowano cukier, był bardzo pożądanym towarem) i ich dochód podniósł się do poziomu, o jakim wcześniej nie śmieli nawet marzyć.

Oszczędzali większość pieniędzy, ponieważ mimo planów Willa, aby kupić Elly różne luksusowe przedmioty, produkcja artykułów domowego użytku została już dawno wstrzymana. Rzeczy niezbędne - ubrania, jedzenie, sprzęty gospodarstwa domowego - rozdzielano w sklepie pana Purdy'ego i ich wartości punktowe wystawiono na półkach obok cen. Tak samo było na stacji benzynowej. Willa i Elly zaliczono jednak do rolników i dlatego dostali więcej kartek na benzynę, niż potrzebowali.

Jedynym miejscem, gdzie mogli wydać pieniądze w sposób sprawiający im przyjemność, było kino w Calhoun. Chodzili tam w każdą sobotę wieczorem, chociaż Will nie chciał iść, jeśli pokazywano film wojenny.

A później pewnego dnia nadszedł list z Lexington w Kentucky. Na kopercie widniało nazwisko i adres nadawcy - Cleo Atkins. Elly położyła go na środku kuchennego stołu i kiedy Will wszedł, wskazała na list.

- Coś przyszło do ciebie - powiedziała, obracając się.

- Och. - Podniósł list, przeczytał adres zwrotny i powtórzył cicho. - Och.

Gdy upłynęła minuta ciszy, spojrzała na niego.

- Czy otworzysz? - zapytała.

- Oczywiście. - Jednak nie otworzył, tylko stał, dotykając listu i wpatrując się weń.

- Dlaczego nie weźmiesz listu do sadu i nie otworzysz go tam, Will?

Popatrzył na nią z bólem w swoich głęboko osadzonych ciemnych oczach i powiedział ochryplym głosem:

- Tak, myślę, że tak zrobię.

Kiedy odszedł, Elly usiadła ciężko na krześle i zakryła twarz ręką, bolejąc nad nim, ponieważ zmarł przyjaciel, którego nie mógł zapomnieć. Przypomniała sobie, jak kiedyś powiedział jej o swym jedynym przyjacielu, który go zdradził i zeznawał przeciwko niemu. Jakże samotnie musi teraz się czuć - gdy za każdym razem, kiedy wyciąga rękę do drugiego człowieka, zabiera mu się tę przyjaźń. Przed wojną nie rozumiała by wartości przyjaźni. Jednak teraz miała już dwie przyjaciółki - pannę Beasley i Lidię. Dlatego dzieliła z Willem ból z powodu tej straty. Dała mu pół godziny, a później poszła do niego. Siedział pod starą karłowatą jabłonką uginającą się pod ciężarem niedojrzałych owoców, a list leżał na ziemi przy jego biodrze. Gdy tak siedział z podniesionymi do góry kolanami, skrzyżowanymi ramionami i spuszczoną głową, widać było, jaka opanowała go rozpacz. Przeszła cicho po miękkiej trawie i uklękła, kładąc dłonie na jego ramionach i przytulając do nich twarz. Łkał. Przesunęła dłonie po drżących plecach i tuliła go z miłością, kiedy on tymczasem płakał uzdrawiającym płaczem. W końcu poskarżył się:

- O Jezusie, Elly, ja... to ja... go zabiłem. Przy... przyciągnąłem go z powrotem do o... okopu i zostawiłem tam, i w chwilę... chwilę później odwróciłem się i zobaczyłem jego rude włosy wznoszące się w powietrze... ii...

- Szszsz...

- I krzychałem, Rudzielcu!... Ruuudzielcu! - Podniósł głowę i wykrzychał to cichemu niebu, krzychał długo i głośno, aż żyły pojawiły się na jego skroniach, na szyi i nad zaciśniętymi pięściami.

- Nie zabiłeś go, próbowałeś go ocalić.

- Zabiłem swojego najlepszego przyjaciela, a oni dali mi za to ten cholerny order! - Wściekłość zastąpiła ból.

Mogła dowodzić, że order słusznie mu się należał za udział w innej bitwie, ale wiedziała, że to nie pora na rozsądne argumenty. Musiał wyrazić swoją wściekłość, wyrzucić ją z siebie jak ropę z jęczącej się rany. Dlatego głaskała jego ramiona, przełknęła łzy i zachowała milczenie, ponieważ czuła, że tego potrzebował.

- A teraz jego narzeczona pisze, o Boże, jak bardzo ją kochał; panie Parker, nie wolno panu się za to winić. - Spuścił głowę. - Czy nie rozumie, że muszę się winić? Zawsze mówił o tym, jak nasza czwórka spotka się po wojnie i może kupimy wtedy samochód i pojedziemy gdzieś na wakacje, może w góry, gdzie jest chłodno w la... lato i on, i ja p... pójdziemy na ryby. - Odwrócił się i udreńczony, pełen bólu, z całą siłą rzucił się Elly w ramiona. Przytulił ją, kryjąc się tam, w końcu przyjmując pocieszenie. Trzymała go w objęciach, kołysała, a łzy moczyły jej sukienkę. - Och, Elly, Elly, to ta przeklęta wojna.

Objęła go, jak gdyby był w wieku Lizzy, zamknęła oczy i bolała razem z nim, nad nim i jeszcze raz stała się matką, której zawsze potrzebował.

Gdy zaczął oddychać spokojnie, jego uścisk rozluźnił się.

- Rudzielec był dobrym przyjacielem.

- Opowiedz mi o nim.

- Chcesz przeczytać list?

- Nie, przeczytałam już dość dużo listów, kiedy cię nie było. Powiedz mi o tym.

Tak też zrobił. Tym razem spokojnie opowiedział, co się naprawdę wydarzyło. O cierpieniu, lęku, zgonach i rzezi.

O „Ostatniej Wieczery” na pokładzie „Argonauty”, steku i jajkach w nieograniczonej ilości, które miały napęścić ich brzuchy, zanim znajdą się na ostrzeliwanej plaży. Mówił o pływaniu na pontonie na przybrzeżnych falach walących o brzeg, gdy działa tak głośno ryczały, że nie można było nikogo usłyszeć. Powiedział, że płynęli na podskakującej na wo-

dzie tratwie, niemal nadziali się na rafę koralową i groziło im, że wszyscy się potopiają, zanim jeszcze dotrą do wybrzeża, gdzie roilo się od Japończyków. Wspominał, jak przybyli tam przemoknięci i siedzieli przez następne trzy miesiące, o tym, jak wróg ścigał ich flotę i odcinał ich od dostaw. Mówił o wczolgiwaniu się do szalasu z trawy i o tym, jak widział istoty ludzkie wyrzucane do tyłu i padające na ziemię z utrwalonym na zawsze wyrazem zaskoczenia na twarzy; o tym, jak dowiadawali się, jakie są trzy gatunki jadalnych mrówek, kiedy tak leżeli na brzuchu przez dwa dni, a snajper czekał na drzewie; i o tym, jak jedli je na obiad. Mówił o bitwie na Bloody Ridge, o tym, jak widzieli mężczyzn wijących się w męczarniach przez długie dni, gdy tymczasem muchy składały jaja w ich ranach; o tym, jak jedli kokosy i życzyli sobie, aby zaatakowała ich malaria, zanim pokona biegunka; o tym, że ciało ludzkie drgało nawet po śmierci. I w końcu o Rudzielcu, którego kochał, Rudzielcu żywym, a nie martwym.

A kiedy Will wypłakał się i poczuł zupełnie wyczerpany, Elly wzięła go za rękę i poszli razem do domu przez sad, przeszli pod ozdobioną kwiatami pergolą i rozpoczął się trudny proces zapominania.

ROZDZIAŁ 20

Wojna dała się Luli we znaki. Pozbawiła ją tego wszystkiego, na czym zależało jej najbardziej: nylonowych pończoch, czekoladowych lodów i mężczyzn - szczególnie mężczyzn. Ci najlepsi: zdrowi, młodzi, mężczy wyjechali. Zostały tylko gówna takie jak Harley. Czy miała więc jakiś wybór? Mogła jedynie wydobywać to, czego potrzebowała, od tej dużej mały. Jednak nie mogła go już nawet dłużej szantażować. Przede wszystkim nie było benzyny na wyjazd do Atlanty i oglądanie wystaw sklepowych, tak jak robiła to kiedyś - kto mógłby pojechać gdziekolwiek, mając trzy nędzne galony na tydzień! - a nawet gdyby mogła to zrobić, nie było w sklepie niczego takiego, co warte byłoby szantażu. Ten cholerny Roosevelt kontrolował wszystko - nie było samochodów, spinek do włosów, suszarek. I żadnej, absolutnie żadnej czekolady! Lula zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego każdy żołnierz w Europie dostawał tyle tabliczek czekolady, że aż je rozdawano, gdy tymczasem ludzie w ojczyźnie musieli się bez nich obejść! Mogła wiele wytrzymać, ale gdy Roosevelt wydał zalecenie, jakie smaki lodów można robić, przekraczało to wszelkie granice. Co on, u diabła, myślał, jak ma utrzymać się kawiarnia bez lodów czekoladowych? I bez kawy?

Lula oparła stopę na sedesie i rozsmarowała brązowy krem na nodze od stopy do uda, na nowo rozzłoszczona tym, że musi się obejść bez nylonowych pończoch. U diabła, ile oni potrzebowali tych spadochronów? Pomimo wszystko nikt nie powie, że ona, Lula, nie wygląda dobrze i to niezależnie od niedogodności, jakim musi stawić czoło. Kiedy już pokryła nogę równą warstwą, starannie narysowała ołówkiem do „szwów” czarną linię z tyłu. W staniku i majtkach pobiegła do sypialni, wskoczyła na wysokie łóżko i odwróciła się tyłem, aby w lustrze przy toalecie sprawdzić ostateczny efekt.

Prościutkie jak strzała i bardzo równiutkie!

Z szafki wyciągnęła najbardziej seksowną krótką sukienkę z pomarańczowego i białego dżerseju z ogromnymi poduszkami na ramionach, trójkątnym dekoltem, bardzo obcisłą w biodrach. Założy ją jeszcze ten jeden raz i jeśli to nie wywrze wrażenia na tym wyniosłym Willu Parkerze, niech później staje na głowie lub robi, co mu się żywnie podoba, a jej to już nic nie obejdzie. Pomimo wszystko kobieta ma swoją dumę.

Wbiła się w sukienkę, wciągając ją przez głowę, a następnie wróciła do łazienki, aby uczesać i ułożyć swoje loki tak jak zwykle - upiąć włosy wysoko z przodu. W końcu udało jej się ułożyć fale: loki były tak sztywne jak metalowe sprężynki i ładnie spływały na czoło.

Zapięła suwak. Gotowa i poperfumowana, z makijażem na twarzy, poprawiła włosy. Podparła się pod boki, stanęła przed lustrem z przyciśniętymi do siebie łydkami tak jak Betty

Grabie i przeciwzyła koci uśmiech. Odsłoniła zęby, aby sprawdzić, czy nie ma na nich rozmazanych śladów szminki, i stwierdziła, że mężczyzna musiałby być niespełna rozumu, aby wybrać zwariowaną Elly See, a nie ją.

Oblizwała zęby, chuchnęła w złożoną dłoń, powąchała i wygrzebała w swojej torebce paczkę Sen - Senu. Niech diabli wezmą Wrigleya i Roosevelta, którzy zaopatrują wszystkich żołnierzy amerykańskich w darmową gumę do żucia w czasie tej wojny, a tymczasem ludzie tutejsi, którzy chętnie by za nią zapłacili, muszą żuć ten paskudny Sen - Sen!

Miała przyjemny oddech, seksowne nogi i niemal odkryty biust, gdy wyruszyła, aby polować na swoją ofiarę. Ten mężczyzna sprawiał, że swędziało ją jeszcze bardziej niż kiedykolwiek! Były żołnierz marines odznaczony Purpurowym Sercem - wyobraźcie sobie tylko - który nadal jeszcze w widoczny sposób utykał. Czyniło go to w oczach Luli tym bardziej pociągającym.

Widziała go z okna kawiarni w ten majowy dzień, kiedy wrócił z wojny, i prawie wyskoczyła ze skóry, gdy zobaczyła jak utykając, wchodzi po schodach do biblioteki, aby spotkać się z tą starą wariatką panną Beasley. Zanim doszedł do drzwi, Lula przycisnęła się do lady, aby rozładować podniecenie, i od tej pory czuła to samo. Cały czas obserwowała placyk, aby go przyuważyć, a kiedy nie było Willa w mieście, wystarczyło, by o nim pomyślała, a już czuła się podniecona. Jak on wyglądał w mundurze i żołnierskiej czapce, gdy szedł o kulach i spoglądał swymi namiętymi oczami. Było to najlepsze ciało, jakie miało do zaferowania miasto, i Lula dostanie je lub, na wszystko co święte, zstarzeje się, próbując!

Tylne drzwi do biblioteki nie były zamknięte. Bezszelestnie przekręciła gałkę. W środku cicho grało radio i widać było przyćmione światło na samym końcu wąskiego tylnego korytarza. Na palcach Lula skradała się wzdłuż korytarza, zatrzymała się na końcu, aby zajrzeć do słabo oświetlonej głównej sali biblioteki. Włączona była tylko jedna lampa, zasłony opuszczono na czas zaciemnienia. Co za szczęście - nareszcie sami!

Pracował odwrócony do niej tyłem, przykucnął na jednym kolanie, spoglądał na spód stołu ze śrubokrętem w rękę, pogwizdując piosenkę „Miałem szalony sen”. Lula cicho zrzuciła buty, postawiła je obok biurka, gdzie wypożyczano książki, i przeszła jak kot przez pokój.

Zatrzymując się obok niego, czuła zapach toniku do włosów. Zaczęły jej drzeć nozdrza i całe ciało. Tak jak zwykle Lula kierowała się instynktem, tym, co dyktowało jej ciało, a nie rozum. Nie zatrzymała się, nie pomyślała, że nie można zaatakować zniecka znerwicowanego byłego żołnierza z oddziałów marines, który walczył na Guadalcanal i reaguje błyskawicznie, którego ruchy są gwałtowne i którego ćwiczą w sztuce zabijania. Wygląda! wspaniale, ładnie pachniał i poczuje się zaraz dobrze - pomyślała, gdy kobiecym

posuwistym ruchem zbliżyła się do niego i zaczęła przesuwać ręce wzdłuż jego ciała.

Poderwał łokieć do tyłu i walnął ją w brzuch. Zerwał się na równe nogi, odwrócił się, zadał silny cios w szyję i rzucił ją na podłogę, gdzie przeleciała kilka metrów i zatrzymała się owinięta wokół nogi stołu.

- Co, u diabła, tutaj robisz? - wybuchnął.

Lula nie mogła mówić, ponieważ straciła oddech.

- Proszę wstać i wynosić się stąd!

Chciała odpowiedzieć, że nie może, ale poruszyła tylko szczęką, nie wydając żadnego dźwięku. Zwinęła się i objęła brzuch.

Wojna nauczyła Willa, że życie jest zbyt drogocenne, aby marnować je w jakikolwiek sposób, nawet tych kilka cennych momentów spędzanych z ludźmi, których się nie lubi. Podszedł do niej ciężkim krokiem i szorstko szarpnął, aby ją podnieść.

- Musisz zrozumieć, Lula, że moje małżeństwo jest szczęśliwe i nie potrzebuję tego, co sprzedajesz, a więc wyjdź stąd i zostaw mnie w spokoju!

Pochylona przeszła kilka kroków, potykając się.

- Ty, uderzyłeś mnie... ty sukinsynu! - zdołała wydusić pomiędzy jednym haustem powietrza a drugim.

Złapał ją za włosy tak szybko, że „rajstopy” omal nie zostały na podłodze.

- Nigdy nie mów do mnie w ten sposób! - ostrzegł ją zza zaciśniętych zębów.

- Sukinsynu, zostaw mnie! - krzyknęła, gdy on trzymał ją nadal za włosy. Nie puścił jej, lecz jeszcze bardziej podniósł głos. - Dziwka!

- Sukinsyn!

- Dziwka!

- Och! Zostaw mnie!

Otworzył dłoń i poczuła się jak zbity pies.

- Wynoś się i nigdy nie przychodź. Nie kręć się koło mnie, słyszysz? Poznałem już wiele tobie podobnych wtedy, gdy byłem zbyt głupi, żeby znać się na rzeczy! Teraz mam dobrą kobietę, dobrą, słyszysz? - Złapał ją z przodu za sukienkę, rzucił na podłogę i cały czas popychał mocno z tyłu do tylnych drzwi, po drodze chwytając jej pantofle. Wyrzucił buty jak dwa pomarańczowe granaty na ulicę, wypchnął ją na zewnątrz i powiedział na pożegnanie: - Jeśli jesteś rozpalona, idź wyć pod okna kogoś innego!

Zatrzasnęły się drzwi i słychać było trzask przekręcanego zamka.

Lula rzuciła na drzwi spojrzenie pełne nienawiści i krzyknęła:

- Niech cię wszyscy diabli, ty zasrany dupku! Wydaje ci się, że możesz pozwalać

sobie na wszystko? - Kopnęła ze złością drzwi i zwichnęła duży palec u nogi. Chwytając się za palec, krzyknęła jeszcze głośniejsze: - Zastraniec. Dupek! Cholerny żołnierz! To, co masz w spodniach, zmieściłoby się nawet w moim lewym uchu.

Ze łzami i czarnym tuszem do rzęs rozmazanym na twarzy, kuśtykając, zeszła ze schodów, znalazła buty i powłócząc nogami, odeszła.

Wróciła do domu rozwścieczona i pomaszzerowała prosto do telefonu.

- Poproszę pana Harleya Overmire! - wykrzyknęła, a następnie czekała niecierpliwie, przyciskając słuchawkę do pomarańczowego klipsa przypominającego pióro flaminga.

Gdy wykręciła numer drugi raz, usłyszała:

- Halo?

- Harley, tu Lula.

- Lula - szepnęła ściszym głosem. - Mówiłem ci, abyś nigdy nie dzwoniła do mnie do domu.

- Guzik mnie to obchodzi, co mi mówiłeś, Harley, więc zamknij się i słuchaj! Jestem w większych tarapatach niż ty i potrzebuję ciebie i twojej pomocy, nie mów więc „tak” lub „nie”, ale wsiadaj w swój cholerny samochód i bądź tu u mnie za piętnaście minut lub przyjadę na swoim rowerze tak szybko, jak gdyby się paliło. A kiedy złożę twojej cudownej Mae wizytę, nie będzie się już dłużej zastanawiać, skąd wzięły się tamte żółte plamy na twoim brzuchu, rozumiano? A teraz ruszaj się, Harley!

Rzuciła słuchawkę na widełki i prawie rozwalila stół, gdy trzasnęła telefonem.

Harley właściwie nie miał wyboru. Im był starszy, tym mniej potrzebował Luli. Była do tego na tyle głupia i uparta, że mogła wszystko popsuć pomiędzy nim a Mae, a on nie miał zamiaru tracić żony ze względu na tanią dziwkę. Nic z tego. Marzył, że kiedy z pełnymi kieszeniami przejdzie na emeryturę po pracy w tartaku, a nieźle się wzbogacił na tej wojnie, Mae będzie przynosiła mu na werandę mrożoną herbatę. Marzył też, że będzie chodzić z chłopcami na ryby, a z dziewczętami... - no cóż, z dziewczętami nie było zbyt wielkiego pożytku, ale były zabawne. Najstarsza miała już szesnaście lat. Jeszcze kilka lat i będzie mogła wyjść za mąż i da mu wnuki. Myśl ta działała na Harleya w przedziwny sposób. Niech diabli wezmą Lulę, może zniszczyć to wszystko, jeśli zaczną klepać swoją jadaczką.

Kiedy otworzyła drzwi, już prawie krzyczała.

- Lula, nie masz rozumu czy co? Gdzie, u diabła, jesteś, Lula?

Lula rozwalila się na łóżku, miała na sobie pomarańczowe pantofle na wysokich obcasach i pomarańczowe klipsy. Widać było kilka czarnych i niebieskich znaków zostawionych przez ręce Willa Parkera. Przy stoliku obok łóżka płonęło kadzidło, a

koronkowe majtki owinięte wokół abażura zasłaniały lampę.

- Lula, co, u diabła, sobie myślisz, gdy wydzwaniasz tak do mnie i wydajesz mi rozkazy, jak gdybym był jakimś...

Harley zatrzymał się w drzwiach i przestał wrzeszczeć, jak gdyby gilotyna spadła na jego język. Lula dotykała się jedną ręką, wyciągając do niego drugą...

Dwa miesiące później w ponury listopadowy dzień Lula zadzwoniła do Harleya drugi raz, tym razem do tartaku.

- Harley, to ja.

- Jezu, co się z tobą dzieje, że dzwonisz do mnie tutaj! Czy chcesz, żeby cały cholerny świat dowiedział się o nas?

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Pracuję dzisiaj na półtorej zmiany.

- Muszę zobaczyć się z tobą, powiedziała! Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

- Nie mogę dzisiaj, może w czwartek...

- Dzisiaj wieczorem albo wszystko wygadam przez telefon Ednie Mae Simms. Jesteś tam, Edno Mae? Czy wszystko rozumiesz?

- W porządku, dobrze!

- Ósma piętnaście u mnie.

- Nie wyjdę, dokąd...

Harley usłyszał, jak odkłada słuchawkę, przerywając rozmowę.

Kiedy przyjechał do Luli do domu, była ubrana w czarną błyszczącą suknię w wiśniowe orchidee wielkości talerzy. Włosy zaczesła porządnie do góry i miała na sobie pantofle na wysokich obcasach w kolorze orchidei. Przypominały Harleyowi o tym, jak pewnego razu matka zmusiła go, aby zjadł buraki, i później wymiotował. Lula otworzyła drzwi i zamknęła je za Harleyem nagłym ruchem, zachowując kamienną twarz, a następnie odwróciła się do niego z rękami opartymi na biodrach.

- Wpadłam, Harley, i dzieciak jest twój. Chcę wiedzieć, co zamierzasz z tym zrobić.

Harley wyglądał tak, jak gdyby działko przeciwczołgowe właśnie wypaliło przy jego uchu. Przez chwilę był zbyt zaskoczony, aby coś powiedzieć. Lula przeszła wolnym krokiem do salonu, schyliła brodę, wsuwając spinkę do włosów.

Z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, niemal bez tchu, Harley wyjąkał:

- Wpa... wpadłaś?

- Tak, to twoja i moja zasługa, zabciu. - Poglaskała się po brzuchu i uśmiechnęła do niego sarkastycznie. - Zrobiłeś mi dziecko.

- Ale ja... ja nie widziałem się z tobą od dwóch miesięcy, Lulu!

- Wszystko się zgadza, a jeśli pamiętasz, nie używaliśmy niczego.

- Jak mogłem, kiedy nic nie miałem przy sobie! Brakuje teraz tych przeklętych prezerwatyw podobnie jak i opon. To dziwne, że Roosevelt nie polecił jeszcze skautom, aby zbierali używane prezerwatywy, tak jak zbierają puszki po konserwach! - Harley padł na kanapę i przeczesał ręką włosy, mrużąc: - W ciąży... Chryste.

Lula sztywno oparła ramię na fotelu, wybijając rytm intensywnie różowymi paznokciami.

- Przyjdzie na świat w maju w przyszłym roku.

- Byłaś już u lekarza?

- Tak. Pojechałam dzisiaj do Calhoun.

Harley skoczył na równe nogi i zaczął przechadzać się po pokoju.

- A niech to cholera, Lulu, dlaczego nie powiedziałaś mi, że możesz zajść w ciążę tej nocy! To twoja wina, a nie moja!

Lula ożywiła się jak kopnięta kobra.

- Moja wina! Dlaczego moja, ty głupi biadolący sknero. Lepiej nie zwalaj winy na mnie! Zawsze najpierw coś brałaś, a później pytałaś, w tym jesteś cudowny. I wiesz dlaczego! Ponieważ cały czas myślisz tylko o jednym, pieniądze, pieniądze, pieniądze. Tam w tartaku zgarniasz kupę forsy do ręki bez najmniejszego trudu, zawierasz kontrakty rządowe, kiedy ci wygodnie i także niektóre nadprogramowe, a jesteś zbyt oszczędny, aby iść do apteki i wydać ćwierć dolara! A teraz wskazujesz na mnie palcem, Harleyu Overmire! Wszystko, co powinieneś był zrobić tamtej nocy, to poświęcić dziesięć sekund, aby się zabezpieczyć, ale nie, musiałeś skoczyć na mnie od razu jak jakiś kocur wyczuwający kotkę!

- Zaraz, zaraz, poczekaj chwileczkę, Lulu. Wszedłem tutaj, a ty byłaś rozłożona jak kanapka z pomidorem czekająca, aby ją posolić i popieprzyć, i jeszcze oczekujesz, żebym to ja się zastanowił! Mogłaś na chwilę zamknąć nogi, chyba wiesz!

- Ja, ja, zawsze ja! - wyła Lula. - Sypiasz ze mną od sześciu lat, a ile to razy pomyślałeś o tym wcześniej? Ha? Odpowiedz mi na to pytanie, Harley! To ja zawsze muszę o tym myśleć. No cóż, mam już tego dosyć! Chciałabym, abyś pomyślał chociaż raz i potraktował mnie jak damę, którą jestem, i nie śpieszył się tak bardzo, zamiast skakać na mnie i parzyć się jak niedźwiedź!

- Niedźwiedź! A więc teraz jestem niedźwiedziem!

- Nie zmieniaj tematu, Harley. Powiedziałam, że chcę wiedzieć, co zamierzasz z tym zrobić, i żądam odpowiedzi!

- Odpowiedzi! U diabła, skąd mam wziąć odpowiedź?

Lula już wcześniej zastanawiała się trochę nad tym i doszła do wniosku, że Harley Overmire jest lepszy niż nic. Oprócz tego, tak naprawdę nie był najgorszy w łóżku. I przynajmniej jej dziecko będzie miało staruszka. Lula zwinęła cztery palce i przyjrzała się uważnie swojemu lakierowi do paznokci, jednocześnie sugerując:

- Mógłbyś zostawić Mae i ożenić się ze mną.

- Zostawić Mae!

Lula pozbyła się nagle nonszalancji i przyjęła nadąsany wyraz twarzy.

- No cóż, co ona w końcu dla ciebie znaczy. Nigdy nawet z nią tego nie robisz. Sam mi tak powiedziałeś!

- Jest matką moich dzieci, Lula.

- Och. - Lula delikatnie poklepała się po piersi. - A kim ja jestem?

Harley nie potrafił nic wymyślić na poczekaniu.

- Kim ja jestem, ha, Harley? Jedno twoje dziecko rośnie we mnie właśnie teraz, ale ponieważ Mae jest matką twoich dzieci, może chciałaby dodać i je do swojej kolekcji, ha? Co powiesz na ten temat? Co, a może mam ją odwiedzić i przypadkiem napomknąć: „Och, Mae, będę miała bachora z twarzą małpy i chętnie dołączę go do twojego przychówku w przyszłym roku w lato”. Co o tym sądzisz, Harley? Czy to ci odpowiada?

- Lula, bądź rozsądna...

- Bądź rozsądna! Bądź rozsądna, mówi, kiedy to ja jestem osobą, której grozi hańba, a on odejdzie sobie i będzie się bujał na fotelu na werandzie ze swoją Mae i ze swoimi ślubnymi dziećmi. Bądź rozsądna? Pokażę ci mój rozsądek, Harley. Jak ci się spodoba takie rozsądne postępowanie? Dwa miesiące. Dwa miesiące i moja ciąża zacznie być widoczna, a przedtem chcę jednej z dwóch rzeczy: albo twoje nazwisko na świadectwie zawarcia małżeństwa obok mojego, tak abym wiedziała, że dzieciak będzie zabezpieczony na resztę życia, lub dziesięć tysięcy dolarów w banku na moje nazwisko.

- Dziesięć tysięcy dolarów!

Zwracając się do ukośnego lustra na ścianie w salonie, Lula otworzyła usta i dotknęła każdego kącika palcem. Poglaskała upięte i polakierowane włosy i dodała jak gdyby po namyśle:

- Lub mogłabym zaproponować Mae, że je wychowa, i moje zmartwienia się zakończą. - Odwróciła się do Harleya i zamigotała czarnym i wiśniowym kolorem. - No cóż...

- Rozłożyła ręce - i tak nigdy nie dbałam o jakieś brzydkie bachory.

Nie była to dobra jesień dla Harleya Overmire'a. Lula nie dawała mu spokoju. Zarabiał teraz duże pieniądze w tartaku - pewnie - ale prędzej będzie zimno w piekle, niż wręczy dziesięć tysięcy dolarów takiej wywłóce jak ona. Prawie wydrapała mu oczy, gdy zasugerował, aby poszukała lekarza i pozbyła się dzieciaka. Ale co było jeszcze gorsze, zaczęła dawać mu się we znaki w domu, dzwoniąc do niego w środku nocy, w czasie śniadania, pytając o osobę z jakimś zmyślonym nazwiskiem, jeśli Mae akurat podniosła słuchawkę.

Pojawiła się kiedyś w tartaku o dziewiątej wieczorem, kiedy właśnie wychodził, aby mu przypomnieć, że zostały mu tylko cztery tygodnie. Niech więc wybierze - małżeństwo lub pieniądze. Kiedy minął jeszcze jeden tydzień i nic nie zmierzało do rozwiązania tej sytuacji, naprawdę zadzwoniła do Mae, podając jej prawdziwe nazwisko, i później powiedziała mu o tym.

- Rozmawiałam dzisiaj z Mae.

- Co zrobiłaś?

- Rozmawiałam dzisiaj z Mae. Zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że zbieram na Czerwony Krzyż i zastanawiam się, czy nie miałyby jakichś darów do paczek. Powiedziała, że owszem ma guziki, mydło i lekarstwa - mogę więc wpaść i zabrać je w każdej chwili i tak właśnie uczyniłam.

- Nie zrobiłaś tego!

- Ależ oczywiście, że zrobiłam. Poszłam tam od razu, podeszłam do twoich frontowych drzwi i zapukałam, a Mae odpowiedziała i pogawędziłyśmy sobie bardzo miło.

- Niech cię diabli, Lula...

Lula przybrała chytry wyraz twarzy.

- Widzisz, jakie to jest łatwe, Harley?

Harley dostał wrzodów żołądka. Bóle brzucha wzmogły się pewnej nocy, kiedy przyszedł do domu i przejrzał pocztę. Odkrył, że Lula bezczelnie poleciła lekarzowi z Calhoun przysłać rachunek bezpośrednio do domu Harleya. Kiedy Mae zapytała, za co był ten rachunek, powiedział, że ktoś miał wypadek w tartaku i rachunek przyszedł pomyłkowo do domu.

Jednak nadal go codziennie nękała. Zaczął ją nienawidzić, zastanawiając się przede wszystkim, co kiedyś w niej widział. Była bezczelna, tępa i uparta jak osioł. Pomyśleć tylko, że jego małżeństwo jest zagrożone przez taką zdzirę jak ona.

W pracy Harley był roztargniony, a w domu nerwowy. Gdziekolwiek indziej zachowywał ostrożność. Ta przeklęta kobieta mogła pojawić się wszędzie, mówiąc lub robiąc

coś nierozważnego, co tylko jej przyjdzie do głowy.

Zatkało go, kiedy zaczepiła jego najstarszego chłopca Neda. Gdy wracał pewnego dnia ze szkoły, zaciągnęła go do kawiarni pana Vickery i dała za darmo lody. Później miała jeszcze tyle tupetu, aby powiedzieć Harleyowi, co zrobiła. Na koniec dodała swoim słodkim głosem, jednocześnie machając brzydkimi żółtymi włosami:

- Ostatnio nie bywasz zbyt dużo, Harley, i nie wiesz, co się dzieje... A ten twój chłopiec wygląda coraz lepiej i to z dnia na dzień. Jego twarz mniej przypomina twarz małpy i jest coraz wyższy. Ile ma teraz lat, Harley? Czternaście? Może piętnaście?

Groźba ta była tak widoczna, jak lakier na jej lokach, i była to ostatnia kropla. Kiedy zaczepiała dzieci, nadszedł czas, aby położyć temu kres.

Harley zaplanował wszystko bardzo starannie. Prezentem, jaki położy Luli pod choinką, zamknie jej na pewien czas usta, a zrobi to zaraz po świętach.

Wszystko się uda. Znał Lulę i wiedział, czego pragnie najbardziej na świecie, i wszystko pójdzie, jak należy. Był głuchy, głupi i ślepy przez ostatnich kilka lat. Mężczyźni w tartaku żartowali sobie ordynarnie z tego, jak Lula robi podchody wokół Parkera, jak puszcza do niego oko z kawiarni i nawet lata za nim otwarcie w bibliotece. Jednak mówiono, że Parker nigdy się z nią nie zadawał, tak więc Lula nadal będzie miała na niego chrapkę.

Parker. Samo nazwisko irytowało Harleya. Parker i jego Purpurowe Serce. Parker, bohater, gdy tymczasem naigrawano się z Harleya Overmire'a za jego plecami i oskarżano, że specjalnie odciął sobie palec, aby wymigać się od pójścia do wojska. Nikt nie odgadłby nawet, jakiej odwagi potrzeba, aby przejechać sobie po ręce ostrzem piły! I oprócz tego ktoś musiał zostać w domu i robić skrzynki do tych wszystkich karabinów i amunicji.

A więc myślisz, że jesteś bohaterem, co, Parker? Kuśtykasz w mieście o kulach i paradujesz wokół placu w tym swoim eleganckim mundurze, tak aby wszyscy padli na kolana i powiewali sztandarami? No cóż, nie podobałeś mi się od razu już za pierwszym razem, kiedy cię spostrzegłem, ty zabójco, i teraz wcale nie podobasz mi się bardziej. Może nie udało mi się za pierwszym razem wykurzyć cię z miasta, ale teraz się uda. I tym razem zrobi to za mnie prawo.

Trzy noce zajęło Harleyowi przeszukanie pojemników ze śmieciami z biblioteki w tylnej uliczce. Znalazł doskonale przedmioty, którymi zamierzał ją udusić: kawałek wyrzuconego gałganka z łatwym do zidentyfikowania kurzem bibliotecznym i cytrynowym płynem do czyszczenia.

Kiedy już rzeczy te znalazły się w jego posiadaniu, Harley przygotował starannie list,

wycinając bardzo duże słowa i litery z gazet. Przykleił je na stronie z ogłoszeniami z „Atlanta Constitution”. Żadnej papeterii, którą można by zidentyfikować, żadnych odcisków palców.

SPOTKAJ SIĘ ZE MNĄ PRZY TYLNYCH DRZWIACH OD BIBLIOTEKI WE
WTOREK O 11 WIECZOREM W.P.

Wysłał to w używanej kopercie po rachunku za prąd, adresując ją odpowiednio - wycinając ostrzem brzytwy stary adres i wpasowując w tym miejscu nowy.

Kiedy Lula dostała liścik, podarła go na cztery części i klęła jak robotnik portowy. Figa z makiem, Parker, i to po tym, jak mnie uderzyłeś i nazwałeś dziwką! Idź i powieś się!

Jednak Lula była Lulą. Im dłużej myślała o Willu Parkerze, tym bardziej była roznamiętniona. Duży zły chłopak. Duży i twardy marines. Co za ramiona, nogi, co za dąsy. Podobał jej się ten nadąsany wyraz twarzy i milczenie, gdy się zamyślił. Poza tym otrzymała już próbkę jego temperamentu, a jeśli wybuchał w podobny sposób w środku zabaw w łóżku - oooo - ee! Wtedy na długo to zapamięta! Nauczyła się jeszcze jednej rzeczy - mężczyźni, którzy mieli długie płatki ucha, przeważnie takie mieli też i inne sprawne narządy, a płatki ucha Parkera, prawdę mówiąc, nie były miniaturowe.

Nie minęła dziewiąta we wtorek w nocy, a Lula sklejała podarty liścik. O dziewiątej trzydzieści czuła się, jak gdyby ktoś wsadził jej w majtki kawałek rozgrzanego żelaza. Przed dziesiątą była w wannie pełnej piany, przygotowując się.

Harley Overmire siedział skulony na zimnym grudniowym deszczu. Miał dość dużo szczęścia: w stanach na wybrzeżu nadal obowiązywało zaciemnienie. Nie było światła w oknach. Nikt nie przebywał na ulicach po dziesiątej, chyba że miał na to pozwolenie.

Chodź już, Lulu. Jest mi zimno i mokro i chcę już pójść do domu i położyć się do łóżka.

Tylne drzwi biblioteki znajdowały się kilka metrów nad jego głową, wychodziły na wysokie strome schody z żelazną poręczą. Słyszał, jak Parker zamyka drzwi na klucz i wychodzi, od tej pory minęło już dobre pół godziny, a on siedział nieruchomo na drzewie tak jak snajper, nadsluchując, jak Parker schodzi, szurając nogami po schodach, później słyszał, jak zapala samochód i odjeżdża bez włączonych światła.

Teraz Harley zeskoczył, założył czarną impregnowaną kurtkę i stary kapelusz filcowy z zawiniętym owalnym rondem. Czuł, jak deszcz sączy się przez dziurę w jego rękawie. Skrzyżował ramiona, czując chłód betonu, do którego przyciśnięty był plecami, i słuchał, jak deszcz ścieka z okapów na uliczkę poniżej. Trzymał w pięści szmatę zgniecioną w twardy

węzeł.

Kiedy usłyszał kroki Luli, serce zaczęło mu walić jak serce szopa uciekającego przed sforą psów. Wysokie obcasy - klik... klik... klik... prawdopodobnie pantofle nie były zakryte, ponieważ gdy weszła w kałużę, przekłęła. Czekał, aż wejdzie na trzeci schodek, a następnie szybko wślizgnął się na schody i poszedł za nią.

Planował, że zrobi to w szybki, czysty i anonimowy sposób, jednak wilgotna szmata była stara, zbutwiała i podarta, a ona wrywała się i zobaczyła jego twarz.

- Harley... nie rób tego... pro...

I musiał skończyć własnymi rękami.

Nie przewidział, że zobaczy wstrząs i przerażenie na jej twarzy ani też groteskowość agonii. Jednak zaciemnienie nie było na tyle całkowite, żeby to ukryć. A Lula walczyła, opierała się dłużej i silniej niż, jak się zdawało, może walczyć kobieta jej postury.

Kiedy w końcu poddała się, Harley, zataczając się, zszedł po schodach i przywarł do ściany biblioteki.

ROZDZIAŁ 21

- Pewnego dnia pod koniec grudnia Elly pracowała w kuchni, kiedy nagle zobaczyła, jak Reece Goodloe zatrzymuje na podwórku zakurzonego czarnego plymoutha z urzędowym napisem na drzwiach SZERYF. Sprawował ten urząd tak długo, jak Elly mogła tylko sięgnąć pamięcią, ponieważ kiedyś to on przyszedł zapukać do drzwi domu Alberta See, zmuszając go, aby pozwolił wnuczce iść do szkoły.

Reece bardzo przytył w ciągu ostatnich lat. Jego brzuch podskakiwał jak balon, gdy podciągał spodnie, podchodząc drogą. Miał rzadkie włosy, rumianą twarz i duże nozdrza. Chociaż był brzydki, Elly lubiła go. To on przyczynił się do wyrwania jej z tamtego domu.

- Dzień dobry, panie Goodloe - powitała go z ganku, zakładając zrobiony na drutach sweter.

- Dzień dobry, pani Parker. Jak minęły święta Bożego Narodzenia?

- Cudownie. A jak pan je spędził?

- Wspaniale, tak, miałem wspaniałe święta. - Goodloe pilnie przyjrzał się polance, ogród był ładnie posprzątany na zimę, nie było już stosów żelastwa. Wszystko bez wątpienia wyglądało tutaj inaczej, odkąd umarł Glendon Dinsmore.

- Ładnie wygląda pani gospodarstwo.

- Tak, dziękuję. Will miał tu największy udział.

Goodloe nie śpieszył się, rozglądał się wokół, zanim zapytał:

- Czy mąż jest tutaj, pani Parker?

- Jest w szopie i maluje nadstawki do uli, przygotowuje wszystko na wiosnę.

Goodloe oparł but na dolnym schodku.

- Czy może go pani przyprowadzić, pani Parker?

- Coś się stało, szeryfie? - Elly zmarszczyła czoło.

- Muszę po prostu porozmawiać z nim o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce w mieście ubiegłej nocy.

- Och... tak, oczywiście. - Z wysiłkiem zdobyła się na uśmiech. - Przyprowadzę go.

Gdy szła przez podwórko, miała pierwsze złe przeczucia. Coś ścisnęło ją w gardle. Czego chciał od Willa? Była pewna, że to sprawa należąca do szeryfa. Jego niby to swobodna pogawędka w oczywisty sposób była tylko przykrywką dla jakiegoś urzędowego zlecenia. Jednak o co mogło chodzić? Zanim doszła do otwartych drzwi szopy, obawy były widoczne na jej twarzy.

- Will?

Will, który akurat trzymał w ręku pędzel, wyprostował się i obrócił, i od razu było widać, że ta wizyta sprawiła mu przyjemność.

- Tęskniłaś za mną, prawda?

- Will, przyjechał tutaj szeryf i szuka ciebie.

Jego uśmiech przygasł, aż w końcu znikł zupełnie.

- O co chodzi?

- Nie wiem. Chce, żebyś przyszedł do domu.

Will zamarł w bezruchu na pełnych dziesięć sekund, a następnie uważnie położył pędzel na wieczku puszki, podniósł szmatkę i zwilżył ją terpentyną.

- Chodźmy. - Wycierając ręce, poszedł za nią.

Z każdym krokiem Elly czuła, jak coraz bardziej ściska ją w gardle, coraz bardziej się boi.

- Czego on może chcieć, Will?

- Nie wiem, ale, jak sędzę, za chwilę się dowiemy.

Niech to nie będzie nic poważnego, modliła się cicho, niech to będzie gaźnik do zakurzonego czarnego plymoutha, a może Will umieścił swą reklamę na terenie należącym do hrabstwa lub potrzebne są krzesła z biblioteki na zabawę. Niech to będzie coś głupiego.

Spojrzała na Willa. Szedł niespiesznie, ale bez wahania, a jego twarz nic nie ujawniała. Miała wyraz „nie daj po sobie poznać, o czym myślisz”, czym Elly była o wiele bardziej zmartwiona, niż gdyby zmarszczył czoło.

Szeryf Goodloe czekał obok swojego plymoutha z ramionami skrzyżowanymi na wystającym brzuchu. Opierał się o przedni błotnik. Will zatrzymał się przed nim, wycierając ręce w szmatkę.

- Dzień dobry, szeryfie.

Goodloe skinął głową.

- Czym mogę panu służyć?

- Mam kilka pytań.

- Stało się coś złego?

Goodloe nie zamierzał odpowiadać.

- Czy pracował pan w bibliotece wczoraj wieczorem?

- Tak, proszę pana.

- Zamknął ją pan tak jak zwykle?

- Tak, proszę pana.

- O której godzinie?

- O dziesiątej.

- Co zrobił pan później?

- Przyjechałem do domu i poszedłem spać, dlaczego pan o to pyta?

Goodloe spojrział na Elly.

- Była więc pani wtedy w domu, pani Parker.

- Oczywiście, że tak. Mamy rodzinę, szeryfie. Po co ta indagacja?

Goodloe zignorował ich pytania i rozprostował ręce, przyjmując poważną postawę, a następnie zadał pytanie:

- Zna pan kobietę nazwiskiem Lula Peak?

Will poczuł, że uginają się pod nim kolana, a lęk podchodzi mu do gardła. Ukrywając, że się martwi, wetknął szmatkę do tylnej kieszeni.

- Wiem, kim ona jest. Jednak wyrażając się ściśle, nie powiedziałbym, że ją znam, co to to nie.

- Widział ją pan zeszłej nocy?

- Nie.

- Nie przyszła do biblioteki?

- Nikt nie przychodzi do biblioteki wtedy, gdy tam jestem. Pracuję po godzinach otwarcia.

- Nigdy nie przychodziła tam... po godzinach?

Will ściągnął usta i zaczęła drzeć mu szczęka, ale patrzył prosto na Goodloe.

- Kilka razy przyszła.

Elly spojrzała ostro na Willa. Kilka razy? Miała wrażenie, że wszystko w żołądku podchodzi jej do gardła, kiedy szeryf powtarzał te pytania jak litanie.

- Kilka razy. Kiedy to było?

Will skrzyżował ramiona i stał z szeroko rozstawionymi nogami.

- Jakiś czas temu.

- Czy mógłby pan wyrażać się ściślej?

- Kilka razy przed służbą wojskową, raz od czasu, kiedy wróciłem do domu. Chyba to było w sierpniu.

- Zaprosił pan ją tam?

Znowu Will zeszywniał, wysunął do przodu szczękę, ale opanował się zupełnie i odpowiedział spokojnie:

- Nie, proszę pana.

- A więc co ona tam robiła?

Will miał pełną świadomość, że Elly patrzy na niego osłupiała. Jego głos złagodniał, gdy mówił z zakłopotaniem:

- Myślę, że może pan odgadnąć jako mężczyzna.

- Moja praca nie polega na odgadywaniu, Parker. Do mnie należy zadawanie pytań i egzekwowanie odpowiedzi. Co Lula Peak robiła w sierpniu w bibliotece po godzinach otwarcia?

- Jak sądzę, chciała, żebym się z nią przespał. - Will, odpowiadając, spojrzał prosto w oczy zaszokowanej żony.

- Will... - upomniała go cicho, a jej oczy były okrągłe z przerażenia.

Ponieważ szeryf oczekiwał wymijającej odpowiedzi, przez chwilę czuł się zakłopotany otwartością Willa.

- No cóż... - Przeciągnął ręką z tyłu po szyi, zastanawiając się, o co teraz zapytać. - A więc przyznaje to pan?

Will przestał patrzeć na Elly, udzielając odpowiedzi.

- Przyznaję, że wiem, na co miała ochotę, a nie, że dostała to, czego chciała. Taka kobieta poluje jak kotka i nie stara się nawet, aby to ukryć.

- Tak więc ona... polowała na pana, prawda?

Will przełknął ślinę, nie śpieszył się z odpowiedzią i wypowiadał słowa cicho i z niechęcią.

- Sądzę, że można by to tak nazwać.

- Will - powtórzyła Elly w otępieniu spowodowanym tą niespodziewaną wiadomością.
- Nigdy nie mówiłeś mi o tym. - Wszystko trzęsło się w niej w środku i było jej gorąco.

Znowu zwrócił na nią spojrzenie piwnych oczu, uzbrojony jedynie w prawdę.

- Ponieważ to zupełnie nic nie znaczy. Spytaj pannę Beasley, czy kiedykolwiek miałem coś wspólnego z tą kobietą. Powie ci, że nie.

- Panna Beasley widziała Lulę... powiedzmy, że... ach, chodzącą za panem? - wtrącił szeryf.

Will spojrzał znowu na mężczyznę w mundurze.

- Czy jestem o coś oskarżony, szeryfie? Jeśli jestem, mam prawo wiedzieć. A jeśli ta kobieta oskarża mnie o coś, to wierutne kłamstwo. Nigdy jej nawet nie tknąłem.

- W naszych aktach jest odnotowane, że odsiedział pan karę w więzieniu w Huntsville za zabójstwo. Czy zgadza się?

Will czuł, jak w środku robi mu się niedobrze, ale na zewnątrz zachował stoicki spokój.

- Zgadza się. Odsiedziałem swój wyrok i zostałem zwolniony.

- Trafił tam pan za zabicie znanej prostytutki.

Will zacisnął zęby i nic nie powiedział.

- Pani wybaczy. - Szeryf zmarszczył brwi, zerkając na Elly. - Ale nie ma sposobu, żeby uniknąć tych pytań. - Zwrócił się do Willa: - Czy kiedykolwiek utrzymywał pan stosunki seksualne z Lulą Peak?

Will stłumił gniew, który nim owładnął, i odpowiedział tylko:

- Nie.

- Czy wiedział pan, że jest w czwartym miesiącu ciąży?

- Nie.

- A więc dziecko, którego oczekiwała, nie jest pańskie?

- Nie!

Szeryf sięgnął do samochodu i wyjął paczkę owiniętą w celofan.

- Czy widział pan to wcześniej?

Stojąc sztywno, Will spojrzał i zbadął wzrokiem zawartość przezroczystej paczki, nie dotykając niczego.

- Wygląda jak ścierka do kurzu z biblioteki.

- Czyta pan regularnie gazety, prawda?

- Gazety. Co gazeta...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Tak, co wieczór, kiedy mam przerwę w pracy w bibliotece. Czasami przynoszę do domu wycofane egzemplarze.

- Co czyta pan najczęściej?

- Po co, u diabła...

- Co, Parker?

Will czuł się coraz bardziej zdenerwowany. Złość sprawiła, że się zarumienił.

- Nie wiem. U diabła...

- „The New York Times”?

- Nie.

- A więc co?

- Po co te pytania, Goodloe?

- Proszę odpowiedzieć.

- Dobrze, myślę, że „Atlanta Constitution”.

- Kiedy ostatni raz widział pan Lulę Peak?

- Nie pamiętam.

- Proszę sobie przypomnieć.

- Na początku tego tygodnia... nie, było to w zeszłym tygodniu, może w środę lub we wtorek. Chryste, nie pamiętam, ale było to wtedy, kiedy jechałem do pracy. Zamykała kawiarnię, a ja przejeżdżałem tamtędy po drodze do biblioteki.

- I nie widział jej pan od zeszłego tygodnia, od wtorku czy od środy?

- Tak jest.

- Ale przyznaje pan, że poszedł do pracy tak jak zwykle i skończył ją około dziesiątej?

- Nie około. O dziesiątej. Zawsze wychodzę dokładnie o dziesiątej.

Goodloe wyprostował się, patrząc wprost na twarze Willa i Elly.

- Lula Peak została uduszona zeszłej nocy na tylnych schodach biblioteki. Koroner twierdzi, że zgon nastąpił pomiędzy godziną dziewiątą a północą.

Wiadomość ta podziałała na Willa jak uderzenie pięścią w splot słoneczny. W ciągu kilku sekund zlodowaciał, choć przedtem było mu gorąco, zbladł, choć wcześniej był zarumieniony. Nie, nie ja, nie tym razem. Zapłaciłem za swoją zbrodnię. Zostawcie mnie w spokoju. Zostawcie mnie i moją rodzinę w spokoju. Gdy wewnątrz narastało w nim uczucie niezdrowego lęku, stał nieruchomo, zdając sobie sprawę, że może zareagować w niewłaściwy sposób i zostanie to źle odczytane. Drżał mu brzuch, ręce były wilgotne, gardło suche. W tej krótkiej strasznej chwili, kiedy szeryf podał tę nieoczekiwaną wiadomość, różne przelotne myśli i wrażenia opanowały jego wyobraźnię. Dotyczyły rzeczy, które najbardziej cenił - Elly, dzieci, życia, jakie zbudowali, domu, stabilizacji finansowej, przyszłości, szczęścia. Na samą myśl, że może to stracić w niesprawiedliwy sposób, ogarniała go rozpacz. Ach, Jezu, co trzeba zrobić, aby zdobyć takie rzeczy... na zawsze? Uderzyła go ironia tej sytuacji, bo oto walczył i przeżył tę potworną wojnę tylko po to, by wrócić do domu i aby to go spotkało. Pomyślał o tym wszystkim, co przeżył - o swym sieroctwie, o latach samotnej włóczęgi, odsiadce wyroku, dniach głodu, poniżeniu i drwinach. I wszystko to po co? Wściekłość i rozpacz otoczyła go, chciał walić pięściami, bić się, przeklinać nieczuły los, który raz po razie uderza w Willa Parkera, zadaje mu ciosy.

Jednak nic z tego, co czuł i myślał, nie było widać na jego twarzy. Z wysuszonym gardłem, z twarzą pozbawioną wyrazu zapytał:

- A pan myśli, że to zrobiłem?

Szeryf wyciągnął drugą paczkę w celofanie, która zawierała wycinki gazety i list.

- Mam dość przekonujące dowody, Parker, poczynając od tych tutaj.

Will spojrzał na obciążający list, następnie znowu na pana Goodloe, wyjął mu paczkę

z rąk i przeczytał wiadomość. Zalała go fala nienawiści - do Luli Peak, która już niczemu nie zaprzeczy, do osoby, która ją wykończyła i na niego zwała winę, do tego strażnika z wystającym brzuchem, który był zbyt głupi, aby rozsądnie myśleć i widzieć coś poza końcem swojego głupiego nosa.

- Trzeba nie mieć rozumu, zostawiając tak oczywiste ślady i oczekując, że ujdzie to na sucho.

Elly słuchała z coraz większym przerażeniem, stała jak gdyby była zahipnotyzowana widokiem jadowitego węża podpełzającego coraz bliżej i bliżej. Kiedy Will oddawał paczkę, przejęła ją.

- Niech pan mi pozwoli spojrzeć.

SPOTKAJ SIĘ ZE MNĄ PRZY TYLNYCH DRZWIACH BIBLIOTEKI O 11 W NOCY WE WTOREK W.P. Gdy stała, czytając, drzwi kuchenne otworzyły się i Tomcio zawołał z ganku:

- Mamo, Lizzy znowu się zsikała!

Elly nic nie słyszała poza gorączkowym biciem własnego serca, nie widziała niczego poza liścikiem i inicjałami W.P. Ogarnęło ją przerażenie. Och, Boże, nie. Nie Will, nie mój Will.

- Mamo! Chodź tu i zmień Lizzy majtki.

Zacisnęła palce na brzegu celofanu tylko dlatego, żeby się czegoś trzymać, czegoś, co pozwoliłoby uzyskać równowagę, ponieważ wszystko wirowało w jej oczach. Słyszała w myślach, jak niedawno Will przyznawał się do rzeczy, których życzyłaby sobie teraz nigdy nie słyszeć... Zwykliśmy chodzić do burdelu w La Grange... Ja nie byłem wybredny, brałem tę, która była wolna... Sięgnąłem po butelkę... Upadła jak ścięte drzewo i prawie w ogóle nie leciała jej krew, tak szybko umarła...

Na chwilę Elly zamknęła oczy, tłumiąc łzy; nie mogła zwalczyć lęku, który zaatakował ją tak nagle. Czy to było możliwe? Czy mógł to zrobić jeszcze raz? Otworzyła oczy i patrzyła na swoje kciuki; spuchły pod wpływem szoku.

Will patrzył, jak miotają nią różne uczucia. Patrzył, jak walczy, żeby się opanować, traci i odzyskuje opanowanie. Kiedy podniosła oczy, zobaczył, że jest blada jak płótno.

- Will...?

Chociaż wypowiedziała tylko jego imię, to jedno słowo zakłuło go jak zardzewiałe ostrze wbite prosto w serce.

Och, Elly, Elly, tylko nie ty. Oni wszyscy mogli sobie myśleć, co tylko chcieli, ale ty jesteś żoną, kobietą, którą kocham. Dałaś mi siłę, żeby się zmienić, poprawić, walczyć, żyć,

marzyć. A teraz myślisz, że jestem zdolny do podobnej rzeczy?

Mając życie tak pełne rozczarowań, powinien się do nich przyzwyczaić. Jednak nic - nic nigdy nie poniżyło go tak bardzo jak ta chwila. Stał przed nią pokonany, żałując, że nie znalazł się w okopie ziemnym razem z Rudzielcem, życząc sobie, by nigdy nie trafił na tę polankę i nie spotkał kobiety, która teraz przed nim stała i sprawiła, że zaczął żywić jakieś złudne nadzieje.

Na ganku trzasnęły drzwi i Tomcio zawołał:

- Mamo, czy stało się coś złego?

Elly nie usłyszała go.

- W... Will? - wyszeptała znowu z szeroko otwartymi oczami, ze ściśniętym i rozpalonym gardłem.

Dotknięty do żywego odwrócił się.

Szeryf sięgnął do pasa po kajdanki i przemówił rozkazująco:

- Williamie Parkerze, moim obowiązkiem jest poinformować pana, że jest pan aresztowany za morderstwo Luli Peak.

Straszna rzeczywistość zaatakowała Elly z pełną siłą. Łzy pojawiły się w szeroko otwartych przerażonych oczach i przycisnęła pięść do ust. Wszystko to zdarzyło się tak szybko - szeryf, oskarżenie, kajdanki! Widok kajdanek sprawił, że Elly znowu poczuła rozdzierający serce ból.

W tej chwili Tomcio pojawił się za swoją matką.

- Mamo, co tutaj robi szeryf?

Mogła tylko stać i przyglądać się, niezdolna do udzielenia jakiegokolwiek odpowiedzi.

Will wiedział, czym są bolesne wspomnienia z dzieciństwa, i nie chciał, aby Tomcio miał podobne. Gdy szeryf pociągnął go za lewą rękę i zatrzasnął kajdanki, Will poprosił cicho:

- Zajmij się Lizzy R, synu. - Stał tam odrętwiały, czekając na drugi metaliczny brzdęk, kurcząc się w środku, myśląc: Niech cię diabli, Goodloe, przynajmniej mógłbyś poczekać, dopóki chłopiec nie wróci do domu!

Jednak chłopiec obejrzał zbyt wiele filmów kowbojskich, aby błędnie ocenić, co się dzieje.

- Mamo, czy on zabiera Willa do więzienia?

Zabiera Willa do więzienia? Elly nagle otrząsnęła się z odrętwienia i poczuła wściekłość.

- Nie może pan tak po prostu... po prostu zabrać go!

- Będzie w więzieniu stanowym w Calhoun, dopóki nie odbędzie się pierwsza rozprawa.

- Ale co będzie...

- Może przydać mu się kurtka, proszę pani.

Kurtka? Nie mogła prawie myśleć, w głowie wszystko wirowało jej gorączkowo i coś mówiło: Zatrzymaj go jakoś! Zatrzymaj go! Jednak nie wiedziała, jak to zrobić, nie знаła swoich praw ani praw Willa. Łzy spływały po policzkach Elly, gdy stała tak beczynn timerze oniemiała.

- Mamo... - Tomcio też zaczął płakać. Podbiegł do Willa, złapał go kurczowo w pasie.

- Will, nie odchodź.

- Słuchaj, chłopcze, lepiej zrobisz, jeśli pójdziesz do domu. - Szeryf odciągnął dziecko.

Tomcio złapał go rączkami, bujając się w powietrzu i okładając obiema piąstkami.

- Nie możesz zabrać Willa! Nie pozwolę ci! Zostaw go!

- Niech pani zabierze dziecko do domu, pani Parker - rozkazał półszepcimerze szeryf.

Tomcio walczył jak lwiatko, kopiąc i niwecząc wysiłki, aby go uspokoić lub oderwać od Willa.

- Wsiadaj do samochodu, Parker.

- Jeszcze minutę, szeryfie, proszę... - Will przyklęknął na jednym kolanie i Tomcio rzucił się mu na szyję.

- Will... Will... on nie może cię zabrać, prawda? Jesteś dobrym człowiekiem tak jak Hopalong.

Will przełknął ślinę i podniósł błagalne spojrzenie na szeryfa.

- Niech pan zdejmie kajdanki na chwilę, proszę. - Goodloe wziął głęboki krótki oddech i spojrzał na Eliy ogłupiały. Widząc to wahanie, Will wybuchnął gniewem: - Nie ucieknę nigdzie, Goodloe, i pan o tym wie! - Szeryf rzucił roztargnione spojrzenie na chłopca, który szlochał przytulony do szyi Willa, i kierując się zdrowym rozsądkiem, uwolnił jeden z nadgarstków Willa. Will objął Tomcia, a metalowe kajdanki zwiisały wzdłuż wąskich pleców chłopca. Zamknął oczy i trzymał kurczowo małe ciało, mówiąc cicho we włosy Tomcia: - Tak, masz rację, mój mały. Jestem dobrym człowiekiem, tak jak Hopalong. Zapamiętasz to, prawda? I jeszcze pamiętaj, że cię kocham. A kiedy Donald Wade wróci do domu ze szkoły, powiedz mu, że i jego także kocham, dobrze?

Na chwilę odsunął Tomcia od siebie, otarł zalaną łzami twarzyczkę palcami wolnej ręki.

- A teraz bądź grzeczny, idź do domu i pomóż mamie zająć się Lizzy. Zrobisz to dla swojego starego Willa, dobrze?

Tomcio skinął potulnie, siedząc na kolanie Willa i patrząc na ziemię. Will odwrócił go i lekko popchnął w plecy.

- A teraz już idź.

Tomcio przebiegł koło matki, łkając, a chwilę później zatrzasnęły się za nim drzwi. Elly patrzyła przez łyzy, jak Will wstaje. Wszystko rozmazywało się przed jej oczami. Z kamienną twarzą dobrowolnie wyciągnął za siebie obie ręce i pozwolił, żeby szeryf zapiął kajdanki raz jeszcze.

- Will, och, Will, co, och, Boże... - Elly poruszyła się wreszcie, a jej słowa i ruchy stały się gwałtowne. Rzuciła spojrzenia jak obłąkana, wyciągając rękę, idąc błędnie jak dzikie zwierzę po raz pierwszy wsadzone do klatki, nie w pełni rozumiejące jeszcze, że nie może niczego zmienić. - Szeryfie... - Dotknęła jego rękawa, ale zlekceważył tę prośbę. Nagle zwróciła się do męża: - Will... - Złapała go, kurczowo trzymając się koszuli, przyciskając mokry policzek do suchego policzka. - Will, nie mogą cię za... zabrać!

Wyprostowany patrzył przed siebie i powiedział zimno:

- Chodźmy.

- Nie, czekaj! - Elly wołała zdenerwowana, zwracając się od jednego do drugiego mężczyzny. - Szeryfie, czy nie może pan, co się z nim stanie, poczekać, przyniosę kurtkę...

Pobiegła do domu, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby zrobić, wróciła w panice, aby stwierdzić, że obaj mężczyźni są już w samochodzie. Próbowwała otworzyć tylne drzwi, ale były zamknięte, a szyby podniesione.

- Will! - krzyczała, przyciskając kurtkę do szyby, już teraz uświadamiając sobie, co spowodowało, że zachowuje się z taką zimną obojętnością, już skruszona, odczuwająca potrzebę, aby zrobić coś, aby pokazać, że się śpieszy i reaguje bez zastanowienia.

- Przyniosłam ci kurtkę! Proszę, weź ją! - Jednak on nie patrzył na nią, gdy przycisnęła drelich do szyby.

- Dobrze, ja to wezmę - powiedział szeryf i przeciągnął ją przez okno. Wręczył w zamian szmatkę po farbie, którą Will wcześniej wycierał ręce. - Najlepszą rzeczą, jaką może pani zrobić, pani Parker, jest postarać się o prawnika. - Wrzucił bieg.

- Ale ja nie znam żadnych prawników!

- W takim razie dostanie obrońcę z urzędu.

- Ale kiedy mogę go zobaczyć? - zawołała, gdy plymouth zaczął odjeżdżać.

- Kiedy postara się pani o prawnika!

Samochód odjechał, zostawiając Elly z wyciągniętą błagalnie dłonią. Kręciło się jej w głowie od nadmiaru wrażeń.

- Will! - krzyknęła za odjeżdżającym pojazdem. Patrzyła, jak zabiera go, widziała jeszcze głowę męża przez tylne okno. Owinęła palce w śmierdzącą szmatę i zakryła sobie nią usta.

Pochyliła się, wdychając wyziewy terpentyny, zwalczając panikę, wpatrując się z przerażeniem w pustą drogę.

Więzienie znajdowało się w kamiennym budynku stylizowanym na gmach wiktoriański, zaraz za budynkiem sądu, gdzie Will się ożenił. W czasie rejestracji, rewizji, gdy szedł wzdłuż korytarza, gdzie panował pogłós i także wtedy, gdy zimny metaliczny dźwięk rozległ się, gdy zamykano żelazne drzwi, zachował obojętną rezerwę.

Położył się w swojej celi zwrócony twarzą do szarej ściany, wdychając cuchnący odór moczu i środka dezynfekującego. Leżał na poduszce, którą czuć było stęchlizną, i na brudnym materacu. Miał palce poplamione tuszem, skonfiskowano mu pas. W piwnych oczach widniało przygnębienie. Nie chciał myśleć o tym, co stracił. Zastanawiał się, czy zwinąć się w kłębek, ale nie miał siły, żeby to zrobić. Chciał poprosić o jedzenie, ale głód nic nie znaczył, kiedy samo życie nie miało już żadnej wartości, kiedy żona popatrzyła na niego z wątpliwościami w oczach.

Może walczyłby z oskarżeniami - jednak po co miałby to robić? Był zmęczony walką, tak cholernie zmęczony. Miał wrażenie, że walczył całe swoje życie, zwłaszcza przez ostatnie dwa lata - o Elly, o życie, o szacunek, za swój kraj, o swoją własną godność. I właśnie wtedy, gdy uzyskał to wszystko, jedno pytające spojrzenie obróciło to wniwecz. Znowu to samo. Kiedy się wreszcie nauczy? Kiedy wreszcie przestanie myśleć, że kiedykolwiek mógłby znaczyć dla kogoś tyle, ile niektórzy ludzie znaczyli dla niego? Głupiec. Osioł. Głupi sukinsyn. Delektował się znaczeniem tego słowa, wcierał je jak sól w rany, celowo zwiększając jeszcze ból z jakichś niejasnych, niezrozumiałych dla siebie przyczyn - ponieważ pomimo wszystko nie można go było pokochać, ponieważ całe jego życie zdawało się to udowodniać i ponieważ zdawało się, że niekochani tacy jak on znaleźli się na świecie jedynie po to, aby doznawać wszystkich tych krzywd, które w magiczny sposób omijają szczęśliwych i kochanych. Nie mogła go widocznie pokochać, przecież inaczej skoczyłaby w jego obronie bez zastanowienia, tak jak zrobił to Tomcio. Dlaczego? Dlaczego? Czego mu brakowało? Czego więcej musi jeszcze dokonać? Sukinsyn. Parker! Kiedy wreszcie dorośniesz i uświadomisz sobie, że jesteś sam na świecie? Nikt nie walczył w twojej obronie, kiedy się

urodziłeś, nikt nie będzie walczyć też teraz, więc poddaj się. Leż tutaj w smrodzie i zrozum, że jesteś przegrany. Raz na zawsze.

Na polance przed domem na ulicy Rock Creek Eleonora Parker patrzyła, jak na mocy prawa jej mąż wieziony jest do więzienia, i doznała większego przerażenia niż lęk przed własną śmiercią, rozpaczy silniejszej niż ból fizyczny, obwiniła się, miała bardziej przytłaczające wyrzuty sumienia, niż zalecał w tyradach jej straszący ogniem piekielnym i siarką dziadek.

Wiedziała, zanim samochód zniknął za drzewami, że popełniła jeden z najpoważniejszych błędów w życiu. Wszystko to trwało tylko kilka sekund, ale wystarczyło, aby zmrozić Willa. Widziała i odczuła jego rezerwę jak uderzenie w twarz. I była to całkowicie jej wina. Mogła sobie teraz doskonale wyobrazić, jak cierpi, jadąc do miasta z rękami w kajdanach: strapienie i rozpacz, a wszystko to z jej powodu.

Jednak nie była świętą ani aniołem. Dlatego zareagowała w szoku. I kto, u diabła, nie zareagowałby podobnie? Will Parker równie dobrze mógł zabić Lizzy P, jak Lulę Peak, i Elly wiedziała o tym.

Krew Alberta See grożącego ogniem piekielnym i siarką nagle odezwała się w jej żyłach, przecież krążyła tam od jej urodzenia. Teraz przyszedł czas, aby Elly pokazała, na co ją stać, i wystąpiła w obronie słusznej sprawy. I co to była za sprawa - miłość do męża. Zbyt dużo czasu zajęło jej odnalezienie tej miłości, była zbyt szczęśliwa, ciesząc się nią, zmieniła się za bardzo na korzyść pod jej wpływem, aby ją stracić i stracić teraz jego.

Tak więc wyprostowała się, przeklęła sążnięcie i zamieniła przerażenie w energię, rozpacz w upór, a wyrzuty sumienia w obietnicę.

Wyciągnę cię stamtąd, Will. I zanim to się stanie, dowiesz się, że to, co zobaczyłeś w moich oczach przez tę krótką chwilę, nie miało żadnego znaczenia. To było ludzkie, a ja jestem człowiekiem, więc popełniłam błąd. A teraz patrz, jak to wszystko wymażę.

- Tomciu, bierz kurtkę! - krzyczała Elly, zatrzasnąwszy drzwi w domu i idąc szybkimi krokami. - I trzy dodatkowe pieluszki dla Lizzy P. Pobiegnij też do piwnicy i przynieś sześć słoików miodu, nie, osiem, tak na wszelki wypadek! Jedziemy do miasta!

Złapała przydziałowe kartki, skrzynkę po brzoskwiniach na miód, puszkę ciasteczek z mąki owsianej, słoik z resztką zupy, Lizzy (w mokrych majtkach i nie tylko), klucz i podusz-
kę, na której usiadzie przy kierownicy. W ciągu pięciu minut kierownica drżała już w jej rękach, a kciuki miała białe ze strachu. Jednak żaden strach nie powstrzyma teraz Elly.

Jechała samochodem dopiero kilka razy i to wokół podwórka i wzdłuż alejki w sadzie.

O mało co nie złamali sobie karku, gdy zakręcała po raz pierwszy. Była pewna, że zabije dwójkę swoich maleństw, zanim dojedzie do końca drogi. Jednak dojechała bez trudu i zrobiła szeroki zakręt w prawo, nie wpadła do odległego rowu i wjechała na właściwą drogę, nie powodując żadnego wypadku. Spływał po niej pot, ale jeszcze mocniej trzymała kierownicę i jechała! Robiła to dla Willa, dla siebie i dla dzieci, które kochały Willa bardziej niż prażoną kukurydzę, pokazy filmowe czy też Hopalonga Cassidy. Zrobiła to, ponieważ Lula Peak była kłamliwa, rozwiązała, nic niewarta, kobieta taka jak ona nie miała takiej mocy, aby wbijać klin między męża a żonę, którzy przeżyli prawie dwa lata, pokazując sobie nawzajem, ile znaczą dla siebie. Zrobiła to, ponieważ gdzieś w Whitney mieszkała jakaś podła, nędzna kreatura, która zabiła Lulę i która chce zwalić winę na jej mężczyznę! Nic z tego! Nawet gdyby miała jechać tym cholernym samochodem do samego Waszyngtonu, sprawiedliwości stanie się zadość.

Zostawiła Tomcia, Lizzy R, ciasteczka i zupę w domu Lidii, wyjaśniając jedynie zwięźle: aresztowali Willa za morderstwo Luli Peak i muszą wynająć prawnika! Jechała z klekotem z szybkością siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę przez całą drogę do miasta, minęła plac i podjechała do budynku szkoły od południowej strony, gdzie rozjechała dziesięć metrów trawy, zanim wreszcie zatrzymała się, lewą przednią oponą zgniatając dopiero co zasadzony krzak róży, którą nauczycielka drugiej klasy panna Natalia Pruitt przywiozła z ogrodu matki, aby upiększyć nagie podwórko szkolne. Elly zostawiła wiadomość, że Donald Wade ma wysiąść z autobusu przy domku Lidii Marsh, a następnie wróciła samochodem do biblioteki i przypadkowo wjechała na chodnik, parkując właśnie tam. Stał, blokując przejście przechodniom, gdy ona wbiegła do środka, by przekazać wiadomości pannie Beasley.

- Ten wstrętny Reece Goodloe przyjechał do naszego domu i aresztował Willa za zabójstwo Luli Peak. Czy pomoże mi pani znaleźć obrońcę?

Co nastąpiło później, udowodniało tylko, że jeśli jedna kochająca kobieta może przenieść góry, dwie mogą oceany. Panna Beasley z miejsca wyrwała książki z rąk dwóch czytelników, oznajmiając:

- Zamykam bibliotekę, musicie wyjść. - Płaszcz powiewał za nią jak flaga na silnym wietrze, gdy szła za Eleonorą do drzwi, już jej doradzając.

- Powinien mieć najlepszego adwokata.

- Niech pani mi tylko powie kogo.

- Musimy się jakoś dostać do Calhoun.

- Przyjechałam samochodem do Whitney, mogę jechać i do Calhoun.

Panna Beasley umilkła na chwilę, gdy zauważyła model A z pokrywą chłodnicy oddaloną trzydzieści centymetrów od ściany. W tej samej chwili przybiegł policjant, wymachując pięścią nad głową.

- Kto, u diabła, zaparkował tutaj ten samochód!

Panna Beasley umieściła palce na jego klatce piersiowej i popchnęła go do tyłu.

- Niech pan lepiej przestanie gadać, panie Harrington, i zjeździe nam z drogi, bo w przeciwnym razie powiem pana żonie, że pan ogląda nagich tubylców w „National Geographic” w każdy czwartek po południu, kiedy ona myśli, iż jest pan na dole i studiuje dziesięć najlepszych obwieszczeń propagandowych. Wsiadaj, Eleonoro. Zmarnowałyśmy i tak już dość dużo czasu. - Kiedy obie kobiety zjeżdżały kołyszącym się samochodem po krawężniku, panna Beasley odwróciła się i poradziła swoim demagogicznym tonem: - Uważaj na Norrisa i Nata, Eleonoro, oddali wielkie zasługi temu miastu, wiesz o tym. - Zjechały z krawężnika, przejechały przez ulicę i wjechały na przeciwległy chodnik, niemal strącając parę osiemdziesięciolatków z ławki, na której strugali coś nożem. Biust panny Beasley unosił się w powietrzu jak uszy spaniela, gdy samochód szarpnął do przodu, Elly zakręciła z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę i zatrzymała nagle samochód przy pompie benzynowej z białym orłem po drugiej stronie placyku. Oddała cztery kartki przydziałowe i wkrótce były już w drodze do Calhoun.

- Pan Parker jest, oczywiście, niewinny - stwierdziła stanowczo panna Beasley.

- Oczywiście. Jednak tamta kobieta poszła za nim aż do biblioteki, prawda? Wszystko to wygląda źle.

- Hm! I ja mam jedną albo dwie rzeczy do powiedzenia obrońcy w tym względzie!

- Jakiego prawnika zatrudnimy?

- W grę wchodzi tylko jeden, jeśli chcesz wygrać. Robert Collins. Jest znany z tego, że zawsze wygrywa od pewnej wiosny, kiedy skończył dziewiętnaście lat i przyniósł największego dzikiego indyka, jakiego upolowano w tamtym sezonie. Powiesił go na tablicy w sklepie pana Haverty obok dwóch tuzinów innych zgłoszonych do konkursu przez najstarszych i najbardziej doświadczonych myśliwych w Whitney. Jak sobie przypominam, Roberta potraktowali dość szorstko, uśmiechając się z przekąsem na myśl, że taki chłopiec mógłby prześcignąć jednego z nich - pyszałków, polujących na indyki, zawsze w obrzydliwy sposób zaczepiających przechodzące obok dziewczyny. No cóż, Robert zdobył wtedy nagrodę - dubeltówkę ofiarowaną przez miejscowych sklepikarzy - i od tej pory cały czas wygrywa. W Dartmouth skończył szkołę, zajmując najwyższą lokatę, i dwa lata później, kiedy podjął się sprawy nie cieszącej się popularnością, zdobył odszkodowanie dla młodego czarnego

chłopca, który stracił obie nogi w wypadku. Właściciel młyna, gdzie pracował, wepchnął go pod koło łopatkowe. Właściciel był biały, i nie trzeba dodawać, że trudno było znaleźć wtedy nieuprzedzonych przysięgłych. Jednak Robert znalazł takich i zdobył sławę. Później prowadził sprawę kobiety z Red Bud. Zabiła ona syna motyką, aby nie dopuścić, by poślubił dziewczynę, która nie była baptystką. Oczywiście każdy baptysta w hrabstwie pisał do Roberta jadowite listy, w których oznajmiał, że rzuca oszczerstwa na całą wspólnotę religijną. Duchowni starali się wpłynąć na niego, nawet jego własny pastor - Robert sam jest baptystą - ponieważ, jak się okazało, morderczyni była gorliwą wyznawczynią i często chodziła do kościoła. Działając niemal na własną rękę, namówiła społeczność, aby znaleźli jakieś dodatkowe fundusze na budowę nowego kamiennego kościoła po tym, jak tornado zwiąło dach starego. Należała do osób, które są przekonane o własnej wyższości i dobroci, choć jest akurat przeciwnie, wiesz chyba coś na ten temat - dodała panna Beasley lekceważąco. Zatrzymała się na chwilę, żeby odetchnąć. - W każdym razie Robert prowadził tę sprawę i wygrał. Od tej pory jest znany jako człowiek, który nie ustąpi pod naciskiem opinii publicznej. Robert Collins cieszy się powszechnym szacunkiem.

Elly rozpoznała go natychmiast. Był to ten mężczyzna, który wyszedł z kancelarii zatopiony w rozmowie z sędzią Murdochem w dniu jej ślubu. Jednak nie miała zbyt wiele czasu, aby ożywić to wspomnienie, ponieważ rozproszyła ją zaskakująca wymiana zdań pomiędzy prawnikiem a panną Beasley.

- Beasley, powiedziała moja sekretarka, a ja zapytałem siebie, czy to może być Gladys Beasley? - Przeszedł przez zatłoczony, gwarny hol, niespiesznie szurając nogami i wyciągając kościstą rękę.

- Może i jest. Witaj, Robercie.

Ściskając jej rękę, roześmiał się, pokazując pożółkłe zęby ze złotymi koronkami. Wokół pomarszczonej twarzy kręciły się włosy w kolorze starych pajęczyn.

- Zawsze oficjalna, prawda? Jedyne dziewczyna w szkole, która nazywała mnie Robertem, a nie Bobem. Czy nadal jeszcze stemplujesz książki w Bibliotece Carnegie?

- Tak. Czy nadal polujesz na indyki na wzniesieniach Red Bone?

Znowu roześmiał się, ściskając jej rękę.

- Tak, nadal to robię. Ostatnio upolowałem indyka, który ważył 12 kilogramów.

- I możesz zawiesić go na ścianie w aptece, aby osadzić staruszków na swoim miejscu.

Raz jeszcze śmiech przerwał ich rozmowę.

- Z taką pamięcią byłabyś dobrym prawnikiem.

- Zostawiłam to jednak tobie, ponieważ w tamtych czasach nie było dobrze widziane,

gdy dziewczęta zajmowały się prawem.

- Gladys, nie mów mi, że nadal żywisz do mnie urazę o to, iż to mnie poproszono, abym wygłosił mowę pożegnalną na zakończenie nauki w szkole?

- Wcale nie mam urazy. Wygrał najlepszy. - Nagle spoważniała. - Ale dość już tych żartów, Robercie. Przyprowadziłam ci klientkę, która bardzo potrzebuje twojej wiedzy i doświadczenia. Potraktuję to jak wyświadczoną mi przysługę, jeśli jej pomożesz, lub wyrażając się ściślej - jej mężowi. To jest Eleonora Parker, Eleonoro, poznaj Roberta Collinsa.

Wymieniając z nim uścisk dłoni, Elly zapytała:

- Jest pan żonaty, panie Collins?

- Nie, już nie. Żona umarła kilka lat temu.

- A więc to jest dla pana.

- Dla mnie - powtórzył, zadowolony, przyjmując litrowy słoik miodu. Trzymał go w górze.

- A mam go jeszcze więcej, tak więc miód, mleko, wieprzowinę, kurczaki i jajka ma pan zapewnione, dopóki trwa ta wojna i to bez żadnych przydziałowych kartek. Dostanie pan też wszelkie potrzebne pieniądze, aby oczyścić nazwisko Willa.

Roześmiał się znowu, oglądając miód.

- Gladys, czy myślisz, że to jest łapówka?

- Możesz o tym myśleć, jak ci się żywnie podoba, ale nie zapomnij spróbować, co za smak. Trudno opisać słowami.

Odwrócił się, niosąc miód do swej kancelarii, gdzie panował okropny bałagan.

- Wejdźcie, obie, i zamknijcie drzwi tak, abyśmy mogli swobodnie pogadać. Pani Parker, jeśli chodzi o zapłatę, przejdziemy do tego później, po tym jak zdecyduję, czy mogę zająć się tą sprawą.

- Och, ja mam pieniądze, panie Collins, nie ma obawy. I wiem, skąd mogę wziąć jeszcze więcej. - Elly usiadła i szybko zapewniła Roberta Collinsa.

- Ode mnie - wtrąciła panna Beasley.

Elly zdumiona odwróciła głowę.

- Od pani! - powtórzyła zaskoczona.

- Robimy dygresję, Eleonoro, a czas Roberta jest cenny - odrzekła panna Beasley pouczająco. - Omówimy to później, jak będziemy same.

W ciągu kwadransa Robert Collins upewnił się co do kilku faktów i poinformował gości, że znajdzie się w więzieniu tak szybko, jak to możliwe. Porozmawia z Willem i

podejmie decyzję, czy będzie go bronił.

Zanim minęła godzina, Elly znalazła się w biurze szeryfa Goodloe z jeszcze jednym słoikiem miodu. Zatopiony był w rozmowie ze swoim zastępcą, ale spojrzał na nią, gdy weszła. Wyprostował się i zaczął:

- Przecież mówiłem ci, Elly, że nie możesz się z nim zobaczyć, dopóki nie będziesz miała prawnika.

Postawiła słoik z miodem na biurku.

- Przyszłam przeprosić. - Popatrzyła mu poważnie w oczy. - Mniej więcej godzinę temu nazwałam pana wstrętnym, kiedy w gruncie rzeczy mam dla pana dość dużo szacunku. Zawsze miałam zamiar podziękować panu za to, że uwolnił mnie z domu, w którym rosłam, a teraz po raz pierwszy mam okazję. To jest dla pana i nie ma nic wspólnego z Willem, ale teraz chcę go zobaczyć.

- Elly, już ci mówiłem...

- Wiem, co pan mi mówił, ale pomyślałam, co to za prawo, które pozwala zamknąć kogoś, kto nawet nie może wytłumaczyć ludziom, co się naprawdę stało. To niesprawiedliwe, panie Goodloe, i pan wie o tym. Jest pan uczciwym człowiekiem. Był pan jedynym człowiekiem, jaki kiedykolwiek wystąpił w mojej obronie, kiedy trzymali mnie w tamtym domu, a całe miasto gadało, że zwariowałam z tego powodu. No cóż, nie jestem wariatką. Wariaci to ci, którzy wydają prawo, aby nie pozwolić żonie zobaczyć męża, gdy jest na dnie rozpacz, co właśnie teraz dzieje się z moim Willem. Nie proszę pana, aby otworzył drzwi jego celi ani zamknął nas w osobnym pokoju. Nie proszę nawet, aby zostawił nas samych. Proszę tylko o to, co nam się należy.

Goodloe spojrzał na nią i na miód. Zmęczony poprawił się na krześle i sfrustrowany przejechał rękami po twarzy.

- Zapomnij o tym, Elly, przepisy...

- Ach, pozwól jej z nim porozmawiać - wtrącił się zastępca, uśmiechając się lekko do Elly. - Czy to komuś zaszkodzi? - Szeryf Goodloe obrzucił spojrzeniem młodszego od siebie człowieka, który wzruszył ramionami i dodał: - Ona ma rację i pan wie o tym. To nie jest uczciwe. - Następnie, ku zaskoczeniu Elly, młodszy człowiek podszedł do niej, wyciągając rękę. - Pamiętasz mnie? Jimmy Ray Hess. Chodziliśmy razem do piątej klasy. Mówiąc o tym, co uczciwe, ja jestem jedną z tych osób, które zwykły cię przezywać i jeśli przepraszasz, ja też mogę to zrobić.

Zdumiona potrząsnęła jego ręką.

- Jimmy Ray Hess - powtórzyła zdziwiona. - No cóż, ale to dziwne.

- Wszystko się zgadza. - Z dumą wskazał na gwiazdkę na swej koszuli. - Jestem teraz zastępcą szeryfa w hrabstwie Gordon. - Odwrócił się do swojego zwierzchnika. - Co na to powiesz, Reece, czy może się z nim zobaczyć?

Reece Goodloe ustąpił i machnął ręką.

- No cóż, u diabła, czasami zastanawiam się, kto tu rządzi. Już dobrze, zaprowadź ją tam.

Zastępca rozpromienił się i wyprowadził ją z biura.

- Chodź, Elly. Pokażę ci drogę.

Idąc obok Jimmy'ego Raya, Elly poczuła, jak wraca jej wiara w dobroć ludzką. Liczyła tych, którzy jej dziś pomogli - Lidia, panna Beasley, Robert Collins, a teraz Jimmy Ray Hess.

- Dlaczego to robisz, Jimmy? - spytała.

- Twój mąż był w oddziałach marines, prawda?

- Tak jest, First Raiders.

Jimmy Ray uśmiechnął się do niej z ukrytą dumą.

- Sierżant Jimmy Ray Hess, Charlie Company, First Marines, do pani usług. - Salutując przed nią elegancko, otworzył ostatnie drzwi prowadzące do więzienia.

- Trzecie po lewej stronie - odpowiedział, a następnie je zamknął, zostawiając ją samą na korytarzu, który prowadził do cel.

Nigdy przedtem nie odwiedzała nikogo w więzieniu. Było tam wilgotno i ponuro. Panował pogłós i nieprzyjemny zapach. Zgasiło to optymizm, jaki na chwilę wywołał w niej Jimmy Ray Hess.

Zanim jeszcze doszła do celi Willa, rozboleła ją serce. Kiedy zobaczyła, jak leżał zwinięty na łóżku i odwrócony plecami do krat, poczuła, że powinna uklęknąć w tym miejscu, modląc się o przebaczenie za to, czego nie zrobiła.

- Witaj, Will - powiedziała cicho.

Zaskoczony odwrócił się przez ramię, starannie panując nad wszystkimi reakcjami, a następnie znowu zwrócił się do ściany.

- Myślałem, że cię tu nie wpuszczą.

Elly poczuła się, jak gdyby miało jej pęknąć serce.

- Tego właśnie chciałeś? - Kiedy nie odpowiedział, dodała: - Sądzę, że wiem, dlaczego tak jest.

Will przełknął i patrzył na ścianę, czując, jak emocje podchodzą mu do gardła.

- Idź sobie, wyjdź stąd. Nie chcę, abyś mnie tutaj oglądała.

- Ja także tego nie chcę, ale teraz muszę, chcę zadać ci kilka pytań.

Powiedział zimno do ściany:

- Tak, jak na przykład, czy zabiłem tę sukę. Czy zadawałem się z nią. - Roześmiał się ponuro, a następnie rzucił przez ramię: - No cóż, równie dobrze możesz się nad tym zastanawiać, ponieważ jeśli to jest całe zaufanie, jakie we mnie pokładasz, nie chcę takiej żony.

Wyrzuty sumienia zaatakowały Elly. Wraz z nimi poczuła nagle palące lzy.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o niej, Will, wtedy kiedy to się stało, kiedy przyszła do biblioteki? Gdybyś powiedział, nie byłoby to dziś dla mnie takim zaskoczeniem.

Gwałtownie obrócił się i stanął naprzeciwko niej z zaciśniętymi pięściami i żyłami widocznymi wyraźnie na szyi.

- Nie muszę ci mówić, czego nie zrobiłem. Powinnaś wiedzieć na podstawie tego, co robię, jakim jestem człowiekiem! Jednak wystarczyło tylko jedno słowo wypowiedziane przez szeryfa, abyś pomyślała, że jestem winny, prawda? Widziałem to w twoich oczach, Elly, więc nie zaprzeczaj temu.

- Nie przeczę - szepnęła zawstydzona, podczas gdy on chodził po celi jak oszalały, przeciągając ręką po pasmach jasnych włosów.

- Chryste, jesteś moją żoną! Czy wiesz, co się ze mną stało, gdy popatrzyłaś na mnie w taki sposób, jak gdybym był jakimś... jakimś mordercą?

Nigdy nie widziała go tak wściekłego, nigdy nie był tak zrozpaczony. Bardziej niż cokolwiek na świecie pragnęła go dotknąć, zapewnić o swej miłości, ale on chodził tam i z powrotem wzdłuż ścian jak zamknięte w klatce zwierzę, był poza jej zasięgiem. Zaciśnęła dłoń na czarnej żelaznej kratce.

- Will, przepraszam, ale jestem istotą ludzką, prawda? Popełniam błędy jak wszyscy. Przyjechałam tu, aby to naprawić i powiedzieć ci, jak mi przykro, bo przyszło mi do głowy, że mogłeś to zrobić. Jednak nie minęły trzy minuty, odkąd cię zabrali, a uświadomiłam sobie, że nie powinnam tak myśleć. Nie ty, nie mój Will.

Zatrzymując się gwałtownie, Will spojrzął na nią potępiająco. Nadal miał zwichrzone włosy i zaciśnięte pięści. Stanęli naprzeciw siebie, zmagając się w milczeniu. On zwalczał nagły przymus, aby przebiec przez celę i dotknąć jej, zgnieść jej rękę swoimi dłońmi na żelaznych kratkach, czerpać z niej siłę, której potrzebował, aby stawić czoło nocy, dniu jutrzejszemu i temu wszystkiemu, z czym będzie musiał walczyć w przyszłości. Jednak rana mu zadana była jeszcze nadal zbyt rwąca. Odpowiedział jej zimno pełnym goryczy głosem:

- Tak, no cóż, spóźniłaś się o trzy minuty, Elly, ponieważ już mnie więcej nie obchodzi, co myślisz. - Było to kłamstwo, które zabolalo go tak mocno jak ją. Widział, jak

słowa te wstrząsnęły nią i powstrzymał się z trudem, by nie podbiec do niej z przeprosinami, nie wziąć jej twarzy w dłonie i nie całować przez rozdzielające kraty.

- Nie myślisz tego naprawdę, Will - wyszeptała drżącymi ustami.

- Nie myślę? - odparował, zmuszając się do ignorowania łez, które sprawiały, że jej duże zielone oczy jaśniały jak pokryta rosą trawa. - Idź do domu i zastanawiaj się tak, jak ja leżałem tutaj i zastanawiałem, czy ty myślałaś tak naprawdę!

Przez kilka sekund, kiedy to serca ich waliły jak oszalałe, patrzyli na siebie, pełni bólu, miłości, lęku. Później Elly przełknęła łzy, zdjęła rękę z krat, cofnęła się i powiedziała spokojnie:

- Dobrze, Will. Pójdę, jeśli tego właśnie chcesz. Jednak najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. Jak myślisz, kto ją zabił?

- Nie wiem. - Stał tam wyprostowany, zbyt uparty, aby zrobić jeden krok konieczny do zakończenia męki, którą sami sobie zadawali. Nie odchodź, nie miałem tego na myśli, nie wiem, dlaczego to powiedziałem... och, Boże, Elly, tak bardzo cię kocham.

- Jeśli zechcesz mnie zobaczyć, powiedz to Jimmy'emu Ray Hessowi. Przekaze mi.

Dopiero gdy poszła, ustąpił. Zapłakał, gdy odwrócił się do ściany, przyciskając do niej wysoko pięści. Elly, Elly - nie wierz mi! Tak bardzo mi zależy na tym, co o mnie myślisz, i wolałbym umrzeć, niż siedzieć przed tobą w tym miejscu.

Panna Beasley czekała w samochodzie, nie weszła do więzienia, co było bardzo miłe z jej strony. Eleonora wróciła blada i rozdygotana.

- Co się stało?

Eleonora patrzyła drętwo na szybę samochodu.

- Zrobiłam krzywdę Willowi - odpowiedziała apatycznie.

- Zrobiłaś mu krzywdę? Dlaczego, o czym ty mówisz?

- Kiedy szeryf przyjechał do nas i powiedział, że Lula Peak nie żyje, myślałam przez chwilę, że Will to zrobił. Nic nie powiedziałam, ale nawet nie musiałam tego robić. Will zobaczył to wypisane na mojej twarzy i teraz nie chce ze mną rozmawiać. - Elly ścisnęła usta, aby nie trzęsła jej się broda.

- Nie chce z tobą rozmawiać, ale...

- Och, krzyczał na mnie, zwał ciężar z piersi, mówiąc, jak bardzo go zraniłam. Ale stał daleko na drugim końcu celi i nie wziął mnie za rękę ani nie uśmiechnął się. Powiedział, że już nie ma dla niego żadnego znaczenia, co myślę. - Zakryła oczy ręką i opuściła głowę.

Panna Beasley zezłościła się, myśląc o gruboskórności Willa, i dotknęła jej ramienia.

- Posłuchaj mnie, młoda kobieto. Nie zrobiłaś niczego, czego nie zrobiłby przeciętny człowiek.

- Jednak powinnam była mu bardziej ufać!

- Tak więc doświadczyłaś momentu zwątpienia. Każda kobieta czułaby podobnie.

- Ale pani tak nie myślała?

- Nie bądź głupia, Eleonoro, oczywiście, że tak myślałam.

- Naprawdę? - Elly zaskoczona podniosła głowę.

- Oczywiście, że tak - kłamała Gladys. - Kto nie czułby tak? Pół miasta będzie tego zdania, co oznacza, że z tym większą siłą trzeba walczyć, aby udowodnić, że się mylą.

Oddanie panny Beasley sprawiło, że Elly nagle odzyskała równowagę. Pociągnęła nosem i otarła oczy.

- Ten mój głupi mąż nie chciał mi nawet powiedzieć, czy podejrzewa kogoś. - Odzyskując panowanie nad sobą, Elly zaczęła rozumować logicznie. - Kto mógł to zrobić, panno Beasley? Muszę się jakoś tego dowiedzieć. To jest jedyny sposób, jaki znam, aby odzyskać Willa. Od kogo powinnam zacząć?

- Może od Norrisa i Nata? Siedzą od lat na tej ławce w parku, patrzyli, jak Lula Peak wystawia swój biust na wszystko, co chodzi w spodniach po chodniku. Jestem pewna, że wiedzą dokładnie co do minuty, ile czasu zajmowało jej przejście za panem Parkerem do biblioteki za każdym razem, kiedy przynosił mi jajka, i również jak długo zajmował jej powrót, a na pewno wyglądała wtedy jak osmalony kot.

- Naprawdę wiedzą?

- Oczywiście, że tak.

Elly przetrawiała pewną myśl, a następnie jeszcze jedna przyszła jej do głowy.

- Działają również w straży obywatelskiej, prawda?

Twarz panny Beasley rozjaśniła się ożywiona.

- Włączają się po mieście w nocy, nasłuchują dźwięków silników samolotowych, patrzą przez lornetkę i sprawdzają, czy w czasie zaciemnienia opuszczono zasłony.

Elly rzuciła jej pełne nadziei spojrzenie.

- Czy ścigają także tych, którzy zakłócają prawo w czasie godziny policyjnej?

- Tak jest!

- Jedziemy. - Elly włączyła silnik.

Tego późnego popołudnia znalazły Norrisa i Nata MacReady na zalanej słońcem ławce, na której zawsze siadywali. Każdy z nich otrzymał litrowy słoik złocistego miodu. W zamian z przyjemnością ujawnili zaskakujące szczegóły pewnej podsłuchanej w styczniu

rozmowy za biblioteką. Spędzili razem tak dużo czasu, że robili wrażenie jednomyślnych, ponieważ, co jeden zaczął, to drugi skończył.

- Norris i ja - powiedział Nat - szliśmy wtedy wzdłuż ulicy Comfort. Zawróciliśmy i poszliśmy do góry uliczką za biblioteką, tam gdzie przy piecu do spalania śmieci rośnie zastrzalin...

- ...a wtedy jakiś pantofel na wysokim obcasie przeleciał w powietrzu i uderzył mnie w ramię. Nat może to zaświadczyć.

- Ponieważ miał tam fioletowego siniaka przez ponad cztery tygodnie.

- Tutaj, Nat - strofował Norris - możesz trochę naciągać. Nie wydaje mi się, że miałem go dłużej niż trzy tygodnie.

Nat najeżył się.

- Trzy! Zawodzi cię pamięć, chłopcze. Miałeś go przez całe cztery tygodnie, ponieważ jeśli sobie przypominasz, mówiłem o nim w tym dniu, kiedy my...

- Panowie, panowie! - przerwała panna Beasley. - Rozmowa, jaką podsłuchaliście.

- Och, tak. A więc najpierw przeleciał pantofel...

- A następnie usłyszeliśmy, jak młody Parker drze się dostatecznie głośno, aby obudzić całe miasto...

- Jeśli jesteś tak roznamiętniona, Lulu, idź wyc pod oknem kogoś innego! Właśnie to dokładnie powiedział, nie było tak, Nat?

- Oczywiście, że tak było. Później zatrzasnęły się drzwi i panna Lula...

- ...strasznie wściekła, wali w drzwi i określa młodego Parkera epitetami, które możecie sobie panie przeczytać w naszych raportach, jeśli chcecie, ale są to określenia, które...

- Raportach?

- Tak jest, jednak ani Norris, ani ja nie chcemy ich powtarzać, prawda, Norris?

- Z całą pewnością nie, nie w towarzystwie dam. Powiedz im, co stało się później, Nat.

- Wtedy panna Lula krzyczała, że, hm... - Nat odchrząknął, szukając jakiegoś delikatniejszego określenia. Jednak to Norris dopowiedział:

- ...że, och, to co ma w spodniach, zmieściłoby się w jej lewym uchu.

Niemal jednocześnie panna Beasley i Elly spytały:

- Czy powiedzieliście o tym szeryfowi?

- Szeryf nie pytał o to. Czy pytał, Norris?

- Nie, nie pytał.

A to właśnie sprawiło, że Elly przyszedł do głowy pomysł o tym, aby zamieścić

ogłoszenie w gazecie. W końcu już wcześniej przyniosło to nadspodziewane efekty. Dlaczego miałyby się nie powtórzyć? Jednak teraz panna Beasley miała spuchnięte kostki i była zmęczona, więc Elly odwiozła ją do domu. Później wróciła do redakcji „Whitney Register”, aby zostawić tam jeszcze jeden słoik jako zapłatę za ogłoszenie, w którym stwierdzono ni mniej ni więcej tylko, że E. Parker z ulicy Rock Creek wypłaci nagrodę za jakąkolwiek informację prowadzącą do odparcia zarzutów przeciwko mężowi Williamowi E. Parkerowi w sprawie o zabójstwo Luli Peak. Ku jej zdziwieniu wydawca nie mrugnął nawet okiem, tylko podziękował za miód i życzył szczęścia, kończąc:

- Poślubiła pani wspańskiego młodego człowieka, pani Parker. Wyruszył na wojnę i walczył jak mężczyzna, zamiast wsadzać palec pod piłę jak niektórzy w mieście.

To z kolei wskrzesiło wspomnienie dawnej niechęci Harleja Overmire'a w stosunku do Willa i Elly zastanawiała się przez chwilę, czy warto o tym wspomnieć Reecowi Goodloe lub też Robertowi Collinsowi. Jednak nie miała czasu, aby się nad tym dłużej rozwodzić, ponieważ z redakcji skierowała się bezpośrednio do biura pana Pride zajmującego się sprzedażą nieruchomości. Tam bezceremonialnie rzuciła na stół ciężki niklowany klucz. Obok postawiła jeszcze jeden litrowy słoik miodu i oznajmiła Hazel Pride:

- Chcę wystawić na sprzedaż pewną nieruchomość.

Mąż Hazel walczył „gdzieś na południu Francji” i powierzył jej zarządzanie firmą, kiedy go nie było. Składała przedtem w gazecie każde słowo o heroizmie Willa Parkera i jego Purpurowym Sercu, tak więc powitała Elly uprzejmie i powiedziała, że to skandal z tym, co stało się z panem Parkerem, i jeśli ona, Hazel, mogłaby coś zrobić, to proszę tylko dać jej znać. W końcu Will Parker jest weteranem wojny z Purpurowym Sercem, a żaden weteran, który przeszedł tyle co on, nie powinien być traktowany w taki sposób. Czy Eleonora mogłaby pojechać do tego domu samochodem Hazel?

Elly odmówiła, jadąc za Hazel własnym wozem w to chłodne popołudnie późnej zimy. Pędy powoju były suche i pozbawione liści, owijały się wokół frontowych drzwi i zaniedbanych krzewów. Oba samochody rozjechały poszarzałą trawę, podjeżdżając do tylnych drzwi.

Ze wszystkich rzeczy, które Elly zrobiła tamtego dnia, żadna nie była tak trudna jak wejście do posepnego domu, spacer w mrocznym cieniu za tymi zniechęconymi okiennicami obok miejsca w salonie, gdzie się modliła, obok kąta, gdzie babka umarła na twardym taborecie, obok sypialni, gdzie matka powoli popadała w obłąd. Czowała na strychu zapach suchych odchodów nietoperzy wymieszany z kurzem, pleśnią i złymi wspomnieniami. Było to ogromnie trudne, ale Elly się udało - nie tylko dlatego, że potrzebowała pieniędzy, aby zapłacić Robertowi Collinsowi, ale dlatego, że zrobiła tak wiele w tym jednym dniu, że stać ją

było na jeszcze więcej. Wiedziała również, że to zadowoli Willa.

W salonie podniosła do góry okiennice, jedną po drugiej, aż zaczęły się obracać i trzepotać na zaskakująco rozciągliwych sprężynach. Zachodzące słońce zalało pokoje, ujawniając, że nie było czego się obawiać - tylko pył unosił się w zatechłym powietrzu porzuconego domu, gdzie na podłodze z linoleum leżały odchody myszy.

- Dwa tysiące trzysta - oznajmiła Hazel Pride, stukając w swój notatnik. - Najwyższa możliwa cena, biorąc pod uwagę, jaką pracę należy włożyć, aby miejsce to znowu nadawało się do zamieszkania.

Pieniądze te aż nadto wystarczą, by wystawić rachunek Collinsowi - obliczyła Elly - i zostanie jeszcze trochę na nagrody, które miała nadzieję zapłacić. Nalegała na podpisanie dokumentów właśnie tam, wewnątrz domu, tak aby kiedy stamtąd wyjdzie, była na zawsze od niego uwolniona.

I tak też się stało. Gdy wsiadła znowu do samochodu Willa i zjeżdżała na drogę przez wysoką trawę na podwórzu oblanym szarzejącym światłem, czuła ulgę, czuła się wolna.

Pomyślała o minionym dniu, obawach, które rozpędziła, odważnie stawiając im czoło. Pojechała samochodem prosto do Calhoun po raz pierwszy w życiu, stanęła twarzą w twarz z miastem, które nie budziło już w niej lęku, ale pomagało jej, wprawiła w ruch aparat sprawiedliwości i pozbyła się zjaw przeszłości.

Była zmęczona. Tak zmęczona, że chciała zatrzymać samochód na drodze prowadzącej na pola i przedrzemać do rana.

Jednak Will nadal był w więzieniu w Calhoun i każda minuta na pewno dłużyła mu się jak rok. Tak więc pojechała prosto do Calhoun, aby odnaleźć szeryfa Goodloe, zrobić mu awanturę z powodu niewłaściwych metod śledczych i skierować uwagę na raporty Norrisa i Nata MacReady. Zapomniała jednakże napomknąć o Harleyu Overmire.

ROZDZIAŁ 22

Will leżał na pryczy pogrążony w rozpacz. Na korytarzu słychać było wyraźnie dzwoniący w uszach pogłos, gdy otwierano i zamykano metalowe drzwi. Nie ruszał się, wpatrując w ścianę. Kroki stały się coraz bliższe. Jedna, druga para nóg. Stukot skórzanych butów na betonie, znajomy dźwięk, aż nazbyt znajomy.

- Parker? - Był to głos zastępcy szeryfa Hessa. - Twój prawnik jest tutaj.

- Mój prawnik? - zaczął Will. Podniósł głowę z poduszki.

Obok młodego Hessa stał starszy opalony mężczyzna z powiewającymi siwymi włosami. Był lekko pochylony, ubrany w brązowy garnitur i zmiętą białą koszulę z niedbale przewiązanym krawatem.

- Pańska żona przysłała do mnie i poprosiła, abym porozmawiał z panem.

Will odwrócił się na łóżku.

- Moja żona?

- I Gladys Beasley. - Strażnik otworzył drzwi i do środka wolnym krokiem wszedł prawnik, wyciągając rękę.

- Nazywam się Bob Collins. - Czekał, spoglądając na Willa szarymi oczami, które wydawały się wiecznie rozbawione, jak gdyby był przyzwyczajony do przedstawiania się zaskoczonym więźniom.

- Will Parker. - Wstał, przyjmując uścisk dłoni, i pomyślał: Nie tylko przyjechała do Calhoun, ale również wynajęła prawnika?

Jednak co to był za obrońca? Jego garnitur wyglądał na uprany w pralce, a koszula jak gdyby w ogóle jej nie uprano.

Włosy adwokata wznosiły się, co sprawiało, że przywodził na myśl dmuchawiec. Dodatkowa kepa włosów podniosła się jeszcze - robiło to wrażenie, że wzięci w powietrze przy najłżejszym podmuchu wiatru. Nie tylko był rozczochrany, ale również poruszał się powoli, co wskazywało na zmęczenie, a Will zastanawiał się, czy nagle nie zardzewiał, schylając się, by usiąść na krześle. Wisiał nad nim z pośladkami wypiętymi we właściwym kierunku, podczas gdy Will liczył sekundy - jedna, druga, trzecia - i w końcu stary cymbał usiadł, odetchnął i ścisnął jedno kościste kolano równie kościstą ręką. Kiedy w końcu odezwał się, żartobliwy ton głosu zdawał się pasować raczej do przemowy ku czci ustępującego prezesa kółka rolniczego.

- Chodziłem do szkoły z Gladys Beasley. Przez pewien czas nie było wiadomo, kto z nas wygłosi mowę pożegnalną po promocji. Zawsze uważałem, że powinni byli wtedy

wyznaczyć dwie osoby. - Roześmiał się, jak gdyby przypominając coś sobie, i przesunął palec wzdłuż szczęki. - Gladys Beasley, po wszystkich tych latach, czy można w to uwierzyć? - Podniósł na Willa trochę łobuzerskie spojrzenie. - Była bardzo ładniutką kobietą, do tego elegancką, jedyną w całej klasie, która potrafiła rozmawiać na bardziej inteligentne tematy niż długość spódnicy i wysokość obcasów. Bardzo jej się bałem, taka była inteligentna. Zawsze chciałem umówić się z nią na randkę i trudno mi naprawdę powiedzieć, dlaczego nigdy tego nie zrobiłem.

Will siedział zamroczony, zastanawiając się, dlaczego Gladys Beasley poleciła mu takiego skrzeczącego starego ramola. Wydawał się zdziecinniały, roztaczał zapach mumii, zdawał się majaczyć. Paplał coś bez związku. Will zastanawiał się, czy nie wyszedłby na tym lepiej, gdyby sam się bronił.

Jednak właśnie wtedy, gdy wyrabiał sobie taką opinię, Collins zaskoczył go.

- A więc, panie Will Parker, zabił pan Lulę Peak czy nie?

Will podniósł piwne oczy na wyblakłe szare oczy Collinsa i odpowiedział wyraźnie:

- Nie, proszę pana.

Collins skinął nieznacznie trzy razy, przyglądał się Willowi cicho przez pełnych piętnaście sekund i zapytał:

- Czy przychodzi panu do głowy, kto to zrobił?

- Nie, proszę pana.

Znowu nastąpiła przedłużająca się cisza, a Will miał wrażenie, że zardzewiała maszyna wymaga naoliwienia we wnętrzu głowy o zaniedbanym wyglądzie. Jednak kiedy adwokat przemówił, Will doznał pewnej ulgi.

- W takim razie mamy dużo do zrobienia. Jutro zostanie pan pewnie postawiony w stan oskarżenia.

Collins podjął się sprawy, obiecując, że zrobi, co będzie mógł, aby sprawa szybko trafiła do sądu. Powiedział, że jest bardzo dobry, jeśli chodzi o wywieranie nacisku. Will nie za bardzo mu wierzył. Jednak mimo że adwokat stale miał na wpół pogniecione ubranie i na pozór był bardzo powolny - miał zwyczaj pociągania się za ucho, krzyżowania ramion i zatrzymywania się jak gdyby w zakłopotaniu - odznaczał się dokładnością i precyzją, zupełnie nie robił na nim wrażenia ewentualny akt oskarżenia. Co więcej, był przekonany, że zdobędzie sympatię przysięgłych. Da im do zrozumienia, iż prawo pognębiło Willa przede wszystkim dlatego, że był już w więzieniu, gdy to tymczasem przede wszystkim trzeba było mieć na względzie jego zasługi na polu chwały. Powątpiewał w wartość listu, na którym znajdowały się inicjały Willa, sądził nawet, że może się okazać pożyteczny, ponieważ trzeba

było być naiwnym głupcem, aby uwierzyć, iż nie ukartowano wszystkiego wcześniej.

Wstępna rozprawa sądowa trwała krótko, a jej wynik był do przewidzenia: sąd odmówił zwolnienia za kaucją ze względu na to, że Will był wcześniej karany. Jednak Collins, tak jak zapowiedział, postarał się, aby przesłuchanie dla wielkiej ławy przysięgłych odbyło się w ciągu tygodnia. Świadkowie, którzy chcieli zeznawać w obronie Willa, zaczęli napływać gromadnie, jak zawsze, kiedy ława decyduje, czy można wnieść oskarżenie. Obwinionemu nie wolno było się bronić, a po rozważeniu dowodów przedstawionych przez oskarżyciela sprawę przekazano do sądu.

Rozczarowanie podziałało druzgocąco na Willa. Doprowadzono go na salę rozpraw przez tylne korytarze, które wiodły bezpośrednio z więzienia, tak więc nie mógł dowiedzieć się, czy Elly czekała gdzieś w sądzie na wiadomość dotyczącą decyzji przysięgłych. Łudził się głupio nadzieją, że ją dostrzeże. Wyobrażał sobie, jak podchodzi do niego z otwartymi ramionami i ze słowami: Wszystko jest dobrze, Will, wybaczmy sobie i zapomnijmy o wszystkim, nie myślmy o tym, co było.

Zamiast tego wrócił do celi przygnębiony, życie mijało, a on zastanawiał się, co następnie mu się przydarzy i czy powłóczący nogami stary prawnik, jakiego przysłały mu Elly i panna Beasley, mimo wszystko nie był jednak zdziecinniałym starcem. W zamkniętej przestrzeni nagle zaczął cierpieć na klaustrofobię, tak więc siedział bokiem na łóżku oparty plecami o zimną betonową ścianę i patrzył prosto przed siebie przez kraty - stamtąd był najdłuższy widok - i myślał o Teksasie, szerokim i płaskim, gdzie wiatr wiał na równinach, wieczorem ogromne błękitne niebo przybierało odcień żywego różu, fioletu i żółci, pola stawały w ogniu, gwiazdy pojawiały się jak klejnoty na błękitnym atłasie.

Jednak wyobrażenia mogła pomóc tylko przez pewien czas. Później przewracał się na boku, zamykał oczy, przełykając z całej siły ślinę. Znowu zawód, bo nie widział Elly. Boże, jak bardzo pragnął ją zobaczyć, jak bardzo na to liczył. Nie wiedział, co bardziej go bolało; czy to, że jej tam nie było, czy że przegrał w sądzie pierwszą turę. Jednak zranił ją tak mocno, iż obawiał się przesłać wiadomość przez Hessa. Uważał, że nie zasługuje już więcej na nią, obawiając się, że nawet jeśli ją przywoła, nie przyjdzie.

Jednak pojawiła się, gdy strapiony leżał na łóżku.

- Masz gościa, Parker - oznajmił Hess, otwierając drzwi. - Twoja żona. Proszę za mną.

Tak więc była tu cały czas, czekając na wiadomość. Jego serce zaczęło walić i zerwał się z łóżka.

- Chwileczkę, Hess! - Nachylił się przy lusterku i przeciągnął włosy grzebieniem czterema szybkimi ruchami. W lustrze zobaczył policzki zarumienione z oczekiwania,

odwrócił się i pośpieszył za Hessem.

Pokój odwiedzin był długi i pusty, całkowicie pozbawiony ozdób. Znajdowało się w nim okno bez firanek, stolik i trzy krzesła takie jak w miejskiej bibliotece. Kiedy wszedł Will, Elly siedziała już przy stole. Miała na sobie jakąś nową żółtą sukienkę, na kolanach ścisnęła kurczowo torebkę. Hess dał znak Willowi, aby podszedł do niej, a następnie skrzyżował ramiona i sam zajął miejsce przy drzwiach, jak gdyby miał tam wrosnąć na czas widzenia.

Osuwając się na krzesło obok Elly, Will zastanawiał się, czy czuje, jak podłoga drży, bo tak wali mu serce. Przez dziesięć pełnych sekund przyglądali się sobie.

- Witaj, Will - Elly powitała go ze smutnym uśmiechem w oczach.

- Witaj.

Ich słowa, chociaż wypowiedziane tak cicho, wyraźnie rozbrzmiewały w całym pokoju, gdzie panował pogłos.

Willowi spocily się ręce. Było mu gorąco w szyję, gdy zaczął wpatrywać się w nią i tłumił ogromną potrzebę, aby sięgnąć przez stół.

- Bardzo mi przykro z powodu decyzji przysięgłych. Myślałam... no cóż, miałam nadzieję, że dzisiaj znajdziesz się w domu.

- Ja także. Jednak Collins ostrzegł mnie, abym nie miał zbyt wielkich nadziei, zwłaszcza że nie mógł być tam obecny, aby powiedzieć, jakie jest nasze stanowisko w tej sprawie.

- To nie wydaje się uczciwe, Will. Jak mogą, jakie mają prawo trzymać adwokata z dala od sali rozpraw?

- Collins mówi, że tak właśnie działa prawo, a nasze szanse zwiększą się, gdy dojdzie do drugiej rozprawy w obecności małej ławy przysięgłych.

- Małej ławy? - Zmarszczyła brwi.

- Odbędzie się proces i będziemy mieli okazję się wypowiedzieć.

- Och.

Sama myśl wstrząsnęła nimi, gdy patrzyli tak na siebie, wypowiadając w myśli daremne życzenia, żalując, że w czasie poprzedniego spotkania padły przykre słowa. Elly ścisnęła torebkę, a Will wycierał ręce o spodnie.

- Elly, ja... - Powiedz, że jest ci przykro, głupcze. Jednak Hess stał tam na straży, nasłuchując każdego słowa, gdy przepraszać trudno nawet w samotności. Myśl o obnażaniu uczuć przed kimś obcym zdawała się paraliżować Willa i odbierać mu mowę. Tak więc powiedział tylko Elly: - Podoba mi się Collins. Uważam, że jest dobrym obrońcą. Dziękuję, że go zatrudniłaś.

- Nie bądź głupi. Sądziś, że nie potrafiłabym znaleźć adwokata dla własnego męża?

Słowa cisnęły się Willowi do ust i czy Hess tam był, czy też go nie było, musiał je wypowiedzieć.

- Nie wiedziałem, co myśleć po tym, jak rozmawiałem z tobą ostatnio.

- Znalazłam go wcześniej, zanim cię zobaczyłam. - Elly patrzyła w bok.

- Och. - Will poczuł, jak zasłużenie dostał za swoje. Jego ręce, spocone jeszcze przed chwilą, nagle stały się lodowate. A więc czego oczekujesz, Parker, po tym jak rozmawiałeś z nią w taki sposób? Znowu poczuł przemożne pragnienie, aby prosić ją o przebaczenie, a potem ogarnął go potworny lęk, że nie przebaczy, nie pokocha go znowu, a jeśliby się tak stało, nie byłoby sensu walczyć o wydostanie się z tego miejsca. Tak więc siedział nieszczęśliwy, jego serce waliło boleśnie i czuł, jak coraz bardziej ścisną mu się w gardle.

- Czujesz się dobrze? - spytała Elly, zwracając na niego spojrzenie. - Dobrze cię tu karmią?

Will przełknął i próbował mówić zwykłym głosem.

- Dość dobrze. Zajmuje się tym żona szeryfa.

- No cóż... wyglądasz dobrze. - Rzuciła mu nerwowy uśmiech.

Znowu zapadła cisza, tym bardziej niezręczna, że mijały minuty, a oni mówili o wszystkim, tylko nie o tym, co było najważniejsze.

- Jak się tutaj dostałaś? - Ogarnęło go obsesyjne pragnienie, aby dowiedzieć się wszystkiego, co zrobiła i myślała, odkąd on tutaj jest, aby wypełnić luki w czasie, który już stracił. Życie stało się tak cenne, odkąd stała się jego częścią, że czuł się podwójnie obrabowany ze swej wolności.

- Och, ktoś mnie podwiózł - powiedziała wymijająco.

W roztargnieniu Elly rysowała palcem po zatrasku torebki i oboje przyglądali się jej rękom, aż oczy zaczęły palić. W końcu otworzyła torebkę i powiedziała cicho:

- Wiem, że zabroniłeś mi przychodzić, Will, ale musiałam przynieść prezenty od dzieci. - Wyciągnęła dwie zwinięte w rulon kartki i podała je przez stół.

- Proszę poczekać! - Hess rozkazał ostro i nachylił się do przodu, aby je obejrzeć.

- To tylko pozdrowienia od dzieci. - Elly spojrzała na niego obrażona.

Przejrzał je, znowu zwinął i oddał, a następnie powrócił na swoje stanowisko przy drzwiach.

- Proszę, Will. - Elly znowu podała mężowi kartki.

Odwinął je i zobaczył narysowane niewprawną ręką rysunki przedstawiające kwiaty i ludziki z patyczków. Obok umieszczono wiadomość: Kocham cię, Will. Z prawdziwym

oddaniem napisano to dwa razy dużymi drukowanymi literami prawie nie do odczytania, a potem następowały dwa imiona: Donald Wade i Tomcio. Will nigdy jeszcze nie musiał tak bardzo panować nad sobą, by powstrzymać łzy.

- Ojej - powiedział ochryłym głosem, miał spuszczonego wzrok, ponieważ obawiał się, że Elly rozpozna, jak mu ciężko.

- Tęsknią za tobą - wyszeptała żałośnie, myśląc: I ja tęsknię za tobą. Wszystko mnie boli, gdy ciebie nie ma. W domu czuję się okropnie, praca pozbawiona jest sensu, a życie sprawia mi ból.

Jednak bała się to wyrazić, bała się, że znowu ją odtrąci.

- Ja również za nimi tęsknię. - Will przycisnął podbródek do piersi. - Jak się mają?

- Wspaniale. Dzisiaj są u Lidii w domu, cała trójka. Donald Wade wysiada tam z autobusu, wracając ze szkoły. Uwielbia przebywać u Lidii. On i Sally budują fort.

Will odchrząknął i spojrzał na nią, a jego serce nadal biło w przyspieszonym tempie. Chciałby, żeby nie musiała go oglądać w tym miejscu, które tak bardzo odbierało poczucie własnej godności, żałując po raz setny, że powiedział, co powiedział, kiedy ostatni raz ją widział, odczuwając ogromną potrzebę, by dowiedzieć się, czy ona, tak jak dzieci, nadal go jeszcze kocha. Powiedz jej, że jest ci przykro, Parker! Po prostu powiedz jej to i przestaniesz się martwić!

Otworzył usta, aby się usprawiedliwić, ale ona odezwała się pierwsza.

- Panna Beasley mówi, że pan Collins jest najlepszy.

- Ufam w jej rozsądek. - Odchrząknął i raz jeszcze wyprostował się. - Jednak nie wiem, skąd weźmiemy pieniądze, aby mu zapłacić, Elly.

- Nie martw się o to. Było dużo miodu i mamy pieniądze w banku, a panna Beasley zaoferowała pomoc.

- Naprawdę?

Elly skinęła.

- Jednak ja nie zamierzam przyjąć jej propozycji, chyba że będziemy do tego zmuszeni.

- Tak prawdopodobnie będzie najlepiej - dodał.

Znowu zapadła męcząca cisza i odczuwali coraz większy przymus, aby się dotknąć. Jednak on bał się wyciągnąć rękę, a ona sądziła, że Hess znowu na nią naskoczy, więc żadne z nich się nie ruszyło.

- Słuchaj, Will. - Podniosła twarz i uśmiechnęła się z pewnym przymusem. - Muszę już iść, ponieważ dość często zostawiam ostatnio dzieciaki u Lidii i nie chcę, żeby pomyślała,

iż zupełnie się przyzwyczaiałam do jej pomocy.

Willa ogarnęła panika. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy, które planował - nie dotknął jej, nie przeprosił, nie pochwalił ładnej nowej sukienki, nie powiedział, że ją kocha, nie wyraził żadnej z tych rzeczy, która przepelniała jego serce. Jednak prawdopodobnie najlepiej było ją puścić. Niezależnie od tego, co mówił Collins, wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Urodził się, żeby przegrywać. Winny czy niewinny, na pewno przegra także i tę sprawę, a kiedy tak się stanie, zamkną go na dobre. Zrobią to na podstawie drugiego oskarżenia o morderstwo, wiedział o tym, a nie można oczekiwać od żadnej kobiety, żeby czekała na sześćdziesięcioletniego lub siedemdziesięcioletniego starca. Jeśli w ogóle wyjdzie.

Elly przesunęła się do przodu na krześle.

- No cóż... - Wstała niepewnie, nadal ściskając kurczowo swoją małą czarną torebkę. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek wcześniej nosiła torebkę; czuł się, jak gdyby przesiedział w więzieniu dziewięć lat zamiast dziewięciu dni, jak gdyby zmieniała się nieznacznie, gdy nie było go tam i nie widział tego.

On również stał, ściskając zwinięte kartki, aby nie wyciągnąć rąk w jej stronę.

- Dziękuję bardzo za wizytę, Elly. Ucałuj ode mnie dzieci i powiedz chłopcom, że dziękuję za te obrazki.

- Powiem.

- Pocałuj ode mnie Lizzy P.

- Po... - Głos jej załamał się w połowie, broda zaczęła się trząść i z trudem opanowała drżenie.

Spojrzeli na siebie, aż zaczęły błyszczeć ich oczy, a serca boleśnie waliły.

- Elly - wyszeptał i wyciągnął rękę.

Uścisnęli swe dłonie, zgniatając zwinięty papier - pełną uczucia i smutku wiadomość zawierającą to wszystko, co nie zostało powiedziane.

Łzy załśniły na jej powiekach.

- Muszę i... iść, Will - wyszeptała. Zrobiła krok w kierunku drzwi i zobaczył, że jej pierś zaczęła się podnosić, jak gdyby wstrząsał nią wewnętrzny płacz.

Zrozpaczony odwrócił się i podszedł w kierunku drzwi.

- Jestem gotowy, Hess! - Słowa te rozbrzmiewały w pustym pomieszczeniu, gdy Will zostawił Elly, aby mogła płakać do woli nie widziana przez nikogo.

Już nie wróciła. Jednak na drugi dzień przyszła panna Beasley, miała zasznurowane usta, a na twarzy wyraz surowej nagany.

- A więc co zrobiłeś temu dziecku? - spytała, zanim Will zdążył jeszcze przysiąść na

swoim krześle.

- Co? - Jego oczy były okrągłe ze zdziwienia.

- Co zrobiłaś Eleonorze? Przyszła do mnie do domu wczoraj wieczorem, zalewając się rzewnymi łzami, i powiedziała, że już jej nie kochasz.

- Będzie lepiej, jeśli będzie o tym przekonana.

- Draństwo! - Słowo to odbijało się echem od ścian i sprawiło, że Will zapomniał języka w gębie. Siedział w milczeniu, gdy panna Beasley w całej pełni dała wyraz swojemu oburzeniu. - Ona jest pańską żoną, panie Parker! Jak pan śmie traktować ją, jak gdyby była jakąś przelotną znajomością!

- Jeśli przyszła tu pani po to, aby robić mi piekło, może pani...

- Przyszłam właśnie w tym celu, młody zarozumiałcu! I nie mów do mnie takim tonem!

Will opadł na krzesło i rozwalił się na nim lekceważąco.

- Wie pani, to jest właśnie to, czego dzisiaj potrzebowałem.

- Potrzebujesz kogoś, kto by cię dobrze objechał, i właśnie dostaniesz za swoje. To, co powiedziałeś tej młodej kobiecie, sprawiło ją w bardzo zły stan. To teraz właśnie ją trzeba szczególnie wspierać.

- Ja mam ją wspierać! - Will zeszywniał i rozłożył dłonie na piersi. - Niech pani spyta, czy ona mnie wspiera!

- Och, przypuszczam, że siedzi pan tutaj nadąsany, ponieważ potrzebowała dziesięciu sekund, aby przetrwać oskarżenie szeryfa Goodloe, zanim się wzięła w garść.

- Przetrwać! Ona nie tylko to przetrwała! - Wskazał w kierunku Whitney. - Pomyślała, że to zrobiłem! Naprawdę pomyślała, że zabiłem Lulę Peak!

- Och, a więc pomyślała to, naprawdę? W takim razie dlaczego zamieszcza ogłoszenia w gazetach w Whitney i Calhoun, oferując nagrody za jakiegokolwiek wiadomości prowadzące do pańskiego uniewinnienia? Dlaczego samodzielnie znalazła dwunastu świadków, którzy będą zeznawać w pana obronie? Dlaczego nauczyła się prowadzić samochód i nie chciała...

- Prowadzić samochód!?

- Nie chciała skorzystać z mojej finansowej pomocy, a teraz po co jeździ po całym hrabstwie Gordon i rozdaje miód, aby ludzie zapomnieli o wszystkich tych okropnościach, jakie wygadywali o niej lata temu, i zadręcza szeryfa Goodloe, aby znalazł prawdziwego zabójcę? I dlaczego skontaktowała się z Hazel Pride i zabrała ją do tamtego opuszczonego domu, gdzie żadna kobieta, która wycierpiała tyle co ona, nigdy nie postawiłaby nawet nogi?

- Kto to jest Hazel Pride? - udało się wtrącić Willowi.

- Nasz miejscowy pośrednik w sprawach kupna i sprzedaży nieruchomości, tym właśnie zajmuje się Hazel. Eleonora wystawiła na sprzedaż dom swojego dziadka, aby opłacić wynagrodzenie adwokata i zapewnić panu najlepszą obronę, jaką może otrzymać człowiek w tym stanie. Aby to zrobić, musiała znowu znaleźć się w tamtym domu i w mieście pełnym zasługujących na pogardę tępaków, którzy nie są warci, aby się z nimi zadawać. A jednak zrobiła to dla pana, panie Parker! Ponieważ kocha pana tak bardzo, że dla pana stawiałaby czoło wszystkiemu. A pan tak odpłaca jej za to, nie chcąc przebaczyć reakcji, która byłaby również naturalna w pana przypadku, jeśli to ona byłaby wcześniej karana i znowu by ją oskarżono. - Panna Beasley opanowała się i wyprostowała na krześle przekonana o swojej racji. - Być może myliłam się co do tego, kim pan jest.

Will był tak oszołomiony, że skomentował najmniej istotny fakt.

- Powiedziała mi, że ktoś podwiózł ją do Calhoun.

- Ktoś ją podwiózł, hm! Jeździ tym godnym pożałowania samochodem, który pan sam zlepił śliną i związał sznurkiem, i jeśli nie zabije się, zanim to wszystko się skończy, to będzie prawdziwy cud. O mały włos nie zabiła Nata i Norrissa, już nie wspominając o budynkach, na które wjechała, i chodnikach, na które się wdarła. Co więcej, krzaki róży nie są już bezpieczne na trawniku na placu! Śmiertelnie się boi samochodu, ale, proszę zauważyć, że ścisła kurczowo kierownicę i jedzie! Prosto do Calhoun, czasami dwa razy na dzień, tylko po to, aby przyjechać do domu w przekonaniu, że pan jej nie kocha. No cóż, niech pan się wstydzi, panie Parker! - Panna Beasley pogroziła mu przed nosem palcem, jak gdyby miał dopiero sześć lat. - Teraz chcę, aby zastanowił się pan, jak bardzo ją zranił, zamiast siedzieć tutaj i myśleć tylko o sobie. I następnym razem, kiedy przyjdzie pana odwiedzić, proszę się poprawić.

Jak wielka ława przysięgłych panna Beasley nie dała Willowi szansy, aby odeprzeć zarzuty. Odeszła tak szybko, jak przyszła, dając mu poczucie, że właśnie wokół niego przeszło tornado.

W celi Will doświadczył dziwnych uczuć chwilowego ożywienia - Elly... prowadząca samochód? Elly... zbierająca świadków? Elly... wchodząca do tamtego domu?

Dla niego!

W pełni zrozumiał to, co zamierzała mu przekazać panna Beasley, i co zrobiła w sobie właściwy niezrównany sposób. Zmusiła go, by uświadomił sobie, jak bardzo Elly go kocha. Musi go kochać, aby stawić czoło wszystkim tym obawom i lękom, które sprawiały, że zamknęła się przy ulicy Rock Creek przez całe lata i trzymała z dala od ludzi w mieście, twierdząc, że ich nie potrzebuje.

Po wizycie panny Beasley apatia Willa znikła, zastąpił ją niepokój i nadzieja. Przemierzał dużymi krokami cełę, wyłamując palce i zastanawiając się, jakich to świadków znalazła Elly, uśmiechając się na samą myśl, że przekupuje ich miodem. Boże, co to za kobieta! Spacerował dalej... i zastanawiał się... i dziękował Opatrzności zarówno za Elly, jak i za Gladys Beasley.

Nie minęła godzina od odejścia tej drugiej, a Will podjął decyzję.

- Hess! - krzyknął - Hess, chodź tutaj! - Walił widelcem o kraty. - Hess, chcę, abyś przekazał wiadomość mojej żonie!

- Wolnego, Parker! - dobiegi z dużej odległości głos.

- Pośpiesz się, Hess!

- Już idę, już idę! - Zastępca szeryfa pojawił się na korytarzu. - O co chodzi?

- Czy szeryf może pojechać do mojego domu i przekazać wiadomość Elly, że chcę się z nią zobaczyć?

- Myślę, że tak.

- No cóż, złap go więc przez radio i powiedz, że będę ogromnie wdzięczny, jeśli zrobi to jak najszybciej.

- Zrobię to. - Hess zawrócił, ale zatrzymał się, obrócił, uśmiechnął się z przekąsem. - Panna Beasley może z całą pewnością dać komuś niezły wycisk, prawda?

- No pewnie! - odpowiedział Will, przeciągając ręką po włosach. - I to jeszcze jaki! Prawdę mówiąc, cieszyłem się, że siedzę bezpiecznie za tymi kratkami.

Hess roześmiał się, przeszedł dwa kroki i odwrócił się.

- Wszyscy o tym mówią. Dziwię się, że nic nie wiesz.

- Niby o czym nie wiem?

- Że twoja żona jeździ tym samochodem, jak gdyby nie było przydziałów, pełno jej wszędzie, biega, zjednując dla ciebie świadków, tak jak powiedziała panna Beasley. Wiesz, Elly i ja chodziliśmy razem do szkoły i należałem do tych, którzy nazywali ją wariatką. Jednak ludzie mówią teraz, że wywiedzie w pole oskarżyciela. Jest bliski szaleństwa, gdy zastanawia się, co ona i Collins wyciągną na światło dzienne w sądzie!

Serce Willa zaczęło walić z ożywienia.

- Czy możesz powiedzieć Collinsowi, że jego także chcę zobaczyć?

- Mógłbym, gdyby nie to, że wyjechał z miasta.

- Z miasta? Dokąd?

- Nie wiem. Ta twoja żona każe mu latać jak lisowi uciekającemu przed sforą psów i sprawdzać poszlaki. Jednak wiem jedno.

- Co?

- Pańska sprawa będzie na wokandzie w pierwszym tygodniu lutego.

- Tak szybko?

- Nie można nie doceniać tego starego ptaszka, zwłaszcza wtedy, kiedy twoja żona z nim pracuje. - Hess odchodził wolnym krokiem, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę i uśmiechnął znowu do Willa. - Wszyscy żartują sobie, tylko że tak naprawdę to wcale nie jest żart, to... - Hess podrapał się po głowie. - No cóż, można powiedzieć, że obdarzają ją szacunkiem o piętnaście lat za późno. Mówią: Oto idzie Elly Parker ze swoim miodem! - Odwracając się, Hess dodał: - Nikt nie jest pewny, czy naprawdę dała litr sędziemu Murdochowi, czy nie, ale powiadają, że to on udzielił wam ślubu i to jego również wyznaczono, by przewodniczył w waszym procesie. - Jeszcze raz zaśmiał się, idąc po korytarzu, gdy otworzył kolejne drzwi i dodał: - Przekażę wiadomość twojej żonie. - Następnie zatrzasnął je za sobą.

ROZDZIAŁ 23

Elly przysłała nowy garnitur, krawat w paski, białą koszulę ze spinkami i wypucowane buty od wojskowego munduru Willa, aby założył to wszystko w dniu procesu. Dołączyła też liścik: Wygramy tę sprawę, Will. Pozdrowienia, Elly. Ubrał się wcześniej, szczególnie zajmując się włosami, życząc sobie, aby były krótsze przy uszach, przeglądając się co i raz w lustrze i dotykając palcami ogolonej szczęki. Zaciskał węzeł krawata, poprawiał mankiety, odpinał i zapinał marynarkę. Na samą myśl, że znowu zobaczy Elly, był coraz bardziej napięty. Przechadzał się dużymi krokami po celi, wyłamywał kciuki, jeszcze raz zerkał do lustra. Znowu przejechał rękami przy uszach, martwił się, że nie wygląda odpowiednio elegancko - ani dla ławy przysięgłych, ani dla niej.

Patrząc sobie w oczy w lustrze, myślał o niej. Poczekaj, moja zielonooka, jeszcze ze mnie nie rezygnuj. Nie jestem takim głupkiem, jak można było ostatnio wywnioskować z mojego zachowania. Jak wygramy tę sprawę, pokażę ci, na co mnie stać.

Elly także starannie się ubrała. Na żółto. Musiała ubrać się tak, gdyż był to jej ulubiony kolor - kolor słońca i wolności. Uszyła sobie garsonkę z jasnożółtej gabardyny z wywatowanymi ramionami i z kieszeniami zapiętymi na guziki. Ona również zawróciła, aby przejrzeć się w lustrze. Poszła do fryzjera, ścięła włosy, aby Will nie wstydził się jej, gdy pojawi się publicznie. Patrząc na swoje kształtne brwi i koralowe usta, zobaczyła kobietę tak elegancką i modną jak na zdjęciach w salonie piękności Ermy. Poczekaj tylko, Will, kiedy to wszystko się skończy, będziemy dwojgiem najszcześniejszych ludzi na ziemi.

Siedząc teraz w sali sądowej i czekając, wpatrywała się w drzwi, bo wiedziała, że to przez nie wejdzie Will.

Kiedy tak się stało, spojrzeli na siebie i ich serca zabiły z radości. Nigdy wcześniej nie widziała go w garniturze. Wyglądał oszaleńczo, zaczesane i skropione brylantyną włosy wyglądały na ciemniejsze niż zwykle, miał elegancki krawat, a śniada cera ostro kontrastowała z białym kołnierzykiem koszuli.

Rozejrzał się, gdy wszedł, a kołnierzyk nagle zaczął go uwierać. Wiedział, że będzie miała na sobie żółty strój. Przeczuwał to! Ranne słońce, jak gdyby chciało to podkreślić, wpadło przez wysokie okno i padło bezpośrednio na nią. Boże, jak on ją kochał, chciał być dla niej wolny, być wolny razem z nią. Szedł po polakierowanym parkiecie, patrząc nadal na Elly. Włosy, co zrobiła z włosami? Ścięła je na krótko! Przycięte wysoko na szyi i przy uszach, piętrzyły się za to na górze. Fryzura ta uwydatniła w bardzo atrakcyjny sposób jej kości policzkowe. Chciał podejść, powiedzieć, jak ładnie wygląda, podziękować za garnitur i

liścik, powiedzieć, że ją kocha. Jednak Jimmy Ray Hess stał obok, a więc mógł tylko iść i rozglądać się. Uśmiechnęła się i dyskretnie poruszyła dwoma ułożonymi w literę V palcami. Słońce tym razem rzucało na niego ciepłe promienie. Poczul się podobnie jak kiedyś na stacji kolejowej w Auguście, kiedy zobaczył, jak przedziera się przez tłum. Uśmiechnął się na to wspomnienie.

Kobieta siedząca po lewej stronie Elly trąciła ją łokciem i pochyliła się, aby coś powiedzieć. Po raz pierwszy zauważył, że jest to Lidia Marsh. Po prawej ręce Elly zasiadła z surowym wyrazem twarzy panna Beasley, jak zwykle opanowana. Spojrzała na Willa, a on skinął jej głową przestraszony.

Z zaciśniętymi ustami odpowiedziała jednak na jego ukłon, tak że odetchnął z ulgą.

Przyjaciele. Prawdziwi przyjaciele. Znowu ogarnęło go poczucie wdzięczności, ale znowu nie było żadnego sposobu, aby to przekazać, mógł jedynie skinąć Lidii i rzucić Elly ostatnie długie spojrzenie, gdy zbliżył się do stanowiska obrony i odwrócił się do nich plecami.

Collins już tam był. Wyglądał jak znikowany kustosz prowincjonalnego muzeum w pogniecionym ciemnobrązowym wełnianym swetrze, pożółkłej bawełnianej koszuli o podejrzany zapachu i jedwabnym krawacie w różowe flamingi! Kiedy zdjęto kajdanki, wstał i uścisnął rękę Willa.

- Wszystko idzie dobrze. Widzę, że ma pan tutaj swoich kibiców.

- Nie chcę, aby moja żona zeznawała, Collins, proszę o tym pamiętać.

- Tylko wtedy, jeśli to będzie konieczne, mówiłem już panu.

- Nie! Rozszarpia ją na kawałki. Wywleką wszystkie te historie opowiadające o tym, że jest wariatką. Mnie może pan postawić w takiej sytuacji, ale nie ją.

- To nie będzie konieczne. Zobacz pan.

- Gdzie pan był wczoraj? Przesłałem wiadomość, że chcę pana zobaczyć.

- Proszę zamilknąć i zająć miejsce, Parker. Wyjechałem z miasta, aby ocalić pańską skórę, szukając świadków, których wykopała spod ziemi pana żona.

- Naprawdę tak było? Rzeczywiście zajęła się...

- Proszę wstać. Sąd idzie - sucho ogłosił urzędnik sądowy. - Odbędzie się teraz posiedzenie sądu hrabstwa Gordon, przewodniczy sędzia Aldon P. Murdoch.

Will patrzył, jak wchodzi sędzia Murdoch w czerni, i z trudem oparł się nagłemu impulsowi, by spojrzeć przez ramię i zobaczyć minę Elly. Murdoch obrzucił spojrzeniem salę sądową, zatrzymał na chwilę wzrok na Willu i przeszedł dalej. Chociaż wyraz jego twarzy był nieodgadniony, Will myślał o jednym: jakimkolwiek stało się to cudem, jego sprawa trafiła

do rąk uczciwego człowieka. Przeświadczenie to towarzyszyło mu stale, gdy przypominał sobie dwóch małych chłopców usadowionych na krześle i wyjadających razem galaretki z pudełka po cygarach.

- Proszę zająć miejsca - rozkazał Murdoch.

Siadając, Will pochylił się w stronę Collinsa i szepnął:

- Tak naprawdę nie przekupiła go chyba?

Para okularów wisiała na porowatym nosie Collinsa. Spojrzał przez nie na dokumenty, które właśnie wyciągał ze zdartej walizki.

- Chyba pan żartuje? Nie można na niego wpłynąć w żaden sposób. Tak szybko podałby ją do sądu, że słoik miodu wyleciałby w powietrze jak z procy.

Rozpoczął się proces.

Obie strony przedstawiły wstępne oświadczenia. Collins tak cedził słowa, że robił wrażenie, iż nie wyspał się poprzedniej nocy.

Oskarżyciel Edward Slocum z pasją wygłosił pełną retorycznych ozdobników przemowę.

O połowę młodszy od Collinsa, prawie dwukrotnie przewyższał go wzrostem. W schludnym niebieskim serżowym garniturze, świeżej koszuli i krawacie wyglądał tak elegancko, że Bob Collins nieuchronnie wydawał się przy nim zaniedbany. Miał dźwięczny niski głos, wyprostowaną sylwetkę, a Collins tymczasem prezentował się, jak gdyby wybierał się na cmentarz. Slocum miał czarne oczy, którymi patrzył na wszystkich wyteżonym wzrokiem, mierzył uważnie każdego z osobna. Na samym czubku jego głowy sterczała fala ciemnych włosów. Nadawała mu ona wygląd zadziornego koguta, który nie pozwala nikomu na swej grzędzie kwakać bez pozwolenia. Elokwentny i robiący wrażenie imponującą sylwetką Slocum obiecywał, że przedstawi bezsporne dowody i wykaże ławie przysięgłych ponad wszelką wątpliwość, iż Will Parker z zimną krwią i ze złośliwą premedytacją zamordował Lulę Peak.

Słuchając tych dwóch mężczyzn, Will nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdyby należał do ławy przysięgłych, uwierzyłby w każde słowo Slocuma i zastanawiałby się, czy prawnik reprezentujący obronę jest rzeczywiście tak zgrzybiały, jak na to wygląda.

- Oskarżenie wzywa na świadka szeryfa Reece'a Goodloe.

Przesłuchując swojego świadka, Slocum stał przed nim sztywno z rozstawionymi stopami i złączonymi kolanami. Wiedział, jaki zrobić użytek ze wzroku, jak przeszywać nim świadka, jak gdyby każda odpowiedź prowadziła do rewelacji, od których zależy wynik procesu. Wnioski przekazywał ławie przysięgłych w odpowiednim momencie, tak aby zapa-

dłży im w pamięć najbardziej obciążające części zeznań.

Od szeryfa Goodloe ława przysięgłych dowiedziała się, że Will był w przeszłości karany, dowiedziała się też o istnieniu szmaty od kurzu i o liście z inicjałami oskarżonego i o tym, że sam się przyznał, iż czyta „Atlanta Constitution”.

Kiedy Bob Collins wstał i zaczął szurać nogami, połowa obecnych na sali rozpraw stłumiła chrząknięcie. Poświęcał tyle czasu każdemu pytaniu, że przysięgli kręcili się niespokojnie. Kiedy w końcu przeszedł do następnego punktu, ich ramiona zdawały się opaść z ulgą. Nie rozglądał się, lecz patrzył na podłogę i na palce swoich zdartych brązowych półbutów. Na twarzy miał półuśmiech, jak gdyby znał jakiś zabawny sekret, którym podzielił się z innymi w stosownym czasie.

Pytania zadane szeryfowi Goodloe ujawniły, że Will Parker odsiedział swój wyrok w więzieniu, był wzorowym więźniem i został zwolniony. Ujawniły również, że szeryf Goodloe sam czyta codziennie „Atlanta Constitution”.

Koścista kobieta w okularach - niejaka Barbara Murphy, która, jak oświadczyła, zajmuje się składem gazety „Atlanta Constitution”, stwierdziła bezspornie, że list został wycięty z jednego lub kilku egzemplarzy tego dziennika. Poddana szczegółowemu przesłuchaniu panna Murphy wyznała, że nakład tej gazety wynosi 143 261 sztuk. Calhoun jest jednym ze 158 hrabstw administracyjnych w stanie. Można więc założyć, że przysyła się tam dziennie około dziewięciuset egzemplarzy „Atlanta Constitution”.

Od starszego koronera hrabstwa Elliota Mobridge'a, który wyglądał na zmęczonego życiem, ława przysięgłych dowiedziała się, kiedy i w jakich okolicznościach nastąpił zgon oraz że Lula Peak nosiła w swym łonie czteromiesięczny płód i nie ma możliwości ustalenia, kto jest sprawcą ciąży denatki.

Od oszczędnej w słowach Leslie McCooms - eksperta medycyny sądowej - wszyscy otrzymali informację, że na szyi Luli Peak wykryto takie same drobiny kurzu i cytrynowego płynu jak na porwanej szmacie. Szyja zmarłej pokryta była też siniakami zadanymi prawdopodobnie przez mężczyznę.

Po naradzie obrona zwolniła świadka, zachowując prawo do dalszych pytań w przyszłości.

Gladys Beasley, wzorowa obywatelka nie pierwszej młodości, ciesząca się powszechnym szacunkiem, oznajmiła, że ścierka i płyn cytrynowy (dowód rzeczowy A) istotnie mogą pochodzić z miejskiej biblioteki w Whitney, gdzie zatrudniono Willa Parkera, który pracował w nocy, kiedy zamordowano Lulę Peak. Panna Beasley przyznała również, że biblioteka prenumeruje dwa egzemplarze „Atlanta Constitution” i ona sama pozwoliła

Willowi Parkerowi zabierać do domu jeden z dwóch egzemplarzy po trzech dniach.

Było to zeznanie, jakiego Will oczekiwał, mimo to poczuł się wstrząśnięty. Wszystko brzmiało bardzo obciążająco, kiedy padało z ust świadków związanych przysięgą, siedzących na twardym drewnianym krześle na podwyższeniu obok podium sędziego.

Jednak sytuacja nieznacznie się zmieniła, kiedy Robert Collins zaczął szczegółowo indagować pannę Beasley.

- Czy panna Lula Peak kiedykolwiek odwiedziła bibliotekę, kiedy był tam Will Parker?

- Mogę stwierdzić z największą pewnością, że było tak istotnie.

- A czy rozmawiała z panem Parkerem?

- Tak.

- Skąd pani o tym wie?

- Słyszałam wyraźnie całą rozmowę, siedząc przy swoim biurku. Biblioteka jest tak zaprojektowana, a biurko tak usytuowane, że widzę, a częstokroć i słyszę wszystko, co się dzieje. Sufity są wysokie i głos odbija się od nich.

- Kiedy usłyszała pani pierwszą taką rozmowę pomiędzy Peak a Parkerem?

- Drugiego września 1941 roku.

- Na jakiej podstawie ma pani pewność co do daty?

- Ponieważ pan Parker poprosił o kartę czytelnika, a ja zaczęłam ją wypełniać, zanim uświadomiłam sobie, że nie pokazał dowodu stałego zamieszkania. Wypełniłam kartę atramentem i dlatego nie mogłam tego wymazać i użytkować ponownie dla innego czytelnika. Stosując się do zasady, aby niczego nie marnować - Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie - schowałam kartę pana Parkera w osobnym miejscu, aby wykorzystać ją, kiedy powróci z jakimś dowodem stałego zamieszkania, a byłam pewna, że to nastąpi. Obecnie nadal posługuję się tą oryginalną kartą, na której przekreśliłam datę drugiego września.

Tu panna Beasley pokazała kartę czytelniczą Willa, którą zabrano jako dowód B.

- Tak więc - mówił nadal Collins - w dniu drugim września przypadkowo usłyszała pani rozmowę pomiędzy Lulą Peak a Williamem Parkerem. Czy mogłaby pani powtórzyć tę rozmowę tak dokładnie, jak pozwala pani pamięć?

Panna Beasley, sztywna, opanowana i dokładna ponad wszelką wątpliwość, powtórzyła słowo w słowo to, co usłyszała tamtego dnia, kiedy Lula usiadła naprzeciwko Willa, położyła mu stopę na udach, kiedy uwięziła go pomiędzy półkami i usiłowała uwieść, kiedy mściwie zarzucała jego żonie, że zwariowała już w dzieciństwie, a przecież sama panna Beasley zapamiętała Eleonorę See jako inteligentną, dociekliwą uczennicę z talentem do

rysunku. Powiedziała, jak Will grzecznie, ale stanowczo i szybko wyszedł wtedy z biblioteki, i o innych dniach, kiedy to Lula przyszła za nim do biblioteki pod pretekstem „wnoszenia się na wyższy poziom” pod wpływem lektury, a nigdy nie zadała sobie nawet najmniejszego trudu, aby coś wypożyczyć.

Słuchając zeznania, Will siedział w napięciu. Po tym, jak objechała go zdrowo, obawiał się jej antypatii, gdy zacznie zeznawać. Powinien wcześniej się domyślić. Nie miał większego przyjaciela niż Gladys Beasley. Kiedy pozwolono jej odejść, przeszła obok krzesła oskarżonego niczym instruktor musztry, nie patrząc nawet w jego kierunku, ale wiedział i to ponad wszelką wątpliwość, że niewzruszenie wierzy, iż jest niewinny.

Panna Beasley była ostatnim świadkiem oskarżenia. Teraz nadeszła kolej Collinsa.

Trzydzieści sekund zajęło mu powstanie z krzesła, sześćdziesiąt obrzucenie wzrokiem siedzących na balkonie, piętnaście zdejmował okulary. Zachichotał, spojrzął na buty i zawołał:

- Obrona wzywa panią Lidię Marsh.

Czarnowłosa Lidia Marsh w jasnoniebieskiej sukience, w której wyglądała tak pięknie jak madonna, wypowiedziała słowa przysięgi i oznajmiła, że jest żoną i matką dwojga dzieci, a jej mąż walczy „gdzieś we Włoszech”. Uważny obserwator mógł zobaczyć niemal nieuchwytną aprobatę przysięgłych. Złagodniał wyraz ich ust i oparli swobodnie ręce na brzuchu. Z pewnością dostrzegł to Robert Collins i zamierzał wykorzystać poczucie patriotyzmu, które tak nagle przybrało na sile u każdego Amerykanina siedzącego na tej ławie przysięgłych.

- Od jak dawna zna pani Willa Parkera, pani Marsh?

Pytania były rutynowe, dopóki Collins nie poprosił Lidii, aby opowiedziała o tym, co stało się w dniu, kiedy Will Parker wyjeżdżał, aby wstąpić do oddziałów marines.

- Przechodził koło mojego domu - wspominała Lidia - zawołał mnie i zatrzymał się przy furtce. Zachowywał się nieco nerwowo i może był trochę zakłopotany...

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Świadek wyciąga wnioski.

- Podtrzymuję sprzeciw.

Kiedy Lidia Marsh mówiła dalej, usilnie starała się przedstawić wszystko jak najdokładniej.

- Pan Parker na początku unikał mojego wzroku i pocierał nerwowo rękami spodnie. Kiedy zeszedł do niego, aby się pożegnać, dał mi zielony ręcznik i słoik z miodem. Przyznał się, że ukradł te przedmioty mniej więcej półtora roku wcześniej, kiedy był w bardzo trudnej sytuacji i nie miał pieniędzy. Gdy ukradł ten słoik, była w nim maślanka, zabrał go spod

naszej studni. A zielony ręcznik zdjął ze sznurka z bielizną razem ze znoszonymi ubraniami mojego męża. Przeprosił i powiedział, iż cały czas go gnębiło, że nas okradł i zanim pójdzie na wojnę, chciałby to naprawić. Tak więc przynosi mi miód, ponieważ musi jakoś odpłacić za krzywdę.

- Ponieważ myślał, że może już nie mieć okazji. Obawiał się, że może zginąć w czasie wojny?

- Nie powiedział tego, o nie. Nie należy do tego typu ludzi. Jest mężczyzną, który wiedział, że musi walczyć, i poszedł, aby to zrobić, nie skarżąc się. Postąpił tak samo jak mój mąż.

- A w ostatnim czasie, pani Marsh, odkąd William Parker powrócił z Oceanu Spokojnego, czy słyszała pani o jakichś kłótniach pomiędzy nim a jego żoną?

- Wręcz przeciwnie. Są ogromnie szczęśliwi. Sądzę, że nie miał najmniejszych powodów, aby szukać towarzystwa takiej kobiety jak Lula Peak.

- A co sprawia, że jest pani o tym przekonana?

Lidia zwróciła wzrok na Elly i zarumieniła się.

- Ponieważ Elly, pani Parker, to jest... ostatnio powiedziała mi w zaufaniu, że spodziewa się ich pierwszego dziecka.

Will doznał wstrząsu, jak gdyby go nagle ogłuszono. Odwrócił się na krześle, a jego oczy poszukały Elly. Podniósł się lekko, ale prawnik delikatnie dał mu znać, aby usiadł. Radość sprawiła, że rozgrzały się mu policzki. Spojrzał na brzuch żony, a następnie jeszcze raz podniósł wzrok i patrzył, jak Elly się rumieni. Czy to prawda, Elly? Nie padło ani jedno słowo, ale wszyscy na sali sądowej wyczuli je sercem, choć nic nie usłyszeli. I wszyscy obecni zobaczyli, że Elly uśmiecha się w odpowiedzi i nieznacznie kiwa głową. Patrzyli, jak Will uśmiecha się promiennie i radośnie. I wszystkie dwanaście osób w ławie przysięgłych, matki i ojcowie, poczuło, że wzruszenie chwyta ich za serce.

Szmer rozszedł się po sali i uciszył się dopiero wtedy, gdy Collins zwolnił świadka i ogłosił, że urzędnik przeczyta opinię na temat służby wojskowej Willa, która dołączona zostanie do akt. Urzędnik, mały zniewieściały mężczyzna z wysokim głosem, czytał raport z brwiami podniesionymi i wyrazem aprobaty na twarzy. Akta United States Marine Corps charakteryzowały Williama L. Parkera jako dzielnego żołnierza, który umiał wykonywać rozkazy i dowodzić ludźmi, w ten sposób zasługując na miano dowódcy oddziału w czasie podstawowego szkolenia wojskowego i w czasie walki, uzyskał też awans na stopień kaprała, zanim został zwolniony ze względu na odniesione obrażenia w maju 1943 roku. W aktach znajdowała się również pochwała pułkownika Merritta A. Edsona, dowódcy First Marine

Raiders, podkreślająca odwagę, jaką Will odznaczył się w czasie bitwy, i opisująca czyny, dzięki którym odznaczony został Purpurowym Sercem. Miały one miejsce w czasie zdarzenia, które obecnie korespondenci wojenni nazywają „najkrwawszą bitwą na Morzu Koralowym, na Bloody Ridge”.

Na sali sądowej panowała pełna szacunku cisza, gdy urzędnik zamknął swe akta. Collins miał ławę przysięgłych po swojej stronie i wiedział o tym. Zdobył ich opowieścią o godności, uczciwości i odwadze żołnierskiej. Teraz pozyska ich odrobiną humoru.

- Obrona wzywa na świadka Nata MacReady.

Nat opuścił miejsce obok Norrisa i pośpieszył do przodu. Chociaż się garbił, szedł z zadziwiającą zwinnością jak na kogoś w tym wieku. Wyglądał elegancko w swej wełnianej bluzie od munduru wojskowego z czasów pierwszej wojny światowej z matowymi złotymi gwiazdami i paskami porucznika. Było oczywiste już na pierwszy rzut oka, że Nat jest dumny, iż powołano go na świadka, aby pomógł zatriumfować sprawiedliwości. Zapytany, czy będzie mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, odpowiedział:

- Mogę się z panem o to założyć, synu. To oczywiście jak słońce.

Sędzia Murdoch rzucił gniewne spojrzenie, ale pozwolił, żeby z galerii doleciał śmiech, gdy Nat pełen zapału sadowił się na brzeżku krzesła.

- Proszę podać nazwisko.

- Nataniel MacReady.

- Pana zawód.

- Jestem emerytowanym przedsiębiorcą. Zajmowałem się dostawą lodu na południu miasta od dwudziestego szóstego roku życia wraz z bratem Norrisem.

- O jakie miasto chodzi?

- Oczywiście, że o Whitney.

- Mieszka pan tutaj przez całe życie, prawda?

- Tak. Całe życie z wyjątkiem czternastu miesięcy w siedemnastym i osiemnastym, kiedy Wuj Sam zafundował mi darmową wycieczkę do Europy.

Rozległ się śmiech pełen aprobaty. Collins cofnął się i pozwolił, aby mundur mówił sam za siebie; nikt z tu obecnych nie mógł nie odczuć, że Nat jest dumny, iż znowu ma go na sobie.

- Tak więc od ilu lat jest pan na emeryturze?

- Od piętnastu lat.

- Piętnaście lat... - Collins podrapał się w głowę, wpatrując w podłogę. - Musi się pan trochę nudzić po piętnastu latach bezczynności.

- Bezczywności! No cóż, mój synu, musisz wiedzieć, że mój brat i ja zorganizowaliśmy straż obywatelską i chodzimy co wieczór po mieście, pilnujemy, aby przestrzegano godziny policyjnej, oraz czatujemy na samoloty japońskie, prawda, Norris?

- Oczywiście - odpowiedział z sali Norris, co wywołało kolejną kaskadę śmiechu, którą sędzia Murdoch musiał uciszyć uderzeniem młotka.

- Obrona powinna pouczyć swojego świadka, aby odpowiedzi skierowane były do sądu, a nie do widzów - rozkazał Murdoch.

- Tak, Wysoki Sądzie - odpowiedział Collins pokornie, a później znowu podrapał się w głowę, czekając, aż sala się uciszy. - A teraz, zanim przejdziemy do omówienia pańskich obowiązków w ochotniczej straży, czy mógłby pan na coś rzucić okiem? - Ze swojej obszernej kieszeni Collins wyciągnął małą drewnianą rzeźbę i wręczył Natowi. - Czy pan to zrobił?

Nat wziął ją do ręki, odpowiadając:

- Wygląda jak moja robota. - Odwrócił przedmiot do góry nogami, obejrzał go z bliska, był bowiem krótkowidzem, i dodał: - Tak jest. Wszystko się zgadza. Pod spodem znajduje się mój monogram.

- Proszę powiedzieć sądowi, co to jest.

- To drewniana rzeźba przedstawiająca dzikiego indyka. Skąd pan to wziął?

- Z apteki w Whitney. Zapłaciłem za to dwadzieścia dziewięć centów w dziale z pamiątkami.

- Czy pan Haverty wie, że ma to zapisać w swoich rachunkach tak, abym mógł dostać kredyt?

Sędzia zastukał młotkiem.

- Oczywiście, że tak, panie MacReady - odpowiedział Collins, a towarzyszył temu cichy śmiech zgromadzonych. Pośpieszył z kolejnym pytaniem, bo nie chciał dopuścić, by sędzia Murdoch i tak już z poważnym wyrazem twarzy, rozgniewał się jeszcze bardziej: - A gdzie pan to zrobił?

- Na placyku.

- Na jakim placyku?

- Na miejskim placyku w Whitney. To tam właśnie ja i brat spędzamy większość czasu na ławce pod drzewem magnoliowym.

- Strugając?

- Oczywiście, że strugając. Niech pan mi pokaże próżnującego starca, a ja wskażę wtedy osobę, której nazwisko znajdzie się w przyszłym roku w nekrologu.

- I kiedy pan tak struga, widzi chyba, co dzieje się w mieście, prawda?

Nat podrapał się w głowę.

- Sądzę, że moglibyśmy powiedzieć, iż niedużo umyka naszej uwadze, prawda, Norris? - Roześmiał się, a zgromadzeni na sali zawtórowali, co oznaczało, iż istotnie mało dawało się ukryć przed braćmi.

Tym razem Norris uśmiechnął się tylko i powstrzymał od odpowiedzi.

Tymczasem Collins wyjął kieszonkowy nożyk i zaczął czyścić paznokcie, tak jak gdyby kolejne pytanie miało małe znaczenie.

- Czy kiedykolwiek widział pan, jak Lula Peak przechodzi przez plac?

- Prawie codziennie. Była kelnerką u pana Vickery, wie pan, a nasza ławka stoi akurat naprzeciwko, mamy więc doskonały widok na kawiarnię, bibliotekę i prawie wszystkich przechodzących lub przejeżdżających przez plac.

- Tak więc w ciągu ostatnich lat widywał pan często Lulę idącą w tę lub tamtą stronę?

- A pewnie!

- Czy kiedykolwiek widział pan, jak Lula Peak przychodzi i odchodzi z jakimiś mężczyznami?

Nat wybuchnął śmiechem i uderzył się w kolano.

- Ho! Ho! To dobre pytanie, prawda, Norris? - Cała sala również parsknęła śmiechem.

- Proszę udzielić odpowiedzi, panie MacReady - wtrącił sędzia.

- Przychodziła i odchodziła z większą liczbą mężczyzn, niż służy we flocie na Oceanie Spokojnym!

Tu rozległ się jeszcze większy śmiech, a Murdoch musiał znowu uderzyć młotkiem.

- Niech nam pan opowie o niektórych mężczyznach, jakich pan z nią widział - podpowiedział Collins. - Kiedy to się zaczęło?

- Jak tylko sięgnę pamięcią. No cóż... - Nat podrapał się w brodę i zaczął wpatrywać się w czubek brązowych krytych wysokich butów. - Zastanówmy się, to było już dość dawno temu. Zawsze bardzo lubiła mężczyzn. Trudno mi dokładnie określić, kogo widziałem z nią najpierw, ledwie wtedy wyrosła, był to chyba pewien śniady facet, który obsługiwał diabelskie koło w wesołym miasteczku w czasie dni Whitney. Mogło to być w dwudziestym czwartym...

- Dwudziestym piątym - przerwał z dołu Norris.

Slocum zerwał się na równe nogi.

- Sprzeciw! - wrzasnął właśnie wtedy, gdy sędzia zastukał młotkiem. - To nie jest proces Luli Peak! - wtrącił oskarżyciel - lecz Williama Parkera!

Collins zauważył spokojnie:

- Wysoki Sądzie, reputacja zmarłej ma znaczenie najwyższej wagi. Moim zamiarem jest ustalenie, że prowadząca rozwiązły tryb życia Lula Peak mogła zajść w ciążę z jednym z tuzina mężczyzn, z którymi, jak wiadomo, się zadawała.

- Dając do zrozumienia, że poczęcie nastąpiło w 1925 roku! - odparował Slocum ze złością. - Wysoki Sądzie, ten wywód jest absurdalny!

- Próbuję pokazać, jak wyglądało życie seksualne denatki, Wysoki Sądzie, jeśli pan mi pozwoli.

Sprzeciw został odrzucony, jednak Collins otrzymał ostrzeżenie, aby panował nad tendencją świadka do przemawiania do publiczności i wyciągania od niej odpowiedzi.

- Czy kiedykolwiek widział pan, jak Lula Peak wychodziła i przychodziła z Willem Parkerem?

- Widziałem, jak próbowała go poderwać. Ho, ho, ta mała bardzo się starała, począwszy od pierwszego dnia, kiedy przyszedł do miasta i poszedł tam, gdzie pracowała.

- Tam, to znaczy do kawiarni pana Vickery?

- Tak jest. I od tej pory za każdym razem, gdy widziała, jak idzie do miasta i przechodzi przez plac, wychodziła zamiatać chodnik, a kiedy nie zwracał na nią żadnej uwagi, szła za nim, gdziekolwiek on szedł.

- Tak jak na przykład... - zachęcił go Collins.

- ...tak jak na przykład do biblioteki, kiedy poszedł tam wypożyczyć książki lub sprzedać mleko i jajka pannie Beasley. W ciągu dwóch minut Lula zdejmowała fartuch i co tchu leciała za młodym Parkerem. Jestem już starym człowiekiem, panie Collins, ale nie jestem na tyle stary, by nie rozpoznać rozpalonej kobiety ani takiej, którą odrzucił mężczyzna...

- Sprzeciw!

- Widziałem też, kiedy Lula wybiegła z biblioteki, miotając przekleństwa...

- Sprzeciw!

- I z tego, co widziałem, z całą pewnością nie ugaszono jej żądzy...

- Sprzeciw!

Minęła minuta, zanim umilkł zgiełk. Chociaż sędzia rozkazał, aby usunąć opinie Nata z akt, Collins wiedział, że nie można tego usunąć ze świadomości przysięgłych. Lula Peak puszczała się na prawo i lewo. Zanim Nat skończył, wszyscy zdawali sobie z tego sprawę i oskarżali ją, a nie Willa Parkera.

- Panie MacReady - wyjaśniał spokojnie Collins - rozumie pan, że zajmujemy się tutaj

faktami i tylko faktami, a nie opiniami.

- Tak, tak, oczywiście.

- Faktami, panie MacReady. A teraz, czy może pan uznać za fakt, że Lula Peak prowadziła rozwiązły tryb życia i utrzymywała kontakty seksualne z więcej niż jednym mężczyzną w okolicy Whitney?

- Tak, proszę pana. Przynajmniej, jeśli można wierzyć Orlanowi Nettlesowi. Powiedział mi raz, że przydybał ją na stadionie pod ławkami w czasie rozgrywek krykietowych pomiędzy drużynami Szerszeni z Whitney i Tygrysów z Grove City.

- Przydybał ją. Czy może pan wyrażać się bardziej precyzyjnie?

- Mógłbym, gdyby nie obecność dam.

- Czy sam Orlan też użył słowa przydybać?

- Nie, proszę pana.

- A więc jakiego słowa użył?

Nat zarumienił się i zwrócił do sędziego:

- Czy muszę to powiedzieć, Wysoki Sądzie?

- Zeznaje pan pod przysięgą, panie MacReady.

- A więc dobrze. Zerznął ją, Wysoki Sądzie. Orlan powiedział mi, że zerznął Lulę Peak pod siedzeniami w parku Skeets Hollow w czasie rozgrywki pomiędzy Szerszeniami z Whitney a Tygrysami z Grove City.

Słychać było, jak Alma Nettles, żona Orlana, siedząca z tyłu, ciężko oddycha. Collins zauważył, jak oczy przysięgłych zwracają się w jej stronę, i poczekał, aż znowu odzyska całą uwagę.

- Mówił, że kiedy to miało miejsce?

- Było to tej nocy, kiedy Szerszenie wygrały siedem do sześciu pod koniec dziewiątej rozgrywki. Norris i ja nigdy nie opuszczamy rozgrywek i zawsze notujemy wyniki, prawda, Norris? - Norris skinął, gdy Nat wręczył Collinsowi świstek białego papieru. - Oto dowód, było to w lato w zeszłym roku, chociaż nie wiem, dlaczego koniecznie musiałem to przynosić. Połowa mężczyzn w Whitney zna tę datę, ponieważ Orlan opowiedział o tym całej naszej paczce, prawda, Norris?

- Proszę zadać ostatnie pytanie - rozkazał sędzia Murdoch, gdy łkająca Alma opuściła salę w ramionach jakiejś troskliwej matrony.

Pomimo pomruku dochodzącego z sali, Collins zapytał Nata:

- Czy kiedykolwiek widział pan Lulę Peak z mężczyzną... powiedzmy, w kompromitującej sytuacji?

- Tak, proszę pana, on był inżynierem kolei LiN i zwykł zatrzymywać się w pensjonacie panny Bernadetty Werm. Nie jestem pewny, jak się nazywał, ale miał gęstą rudą brodę i tatuaż węża na ramieniu. Panna Werm na pewno pamięta nazwisko. W każdym razie złapałem ich pewnego dnia w trakcie, jak można by powiedzieć, przy potoku, gdzie łowiłem ryby. Byli golusieńcy jak święci tureccy i kiedy wpakowałem się na nich, Lula odrzuciła głowę, zaśmiała się i powiedziała do mnie: Co pan jest taki przerażony, panie MacReady? Dlaczego pan się do nas nie dołączy?

Z ławek doleciało długie „och”, jakie zgodnym chórem wydały z siebie wszystkie kobiety.

- Jeszcze jedno dla zupełnej jasności, panie MacReady, kiedy mówi pan, że byli w trakcie, ma pan na myśli akt płciowy?

- Tak, proszę pana, to właśnie mam na myśli.

Collins poświęcił nadmierną ilość czasu na wyciągnięcie z kieszeni pogniecionej chusteczki, wytarcie nosa, pozwalając, aby ostatnia część zeznania zapadła głęboko w pamięci każdego przysięgłego i wielu innych osób, które nie miały decydującego głosu. W końcu włożył do kieszeni chusteczkę i znowu podszedł do świadka.

- A teraz powróćmy znowu, jeśli można, do pańskiej bardzo ważnej pracy, należy pan bowiem do straży obywatelskiej. Kiedy patrolował pan w nocy miasto w ciągu ostatnich miesięcy i tygodni, czy jest prawdą, że częstokroć widział pan jeden samochód zaparkowany za domem Luli Peak?

- Tak, proszę pana.

- Czy wiedział pan, czyj to jest samochód?

- Tak, należał do Harleya Overmire'a. Czarny ford numer rejestracyjny PV 628. Parkuje go za krzakami jałowca w bocznej uliczce. Widziałem go tam wiele razy, przynajmniej kilka razy na tydzień w zeszłym roku. Widziałem również, jak Harley czasami zmierzał do domu Luli Peak w środku dnia, kiedy nie pracowała. Parkował wtedy samochód na placu, wchodził do kawiarni, jak gdyby chciał zjeść tam lunch, pukał w tylne drzwi i szedł boczną uliczką do jej domu, który stoi zaraz za rogiem.

- I widział pan Lulę Peak ostatnio z kimś jeszcze.

- Tak było i prawdę mówiąc, z niechęcią wyznam to publicznie. Nikt nie chce zranić chłopca w tym wieku, ale jest prawdopodobnie zbyt młody, by uświadomić sobie...

- Proszę po prostu nam powiedzieć, kogo pan zobaczył, panie MacReady - przerwał Collins.

- Młodszego syna Harleya Neda.

- To był syn Harleya Overmire'a, Ned Overmire?

- Tak, proszę pana.

- Proszę nam powiedzieć, ile lat ma pana zdaniem Ned Overmire.

- Och, powiedziałbym czternaście lub coś koło tego. Nie więcej niż piętnaście, to pewne. W każdym razie jest w dziewiątej klasie, wiem to dobrze, bo moja siostrzenica Delwyn Jean Potts w tym roku go uczy.

- I czy widział pan Lulę Peak z Nedem Overmire'em?

- Tak, proszę pana. Przed samą kawiarnią pana Vickery. Zamiatała znowu, zawsze zamiata, kiedy chce... no cóż... wie pan... złapać faceta, można by rzec. W każdym razie młody Ned idzie sobie po chodniku pewnego dnia kilka tygodni temu, a tu ona zatrzymuje go, tak samo jak na moich oczach zatrzymywała tuziny innych, wsuwając długie paznokcie pod ich koszulę i łaskocząc. Powiedziała, że jest gorąco, niech więc wejdzie do środka, a ona da mu lody za darmo. Wszystko słyszałem bardzo wyraźnie. Do cholery, myślę, iż nawet chciała, abym to usłyszał. Ona zawsze w pewien sposób szydziła sobie ze mnie po tym, jak nakryłem ją z tamtym kolejarzem. Lody - hm!

- I czy chłopiec poszedł za nią do środka?

- Tak właśnie było. Dzięki Bogu wyszedł stamtąd za kilka minut z truskawkowymi lodami w ręku, a Lula podeszła za nim do drzwi i zawołała: Przyjdź jeszcze tutaj, czy słyszysz?

- I czy przyszedł?

- Nie widziałem, aby to zrobił, nie.

- No cóż, dzięki Bogu i za to - wymamrotał Collins.

Po tym stwierdzeniu usłyszano uderzenie sędziowskiego młotka, jednak ława przysięgłych patrzyła na niego z aprobatą.

- Czy jest pan pewny, że Lula utrzymywała kontakty seksualne z innymi wskazanymi mężczyznami?

- Tak, proszę pana.

- A czy panu wiadomo, że Luli Peak kiedykolwiek udało się zwrócić na siebie uwagę Willa Parkera?

- Nie, proszę pana, nigdy jej się nie udało, przynajmniej nic nie wiem na ten temat.

- Świadek do dyspozycji oskarżenia.

Próba Slocuma, aby zdyskredytować Nata MacReady jako zgrzybiałego głuchego i krótkowzrocznego starca, okazała się zupełnie chybiona. MacReady miał niesamowitą pamięć i ozdabiał swoje wspomnienia barwnymi anegdotami, które były tak żywe, że przesłuchanie

okazało się bardziej korzystne dla obrony niż dla oskarżenia.

Kiedy Nat zszedł z miejsca dla świadków, Collins wstał, aby ogłosić.

- Obrona wzywa na świadka Norrisa MacReady.

Pojawił się Norris, mając na sobie tak jak brat nieco podniszczony mundur z czasów pierwszej wojny światowej z kołnierzykiem opadającym luźno na pomarszczoną szyję. Jego wysokie czoło lśniło czystością, gdyż dobrze je wyszorował, a na skórze uwydatniły się plamy wątrobiane. Slocum zacisnął usta i przeklął cicho, a następnie przejechał ręką po głowie, niszcząc sterczącą falę włosów.

- Proszę podać imię i nazwisko.

- Norris MacReady.

- Zawód?

- Przeszedłem na emeryturę w tym samym roku co Nat, a wcześniej zajmowałem się dostawą lodu.

Tu nastąpiła seria pytań odnosząca się do ustanowienia straży obywatelskiej w Whitney i zasad jej funkcjonowania, a później Collins przeszedł do bardziej istotnych pytań.

- W nocy 17 sierpnia 1943 roku, gdy kontrolowaliście miasto w czasie godziny policyjnej, czy słyszał pan rozmowę, jaka miała miejsce przy tylnych drzwiach biblioteki miejskiej w Whitney?

- Tak, słyszałem.

- Czy może pan nam o niej opowiedzieć?

Oczy Norrisa zrobiły się okrągłe i patrzył to na obrońcę, to na sędziego.

- Czy myśli pan, że powinienem powtarzać to tak, jak powiedziała Lula Peak?

- Wszystko to, co pan usłyszał, dokładnie co do słowa, tak - odpowiedział sędzia.

- No cóż, dobrze... ale paniom na sali sądowej na pewno się to nie spodoba.

- Zeznaje pan pod przysięgą, panie MacReady.

- A więc w takim razie dobrze... - Jako dżentelmen starej daty Norris wahał się jeszcze. Następnie zadał kolejne pytanie: - Czy myśli pan, że mogę to przeczytać zamiast mówić?

Slocum zerwał się na równe nogi, zgłaszając sprzeciw.

- Niech Wysoki Sąd pozwoli mi potwierdzić ważność materiału - przerwał szybko Collins.

- Oddalam sprzeciw, ale proszę to wykazać jednym pytaniem, czy to jasne, panie Collins?

- Tak jest. - Collins zwrócił się do Norrisa. - Co chciałby pan przeczytać?

- Fragmenty raportów. Nat i ja prowadzimy sumiennie dziennik, prawda, Nat?

- Tak, oczywiście - odpowiedział Nat z ławki.

Tym razem nie zgłoszono sprzeciwu. Panowała cisza jak gdzieś w przestrzeni kosmicznej.

- Piszecie raporty, patrolując miasto? - podpowiedział Collins.

- Och, musimy to robić. Takie jest zalecenie rządowe. Należy opisać każdy samolot w zasięgu wzroku i każdą osobę, która łamie godzinę policyjną. Ta wojna różni się od wielkiej wojny. W tamtej nie musieliśmy się martwić, że na naszym własnym podwórku znajdują się szpiegzy, co ma miejsce tym razem, i właśnie dlatego musimy prowadzić tak szczegółowe notatki.

- Może pan przeczytać, co zapisane jest pod datą siedemnastego sierpnia, panie MacReady.

Z wewnętrznej kieszeni munduru Norris wyciągnął książeczkę w zielonej oprawie ze zniszczonymi brzegami. Na nos założył parę okularów w drucianej oprawie, dużo czasu zajęło mu ich zaczepienie za uszy. Następnie przechylił się do tyłu, polizał palec i przewracał strony tak wolno, że zaczęto chichotać, dopóki w końcu nie znalazł odpowiedniego miejsca.

- Siedemnasty sierpnia 1943 roku - zaczął skrzypiącym głosem, a następnie odchrząknął: „Nat i ja zaczęliśmy patrolować ulice o dziewiątej. Wokół panował spokój, wyjąwszy Carla i Julię Draith, którzy właśnie wracali z partyjki brydza od Nelsonów mieszkających tuż obok. Dziesiąta - idąc w górę ulicą Comfort, usłyszeliśmy, jak ktoś wchodzi przez tylne drzwi do biblioteki. Stałem z boku budynku, gdy Norris badał teren za żywoptem, aby zobaczyć, kto to jest. Norris dał mi znak i czekaliśmy. Nie upłynęło pięć minut, a drzwi otworzyły się na oścież. Pantofel na wysokim obcasie wyleciał i uderzył Nata w ramię, w następstwie czego później miał fioletowego guza. Will Parker i Lula Peak walczyli ze sobą. Parker wypchnął ją za tylne drzwi biblioteki i krzyczał: Jeśli jesteś tak rozpalona, Lulu, idź wyc pod okno kogoś innego. Zatrzasnął jej drzwi przed nosem, a ona walnęła w nie pięściami kilka razy i nazwała go zasranym dupkiem oraz cholernym żołnierzem, a następnie wrzasnęła (tak głośno, iż mogłaby obudzić umarłego): To, co masz w spodniach, zmieściłoby się nawet w moim lewym uchu”. Co za język u kobiety.

Norris zarumienił się. Zarumienił się Nat i Will. Zarumieniła się Elly. Collins grzecznie wziął książeczkę z raportami braci MacReady i zajął ją jako dowód rzeczowy C, a następnie zwrócił się znowu do świadka, aby przesłuchać go bardziej szczegółowo.

Tym razem Slocum poszedł po rozum do głowy i zwolnił Norrisa, nie zadając mu żadnych dalszych pytań. Zgromadzeni w sali sądowej zaczęli się niepokoić. Stale z ławek

dochodziły szmery i widzowie przesunęli się na krzesłach trochę do przodu, gdy Collins wezwał kolejnego świadka.

- Obrona wzywa na świadka doktora Justina Kendalla.

Kendall przeszedł dużymi krokami przez środek sali. Był to mężczyzna o wybujałej sylwetce mający dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Ubrany był w dopasowany garnitur z serży. Przerzedzające się włosy okalały jego lśniące czoło, które wyglądało na wyszorowane szczotką chirurgiczną, a okulary bez oprawek nadawały mu wygląd uczonego. Długimi i czystymi palcami wskazywał niebo, gdy powtarzał słowa przysięgi. Collins zarzucał go już pytaniami, a Kendall poprawił jeszcze kanty spodni i zajął swoje miejsce.

- Proszę podać imię, nazwisko i zawód.

- Justin Ferris Kendall, lekarz medycyny.

- Odbywa pan praktykę lekarską tutaj w Calhoun, czy to się zgadza?

- Tak jest.

- A czy ostatnio badał pan Lulę Peak?

- Tak, dwudziestego października w zeszłym roku.

- A czy w tym czasie potwierdził pan, że jest przypuszczalnie w drugim miesiącu ciąży?

- Tak właśnie było.

- Dwa miesiące po tym, jak słyszano Willa Parkera mówiącego, że jeśli jest rozpalona, powinna wyc pod oknem kogoś innego, stwierdził pan, iż jest w drugim miesiącu ciąży?

- Tak.

- I czy zatrudnia pan dyplomowaną pielęgniarkę Miriam Gaultier, która również pracuje u pana jako recepcjonistka?

- Tak jest.

- Dziękuję panu. Świadek do dyspozycji oskarżenia.

Było zupełnie jasne, że Slocum nie domyślał się powodu, dla którego przesłuchanie przyjęło taki przebieg, i obrócił się zmieszany nagłym przekazaniem świadka obrony. Wstał z krzesła i rzekł:

- Nie mam pytań, Wysoki Sądzie.

- Obrona wzywa na świadka Miriam Gaultier.

Wszystkie głowy odwróciły się, gdy chuda, siwa i niepokaźna kobieta przeszła przez metalową bramkę, uśmiechając się na powitanie do doktora Kendalla, który otworzył ją przed nią grzecznie.

- Proszę podać imię i zawód.

- Miriam Gaultier. Jestem pielęgniarką i recepcjonistką doktora Justina Kendalla.

- Słyszała pani właśnie, że doktor Kendall zeznał, iż w zeszłym roku dwudziestego października odwiedził go Lula Peak. Czy pracowała pani w tym dniu w biurze doktora?

- Tak, tak właśnie było.

- A czy rozmawiała pani z Lulą Peak?

- Tak.

- I jaka była zasadnicza treść rozmowy?

- Spytałam pannę Peak o adres, aby wysłać rachunek.

- Czy podała go pani?

- Nie, proszę pana, nie zrobiła tego.

- A to dlaczego nie?

- Ponieważ poleciła mi przesłać rachunek Harleyowi Overmire do Whitney w Georgii.

Nikt nie słyszał, jak Collins przekazuje świadka oskarżycielowi, ale niemal wszyscy wyczuwali, że pot ścieka z Harleya Overmire'a, gdy pan Slocum zadaje Miriam Gaultier pytania. W sali zapanowała kompletna cisza.

- Czy rachunek panny Peak został zapłacony, pani Gaultier?

- Tak, tak było.

- Czy może pani bez najmniejszych wątpliwości stwierdzić, że nie zapłaciła go sama panna Peak?

- No cóż...

- Bez najmniejszych wątpliwości, pani Gaultier - Slocum powtórzył raz jeszcze, przesywając ją spojrzeniem ciemnych oczu.

- Został zapłacony w gotówce.

- Osobiście?

- Nie, sumę przesłano pocztą.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań.

- Jednak przysłano ją w kopercie...

- Nie mam więcej pytań, pani Gaultier!

- ...po rachunku za elektryczność, jak gdyby wysłał to ktokolwiek...

Stuk! Stuk! - Murdoch uderzył młotkiem.

- To już wszystko, pani Gaultier!

Wszystko układało się o wiele lepiej, niż planował Collins. Pośpiesznie wezwał następnego świadka, mając wrażenie, iż sprawy idą we właściwym kierunku.

- Obrona wzywa Leslie McCooms.

Przypomniano świadkowi zajmującemu się medycyną sądową, że nadal zeznaje pod przysięgą, i Collins przystąpił do sprawy bez zbędnego patosu ani niepotrzebnej sztuczności.

- Przy badaniu ciała Luli Peak stwierdziła pani, że śmierć nie nastąpiła wskutek uduszenia szmatą, jak na początku sądzono, lecz zadana została prawdopodobnie rękami mężczyzny. Czy to prawda?

- Tak.

- Niech mi pani powie, panno McCooms, ile odcisków palców odkryto na szyi Luli Peak?

- Dziewięć.

- I jakiego odcisku brakowało?

- Jednego, palca wskazującego prawej ręki.

- Dziękuję, obrona nie ma więcej pytań.

Will poczuł, jak wstępuje w niego nadzieja i nowe życie. Przycisnął kciuki zwiniętych w pięści dłoni do ust i opamiętał się - przypomniał sobie, iż to jeszcze nie koniec. Nie mógł jednak się oprzeć i odwrócił się, aby zerknąć przez ramię na Elly. Jej twarz była różowa z podniecenia. Zacisnęła rękę w pięść i dotknęła nią serca, sprawiając, że i w niego wstąpiła nadzieja.

Nadeszła kolej Slocuma, który był w oczywisty sposób zdenerwowany.

- Czy to prawda, panno McCooms, że ofiara może być uduszona przez kogoś, kto ma dziesięć zdrowych palców, a zostawi mniej niż dziesięć odcisków?

- Tak, jest to możliwe.

- Dziękuję. Może pani odejść.

Nadzieje Willa rozwiały się, ale miał mało czasu na zniechęcenie. Zadziwiający Collins działał w szybkim tempie, rozpoznając wartość dużej dawki zaskoczenia.

- Obrona wzywa Harleya Overmire'a.

Overmire, który wyglądał jak przestraszona owłosiona małpa, przeszedł przez środek, wbity w jasnoniebieski garnitur z rękawami o kilkanaście centymetrów za długimi w stosunku do grubych ramion, prawie całkowicie zasłaniającymi ręce.

Urzędnik wyciągnął Biblię i rozkazał:

- Proszę podnieść prawą dłoń.

Twarz Harleya była trupio biała. Kropelki potu wisiały nad jego górną wargą i widać było dwie ciemne wilgotne okrągłe plamy pod pachami garnituru.

- Proszę podnieść prawą rękę - powtórzył urzędnik.

Harley nie miał wyboru i musiał zrobić to, co mu kazano.

Z wahaniem podniósł dłoń, a kiedy to zrobił, jego rękaw opadł. Każdy obecny na sali wpatrywał się w mięsistą dłoń z brakującym palcem wskazującym, co widać było wyraźnie na tle białej otynkowanej ściany sali sądowej.

- Czy przysięga pan mówić prawdę i tylko prawdę i nic innego, tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg?

Głos Harleya zabrzmiał jak pisk myszy, która złapała się w pułapkę.

- Przysięgam.

Urzędnik jednostajnym głosem zadawał pytania, gdy Collins uważnie patrzył w oczy przysięgłych, stwierdzając, że każdy wpatruje się w drżącą dłoń Harleya Overmire'a z czterema palcami.

- Proszę podać imię i nazwisko.

- Harley Overmire, inspektor w tartaku w Whitney.

- Proszę usiąść.

Collins przez trzydzieści sekund udawał, że ponownie czyta notatki, kiedy Harley pośpiesznie usiadł i ukrył prawą rękę z boku. Powietrze było naelektryzowane, wszyscy myśleli o tym, co właśnie miało miejsce. Collins pozwalał, aby napięcie rosnąć, zerkając niedwuznacznie przez swoje okulary na ukrytą dłoń Harleya, okrytą hańbą dłoń, która już zyskała mu w całym hrabstwie reputację tchórza uchylającego się od służby wojskowej. Collins zdjął okulary, wstał, tak jak gdyby znowu dręczył go reumatyzm, i zbliżył się do stanowiska świadka. Przykładając palec do jego piersi, zatrzymał się zamyślony, a następnie przeszedł w kierunku swojego stolika, robiąc wrażenie, że o czymś zapomniał. W połowie drogi jednak odwrócił twarz i zamarł w bezruchu, przyglądając się w milczeniu świadkowi. Sala sądowa pogrążona była w ciszy i można by usłyszeć przelatującą muchę. Collins przyjrzał się każdej osobie zasiadającej w ławie przysięgłych, zanim swoje spojrzenie zwrócił na przewodniczącego. Głosem dającym bardzo dużo do zrozumienia powiedział:

- Nie mam więcej pytań.

Była godzina czwarta dwadzieścia po południu. Wszystkim burczało w brzuchu, ale nikt nie myślał o jedzeniu. Sędzia Murdoch nie patrzył na zegarek. Zamiast tego zaapelował, by zamknięto rozprawę i ława przysięgłych udała się na naradę.

Ku radości Collinsa wszyscy po wyczerpujących i mocnych przeżyciach ulegli zmęczeniu. Dokładnie tak, jak tego sobie życzył. Głodna ława przysięgłych, przykuci do swych miejsc sędzia i galeria oraz świadek pocący się na swoim miejscu.

Przysięgli wyszli, a wtedy stało się coś niesłychanego - sala zamarła bez ruchu.

Jak gdyby wiedzieli, że czas oczekiwania będzie krótki, wszyscy zostali na swoich

miejscach, włączając sędziego Murdocha. Wszyscy zachowywali pełną szacunku ciszę, było zbyt ciepło, byli głodni, ale nie chcieli tracić niczego, chcieli usłyszeć pierwsze kroki powracających.

Wrócili po ośmiu minutach.

Dwanaście par butów zastukało na drewnianym podwyższeniu, gdzie czekało na nich dwanaście krzeseł. Kiedy usiedli wreszcie, nie wypowiedziane pytanie wisiało w powietrzu.

- Panie i panowie przysięgli, czy wydaliście werdykt?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Czy możecie go wręczyć urzędnikowi?

Urzędnik przyjął go i przekazał Murdochowi, który otworzył małą białą kopertę, przeczytał po cichu wyrok, a następnie z powrotem podał przewodniczącemu przysięgłych.

- Może pan przeczytać werdykt wszystkim obecnym.

Elly ścisnęła rękę Lidii i panny Beasley. Will wstrzymał oddech.

- My, ława przysięgłych, stwierdzamy, że oskarżony William Lee Parker jest niewinny.

Wybuchło istne piekło. Will obrócił się. Elly położyła rękę na ustach i rozpląkała się. Panna Beasley i Lidia próbowały ją przytulić. Collins próbował mu pogratulować. Jednak oni - Elly i Will - myśleli tylko o jednym: aby dojść do siebie. Przedzierali się przez tłum, czyjeś ręce klepały ich po ramionach, ale oni nie zwracali na to uwagi. Wszyscy się uśmiechali, lecz oni widzieli tylko siebie... Will... i Elly. Pocałowali się mocno i szybko. Przytulili do siebie, szukając schronienia, szukając się nawzajem.

- Elly... och, Boże...

- Will... mój ukochany Will...

Słyszał, jak płacze. Słyszała, jak przełyka łzy.

Z zamkniętymi oczami kołysali się w swoich ramionach, wdychali zapach, odnaleźli się nawzajem, odcinając od wszystkiego wokół.

- Kocham ciebie - zdołał powiedzieć z ustami przyciśniętymi do jej ucha. - Nigdy nie przestałem.

- Wiem o tym. - Pocałowała go w policzek.

- Tak bardzo mi przykro.

- I o tym też wiem. - Roześmiała się, a śmiech ten zagłuszył płacz.

Ludzie znowu wpadli na nich. Reporter wypowiedział nazwisko Willa. Świadkowie czekali, aby im pogratulować.

- Nie odchodź. - Głos Willa zabrzmiał w uszach Elly, zanim objął ją mocno

ramionami. Owinęła wokół niego ręce i przytuliła się jeszcze silniej, gdy on spełniał swoje obowiązki wobec zgromadzonych dokoła.

Uściskał rękę Collinsa i został mocno poklepany po plecach.

- No cóż, młody człowieku, była to dla mnie ogromna przyjemność.

- Dla pana może i tak. - Will roześmiał się.

- Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że pan wygra.

- Chce pan powiedzieć: wygramy.

Collins położył wolną rękę na ramieniu Elly, przygarniając i ją.

- Gdy pani tylko będzie szukać pracy, młoda kobieto, znam pół tuzina adwokatów, którzy zapłacą pani duże pieniądze za to, że dostarczać im pani będzie różnego rodzaju forteli na korzyść ich klientów. Ma pani nosa i talent.

Elly roześmiała się i podniosła policzek z kłapy marynarki Willa, aby przez dłuższą chwilę popatrzeć w jego szczęśliwe piwne oczy.

- Przepraszam, panie Collins, ale mam już zajęcie i nie wymieniałabym go na żadne.

Will pocałował ją w nos i cała trójka wyciągnęła z zapalem ręce w uścisku, dopóki nie przerwała im Lidia Marsh, która złapała Elly za szyję.

- Och, Elly, jestem taka szczęśliwa z twojego powodu. - Przytuliły się na moment do siebie. - I z twojego także, Will. - Wspięła się na palce i objęła go impulsywnie.

Miał tak przepelnione wdzięcznością serce, że zdawało się pęknąć.

- Nie wiem, jak pani dziękować, pani Marsh.

Potrząsnęła głową, zwalczając łzy, nie umiejąc wyrazić swej sympatii w żaden inny sposób, jedynie dotknęła jego policzka, a następnie pocałowała Elly i obiecała:

- Do zobaczenia wkrótce. - A potem uciekła.

Drugi dziennikarz zawołał:

- Panie Parker, czy może pan poświęcić mi minutę?

Byli tam także Nat i Norris MacReady. Uśmiechali się, wyprostowani i dumni stali w mundurach wojskowych, które było czuć naftaliną.

- Nat... Norris... - Will uściskał każdemu z nich mocno rękę i poklepał po karku. - Czy byłem zadowolony, że obaj wystąpiliście w mojej obronie? Jak mam to wyrazić? Bez was to wszystko mogłoby się skończyć inaczej.

- Wszystko dla żołnierza - odpowiedział Nat.

- Proszę tylko powiedzieć, że będą stałe dostawy miodu - wtrącił Norris.

Roześmieli się, tymczasem pani Gaultier i doktor Kendall przemknęli obok, dotykając ramion Willa i uśmiechając się.

- Gratulacje, panie Parker.

Błysnęło i reporter zrobił zdjęcie, gdy Will ścisnął ich ręce w podziękowaniu.

Otoczony ze wszystkich stron i rozrywany Will czuł się w obowiązku udzielać się zarówno obcym, jak i przyjaciołom, gdy tymczasem dziennikarze nadal obrzucali go pytaniami.

- Panie Parker, czy to prawda, że kiedyś Harley Overmire wyrzucił pana z tartaku?

- Tak.

- Czy stało się to ze względu na to, że był pan wcześniej karany?

- Tak.

- I czy to prawda, że Overmire odciął sobie palec, aby uniknąć służby wojskowej?

- Naprawdę nie mogę wypowiadać się na ten temat. Mieliśmy długi i męczący dzień i...

Próbował przedrzeć się do drzwi, ale tłum w jak najlepszych zamiarach tłoczył się wokół nich jak komary wokół wilgotnego miejsca.

- Panie Parker...

- Gratulacje, Will...

- Eleonoro, tobie także gratuluję...

- Gratulacje, młody człowieku, nie znasz mnie, ale jestem...

- Dzień dobry, panie Parker, czy mogę prosić o autograf? - zapytał młodzieniec w czapce baseballowej.

- Dobrze poszło, Will...

- Elly, cieszymy się razem z wami.

- Gratulacje, Parker, pan i żona możecie przyjść do mojego lokalu, stawiam wam obiad...

Will nie chciał być w centrum zainteresowania, nie chciał być najlepszym numerem w tym cyrku, ale ostatecznie byli to mieszkańcy ich miasta, witali wreszcie jego i Elly w swym gronie. Przyjmował uściski, odwzajemniał uśmiechy i odnosił się z należnym szacunkiem. Do czasu, kiedy po prostu poczuł, że musi uciec i znaleźć się sam na sam z Elly. W odpowiedzi na czyjś żart przycisnął Elly mocniej do siebie, podniósł ją, jedną nogą zawisła w powietrzu, i złożył pocałunek na jej skroni, szepcząc:

- Wyjdźmy stąd. - Objęła go w pasie i ruszyli do drzwi.

A tam stała panna Beasley i cierpliwie czekała na swoją kolej.

Reporter wytropił Willa i Elly, gdy przesuwali się w kierunku bibliotekarki.

- Panie Parker, pani Parker, czy ktoś z państwa mógłby skomentować aresztowanie

Harleya Overmire'a?

Zignorowali to pytanie.

Panna Beasley, ubrana w brązowo - żółto - zielony strój, zawiesiła rączkę swojej torebki na nadgarstkach skrzyżowanych bojowo pod obfitym biustem. Will pchał Elly lekko do przodu, dopóki nie zatrzymali się przy niej. Dopiero wtedy wypuścił żonę z objęć.

Wtrącił się jakiś męski głos:

- Panie Parker, jestem z „Atlanta Constitution”. Czy mógłby pan...

Elly wmieszała się w jego imieniu.

- Jest teraz zajęty. Dlaczego nie poczeka pan na zewnątrz?

Tak, Will był zajęty. Walczył bezskutecznie z silnymi zwałającymi z nóg uczuciami, gdy podszedł do Gladys Beasley, wziął ją w objęcia, oparł policzek na sztywnych błękitnych loczkach i trzymał mocno, niemal się dusząc zapachem goździków, ale ciesząc się każdą sekundą. Choć trudno było w to uwierzyć, odwzajemniła pieszczotę, kładąc mu ręce na plecach.

- Strasznie mnie pani nastraszyła, wie pani o tym? - Will ochrypl z przejęcia.

- Potrzebowałeś tego, uparciuchu.

- Wiem o tym. Jednak pomyślałem, że straciłem was obie, panią i Elly także.

- Och, co za bzdury, panie Parker. Musiałby pan więcej nabroić. Nie wystarczy zachować się jak skończony idiota, aby stracić którąś z nas.

Roześmiał się, lecz śmiech z trudem wydobył się z jego ściśniętego gardła. Obejmowali się przez kilka sekund.

- Dziękuję - powiedział i pocałował ją w ucho.

Poklepała go po plecach, uderzając torebką o biodro, a później zamrugała powiekami, odsunęła się i znowu przybrała pouczający ton.

- Oczekuję, że pojawi się pan znowu w pracy w przyszły poniedziałek tak jak zwykle.

Will spojrzał na nią, cały czas opierając ręce na jej ramionach. Na jego twarzy pojawił się zawadiacki uśmiech.

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział, cedząc słowa. Przerwał im Collins.

- Zamierzasz tutaj trzymać tę kobietę cały dzień czy pozwolisz, aby ktoś inny spróbował u niej szczęścia?

- Jest pańska. - Zaskoczony Will cofnął się.

- A to dobrze, ponieważ pomyślałem sobie, że mógłbym ją zabrać do siebie do domu, upić odrobiną brandy i zobaczyć, co z tego wyniknie. Co na to powiesz, Gladys? - Panna Beasley już się rumieniła, gdy Collins ją zabierał. - Wiesz, że kiedy chodziliśmy razem do

szkoły średniej, zawsze chciałem cię zaprosić na randkę, ale byłaś tak szykowna, iż okropnie się ciebie bałem. Czy pamiętasz, jak...

Jego głos cichł powoli, gdy prowadził ją do drzwi. Elly wsunęła rękę pod ramię Willa i patrzyli, jak adwokat i bibliotekarka wychodzą razem.

- Wygląda na to, że panna Beasley nareszcie zdobyła wielbiciela.

- Dwie takie osoby. - Elly uśmiechnęła się, patrząc na niego.

Przykrył ręką jej dłoń, mocno przycisnął do ramienia i długo patrzył w oczy.

- A może nawet trzy.

- Panie Parker, jestem z „Atlanta Constitution”...

Wspinając się na palcach, Elly szepnęła Willowi do ucha:

- Odpowiedz mu, proszę, tak, abyśmy mogli się go pozbyć. Poczekam w samochodzie.

- Nie, nie zgadzam się! - Przytrzymał ją jeszcze mocniej. - Zostaniesz tutaj razem ze mną.

Razem przetrwali burzę pytań, żałując każdej chwili, która nie pozwalała im znaleźć się z dala od ludzi, ale dowiadując się, że wydano nakaz aresztowania Harleya Overmire'a i znajduje się on już w areszcie. Kiedy poproszono go o komentarz, Will odpowiedział tylko:

- Potrzebny mu będzie dobry adwokat, a ja znam świetnego, którego mogę polecić.

Zapadał już prawie zmrok, gdy Elly i Will zdołali wreszcie uciec do swojego samochodu. Kiedy odjeżdżali, słońce świeciło nisko nad budynkiem z nie ociosanych kamieni, nadając mu odcień miedzi. Na terenach należących do sądu kamelie były w pełnym rozkwicie, chociaż nagie gałązki jesionów rzucały wydłużone cienie na maskę ich rozklekotanego samochodu, który miał zgnieciony przedni zderzak i jeden niebieski błotnik odcinający się od czarnej karoserii.

Kiedy Elly ruszyła na miejsce pasażera, Will pociągnął ją w przeciwnym kierunku.

- Ty prowadzisz - polecił.

- Ja!?

- Słyszałem, że nauczyłaś się, jak to się robi.

- Nie wiem, czy panna Beasley zgodziłaby się z tą opinią.

- Trochę go poobijałaś, prawda? - Popatrzył na zderzak i błotnik.

- Trochę.

- Kto założył błotnik?

- Ja i Donald Wade.

Will spojrzał na żonę z rozjaśnionymi oczami.

- Jest pani wspaniałą kobietą, czy wie pani o tym, pani Parker?

- Odkąd spotkałam ciebie - odpowiedziała cicho i rozjaśniła się cała z radości.

Przyglądali się sobie przez jeszcze jedną cenną chwilę, zanim poleciał jej:

- Wsiadaj. Pokaż mi, czego się nauczyłaś.

Wgramolił się na miejsce pasażera i nie dał jej wyboru. Kiedy zaczął pracować silnik, złapała kurczowo kierownicę i wzięła głęboki oddech.

- A więc dobrze... jedziemy. - Natychmiast zjechała na chodnik, włączając w panice hamulce, gdy zaczęło nimi tak podrzucać, że uderzyli głową o dach i zarzuciło ich na szybę.

- A niech to diabli, Will, śmiertelnie się boję tego samochodu! - Walnęła ze złością w kierownicę. - Nigdy nie jedź tam, gdzie chcę!

Roześmiał się, dotykając czubka głowy.

- Jednak zawiózł cię do Calhoun, abyś wynajęła prawnika, prawda?

Czuła, jak się rumieni, chcąc wypaść na osobę, która zna się na rzeczy, i udowodnić, jak światową osobą się stała w czasie jego nieobecności.

- Nie dokuczaj mi, Will, nie wtedy, kiedy ten... ten kawałek złomu jest włączony.

Głos mu złagodniał i przestał się z nią droczyć:

- I przywiózł cię do Calhoun, abyś mogła odwiedzić swojego męża.

Znowu spojrzeli na siebie z powagą i tęsknotą. Dotknął jej dłoni na kierownicy, pogłaskał palce.

- Elly, czy to prawda? Spodziewasz się dziecka?

Skinęła głową, a na jej drżących wargach pojawił się uśmiech.

- Będziemy mieli dziecko, Will. Tym razem twoje i moje.

Nie mógł wydusić ani słowa. Coś dławiło w gardle. Położył jej rękę na szyi, a drugą umieścił na brzuchu, przyciągając bliżej, aby pocałować w czoło. Zamknęła oczy i położyła obie dłonie na jego rozpostartej prawej ręce, przykrywającej nowe życie w jej ciele.

- Dziecko - odetchnął w końcu - wyobraź tylko to sobie.

Odsunęła się, aby spojrzeć mu w oczy. Przez kilka nie kończących się sekund patrzyli na siebie, a następnie oboje roześmieli się nagle.

- Dziecko! - wzniosł radosny okrzyk.

- Tak, dziecko! - Ujęła jego głowę w obie ręce i rozczochrała włosy. - Z twoimi kędzierzawymi jasnymi włosami, dużymi piwnymi oczami i ładnymi ustami. - Pocałowała go i jego usta otworzyły się, aby skosztować jej, zagarnąć ją, wynagrodzić wszystko. Jego ręka przesunęła się po jej brzuchu, ześlizgnęła się jeszcze niżej, a ona zadrżała.

- Tym razem, kiedy będzie się rodzić, wezwiemy lekarza - szepnął przytulony do niej.

- Dobrze, Will - odrzekła ulegle.

Jego pocałunki i pieszczoty stawały się coraz bardziej natarczywe, zmuszona więc była przypomnieć mu:

- Will, nadal przechodzą tędy ludzie.

Oddychając ciężko, uwolnił ją ze swoich objęć i powiedział:

- Może jednak będzie lepiej, jeśli poprowadzę. Szybciej dojedziemy do domu. - Zatrzasnął za sobą drzwi i przebiegł na drugą stronę samochodu, gdy tymczasem ona się przesunęła. Gdy włączył wsteczny bieg, ostrzegł ją: - Uważaj na nasze małeństwo. Nie chcemy go stracić. - Zjechał z chodnika, podrzuciło ich drugi raz, Elly złapała się za brzuch i oboje się roześmieli.

Przejechali przez plac obok sądu i wjechali na drogę 53 zmierzającą na południowy wschód. Za nimi słońce zniżyło się jeszcze bardziej. Przed nimi droga wznosiła się nad doliną, prowadząc ich w górę przez faliste lasy, które wkrótce puszcza zielone pędy. Will otworzył okno i odetchnął głęboko świeżym zimowym powietrzem. Oparł łokcie, złapał kciukami kierownicę i wystawił nadgarstki do przodu, smakując wolności, pijąc jak ktoś spragniony.

Wolny i kochany. I wkrótce zostanie ojcem. Otoczony przyjaciółmi. Akceptowany - a nawet podziwiany - przez miasto, które wystąpiło w jego obronie. I to wszystko dzięki jednej kobiecie.

Radość przepelniała serce Willa. Miłość do niej wypełniała jego serce.

Gwałtownie zjechał na bok, wjechał po wybojach na drogę prowadzącą na pola i zatrzymał się za kępą wierzb. Jednym ruchem wyłączył silnik i zwrócił się do żony.

- Chodź tutaj, moja zielonooka - szepnął, rozluźniając krawat. Natychmiast rzuciła się w jego objęcia. Spotkały się ich usta, objęli się, nie zważali już dłużej na nikogo, całując się szaleńczo. Przytuleni poczuli się uzdrowieni.

Odsunął się na chwilę, aby objąć jej głowę rękami i popatrzeć w oczy.

- Tak strasznie za tobą tęskniłem.

- Nie tak bardzo, jak ja tęskniłam za tobą.

- Ściągaś włosy. - Odgarnął je obiema rękami, patrząc na jej twarz wzrokiem pełnym uwielbienia.

- Chciałam wyglądać modnie dla ciebie...

Spojrzał na tę twarz, linię włosów i zaczął zastanawiać się głośno:

- Co takiego zrobiłem, aby zasłużyć na ciebie?

- Nie dziękuj mi, Will, ja...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Gdy trwali tak coraz dłużej, czuli, jak braknie im tchu,

a między nimi zawiązuje się coraz silniejsza więź. W końcu oderwał od niej usta.

- Wiem wszystko o tym, co zrobiłaś. Wiem o miodzie, o ogłoszeniach, świadkach, których znalazłaś. Wiem, że byłaś zmuszona nauczyć się prowadzić samochód i o tym, że stawiałaś czoło miastu. Jednak dom, Elly? Mój Boże, nie bałaś się wspomnień i weszłaś tam, prawda?

- A co więcej mogłam zrobić, Will? Musiałam udowodnić ci, że to, co zobaczyłeś na mojej twarzy w dniu, kiedy cię aresztowano, nie jest prawdą. Nigdy nie miałam tego na myśli, Will... ja... - Zaczęła płakać. Scałował jej łzy, dotykając twarzy, jak gdyby czerpał z niej siłę.

- Nie musiałaś niczego udowadniać. Bałem się, byłem uparty i zachowałem się jak głupiec, właśnie tak, jak ujęła to panna Beasley. Kiedy przyszałaś mnie odwiedzić po raz pierwszy, czułem się zraniony i... i chciałem zranić i ciebie. Jednak naprawdę nie myślałem tego, co mówiłem. Elly, mówię prawdę, nie myślałem tak. - Pocałował jej oczy, szepcząc cicho: - Nie myślałem tego, Elly. Tak mi przykro.

- Wiem, Will, wiem.

Znowu dotknął twarzy Elly, wpatrując się w jej oczy.

- A kiedy przyszałaś po raz drugi, mówiłem sobie cały czas, żeby cię przeprosić, ale Hess słuchał, więc zamiast to zrobić, gadałem o nieistotnych rzeczach. Mężczyźni potrafią być takimi głupcami.

- To nie ma teraz znaczenia, Will, to nic...

- Kocham cię. - Trzymał ją mocno i zaborczo.

- Ja także cię kocham.

Objęli się, a w chwilę później powiedział:

- Wracajmy do domu.

Dom. Wyobrazili go sobie i poczuli, jak ich przywołuje. Will złapał palcami jeden krótki kasztanowy lok Elly, głaszcząc go.

- Wracajmy do dzieci, do naszego własnego domu i do naszego łóżka. Tak bardzo za tym wszystkim tęskniłem.

Dotknęła jego szyi i powiedziała:

- Wracajmy.

Jechali do domu w fioletowym półmroku przez brązowe wzgórza Georgii, jechali obok wodospadów i sosnowych lasów przez ciche miasteczko z biblioteką i drzewem magnolii oraz placikiem, gdzie pusta ławka czekała na dwóch staruszków i blask słońca. Minęli stary dom. Kiedyś zarośnięty był powojem, otoczony płotem z palików, a jego zielone

okiennice były stale zamknięte. Teraz ujrzeli wykoszone podwórko, a księżyc, który właśnie pojawił się na niebie, odbijał się w lśniących oknach. Gdy przejeżdżali tamtędy, Elly przytuliła się mocno do Willa, objęła go ramieniem, a drugą rękę położyła mu na udzie.

Odwrócił głowę. Patrzył, jak obserwuje to miejsce, gdy ich samochód przejeżdżał obok. Czują to spojrzenie i uśmiechnęła się, podnosząc głowę.

Czy dobrze się czujesz? - spytał wzrokiem.

Czuję się świetnie - odpowiedziały jej oczy. Pocałował ją w nos i złączył swe palce z tymi, które dotykały jego lewego ramienia.

Szczęśliwi jechali dalej tej nocy ku stromej skalistej drodze, która wiodła ich obok ukochanego drzewa na polankę, gdzie już wkrótce obok pochylonego domku zakwitną błękitne kwiaty, gdzie spała trójka dzieci - a wkrótce pojawi się czwarte, gdzie czekało na nich łóżko... Wśród lasów i pól czekał na nich dom... tam wkrótce zaczną krążyć pszczoły, a w ulach znowu pojawi się miód.